



Jodi
Compton

Odrobina
ludzkiego
uczucie

Dla gliniarza współczucie może być zabójcą

Świat Książki

Compton Jodi

Odrobina ludzkich uczuć

Rozdział 1

Na atlantyckim wybrzeżu Hiszpanii było późne popołudnie, słońce złociło niższe warstwy powietrza tuż nad wodą. Wzdłuż brzegu ciągnął się wał, nie z kamieni, lecz solidny mur, na którym łamały się łagodne fale. Środkowy fragment został wycięty, żeby woda swobodnie wpływała do prostokątnego dość płytkiego basenu, mniej więcej połowy długości normalnego basenu pływackiego, którego brzegi obramowano częściowo zanurzonymi w wodzie kamiennymi ławami.

Basen był jak dzieło budowniczego ze starożytnego Rzymu - wyrafinowanie proste i dekadentki. I ogólnie dostępny. Nie otaczało go żadne ogrodzenie, więc mogli z niego korzystać nie tylko zamożni turyści, ale także miejscowi. Entuzjaści kąpeli słonecznych przychodzili tu, aby trochę ochłodzić spieczoną skórę, a dzieci przepływały od jednej ławy do drugiej, niczym ptaki fruujące w ptaszarni z gałęzi na gałąź.

Przyprowadziła mnie tu Genevieve Brown, Gen, która jeszcze niedawno była moją partnerką w wydziale biura szeryfa okręgu Hennepin. W pracy zawsze była ostrożna i rozważna, więc spodziewałam się, że tutaj będzie zachowywała się podobnie, tymczasem ona pierwsza weszła na kamienną ławę, a stamtąd do basenu, i usiadła, podkulając nogi, aby woda mogła obmyć całe jej ciało i utworzyć dookoła głowy chmurę z ciemnych, sięgających do ramion włosów.

Po chwili przeniosła się na ławę obok mnie i wystawiła twarz do słońca. Jej skóra szybko przybierała ciepły, kremowy odcień brązu. Rodzina Genevieve pochodziła z Europy Południowej i chociaż ona nigdy nie darzyła słońca przesadnym uwielbieniem, wystarczył jeden pogodny wiosenny dzień, aby jej twarz pokryła się delikatną opalenizną.

- Och, jak dobrze... - westchnęłam, unosząc twarz ku górze.

Słona woda już wysychała na mojej skórze, ściągając ją lekko. Zastanawiałam się, czy pozostawiłaby cieniutką, migoczącą w świetle warstewkę, gdybym później nie zmyła jej pod prysznicem.

- Należy ci się porządny wypoczynek - odezwała się Genevieve. - Ostatni rok... Ostatni rok był trudny.

Łagodnie powiedziane, pomyślałam. Wiosną ubiegłego roku została zamordowana córka Gen, a jesienią mój mąż trafił do więzienia. Pod koniec tego wyjątkowo złego okresu Genevieve rzuciła pracę w biurze szeryfa, pogodziła się ze swoim byłym mężem Vincentem i przeprowadziła do jego domu w Paryżu.

Rozmawiałyśmy o moim przyjeździe do Europy od grudnia, kiedy to Gen zaraz po przeprowadzce pierwszy raz zadzwoniła do mnie z Francji, ale minęło pięć miesięcy, nim ostatecznie zdecydowałam się wziąć urlop. Pięć miesięcy śniegu i mrozu, rozgrzewania silnika samochodu za pomocą zewnętrznego kabla, a zmarzniętego ciała marną kawą, podwójne zmiany, dodatkowe zadania... Dopiero po tych pięciu miesiącach postanowiłam skorzystać z zaproszenia Genevieve i spotkać się z nią na wybrzeżu Hiszpanii.

- Słyszałaś coś o dochodzeniu w sprawie śmierci Royce'a Stewarta? - zapytała Gen od niechcienia.

Pierwszy raz wspomniała o śmierci Shorty'ego.

- Tak, jeszcze w grudniu - odparłam. - Ale od tamtej pory

nic się w tej sprawie nie działo. Wydaje mi się, że dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

- To dobrze - powiedziała. - Cieszę się ze względu na ciebie...

W czasie naszych rozmów telefonicznych nie mówiłam Genevieve o śledztwie ani tym bardziej o tym, że podejrzewano mnie o morderstwo, więc teraz spojrzałam na nią z nieukrywaniem zdziwienia. Skoro ja jej nic nie powiedziałam, to kto to zrobił? Gen mówiła wcześniej, że nie kontaktowała się z nikim, kto stanowiłby część jej poprzedniego życia w Minnesocie.

- Kto ci powiedział, że uznali mnie za podejrzaną? - zapytałam.

- Nikt - odrzekła spokojnie. - Przecież to oczywiste... Mała kropla morskiej wody skapnęła mi z mokrych włosów na ramię.

- Dlaczego oczywiste?

- Bo ty go zabiłaś.

Pośpiesznie zerknęłam na trzy kobiety, siedzące w przeciwległym końcu basenu. Żadna z nich nawet nie odwróciła głowy.

- To jakiś żart? - spytałam cicho. - Nie zabiłam Royce'a Stewarta. Ty to zrobiłaś.

- Nie, Saro - odparła łagodnie. - Ty go zabiłaś, nie pamiętasz? Ja nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego...

Jej oczy pociemniały, pełne troski i współczucia.

- To wcale nie jest zabawne... - zaczęłam niskim, napiętym głosem.

Nagle zrozumiałam, że Genevieve wcale nie żartuje. Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy, bo moja przyjaciółka nigdy nie miała w sobie ani odrobiny złośliwości. W jej głosie brzmiał niepokój i litość, nic więcej. Całym sercem współczuła swojej przyjaciółce i partnerce z pracy.

- Strasznie mi przykro... - powiedziała. - Ale kiedyś i tak wszyscy dowiedzą się, co zrobiłaś...

Gdzieś daleko za horyzontem poderwał się ku niebu dźwięk syreny, przenikliwy i wysoki, nieznośnie uporczywy w swej elektronicznej monotonii.

- Co to za hałas? - zainteresowała się Genevieve.

Otworzyłam jedno oko i ujrzałam tuż przed sobą źródło elektronicznego zawodzenia - radio z jasno świecącym zegarem. Podniosłam rękę i wyłączyłam budzik. W Minneapolis było teraz późne popołudnie, a ja postanowiłam trochę przespać się przed zmianą. Stojące za oknem jesiony rzucały zielonkawe cienie na nierówną drewnianą podłogę - ich gałęzie powoli pokrywały się wiosennymi liśćmi. Był początek maja, dokładnie jak w moim śnie.

Prawdą było też to, że Genevieve mieszkała teraz w Europie razem z mężem, a mój mąż, Shiloh, policjant, który przed paru miesiącami miał rozpocząć pracę w FBI, był w więzieniu. Doprowadziły do tego ubiegłoroczne wydarzenia w Blue Earth. Jeżeli uważnie śledzicie wiadomości, być może czytaliście o tym, ale na pewno nie wiecie wszystkiego.

Pośrednim sprawcą tego, do czego doszło w Blue Earth, był niejaki Royce Stewart, który zgwałcił i zamordował córkę Genevieve, Kamarię, i został zwolniony z powodu braku wystarczających dowodów. Kilka miesięcy później Shiloh pojechał do Blue Earth z zamiarem przejechania Stewarta skradzioną ciężarówką, ale w ostatniej chwili odkrył, że nie jest zdolny do popełnienia morderstwa. To Genevieve, w wyniku przedziwnego zbiegu okoliczności, poderżnęła Stewartowi gardło i spaliła szopę, w której mieszkał.

Shiloh poszedł do więzienia za kradzież pikapu, a Gen, popełniwszy zbrodnię, której świadkiem byłam tylko ja, wyjechała do Europy, aby rozpocząć tam nowe życie. Nie miałam do niej żalu. Mój mąż i tak siedział już za kratkami i wcale nie chciałam, żeby znalazła się tam także moja przyjaciółka.

O tym, że jestem główną podejrzaną w sprawie o morder-

stwo dowiedziałam się w chwili, gdy Genevieve była już na pokładzie lecącego do Paryża samolotu. Szczerze mówiąc, było to dość logiczne. To ja pojechałam do Blue Earth na poszukiwanie męża i to mnie widziano w tamtejszym barze, kłócącą się ze Stewartem tuż przed jego śmiercią.

Niedługo potem dwóch detektywów z okręgu Faribault zjawilo się w Minneapolis i przesłuchało mnie, zadając starannie przygotowane, podchwytliwe pytania. Nie wyglądali na przekonanych, że powiedziałam im prawdę.

Nie mówiłam Gen, co się dzieje, ponieważ bałam się, że wróci do kraju, aby przyznać się do winy i wybawić mnie z opałów, nie prosiłam też o radę Shiloha, gdyż jego poczta na pewno była przeglądana, a ja nie mogłam naświetlić mu całej sprawy, nie wyjaśniając, jaką rolę odegrała w niej Genevieve.

Zdarzyło się jednak coś dziwnego, a raczej nie zdarzyło się po prostu nic. Minał miesiąc, potem drugi i nie zostałam ani aresztowana, ani nawet ponownie przesłuchana. Wszystko więc wskazywało na to, że śledztwo nie posuwało się do przodu.

Jeszcze parę tygodni później gazeta „Star Tribune” opublikowała krótki artykuł pod tytułem *Śmierć podejrzanego*.

Royce Stewart był podejrzany o zamordowanie córki policjantki dochodzeniowej okręgu Hennepin. Siedem miesięcy później zginął w rezultacie dość podejrzanego pożaru, który wybuchł w środku nocy. Były pracownik wydziału dochodzeniowego w Minneapolis przyznał się, że planował zabójstwo Stewarta, ale nie wprowadził planu w życie. Dochodzenie jest nadal otwarte, lecz dowody najprawdopodobniej poszły z dymem.

Dziennikarz „Star Tribune” wspomniał też o czymś, o czym nie pisały inne gazety:

Z kilku policyjnych notatek i protokołów jasno wynika, że w noc śmierci Stewarta w Blue Earth przebywała żona Shiloha, detektyw okręgu Hennepin Sara Pribek. Przedsta-

wiciele policji okręgu Faribault odmawiają odpowiedzi na pytanie, czy Pribek jest podejrzana o udział w zabójstwie Stewarta i podpalenie jego domu.

Tylko kilka słów, lecz te dwa zdania nie pozostawiały wątpliwości, że wśród przedstawicieli prawa w Minneapolis rzeczywiście krążyły takie pogłoski. W poniedziałkowy rano po ukazaniu się artykułu w pracy powitała mnie wiele mówiąca cisza.

Najbardziej niepokoiło mnie jednak co innego - po artykule w „Star Tribune” zaczęłam dostrzegać coś w oczach młodych, dopiero rozpoczynających pracę policjantów. Był to respekt. Młodziaki wierzyły, że zabiłam Royce'a Stewarta, i wyraźnie budziło to ich respekt.

Byłoby mi łatwiej dźwigać ten ciężar, gdybym przynajmniej drobną jego część mogła przerzucić na barki mojej dawnej partnerki oraz męża. Nie winiałam ich za to, że zostałam całkiem sama. Genevieve mądrze zrobiła, wyjeżdżając do Europy i wymykając się z gęstniejącego cienia podejrzeń i przypuszczeń, a Shiloh na pewno nie poszedł do więzienia z własnego wyboru. Tak czy inaczej, codziennie boleśnie odczuwałam ich nieobecność. Byli dla mnie kimś więcej niż najbliższą rodziną - byli częścią mojej historii i życia w Minneapolis. Shiloh i Genevieve znali się jeszcze, zanim ja poznałam ich. Właśnie dlatego, nawet gdy nie widywaliśmy się codziennie czy choćby co parę dni, łączyła nas mocna więź, która zawsze dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Bez nich byłam pozbawiona czegoś więcej niż po prostu miłego i pożądanego towarzystwa, czegoś, czego brak wyczuwałam w uprzejmych rozmowach z kolegami z pracy.

Kiedy minęło pięć miesięcy od dnia śmierci Royce'a Stewarta, a mnie wciąż nie postawiono żadnych zarzutów, zrozumiałam, że prowadzący dochodzenie nie znaleźli istotnych dowodów i prawdopodobnie już nigdy ich nie znajdą. Zdałam

sobie sprawę z czegoś jeszcze - możliwe, że nigdy nie zostaną postawiona w stan oskarżenia, ale też nigdy całkowicie nie uwolnię się od podejrzeń. W pracy w oczach kolegów czytałam werdykt: najprawdopodobniej winna, o czym świadczą uporczywe pogłoski. Porucznik nie przydzielił mi nowego partnera. Sprawy kryminalne i przypadki zaginięć, które prowadziłyśmy z Genevieve, wyschły jak koryto rzeki w upalne lato. Zastąpiły je dość przypadkowe zlecenia, takie jak to, które dostałam na ten wieczór.

- Przepraszam, czy ktoś może widział tego chłopca?

Kobieta w średnim wieku podsuwała duże zdjęcie ludziom przechodzącym aleją, przy której pracowałam. Próbowwała znaleźć kogoś, kto widział zaginionego nastolatka.

Podeszłam do niej, kierując się zawodową ciekawością. Spojrzała na mnie, zaraz jednak pośpiesznie odwróciła wzrok. Nie dostrzegła zainteresowanej jej losem, miłej osoby, a tym bardziej policjantki - zobaczyła uliczną prostytutkę.

Nie mogłam mieć do niej o to pretensji, bo właśnie taki efekt zamierzałam osiągnąć.

Ze zjawiskiem prostytucji najczęściej walczą wydziały policji metropolitalnej, te jednak zawsze potrzebują świeżych twarzy, więc szef czasami mnie wypożyczał. Tego wieczoru patrolowałam ruchliwą aleję na południe od centrum Minneapolis, niedaleko dzielnicy biurowo-biznesowej, gdzie udające prostytutki policjantki kuszą mężczyzn, przybywających do miasta w poszukiwaniu dobrej zabawy, a także miejscowych urzędników, wychodzących z barów po paru koktajlach, wypitych na zakończenie dnia.

Ktoś słabo zorientowany pewnie zdziwiłby się, widząc mój niezbyt wymyślny strój, a przecież dla dziewczyn z ulicy jest to jedna z podstawowych zasad zachowania: żadnych minispódniczek, butów na wysokich obcasach, pończoch ze szwami i tak dalej. Genevieve wyjaśniła mi to wiele lat temu.

- Uliczne prostytutki nie mogą sobie pozwolić na to, by przyciągać uwagę gliniarzy - powiedziała. - Poza tym wiele z nich nie ma chyba po prostu siły na stosowanie rozmaitych sztuczek. Psychologicznie rzecz biorąc, te dziewczyny nie są w stanie traktować swego zajęcia jako pracy, o tym także warto pamiętać.

Właśnie dlatego tego wieczoru wciągnęłam dżinsy i wysokie buty, biały T-shirt z dekoltem w serek i tandetny płaszcz ze sztucznej skóry. Dużo ważniejszy od stroju jest makijaż. Użyłam jasnego korektora w sztyfcie, nie po to, żeby zamaskować plamy czy wypryski, ale by pokryć nim całą twarz i nadać jej odcień niezdrowej bladości. Potem przyszła kolej na tusz do rzęs i ołówki do powiek.

- Wyraźna kreska na górnej i dolnej powiece jest najlepsza - pouczała mnie Gen. - Nic w takim stopniu nie wydobędzie cię z tłumu średnio zamożnych Amerykanów, jeżdżących toyotami camry, jak właśnie ostro podkreślone oko...

Najważniejsza zasada zachowania związana jest jednak nie z ubraniem czy makijażem, ale sposobem bycia, a raczej z postawą. prostytutka leciutko nachyla się ku przodowi, od pasa, zaglądając w okna samochodów, i to sygnalizuje mężczyznom, kim jest stojąca przy krawężniku kobieta.

Tego wieczoru nie miałam szczęścia. Mężczyźni mijali mnie w samochodach i pieszo, niektórzy zerkali z zaciekawieniem, ale żaden mnie nie zatrzymał, a ja oczywiście nie zatrzymywałam ich. Pomysł popełnienia przestępstwa musi wyjść od aresztowanego, nie od przedstawiciela prawa - jeżeli jest odwrotnie, każdy prawnik uzna to za pułapkę.

Dobrze chociaż, że wieczór był bardzo przyjemny.

Z majową pogodą w Minneapolis bywa różnie. Niekiedy atakują nas fale rekordowych upałów, kiedy indziej gwałtowne burze i zimne ulewy, takie, które zaczynają się rano i nasilają po południu, aby czasami przeistoczyć się we wściekłe tornada, siejące zniszczenie głównie za miastem, na farmach i preriach.

Zdarza się także, że w maju w Minnesocie pada śnieg, który naturalnie szybko topnieje, ale jednak straszy zimą.

W tym roku na początku maja mieliśmy dwa dni burz i opadów tak obfitych, że studzienki kanalizacyjne i odpływy kompletnie się zapchały, ale dzisiejszy wieczór był przyjemnym wyjątkiem. Chmury się rozstały, odsłaniając niebo zaciągnięte powłoką zmięzchu, tak czyste, że prawie wypolerowane, lecz o niedawnych ulewach świadczyły mokre jeszcze nawierzchnie ulic i pachnące czystością i wilgocią powietrze.

Przy krawężniku zatrzymał się autobus, zabierając nastolatka na wózku inwalidzkim. Kiedy ponownie włączył się do ruchu, zorientowałam się, że w końcu jednak przyciągnęłam czyjąś uwagę. Po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się średniej wielkości nowy samochód. W myśli szybko sporządziłam opis siedzącego za kierownicą mężczyzny - biały, po trzydziestce, włosy brązowe, przyprószone siwizną na skroniach, kolor oczu z odległości trudny do określenia, bez znaków szczególnych czy blizn na twarzy. Poza tym widziałam tylko ciemny węzeł krawata na tle białej koszuli.

Ale dostrzegłam też coś jeszcze - w jego oczach nie było choćby cienia seksualnego zainteresowania. Ani odrobiny, chociaż przyglądał mi się bardzo uważnie.

Do roboty, może wreszcie uda ci się kogoś aresztować, pomyślałam. Zachęć faceta, żeby podjechał bliżej, i załatw go...

Zrobiłam parę kroków, usiłując wprawnie kołysać biodrami. Odwróciłam się, żeby ponownie nawiązać kontakt wzrokowy, i rzuciłam mu pytające spojrzenie.

Facet włączył się do ruchu i odjechał.

No i co teraz? Chyba się przestraszył, cholera jasna...

Chodziłam jeszcze z pięć minut, zanim po mojej stronie ulicy w końcu zatrzymał się Chevrolet sedan sprzed mniej więcej piętnastu lat, z rejestracją z Arkansas.

Podeszłam do krawężnika i pochyliłam się w talii, nie uginając kolan. Kierowca był biały, z gęstymi, jasnobrązowymi

włosami, opadającymi na czarne prostokątne oprawki okularów, szczupły, choć już z pewnymi zadatkami na brzuszek. Spoczywające na kierownicy duże dłonie usiane były licznymi piegami od słońca.

Z rozczarowaniem spojrzałam na tylne siedzenie. Niedbale złożona mapa tworzyła harmonijkę na płóciennej torbie podróżnej, a o półkę, na której leżała znoszona czapka z logo drużyny Houston Astros, oparta była wędka. Wiedziałam...

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób ten facet, najwyraźniej obcy w naszym mieście, trafił do jednej z najbardziej zagrożonych przestępczością dzielnic, lecz cóż, był tutaj, a ja musiałam udzielić mu wskazówek, jak dotrzeć do celu podróży. Nie udało mi się nikogo przymknąć, panie poruczniku, ale za to pomogłam bezradnemu turyście dojechać do hotelu Days Inn...

Kierowca opuścił szybę po stronie pasażera. Nie spuszczał ze mnie wzroku i chyba chciał coś powiedzieć. Długą chwilę oboje milczeliśmy wyczekująco.

- No, wsiadaj, kotku - odezwał się wreszcie. - Nie daj się prosić...

Nigdy się nie nauczę, co kieruje mężczyznami, choćbym żyła sto lat.

- Zatrzymaj się za rogiem, dobrze? — zaproponowałam, szybko odzyskując równowagę po popełnionym błędzie. - Zaraz porozmawiamy...

Gdybym od razu pojechała gdzieś z przyszłym aresztowanym, naraziłabym się na niebezpieczeństwo, a przede wszystkim złamała zasady.

Sedan zatrzymał się na małym parkingu za rogiem, a ja ruszyłam w jego stronę. Gdy kierowca wyłączył silnik, otworzyłam drzwiczki i usiadłam obok niego.

- Jak ci na imię? - zapytał.

- Sara - odparłam.

- Sara... - powtórzył. - Ja jestem Gareth. Mów mi Gary, większość ludzi tak się do mnie zwraca...

W jego głosie wyraźnie brzmiało piękne Arkansas, co nagle wydało mi się rozbrajające, ale musiałam być twarda.

- Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór, Gary? Nie złapał aluzji.

- Dziś przenocuję tutaj, a jutro pojedę dalej na północ, na ryby.

- Jasne - kiwnęłam głową. - Widziałam wędkę na tylnym siedzeniu...

Uśmiechnął się lekko.

- Sam ją zaprojektowałem - powiedział. - Taką mam pracę. No, można powiedzieć, że robię kilka różnych rzeczy, a to jest jedna z nich. Masz ochotę zapalić?

- Nie, dziękuję.

- A ja zapalę...

Zwykle mężczyźni w tej sytuacji są nerwowi i bardzo im się śpieszy, tymczasem ten zachowywał się tak, jakbyśmy przed chwilą usiedli przy stoliku w restauracji i jeszcze nawet nie zamówili koktajlu. Spokojnie opuścił szybę i z istic lordowską przyjemnością wypuścił kłęb dymu na zewnątrz.

- Ano tak... - rzekł w zamyśleniu. - Słyszałem, że wasze pojezierze to jeden z najlepszych terenów wędkarskich w Ameryce. To prawda?

- Nie wędкую - odparłam.

Czułam się coraz bardziej niepewnie. Nigdy dotąd nie musiałam prowadzić towarzyskiej rozmowy z przyszłym aresztowanym i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nie radzę sobie zbyt dobrze.

- Przyjaciele od dawna zachęcali mnie, żebym się tu wybrał - ciągnął Gary. - Kilka lat temu zmarła moja żona i od tamtej pory nie zrobiłem sobie urlopu...

Rzęsy miał czarne, dużo ciemniejsze niż włosy. Zobaczyłam je, kiedy spuścił wzrok, jakby skrepowany tym wyznaniem. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ciągu tych kilku lat

w ogóle był z kobietą, czy może to właśnie ja miałam być pierwszą. Nagle wyobraziłam sobie, jak za parę dni stoję przed sędzią i wyjaśniam mu, że w świecie pełnym mężczyzn, którzy biją prostytutki, wydają przeznaczone dla dzieci pieniądze na seks i przynoszą do domu choroby weneryczne, którymi następnie zarażają Bogu ducha winne żony, ja, jako przedstawicielka prawa, aresztowałam uprzejmego, owdowiałego projektanta sportowych wędek.

- Gary, zamierzasz zaproponować mi seks, czy nie? - zapytałam, prostując się na fotelu.

Zamrugnął niepewnie, ale miałam wrażenie, że dostrzegłam błysk rozbawienia za grubymi szklami okularów.

- Czy wszyscy mieszkańcy Minnesoty zawsze tak się śpieszą? - zagadnął.

- Nie mam prawa wypowiadać się w imieniu wszystkich, zwłaszcza że sama stosunkowo niedawno przyjechałam tu z Zachodu, ale w moim przypadku na pośpiech wpływa fakt, że jestem detektywem biura szeryfa okręgu Hennepin. Jeżeli więc zamierzasz zaproponować mi seks za pieniądze, będę musiała cię aresztować, a wcale nie mam ochoty tego robić, więc może jeszcze to sobie przemyśl. Co ty na to?

Mało brakowało, aby papieros wypadł mu z ust prosto na kolana.

- Jesteś gliną?

- W dobre dni - otworzyłam drzwi chevroleta i wysiadłam. Nagle odwróciłam się do mężczyzny. - Jeszcze jedno...

Zamierzałam na koniec pouczyć go, aby zostawił w spokoju pracujące dziewczyny z Minneapolis, ale w ostatniej chwili zwróciłam uwagę na coś, co powinnam była zobaczyć wcześniej. Wspominałam już, że dłonie Gary'ego były usiane piegami i złotobrazowe od słońca; był to jednolity, przyjemny kolor, pokrywający całą skórę z wyjątkiem nieco bledszej linii na serdecznym palcu prawej ręki. Owdowiał parę lat temu, lecz linię po obrączce wciąż było wyraźnie widać, co znaczyło, że zdjął ją dopiero niedawno. Pouczające słowa zamarły mi na ustach.

- Nieważne - mruknęłam.

I z tym byśmy się rozstali, gdyby nie zatrzymał mnie głos Gary'ego.

- Saro... Odwróciłam się.

- Uważaj na siebie - powiedział.

Było to nieoczekiwane i bardzo miłe. Skinęłam głową, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

Mniej więcej po pięciu minutach odzyskałam równowagę ducha i nawet odrobinę pewności siebie. Tego wieczoru wymknęło mi się już dwóch facetów, czyli o dwóch za dużo. Dałam sobie uroczyste słowo honoru, że teraz zapuszkuję każdego, który choćby tylko zerknie na mój tyłek.

Następny samochód lśnił szaro-beżowym lakierem. Facet opuścił okno, a ja nachyliłam się, żeby na niego spojrzeć. Był w średnim wieku, szczupły, łysiejący, o rysach południowca, ubrany w świetnie skrojony garnitur.

- Mogę cię gdzieś podwieźć? - zapytał.

- Zatrzymaj się za rogiem, dobrze? - uśmiechnęłam się zachęcająco. - Porozmawiamy...

W przeciwieństwie do Gary'ego ten wcale nie miał ochoty dowiedzieć się, jak mam na imię, ale poinformował mnie, że mogę zwracać się do niego per „Paul”. Wnętrze samochodu pachniało nowością, a nalepka na tablicy rozdzielczej wskazywała, że wóz został wynajęty. Najwyraźniej Paul także nie mieszkał w Minneapolis.

- Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór, Paul? - zagadnęłam.

- Przyszło mi do głowy, że może zawarlibyśmy małą umowę - powiedział. - Lubisz kokę?

Popatrzyłam na niego spod oka. Coraz lepiej, pomyślałam. Nakłanianie do prostytutki plus posiadanie narkotyków...

- A kto nie lubi? - odparłam.

- Więc może za parę linijek zesłabyś do pięćdziesięciu dolarów za numerek, co?

Na świecie jest zdecydowanie za dużo skąpych drani.

- Siedemdziesiąt pięć - rzuciłam.

- W porządku...

Paul najwyraźniej nie palił się do negocjacji.

- I najpierw muszę zobaczyć tę kokę - dodałam.

- Jest tutaj, proszę bardzo - szerokim gestem wskazał leżącą na tylnym siedzeniu teczkę. - Masz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy... gdzie moglibyśmy pojechać?

Nie zwracając uwagi na jego propozycję, uklęknęłam na fotelu i sięgnęłam po wąską teczkę.

- Zamknięta? - spytałam i od razu nacisnęłam zamek kciukiem.

Gdy wieko podskoczyło z głośnym kliknięciem, podniosłam je wyżej. Aż nie chciało się wierzyć, że facet będzie miał tyle problemów z powodu tak malutkiej foliowej torebeczki...

Paul bynajmniej nie okazał zniechęcenia z powodu mojego nieuprzejmego zachowania. Był światowym mężczyzną i wiedział, że drogi garnitur to inwestycja, która z czasem się zwraca, że klasa business w samolotach to zwykłe naciągactwo i że dziwki sprzedające się za siedemdziesiąt pięć dolarów rzadko traktują klientów jak należy. Kiedy zatrzęsnęłam teczkę, Paul powtórzył wcześniejsze pytanie.

- Więc jak? Masz jakieś miejsce, gdzie zabierasz facetów?

- Jasne - powiedziałam pogodnie, wyciągając policyjną odznakę z kieszeni płaszcza.

Wyszłam z pracy po czwartej rano. Zostałam dłużej, ponieważ jednemu z kolegów rozchorowało się dziecko. Nie czułam zmęczenia, tylko potworny głód. Przyszło mi nawet do głowy, że jeżeli zapukam do jakiejś piekarni od podwórka, to może dostanę coś naprawdę świeżego i ciepłego, prosto z pieca.

I właśnie z tą myślą skierowałam się na obrzeża miasta. Kiedy zobaczyłam kobietę, wypełniającą stojak na gazety egzemplarzami „Star Tribune”, zatrzymałam się przy krawężniku. Shiloh zawsze odnawiał prenumeratę „Strib”, aleja zaniedbałam to w czasie jego nieobecności.

Dni gazeciarzy, chłopców na rowerach, zajmujących się dostarczaniem prasy do domów, praktycznie już się skończyły. Kobieta, która rozwoziła gazety w tej dzielnicy małą pół-ciężarówką, miała koło trzydziestki, mizerną, nieumalowaną twarz i krótkie, pierzaste włosy. Jej toyota starlet terkotała cicho po drugiej stronie ulicy. Kobieta obrzuciła mnie czujnym, badawczym spojrzeniem. Na pewno pomyślała, że poproszę ją o darmowy egzemplarz, zanim zamknie stojak.

- Niech pani skończy - powiedziałam. - Chcę kupić gazetę. Włożyła ostatnią tak, żeby pierwsza strona była widoczna

pod plastikową pokrywą, i zamknęła wieko. Podeszłam bliżej, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu dwóch ćwierćdolarówek.

- Czy to dzieciak, czy tylko tak mi się wydaje? - zapytała nagle, zatrzymując wzrok gdzieś w głębi ulicy. - Co on tu robi

o tej porze?

- Jaki dzieciak? - mruknęłam z roztargnieniem, wrzucając monety do pojemnika.

- Wrzeszczy na całe gardło, nie słyszała pani?

Albo miała uszy jak radar, albo dzieci i tę szczególną rzecz, zwaną matczyną intuicją.

- Nic nie słyszę - odparłam.

- Tam... - wskazała palcem.

Spojrzałam. Pusta ulica, latarnie, pozamykane sklepiki.

1 bieżąca sylwetka dziesięcioletniego, może jedenastoletniego chłopca. Dzieciak na ulicy, o czwartej trzydzieści rano.

Wystartowałam w jego kierunku. Biegąc, podniosłam ręce i zdecydowanym gestem kazałam mu się zatrzymać. Był chudy jak szczapa i ciężko dyszał. Miał jasną skórę i czarne włosy,

najprawdopodobniej obcięte domowym sposobem, „pod garnek”. Koszula i spodnie, które miał na sobie, były na niego za duże.

- Co się stało? - zapytałam, kucając przed nim. - Ktoś zrobił ci krzywdę?

Z ust chłopca chlusnął gwałtowny potok słów w języku, który potrafiłam określić jako jeden ze słowiańskich (chyba!). Patrzyliśmy na siebie, sparaliżowani wzajemnym niezrozumieniem. Potem mały odwrócił się i wyciągnął rękę w kierunku, z którego przybiegł.

Małą dzielnicę przemysłowo-mieszkalną przecinał spory kanał. Słyszałam głęboki, rozgłośny szum wody, spływającej tędy do rzeki po ostatnich obfitych opadach. Tam, gdzie kanał znikał pod nawierzchnią ulicy, jego boki obłożono półkolistymi betonowymi nakładkami, które osobie dorosłej sięgały mniej więcej do pachy. Obok, na chodniku, leżały kanciaste metalowe kształty, które z bliska okazały się przewróconymi na bok rowerami. Były tu dwa rowery, ale tylko jeden chłopak...

Mały biegł za mną. Tuż przed betonowym garbem wydrążono w ziemi spory basen o cementowych ścianach, żeby zapobiec wylewaniu się wody na ulicę w czasie ulewnych deszczów. Podczas suszy w basenie na pewno było najwyżej trochę błota i bagnistej trawy, regularnie podlewanej przez płynący środkiem wąski strumyk, ale teraz szalała tam woda, głęboka, spieniona i pełna wirów.

- Ktoś tam wpadł?! - krzyknęłam, dwoma palcami na balustradzie ilustrując znaczenie pytania.

Dzieciak skinął głową i powiedział coś, czego nie zrozumiałam.

Kobieta od gazet pojawiła się po krótkiej chwili.

- Niech pani zadzwoni na dziewięćset jedenaście - przerzuciłam nogę nad metalową poręczą. - Trzeba im powiedzieć, że dzieciak wpadł do kanału. Proszę zabrać stąd chłopca i trochę go uspokoić.

Nie czekając, czy przyjmie do wiadomości moją prośbę, zsunęłam się w dół i uczepliłam najniższej poręczy. Stopy zakołysały się tuż nad wzburzoną powierzchnią wody.

Wszystko to razem, od chwili, gdy chłopak wskazał mi kanał, trwało najwyżej dziewięćdziesiąt sekund - wystarczająco długo, abym wróciła myślami do ostatniej jesieni oraz czternastoletniej Ellie Bernhardt. Wtedy skoczyłam do Missisipi, żeby ją ratować, i zyskałam chwilową sławę w swoim departamencie, między innymi dlatego, że wcale nie byłam świetną pływaczką.

Chciałabym powiedzieć, że wspominając przypadek Ellie Bernhardt, pomyślałam ironicznie: „Dlaczego coś takiego zawsze przydarza się właśnie mnie?”, ale nie byłaby to prawda. Pomyślałam po prostu: „Boże, nie pozwól mi utonąć”, i puściłam poręcz.

Woda była cieplejsza niż fale Missisipi, lecz jednak zimna. Uderzenie o powierzchnię było oczywiście słabsze, chociaż w dole, wokół łydek i stóp, czułam wiry, ciągnące mnie w kierunku odpływu, którego wlot stanowiły usta betonowego garbu.

Zanurkowałam i otworzyłam oczy, ale przed sobą widziałam tylko brunatno-szarą ścianę. Wyciągnęłam przed siebie ręce w kierunku zgodnym z prądem wody - wydawało mi się logiczne, że każda ciężka rzecz, jaka mogła tu się znaleźć, zostałaaby pociągnięta właśnie tam, pod jezdnię, lecz moje palce wciąż natrafiały na pustkę, a płuca zaczynały płonąć żywym ogniem. W takich sytuacjach powietrza nigdy nie starcza na tyle, na ile powinno, poza tym serce galopowało z prędkością stu czterdziestu uderzeń na minutę, co nie ułatwiało mi sprawy. Wybiłam się do góry, na powierzchnię. Chwilę ciężko chwytalam powietrze i właśnie wtedy coś uderzyło o moją stopę.

Zrobiłam wdech i znowu zanurkowałam, macając dookoła rękami. Tym razem natrafiłam dłonią na coś miękkiego, chyba tkaninę. Woda poruszała materiałem, który muskał moje palce. Kiedy złapałam mocno to coś i pociągnęłam, poczułam spory

opór. Nie była to stara koszula, którą ktoś wyrzucił do kanału -w fałdach materiału tkwił człowiek.

Wypłynąć na powierzchnię to jedno, lecz wyciągnąć dziecko było już znacznie trudniej. Chude, drobne ciało nie miało dużej wyporności, chociaż obciążone było przemokniętym ubraniem i butami. Najpierw zobaczyłam mokre czarne włosy, błyszczące, gładko przyklejone do jasnej skóry. Odwróciłam chłopca na plecy, unosząc jego twarz ku wciąż jeszcze ciemnemu niebu.

W podręcznikach dla ratowników wszystko jest proste, pomocnicze rysunki wydają się zrozumiałe i dokładne. Chłopiec i ja stanowiliśmy ilustrację zupełnie odmiennego zjawiska -zwyczajnego, skomplikowanego życia. Próbowałam sprawdzić, czy mały oddycha, czyjego klatka piersiowa podnosi się i opada w pierścieniu mojego ramienia, i teoretycznie powinnam być w stanie to zrobić, ale niestety... Podniosłam głowę, z nadzieją szukając wzrokiem kobiety od gazet. Nie było jej przy barierce. Po obu stronach miałam betonowe ściany, wznoszące się na co najmniej półtora metra nad powierzchnię wody. Nie miałam się czego chwycić. Ciężar chłopca ciągnął mnie w dół, drobiłam nogami w wodzie, szukając oparcia tam, gdzie i tak nie miałam szans go znaleźć.

Wtedy nad poręczą pojawiła się jakaś twarz. Był to obcy człowiek, ale jego widok sprawił, że odetchnęłam z ulgą.

Wyglądał na dwadzieścia trzy, może cztery lata i był Azjata. Miał wyraźne, ostre rysy, myślące oczy i ogoloną prawie na łyso głowę, z krótko przystrzyżoną kępką ciemnych włosów z przodu; komuś mogło się to wydać idiotycznym pomysłem, ale nie mnie. Nie widziałam, czy ma na sobie mundur, czy ubranie cywilne, i wcale nie musiałam tego widzieć. Niektórzy ludzie stają na naszej ścieżce w trudnych sytuacjach i nie ma najmniejszego znaczenia, że ich nie znamy. Zaglądamy im w twarz i natychmiast wiemy, że przybyli na pomoc. Ten młody człowiek był jednym z nich.

- Jak tam sobie radzicie? - zapytał.

- Nie najlepiej... Spokojnie skinął głową.

- W porządku - powiedział, przyglądając się wodzie z takim wyrazem twarzy, jakby przymierzał się do rozwiązania zadania z podręcznika do fizyki. - Spróbuję zepchnąć do wody deskę...

Udało mu się. Kiedy wyciągnęłam chłopaka na deskę, chwilę wpatrywałam się w jego klatkę piersiową i brzuch, oblepione mokrą czerwoną koszulką. Pierś uniosła się, opadła i znowu uniosła. Oddychał. Odetchnęłam z ulgą, a moje ciało, uwolnione od ciężaru chłopca, doznało przyływu świeżej energii.

Gdy znowu znalazłam się na ulicy, zobaczyłam, że nasz zbawca ubrany jest w ciemnoniebieski kombinezon sanitariusza. Jego partner, młodszy i jasnowłosy, zajmował się chłopcem. Azjata spojrział na nich, uznał, że sytuacja została opanowana, i przysiadł na piętach obok mnie.

- Nic mi nie jest - powiedziałam.

- Wiem - pokiwał głową.

I tak siedzieliśmy spokojnie - wysoki, uprzejmy chłopak z postmodernistyczną fryzurą oraz na wpół utopiona policjantka.

- Sara Pribeek - wyciągnęłam do niego rękę. - Z biura szeryfa okręgu Hennepin...

Potrząsnął moją dłońią.

- Nate Shigawa.

- Miło mi cię poznać - rzuciłam.

Gdzieś za jego plecami rozległ się wysoki, głośny krzyk. Kobieta rozwożąca „Star Tribune” wróciła, ale nie sama. Towarzyszył jej chłopiec, który wszczął alarm, starając się ratować brata, i kobieta w taniej kretonowej sukience w kwiatki, z długimi czarnymi włosami pod ciasno zawiązaną chustką. Rozglądała się dookoła, lecz jej wzrok tylko na moment za-

trzymał się na chłopaku, którego puls właśnie sprawdzał drugi pielęgniarz. Szukała czegoś czy kogoś i na jej twarzy malował się lęk, bo widziała tylko karetkę pogotowia, pustą ulicę oraz Shigawę i mnie. Powiedziała coś szybko i głośno, w tym samym języku co wcześniej jej syn.

Kiedy w odpowiedzi wszyscy patrzyliśmy na nią w milczeniu, nie mając pojęcia, o co chodzi, podbiegła do wciąż leżących na ziemi rowerów. Wskazała jeden z nich, potem stojącego obok toyoty chłopca, suchego, całego i zdrowego, następnie odniosła drugi rower i pokazała palcem chłopca na noszach. Wreszcie uderzyła obiema dłońmi w kierownicę roweru, dając nam do zrozumienia, że siedział tam pasażer.

Shigawa i ja spojrzeliśmy na siebie, pojawiający w tej samej chwili, że ta kobieta miała troje dzieci.

Zerwaliśmy się na równe nogi i podeszliśmy do barierki. Na powierzchni wirującej niżej wody nie było widać nic, co przypominałoby rękę, nogę lub choćby fragment ubrania. Minęło za dużo czasu. O wiele za dużo.

- Wchodzę - powiedziałam. - Już tam byłam.

- Nie rób tego - odezwał się partner Shigawy, który przed sekundą do nas dołączył.

Na jego identyfikatorze znajdowało się nazwisko „Schiller”.

- Ktoś musi... - wymamrotałam.

- Za niecałe dwie godziny będzie całkiem jasno i wtedy policja przyśle tu ekipę nurków - ciągnął Schiller. - Takich, którzy przeszli odpowiednie szkolenie...

Było dla mnie jasne, że Schiller jest pielęgniarzem w pogotowiu ratunkowym dopiero od niedawna. Malujący się na jego twarzy twardy wyraz widziałam wiele razy wcześniej na twarzach świeżo upieczonych policjantów, którzy za żadne skarby świata nie chcą dopuścić, aby ktoś się zorientował, że zgorzknienie, cynizm i znudzenie pracą to tylko maska, za którą kryje się brak doświadczenia.

Pokręciłam głową.

- Nie. To nie może czekać.

- Dlaczego? - zapytał z absolutnie szczerym brakiem zrozumienia.

Nie miałam najmniejszej ochoty zanurzać się w tej mętnej, brudnej wodzie, nie chciałam, żeby znowu dostała mi się do uszu i oczu, ale nie miałam wyjścia. Wyobraziłam sobie ciało dziecka, uwięzione na dnie kanału, objijające się o dno, wleczone przez prąd w kierunku jakiejś naturalnej lub stworzonej przez człowieka przeszkody, z szarpanymi przez wodę włosami, obracające się w wirze przez wiele godzin, jak kawał drewna lub metalu. Nie mogłam pozwolić, aby to dziecko zostało tam, porzucone jak śmieć, podczas gdy ja poszłabym się przebrać i zjeść śniadanie. Usiłowałam znaleźć odpowiednie słowa, którymi wyjaśniłabym Schillerowi, o co mi chodzi, ale nie zdołałam. I szybko okazało się, że nie muszę tego robić.

- Skoro nie rozumiesz dlaczego, to ona ci tego nie wytłumaczy - powiedział Shigawa.

Na chwilę zapadła cisza. Schiller przeniósł wzrok ze mnie na Shigawę, wyraźnie rozczarowany jego odstępstwem.

- Nie musisz tak do tego podchodzić, Nate... - mruknął i wrócił do karetki.

Znowu przerzuciłam nogę nad barierką.

- Będę tu - rzekł Shigawa.

- Wiem - odparłam. - Do zobaczenia.

Ostatecznie przeszliśmy przez wszystko, co zwykle wiąże się z telefonem pod numer 911. Na miejsce przyjechał wóz straży pożarnej i samochód policji miejskiej. Ten ostatni przywiózł Roz, pięćdziesięcioletnią policjantkę w stopniu sierżanta, o krótko ostrzyżonych, jasnych włosach, która kiedyś pracowała w ośrodku wychowawczym i podobno miała w domu aż osiem psów. Roz szkolila szczawika Lockharta, który wyglądał jak nastolatka w policyjnym mundurze.

Poza tym na ulicy zebrała się grupka sąsiadów. Może obudził ich hałas, a może i tak zaczęli już dzień, kiedy zjawiała się policja i straż pożarna. Było po piątej i niebo przybrało jasny odcień szafiru.

Ludzie, którzy zwykle gromadzą się na miejscu wypadku, uważani są za spragnionych sensacji i widoku krwi, lecz mnie ich zachowanie nieraz napełniało nadzieją i umacniało w wierze, że zazwyczaj chętnie śpieszymy z pomocą potrzebującym. Jakaś kobieta, widząc moje ociekające wodą ubranie, pośpiesznie przyniosła z domu przeciwrumatyczny podkoszulek z długimi rękawami i spodnie od dresu, należące do jej męża. Przyjęłam ten gest z wdzięcznością i przebrawszy się za wozem strażackim, na chwilę przysiadłam na krawężniku, czerpiąc siłę z suchego ciepła i obcego zapachu ubrań, zanim znowu dołączyłam do uczestników tragedii.

Znalazłam zwłoki tam, gdzie się spodziewałam. Gwałtowny prąd zbudował gniazdo z gałęzi i gałązek tuż przy wlocie kanału pod nawierzchnię ulicy. Na tej barierze zatrzymywały się różne rzeczy, puszek po piwie, skrawki gumowanego płótna oraz plastikowe pierścienie, przytrzymujące sześciopaki piwa. Wśród tego wszystkiego spoczywało delikatne ciało małego chłopca.

- Powinien zbadać cię lekarz - powiedział Shigawa. -Może pojedziesz z nami do szpitala?

- Nie - odparłam. - Nic mi nie jest.

- W takiej wodzie łatwo złapać poważną infekcję. Powinien cię obejrzeć...

- Nie.

Nie znoszę się sprzeczać, ale nie mogłam powiedzieć Shigawie, dlaczego nie chcę jechać do szpitala. Każdy się czegoś boi, a we mnie nic nie budzi takiego przerażenia jak wizyta u lekarza.

- Musimy zabrać detektyw Pribek na komisariat, żeby spisała raport - odezwał się nowy głos. - Do centrum.

Uratowała mnie Roz. Nie znałam jej zbyt dobrze, lecz w tej chwili byłam jej szczerze wdzięczna.

- Tak - przytaknęłam, uśmiechając się do Shigawy. - Muszę pójść po samochód - powiedziałam do Roz. - Jest gdzieś niedaleko. Jeśli go teraz stąd zabiorę, to nie będziecie musieli mnie tu później przywozić...

- W porządku - kiwnęła głową Roz. - Ja pojedę radiowozem, a ty, Lockhart, samochodem razem z detektyw Pribek.

W gruncie rzeczy nie potrzebowałam opieki, ale wyczułam, że przydzielając mi Lockharta, Roz dyskretnie i pocieszająco poklepała mnie po ramieniu, pomagając wrócić do równowagi po niedawnych wydarzeniach. Na komisariacie nie było nikogo, kto mógłby przyjąć mój raport, więc Lockhart zostawił mnie przy wolnym biurku. Tam, ukołysana znajomymi odgłosami policyjnego radia i otulona w rzeczy obcego mężczyzny, oparłam głowę na złożonych ramionach i zasnęłam.

Rozdział 2

Trzej bracia byli Chorwatami. Przyjechali do Ameryki osiem dni wcześniej i razem z rodzicami zamieszkali w zatłoczonym domu ciotki, wuja i kuzynów, rodziny, która przebywała w Minneapolis już od roku. Chłopcy nie przestawili się jeszcze na czas środkowoamerykański i często budzili się, gdy ich ojciec i wuj wstawali o czwartej, żeby zdążyć do pracy w fabryce chipsów, batonów i ciastek.

Bracia od pierwszego wejrzenia zakochali się w rowerach kuzynów i szybko nauczyli się na nich jeździć. Tego ranka, wyspani i spragnieni przygód, podobnie jak większość dzieci w ich wieku, wybrali się na przejażdżkę zaraz po wyjściu ojca,

choć dorośli zabronili im wyprowadzać rowery na ulicę, gdy nie towarzyszył im nikt z dorosłych.

Chłopiec, który siedział na kierownicy, przeleciał przez barierkę, kiedy jego brat stracił równowagę i rozchybił rower. Tenże brat, najstarszy z całej trójki, skoczył za nim do wody. Przeżył, lecz młodszy, drobny i chudziutki, szybko poszedł na dno, wessany przez wir wodny.

W dzień po wypadku oboje rodzice przyjechali na komisariat, żeby mi podziękować. Towarzyszyli im krewni, którzy mówili po angielsku słabo, lecz zrozumiale. Mnie towarzyszyła rzeczniczka naszego wydziału, która czuła się w tej sytuacji równie nieswojo jak ja. Było to spotkanie trudne pod względem językowym i okropnie smutne - w głębi serca żałowałam, że w ogóle do niego doszło.

Ledwo zdążyłam usiąść przy biurku, kiedy obok mnie zatrzymał się porucznik, który właśnie wychodził z biura.

- Detektyw Pribek... - powiedział. - Jak się pani czuje? Pięćdziesięcioletni William Prewitt często zadawał pytania, które brzmiały jak zdania twierdzące.

- Dobrze, dziękuję - odparłam. - A pan?

- U mnie wszystko w porządku - rzekł krótko. - Chyba mam coś dla pani. Taka drobna sprawa.

- Doskonale. O co chodzi?

- Od pewnego czasu docierają do nas niewyraźne pogłoski, że ktoś prowadzi praktykę lekarską bez licencji...

- To chyba sprawa dla Naczelnej Rady Lekarskiej.

- Rzecz nie w tym, że jakiś lekarz zapomniał przesłać wniosek o odnowienie licencji czy coś takiego - oświadczył Prewitt. - Nie jesteśmy pewni, czy ten facet w ogóle jest lekarzem, najprawdopodobniej tylko się za niego podaje. Wygląda też na to, że działa w jednym z komunalnych budynków mieszkalnych.

- Śmiało sobie poczyna... Czy coś już spieprzył? Ktoś trafił przez niego do szpitala?

- Chyba nie. - Prewitt pokręcił głową. - Niewiele wiemy o tej sprawie. Wszystko opiera się na uporczywych pogłoskach, więc możliwe, że w gruncie rzeczy to nic ważnego.

To ostatnie stwierdzenie można było zinterpretować na dwa sposoby. Mogło ono znaczyć: „Ta sprawa to ślepa uliczka, więc zlecam ją najmłodszemu i najmniej doświadczonemu członkowi zespołu, policjantce, która też znalazła się już w cieniu podejrzenia”, albo: „To skomplikowana sprawa, wiemy o niej tyle co nic, więc śledztwo będzie wymagało dużej ostrożności. Pokaż mi, na co cię stać, Pribek”.

- Co mam zrobić? - zapytałam.

- Proszę popytać w dzielnicy, dowiedzieć się, czy pani informatorzy nie wiedzą czegoś o tym niby-lekarzu.

- Jasne. Zajmę się tym.

Prewitt lekko skinął głową i oddalił się. Jego pożegnalny gest wyraźnie mówił: „Do roboty!”.

Otworzyłam najniższą szufladę biurka i wyjęłam wetkniętą głęboko kopertę. Wewnątrz znajdowała się cała kolekcja rozmaitych karteczek z nazwiskami i numerami telefonów moich informatorów. Przetasowałam je, zastanawiając się, od czego zacząć. Prewitt nie powiedział mi nic, z czego by wynikało, że sprawa medyka bez licencji jest pilna, nie wyraził też nadziei, że może uda mi się coś znaleźć. I właśnie z tego powodu miałam ogromną ochotę zająć się tym od razu. Zamierzałam znaleźć tego faceta, i to o wiele szybciej, niż oczekiwał Prewitt. Postanowiłam pokazać mu, na co mnie stać.

Za moimi plecami ktoś cicho odchrząknął.

- Saro?

Przed biurkiem stała Tyesha, jedna z cywilnych pracownic wydziału. Miała metr sześćdziesiąt wzrostu, trzydzieści lat i rozpaczliwie szczupłą sylwetkę, chociaż urodziła już trójkę dzieci. Witaa ludzi w recepcji, odbierała telefony i kierowała ruchem w komisariacie.

- Co jest? - zapytałam.

- Mam tu jakąś młodą kobietę, która chce zgłosić zaginięcie brata - wyjaśniła Tyesha.

- Wypełniła zgłoszenie?

- Mówi, że tak, ale to chyba trochę bardziej skomplikowane. Koniecznie chce z kimś porozmawiać.

- W porządku. Przyślij ją tutaj.

Chwilę później Tyesha wróciła z kobietą jeszcze niższą niż ona, o smukłej, kruchej budowie ciała, ubraną chyba w strój biurowy, złożony z połyskującej bluzki koszulowej z lawendowego jedwabiu, czarnych spodni i płaskich czarnych pantofli. Miała długie jasne włosy, niebieskie oczy i mleczno-białą skórę.

- To jest detektyw Sara Pribek - przedstawiła mnie Tyesha. - A to, Saro, jest...

Przerwała, a ja natychmiast się zorientowałam, że albo zapomniała nazwiska kobiety, albo nie wie, jak je wymówić.

- Przepraszam bardzo... - zwróciła się do gościa.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała młoda kobieta. - Mam na imię Marlinchen.

- Miło mi cię poznać, Marlinchen - kiwnęłam głową. -Usiądź, proszę... Tyesha zostawiła nas same.

- Mogłabyś napisać swoje imię i nazwisko? - poprosiłam. Sięgnęła po bloczek żółtych samoprzylepnych kartek, wyjęła z plecaka długopis i po chwili podała mi kartkę.

Marlinchen Hennessy, przeczytałam. Niżej znajdował się numer telefonu.

- Czy to szwedzkie imię?

- Niemieckie - odparła. - Poprawnie wymawia się je Mar--liin-szen, ale wszyscy używają amerykańskiej wersji -Mar-lyn-czen.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już nieraz wygłaszała to krótkie przemówienie.

- Nazwisko Hennessy jest irlandzkie, oczywiście - ciąg-

nęła. - Wszyscy moi bracia mają celtyckie imiona, mój brat bliźniak nazywa się Aidan - ściszyła głos. - To z jego powodu tu przyjechałam...

- Opowiedz mi, co się stało. Mówiłaś, że wypełniłaś już zgłoszenie zaginięcia, tak?

Marlinchen Hennessy kiwnęła głową.

- Zgłosiłam zaginięcie Aidana w Georgii, bo tam mieszkał przez ostatnie pięć lat. On...

Podniosłam rękę, aby jej przerwać.

- Chwileczkę... Twój brat mieszka w Georgii i tam zaginął, ale chcesz, żeby sprawą zajęło się biuro szeryfa okręgu Hennepin?

Przytaknęła.

- Aidan pochodzi stąd i tu ma rodzinę. Możliwe, że kieruje się do domu, więc pomyślałam, że z tego powodu może to zainteresować policję okręgu Hennepin.

Zmarszczyłam brwi.

- Kieruje się do domu? Krótko mówiąc, sądzisz, że udał się w podróż z własnej woli?

- Tak uważają jego znajomi i policja w Georgii - przyznała Marlinchen.

- Jeżeli to prawda, nie mamy podstaw do wszczęcia śledztwa - powiedziałam. - Osoby pełnoletnie mogą zmieniać miejsce pobytu, nie powiadamiając o tym rodziny.

- Aidan nie ma jeszcze osiemnastu lat - rzekła cicho.

- Mówiłaś przecież, że jesteście bliźniętami!

- Mam siedemnaście lat.

Pozostawało mi żywić nadzieję, że zaskoczenie nie odmalowało się na mojej twarzy. Byłam pewna, że dziewczyna ma dwadzieścia lat, może nawet więcej.

- No, dobrze... - odezwałam się po chwili namysłu. - To zmienia obraz rzeczy. Jakie kroki podjęli wasi rodzice?

- Moja matka nie żyje - powiedziała Marlinchen.

- Przykro mi...

Minęło parę sekund. Milczaliśmy.

- Od dawna? - zapytałam, zanim zdążyła się odezwać.

- Umarła dziesięć lat temu.

- Przykro mi... - Dopiero poniewczasie zdałam sobie sprawę, że już to mówiłam.

- Mój ojciec to Hugh Hennessy, ten pisarz - podjęła, szukając wzrokiem błysku rozpoznania na mojej twarzy. - Autor *Kanału* - podsunęła.

- Tytuł brzmi znajomo - zauważyłam. - Ale wróćmy do tematu. Gdzie jest teraz twój ojciec?

- Dlaczego pytasz?

- Bo zastanawiam się, dlaczego wysłał na policję siedemnastoletnią córkę, zamiast zjawić się tu osobiście...

- Ojciec nie wie o zniknięciu Aidana - powiedziała szybko. - Wyjechał na północ, do domku nad jeziorem Tait. To kompletne odludzie, nie ma tam nawet telefonu.

W jej oczach pojawił się dziwny błysk. Może było to przerażenie, chociaż nie rozumiałam, co mogło spowodować jej lęk.

- Tata jeździ tam, żeby pisać - ciągnęła. - Kiedy praca nie idzie mu zbyt dobrze, potrzebuje spokoju, ciszy i samotności, ale zaczął tam wyjeżdżać dopiero wtedy, gdy byłam wystarczająco dojrzała, żeby zająć się trzema młodszymi braćmi. Tata jest bardzo odpowiedzialny.

Wyraźnie broniła wychowawczych metod ojca, tylko dlaczego? Spróbowałam naprowadzić ją na kluczowy temat.

- Ale chyba jest tam ktoś, kto może do niego dotrzeć, prawda? - zapytałam. - Sąsiad, przedstawiciel miejscowej straży czy ktoś taki... Chcę tylko powiedzieć, że ojciec Aidana powinien dowiedzieć się o jego zaginięciu.

Moja uwaga bynajmniej nie wpłynęła na nią uspokajająco.

- Nie rozumiem, po co cały ten nacisk na osobę mojego ojca! - podniosła głos. - Tata nie jest policjantem i na pewno nie odnajdzie Aidana. To zadanie dla policji, która nic w tej sprawie nie robi, o ile mi wiadomo!

Postukałam końcem ołówka o krawędź biurka.

- Jeżeli podobną chęć współpracy okazałaś policji w Georgii, to trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób mogli ci pomóc - powiedziałam.

- Niepotrzebnie tu przyszłam. - Marlinchen zerwała się z krzesła.

- Poczekaj... - zaczęłam łagodząco, lecz ona już prawie biegła do wyjścia.

Wszyscy pracujący po sąsiedzku przerwali zajęcia, aby zobaczyć, co się dzieje.

- Poczekaj! - powtórzyłam głośniejszym głosem i podniosłam się z za biurka.

Ale jej już nie było.

- Ucieka z przesłuchania! Ucieka z przesłuchania! - zawołał jeden z młodszych policjantów, naśladując szeroki minnesotański akcent, którym mówiła Frances McDormand w filmie *Fargo* braci Cohenów.

Inni roześmiali się, wyraźnie rozbawieni.

- Dzięki... - mruknęłam. - Jeżeli występ wam się podobał, to nie zapomnijcie wrzucić parę centów do kapelusika mojej tresowanej małpy...

Starając się, żeby ten spektakularny sukces nie uderzył mi do głowy, pojechałam do południowej części Minneapolis porozmawiać z pierwszą informatorką o pseudolekarzu, którego sprawę zlecił mi Prewitt.

Kiedy Shiloh został przyjęty do Akademii FBI i rzucił pracę w policji miejskiej, przeprowadził coś w rodzaju wyprzedaży informacji i kontaktów, z których korzystał, i przekazał mi sporo użytecznych telefonów, od agencji państwowych po informatorów najniższego szczebla. Znalazły się wśród nich także namiary na Lydię Neely, którą poznał w początkach swojej kariery w wydziale antynarkotykowym. Lydia została aresztowana na granicy okręgu za przewożenie w bagażniku samo-

chodu dużej ilości kolumbijskiej marihuany. Przy aresztowaniu obecnych było kilku policjantów, jak zwykle w podobnych sprawach, ale tylko Shiloh zainteresował się sytuacją Lydii. Właśnie on dowiedział się, że było to jej pierwsze aresztowanie, popełniła przestępstwo dla swojego chłopaka, który wyznawał teorię, że agenci brygad antynarkotykowych znacznie rzadziej zatrzymują kobiety niż mężczyzn. I gdyby ktoś nie doniósł, że Lydia wiezie marihuanę, teoria jej chłopaka znalazłaby potwierdzenie w praktyce.

Shiloh, w typowy dla siebie sposób zainteresowany losem nieszczęśliwych i pokrzywdzonych, wstawił się za Lydią, dzięki czemu dziewczyna uniknęła wyroku skazującego. Odpracowała sporo godzin społecznie i dostała kuratora, ale nie trafiła za kratki. Została także informatorką Shiloha, a po jego odejściu z policji ja odziedziczyłam ten kontakt.

Nie widziałam Lydii od dłuższego czasu, głównie dlatego, że w zasadzie przestała być użyteczną informatorką. Znalazła dobrą pracę w salonie fryzjerskim w południowej części miasta oraz nowego i znacznie porządniejszego chłopaka, który ostatnio został jej mężem. Taka rehabilitacja była celem interwencji Shiloha, ale oczywiście jej bezpośrednim rezultatem było zerwanie przez Lydię kontaktów ze światem przestępczym, a to znaczyło, że nie docierały już do niej interesujące nas informacje. Opinia publiczna nie chce przyjąć do wiadomości prawdy, że przyzwoici obywatele najczęściej nie nadają się na dobrych informatorów, a dobrzy informatorzy są po prostu niezbędni w pracy policji.

Tak czy inaczej, musiałam od czegoś zacząć poszukiwanie doktora bez licencji, a Lydia nadal czasami miała do czynienia z interesującymi ludźmi.

Wykonywała taki rodzaj pracy, że mogłam spokojnie wstąpić do niej, nie budząc niczyich podejrzeń, i zamienić z nią parę słów. Z oczywistych powodów zawsze ukrywałam swój zawód, kontaktując się z informatorami, a nie było przecież nic

dziwnego w tym, że kobieta wchodzi do salonu fryzjerskiego. Co więcej, Lydia pracowała na tyłach salonu, w wąskiej salce zastawionej umywalkami, która teraz była prawie pusta.

- Cześć, detektyw Pribek! - przywitała mnie.

Twardy plastik zagrzechotał o metal umywalki, kiedy płukała wałki ciepłą wodą, rozgarniając je brązowymi dłońmi.

- Saro - poprawiłam ją.

- Napijesz się kawy? - zapytała.

- Nie, dziękuję.

Jej uprzejmość trochę mnie krepowała, bo nigdy nie nawiązałam z nią osobistego, serdecznego kontaktu; od początku miałam wrażenie, że Lydia toleruje mnie ze względu na sympatię, jaką darzyła Shiloha.

- Nie zajmę ci dużo czasu - dodałam. - Chcę się tylko dowiedzieć, czy może słyszałaś coś o pewnym człowieku.

Kiedy wyjaśniłam jej, o co chodzi, oczy jej błysnęły.

- Wiesz, o kim mówię? - ponagliłam ją.

- Nie z nazwiska. Ludzie szepczą o tym facecie, to wszystko.

- Co szepczą? - zapytałam. - To lekarz, bezrobotny weterynarz, czy kto?

Potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale właściwie nic nie wiem. Wydaje mi się, że Ghislaine go zna.

- Och, Ghislaine... - zdziwiłam się. - Nie miałam pojęcia, że ją znasz...

Ghislaine Morris także była informatorką Shiloha. Dał mi jej numer, lecz nie miałam potrzeby się z nią kontaktować.

- Kiedyś mieszkaliśmy razem - wyznała Lydia. - Jeszcze przed moim aresztowaniem.

- W porządku - powiedziałam. - Pogadam z Ghislaine. Lydia wsunęła przezroczyste plastikowe pudło z wałkami

na półkę szafy, gdzie stały wielkie butle z szamponem, i zamknęła drzwiczki. Stałam już w progu, ale jeszcze nie wychodziłam.

- Jak tam życie małżeńskie? - zapytałam.

- Świetnie.

- Odpowiada ci? - ledwo to powiedziałam, a już uświadomiłam sobie, że przecież przed chwilą pytałam o to samo.

- Jak najbardziej.

- Cieszę się. Cóż, nie będę ci dłużej zawracać głowy... Odwróciłam się, kiedy się odezwała.

- Detektyw Pribek... - w jej głosie brzmiała nuta wahania.

- Tak?

- Zauważyłam... Nie chcę się wtrącać, ale... Zauważyłam, że nie nosisz już obrączki...

- Och... - mruknęłam, dotykając serdecznego palca. - Mam robotę na ulicy i nie mogę jej wykonywać z obrączką na palcu...

Nie wyjaśniłam, że udaję prostytutkę, ale Lydia chyba zrozumiała, o co chodzi. Niewykluczone, że wyczuła także coś więcej.

- Z Shilohem wszystko w porządku, prawda? - zapytała. Czy przeglądała gazety? Czy wiedziała o Blue Earth? W jej ciemnych oczach nie dostrzegłam odpowiedzi.

- Kiedy go zobaczę, powiem mu, że pytałaś o niego - uśmiechnęłam się lekko, ignorując jej pytanie.

Kiedy go zobaczę... Nie byłam w Wisconsin od czasu widzenia, niedługo po tym, jak Shiloh zaczął odsiadkę. Dzielilo nas coś więcej niż tylko odległość w kategoriach geograficznych. Między nami leżało miasteczko Blue Earth, moja wyprawa na Zachód, spotkanie z jego najbliższą rodziną, krótko mówiąc - rzeczy, o których zbyt trudno i boleśnie było rozmawiać. Nawet w najlepszym okresie Shiloh bywał denerwująco milczący, a ja także niezbyt dobrze radziłam sobie z wyrażaniem uczuć słowami. Najwyraźniej w pewien sposób naturalne i nieuniknione było to, że w trudnych chwilach wróciliśmy do dawnych zachowań - zamikliśmy na dobre.

Rozdział 3

Tej nocy nad Hennepin przeszła niewielka burza, która nad ranem oddaliła się w kierunku Wisconsin. Przespałam grzmoty, ale obudziłam się tuż przed świtem. Jak zwykle najpierw dopadło mnie uczucie kompletnej dezorientacji (Gdzie jest Shiloh?) i minęła dłuższa chwila, nim poukładałam sobie wszystko w głowie. Nagle dotarło do mnie, że słyszę natarczywy dzwonek telefonu.

- Halo... - odezwałam się zachrypniętym głosem.

- To ja.

- Gen? Co się dzieje, do cholery? - odchrząknęłam, w tej chwili bynajmniej nie zachwycona, że przyjaciółka do mnie dzwoni. - Jest piąta...

- Wiem, która godzina jest w Minneapolis. To ważne. Nuta niepokoju w jej głosie natychmiast mnie otrzeźwiła.

- Co jest? - zapytałam krótko.

- Nie muszę ci mówić, że to ostatnia rzecz, jakiej bym chciała...

- Po prostu powiedz, co się stało.

- Mam podstawy sądzić, że prowadzą przeciwko tobie dochodzenie w sprawie śmierci Royce'a Stewarta - westchnęła Gen.

Poczułam ulgę.

- Och, o to chodzi... Wiem o tym, ale nie masz się czym martwić, bo sprawa utknęła w martwym punkcie. Odkąd przesłuchali mnie sześć miesięcy temu, w Minneapolis nie pojawił się nikt z Blue Earth.

- Sześć miesięcy temu?! - dzieliło nas parę tysięcy kilometrów, nie mogłam jednak nie usłyszeć niedowierzania w jej głosie. - Wiesz o tym od pół roku i nic mi nie powiedziałaś?!

- Nie wściekaj się, ale dowiedziałam się jeszcze przed twoim wyjazdem do Francji. Dostałam cynk, ale nie pisnęłam

ani słowa, bo wiedziałam, że zareagujesz tak jak teraz. Nie przesadzaj, Gen, bardzo cię proszę...

- Kto dał ci cynk? - Zaciekawienie na moment przytłumiło niepokój.

- Christian Kilander. On zawsze wszystko wie, znasz go przecież...

- Czy ostatnio wspominał ci coś o tej sprawie?

- Ostatnio, czyli kiedy?

- Jakiś facet zgłosił się do Deb i Douga i zadawał im rozmaite pytania.

Deb mówi, że rozmawiali z nim wczoraj.

- Wczoraj? - Usiadłam gwałtownie na łóżku, zrzucając koc na podłogę.

Debora, siostra Gen, oraz jej mąż Doug mieli farmę w Mankato i Gen zamieszkała z nimi zaraz po tragicznej śmierci córki. Właśnie do domu Deb i Douga wróciłyśmy późną nocą po śmierci Stewarta. Nie ulegało wątpliwości, że dochodzeniówka mogła być zainteresowana ich zeznaniami.

- Pytałam Deb, jak się nazywał, ale nie mogła sobie przypomnieć... - Gen przerwała, czekając na moją reakcję. - Jesteś tam?

- Jestem. Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. Nie mogą oskarżyć mnie o zamordowanie Stewarta, bo przecież ja go nie zabiłam.

- To błędna logika, dobrze o tym wiesz.

- Poradzę sobie z tym - powiedziałam. - Obiecuj mi tylko, że nie będziesz się zamartwiać.

- Nie mogę ci tego obiecać. To wszystko jest...

- Gen, nie mam zamiaru dłużej o tym rozmawiać.

Cisza po drugiej stronie zamaskowała gwałtowne westchnienie albo jakieś ostre słowo, lecz Gen w końcu się poddała.

- Masz chrypkę - oświadczyła. - Nie przeziębiałaś się chyba, co?

- Ja nigdy nie choruję. Pewnie jestem zachrypnięta, bo dopiero się obudziłam... Och, zaraz, chwileczkę...

Nagle przypomniałam sobie, jak poprzedniego dnia dygotałam w mokrych ciuchach na porannym chłodzie.

- Co takiego? - ponagliła mnie.

Opowiedziałam jej o chłopcach i kanale. Kiedy skończyłam, Gen parsknęła cichym śmiechem.

- Co z tobą? Zachowujesz się jak pies, zawsze idziesz za impulsem ratowania ludzi i skaczesz na główkę...

Uśmiechnęłam się, bo znowu mówiła jak starsza siostra i nauczycielka, którą była dla mnie w czasach naszej wspólnej pracy. Ucieszyłam się i od razu weszłam w swoją rolę.

- Nieprawda, nie na główkę! - zaprotestowałam. - Skoczyłam na nogi.

- Spróbuj jeszcze zasnąć - powiedziała łagodnie. - I zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała wolny dzień.

- Zadzwonię - obiecałam.

Tego wieczoru byłam wyjątkowo przekonującą prostytutką. Błada i mizerna, z bolącym gardłem, snułam się wzdłuż krawężnika, w pełni świadoma, że Gen miała rację - rzeczywiście złapałam jakąś infekcję. Okazało się jednak, że mój marny wygląd i nastrój podziałały na mężczyzn jak afrodyzjak. Gdybym nie zrobiła sobie półgodzinnej przerwy na wcześniej umówione spotkanie z Ghislaine Morris, z całą pewnością pobiliabym własny rekord aresztowań.

W drodze na spotkanie usiłowałam przypomnieć sobie, co Shiloh mówił mi o Ghislaine. Pamiętałam, że zawahał się, zanim dał mi jej numer telefonu.

- Nie rozmawiałem z nią od dość dawna - powiedział, grzebiąc w tekturowym pudełku z wizytówkami i opierając długie nogi na blacie niskiego stolika do kawy.

- Dlaczego? - zapytałam. - Nie ma z niej pożytku?

- Nie, nie o to chodzi... Gish jest jak gąbka, wszystko wchłania. I wszystko słyszy.

- Więc w czym rzecz?

Lekko wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem... Jest w niej coś, co mnie niepokoi, choć nie mam pojęcia, co to takiego.

Próbowałam wydusić z niego szczegóły, ale mi się nie udało. Kiedy Shiloh nie chce o czymś mówić, nic i nikt nie jest w stanie go do tego zmusić.

Ostatecznie jakiś miesiąc czy dwa później spotkałam się z Ghislaine osobiście. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale raczej nie osoby, którą zobaczyłam.

Ghislaine Morris była dwudziestodwuletnią kobietą, ani szczupłą, ani otyłą. Miała ładniutką, otwartą twarz i pełne, krągłe biodra, jasne włosy ostrzyżone na chłopaka oraz brązowe oczy, szczerze i przyjazne. Pchała przed sobą spacerówkę, w której siedziało sześciomiesięczne dziecko. Chłopiec miał ciemnobrązowe loczki, skórę koloru cynamonu i wielkie oczy, które obserwowały świat uważnie i badawczo, zupełnie jak dwie kamery.

Przy niezbyt drogim obiedzie Ghislaine opowiedziała mi o trudnym losie samotnej matki, o ojcu Shadricka, który „zniknął z naszego życia”, oraz o swoich mieszkających w Dearborn w stanie Michigan rodzicach, którzy wyrzucili ją z domu, gdy dowiedzieli się, że zaszła w ciążę z czarnoskórym mężczyzną, co skłoniło ją do przyjazdu do Minnesoty i zakotwiczenia się u przyjaciółki. Ghislaine miała na sumieniu aresztowanie za kradzież w sklepie, ale dostała tylko niewielki wyrok w zawieszeniu. Powiedziała mi, że chce jak najszybciej wrócić do szkoły.

Po tym spotkaniu zupełnie nie wiedziałam, co myśleć. Nie miałam zielonego pojęcia, co takiego nie spodobało się Shilo-howi w tej młodej, dość przeciętnej dziewczynie. Shiloh, syn kaznodziei, miał skłonność do osądzania ludzi, u których dostrzegł jakąś wadę. Może nie zdołał zapanować nad purytańską dezaprobatą dla nieślubnego macierzyństwa w tak młodym wieku, kto wie... Mnie gadatliwość Ghislaine wydała się za-

bawna i sympatyczna, a jej miłość do syna wzruszająca. Może trochę za mocno podkreślała swoje ambicje, chęć ponownego podjęcia nauki i „dojścia do czegoś”, ale niby dlaczego miałabym ją za to potępiać.

Tego wieczoru trochę spóźniła się na spotkanie w niewielkim barze. Zamówiłam kubek ziołowej herbaty i wsunęłam do ust eukaliptusową pastylkę na kaszel. Moje gardło dziwnie sztywniało przy przełykaniu.

- O, cholera! - powiedziała Ghislaine, kiedy w końcu usiadła przy stoliku, a Shadricka w spacerówce postawiła obok. - W ogóle cię nie poznałam! - przyjrzała mi się rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. - Więc to tak wyglądasz, kiedy pracujesz w przebraniu...

Umawiając się z nią, ostrzegłam, że pracuję na ulicy.

- Po prostu aresztuję facetów za nakłanianie do prostytucji - wzruszyłam ramionami. - To nie jest jakaś skomplikowana tajna operacja...

- Niezły numer! - Ghislaine rzuciła mi ostatnie pełne podziwu spojrzenie i otworzyła menu.

Kelnerka podeszła do nas cicho w klapkach na grubych korkowych podszwach i postawiła przede mną kubek z herbatą.

- Chce pani coś zamówić, skarbie? - zwróciła się do Ghislaine.

- Poproszę cheeseburgera z karbowanymi frytkami i koktajl truskawkowy - powiedziała Ghislaine, składając kartę i podając ją kelnerce.

- Mamy wysokie krzeselka, jeżeli chciałaby pani posadzić dziecko przy stole - uśmiechnęła się kobieta.

- Nie, dziękuję.

- Przystojny malec.

- Tak jest! - Ghislaine radośnie pokiwała głową.

Shadrick zapiszczał pogodnie i zaskakująco głośno, zupełnie jakby wiedział, że to o nim mowa. Ghislaine pochyliła się i ujęła jego małą buzię między dłonie.

- Tak, tak, masz już swój fan club, prawda? - zaśmiała się. Kelnerka zniknęła w kuchni. Odchrząknęłam, Ghislaine wyprostowała się i spojrzała na mnie.

- Co to za sprawa? - zapytała, przechodząc do rzeczy.

- Mówiłam ci, że potrzebna mi jest pewna informacja.

- Tak? - zainteresowała się Ghislaine. - Ile? Chciała wiedzieć, ile może zarobić na tej informacji.

- Najpierw chcę sprawdzić, czy coś o tym wiesz. Dotarły do nas plotki o facecie, który prowadzi praktykę lekarską bez licencji gdzieś w prywatnym mieszkaniu, najprawdopodobniej w jednym z tych komunalnych bloków.

Ghislaine skrzywiła się lekko.

- A, o nim... - rzuciła. - To Cisco.

Strzał w dziesiątkę. Nie było to szczególnie trudne, pomyślałam. Wystarczyło, że porozmawiałam z dwiema informator-kami.

- Co za Cisco?

- Nazwiska nie pamiętam.

- Widziałas go?

Kelnerka znowu zjawiała się przy stole, tym razem z cheeseburgerem, frytkami, wysoką szklanką truskawkowego koktajlu i metalowym kubkiem z dolewką. Z talerza spadła na podłogę karbowana frytka.

- Coś jeszcze? - zagadnęła.

- Nie, dziękujemy - odpowiedziałam za nas obie. Kelnerka odeszła.

- Byłaś u niego? - podjęłam. - I co, zbadał cię? Ghislaine podniosła frytkę z podłogi i podała ją Shadrickowi.

- Tak - odparła. - Złapałam przeziębienie i nie mogłam się go pozbyć. Ciągłe grzechotało mi w piersiach przy oddychaniu, jakbym miała zapalenie oskrzeli czy coś takiego.

- Dlaczego nie poszłaś do normalnego lekarza? - zaciekawiałam się.

Wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że jest dobry - powiedziała.

Słyszałam, że jest dobry... Coś takiego ludzie mówią zwykle o chirurgu, którego ktoś im polecił, nie o facecie, który nielegalnie udziela medycznych porad. Przemilczałam jej uwagę.

- Pomógł ci?

- Nie wiem. Niedługo potem wróciłam do formy, ale nie poszłabym do niego drugi raz.

- Dlaczego? Robił wrażenie niekompetentnego? Potrząsnęła głową.

- Więc co, zachowywał się nieodpowiednio, przystawiał do ciebie?

Znowu wzruszyła ramionami. Nie wydało mi się to szczególnie pomocne.

- Nie wiem, po prostu mi się nie podobał - powiedziała w końcu.

- Dlaczego? - naciskałam.

- Nie podobał mi się i już. Zamkniecie go? - Ghislaine przytknęła różowe wargi do rurki.

- Jeżeli rzeczywiście robi to, co mówią ludzie, to tak, zamkniemy go - pokiwałam głową. - Gdzie mieszka?

- Wiesz, gdzie są wieżowce, prawda? - Mówiła o głównym komunalnym projekcie budowlanym w południowej części Minneapolis, a konkretnie o dwóch wysokich blokach mieszkalnych, które już tam stały.

- Jasne. Numer mieszkania?

- Nie pamiętam, ale to najwyższe piętro. Wsiądziesz z windy i zapukasz do drugich drzwi po tej samej stronie korytarza.

- Najwyższe piętro którego budynku?

- Tego, który jest bliżej ulicy.

- Na pewno? Kiwnęła głową.

- Nie trzeba wcześniej zadzwonić? - zapytałam.

- Nie. - Pociągnęła spory łyk koktajlu. - Facet siedzi w domu przez cały dzień. Chyba ma agorafobię czy coś w tym rodzaju, bo nigdzie się nie rusza.

- Dzięki - położyłam na stole kilka banknotów. - To powinno pokryć koszt rachunku i twojej pomocy.

Rozdział 4

Możliwe, że żądza nigdy nie zasypia, ale niedzielna noc na ogół nie obfituje w aresztowania. Mój wydział nie chciał marnować czasu i potencjału swojej pracownicy, dzięki czemu mogłam zająć się sprawą Cisca. Miałam nawet doskonały pretekst do złożenia mu wizyty, ponieważ moje przeziębienie znajdowało się w stanie pełnego rozkwitu. Kasłałam niemal bez przerwy, rzeziłam i pociągałam nosem.

Trochę niepokoiła mnie myśl, czy przypadkiem Cisco, spojrzawszy na mnie, nie zorientuje się, że ma przed sobą... No, może nie policjantkę, ale kobietę z klasy średniej, która wcale nie musi szukać porady lekarskiej w nielegalnym gabinecie w domu komunalnym, na dodatek w środku nocy. Jego klientela najprawdopodobniej składała się z ludzi o niewielkich dochodach i ograniczonym spektrum wyboru, jeśli chodzi o opiekę medyczną, czyli ubogich i nieubezpieczonych, nielegalnych imigrantów, a może nawet przestępców.

I ulicznych dziwek?

Kierując się tą ostatnią myślą, w niedzielny późny wieczór przebrałam się w swoje tajniackie ciuchy - tym razem w błyszczący, różowy top bez rękawów i obcisłe czarne spodnie do połowy łydki. Umalowałam się i uważnie spojrzałam w lustro. Zobaczyłam nienaturalnie bladą twarz, podkreślone czarną kreską oczy i poczułam, jak po plecach przebiega mi dreszcz niepokoju.

W akademii policyjnej moja grupa miała zajęcia z weteranem oddziałów specjalnych, który mówił nam o związonym z pracą zdenerwowaniu. Kiedy czujecie strach, spróbujcie określić jego źródło, powiedział pewnego dnia. Czasami jest nim coś zupełnie innego, niż wam się wydaje, często zdarza się też, że określenie przyczyny lęku pozwala się go skutecznie pozbyć.

Czy bałam się spotkania z Ciskiem dlatego, że prawdopodobnie był on lekarzem?

Moja medyczna fobia miała dość szczególne oblicze. Nie bałam się pielęgniarek i pielęgniarzy, i chętnie oddawałam krew w czasie corocznych akcji, w niekojarzącej się z gabinetem lekarskim scenerii, ale z całego serca nienawidziłam wizyt u lekarza. Nienawidziłam bezsilności oczekiwania za zamkniętymi drzwiami, błysku elektrycznego światła na metalowych instrumentach i koszmarnych anatomicznych plakatów na ścianach. Mogłam też z dokładnością co do sekundy określić najgorszy moment wizyty - kiedy klamka w drzwiach gabinetu zaczyna się poruszać.

Ale przecież mieszkanie Cisca nie było takim miejscem. Według Prewitta, Cisco najpewniej w ogóle nie był lekarzem. W naszych oczach był tylko i wyłącznie podejrzanym.

Czyżby właśnie to budziło mój lęk? Szłam tam, udając kogoś innego, co samo w sobie zawsze jest potencjalnie niebezpieczne.

Kiwnęłam głową, jakby naprzeciwno mnie stał ktoś, z kim mogłabym podzielić się swoimi przemyśleniami. Udało mi się zlokalizować źródło zdenerwowania - bałam się nieznanego Cisca, bałam się znaleźć z nim sam na sam w jego mieszkaniu. Może powinnam poprosić o jakieś wsparcie.

Prewitt polecił ci tylko sprawdzić tego faceta, upomniałam samą siebie. Nie musisz nawet podawać zmyślonego nazwiska. Pójdiesz tam i zobaczysz, jak to wygląda, nic więcej. I do tego potrzebne ci wsparcie?

Musiałam wykonać zadanie, to wszystko. Niezależnie od tego, kim Cisco był naprawdę - może kiepskim studentem, którego wyrzucono z akademii medycznej, a może aktorem, który nauczył się odpowiednich sztuczek, bo kiedyś pracował w szpitalu albo przychodni - nie ulegało wątpliwości, że nabiera sporo ludzi i buduje sobie klientelę, wyciągając pieniądze od ubogich i niewykształconych w chwilach, gdy są najbardziej bezradni. I jeżeli nawet do tej pory nie zrobił nikomu krzywdy, nie spowodował czyjegoś kalectwa lub nawet śmierci, to i tak była to tylko kwestia czasu. Należało zdjąć tego gościa z boiska i Prewitt okazał mi zaufanie, pozwalając, abym rozpoczęła akcję. Po prostu nie mogłam wrócić teraz do porucznika i powiedzieć mu, że muszę mieć wsparcie podczas spotkania z podejrzanym uzbrojonym jedynie w stetoskop.

Winda w północnym wieżowcu zjeżdżała bardzo długo. Nad drzwiami nie było panelu z podświetlanymi cyframi, na którym można by śledzić jej drogę, więc oparłam się o ścianę i pogwizdywałam cicho. Może to zabawne, ale gliniarzom już na początku szkolenia mówi się, że gwizdanie jest jedną z metod pozwalających na rozładowanie stresu.

W końcu rozległo się słabiutkie „ping!”, lecz poza tym nic się nie działo. Dopiero po długiej chwili drzwi się rozsunęły. Weszłam do kabiny i przycisnęłam guzik z numerem 26. Drzwi zamknęły się i znowu nic. Cisza i bezruch.

Jeszcze raz przycisnęłam guzik. Kabina zadygotała i ruszyła w górę. Gdzieś znad dachu windy dobiegały dziwne jękliwe dźwięki, podszyte skrzypieniem kabli: zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt... Wewnątrz kabiny umieszczono panel z numerami pięter, widziałam więc, że numer dwa świeci się podejrzenie długo, potem trzy, wcale nie krócej, cztery, pięć, sześć...

Gdybym wiedziała, że będzie to trwało w nieskończoność, wzięłabym coś do czytania, pomyślałam. To wewnętrzne na-

rzekanie było manifestacją brawury, niczym więcej. W pracy codziennie korzystałam z wind, ale ta irytowała mnie w szczególny sposób.

Na najwyższym piętrze kabina znowu zadygotała i stanęła. I nic, drzwi nawet nie drgnęły.

- No j už, j už... - ponagliłam cicho.

Marne działanie windy wydało mi się nagle złym znakiem, który rzucał cień na dalszą część akcji.

Wreszcie winda się otworzyła i wyszłam na korytarz. Rozejrzałam się, podeszłam do drugiego mieszkania i zapukałam.

A jeżeli Ghislaine źle zapamiętała, gdzie mieszka Cisco? -pomyślałam zaniepokojona.

Drzwi się uchyliły. Przez szczelinę szerokości paru centymetrów i długości zabezpieczającego łańcucha zobaczyłam fragment męskiej twarzy, tyle że kilkadziesiąt centymetrów niżej, niż się spodziewałam. Kiedy pojęłam przyczynę tego zjawiska, nagle zabrakło mi słów.

- W czym mogę pomóc? - odezwał się mężczyzna.

- Czy pan... - zakasłałam, odkrztuszając flegmę. - Czy pan nazywa się Cisco? Dostałam pana adres od Ghislaine Morris. Nie czuję się zbyt dobrze.

Cisco zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Łańcuch zachrobotał i drzwi otworzyły się szeroko. Cisco cofnął wózek, żeby zrobić dla mnie miejsce.

Trudno było mi dokładnie ocenić ile ma wzrostu, był szczupły, ubrany w ciemnoszarą bluzę, spod której wystawał kawałek białego T-shirtu. Ta sama biała koszulka wysuwała się spod grafitowej bluzy na linii bioder, nad granatowymi płóciennymi spodniami. Stopy miał bose. Jego twarz była szczupła, czarne włosy sięgały ramion i wydawały się wystrzępione na końcach.

Z całą pewnością nie ukrywał, czym się zajmuje. Za jego plecami ujrzałam niskie półki, pełne książek i czasopism medycznych oraz anatomicznych. Na ścianie wisiał oprawiony

w ramki dyplom, a w miejscu, gdzie większość ludzi ustawiłaby sofę, stał długi stół, przykryty ligninowym prześcieradłem. Wyglądał dokładnie tak jak kozetka do badania w gabinecie lekarskim, ale był niższy, jako że Cisco patrzył na świat z innego poziomu. Nad stołem zwisała podłużna lampa, tuż obok jednego jego końca stała niska szafka, a za nią szafa biurowa z dwiema szufladami.

- Co ci dolega? - zapytał Cisco.

- Paskudne przeziębienie - odparłam. - Albo grypa...

- Mmmm... - mruknął wieloznacznie.

- Ile kosztuje wizyta? - odchrząknęłam.

- Zostawmy to na razie - powiedział. - Większość przeziębień kończy się w ciągu tygodnia, nawet bez leczenia. Nie bardzo wiem, dlaczego szukasz porady medycznej.

Całkiem możliwe, że facet nosił w sobie najbardziej wrażliwy wykrywacz gliniarzy, z jakim się spotkałam, ale mimo wszystko trudno było się go bać, biorąc pod uwagę sytuację, chyba że pod koszulką ukrywał pistolet.

Pociągnęłam nosem.

- Normalnie nigdy nie choruję i dlatego to przeziębienie strasznie mnie męczy. Chcę mieć pewność, że to nic poważnego.

- Czy twoja koleżanka Ghislaine sugerowała, że mógłbym przepisać ci coś mocniejszego niż środki dostępne bez recepty? - zapytał.

- Nie - odrzekłam zgodnie z prawdą.

- Bo ja nie mogę wystawiać recept - ciągnął spokojnie. - Myślę, że Ghislaine nie powtórzyła ci tego, co powiedziałem jej w czasie wizyty, więc po prostu powiem ci to samo, co mówię wszystkim. Nie wiem, co sprowadza cię akurat do mnie w mieście, gdzie na pewno nie brak lekarzy. Nigdy nie zadaję ludziom takich pytań. Tak czy inaczej, nie jest to idealna sytuacja, w której można otrzymać poradę, dlatego jeżeli masz inny wybór, to może powinnaś zgłosić się do normalnego gabinetu.

Jeśli gość uważa, że to przemówienie ochroni go przed zarzutami natury kryminalnej, to czeka go spora niespodzianka, pomyślałam.

- Rozumiem - powiedziałam. - Więc ile to kosztuje?

- Badanie? Czterdzieści.

Tylko tyle? Byłam zaskoczona, że ryzykuje, nielegalnie wykonując pracę, i bierze za to naprawdę stosunkowo niedużo. Z drugiej strony jego pacjenci na pewno nie mieli dużo pieniędzy.

- Chcesz, żebym cię zbadał? - zapytał.

- Nie przyjechałam z drugiego końca miasta po to, żeby wrócić z niczym - odparłam, myśląc o poruczniku.

- W porządku - powiedział. - Płacisz mi z góry. Połóż pieniądze na tamtej półce z książkami, a potem zdejmij bluzkę i usiądź na stole, dobrze? Za chwilę wrócę.

Pojechał w kierunku kuchni. Pieniądze z góry... Cisco nie liczył dużo za swoje usługi, ale z pewnością nie był naiwny. Zgodnie z poleceniem położyłam dwie dwudziestki na półce. W kuchni Cisco podjechał do zlewu i puścił wodę, zwrócony plecami do mnie.

Dopiero teraz miałam szansę złapać oddech i odzyskać równowagę. Fakt, że Cisco był niepełnosprawny, całkowicie mnie zaskoczył, ale tylko na moment. Dużo bardziej niezwykle wydało mi się jego zachowanie. Zazwyczaj przestępcy, a zwłaszcza oszuści, są wyjątkowo czujni podczas spotkań z obcymi. Starannie to ukrywają, lecz można wyczuć ich napięcie, wibrujące jak włączony silnik. Tymczasem Cisco wydawał się nie czujny, lecz spokojny. Nie był zdenerwowany, a już na pewno nie pijany czy naćpany. Był naprawdę spokojny, rozluźniony, co zupełnie nie pasowało do jego sytuacji.

Odwróciłam się i rozejrzałam po pokoju. Nigdzie nie było żadnych osobistych przedmiotów ani drobiazgów. Podeszłam do ściany, żeby przyjrzeć się oprawionemu dyplomowi.

C. Agustin Ruiz, przeczytałam. Wyżej, dużymi literami,

wydrukowano nazwę uczelni: UNIWERSYTET COLUMBIA,
AKADEMIA MEDYCZNO-CHIRURGICZNA.

- O, cholera jasna... - wymamrotałam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Dyplom na grubym, czerpanym papierze z całą pewnością nie był druczkiem, jaki można wypuścić z podłączonej do komputera drukarki. Ten gość był lekarzem *bona fide*...

- Coś nie w porządku? - odezwał się Cisco.

- To dobra uczelnia, prawda?

Odwrócił się i zobaczył, że gapię się na jego dyplom.

- Większość ludzi tak uważa - powiedział. - Chyba mówiłem, żebyś zdjęła bluzkę...

Pośpiesznie ściągnęłam różowy top przez głowę i usiadłam na stole. Czułam się mocno skrępowana, że obcy człowiek ogląda mnie tylko w czarnej bardotce. Oparłam ręce na krawędzi stołu i wtedy wyczułam coś pod ligninowym prześcieradłem. Błat stołu był obity grubym, miękkim kremowym materiałem.

- Czy to stół do masażu? - zapytałam.

Cisco podjechał do szafki i wyjął z niej kilka przedmiotów.

- Chyba coś ci się pomyliło z salonem kosmetycznym Cedars-Sinai - rzucił sucho.

Miłe podejście do pacjenta, pomyślałam. Tak czy inaczej, miał rację - wykazywałam się zupełnie niepotrzebną ciekawością.

Zbliżył się do stołu i pociągnął zwisający z boku sznurek, włączając nisko zawieszoną lampę. Na jego szyi wisiał stetoskop, na kolanach leżał ciśnieniomierz i bloczek z żółtymi kartkami.

- Będiesz robił notatki? - zapytałam.

- Wszyscy lekarze robią notatki - odrzekł. - Jak się nazywasz?

Lekko zeszywniałam, natychmiast to zauważył.

- Możemy załatwić to w stylu grup AA, jeśli wolisz - powiedział. - Wystarczy pierwsze imię i inicjał nazwiska.

- Sara P.
- Zawód?

Zmierzyłam go ironicznym spojrzeniem obrysowanych czarną kreską oczu. Cisco z namysłem przejechał językiem po zębach.

- No, dobrze... - mruknął. - Przyjmujesz jakieś leki?
- Nie.
- Bierzesz?

- Czy co biorę? - Doskonale wiedziałam, o co mu chodzi, ale postanowiłam nie ułatwiać mu sprawy, bo tak na pewno zachowałyby się Sara P, uliczna dziwka.

- Narkotyki.

- Nie.

- Kiedy miałaś ostatni okres?

- Nie pamiętam, ale zawsze funkcjonuję regularnie, jak w zegarku.

- Czy istnieje możliwość, że jesteś teraz w ciąży?

- A gdybym była? - spytałam. - Zająłbyś się tym za odpowiednią opłatą?

- Te pytania do niczego nie prowadzą. Sądzisz, że jesteś w ciąży?

Potrząsnęłam głową, ale on nadal milczał. Chyba czekał na bardziej konkretną odpowiedź.

- Nie - powiedział w końcu. - Jestem pewna, że nie.

- W porządku. Zaczynamy.

Przyłożył chłodny krążek stetoskopu do mojego mostka.

- Oddychaj głęboko - polecił. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech.

- Jeszcze...

Odgłos szarpniętego rzepu sprawił, że szybko otworzyłam oczy. Cisco rozwijał mankiet ciśnieniomierza.

- Masz tu wszystkie medyczne przyrządy - zauważyłam.

- Nie wszystkie i nawet w połowie nie tak dobrej jakości, jak bym sobie tego życzył.

Posłusznie wyciągnęłam ramię. Napompował mankiet, spuścił powietrze i utkwiał wzrok w tarczy.

- Sto cztery na siedemdziesiąt - powiedział. - Świetnie... Znowu mnie zaskoczył. W czasie rzadkich wizyt u lekarzy

zwykle miałam podwyższone ciśnienie. Podobno nazywa się to nadciśnieniem medycznym, wysokim ciśnieniem, którego przyczyną jest lęk przed lekarzem i gabinetem.

Ale tym razem znalazłam się w zupełnie innej sytuacji. Cisco zachowywał się jak lekarz i przeprowadzał badanie, lecz robił to wszystko w swoim mieszkaniu. W powietrzu unosił się delikatny zapach jakiejś potrawy, a nie aseptyczny odór przychodni lub szpitala.

Zmierzył mi temperaturę, odczytał wynik i strząsnął termometr. Zajrzał mi do uszu otoskopem, zbadał palcami węzły chłonne pod uszami i na szyi.

- Kiedy pojawiły się pierwsze objawy przeziębienia? - zapytał.

- Dwa dni temu.

- Czy twój system odpornościowy może być z jakiegoś powodu osłabiony?

- Nie.

Masz skłonność do infekcji uszu?

- Nie.

- Nie boli cię któreś ucho?

- Nie.

Cofnął wózek.

- Możesz włożyć bluzkę - powiedział, znowu nadając różowemu topowi bardziej szacowną nazwę, niż na to zasługiwał.

Wciągnęłam go pośpiesznie i poprawiłam włosy.

- Sprawa wygląda tak... - zaczął. - Ogólnie biorąc, jesteś osobą w dobrym stanie zdrowia, która po prostu mocno się przeziębila. To jeszcze nie koniec świata. Powinnaś pić dużo płynów i odpoczywać, przyjmować witaminę C i jakiś środek przeciw przeziębieniu, jeden z tych, jakie można kupić w aptece.

- Dobrze...

- I jeszcze coś. - Głos Cisca zabrzmiał bardziej zdecydowanie, przykuwając moją uwagę. - Nie podoba mi się wygląd twojego lewego ucha... Zwykle zapalenia ucha zdarzają się dzieciom, nie dorosłym, poza tym sama mówisz, że nie czujesz bólu, więc chyba nie ma się czym martwić. Gdyby jednak ucho zaczęło boleć, musisz zgłosić się do przychodni, bo niewykluczone, że trzeba będzie zastosować antybiotyki, a ja nie mogę ci go przepisać.

- W porządku.

Cofnął się jeszcze kilka kroków, wyjął z szuflady czerwoną broszurkę i podał mi ją. Były to informacje zgromadzone i zredagowane przez przychodnię zdrowia seksualnego.

- Jestem jak najdalej od tego, żeby kogokolwiek osądzać - powiedział. - Ale jeżeli świadczysz usługi seksualne za pieniądze lub narkotyki, powinnaś zbadać się pod kątem zarażenia wirusem HIV oraz innymi chorobami. Jeśli badania dadzą wynik negatywny, porozmawiaj z kimś, jak utrzymać ten stan rzeczy.

Poczułam, jak na moje policzki wpełza gorący, prawie bolesny rumieniec - dzieje się tak zwykle, gdy ktoś okazuje mi dobroć bez żadnego specjalnego powodu. Wzięłam ulotkę.

- A przy okazji, żeby odpowiedzieć na twoje wcześniejsze pytanie... - dodał. - Nie przeprowadzam aborcji.

- Uraziłam cię?

- Nie - odparł krótko.

Mogłam już iść, ale teraz, gdy najtrudniejsza część badania była za mną, moja ciekawość znowu podniosła zdradliwy łeb.

- Więc skończyłeś szkołę medyczną ze wszystkimi szykanami?

- Tak. - Bez pośpiechu odkładał przyrządy do szafki.

- Ale nie masz licencji?

- Kiedyś miałem. I co się stało?

- To długa historia - rzekł spokojnie. - Nie sądzę, żebyśmy mieli aż tyle czasu.

Wydarł kartkę z żółtego bloku i schował ją do górnej szuflady biurowej szafy.

Dobry Boże, facet prowadził dokumentację... Kiedy złożę raport Prewittowi i dostaniemy nakaz, nie będziemy nawet musieli przeprowadzać szczegółowej rewizji, pomyślałam. Cisco starannie zapisywał i przechowywał wszystko, co było potrzebne, żeby go aresztować i skazać...

Podjechał do półki i zdjął z niej dwie dwudziestodolarówki. Gdy nigdzie ich nie schował, zrozumiałam, że nie chce, abym zobaczyła, gdzie trzyma pieniądze. Był ostrożny.

- Czterdzieści dolarów to niezbyt dużo? - powiedziałam.

- Nie zamierzam wzbogacić się na tym procederze.

- Więc dlaczego w ogóle to robisz?

- Zaspokajam określone potrzeby - odparł. - Możesz w to wierzyć albo nie, ale ludzie naprawdę wypadają przez szczeliny w naszym systemie opieki zdrowotnej... Niektórzy nie mają ubezpieczenia, inni przyjechali do tego kraju nielegalnie albo nielegalnie przedłużają pobyt... Tacy ludzie obawiają się przychodni, gabinetów zabiegowych, tłumów, kolejek, oczekiwania i napięcia. Ja świadczę usługi, które są im potrzebne.

- No i jednak ci płacą, prawda? - powiedziałam, wchodząc w rolę adwokata diabła.

- Jestem częścią tego, co Bank Światowy nazywa nieformalną gospodarką lub szarą strefą. W wielu krajach przymyka się na to oczy.

- Ale sam mówisz, że nie masz sprzętu, jaki chciałbyś mieć.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś zobaczyła, ile rzeczy można kupić w magazynach zaopatrzenia medycznego. Oczywiście nie leki, ale prawie wszystko, czego potrzebuję, żeby prowadzić praktykę, która w moim przypadku składa się głównie z leczenia drobnych kontuzji, ran, oparzeń i tak dalej. Jestem też

w stanie udzielać porad pacjentom z lekkimi dolegliwościami, na przykład tobie, a dla tych, którzy mają poważniejsze problemy, odgrywam rolę systemu wczesnego ostrzegania. Kiedy trafiają do mnie ludzie z niepokojącymi objawami lub chorobami, których nie mogę wyleczyć, uświadamiam im, że muszą jak najszybciej zgłosić się do szpitala lub przychodni.

- I ilu pacjentów odsyłasz do prawdziwych lekarzy? - zapytałam.

W ciemnych oczach Cisca pojawił się chłodny błysk.

- Jestem prawdziwym lekarzem.

- Wcale nie chciałam powiedzieć... — zaczęłam. Ale było już za późno, popełniłam błąd.

- To by było wszystko - rzekł, cofając się, żebym mogła przejść do korytarza. - Dobranoc, Saro.

Shiloh i ja wynajmowaliśmy parter starego, jednopiętrowego domu. Było to spokojne, dość przytulne miejsce, spokojniejsze, niż można by się spodziewać, ponieważ za domem, za ogrodzeniem z metalowej siatki i kolczastego drutu, rozciągało się otwarte pole, dalej zaś znajdował się nasyp i tory kolejowe. Zaparkowałam samochód na wąskim podjeździe przy domu i weszłam do środka tylnymi drzwiami. Ekran z siatki zaskrzyphiał cicho. Zawiasy domagały się porządnego naoliwienia -musiałam znaleźć wolną chwilę, by w końcu tym się zająć.

Shiloh mieszkał tu, jeszcze zanim się poznaliśmy, dlatego to właśnie jego osobowość odcisnęła się piętnem na miłym i niezbyt eleganckim wnętrzu. Prawdopodobnie wiele kobiet podjęłoby próbę przeprowadzenia jakichś zmian, aleja do nich nie należałam. Wśród podniszczonych mebli i książek Shiloha zawsze ogarniał mnie przyjemny spokój.

Zapaliłam światło w kuchni i położyłam torbę na stole, odsuwając na bok stos nieprzejrzanego pocztu i blok, w którym próbowałam napisać list do Shiloha. Byłam raczej znużona niż zmęczona pracą i wiedziałam, dlaczego tak jest. Denerwo-

wałam się przed spotkaniem z Ciskiem, sporo mnie to kosztowało. Genevieve, mistrzyni dochodzeń i przesłuchań, nauczyła mnie, że kłamstwo źle wpływa na cały organizm, ponieważ serce kłamcy bije szybciej niż normalnie, co powoduje większe zużycie tlenu i tak dalej.

Poszłam do łazienki i puściłam ciepłą wodę do wanny, a po chwili zatkałam odpływ korkiem, zamiast sięgnąć po prysznic. Przysiadłam na brzegu wanny i patrzyłam na powoli podnoszący się poziom wody.

„Nigdy nie kąp się w wannie w hotelu czy motelu, bo nie wiadomo, kto korzystał z niej przed tobą i czy później dokładnie ją wyczyszczono” - tak brzmiała ostatnia rada, jakiej udzieliła mi matka. Może brzmi to dziwnie, ale tak się składa, że byliśmy wtedy w motelu.

Mamę zabił rak jajnika - szybki, trudny do zauważenia, podstępnie bezbolesny w początkowym stadium. Po nieskutecznym leczeniu w lokalnym szpitalu w Nowym Meksyku zgłosiła się do kliniki Akademii Medycznej w Teksasie. Ojciec natychmiast zaaprobował ten pomysł. Tam cię wyleczą, powiedział gładko, do końca uciekając przed oczywistą prawdą. Nie pojechał z matką, uznał za to, że ja powinnam jej towarzyszyć.

Kiedy mama poszła na badanie diagnostyczne, przeprowadzane w częściowej narkozie, czekałam w gabinecie onkologa, popijając lemoniadę Dr. Pepper i przeglądając kolorowe książki, które doktor Schwartz przechowywał w szafce dla pacjentów i ich rodzin. Nie czytałam jeszcze płynnie, chociaż miałam już dziewięć lat, ale gdy trafiłam na bogato ilustrowaną książkę, zagłębiałam się w niej bez reszty, sprawiając wrażenie całkowicie pochłoniętej niezwykle interesującą treścią. Trwałam w tym stanie, gdy doktor Schwartz wszedł do gabinetu po mniej więcej półgodzinie.

Wciąż jeszcze w chirurgicznym fartuchu i czepku, przeszedł obok mnie do mniejszego pokoju, sięgnął po telefon i wybrał jakiś numer. Jako dziewięciolatka miałam uszy do-

okoła głowy, podobnie jak większość dzieci w tym wieku, słyszałam więc głosy obu rozmówców.

- Sandeep, to ja - odezwał się doktor Schwartz. - Jeśli chcesz przesunąć swój zabieg, to proszę bardzo, bo ja już skończyłem to diagnostyczne badanie, które miałem o jedenastej trzydzieści.

- Szybko ci poszło.

- Niestety - powiedział lekarz mojej matki. - Wszystko przeżarte nowotworem, mnóstwo przerzutów. Kiedy zobaczyłem, jak daleko to zaszło, zamknąłem jamę brzuszną, i tyle. Dlatego trwało tak krótko.

Zaraz potem doktor Schwartz wykonał następny telefon. Tym razem natychmiast rozpoznałam głos, który odezwał się z drugiej strony.

- Wydaje mi się, że najwyższy czas, aby pan tu przyjechał - rzekł lekarz, zapalając papierosa. - Chciałbym porozmawiać z panem osobiście.

- Przecież może pan porozmawiać ze mną teraz, doktorze — powiedział mój ojciec. - Czy żona nie jest w stanie sama wrócić do domu?

- Szczerze mówiąc, powinien pan przygotować się na dłuższy pobyt w naszym mieście.

Długa chwila milczenia.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że przypadek Rose jest terminalny, doktorze?

Doktor Schwartz podniósł wzrok i zobaczył, że siedzę nieruchomo, wpatrzona w jego twarz. Szybko odsunął słuchawkę od ust i uśmiechnął się.

- Saro, słonko, może pobiegłabyś do holu i kupiła sobie coś do picia?

- Mam jeszcze pół butelki lemoniady, którą mi pan kupił -pokazałam palcem.

- Więc kup coś dla mnie, dobrze, skarbie? Coś dietetycznego, colę albo sprite'a, wszystko jedno.

W holu zapytałam wysokiego czarnoskórego sanitariusza, co znaczy słowo „terminalny”.

- Nie wiem, dziecko - odparł.

Byłam jeszcze mała, więc mu uwierzyłam.

Z zamyślenia wyrwało mnie głośnie gulgotanie. Woda w wannie dotarła już do poziomu siateczki odpływowej. Zakręciłam kran, wyjęłam spod umywalki słoik soli do kąpieli, wsypałam kilka garści do wody i zanurzyłam się w niej. I nagle, pozornie bez powodu, pomyślałam o Marlinchen Hennessy, z którą rozmawiałam przed czterema dniami.

Wydawało mi się, że skojarzenie wzięło się znikąd, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Może przywołał je świeży, ziołowy zapach soli do kąpieli, w jakiś sposób podobny do wody toaletowej, której używała dziewczyna? Nie, to nie to.

Marlinchen powiedziała mi o przedwczesnej śmierci swojej matki; przed chwilą wspominałam moją mamę. Oto ogniwo. Matka Marlinchen umarła, gdy dziewczynka miała siedem lat.

Źle poradziłam sobie z problemem Marlinchen Hennessy, pokpiłam sprawę. Niewątpliwie stało się tak po części dlatego, że dziewczyna wyglądała na kilka lat starszą, niż była w rzeczywistości, i nawet kiedy powiedziała mi, że skończyła dopiero siedemnaście lat, nie do końca przyjąłam to do wiadomości. Rozmawiałam z nią tak jak z osobą dorosłą, zapominając o tym, że czasami nawet dorośli źle znoszą naturalną bezpośredniość glinarzy.

Oczywiście Marlinchen nie pomogła sobie, stosując taktykę uników i gestów obronnych, byłam jednak policjantką dość długo, aby wiedzieć, że niektórzy ludzie najbardziej potrzebują pomocy właśnie wtedy, gdy wydaje się, że wcale na nią nie zasługują. Tak czy inaczej, Marlinchen dała mi do zrozumienia, że ciężar poszukiwania brata spadł na jej barki, i poprosiła o pomoc, a ja zraziłam ją do siebie i przegoniłam.

Może zdołam coś zrobić, żeby to naprawić, pomyślałam. Okręg Hennepin nie płaci mi przecież za to, abym obojętnie

odwracała głowę, kiedy ktoś z jego mieszkańców zachowuje się co najmniej dziwnie i ucieka, zamiast odpowiedzieć na kilka pozornie nieszkodliwych pytań.

Rozdział 5

Zastępca szeryfa w Georgii, który przyjął zgłoszenie o zaginięciu Aidana, miał lekko zachrypnięty od papierosów głos o pytającej intonacji.

- Ma pani dla mnie informacje o Aidanie Hennessym? -zapytał.

- Nie - odparłam. - Miałam nadzieję, że może pan ma jakieś nowe informacje, bo ja właściwie nie wiem nic.

Nie skontaktowałam się jeszcze z Marlinchen Hennessy, zdecydowałam bowiem, że najpierw spróbuję się czegoś dowiedzieć. Właśnie dlatego wcisnęłam telefon do Georgii między swoje codzienne obowiązki w pracy.

- Hennessy pochodzi z waszego terenu - powiedział zastępca Fredericks. - Czy dlatego pani dzwoni?

- Tak. Zaraz panu wyjaśnię, o co chodzi - szybko powtórzyłam mu te wiadomości, którymi podzieliła się ze mną Marlinchen Hennessy. - Kiedy usłyszała, że będę musiała skontaktować się z jej ojcem, zdenerwowała się i uciekła.

- Gdyby mogła odłożyć słuchawkę, na pewno by to zrobiła... - w głosie Fredericksa zabrzmiało rozbawienie. - Mnie tak potraktowała.

- Wie pan coś jeszcze? - zapytałam.

- Niewiele. Nie znałem tego chłopaka, ale dość dobrze znam faceta, u którego mieszkał, Pete'a Benjamina. Rodzina Pete'a mieszka w tej okolicy od zawsze, Aidan spędził tu pięć lat. Tak czy inaczej, chłopak po prostu uciekł, to jasne.

- Skąd wiadomo, że uciekł?

- Zniknęły jego rzeczy - powiedział Fredericks. - Poza tym to dobrze zbudowany chłopak, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, umięśniony i silny jak wół po pracy na farmie, więc nie sądzę, by komuś przyszło do głowy go napaść...

- Kiedy Benjamin zgłosił zniknięcie chłopaka?

- W ogóle nie zgłosił. Dowiedziałem się o tym dopiero niedawno, kiedy zadzwoniła do mnie panna Hennessy. Zapytałem Pete'a, dlaczego z nikim o tym nie porozmawiał, ale powiedział, że od razu zadzwonił do ojca Aidana. Hugh Hennessy powiedział podobno, że chłopak na pewno lada chwila zjawi się w domu, w Minneapolis, i że Pete nie powinien się tym martwić.

- Dość beztroski tatuś - zauważyłam.

- Aidan wyciął już kiedyś taki numer. Wsiadł w autobus i pojechał do Minnesoty.

- Gdyby zrobił tak i tym razem, a nawet gdyby wybrał autostop, teraz byłby już w domu.

- To żart? - zainteresował się Fredericks.

- Niby dlaczego żart?

- Aidan Hennessy uciekł sześć miesięcy temu.

- Sześć miesięcy? - powtórzyłam tępo.

- Nie inaczej. Widzę, że panna Hennessy nie podzieliła się z panią tą informacją.

- Chce pan powiedzieć, że Hugh Hennessy nie zgłosił zaginięcia syna ani nawet się z wami nie skontaktował?!

- Tak jest. Pierwszy kontakt z rodziną mieliśmy dwa tygodnie temu, przez córkę. A kiedy powiedziałem, że chcę rozmawiać z ojcem, usłyszałem tę samą historyjkę co pani - że pojechał na północ, pracuje w domu bez telefonu i takie tam różne. Poradziłem panie Hennessy, żeby jednak postarała się z nim skontaktować. Parę dni później zadzwoniła znowu, pytając o postępy w sprawie. W odpowiedzi zapytałem ją, kiedy będę mógł porozmawiać z ojcem, a wtedy strasznie się zdenerwowała i odłożyła słuchawkę.

- I to wszystko?

- Napisałem raport i rozesłałem zdjęcie Aidana, ale nadal nic nie wiem. Muszę pani powiedzieć, że jak na nastoletniego uciekiniera zachowuje się wręcz przykładowie. Bo gdyby został aresztowany, nawet pod fałszywym nazwiskiem, to karta z odciskami palców i tak by nam powiedziała, że to on.

- Macie jego odciski? - zmarszczyłam brwi. - Był już aresztowany?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Panna Hennessy nie wspomniała pani o lewej dłoni brata?

- Nie.

- Aidan Hennessy nie ma jednego palca lewej dłoni. Karta odcisków wykazałaby tylko dziewięć pozycji.

- Nie wiedziałam o tym. Ale też nasza rozmowa nie była szczególnie owocna.

- Zabawna dziewczyna, prawda? - zaśmiał się Fredericks. - Wygląda na to, że zaczęła rozglądać się za jakimś detektywem z Minneapolis, który wysłuchałby jej historii, i padło akurat na panią. Wy tłumaczyła jej pani, jak sprawa zaginięcia wygląda od strony prawnej?

- Tak - odparłam. - Wie pan, co wydaje mi się najbardziej interesujące?

- Ojciec?

- Właśnie. Wiedział, że syn zginął, i uspokoił przyjaciela, mówiąc, że zajmie się tym, ale nic nie zrobił. A teraz córka, Marlinchen, domaga się, żebyśmy znaleźli brata, lecz nie chce niepokoić staruszka, bo on siedzi gdzieś w górach i pracuje nad książką. Kiedy ją przycisnęłam, bo przecież ojciec musi wiedzieć, co się dzieje, tak ją to zirykowało, że po prostu wstała i wyszła.

- Dziwne, nie da się ukryć... - mruknął Fredericks. - Jeżeli dowie się pani czegoś nowego, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

- Jasne - powiedziałam.

Zastępca szeryfa, którego zastałam na posterunku w okręgu Cook, w pobliżu jeziora Tait, przedstawił się jako Begans. Po głosie poznałam, że jest dość młody.

- W czym mogę pomóc? - zapytał Begans.

- Próbuję skontaktować się z facetem, który ma domek w waszej okolicy. Podobno nie ma tam telefonu i prawie nie wychodzi z domu, bo pisze książkę.

- Fajna robota - zauważył Begans. - Oczywiście, jeżeli człowiekowi uda się ją sobie załatwić... Jak się nazywa ten pisarz?

- Hugh Hennessy. Muszę porozmawiać z nim w sprawie zaginięcia kogoś z rodziny. Niech pan go nie przestraszy, wystarczy, jeżeli mu pan powie, żeby jak najszybciej się z nami skontaktował.

- Żeby... jak najszybciej... się skontaktował... - powoli powtórzył Begans, który najwyraźniej zapisywał informację. - W porządku. Gdzie jest ten domek?

- Nie wiem - przyznałam.

- No, to trochę spowolni sprawę... - mruknął niepewnie.

- Wiem. Przykro mi, ale naprawdę nie mam więcej informacji na ten temat.

- Pracuje u nas gość, który za trzy tygodnie idzie na emeryturę - rzekł Begans. - Wie wszystko o tym regionie, bo spędził tu trzydzieści pięć lat. Zapytam go o tego Hennessy'ego i zadzwonię, gdy dowiem się czegoś konkretnego.

- Świetnie! - ucieszyłam się.

Po zakończeniu rozmowy poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Objawy przeziębienia zanikały, zgodnie z przewidywaniami Cisco. Pomyślałam, że jeszcze dzień, najwyżej dwa i znowu będę miała ochotę na kawę. Ta perspektywa znacznie poprawiła mi nastrój.

Oparłam się o blat, czekając, aż mikrofalówka podgrzeje wodę na herbatę, gdy nagle w mojej głowie odezwał się cichy głosik. Czy to możliwe, że wysyłasz tego miłego, smarkate-

go Begansa w pogoń za cieniem, zapytał ostrożnie. Czy przypadkiem nie należałoby sprawdzić czegoś jeszcze tutaj, na miejscu?

A jeżeli Hugh Hennessy jest w Minneapolis i po prostu nie chce angażować się w sprawę najstarszego syna?

Wrzuciłam torebkę cytrynowej herbaty do wrzątka, zostawiłam kubek na blacie, wyjęłam z szuflady biurka kartkę z telefonem Marlinchen Hennessy i wybrałam numer.

- Halo? - odezwał się bardzo młody, chłopięcy głos.

- Czy zastałam Hugh Hennessy'ego? - zapytałam.

- Nie, przykro mi, ale nie ma go w domu.

- Czy może zastanę go trochę później?

- Nie, ojciec wyjechał z miasta. - Chłopak nie zaproponował, że przekaże wiadomość. - Mam na imię Liam, mogę w czymś pomóc?

- Raczej nie - odparłam. - Zadzwoń kiedy indziej. Wersja o wyjeździe Hennessy'ego z Minneapolis znalazła potwierdzenie. Na razie.

Gdy ja rozmawiałam przez telefon z Fredericksem, a może z Begansem, dwóch młodych ludzi dokonało napadu na sklep monopolowy w Eden Prairie. Parę minut później przyjechałam tę informację i pojechałam na miejsce, żeby porozmawiać ze sprzedawcą i klientem, który także był świadkiem napadu. Szczegóły były raczej niewyraźne - dwóch facetów, najprawdopodobniej białych, w maskach z nylonowych pończoch, które spłaszczają rysy i utrudniają rozpoznanie. Zanotowałam, co trzeba, zostawiłam wizytówkę i poprosiłam świadków, żeby zadzwonili do mnie, jeżeli przypomną sobie coś jeszcze.

Kiedy wracałam do miasta, słońce bawiło się ze mną w chowanego, co jakiś czas wyglądając zza potężnych, spiętrzonych chmur, ciemnoszarych u dołu i w środku, białych po brzegach. Byłam już prawie na rampie parkingowej dla detektywów, gdy zatrzymało mnie czerwone światło. Właśnie wtedy z budynku

Centrum Rządowego wyszło dwóch mężczyzn. Normalnie nie zwróciłabym na nich uwagi - ot, dwóch facetów w garniturach, nic nadzwyczajnego w centrum miasta - lecz jeden z nich od razu wydał mi się znajomy. Miał metr dziewięćdziesiąt z okładem, co zdecydowanie wyróżniało go z tłumu, i dość charakterystyczny sposób poruszania się - szedł długim, pewnym krokiem, bez pośpiechu, jakby chciał powiedzieć: „Będę rządził światem, ale wszystko w swoim czasie”.

Znałam Christiana Kilandera i jako prokuratora okręgowego, i jako świetnego koszykarza. Zawsze odnosiliśmy się do siebie przyjaźnie, chociaż nie byliśmy przyjaciółmi, i dlatego Kilander naprawdę mnie zaskoczył, gdy złamał zasady systemu, któremu oboje służyliśmy, i ostrzegł mnie, że jestem główną podejrzaną w sprawie o zabójstwo Royce'a Stewarta. Zaraz po niedawnym telefonie Gen chciałam skontaktować się z nim i zapytać, czy słyszał, jak przebiega śledztwo, ale ostatecznie nie zrobiłam tego. Przyczyna była prosta - uświadomiłam sobie, że nikt, nawet Kilander, nie powinien wiedzieć, jak bardzo interesuje i niepokoi mnie ta sprawa.

Możliwe też, że nie byłam wobec siebie zupełnie szczerą. Nie szukałam pomocy Kilandera także i z innego, mniej skomplikowanego powodu. Od naszego spotkania przy fontannie w grudniu ubiegłego roku rozmawialiśmy ze sobą tylko raz, przy okazji jakiegoś dochodzenia. Kiedy wpadaliśmy na siebie w centrum, Kilander witał mnie krótkim skinieniem głowy, chociaż wcześniej na pewno rzuciłby jakąś żartobliwą uwagę, miałam więc nieprzyjemne wrażenie, że unika kontaktu ze mną, tak jak porządnie ubrany, czysty człowiek omija błotnistą kałużę na chodniku.

Teraz towarzyszący Kilanderowi mężczyzna odwrócił się lekko i nagle zdałam sobie sprawę, że widziałam go już wcześniej. Miał trzydzieści parę lat, mniej więcej metr osiemdziesiąt i brązowe włosy, siwiejące na skroniach. Jeżeli się nie myliłam, był to ten sam człowiek, który obserwował mnie

z samochodu, kiedy parę dni temu pracowałam wieczorem na ulicy, odgrywając rolę prostytutki, i szybko odjechał, gdy skupiłam na nim uwagę.

Światło zmieniło się i ruszyłam przed siebie, popychana falą popołudniowego ulicznego ruchu. W lusterku zobaczyłam jeszcze, jak Kilander i jego nowy kolega przechodzą przez plac i znikają za rogiem.

Usiadłam przy biurku i zabrałam się do spisywania raportu, kiedy zadzwonił telefon.

- Mam dla pani wiadomości - oznajmił Begans.

- Świetnie. Niech pan strzela.

- Nasz Bob wiedział, gdzie jest domek Hennessy'ego, więc kiedy się okazało, że mamy sprawę do załatwienia w pobliżu, bo jakieś dzieciaki strzelały sobie do celu w niedozwolonym miejscu, podjechaliśmy tam.

- I co? - Miałam wrażenie, że Begans czeka, bym pociągnęła go zajęzyk.

- W domu nikogo nie ma, wszystko pozamykane na cztery spusty, woda wyłączona. Nikt nie zaglądał tam co najmniej od paru miesięcy.

- Naprawdę? - Szczerze mówiąc, nie byłam szczególnie zaskoczona. Dotarło już do mnie, że to Hugh Hennessy, a nie Aidan, jest prawdziwą niewiadomą w tym dziwacznym równaniu.

- Tak jest. Tego chciała się pani dowiedzieć?

- Tak - przyznałam, przekładając słuchawkę do drugiego ucha, bo lewe trochę mnie bolało i swędziło. - Bardzo dziękuję, że tak szybko i sprawnie pan to załatwił. No i proszę koniecznie życzyć Bobowi szczęścia i spokoju na emeryturze...

Begans parsknął śmiechem.

- Och, Bob jeszcze nie wie, że emerytura szybko go wykończy. Po trzech tygodniach będzie miał dosyć wędkowania i przyleci na posterunek, błagając o jakieś zajęcie...

Kiedy się pożegnaliśmy, zaczęłam rozmyślać nad tym, co wiedziałam. Doszłam do wniosku, że co prawda sprawa Aidana Hennessy'ego nie należy do jurysdykcji okręgu Hennepin, ale z pewnością mieliśmy prawo zainteresować się niewyjaśnioną nieobecnością jego ojca, który być może także zaginął.

Mogłam bez trudu zdobyć adres Hennessych, lecz wizyta w ich domu najprawdopodobniej nic by nie dała. Nie wierzyłam, że Hugh jest w domu i zwyczajnie nie chce uczestniczyć w poszukiwaniach zaginionego syna. Ten chłopak, Liam, powiedział, że ojca nie ma, i nawet nie zapytał o nazwisko, co znaczyło, że takiej odpowiedzi dzieci udzielały wszystkim dzwoniącym.

Czy Marlinchen i jej bracia naprawdę wierzyli, że Hugh pracuje w domku nad jeziorem, czy też kłamali?

Kluczową postacią w całej tej sprawie była Marlinchen. To ona, jako jedyna z rodziny, próbowała szukać pomocy i właśnie z tego powodu, chociaż zakrawało to na paradoks, nie zamierzałam ani do niej dzwonić, ani pojechać. Prawnicy, przynajmniej na sali sądowej, nigdy nie zadają pytań, na które nie znają odpowiedzi - powinno być to cenną wskazówką dla wszystkich prowadzących śledztwa i dochodzenia. Muszę poznać chociaż część odpowiedzi, zanim stanę twarzą w twarz z Marlinchen, w przeciwnym razie dziewczyna będzie mnie bezkarnie karmić zmyślonymi historyjkami.

Nagle zdałam sobie sprawę, że lewe ucho nadal mnie boli, i to wcale nie z zewnątrz, czyli nie od przyciskania słuchawki. Czułam nieprzyjemne pulsowanie głęboko w kanale.

Cisco powiedział, że nie podoba mu się wygląd mojego lewego ucha. No, świetnie... Kto by przypuszczał, że facet okaże się prawdziwym, kompetentnym lekarzem?

W najbliższym czasie czekało mnie spisanie raportu o Cisco. Nie zamierzałam mu współczuć. Nie miałam pojęcia, jak wpakował się w kłopoty i dlaczego przyjmuje pacjentów na lewo, ale nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo inteligentny.

Z całą pewnością wiedział, że jeżeli świadomie łamie prawo, to pójdzie do więzienia jak każdy schwytany przestępca.

Tak czy inaczej, zaczęłam się zastanawiać, jaki dostanie wyrok.

Rozdział 6

Dwa dni później ból ucha nasilił się, ale trzymałam go pod kontrolą, zażywając aspirynę. Powtarzałam sobie, że przeziębienie minęło, więc to także minie. Ze wszystkich sił starałam się zignorować sugestię Cisca, że może konieczny będzie antybiotyk.

Przestań przejmować się jego cholernymi radami, mówiłam sobie. Ten ból sam minie, zwykle tak bywa. Lekarze nie chcą tego zdradzać pacjentom, bo szybko nie mieliby nic do roboty.

Jednak dzień później lewe ucho postanowiło dać mi do zrozumienia, że nie poradzę sobie z nim sama. Aspiryna, którą łyknęłam wieczorem, przestała działać w nocy i kiedy obudziłam się, bębenek ucha pulsował jak drugie serce, tyle że cholernie obolałe. Usiadłam bardzo ostrożnie i powoli, świadoma, że nawet najmniejsza zmiana ciśnienia krwi powiększy moją mękę.

Kiedy poczułam, że jestem gotowa, poszłam do łazienki. Moja twarz składała się z samych kontrastów - na bladej skórze kwitły intensywne, gorączkowe rumieńce. Połknęłam ostatnie trzy aspiryny i wrzuciłam pustą buteleczkę do kosza na śmieci. Weź się w garść, dzisiaj jakoś przeżyjesz ten kryzys, a jutro będzie lepiej, powiedziałam sobie.

Wzięłam piętnastominutowy gorący prysznic, zamknąwszy uprzednio drzwi i okno łazienki. Po tej parówce oraz śniadaniu złożonym z filiżanki herbaty i dwóch grzanek aspiryna zaczęła działać. Poczułam się odrobinę lepiej, na tyle dobrze, żeby się ubrać i wyjść z domu.

Ktoś może się dziwić, że osoba z ostrym bólem ucha i gorączką nie zadzwoniła do pracy, by powiadomić szefa o chorobie i przynajmniej na jeden dzień zostać w domu, ale ja wolałam jak najszybciej znaleźć się przy biurku, jeśli mam być szczerą. Nie chciałam siedzieć w domu i zastanawiać się, jak bardzo może pogorszyć się stan mojego ucha, jeżeli nadal będę uparcie ignorować konieczność zgłoszenia się do laryngologa. Miałam ochotę oderwać się od tych nieprzyjemnych myśli i nawet jeśli moja zmiana zaczynała się dopiero za parę godzin, to przecież mogłam wypełnić wolny czas, szukając informacji w sprawie Hugh Hennessy'ego.

- O, Sara! - Tyesha obrzuciła mnie nieco zdziwionym spojrzeniem. - A ja właśnie miałam do ciebie zadzwonić... Prewitt chciał zobaczyć się dziś z tobą przed rozpoczęciem twojej zmiany, ale dopiero koło piętnastej trzydzieści, nie teraz...

- W porządku - wsunęłam kosmyk włosów za zdrowe ucho. - Mówił, o co mu chodzi?

Tyesha potrząsnęła głową.

- Niestety, nie mówił.

Nikt inny nie skomentował mojej obecności w pracy przed południem. Nie rozmawiałam zresztą z nikim, piłam tylko herbatę i przeglądałam dostępne informacje o Hennessym. Nigdy nie był aresztowany ani postawiony w stan oskarżenia. Przed dwoma laty dostał mandat za drobne wykroczenie w czasie jazdy samochodem, ale szybko uiścił tę sumę. I to było wszystko.

Moją ostatnią szansę stanowiło pogotowie policyjne, przyjmujące zgłoszenia pod numerem 911. Pracownicy pogotowia potrafią prześledzić i znaleźć wezwania nawet sprzed kilku lat, musiałam jednak zgłosić się tam osobiście.

Rodzina Hennessych mieszkała w zachodniej części okręgu Hennepin, na brzegu dużego jeziora Minnetonka. Fajna robota, jak powiedział zastępca szeryfa Begans. W Hennepin budowano coraz więcej osiedli mieszkaniowych, lecz tam, nad jezio-

rem Minnetonka, wciąż można było kupić sobie ciszę, spokój, ziemię i tradycję. Nad zatokami i zatoczkami jeziora mieszkali najbogatsi obywatele okręgu.

Podając pracownikowi pogotowia adres Hennessych, nie wierzyłam, że dowiem się czegoś nowego. Byłam przekonana, że w ich domu dzieje się coś złego, ale mocno wątpiłam, czy to „coś” mogło być powodem telefonu na policję. Sądziłam, że jest to raczej ciche, przytajone zło, o którego istnieniu nie wiedzą nawet sąsiedzi.

- Trzy tygodnie temu wysłaliśmy tam karetkę pogotowia - poinformował mnie młody urzędnik.

- Tak? - zdziwiłam się.

Jak widać, nigdy niczego nie warto zakładać z góry.

- Z jakiego powodu? - zapytałam.

- Podejrzenie wylewu krwi do mózgu u czterdziestotrzyletniego mężczyzny - przeczytał młody człowiek. - Utrata przytomności, brak reakcji na bodźce... Przewieziono go do szpitala Medical Center.

- A potem?

- To wszystko, co wiem.

- Znalazł pan jakieś inne wezwania z tego adresu?

- Nie - odparł. - Tylko to jedno.

- Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co, cała przyjemność po mojej stronie.

W szpitalu Medical Center w stanowisku informacji o pacjentach siedział siwowłosy mężczyzna. Gdy zapytałam o Hugh Hennessy'ego, wystukał jego imię i nazwisko na klawiaturze komputera.

- Nie ma go tutaj - powiedział.

- Został wypisany czy... - nie chciałam użyć słowa „umarł”. - Jak zakończyło się jego leczenie?

- Nie mam tych informacji. Musi pani pójść do działu dokumentacji.

Kabina windy, którą zjechałam w dół, była ogromna, przystosowana do przewozu noszy i wózków. W dziale dokumentacji młoda kobieta z grzywą rudych włosów pisała coś na komputerze. Położyłam odznakę na ladzie, żeby mogła ją obejrzeć.

- Potrzebna mi informacja, dokąd przewieziono stąd pacjenta Hugh Hennessy'ego - powiedziałam.

- Przykro mi... - skrzywiła się lekko. - Policyjna odznaka niczego tu nie załatwi, nie wolno mi udzielać informacji o pacjentach bez zgody samych zainteresowanych lub najbliższej rodziny.

- Trafił tu po wylewie - wyjaśniłam. - Muszę wiedzieć, czy zmarł, czy umieszczono go w innym szpitalu.

Pokręciła głową z przepaszającym uśmiechem.

Westchnęłam, a raczej próbowałam westchnąć. Miałam wrażenie, że moje płuca skuliły się co najmniej o połowę, więc nie mogłam odetchnąć pełną piersią.

Może w moim głosie zabrzmiała nuta całkowitej bezradności, a może wyglądałam bardziej żałośnie, niż sądziłam, nie wiem. Palce urzędniczki uderzyły o klawisze. Przyjęłam to jako odprawę - kobieta wróciła do pracy, a ja powinnam dać jej święty spokój.

- Wie pani, ośrodek rehabilitacyjny Park Christian to doskonałe miejsce dla pacjentów po wylewie - odezwała się nagle.

Jej uśmiech był anielsko niewinny.

- Naprawdę? - uniosłam brwi, w pełni świadoma, co naprawdę znaczącej słowa. - Bardzo serdecznie pani dziękuję...

Szpital Park Christian położony jest na obrzeżach Minneapolis, wśród cudownej zieleni, która musi być prawdziwym ukojeniem dla krewnych przebywających tam pacjentów. Za automatycznie rozsuwającymi się drzwiami przywitało mnie uderzenie zimnego powietrza. Przeklęta klimatyzacja, pomyślałam. Po długiej jeździe w upalny letni dzień ostry chłód wcale nie zrobił mi dobrze. Miałam teraz dreszcze, ale ból ucha

wciąż był przytłumiony po zażyciu aspiryny i tylko to się liczyło.

- W czym mogę pomóc? - zapytała recepcjonistka.

- Chciałabym odwiedzić pana Hugh Hennessy'ego - powiedziałam, zbyt późno uświadamiając sobie, że powinnam była przynieść jakiś rekwizyt - kwiaty, kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia, cokolwiek. - Jestem przyjaciółką rodziny - dodałam.

Spodziewałam się odmowy, myślałam, że zaraz usłyszę, iż nie ma mnie na liście gości czy coś w tym rodzaju.

- Zaraz poproszę Freddy'ego, żeby zaprowadził panią do jego pokoju - uśmiechnęła się kobieta.

Pośpiesznie ukryłam zaskoczenie. W gruncie rzeczy chciałam tylko potwierdzenia, gdzie znajduje się Hugh Hennessy, tymczasem okazało się, że mogę się z nim zobaczyć, na czym nieszczególnie mi zależało.

- Na pewno nie przeszkadzam? - zagadnęłam uprzejmie. -Może wrócę później...

Drzwi za biurkiem otworzyły się i do recepcji wkroczył mężczyzna, młody, ale o stylu bycia człowieka w wieku dojrzałym. Twarz miał delikatną i nieco pulchną, jasne włosy przystrzyżone bardzo krótko, na jeża; osoby w jego wieku rzadko decydują się teraz na taką fryzurę. Na identyfikatorze widniało wypisane dużymi literami imię: Freddy. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- To pani chciała odwiedzić pana Hennessy'ego?

- Tak.

Gestem wskazał drzwi. Bez słowa poszłam za nim.

- Szkoda, że nie przyjechała pani trochę wcześniej - powiedział Freddy. - Minęła się pani z jego córką.

- Marlinchen tu była?

- Bardzo ładna dziewczyna - zauważył spokojnie, bez cienia dwuznaczności, która zwykle towarzyszy takim męskim komentarzom. - Często przyjeżdża.

Przeszliśmy przez hol, a potem przez oszklony łącznik do innego skrzydła. Przez ogromne szyby widziałam otwartą przestrzeń, trawniki, ścieżki, nieco dalej spory staw.

- Czy pan Hennessy jest przytomny? - spytałam. - Może mówić?

- Czy jest przytomny? - powtórzył Freddy z namysłem. - Sądzę, że ma świadomość tego, co się z nim dzieje, natomiast nie może się porozumiewać. Krótko mówiąc, przypuszczamy, że rozumie swoją sytuację, ale gdy próbuje się odezwać, wydobywa z siebie nieartykułowane dźwięki. Cierpi na przypadłość określaną jako afazja werbalna.

- A poza tym jest mniej więcej w dobrym stanie? Freddy potrząsnął głową.

- Teraz porusza się na wózku inwalidzkim, ponieważ wylew częściowo sparaliżował prawą stronę ciała, ale pracujemy nad tym i widać już sporą poprawę. Czasami ma też dotkliwe uczucie dezorientacji...

- Dezorientacji?

- Z powodu utraty czucia i świadomości w jednej połowie ciała.

- Rozumiem...

Przystanęliśmy przed uchylonymi drzwiami.

- To jego pokój - powiedział Freddy.

Wewnątrz powietrze było nieruchome, lecz świeże. W pokoju znajdowały się dwa niskie łóżka, ale Hugh Hennessy nie leżał na żadnym z nich. Siedział w fotelu na kółkach przy oknie, z brodą wspartą na piersi i zamkniętymi oczami.

- Co mu jest? - zapytałam niespokojnie. Freddy uśmiechnął się lekko.

- Wszystko w porządku, po prostu zasnął.

Hennessy był szczupły, miał jasnobrażowe włosy z grzywką ostro przyciętą do pół czoła, jak człowiek, któremu nie bardzo zależy na atrakcyjnym wyglądzie. Zdumiało mnie, że wygląda tak młodo, nawet mimo śladów, jakie pozostawiła na

jego twarzy choroba. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Przyszło mi do głowy, że nie powinno się tak mocno chłodzić powietrza w miejscu, gdzie przebywają chorzy i starzy ludzie. Freddy przekrzywił głowę.

- Dobrze się pani czuje?

- Jasne... - mruknąłam. - Dlaczego pan pyta?

- Bo jest pani bardzo blada.

- Straszny dziś upał - odparłam, jakby to wszystko tłumaczyło.

Powieki chorego zadrżały. Hugh Hennessy powoli otworzył jasne oczy. Nie potrafiłam powiedzieć, czy jest przytomny i świadomy mojej obecności, ale nagle opadły mnie wyrzuty sumienia, zupełnie jakbym zakradła się do tego pokoju pod fałszywym pretekstem.

- Faktycznie, nie czuję się zbyt dobrze - odwróciłam się do Freddy'ego. — Muszę wyjść na świeże powietrze...

- Oczywiście - rzekł łagodnie. - Proszę wrócić, kiedy poczuje się pani lepiej.

Przyszpitalny parking opatrzony był z jednej strony tabliczką ze znakiem TYLKO WJAZD, a z drugiej TYLKO WYJAZD. Poruszając się zgodnie ze wskazówkami, musiałam skrócić w prawo, w boczną ulicę, żeby wrócić na drogę, którą przyjechałam z miasta. I właśnie dlatego zobaczyłam drobną sylwetkę Marlinchen Hennessy, czekającej na autobus na przystanku.

Zatrzymałam samochód i uchyliłam okno.

- Pamiętasz mnie? - zawołałam. Podniosła głowę, wyraźnie zaskoczona.

- Przejeżdżałam tędy i zauważyłam cię - wyjaśniłam. - Dokąd się wybierasz?

- Do domu - odparła.

- Podwieźć cię?

- Mieszkam dość daleko stąd - powiedziała, nadal czujna i ostrożna.

- Nie szkodzi - uśmiechnęłam się. - Miły dzień na przejażdżkę...

Przestępca albo ktoś, kto miał już do czynienia z policją, natychmiast by się zorientował, że ten zbieg okoliczności jest trochę zbyt dogodny, ale Marlinchen była bardzo młoda, więc kiedy zerknęłam w lusterko, pozornie zaniepokojona bliskością drugiego auta, poczuła się winna.

- Wsiadasz czy nie, zdecyduj się - ponagliłam ją.

Marlinchen chwyciła plecak i podbiegła do wozu. Wskoczyła do środka i zatrzasnęła drzwi. Przyśpieszyłam. Mam cię, pomyślałam. Teraz mi nie uciekniesz, nie przy prędkości sto na godzinę.

To smutne, że czerpałam radość i satysfakcję ze schwytania w pułapkę nastolatki, która z całą pewnością nie była doświadczoną kryminalistką, ale cóż, czasami nasze zwyczajstwa są naprawdę żałosne.

- Opuść szybko, jeżeli chcesz - powiedziałam.

Mnie było wszystko jedno, bo na zmianę uderzały we mnie fale zimna i gorąca. Marlinchen opuściła okno do połowy.

- Wracasz ze szkoły? - zapytałam. - Nie wiedziałam, że w tej okolicy są jakieś szkoły średnie...

- Nie, zajęcia skończyłam w południe. Jestem w ostatniej klasie i zaliczyłam już wszystkie przedmioty, więc w tym semestrze mam skrócony program.

- To chyba miło...

- Tak, całkiem nieźle. - Jej głos był teraz trochę mniej spięty.

- Więc co cię tu sprowadza?

- Byłam w szpitalu - odrzekła krótko.

- W szpitalu? - powtórzyłam. - Dlaczego?

Proszę bardzo, daję ci szansę, pomyślałam. Powiedz mi prawdę.

- Pracuję tam jako wolontariuszka, kiedy mam trochę czasu - oświadczyła, nie patrząc na mnie.

Marniutko, Marlinchen. Szansa przepadła.

- To świetnie - powiedziałam. - I bardzo dogodnie. Możesz przy okazji odwiedzać ojca.

Przez chwilę słyszałam tylko cichy warkot silnika, potem dobiegło mnie siąkanie nosem. Marlinchen oparła głowę o drzwi samochodu, jej ramiona dygotały.

Nagle zupełnie przestało mnie bawić, że zostałam niejako zmuszona do przyłapania na kłamstwie nastoletniej dziewczyny, zaplątanej w nieznane mi życiowe komplikacje. Zająłam się wyśledzeniem miejsca pobytu Hugh Hennessy'ego zupełnie tak, jakby było to interesujące ćwiczenie intelektualne, w ogóle nie myśląc o uczuciach zaangażowanych w tę sytuację ludzi.

- Twój ojciec miał wylew, matka nie żyje, jesteś najstarsza z rodzeństwa, a twój brat bliźniak uciekł z Georgii nie wiadomo dokąd - odezwałam się najłagodniej, jak umiałam. - Oznacza to mnóstwo problemów i w normalnych okolicznościach nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby jeszcze wydłużać tę listę, ale nie mogę ci pomóc, jeśli ciągle mnie okłamujesz...

Marlinchen nie odpowiedziała. Płakała cicho. Zjechałyśmy z drogi 394 i ruszyłyśmy dalej drogami drugiej kategorii, przecinającymi mokradła wokół dużego jeziora, gdzie wśród położonych w sporej odległości od jezdni domów trafiały się także restauracyjne bary i sklepy z żywą i martwą przynętą, w których na pewno chętnie zaopatrywali się entuzjaści wędkarstwa. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak długą trasę pokonała Marlinchen, żeby spotkać się ze mną na komisariacie.

- Musisz mi za chwilę powiedzieć, któredy mam jechać - powiedziałam, czując ulgę, że mam jej do zakomunikowania coś wyjątkowo mało przygnębiającego.

- Och... - Marlinchen pociągnęła nosem.

Miała jeszcze zapłakany głos, ale opanowała się, usiadła prosto i zaczęła mnie pilotować.

Rodzina Hennessych mieszkała na niewielkim półwyspie, który wcinał się dość daleko w jezioro, na końcu wysypanej żwirem drogi. Spodziewałam się, że dość znany pisarz ma imponującą rezydencję, tymczasem dom Hennessych, chociaż duży, był bardzo zwyczajny i bezpretensjonalny, z murowanym parterem i drewnianym piętrzem. Wysokie krzaki bzu, wciąż jeszcze obsypane kwiatami, tłoczyły się obok drzwi, a po obu stronach wyłożonej kamieniami ścieżki tu i ówdzie stały ciemnofioletowe irysy. Trawnik przed domem najwyraźniej był koszony dość dawno temu. Z boku, trochę za domem, widniał mniejszy budynek, który przed laty, pewnie jeszcze w początkach dwudziestego wieku, służył jako powozownia albo garaż. Na jego dach opadał obfity pióropusz rosnącej obok wierzby.

Żwirowany podjazd biegł wzdłuż domu i kiedy zatrzymałam samochód, zorientowałam się, że to tył domu, z widokiem na jezioro, pełni funkcję jego frontu. Tu znajdował się duży, zadaszony ganek z podwójnymi francuskimi oknami. Z ogromnego okna na piętrze, spowitym pędami winorośli, na pewno widać było prawie całe jezioro. W połowie drogi między domem i brzegiem rośnię piękne drzewo, a między jego ciemnozielonymi, lśniącoymi liśćmi pyszniły się duże kremowe kwiaty.

Wyłączyłam silnik. Mogłam odjechać, ale to przekreśliłoby wszystko, co zrobiłam od chwili, gdy zawołałam Marlinchen z okna samochodu. Jej zdolność i gotowość kłamania była oczywista. Nie miałam cienia wątpliwości, że jeżeli odłożę tę rozmowę do następnego dnia, dam dziewczynie czas na ułożenie faktów w taki kształt, jaki będzie jej najbardziej odpowiadał.

- No, mów... - powiedziałam.

- Od czego mam zacząć?

- Od wylewu ojca. To było trzy tygodnie temu, tak? Kiwnęła głową.

- Dlaczego próbowałaś to ukryć?

- Tata jest pisarzem. Jest sławny. Taka wiadomość trafiłaby do prasy i telewizji.

- W czym problem? - zapytałam. - Twój ojciec jest chory, to nie skandal.

Marlinchen zacisnęła wargi i popadła w zamyślenie.

- Chciałam chronić jego prywatność...

- Powiedziałaś mi, że wyjechał na północ, żeby skończyć nową książkę - zauważyłam. - Nie jestem dziennikarką, zależało ci, żebym ci pomogła, a jednak mnie okłamałaś. To coś innego niż chronienie prywatnej sfery życia ojca.

Spuściła głowę.

- Nie chcę, żeby moi bracia musieli opuścić dom - wyznała. - Za parę tygodni skończę osiemnaście lat i wtedy będę mogła zostać ich opiekunką prawną, ale jeżeli pracownicy opieki społecznej wcześniej dowiedzą się o chorobie taty, oddadzą ich do rodzin zastępczych.

- To absolutna ostateczność - powiedziałam powoli. - Pracownicy opieki społecznej nie polują na rodziny, które można by rozdzielić. Biorą pod uwagę wszystkie okoliczności, całą sytuację. Kiedy się zorientują, że dobrze sobie radzisz z młodszym rodzeństwem, mogą wam po prostu przydzielić tymczasowego opiekuna do czasu, gdy skończysz osiemnaście lat.

- Ale to niepotrzebne!

- Nic złego się nie stanie, jeżeli na parę tygodni dostaniecie opiekuna społecznego - zapewniłam ją. - Mogłabyś poprosić kogoś z krewnych, żeby wziął na siebie tę rolę albo do chwili, kiedy ty osiągniesz pełnoletność, albo do powrotu ojca ze szpitala.

- Nie mamy tu nikogo. - Westchnęła ciężko, widząc sceptyczny wyraz, który pojawił się na mojej twarzy. - Mama miała siostrę, ale ona nie żyje. Moi dziadkowie także już nie żyją, z wyjątkiem babci ze strony mamy, która mieszka w domu opieki społecznej w Berlinie i praktycznie nie zna angielskiego...

- To rzeczywiście ją wyklucza - przyznałam. Zamyśliłam się, niepewna, co poradzić dziewczynie.

- Słuchaj, mogę wejść do domu? - zapytałam. Wprowadziła mnie do środka przez ganek. Dom Hennessych był równie ładny i pełen uroku wewnątrz, jak i z zewnątrz. Ściany niewielkiego holu wyłożono sosnową boazerią, belkowany sufit dawał wrażenie przytulności, wszędzie widać było miłe, choć niekoniecznie stylowe drobiazgi. Weszliśmy do dużego pokoju, w którym duży, bardzo nowoczesny telewizor kontrastował ze starymi, eleganckimi meblami. Obitą welwetem kanapę przykrywał gruby koc z naturalnej, surowej wełny. W tle widać było kuchnię, przestronną i jasną; garnki i rondle zwiisały nad umieszczonym pośrodku potężnym drewnianym blatem.

- Podać pani coś do picia? - Marlinchen poprowadziła mnie do kuchni, poruszając się z pewnością siebie osoby, która od wielu lat mieszka w tym samym miejscu.

- Szklanekę wody z lodem, jeśli można. Przygotowała dla mnie wodę, dla siebie mrożoną herbatę.

Rozejrzałam się po kuchni. Nie bez przyczyny chciałam wejść do domu - czułam, że powinnam zobaczyć, w jakich warunkach mieszkają dzieci, czy utrzymują czystość i porządek, co jedzą. Pracownicy opieki społecznej zrobiliby to samo.

Według mojej oceny Marlinchen i jej bracia bardziej dbali o ład w domu niż wielu samotnych gliniarzy, których znałam. W kuchni było równie czysto jak w dużym pokoju, przez który przeszliśmy. W powietrzu wisiał przyjemny zapach świeżego jedzenia, a w zlewozmywaku leżała garść warzywnych obierok, co świadczyło o zdrowej diecie. Stojące na parapecie rośliny doniczkowe były zielone i zdrowe, najwyraźniej regularnie podlewane.

- Mogłybyśmy porozmawiać o Aidanie, detektyw Pribek? - odezwała się Marlinchen.

- Jasne - odparłam. - Ale Aidan ma prawie osiemnaście

lat i z własnej woli wybrał się w podróż. Kiedy osiągnie pełnoletność, czyli za parę tygodni, jak powiedziałaś, będzie odpowiadał sam za siebie. Jeżeli nie zechce, by rodzina знаła jego miejsce pobytu, to trudno, jego sprawa...

Marlinchen przysiadła na jednym z krzeseł przy wysokim blacie.

- To mój brat - powiedziała. - Muszę wiedzieć, czy wszystko z nim w porządku...

Nie usiadłam. Nie chciałam jeszcze bardziej wikłać się w tę sytuację.

- Przykro mi... Rozumiem, że boisz się o niego, ale w przypadku uciekiniera, który zniknął tak dawno jak Aidan, policja niewiele może zrobić. Szczerze mówiąc, jesteś zdana na prywatnych detektywów. Mogłabym polecić ci kilka osób, które zajmą się odnalezieniem twojego brata, oczywiście za pewną opłatą.

- Jaka? - zapytała.

- To zależy. Naprawdę dobry detektyw liczy sobie co najmniej sto dolarów za godzinę pracy.

Skrzywiła się.

- Wiem, jak to brzmi - powiedziałam. - Ale w tym wypadku nie radziłabym ci wybierać najtańszych usług. Jeśli nie zatrudnisz kogoś dobrego, cała sprawa potrwa dłużej i koniec końców zapłacisz tyle samo. Zdarza się także, że nieetyczni prywatni detektywi kuszą klientów niskimi stawkami, a potem nabijają duże sumy godzinami.

- Rozumiem... - Marlinchen sprawiała wrażenie coraz bardziej zagubionej. - Jak pani myśli, ile godzin potrwałoby odszukanie Aidana?

- Nie mam pojęcia i naprawdę nie chciałabym podawać ci jakichś nierealnych danych. Niewykluczone, że uda się go znaleźć już po trzech rozmowach telefonicznych, ale równie dobrze może to zająć parę tygodni.

- Rozumiem...-powtórzyła.

Najwyraźniej wszystko to bardzo ją niepokoiło i nietrudno było zgadnąć dlaczego.

- Chodzi o pieniądze, prawda? - zapytałam.

Hugh Hennessy i jego dzieci mieszkali w enklawie ludzi zamożnych. Sądziłam, że Marlinchen utrzymuje siebie i braci dzięki okazałym oszczędnościom, jakie zgromadził na bankowym koncie ich ojciec, ale wiele wskazywało na to, że i w tym wypadku popełniłam błąd.

- Wiem, że wyglądamy na dość bogatych, lecz mam dostęp tylko do rachunku rozliczeniowego ojca - powiedziała Marlinchen. - Na szczęście już dawno podał mi kod swojej karty bankomatowej. Upoważnienie na korzystanie z konta oszczędnościowego mogę dostać dopiero jako osoba pełnoletnia, zresztą nawet wtedy formalności mogą ciągnąć się w nieskończoność. Tata cierpi na afazję, czyli upośledzenie zdolności mowy i rozumienia. Jego stan musi się poprawić przynajmniej na tyle, aby urzędnik sądowy mógł potwierdzić, że ojciec rozumie, co się do niego mówi, i że naprawdę chce upoważnić mnie do zarządzania swoim majątkiem.

Była zaskakująco dobrze zorientowana w kwestiach finansowo-prawnych.

- Czy ojciec ma prawnika, który pomoże ci to wszystko załatwić?

Skinęła głową.

- Nie wiem, czy mogę nazwać pana DeRose'a prawnikiem taty, ale wiem, że bardzo nam pomógł po śmierci mamy, a kiedy do niego zadzwoniłam, zgodził się zająć sprawą upoważnienia. Mogę zapłacić, kiedy zdobędę dostęp do konta.

Miałam nadzieję, że DeRose jest uczciwym człowiekiem; ta smukła, nieśmiała siedemnastolatka z zamożnym ojcem w tle wyglądałaby jak skarbonka na dwóch nogach dla pozbawionego zasad prawnika.

Jednak następne słowa Marlinchen zmusiły mnie do zrewidowania opinii o stanie majątkowym Hugh Hennessy'ego.

- Tak czy inaczej, mamy do dyspozycji tylko oszczędności taty i fundusze na studia dla każdego z nas, a to niezbyt dużo pieniędzy. Większość dochodów ojca poszła na spłacenie tego domu. Mieszkamy w pięknym miejscu, wiem, ale nie zjemy przecież domu i wspaniałego widoku - Marlinchen wskazała jezioro. - Nie jest z nami źle, nie, lecz na pewno nie stać nas na zatrudnienie prywatnego detektywa, który bierze sto dolarów za godzinę pracy. Właśnie dlatego liczyłam, że ktoś z policji zainteresuje się zniknięciem Aidana...

Czułam się trochę jak dawni piloci, którzy w pochmurny dzień startowali z Nowego Jorku w kierunku Zachodniego Wybrzeża, tracili wyczucie kierunku w gęstej mgle i nieoczekiwanie odkrywali, że są w drodze do Europy. Chciałam pomóc Marlinchen, ale chciałam także, aby to zadanie okazało się proste i krótkie. Przez chwilę wyglądało na to, że moje pragnienia się spełnią - znalazłam Hugh Hennessy'ego i przekonałam się, że powody, jakimi kierowała się dziewczyna, ukrywając chorobę ojca, są zupełnie niewinne. Myślałam, że wystarczy pocieszyć Marlinchen, zapewnić ją, że Aidanowi najprawdopodobniej nic nie grozi, polecić jej kompetentnego i uczciwego prywatnego detektywa, i można zapomnieć o całej przygodzie. Myślałam, że uda mi się podsumować sprawę Hennessych w czterech słowach: „To nie mój problem”.

Zamiast tego dowiedziałam się, że Marlinchen musi sama radzić sobie z prowadzeniem domu i opieką nad młodszymi braćmi, że nie może liczyć na pomoc dorosłych krewnych, bo po prostu ich nie ma, i że mimo literackich sukcesów ojca wcale nie dysponuje dużymi oszczędnościami. Teraz mogłam podsumować sprawę Hennessych w pięciu słowach: „Niestety nie widać końca kłopotom”.

Na domiar złego to przeklęte ucho znowu zaczęło boleć. Aspiryna powoli przestawała działać i ból się wzmaczał, wymykał spod kontroli, aby niedługo niewątpliwie przerodzić się w dotkliwe, nieznośne pulsowanie, które budziło mnie

przez ostatnie dwa dni. Pod jego wpływem szlachetne uczucia w błyskawicznym tempie zniknęły z mojego serca i umysłu.

- Chciałabym, żeby było to takie proste - powiedziałam. - Jednak biuro szeryfa okręgu Hennepin płaci mi za prowadzenie spraw, w których doszło do złamania prawa na terenie okręgu, co nie dotyczy przypadku Aidana. Słuchaj, porozmawiam ze znajomymi prywatnymi detektywami i popytam, czy ktoś z nich nie przyjąłby tego zlecenia za darmo. Może...

Za naszymi plecami rozległo się głośne szuranie i po chwili do kuchni weszło trzech chłopców, obciążonych pękatymi plecakami. Na widok obcej osoby szybko przerwali rozmowę.

Żaden z nich nie miał jasnych włosów, w przeciwieństwie do Marlinchen; wszyscy odziedziczyli jasnobrązowe włosy Hugh. Najmłodszemu chłopcu wyraźnie przydałoby się strzyżenie, ale poza tym wyglądali na dobrze ubranych, czystych i zdrowych.

Marlinchen zeskoczyła z wysokiego krzesła.

- Chłopcy, to detektyw Sara Pribek - przedstawiła mnie. - Parę dni temu rozmawiałam z nią o Aidanie. Na pewno pamiętacie, mówiłam wam, że jadę do miasta, na policję.

- Myślałem, że... - zaczął muskularny chłopak w koszulce bez rękawów.

- O tym pomówimy później - przerwała mu Marlinchen. - Saro, to jest Liam, ma szesnaście lat...

Najwyższy chłopiec był szczupły, długowłosy, w okularach w metalowej oprawce.

- A to Colm, niedawno skończył czternaście lat...

Colm okazał się dobrze umięśnionym i chyba najśmielszym z młodzieńców.

- I Donal, jedenastoletni, nasz najmłodszy.

Donal miał za długie, potargane włosy, spod których wyglądała jeszcze dziecinna twarz o nieufornym rysach.

- Miło mi was wszystkich poznać, ale naprawdę powinnam już jechać - powiedziałam. - Muszę wracać do pracy.

Marlinchen, dzisiaj albo jutro postaram się o tę informację i zadzwonię do ciebie.

Wiedziałam, że mam przed sobą trudne zadanie, lecz kto wie, może jakimś cudem któryś z detektywów zdecyduje się dla dobra własnego sumienia popracować za darmo...

Marlinchen skinęła głową.

- Odprowadzę panią do samochodu.

Kiedy wyszliśmy przed dom, spojrzała na mnie błagalnie.

- Nie zgłosi pani naszej sprawy opiece społecznej, prawda? - zapytała cicho.

- Muszę to zrobić - odparłam. - Nie mam innego wyjścia. Jej ramiona opadły, zupełnie jakby ugięła się pod ogromnym ciężarem. Odwróciła wzrok i zapatrzyła się na jezioro.

Naprawdę nie wiem, skąd brało się jej przekonanie, że ona i jej bracia są skazani na pobyt w instytucji przypominającej dziewiętnastowieczny sierociniec za wysoką, pseudogotycką bramą, w którym karmi się dzieci owsianką na wodzie, ale nagle spojrzałam na siebie jej oczami i nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Przyjechałam tu, zobaczyłam dowody jej pracy w domu i w kuchni oraz oczywistej, niezaprzeczalnej miłości do braci, i mimo to uznałam, że jej wysiłki nie są wiele warte. Przykro mi, mała, lecz i tak muszę zgłosić wasz przypadek opiece społecznej, a jeśli chodzi o twojego brata bliźniaka, to w gruncie rzeczy on mnie nic nie obchodzi... Jeżeli chcesz go znaleźć, płąć.

- Może jednak mogłabym ci jakoś pomóc w znalezieniu Aidana - ugięłam się.

- Naprawdę?

- Mówiłaś, że kończysz zajęcia koło południa, tak? Przyjadę tu jutro po pierwszej i razem się zastanowimy, co zrobić z tym fantem...

Gdybym powiedziała, że Marlinchen Hennessy uśmiechnęła się, byłoby to bardzo nieścisle określenie. W ciągu naszej krótkiej znajomości była skłonna obdarzyć mnie najwyżej

lekkim uśmiechem na powitanie, dlatego nie byłam przygotowana na widok jej naturalnej radości. Rozpromieniła się, rozkwitła, zapłonęła szczęściem jak zapalka. Perspektywa głębszego zaangażowania w sprawę rodziny Hennessych specjalnie mnie nie cieszyła, ale jednak wzruszyłam się, widząc, jakie znaczenie ma dla tej dziewczyny moja propozycja pomocy. Podałam jej swoją wizytówkę.

- Masz tam numer mojej komórki i pagera - powiedziałam. - Na wypadek, gdyby się okazało, że coś ci wypadło i nie zdążysz na czas wrócić do domu.

- Na pewno zdążę - roześmiała się.

Gdy wsiadłam do samochodu, natychmiast skupiłam się na szukaniu w torbie buteleczki z aspiryną. Poszukiwania okazały się bezskuteczne.

Wyrzuciłaś ją do śmieci, geniuszu, kiedy rano połknęłaś ostatnie trzy tabletki, skarciłam się ostro po dłuższej chwili. Miałaś kupić nową porcję gdzieś po drodze, pamiętasz?

Zegar mojej komórki wyświetlał 15.45. Nawet gdybym nie wstąpiła do apteki lub sklepu, i tak byłam skazana na spóźnienie.

Wycofałam samochód i przyśpieszyłam na długim podejździe Hennessych. Może ktoś w pracy będzie miał jakieś tabletki przeciwbólowe, pomyślałam.

Rozdział 7

- Porucznik Prewitt cię szuka - oświadczyła Tyesha, gdy weszłam.

- Spóźniłam się tylko pięć minut... - zaczęłam. - Och, cholera ciężka...

- zupełnie zapomniałam, że miałam przyjechać pół godziny wcześniej. - Jest u siebie?

Prewitt był w swoim pokoju, ale nie zostaliśmy tam. Na mój widok podniósł się zza biurka.

- Detektyw Pribek... - powiedział. - Chodźmy do sali konferencyjnej.
- Jasne...

Nie wspomniał ani słowem, że spóźniłam się trzydzieści pięć minut, ale nie ulegało wątpliwości, że doskonale o tym wie. Nie miałam śmiałości poprosić, żeby dał mi pięć minut na znalezienie aspiryny.

- W gruncie rzeczy mam panią tylko komuś przedstawić - rzekł, otwierając drzwi sali konferencyjnej.

Przy długim stole siedział mężczyzna. Podniósł wzrok i wstał z krzesła.

Zaskoczenie kazało mi zapomnieć o bólu ucha. To był ten sam człowiek, którego widziałam dwa razy - pierwszy raz na ulicy, gdy pracowałam przebrana za prostytutkę, drugi raz z Kilanderem. Z bliska okazało się, że ma szczupłą, zmęczoną twarz i że rzeczywiście jest dość młody, mimo nitek siwizny na skroniach. Tak, miał koło trzydziestu pięciu lat, moja wcześniejsza ocena była słuszna.

- Detektyw Sara Pribek - odezwał się Prewitt. - A to jest Gray Diaz, z biura prokuratora okręgowego w Faribault...

Okręg Faribault. Blue Earth.

Diaz obszedł swoje krzesło i podał mi rękę.

- Miło mi panią poznać, detektyw Pribek.
- Mnie także...

Puścił moją dłoń i skinął Prewittowi głową.

- Dzięki, Will. Prewitt wyszedł.
- Proszę, niech pani siada - rzekł Diaz.

Usiedliśmy. Miałam bardzo słabą nadzieję, że wyglądam trochę lepiej, niż się czuję.

- Jest pan prokuratorem? - zapytałam.
- Jestem oficerem dochodzeniowym z biura prokuratora

odparł. - Pracuję w okręgu Faribault od mniej więcej sześciu tygodni.

- Podoba się tam panu?

- Cóż, to spokojne, ciche miejsce - powiedział. - Dlatego zacząłem przeglądać stare akta...

Mała kropla potu rozpoczęła podróż od mojego karku w dół pleców.

Diaz położył przed sobą grubą tekturową teczkę.

- To jest sprawa, która została przesłana do naszego biura jakieś trzy miesiące temu, zanim zacząłem tam pracować. Akta dochodzenia przeprowadzonego przez biuro szeryfa oraz dowództwo lokalnej jednostki straży pożarnej.

- Royce Stewart - rzuciłam.

Nie było sensu czekać, aż sam wypowie to nazwisko.

- Tak.

Wydawało mi się, że w jego głosie zabrzmiała nuta zaskoczenia moją bezpośredniością.

- Te dokumenty od razu przykuły moją uwagę - ciągnął. - I oczywiście, gdy dowiedziałem się, że zna pani ludzi, którzy brali udział w tych wydarzeniach, a także same wydarzenia, doszedłem do wniosku, że powinienem z panią porozmawiać... - Postukał paznokciem w grubą tekturę. - Myślę, że zaczniemy od przypomnienia sobie podstawowych faktów. Proszę poprawić mnie, gdybym coś pokręcił.

Otworzył teczkę i odczytał telegraficzną wersję życiorysu Stewarta.

- W chwili śmierci Royce Stewart miał dwadzieścia pięć lat. Większą część życia spędził w okręgu Faribault, wielokrotnie aresztowany i karany wyrokami za niemoralne zachowanie i publiczne obnażanie się; jeszcze jako niepełnoletni aresztowany za zaglądnienie przez okna do domu samotnej kobiety - zarzuty wycofano..Mając dwadzieścia cztery lata, wyjechał do Minneapolis, gdzie był karany za jazdę w stanie nietrzeźwym. Niedługo później został aresztowany i oskarżony o zgwałcenie

i zamordowanie Kamarei Brown, córki detektyw Genevieve Brown z biura szeryfa okręgu Hennepin, pani partnerki... -Diaz przerwał i pociągnął łyk wody ze stojącej przed nim szklanki. - Sprawa została umorzona z powodów technicznych i Stewart wrócił do Blue Earth. W październiku straż pożarna została wezwana na posesję, gdzie przemieszkiwał. Budynek spłonął, następnego dnia znaleziono w nim zwłoki Stewarta... -Przewrócił kartkę, chociaż byłam przekonana, że doskonale pamięta wszystkie szczegóły. - Niecałe osiem godzin po pożarze na posterunek policji w Mason City w stanie Iowa zgłosił się były detektyw policji metropolitalnej, Michael Shiloh, i przyznał się do zamordowania Stewarta. Zdumiewające było to, że Shiloh zapewniał, iż zabił Stewarta tydzień przed pożarem - utrzymywał, że przejechał go skradzioną półciężarówką na drodze pod Blue Earth. Dochodzenie potwierdziło, że Shiloh rzeczywiście ukradł samochód, ale wpadł w poślizg i w wyniku wypadku doznał poważnego urazu głowy, co negatywnie wpłynęło na jego zdolność zapamiętywania oraz kojarzenia faktów. Obawiając się aresztowania za swoją „zbrodnię”, Shiloh wyruszył pieszo na południe, unikając kontaktu z ludźmi, i ostatecznie oddając się w ręce policji w Mason City. Według biegłego psychologa jego pewność, że zabił Stewarta, wynikała z urazu głowy oraz z poprzednich wielokrotnych wizualizacji wprowadzenia zamiaru w czyn. Michael Shiloh przyznał się do kradzieży samochodu i obecnie odbywa karę w więzieniu stanowym w Wisconsin... - Diaz napił się wody. - Bardzo interesująca historia...

- Chciał pan, żeby poprawiła pana, gdyby podał pan jakieś fakty w nieprawidłowy sposób - odezwałam się. - Ten raport nie uwzględnia dwóch rzeczy...

Diaz uniósł brwi w wyrazie uprzejmego zdziwienia.

- Słucham...

- Shiloh odstąpił od zamiaru zamordowania Stewarta, chociaż zrobił to dopiero w ostatniej chwili.

Skinął głową, manifestując gotowość poważnego potraktowania moich słów.

- Skąd bierze się pani przekonanie?

- Bo mi o tym powiedział.

- Ale nie mamy niezależnego świadka, który mógłby to potwierdzić - oświadczył Diaz. - Polega pani wyłącznie na słowie męża.

Nie była to prawda. Opierałam się także na słowach Royce'a Stewarta, wypowiedzianych tuż przed śmiercią.

- Tak czy inaczej, nie ma to znaczenia w sprawie śmierci Stewarta - podjął. - Prowadzący dochodzenie nie mieli wątpliwości, że dom Stewarta został celowo podpalony, ofiara zaś zginęła przed pożarem. Sprawy nie umorzono z powodu braku dowodów popełnienia zbrodni, problem polegał na tym, że zabrakło dowodów wskazujących na osobę sprawcy. Zaraz po przeczytaniu dokumentacji doszedłem do wniosku, że moi koledzy zbyt pochopnie uznali, iż zbrodni nie dokonał oczywisty podejrzany...

Milczałam.

- Automatycznie uwolnili od podejrzeń człowieka, który sam przyznał, że przybył do Blue Earth z zamiarem zabicia Royce'a Stewarta. Człowieka, który nie miał alibi na czas śmierci ofiary.

- Podejrzewa pan Shiloha? - zapytałam.

- Pani mąż z całą pewnością jest osobą, którą warto się bliżej zainteresować.

W języku organów ścigania „osoba, którą warto się bliżej zainteresować”, ma się do „podejznanego” mniej więcej tak jak tropikalna burza do huraganu.

- To niemożliwe - pokręciłam głową. - Dowody wykluczają jego udział w zabójstwie.

Wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że Shiloh nie zabił Stewarta, a także znałam wszystkie dowody, które przekonały prowadzących dochodzenie, że nie mógł tego zrobić. Uraz

i kontuzje, jakich doznał, rozbita ciężarówka, siedmiodniowa luka między niedoprowadzoną do końca próbą zabicia Stewarta i śmiercią tego ostatniego - wszystko to świadczyło, że Shiloh nie miał nic wspólnego z zabójstwem.

- Jest pani pewna? Istnieje dziewięciogodzinna luka między zabójstwem Stewarta i pojawieniem się Shiloha w Mason City. To dość czasu, aby przebyć niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Pieszko? - spytałam.

- Nie, samochodem lub ciężarówką. Wprawdzie nikt nie zgłosił nam, że podwiózł Shiloha do Mason City, ale to nie znaczy, że tak nie było...

- Nawet biorąc pod uwagę tę dziewięciogodzinną lukę, nie można zapominać o siedmiodniowej luce między wypadkiem Shiloha i jego pojawieniem się w Mason City - powiedziałam. - Trudno zbudować sprawę opierając się o...

Przerwałam, ponieważ nagle coś sobie uświadomiłam.

- Tak? - ponaglił mnie Diaz.

Nie odpowiedziałam mu od razu. Teraz nie miałam już cienia wątpliwości, że ten człowiek prowadzi grę, a ja włączyłam się do niej, chociaż nie powinnam była tego robić.

- Rozmawiał pan już z Shilohem w więzieniu? - zapytałam.

- W tej chwili nie mogę ujawniać wszystkich szczegółów dochodzenia...

- Nie rozmawiał pan z nim - odpowiedziałam sama na swoje pytanie. - Ponieważ wcale nie interesuje pana Shiloh, tylko ja. Odwraca pan moją uwagę, udając, że to Shiloh jest pańskim podejrzanym. Chce pan, żebym zaczęła go bronić i podważała kolejne punkty tego fikcyjnego oskarżenia tak długo, aż wreszcie zdradzę się ze znajomością jakiegoś szczegółu, którego nie mogłabym znać, gdybym nie zabiła Shorty'ego... - Tak brzmiała ksywa Stewarta, uwieczniona na tablicach rejestracyjnych jego samochodu. - I to jest drugi fakt,

który pominął pan w swoim raporcie - nawet nie wspomniał pan, że w noc śmierci Stewarta byłam w Blue Earth i rozmawiałam z nim w barze, a przecież to czyni mnie podejrzaną, prawda? Pan nie zadaje mi pytań ani mnie nie przesłuchuje, tylko udaje, że chce rozmawiać ze mną jak ze współuczestnikiem dochodzenia...

Ta taktyka sprawdza się nawet w przypadku ulicznych przestępców. Rozmawiając z podejrzanymi, detektywi czasami proszą ich, aby przedstawili „prawdopodobną” wersję wydarzeń i powiedzieli, co oni by zrobili, gdyby popełnili przestępstwo, o którym mowa. Jeżeli podstęp działa, przestępca opuszcza gardę i zdradza się ze znajomością istotnego szczegółu.

- Najlepiej od razu odpowiem na pytanie, którego pan nie zadał. Nie zabiłam Royce'a Stewarta. Byłam w Blue Earth i w barze, rozmawiałam ze Stewartem, ale nie zabiłam go.

- Nie zamierzałam pani obrazić, detektyw Pribek - powiedział Diaz. - Wykonuję swoją pracę, to wszystko...

Miał rację, niepotrzebnie zaatakowałam go tak ostro. Ból ucha doprowadzał mnie do szału.

- Przepraszam - podniosłam rękę. - Wiem, że nie robi pan tego ze złej woli... Jestem przeziębiona i dokucza mi ból ucha. Możemy zrobić chwilę przerwy? Chciałabym łyknąć aspirynę, a nie mam przy sobie...

- Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyśmy pociągnęli podstawową linię rozumowania, skoro już zaczęliśmy...

Kolejna zasada prowadzenia przesłuchań - nie dać podejrzanemu czasu na zebranie myśli, kiedy atmosfera zaczyna się zagęszczać.

- Pomówmy o tej nocy, kiedy pojechała pani do Blue Earth - powiedział Diaz. - Jaki był cel tej wyprawy?

- Uświadomiłam sobie, że Shiloh ukradł i rozbił półciężarówkę. Rozumiałam motyw jego działania - pragnienie przejechania Stewarta, ale wiedziałam, że nie przeprowadził tego planu do końca, ponieważ Shorty wciąż jeszcze żył. Zresztą to

właśnie Stewart był podejrzany o kradzież samochodu, bo to jego odciski palców znajdowały się na drzwiach pikapu. Nie rozumiałam tylko, co stało się z Shilohem po wypadku...

- Więc pojechała pani tam.

- Tak, żeby porozmawiać z Shortym...

Moje ucho pulsowało w rytm uderzeń serca, które biło nieco szybciej niż normalnie.

- Skąd pani wiedziała, że będzie w tym barze?

- Nie wiedziałam na... Och! Boże!

Teraz wykonało jakąś zupełnie nową sztuczkę. Usłyszałam pyknięcie, potem szum, coś jakby trzaski przy zakłóceniach statycznych. Czasami ludzie mówią, że w czasie startu samolotu i schodzenia do lądowania zatykają im się uszy, ale to chyba nie było to samo. Wyobraziłam sobie pokryty bąblami bębenek ucha - może to jeden z nich pękł z cichym trzaskiem.

- Ucho? - spytał Diaz.

- Tak... - przyznałam, bezskutecznie pocierając małżowinę.

- Postaramy się szybko to skończyć - zapewnił mnie. - Mówiła pani, że...

- Że nie wiedziałam na pewno, czy Shorty będzie w barze, lecz słyszałam, że spędzał tam dużo czasu.

- I miała pani szczęście. O czym rozmawialiście?

- Chciałam sprawdzić, co wie o zniknięciu Shiloha, ale nie chciał mi nic powiedzieć.

- I co pani wtedy zrobiła?

- Pojechałam do Mankato, gdzie u swojej siostry i szwagra mieszkała w tym czasie Genevieve, moja partnerka. Wiedziałam, że będę mogła tam przenocować.

W drugiej klasie szkoły średniej poznawaliśmy budowę ucha. Usiłowałam pozbyć się wizji mojego własnego bębena, podobnego do wzdętego, ciemnoróżowego balonika, wypełnionego płynem i z każdą godziną coraz bardziej pęczniejącego.

- Nie pojechała pani wcześniej do domu Stewarta?

Była to potencjalna pułapka. Do tej pory mówiłam prawdę, chociaż nie całą. Nie musiałam kłamać. Teraz musiałam zboczyć z prostego szlaku.

- Nie - odparłam.

- Podróż samochodem z Minneapolis do Blue Earth trwa prawie trzy godziny. - Diaz postukał długopisem o brzeg stołu. - Przejechała pani tę sporą odległość, znalazła Stewarta w barze, a gdy nie chciał rozmawiać o pani mężu, po prostu wsiadła pani do wozu i odjechała? Wydaje mi się, że trochę za łatwo się pani poddała...

Znowu zatrzeszczało w uchu. Tym razem odgłosy do złudzenia przypominały trzaski statyczne.

- Shorty powiedział mi, cytuję, że: „gówno wie”. Nie mogłam nic na to poradzić.

- Więc pani wersja przedstawia się następująco: przyjechała pani do Blue Earth, zamieniła parę słów z Shortym w barze i udała się do Mankato, tak?

- Tak było.

Zasadniczo powiedziałam Diazowi prawdę. Przemilczałam tylko udział Genevieve, która przyjechała za mną do Blue Earth, niezauważona przez nikogo, niczym złowrogi cień.

Diaz potrząsnął głową jak nauczyciel rozczarowany marnymi postępami ucznia, który zawiódł jego oczekiwania. Powoli schował wszystkie dokumenty do tekturowej teczki.

- Cóż, na razie to chyba wszystko...

Kiedy wstałam z krzesła, ucho zakłuło mnie mocniej, a przed oczami zobaczyłam czerwonoszarą mgiełkę.

- Och, zapomniałem o czymś... — rzekł Diaz. - Czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego ktoś tamtej nocy mógł zobaczyć panią i pani samochód pod domem Stewarta?

Stałam nieruchomo, starając się odzyskać jasność wzroku. Pytanie Diaza bynajmniej mi w tym nie pomogło. Weź się w garść, powiedziałam sobie ostro. Oddychaj.

- Myślę, że nie jestem jedyną wysoką, ciemnowłosą oso-

ba, która jeździ nową z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku - powiedziałam.

Czerwonawa mgła rozwiała się, świat znowu przybrał naturalne barwy.

- Rozumiem - rzekł Diaz. - Dziękuję za pomoc, detektyw Pribek.

Pytania typu: „Czy istnieje jakiś konkretny powód, dlaczego...” należą do klasyki przesłuchań. Tak sformułowane pytanie sugeruje, że oskarżenie ma świadka, ale nie mówi tego wprost. Przesłuchiwany ma wpaść w pułapkę i zacząć się niezdarnie tłumaczyć, potwierdzając w ten sposób podejrzenia przesłuchującego.

Znałam ten podstęp, ale to bynajmniej nie łagodziło mojego lęku. Gdyby Diaz miał więcej dowodów, nie ukrywałby tego, powtarzałam sobie w toalecie, gdzie w końcu łyknęłam dwie tabletki środka przeciwbólowego i obmyłam twarz, bardzo ostrożnie, by zimna woda nie dostała się do ucha.

Kiedy podniosłam głowę i spojrzałam w lustro, moja twarz błyszczała od potu i wody, opadające na czoło pasma włosów były wilgotne. Gdyby nie ubranie i pistolet w szelkach pod pachą, można by śmiało wziąć mnie za gruźliczkę w ostatnim stadium choroby, konającą powoli w jakimś dziewiętnastowiecznym szpitalu. Uważnie popatrzyłam na swoje odbicie i wreszcie przyjąłam do wiadomości fakt, z którym powinnam była zmierzyć się już wcześniej: musiałam pójść do lekarza. Była to najgorsza rzecz, jaka mogła mi się zdarzyć.

Eksperci od lotnictwa zawsze twierdzą, że w powietrzu jesteśmy bezpieczniejsi niż na ziemi, a badania statystyczne potwierdzają ich słowa. A jednak w każdej hali odlotów można zobaczyć jakiegoś nieszczęśnika, siedzącego na plastikowym krzeselku z łokciami opartymi na kolanach, dłońmi zwisającymi bezwładnie i nisko spuszczoną głową. Jest to postawa

prawie modlitewna, zupełnie jakby wspomniany biedak czy biedaczka szykowali się do zrobienia najbardziej niebezpiecznej rzeczy, jaką można sobie wyobrazić. Nie da się zresztą zaprzeczyć, że ofiara aerofobii właśnie w taki sposób postrzega konieczność wzniesienia się w powietrze.

Tak to już jest z fobiami. Nie ma znaczenia, że lęk jest całkowicie irracjonalny. Czasami ostrzegający przed zagrożeniem instynkt włącza się zupełnie bez powodu i nie chce zamilknąć wbrew pocieszającym statystykom i osobistym zapewnieniom. Dla mnie odpowiednikiem hali odlotów na lotnisku jest poczekalnia przed gabinetem lekarza. Za pięć piąta weszłam do ogólnie dostępnej przychodni w centrum, zapisałam się na wizytę i przyjąłam odpowiednią pozycję. Po lewej stronie miałam krępego mężczyznę w robotniczym kombinezonie, z brudną od farby komórką za pasem, który spokojnie wyglądał przez okno na ulicę.

Otworzyły się drzwi do gabinetu.

- Washington? - zawołała pielęgniarka.

Malarz podniósł się z krzesła i ruszył do drzwi. Odetchnęłam z ulgą. Jeszcze nie moja kolej...

Wyrzesałam przez okno. W radiu podali, że czeka nas pogorszenie pogody, i rzeczywiście przez grube szyby zobaczyłam gromadzące się na horyzoncie żółtawe chmury. Na szczęście były jeszcze dość daleko.

Drzwi otworzyły się znowu.

- Pribek?

Podniosłam się. Kolana mi drżały. Nie patrząc na pielęgniarkę, odwróciłam się i ruszyłam do drzwi, do wyjścia na świat. Stałam na gumowej wycieraczkę, dwa panele z przezroczystego plastiku rozsunały się automatycznie. Nogi uginały się pode mną, jakby za chwilę miały odmówić mi posłuszeństwa. Podświadomie oczekiwałam, że ktoś spróbuje mnie zatrzymać, że pielęgniarka krzyknie: „To ona!”, i wezwane przez nią posiłki pośpiesznie zawloką mnie do gabinetu.

Ale nic takiego się nie stało i po sekundzie stałam już w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Moje nogi odzyskały siłę i ruszyłam prosto do samochodu.

W domu wytrzymałam kolejne dwie godziny, rozgrzewając ręczniki w suszarce i robiąc z nich ciepłe okłady na ucho. Później wpadłam na pewien pomysł.

Rozdział 8

- Wyglądasz zupełnie inaczej niż poprzednio - zauważył Cisco.

Włożyłam najstarsze dzinsy, sprane do aksamitnej miękkości, pulower Shiloha w niebiesko-pomarańczowe pasy, grube skarpety i buty do gry w kosza. Cisco lustrował mnie baczным spojrzeniem przez szparę w drzwiach, nie opuszczając łańcucha. Odezwał się dopiero, kiedy wyczytał z mojej twarzy, że nie wszystko jest w porządku.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Nie - odparłam. - Mogę wejść?

Odbyła się ta sama operacja co przed paroma dniami - Cisco zamknął drzwi, zdjął łańcuch i cofnął się w głąb korytarza, żeby mnie wpuścić.

- Co się stało?

- Ucho strasznie mnie boli - powiedziałam. - Zaczęło kilka dni temu, tak jak pan przewidywał, i od tej pory nie przestaje. Nie jestem pewna, czy to tylko z powodu przeziębienia. W zeszłym tygodniu wpadłam do kanału odpływowego, z głową. Woda nie była chyba zbyt czysta...

Mówiłam szybko, przerażona, że odeśle mnie z niczym.

- Mógłby pan je obejrzeć? - zakończyłam.

- Wejdz do pokoju i usiądź na stole - powiedział. Podjechał po notatki do szafy, umył ręce i wyjął przyrządy.

Nie wiem, dlaczego w gabinecie Cisca czułam się bezpieczniej niż w klinice - tak czy inaczej, tutaj przynajmniej panowałam nad strachem.

Podobnie jak wcześniej Cisco najpierw zmierzył mi ciśnienie.

- Trochę podwyższone... - oparł kciuk na przegubie mojej ręki, zanotował tempo pulsu w żółtym notatniku i wyjął otoskop z szafki. - Które ucho? - spytał.

- Lewe...

Kiedy wsunął mi małą, kwadratową końcówkę instrumentu do ucha, podskoczyłam lekko i skrzywiłam się.

- Spokojnie - powiedział.

Zamknęłam oczy i spróbowałam się rozluźnić. Jego oddech poruszał włosami, które opadły mi na ramię.

Cisco wyjął otoskop i cofnął się trochę. Na jego twarzy dostrzegłam wyraz prawdziwego zaniepokojenia.

- Jeśli dobrze pamiętam, mówiłem ci, żebyś zgłosiła się do przychodni, gdyby ucho zaczęło ci dokuczać...

- Wiem.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Miałam nadzieję, że samo przejdzie... - wymamrotałam niepewnie.

- Nie przeszło - rzekł. - Teraz bębenek wymaga nakłucia...

- Ale może pan to zrobić tutaj, prawda? - Byłam tak zmęczona bólem, że perspektywa nakłucia bębienka igłą z trudem do mnie docierała.

- Potrafię to zrobić, ponieważ przeszedłem odpowiednie szkolenie - powiedział powoli. - Nie mam tu jednak idealnych warunków...

Podniosłam torbę z podłogi i wyjęłam z niej zwitek banknotów.

- Mam tu trzysta dolarów. - Na półce przy drzwiach położyłam pieniądze, które wypłaciłam po drodze z bankomatu.

- Nie chodzi mi o pieniądze. Taki zabieg powinno się przeprowadzić w dobrze wyposażonym gabinecie.

- Nie mogę - odparłam.

Cisco ze zniecierpliwieniem postukał czubkiem palca w poręcz fotela.

- Dlaczego nie, na miłość boską?

- Nie lubię gabinetów lekarskich. Ja... Boję się ich.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. - Strach sprawił, że nie bardzo umiałam wyrazić swoje uczucia. - Proszę, niech mi pan pomoże... -zakończyłam. - Nie mogę iść do innego lekarza...

Byłam prawie pewna, że odmówi. Miał swoje zasady, powiedział mi o tym poprzednim razem, ale teraz w jego oczach pojawił się nowy wyraz - może było to współczucie, może zaskoczenie, nie miałam siły się nad tym zastanawiać.

- Będzie bolało - rzucił.

Więc jednak nie zamierzał odprawić mnie z kwitkiem...

- Jakoś sobie z tym poradzę - wyjęłam z torby butelkę whisky, którą także kupiłam po drodze.

Cisco pochylił głowę i potarł grzbiet nosa palcami.

- Dobry Jezu... - westchnął. - Chcesz szklanę?

- Nie.

- Napij się - polecił. - Tyle, ile zdołasz. Muszę się przygotować.

Podjechał do szafki pod ścianą i otworzył szufladę. Zamknęłam oczy i pociągnęłam duży łyk alkoholu. Słyszałam, jak mył ręce i podzwaniał instrumentami. Gdzieś za ścianą zaszczekał pies, w każdym razie tak mi się wydawało. Duży pies, sądząc po głosie. Niemożliwe, pomyślałam. W blokach nie wolno przecież trzymać psów. Napiłam się znowu.

- Skoro i tak musimy poczekać, aż alkohol zacznie działać, może powiesz mi, w jakich okolicznościach znalazłaś się w kanale odpływowym - zapytał, wciąż odwrócony do mnie plecami.

- Skoczyłam, żeby wyciągnąć dwójkę dzieciaków, które tam wpadły.

- No proszę, a myślałem, że dziwka o złotym sercu to postać z filmów i romantycznych powieści...

- Nie jestem dziwką.

Miałam wielką potrzebę wyjaśnienia tej sytuacji, chyba dlatego, że już i tak pokazałam mu swoje prawdziwe oblicze. Nie podobało mi się, że będzie miał o mnie fałszywe wyobrażenie.

- Nie jestem - powtórzyłam, kiedy nie odpowiedział.

- Rozumiem - odparł spokojnie. Nie wiem, czy mi uwierzył.

Gdy uznałam, że wypiałam już dosyć, ostrożnie wyciągnęłam się na stole do masażu. Zamknęłam oczy, zaczęło mi się kręcić w głowie. Kiedy podniosłam powieki, moje spojrzenie znowu padło na jego lekarski dyplom. C. Agustin Ruiz. Nie F., czyli nie Francisco. Bardzo dziwne, pomyślałam.

Cisco podjechał bliżej. Włosy nad czołem związał granatową bandaną, z tyłu ścisnął je gumką - zupełnie jak chirurg przed operacją, tyle że bez charakterystycznego czepka. W dłoni trzymał ręcznik.

- Jak się czujesz? - zagadnął.

- Jak to przed zabiegiem... - mruknęłam. Roześmiał się. Miał niski, przyjemny tembr głosu.

- Chyba nie jesteś jeszcze tak pijana, jak wymaga tego sytuacja. Napij się jeszcze trochę.

Posłusznie usiadłam i podniosłam butelkę do ust.

- Co się stało z dziećmi, które wyciągnęłaś z kanału?

- Nie wierzysz mi, co? - Coraz łatwiej było mi mówić to, co myślałam; nie czułam potrzeby dobierania odpowiednich słów. - Nie szkodzi, wcale mi nie przeszkadza, że tylko udajesz, że mi wierzysz... Starszy z braci przeżył, młodszy nie.

Cisco obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Słyszałem coś o tym w radiu - powiedział.

Tym razem nie miałam już wątpliwości, że mi uwierzył.

- Cisco to pełne imię? - zapytałam, podążając za kolejną myślą.

- Nie.

- Więc jak naprawdę masz na imię?

- Cicero - odparł. - Dość proste, ale wielu osobom ostatnia sylaba wydaje się niepotrzebna.

- Podoba mi się...

- Mój ojciec uwielbiał literaturę klasyczną. Bratu dał na imię Ulisses...

- przerwał na chwilę. - Myślę, że teraz jesteś już mniej więcej gotowa. Nie, nie, uspokój się... Najpierw muszę dokładnie oczyścić ucho.

Nie było to bolesne, ale drgnęłam, czując dotyk mokrej, chłodnej tkaniny. Aby odwrócić moją uwagę od swoich poczynań, Cicero rozpoczął monolog. Nie chciałam mówić mu, że to dość typowe dla lekarzy.

- Można powiedzieć, że masz szczęście - rzekł. - Dziesięć lat temu tylko otolaryngolog mógł przeprowadzić ten zabieg. W szkołach medycznych zaczęli uczyć go znowu w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wirusy i bakterie stały się odporne na antybiotyki. Od tamtej pory coraz częściej mamy do czynienia z przypadkami zapaleń ucha, których nie da się wyleczyć antybiotykami.

W jego głosie brzmiał ton, którego od dawna nie słyszałam. Ten pełen stanowczości spokój natychmiast skojarzył mi się z dziadkami indiańskich dzieci, które znałam w Nowym Meksyku.

Wyjął ręcznik. Moje ucho było wilgotne i chłodne.

- Teraz się połóż.

Spełniłam polecenie, układając się na prawym boku.

- Zamknij oczy, muszę włączyć jeszcze jedną lampę... -przyciągnął stożkowaty abażur z plastiku bliżej mojego ucha.

Żarówka, która w nim tkwiła, na pewno miała co najmniej sto watów, bo od razu poczułam intensywne ciepło na policzku

i szyi. Cicero ujął moją twarz w dłonie o pięknych, długich palcach.

- Unieś trochę głowę...

Podsunał miękki, złożony ręcznik, na którym oparłam policzek. Kątem oka zobaczyłam, że podnosi coś błyszczącego. Iglę. Wydawała się bardzo długa i lśniła złowrogo.

- Jeszcze coś... - zaczął. - Nie mam aspiratora, więc kiedy nakłuję ucho, przekręć głowę na bok, żeby wydzielina wypłynęła na ręcznik. Poza tym - to będzie bolało.

- Już mi mówiłeś - powiedziałam i po swoim głosie zorientowałam się, że rzeczywiście jestem pijana. - Nie musisz się tak nad tym rozwodzić...

- Mocno zagryź zęby i bądź cicho - ciągnął. - Nie chcę, żeby zjawili się tu gliniarze...

Za późno, pomyślałam i zachichotałam cienko, próbując stłumić śmiech. Cicero popatrzył na mnie dziwnie. Roześmiałam się głośno.

- Nie... - wykrztusiłam. - Akurat tego nie mogę ci obiecać...

- Jeżeli masz wątpliwości, to możesz jeszcze pojechać na pogotowie. Natychmiast przestałam się śmiać.

- W porządku - burknął. - Przekręć głowę, o tak... Zamknęłam oczy. Cicero położył dłoń na moich ustach.

- Nie ruszaj się...

Kiedy poczułam ukłucie, przez głowę przemknęła mi myśl, że dobrze zrobiłam, nie przyrzekając, że nie będę krzyczeć. Ból bez trudu przebił się przez mgiełkę alkoholowych oparów. Dłonie Cicera delikatnie odwróciły moją głowę, bo oczywiście zapomniałam o jego wskazówkach, a sekundę później gorący płyn wylał się z ucha na ręcznik.

- O Boże... - wyszeptałam, nie otwierając oczu. - Boże... Ponieważ leżałam na boku, instynktownie podciągnęłam

kolana do klatki piersiowej, przyjmując pozycję płodową.

- Trzymaj tak głowę, wszystko jest już w porządku - szepnął Cicero i mocno chwycił mnie za rękę.

- Zaraz zwymiotuję...

- Oddychaj głęboko.

Spróbowałam go posłuchać. Jeden głęboki oddech, drugi...

- Chcę usiąść - wymamrotałam z nadzieją, że zmiana pozycji zmniejszy mdłości.

Pozwolił mi i rzeczywiście mdłości zaczęły ustępować. Jeszcze kilka głębokich oddechów i już wiedziałam, że zdołam się opanować.

- Lepiej? - spytał.

- Tak.

- Chcesz iść do łazienki?

Spodziewałam się, że zobaczę małe pomieszczenie, w najlepszym razie wielkości garderoby, dlatego zaskoczyła mnie ta przestrzeń. Dopiero po chwili pomyślałam, że przecież nie ma w tym nic dziwnego, bo musi się tu zmieścić fotel Cicera. Wzdłuż ściany biegła metalowa poręcz, podobnie było w kabinie prysznicowej, gdzie większość miejsca zajmowała szeroka ława. Nie włączyłam światła w obawie, że zupełnie mnie oślepi, opłukałam tylko twarz nad umywalką, nie zamykając drzwi do korytarza.

Obok umywalki wisiał jeden ręcznik, myjki nie było. Zwilżyłam lewą stronę twarzy wodą, potarłam palcami kostkę mydła, a potem skórę. Ostrożnie opłukałam policzek i szyję, nie udało mi się jednak nie zmoczyć swetra.

Kiedy wyszłam, Cicero uprzątał stół. Chwilę patrzyłam na niego w milczeniu, niepewna, co powinnam powiedzieć.

- Czuję się dużo lepiej - skłamałam.

Jednak on przyglądał mi się z namysłem. Zmarszczyłam brwi.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Nie możesz usiąść za kierownicą w takim stanie.

- Wiem - odparłam szybko.

Ból podziałał na mnie otrzeźwiająco, ale to szybko minęło - nadal byłam pijana.

- Musisz się trochę przespać.

- Co, na twoim stole do badania pacjentów?

Cicero westchnął, zdjął bandanę z głowy i uwolnił włosy spod gumki.

- Nie - odrzekł powoli.

- Więc gdzie?

- Posłuchaj... - zaczął. - Zwykle nie składam pacjentom takich propozycji, ale chyba pozwolę ci się zdrzemnąć w mojej sypialni...

- Naprawdę?

Wyczułam, że ta perspektywa budzi w nim pewien niepokój, zresztą ze mną było podobnie, wiedziałam jednak, że ma słuszność. Nie mogłam prowadzić samochodu, dopóki nie wytrzeźwieję.

Jechał już w stronę sypialni, więc poszłam za nim. Otworzył drzwi i zapalił światło.

Wąskie łóżko przykryte było narzutą w cyfrowym odcieniu brązu, na ścianie wisiała duża, czarno-biała reprodukcja zdjęcia Ansel Adamsa, przedstawiającego łańcuch gór Yosemite. Spod łóżka wystawały dwa ciężarki do podnoszenia, chyba po dziesięć kilogramów sztuka. Przy ścianie stał niski stół, niewiele szerszy od półki, zastawiony rodzinnymi zdjęciami. Niektóre były dość stare, także czarno-białe.

- Ładnie tu... - odezwałam się.

- Tam mam gabinet - powiedział. - Tutaj jest mój dom. Weszłam za nim do środka. Po prawej stronie znajdowały

się przesuwane drzwi do garderoby, pokryte lustrem. Ujrzałam w nim odbicie pijanej, zagubionej policjantki i przestępcy o złotym sercu. Pośpiesznie odwróciłam wzrok.

- Włącz sobie lampkę na biurku - zaproponował. - Nie daje mocnego światła, więc nie będzie ci przeszkadzała, a jeżeli zechcesz ją zgasić, bez trudu sięgniesz do wyłącznika z łóżka.

Podeszłam do biurka i włączyłam lampę. Cicero zgasił światło pod sufitem i pokój pograżył się w złocistym, rozproszonym blasku.

- Możesz też zapuścić żaluzje, jeżeli masz ochotę, ale jesteśmy na dwudziestym szóstym piętrze i na pewno nikt nie będzie tu zaglądał. Ja zawsze śpię przy podniesionych żaluzjach.

Gdy zaczął cofać fotel ku drzwiom, odwróciłam się do niego.

- A ty? - zapytałam.

- Co ja?

- Nie zamierzasz chyba spać na stole, co? Zaśmiał się cicho.

- Nie, nie martw się. Zwykle kładę się dość późno.

- Ale...

- Jeśli poczuję, że muszę się położyć, obudzę cię i wyrzucę za drzwi. Nie jestem Matką Teresą.

Kiedy zamknął drzwi, rozebrałam się do bielizny. Zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam kłaść się do łóżka. Nagle wydało mi się to zbyt osobiste, ale z drugiej strony nie chciałam obudzić się za godzinę, nieprzykryta i zziębnięta.

Eksperymentalnie położyłam się na kołdrze i otuliłam ciepłym kocem. Był to kompromis, w którym mój otepiały od alkoholu i wyczerpany umysł dostrzegł jakiś sens. Wyłączyłam lampkę.

Jakiś czas później obudziłam się w ciemności. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Zza drzwi usłyszałam dorosłe męskie głosy, które napełniały mnie niezrozumiałym lękiem. Serce biło mi mocno i szybko, brutalnie wyrwane z sennego rytmu.

Wreszcie usłyszałam dwa znane mi słowa - *pecho* i *fiebre* - oraz głęboki kaszel dziecka. Poznałam głos Cicera Ruiza, zamknęłam oczy i znowu zapadłam w sen.

Gdy znowu podniosłam głowę, zorientowałam się, że minęło kilka godzin. Coś mnie obudziło. Rozejrzałam się i w przy-

ćmionym, migoczącym świetle ujrzałam niską sylwetkę Cicera, który właśnie stawiał zapaloną świecę na stole z rodzinnymi zdjęciami. Obok równym, spokojnym płomieniem paliła się druga świeczka.

- Co... - zaczęłam.

- Burza - powiedział. - Nie ma prądu. Pomyślałem, że się przestraszysz, jeżeli ockniesz się w obcym, ciemnym miejscu i nie będziesz mogła znaleźć drogi do drzwi...

Usiadłam twarzą do niego i nóg łóżka.

- Och... - mocno potarłam twarz. - Która godzina?

- Dochodzi druga.

- Przepraszam... - mruknęłam. - Trzeba było mnie obudzić...

- Obudziłaś się. Odpoczęłaś trochę?

- Tak, teraz naprawdę czuję się dużo lepiej. Mogę skorzystać z łazienki?

Cicero podał mi świecę. Zrzuciłam koc i stanęłam na niskiej platformie w nogach łóżka. Trochę za późno uświadomiłam sobie, że jestem w samej bieliźnie, lecz szybko się uspokoiliam. Cicero widział już niejedno, był przecież lekarzem. Wyjęłam świeczkę z jego ręki.

W łazience znalazłam pastę do zębów w szafce na lekarstwa. Posmarowałam odrobiną język, zęby i dziąsła, potem wyplułam ją, wypłukałam usta i obmyłam twarz zimną wodą. Ten zaimprovizowany rytuał sprawił, że znowu poczułam się jak normalny człowiek. Niewątpliwie nie bez znaczenia było to, że ostre klucie w lewym uchu ustało. Wprawdzie nadal było trochę obolałe, ale nie dało się tego porównać z dotkliwym bólem, który dręczył mnie przez cały poprzedni dzień. Ostrożnie spojrzałam w lustro. Spodziewałam się, że nie będę wyglądała najlepiej, ale ku mojemu zdziwieniu spojrzały na mnie czyste, nieprzekrwione oczy.

Wróciłam ze świecą do sypialni. Cicero obserwował mnie czujnie.

- Sprawdzasz, czy jestem trzeźwa, prawda? - uśmiechnęłam się.

- Chcę mieć pewność, że możesz prowadzić - powiedział. - Usiądź i porozmawiaj ze mną chwilę. Muszę uczulić cię na dwie bardzo ważne rzeczy.

Usiadłam na brzegu łóżka, a on podjechał bliżej.

- Po pierwsze, chcę zobaczyć cię za czterdzieści osiem godzin, żeby sprawdzić, czy ucho prawidłowo się goi.

Skinęłam głową, a on wziął ze stołu niewielką kartkę.

- Po drugie, masz tu receptę na antybiotyk. Istnieje spora szansa, że twój organizm poradzi sobie z tym bez penicyliny, ale zrobi to szybciej, jeżeli mu pomożemy.

- Wydawało mi się, że nie wypisujesz recept - zauważyłam.

- Ten bloczek recept przyniosła mi pacjentka. Nie chcę nawet wiedzieć, skąd je wzięła. Nie używam ich, lecz w tym wypadku zrobię wyjątek... - zamilkł na moment, jakby chciał dodatkowo podkreślić, że sprawa jest poważna. - Daję ci ją pod pewnymi warunkami. Przede wszystkim nie mów nikomu, że mam tu recepty - ja nigdy o tym nie mówię.

- Nie powiem - obiecałam.

- Poza tym powinnaś wiedzieć, że recepta na antybiotyk raczej nie wzbudzi podejrzeń w aptece. Nie są to leki szczególnie poszukiwane na czarnym rynku...

- Próbujesz mnie uprzedzić, że jeżeli pójdę z tą receptą do apteki, mogą mnie zamknąć?

- Jest to bardzo mało prawdopodobne. Zwykle fałszerze recept dają się przyłapać, ponieważ nie wiedzą, jak należy je wypisywać. Lekarze i farmaceuci komunikują się ze sobą we własnym języku, który niełatwo jest naśladować. Z tą receptą wszystko jest w porządku, ale wpisany przeze mnie numer licencji stracił ważność. Gdyby ktoś z apteki chciał wezwać policję, pójdzie na zaplecze, żeby zadzwonić, a potem będzie próbował zatrzymać cię aż do przyjazdu glin...

Co za paskudna historia, pomyślałam. Detektyw okręgu Hennepin przyłapaną na próbie realizacji sfalszowanej recepty...

- Więc jeżeli wydawanie leku będzie się przeciągać, jeśli powiedzą ci, że nie mogą go znaleźć, po prostu wyjdź - ciągnął Cicero. - A teraz mój drugi warunek - jeżeli cię przyłapią, nie dopuść, żeby do mnie trafili - przytrzymał receptę, jakby chciał ostatecznie dobić targu. - I tak mam już dosyć problemów, niepotrzebne mi jeszcze aresztowanie. Jeśli dasz mi słowo, że mnie nie wsypiesz, to mi wystarczy...

- Daję słowo - powiedziałam. Podał mi receptę.

- Ale właściwie dlaczego? - spytałam. - Dlaczego mi ufasz?

- Nie wiem - odparł. - Po prostu ci ufam, i tyle.

W pokoju zapadła cisza. Płomyki świec migotały, rzucając ruchliwe cienie na rodzinne zdjęcia - stół wyglądał trochę jak ołtarz ku czci przodków Cicera, chociaż co najmniej jedna fotografia na pewno pochodziła ze stosunkowo niedawnego okresu. Widniał na niej Cicero w stroju absolwenta akademii medycznej. Jego uśmiech był szczery i szeroki, i w niczym nie przypominał sztywnego grymasu, jaki niektórzy ludzie prezentują przed obiektywem, najbardziej uderzyło mnie jednak to, że Cicero mniej więcej o pół głowy górował nad otaczającymi go ludźmi.

Pół głowy wyższy, pomyślałam. Stał o własnych siłach. I był całkowicie sprawny.

- Ile miałeś wzrostu? - zapytałam, nie zastanawiając się nad własnymi słowami.

- Miałem? - powtórzył.

Moje policzki natychmiast oblał krwisty rumieniec.

- Przepraszam... - powiedziałam. - Chodziło mi o to...

- Metr dziewięćdziesiąt - odparł. - Byłem najwyższym mężczyzną w mojej rodzinie, najwyższym od wielu pokoleń...

- Nie chodziło mi...

- Wszystko w porządku - przerwał spokojnie.

Moje zażenowanie powoli znikło, lecz wciąż z uporem wpatrywałam się w swoje białe stopy.

- Powinnam już iść...

- Boisz się mnie dotknąć, Saro?

Było to uzasadnione pytanie. Siedzieliśmy bardzo blisko siebie, lecz ja starałam się, żebyśmy w ogóle się nie dotykali.

- Skądże znowu... - oburzyłam się słabo. - Badałeś mnie przecież, na miłość boską...

- Ale wtedy ja dotykałem ciebie - wyjaśnił cierpliwie. - To co innego. Czy przeszkadza ci to, że jestem sparaliżowany?

- Jestem mężatką - powiedziałam.

- Rozumiem... - rzekł cicho. - Nie nosisz obrączki i możesz nie wracać do domu do drugiej w nocy, ale kiedy zaczynam się do ciebie zalecać, nagle okazuje się, że jesteś zamężna...

- Mój mąż jest w więzieniu.

Nie uwierzył mi, widziałam to po jego twarzy.

- Dostał wyrok za kradzież samochodu - ciągnęłam. - Odsiaduje go w Wisconsin.

Wyraz twarzy Cicera nie zmienił się ani na jotę.

- W takim razie rzeczywiście powinnaś już iść — powiedział w końcu.

- Wcale nie chodzi mi o to, że jesteś sparaliżowany - oświadczyłam żarliwie.

Nie wiem, dlaczego wydawało mi się tak ważne, aby wzbudzić w nim tę pewność. Nachyliłam się i położyłam dłoń na jego udzie. Był to idiotyczny półśrodek, gest godny tchórza.

- Nie czuję tego, Saro - rzekł. - Nie musisz robić nic, co miałoby mi udowodnić, że jesteś otwartą osobą, ale jeżeli naprawdę zamierzasz mnie dotknąć, to raczej tam, gdzie będę w stanie poczuć twój dotyk - ujął moją rękę. - Pozwól, że coś ci pokażę...

Drugą ręką podciągnął koszulę.

- Wiele osób uważa, że ciało człowieka niepełnosprawne-

go dzieli wyraźnie wytyczona linia między czuciem i brakiem czucia, coś jakby linia oddzielająca strefę światła od ciemności na Księżycu, lecz w rzeczywistości bardziej przypomina to strefę zmroku na Ziemi...

Oparł moją dłoń na swojej klatce piersiowej.

- Tutaj czuję wszystko... - zsunął nasze połączone dłonie niżej. - Tu tylko zmianę temperatury, ale nie ucisk, a tu, jeszcze niżej, kompletnie nic.

Nie odrywając wzroku od jego twarzy, położyłam lewą rękę po drugiej stronie jego klatki piersiowej, a on oparł dłonie na moich biodrach i przyciągnął mnie do siebie. Nie mogłam zbliżyć się do niego, omijając fotel na kółkach, więc ostrożnie oparłam kolana po obu stronach jego ud, na brzegu siedzenia, tak że klęczałam przed nim.

Nie czuł się niepewnie czy źle z tego powodu, że musiał podnieść głowę, aby pocałować kobietę, i kiedy to zrobił, prawie natychmiast zanurzył język w moich ustach. Wstrząsnęło mną to - tak głęboki, intymny pocałunek wymieniony z obcym człowiekiem zaniepokoił mnie i jednocześnie podniecił. Poczułam, jak na samym dnie mojego brzucha coś porusza się gwałtownie - przypominało to skurcz mięśni, ale było znacznie cieplejsze.

Niewyraźne, przyćmione odbicie w drzwiach garderoby ukazywało mężczyznę, kobietę i fotel na kółkach - przesycony seksem obraz, w jakim nigdy nie spodziewałam się zobaczyć samej siebie. Mężczyźni zapraszali mnie już do swoich domów i łóżek, ale w chwili, gdy weszłam na fotel Cicera, zostałam zaproszona do samego centrum jego życia, można powiedzieć, że do centrum jego ciała. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Cicero Ruiz nie posiada wyjątkowej wiedzy co do tego, jak to jest, gdy człowiek staje się obiektem penetracji.

Kiedy obudziłam się trzeci raz, płomienie świec prawie zupełnie znikły w głębokich miseczkach z wosku. Dodatkowe

oświetlenie nie miało już znaczenia, bo za oknem niebo rozjaśniał poprzedzający świt ciemny błękit i w sypialni zrobiło się dużo jaśniej. Cicero spał tak blisko mnie, że czułam ciepło jego skóry. Było to miłe wrażenie, aż do chwili, gdy mój wzrok padł na starą koszulę Shiloha, zwisającą z oparcia fotela Cicera - wtedy nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie chłodno, jakbym patrzyła na mapę, z której nic nie jestem w stanie zrozumieć.

Wyśliznęłam się z łóżka, starając się poruszać jak najciszej i jak najostrożniej, chwyciłam recepcę i przekreśliłam klamkę w ten szczególny sposób, typowy dla ludzi, którzy zakradają się do sypialni albo z nich wykradają.

Cicero odezwał się, nie otwierając oczu. Jego głos był zachrypnięty od snu.

- To tylko odrobina ludzkich uczuć, Saro - powiedział. - Nie pozwól, żeby coś takiego zrujnowało ci tydzień...

Rozdział 9

Po ośmiu godzinach nieprzerwanego snu obudziłam się we własnej ciepłej, trochę dusznej sypialni, spragniona kilku rzeczy - zimnej wody, gorącego prysznica i czegoś do jedzenia, czegoś smacznego i trudnego do określenia. Najpierw zaspokoiliłam dwie pierwsze potrzeby. Zaskoczyło mnie, że ucho w ogóle mnie już nie bolało - czułam tylko przyjemną, ciężką pustkę, która czasami zastępuje ból, tak bywa, gdy szczególnie uciążliwa migrena wreszcie mija, wypuszczając ofiarę ze swoich szponów.

Włożyłam szorty i krótki podkoszulek, ponieważ na dworze panował upał, poszłam do kuchni i starannie przejrzałam skąpą zawartość lodówki oraz szafek. Nie miałam ochoty na

rzeczy, których organizm zwykle domaga się w podobnych sytuacjach, czyli na kofeinę, cukier, sól i czerwone mięso, zamknęłam więc lodówkę i wyszłam na podwórko za domem.

Po burzy niebo było rozkosznie czyste, zaledwie z kilkoma białymi, pierzastymi chmurkami na zachodzie. Słońce stało wysoko, lecz zwisające gałęzie wiązów przepuszczały tylko część promieni. Wiecznie niedożywiony syjamski kot sąsiadów wychynął z wysokiej trawy, przystanął, obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, uznał, że nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, i poszedł dalej. Stałam nieruchomo jeszcze chwilę, wpatrzona w przesłonięte zielonymi liśćmi wiązów niebo, potem otworzyłam drzwi piwnicy i zeszłam w chłodny, spowity pajęczynami mrok.

W piwnicy przechowywaliśmy rzeczy, które Shiloh nazywał „zapasami na wypadek Armagedonu” - jedzenie w puszkach, do spożycia tylko w razie jakiejś katastrofy, rozruchów, wprowadzenia stanu wojennego lub wybuchu wojny nuklearnej. Zawsze uważałam, że wszystko to - gotowe zupy z niską zawartością soli, mleko w proszku czy owoce w syropie - stanowi zbyt przygnębiające menu na wypadek końca świata.

- Powinniśmy tu mieć kilka butelek whisky, dobrego wina i zgrzewkę słoików z sosem czekoladowym - powtarzałam często.

Przeglądający półki Shiloh z sarkastycznym uśmiechem kiwał wtedy głową.

- Jasne - odpowiadał. - I może jeszcze powinniśmy wstawić tu łóżko, żebyśmy mogli oddawać się wszelkiego rodzaju perwersjom, gdy świat stanie w płomieniach...

Potem zerkał na mnie spod oka w sposób, który mi przypominał, że niewiele osób czerpie tak wielką przyjemność z niegodziwych rozkoszy jak bardzo pobożny kiedyś Shiloh, syn kaznodziei.

Och, cholera jasna... Oczywiście pamiętałam stale, że mieszkam sama, że mój mąż odsiaduje wyrok w więzieniu

w innym stanie, ale co jakiś czas nagle i niespodziewanie boleśnie uderzała mnie myśl: „Zaraz, zaraz, przecież Shiloha tu nie ma...”. Tymczasem właśnie dzisiaj za nic nie chciałam o tym myśleć.

Na szczęście coś prawie od razu odwróciło moją uwagę. Kiedy szłam w kierunku schodów ze słoikiem przecieru jabłkowego i gruszkami w puszcze w ręce, potknęłam się w słabo oświetlonym korytarzyku. Winowajczynią okazała się porzucona na podłodze stara i poobijana skrzynka z narzędziami, których używaliśmy raczej rzadko, w przeciwieństwie do obcęgów, młotka i śrubokrętów. Nie musiałam jej nawet otwierać, aby uświadomić sobie, że poza narzędziami znajduje się w niej coś jeszcze - nierejestrowany pistolet kaliber 25.

Dała mi go siostra Genevieve, Deb. Broń dostała się w jej ręce w dość niewinny sposób i była pamiątką z okresu, gdy Deb mieszkała i pracowała w niebezpiecznej dzielnicy St. Louis. Siostra Gen bardzo chciała się go pozbyć, a ja obiecałam, że załatwię to za nią, lecz zaraz potem zniknięcie Shiloha i inne kłopoty wyparły to zobowiązanie z mojej pamięci. Schowałam ten pistolet w piwnicy i kompletnie o nim zapomniałam. Teraz, biorąc pod uwagę, że byłam podejrzaną w sprawie Royce'a Stewarta, uznałam, że nie bardzo mogę po prostu zabrać pistolet do pracy i poprosić techników, aby go zniszczyli. Musiałam być ostrożna, zwłaszcza że w mieście wciąż przebywał Gray Diaz.

Stopą odsunęłam skrzynkę na bok i postanowiłam, że w najbliższym czasie zajmę się pistoletem, ale nie w tej chwili.

Na gorze pochłonięłam całą puszkę gruszek, posypawszy je odrobiną tartego cheddaru, i byłam już mniej więcej w połowie słoika przecieru jabłkowego, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

Firanki na oknie przy drzwiach były na wpół przejrzyste, więc bez trudu dostrzegłam barczystą męską sylwetkę. Był to detektyw Van Noord, z którym poprzedniego dnia rozmawiałam tuż przed wyjściem z pracy.

Otworzyłam drzwi.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Prewitt mnie przysłał - odparł Van Noord. - Miałem sprawdzić, czy jesteś w domu. Nie mogliśmy się do ciebie dodzwonić.

- Mam dziś wolne - powiedziałam. - Coś się stało?

Przyszło mi do głowy, że może wydarzyło się coś, co wymaga zmobilizowania wszystkich sił, ale w okolicy panował spokój, z oddali także nie dobiegało wycie syren.

- Nie, nic takiego - rzekł Van Noord. - Po prostu wczoraj wysłaś dość niespodziewanie, w środku zmiany, więc Prewitt trochę się zaniepokoił i kazał mi się dowiedzieć, co jest grane...

- Byłam chora... - lekko zmarszczyłam brwi. - Mówiłam ci przecież przed wyjściem, że potwornie bolało mnie ucho...

- Wiem, wiem, mówiłem o tym Prewittowi, ale jednak zależało mu, żebym do ciebie zajrzał, może dlatego, że później nie mogliśmy cię złapać ani pod numerem komórki, ani pagera...

- Dlaczego nie zadzwoniliście tutaj, do domu?

- Dzwoniliśmy, ale sygnał był ciągle zajęty.

- No tak, wyłączyłam telefon! - przypominałam sobie, że wczesnym rankiem wyjęłam wtyczkę z gniazdka. - Przepraszam, nie chciałam nikogo zaniepokoić...

Ale mimo wszystko coś tu było nie tak... Dlaczego właściwie Prewitt przysłał do mnie Van Noorda?

- Brakuje wam ludzi na zmianie? - zapytałam. - Czuję się już dużo lepiej, więc mogę przyjechać.

- Nie, nie! - zaprotestował gwałtownie. - Siedź w domu, wylecz to ucho, tylko nie wyłączaj komórki, dobra? Tak na wszelki wypadek, żebyśmy mogli cię złapać.

- Jasne - zgodziłam się.

Gdy odjechał, poszłam do kuchni i wyłączyłam telefon, potem nalałam sobie szklankę wody i popiłam pierwszą dawkę

antybiotyku. Kupiłam lek zaraz po wyjściu od Cicera, w całodobowej aptece, gdzie czekałam przy ladzie z nonszalancją tak wymuszoną i nienaturalną, że gdyby ktoś mnie obserwował, bez trudu by się domyślił, iż mam nieczyste sumienie.

Świat kompletnie zwariował, pomyślałam. Ja wykupuję lekarstwa na lewą receptę, a porucznik Prewitt rozsyła detektywów w celu sprawdzenia, jak czują się jego chorzy podkomendni... Najnormalniejszą osobą, z jaką miałam do czynienia w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, był Cicero Ruiz.

Cicero... Oto i problem.

W czasie naszej krótkiej znajomości widziałam, jak badał pacjentów i udzielał lekarskiej porady, ale także jak przeprowadzał coś w rodzaju nieskomplikowanej operacji, czy może raczej zabiegu. Byłam też świadkiem, jak wyjął z szuflady bloczek recept i okazał gotowość przepisania leku - miałam tylko jego słowo na to, że robi dla mnie wyjątek. Cicero obciążył się dowodami tak szybko i otwarcie, jakby odgrywał napisaną przeze mnie scenę, lecz ja nie mogłam go zdradzić, nie teraz. Sytuacja była wyjątkowo prosta - dałam słowo.

Zobowiązał mnie do milczenia, gdyby przyłapano mnie z nielegalną receptą w ręku, ale w gruncie rzeczy obiecałam mu coś znacznie więcej.

- Niepotrzebne mi tu najście policji - powiedział.

A ja odparłam, że nie wpakuję go w kłopoty z wymiarem sprawiedliwości.

Zresztą czy stałabym na solidniejszym gruncie, nawet gdybym tego nie zrobiła? Najważniejszą sprawą było moje zachowanie. Nie udawałam, że mam infekcję ucha, naprawdę tak było i przyjąłam medyczną opiekę z rąk Cicera, co musiało być etycznym odpowiednikiem zakupu kradzionych towarów od pasera lub zrobienia zakładu u lewego bukmachera. Następnie uczestniczyłam w puszczeniu w obieg fałszywej recepty i na domiar złego zaangażowałam się w związek natury seksualnej z podejrzanym...

Niezależnie od tego, co się zdarzyło, nie mogłam teraz oddać Cicera w ręce policji. Przekroczyłam zbyt wiele granic.

Rozdział 10

- Naprawdę strasznie mi głupio... - powiedziałam. Stałam na progu domu Hennessych. Marlinchen otworzyła

drzwi, drobniejsza, niż pamiętałam, w spranych dżinsach i malutkim T-shircie z obrysowaną ciemnoniebieską linią sercem na środku. Uprzejmie i cierpliwie wysłuchała mojego wyjaśnienia o chorobie, przez którą spóźniłam się na spotkanie dwadzieścia parę godzin.

Dopiero późnym wieczorem poprzedniego dnia przypomniałam sobie, że miałam przyjechać do Marlinchen i porozmawiać z nią o Aidanie. Poczułam się jeszcze gorzej, kiedy odsłuchałam nagrane na automatycznej sekretarce informacje i nie znalazłam wiadomości od Marlinchen, która najwyraźniej spisała mnie na straty jako osobę niezdolną poważnie potraktować jej problemów.

- Myślałam, że zmieniła pani zdanie. Kilka razy powiedziała mi pani, że sprawa Aidana wykracza poza jurysdykcję Hennepin, więc...

- Nie wystawiłabym cię tak po prostu do wiatru - odparłam. - Mogę wejść czy to nie najlepszy moment?

- Proszę bardzo... - odsunęła się na bok, żeby wpuścić mnie do środka.

- Wydawało mi się, że pracuje pani po południu i wieczorem...

- Tak, ale dziś mam wolne. Zresztą niedługo i tak wrócę na dzienną zmianę.

Marlinchen poprowadziła mnie do kuchni przez duży pokój, w którym byliśmy poprzednim razem. Wszędzie panowała cisza i spokój, lecz w powietrzu dawało się wyczuć, że

ten dom naprawdę żyje. Nie miałam cienia wątpliwości, że chłopcy są gdzieś na górze.

Kuchnia była w pewnym sensie zajęta, choć nie przez kogoś, kto gotowałby tu posiłek albo coś jadł. Na krześle, pod którego nogi podłożono grube tomy encyklopedii, siedział Donal, z ręcznikiem zarzuconym na ramiona. Na blacie leżały nożyczki, a na podłodze, wokół krzesła, widniały kosmyki jasnobrązowych włosów.

- Donal, pamiętasz detektyw Pribek... - powiedziała Marlinchen, sięgając po nożyczki.

- Dzień dobry - odezwał się Donal.

- Cześć - odparłam.

Teraz widziałam wyraźnie, że nie wygląda na swoje jedenaście lat - buzię nadal miał bardzo delikatną, o miękkich, dziecińczych rysach.

- Może zaczekam, aż skończysz strzyc Donalą, i wtedy porozmawiamy o... o sprawie, którą zaczęłyśmy omawiać dwa dni temu...

Ale Marlinchen potrząsnęła głową.

- Wszyscy moi bracia znają naszą sytuację - rzekła. - Możemy porozmawiać teraz.

- W porządku. Zaczniemy od pytania, dlaczego Aidan nie mieszkał w domu?

Marlinchen palcami przeczesła czuprynę Donalą, dostrzegła za długi kosmyk i przycięła go.

- Tata jest wdowcem - zaczęła. - Samotnie wychowywał piątkę małych dzieci i było mu naprawdę bardzo ciężko. Aidan był najstarszy i miał największe szanse na przystosowanie się do życia poza domem...

- Myślałam, że ty i Aidan jesteście bliźniętami... Uśmiechnęła się.

- Często nazywam go najstarszym - powiedziała. - Nie wiem dlaczego, bo urodził się zaledwie pięćdziesiąt siedem minut przede mną... - Przygładziła włosy nad uchem Donalą,

wyłowila gęste, za długie pasmo i skróciła je. - Czasami wynikają z tego zabawne sytuacje... Aidan musiał powtórzyć czwartą klasę i później dużo ludzi brało go za młodszego ode mnie.

Z jej słów niewiele wynikało, więc szybko wróciłam do podstawowego tematu.

- I Aidan został wysłany z domu tylko dlatego, że wasz ojciec miał za dużo dzieci?

- Ma pani dzieci, detektyw Pribek? - zagadnęła Marlinchen.

W jej głosie brzmiała nuta łagodnej wyższości, z jaką matki często zadają to pytanie niezamężnym znajomym.

- Nie - przyznałam.

- Ja też nie, oczywiście, ale wiem, że wychowanie pięciorga dzieci to bardzo, bardzo trudne zadanie dla samotnego rodzica. Tata starał się robić, co mógł, lecz nie dał rady, bo przecież prowadził też zajęcia i pisał. Poza tym czasami cierpi na bardzo dotkliwe bóle z powodu wady kręgosłupa. Zdarza się, że wypada mu dysk, i wtedy niemal nie może się ruszyć... -Na podłogę posypał się deszcz krótkich włosów. - Później dostał jeszcze wrzodów, chyba ze zbytniego napięcia, wywołanego pracą i koniecznością utrzymania rodziny.

- Mmmm... - zamruczałam wieloznacznie. - Kiedy ostatni raz mieliście wiadomości od Aidana?

- Aidan raczej nie kontaktuje się z nami - oczy Marlinchen utkwione były w nożyczkach. - Ostatni raz widziałam go przed jego wyjazdem do Illinois... - Spod jej ręki znowu sypnęły się lśniące włosy.

- Do Illinois? - powtórzyłam.

- Zanim pojechał do Georgii, mieszkał z naszą ciocią Brigitte pod Rockford w Illinois - wyjaśniła. - Pewnie byłby tam do tej pory, ale ciocia zmarła pięć miesięcy później i wtedy Pete Benjamin zaproponował, by Aidan zamieszkał z nim na farmie.

- W jakich okolicznościach umarła wasza ciotka?

- To był wypadek samochodowy.

- Czy twój ojciec i Pete Benjamin dobrze się znali? - zapytałam.

- Dorastali razem w Atlancie. Później Pete odziedziczył sporo ziemi i postanowił zająć się jej uprawą, a tata poszedł do college'u... - Ze skupieniem wyrównała włosy. - Tata uważał chyba, że Aidan dużo się nauczy, żyjąc na farmie, bo sam rzucił szkołę, mając dziewiętnaście lat, i zwiedził Amerykę wzdłuż i wszerz, imając się najrozmaitszych zajęć, także na wsi. Często powtarzał, że w czasie tej podróży nauczył się więcej niż w jakiegokolwiek szkole... - Ściągnęła w dół włosy po obu stronach głowy Donala. - Proszę spojrzeć, czy są równe?

Uważnie przyjrzałam się jej dziełu.

- Tak sędzę - powiedziałam. Marlinchen zdjęła ręcznik z ramion brata.

- Jesteś wolny, mały.

- Wreszcie... - westchnął Donal. - Mogę wziąć sobie loda?

- Chyba tak.

Donal wyjął z zamrażarki loda i wybiegł z kuchni.

- Czy Aidan miał w Georgii jakichś przyjaciół? - zapytałam. - Wiesz, czym się interesował i dokąd mógł pojechać?

Pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nic nie wiem. Może pan Benjamin nam pomoże...

- Dobry pomysł - uderzyłam otwartą dłoń w kolano. - Podaj mi jego telefon, dobrze? Przydałoby się też zdjęcie Aidana.

Na piętrze pierwszy pokój przy schodach należał do Marlinchen. Kiedy weszłyśmy do środka, usiadła po turecku przed łóżkiem, wyjęła spod niego drewnianą skrzynkę i podniosła wieczko.

- Chwileczkę, dobrze? - powiedziała.

Gdy ona przeglądała zawartość skrzynki, ja rozglądałam

się po pokoju. Panował tu porządek i ład, ale przecież trudno byłoby spodziewać się czegoś innego. Podwójne łóżko było gładko przykryte siatkową narzutą w kremowym kolorze. Pod oknem stało biurko, także pomalowane na kremowo, a z małego kubeczka sterczało wielkie strusie pióro. Był to uroczy drobiazg, ale nie miałam wątpliwości, że Marlinchen pracuje głównie na laptopie, który tkwił na środku biurka, wręcz nieprzyzwoicie nowoczesny.

- Piszesz? - zapytałam. - Chodzi mi o to, czy piszesz poza szkołą?

Potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od skrzyneczki.

- Liam pisze — rzuciła.

Na komódce stały dwie oprawione fotografie. Jedna przedstawiała Marlinchen z klasą na jakimś meczu, druga Marlinchen i jej trzech młodszych braci na brzegu strumienia. Jak na sypialnię nastolatki z klasy średniej była to wyjątkowo skromna kolekcja sentymentalnych drobiazgów. W czasie pracy nad sprawami osób zaginionych odwiedziłam kilka takich dziewczęcych pokoików i w zasadzie w każdym widziałam tak bogate wystawy zdjęć, że szczerze żałowałam, iż nie posiadam akcji firmy Kodak; były to fotografie z randek, balów i wycieczek szkolnych, spotkań z przyjaciółkami, urodzin, wakacji i tak dalej.

- O, proszę... - odezwała się Marlinchen. - Skoro patrzy pani na zdjęcia, to tu jest fotografia Aidana...

Polaroidowe zdjęcie ukazywało mniej więcej jedenastoletniego chłopca, który stał obok opony przymocowanej do rosnącej przy domu wierzby. Można było sądzić, że będzie wysoki, na pewno wyższy od ojca, pomyślałam. I Jeszcze coś, choć ten szczegół nie rzucał się w oczy: kiedy spojrzano się na opartą o huśtawkę dłoń, widać było ciemnoróżowy króciutki kikut w miejscu, gdzie powinien znajdować się mały palec. Poza tym Aidan Hennessy miał miłą, poważną twarz, jasne włosy i niebieskie oczy, zupełnie jak siostra.

- Nie masz nowszego zdjęcia brata? - zapytałam.

- Nie - odparła. - To niedobrze?

- Nie najlepiej. Dzieci najbardziej zmieniają się między dwunastym i siedemnastym rokiem życia - włosy im ciemnieją, a rysy stają się wyraźniejsze, bo wyłaniają się spod tego miłutkiego szczenięcego tłuszczyczku. Niektórzy przybierają na wadze albo chudną, farbują lub tleniają włosy, kolczykują się w rozmaitych miejscach i tak dalej...

- Nie sądzę, żeby Aidan zrobił coś takiego. Zresztą i tak zawsze łatwo go będzie zidentyfikować z powodu ręki.

- Masz rację. Jak to się stało, że stracił palec?

- Pogryzł go pies.

- Brrr... - skrzywiłam się. - Ile miał wtedy lat?

- Trzy, może cztery. Nie pamiętam dokładnie, jak to było, ale wiem, że spędził sporo czasu w szpitalu, a kiedy wrócił, bałam się go, właśnie przez tę rękę. Płakałam, kiedy się do mnie zbliżał, i nie chciałam się z nim bawić.

- Naprawdę? - zdziwiłam się, może bezsensownie, bo przecież mała dziewczynka mogła przeżyć wstrząs z powodu kalectwa brata. - Powiedz mi coś jeszcze. W jaki sposób dowiedziałaś się o ucieczce Aidana z farmy w Georgii?

- Ach, o tym... Zaraz po wylewie taty spędzałam dużo czasu w jego pokoju, przeglądałam papiery, dokumenty finansowe i tak dalej. Czytałam też jego e-maile. Na samym końcu listy znajdują się zawsze stare wiadomości, takie, których nie chce się usuwać, prawda?

- Znałaś hasło dostępu?

- Hasło automatycznie pojawia się przy logowaniu, w postaci gwiazdek.

Kiwnęłam głową.

- Musiałam więc tylko wywołać pocztę. - Marlinchen rozprostowała jedną nogę. - Nie czytałam wszystkich wiadomości, ale przy jednej z ostatnich zobaczyłam notatkę: „dotyczy Aidana”, więc otworzyłam ją i znalazłam wiadomość od Pete'a i odpowiedź taty.

Farmer z Internetem? Cóż, dlaczego nie...

- Obie wiadomości dotyczyły ucieczki Aidana. Wydawało mi się, że nie do końca uzgodnili, kto ma zgłosić jego zniknięcie policji, więc na wszelki wypadek sama zadzwoniłam do zastępcy szeryfa Fredericksa w Georgii...

Z mojej rozmowy z Fredericksem wynikało, że Pete Benjamin i Hugh Hennessy ustalili, iż Hugh sam zajmie się sprawą ucieczki Aidana z farmy, nie chciałam jednak w tej chwili wchodzić w te szczegóły.

- Fredericks powiedział mi, że Aidan już kiedyś uciekł do Minnesoty. Marlinchen skinęła głową.

- I ojciec odesłał go z powrotem do Georgii, tak? - spytałam.

Znowu krótkie kiwnięcie.

- Czy Aidan miał jakiś szczególny powód, aby uciekać z farmy?

- Nie.

- Jesteś pewna? - nie ustępowałam.

- Aidan bardzo tęsknił za domem, przyjechał tu, a tata go odesłał, to wszystko - przygryzła dolną wargę. - To, co powiedziałam wcześniej, że nic nie wiem o codziennym życiu Aidana, że nigdy nie dostawaliśmy od niego żadnych wiadomości... Rozumiem, że może się to wydawać dziwne, podobnie jak to, że Aidan mieszkał poza domem i że właściwie nie utrzymywaliśmy z nim kontaktów, ale... Widzi pani, śmierć matki naprawdę dużo zmienia w sposobie funkcjonowania rodziny. Trudno jest to zrozumieć, a ja chyba nie bardzo umiem wytłumaczyć, jak wyglądało nasze życie...

- Nie tak trudno, jak sądzisz - powiedziałam. - Moja matka umarła, kiedy byłam mała, a gdy skończyłam trzynaście lat, ojciec wysłał mnie do Minnesoty, do ciotki mamy, której nigdy wcześniej nie widziałam. Brzmi to okropnie, ale ostatecznie okazało się najlepszym wyjściem.

- Więc naprawdę rozumie pani, o czym mówię - w głosie Marlinchen zabrzmiała nuta ulgi. - Wiedziałam, że nie bez powodu czuję, iż mogę liczyć na pani pomoc...

- W gruncie rzeczy niewiele mogę zrobić - ostrzegłam ją. — Załatwię kilka rzeczy przez telefon i wyszukam pewne informacje w komputerze, to wszystko. Zajmie mi to mniej czasu niż tobie, ale nie pojedę do Illinois ani do Georgii...

- Wiem - zapewniła mnie pośpiesznie. - Będę wdzięczna za wszystko, co pani robi, naprawdę.

- W takim razie chciałabym porozmawiać teraz z twoimi braćmi - uśmiechnęłam się.

Colm wcześniej oglądał telewizję w dużym pokoju i kiedy tam weszłam, nadal na wpół siedział, na wpół leżał na sofie, ubrany w T-shirt i spodnie od dresu.

- Hej! - rzucił, nie podnosząc wzroku.

Duży ekran telewizora ukazywał strzelnicę z typową dla Wschodniego Wybrzeża masą bujnej zieleni w tle. Młodzi mężczyźni i kobiety w błękitnych koszulkach przewracali się, podnosili broń i oddawali serię szybkich strzałów do czarnych sylwetek celów.

- Program o Quantico - odezwał się Colm. - Tam szkołą agentów FBI...

- Wiem - odparłam.

Na moment zafascynował mnie ten obraz młodości, prawości i pięknej przyszłości, jaką zdawali się symbolizować przechodzący szkolenie. Znajdowali się na samym początku życia zawodowego, które dopiero otwierało się przed nimi, kuszące i pełne obietnic. Ten widok sprawił, że moje serce nagle stało się dziwnie ciężkie.

Potrząsnęłam głową, chcąc uwolnić się od niepożądanych skojarzeń.

- Mógłbyś na parę minut wyłączyć telewizor? - zapytałam. - Chcę tylko zadać ci parę pytań na temat brata...

Colm stoczył się z sofy, żeby sięgnąć po pilota, a ja usiadłam i otworzyłam notes.

- Kiedy ostatni raz miałeś kontakt z Aidanem?

- W dniu, w którym wyjechał.

- I od tamtej pory zupełnie nic? Żadnych listów, telefonów? Potrząsnął głową, ogryzając brzeg paznokcia.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co wiesz o Aidanie, jak sądzisz, dokąd uciekł?

Znowu potrząsnął głową.

- Dlaczego to właśnie Aidan został odesłany z domu? Możesz mi coś o tym powiedzieć? Dlaczego on, a nie on i Marlinchen razem albo któreś z młodszych dzieci?

Colm wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- I nic nie przychodzi ci do głowy?

- Miałem wtedy dziewięć lat, nikt nie opowiadał mi o rodzinnych sprawach.

- Dzięki - powiedziałam, zamykając notes.

- To wszystko? - zapytał z zaskoczeniem.

- Wszystko.

- Nawet nic pani nie zanotowała...

- Zwykle nie zapisuję uwag typu: „Nie wiem” i „Miałem dziewięć lat”.

Rzucił mi niepewne, chyba trochę onieśmiałe spojrzenie.

- Cóż możesz mi powiedzieć, skoro nie kontaktowałeś się z Aidanem od czasu jego wyjazdu?

Włączył telewizor. Szkoleni agenci uczyli się teraz, jak otwierać i czyścić broń. Pomyślałam, że sposób działania organów ścigania pewnie fascynuje Colma, podobnie jak wielu chłopców w jego wieku.

- W Quantico naprawdę można nauczyć się dobrze strzelać - powiedziałam.

Jasnoniebieskie oczy Colma znowu spoczęły na mojej twarzy.

- Jakiego pistoletu pani używa?

- Smith & Wesson, kaliber 40.

- Nie za duży dla kobiety?

- Słucham? - Uniosłam brwi, chociaż doskonale słyszałam, co powiedział.

Wzruszył ramionami.

- To duży pistolet... - wymamrotał.

Już miałam go poinformować, że w akademii policyjnej zajęłam drugie miejsce na liście najlepszych strzelców, gdy nagle dotarło do mnie, że wdawanie się w pyskówki z nastoletnimi chłopcami to zajęcie poniżej godności detektywa, i w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

- Interesuje cię strzelanie? - zapytałam spokojnie.

- Nieszczerólnie - odrzekł. - Tata nie znosił broni palnej, nigdy nie chciał mieć w domu nawet wiatrówki... Zresztą to bez znaczenia, bardziej interesują mnie techniki walki bliskiego kontaktu...

- Walki czym? - zagadnęłam. - Pilotem telewizyjnym? Nuta lekko pogardy w jego głosie sprawiła, że straciłam

cierpliwość. Colm pierwszy raz popatrzył na mnie uważnie, zupełnie jakby ugryzło go stworzenie, którego nie podejrzewał o posiadanie zębów. Zacisnął wargi, wyraźnie zażenowany.

- Nie, mam worek treningowy - odparł po chwili milczenia. - I ciężarki. Często ćwiczę w garażu.

Liam Hennessy'ego znalazłam przy komputerze w gabinecie ojca. Powiedział mi w zasadzie to samo co Colm, tyle że okazał się nieco bardziej rozmowny. Liam także nie rozmawiał i nie korespondował ze starszym bratem od czasu wyjazdu tego ostatniego do Illinois. On również uważał, że Aidan został odesłany z domu, ponieważ ojciec z trudem radził sobie z wychowaniem pięciorga dzieci.

- I nie dziwi cię, że nie przyjeżdżał do domu na letnie wakacje i na ferie? - zapytałam.

Liam spojrział na ekran komputera, jakby tam szukał odpowiedzi. Błękitnawe światło odbiło się w szklach jego okularów.

- Lato to ważny okres na farmie - zauważył. - Jestem pewny, że Pete potrzebował wtedy pomocy Aidana, a jeśli chodzi o ferie, to tata chyba uważał, że Aidan powinien przywyknąć do życia w Georgii i nauczyć się traktować farmę jak własny dom.

- I tak bez chwili przerwy przez całe pięć lat? To strasznie długi okres nieobecności w domu, prawda?

Liam powoli kiwnął głową. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że czuje się bardzo niepewnie.

- Żałuję, że nie potrafię powiedzieć pani nic więcej, ale byłem wtedy jeszcze mały i nikt nie wyjaśnił mi tej sprawy...

- W porządku - westchnęłam. - Jeżeli przyjdzie ci do głowy coś jeszcze...

- Na pewno dam pani znać - dokończył pośpiesznie. Podniosłam się z krzesła. Liam położył już dłonie o długich

palcach na klawiaturze, jakby nie mógł się doczekać, kiedy znowu ucieknie w świat, o którym pisał, kiedy mu przerwałam. Pomyślałam nagle, że chyba to nie praca domowa pochłania go aż do tego stopnia - Marlinchen powiedziała mi przecież, że właśnie Liam miał pewne ambicje literackie. Przystanęłam w progu.

- Co się stało z tą wykładziną? - zapytałam.

Brzeg wykładziny był postrzępiony i krzywy, jakby ktoś beztróska przyciął ją tępym nożem.

- To dzieło taty — przez twarz Liama przemknął cień uśmiechu. - Sam kładł wykładzinę na piętrze. Brzegi wszędzie są takie poszarpane. Przywykliśmy już do tego widoku.

Miał rację - wszystkie brzegi, w pokoju i na korytarzu, wyglądały mniej więcej tak samo.

- Nie chciałabym cię urazić, ale czy wasz ojciec był trzeźwy, kiedy uległ temu atakowi entuzjazmu do prac domowych? -zagadnęłam.

Wbrew pozorom nie było to wcale żartobliwe pytanie. Najczęściej gdy rodzina ma problemy, warto się przyjrzeć, ile spożywa się tam alkoholu.

Liam uśmiechnął się, bynajmniej nie urażony.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Kładł tę wykładzinę strasznie dawno, nie pamiętam nawet, kiedy to było. Jedno wiem na pewno - nigdy nie pił dużo, a parę lat temu zupełnie zrezygnował z alkoholu, z powodów zdrowotnych, więc nigdy nie miał z tym kłopotów.

Marlinchen odprowadziła mnie do samochodu.

- Czy chłopcy w czymś pani pomogli? - zapytała.

- Tak - odparłam.

W gruncie rzeczy nie powiedzieli mi nic, co mogłabym wykorzystać, ale nie starali się też rozmyślnie utrudniać rozmowy. Na koniec zadałam kilka pytań Donalowi, wyłącznie dla spokoju sumienia. Chłopiec prawie wcale nie pamiętał starszego brata, więc spędziłam z nim najwyżej trzy minuty.

Z trawy wyłonił się biały kot. Podszedł do Marlinchen i zaczął kreślić ósemki wokół jej nóg, pocierając głową o kostki.

- Kumpel? - uśmiechnęłam się.

- Śnieżynka. Nasza kotka. Ostatnio rzadko siedzi w domu za dnia, woli polować w okolicy... - Przysiadła na piętach i pogładziła wygięty ku górze grzbiet.

- Na pewno nie brakuje jej tu miejsca do polowań - zauważyłam, rozglądając się dookoła.

Między posiadłością Hennessych i ich sąsiadów ciągnął się szeroki, nieogrodzony pas. Popatrzyłam na stojący z boku domu budynek, który wcześniej wzięłam za dziewiętnastowieczną powozownię - pewnie właśnie tutaj Colm przechowywał swój sprzęt do ćwiczeń. Nieco bliżej nas znajdowało się samotne drzewo, rosnące na brzegu jeziora. W tej okolicy najpopularniejsze były klony, niskie świerki i pękate jodełki. W wielu miejscach widać też było krzaki bzów, niektóre wciąż

jeszcze obsypane kwiatami. To drzewo nie należało do żadnego z tych gatunków. Pełniło chyba głównie funkcję ozdobną, wyglądało na to, że ktoś celowo posadził je w tym miejscu. Nigdy takiego nie widziałam, chociaż zwisające między liśćmi nieliczne kwiaty, kremowe i trochę podobne do storczyków, wydawały mi się znajome.

- Co to za drzewo? - spytałam.

- Magnolia.

- Naprawdę? Myślałam, że magnolie nie rosną tak daleko na północy...

Marlinchen zwróciła twarz w kierunku drzewa.

- Było tu, gdy agent nieruchomości pokazał naszym rodzicom tę działkę... Mama zobaczyła je i doszła do wniosku, że wreszcie znaleźli swoje miejsce na ziemi - w jej głosie zabrzmiała nuta wielkiej czułości. - Rodzice poznali się w Georgii, gdzie jest mnóstwo magnolii, więc uznała, że to znak od losu.

Rozdział 11

Byłem wtedy mały. Byłem za mały, nie pamiętam, co się działo...

Ten refren powtarzały wszystkie dzieci Hennessych i musiałam przyznać, że najpewniej była to prawda. Czułam, że powinnam spojrzeć na całą tę sytuację z perspektywy osoby dorosłej, było to jednak niemożliwe, ponieważ Hugh nie mógł porozumiewać się z otoczeniem, a jego żona nie żyła.

Na szczęście Hugh Hennessy nie był przeciętnym obywatelem, lecz pisarzem, który odniósł spory sukces. Przynajmniej podstawowe fakty z jego życia musiały zostać gdzieś zapisane, byłam tego pewna. Uznałam, że najlepiej będzie, jeżeli pojedę do biblioteki Uniwersytetu Minnesota.

Najpierw wyszukałam Hugh w Internecie. Dowiedziałam się, że napisał trzy książki, w sporych, kilkuletnich odstępach. Uważano, że były oparte na osobistych doświadczeniach autora. Pierwsza, *Zmierzch*, stanowiła opis powolnej śmierci małżeństwa rodziców Hugh, mieszkających na przedmieściach Atlanty. Druga, *Kanał*, opowiadała o przodkach Hennessych, Irlandczykach, którzy osiedli w Nowym Orleanie - tytuł powieści nawiązywał do nazwy dzielnicy tego miasta, Irish Channel, Kanał Irlandzki. Kiedy Marlinchen wymieniła ten tytuł, wydał mi się znajomy i teraz wiedziałam już dlaczego - była to najpopularniejsza książka Hennessy'ego, entuzjastycznie wychwalana przez wielu krytyków jako ciepła, lecz pozbawiona sentymentalnych nut, nieuciekająca od tematu amerykańskich uprzedzeń narodowościowych i schematycznego myślenia, a przy tym wolna od poczucia rozgoryczenia i krzywdy.

Trzecia powieść, *Tęcza w nocy*, uznana została za zbeletryzowany opis historii małżeństwa Hennessych, historii, która skończyła się z chwilą śmierci żony Hugh, zmarłej w wieku trzydziestu jeden lat. Tytuł nawiązywał do myśli głównego bohatera, zwerbalizowanej pod koniec książki; mówi on, że kiedyś przeżył „miłość piękną jak sen, fascynującą i nierzeczywistą jak tęcza w nocy”.

Między umieszczonymi w sieci recenzjami książek znalazłam także i zdjęcie. Przedstawiało ono młodsze wcielenie inwalidy, którego widziałam w szpitalu Park Christian. Hugh Hennessy był szczupłym, niewysokim mężczyzną o rzadkich, jasnych włosach, jasnoniebieskich oczach i zaciśniętych ustach, których wyraz i zarys wyraźnie świadczyły o braku pewności siebie i chyba zatroskaniu. Wydawca strony internetowej umieścił obok zdjęcia krótką biografię pisarza, ściągniętą z tylnej okładki *Tęczy*.

W swojej pierwszej powieści, zatytułowanej *Zmierzch* i opublikowanej w wieku 25 lat, Hugh Hennessy opowiedział Amerykanom o niebezpieczeństwach asymilacji

i wspinaczki po drabinie społecznej; akcja rozgrywa się w jego rodzinnej Atlancie. Następna książka, *Kanał*, poświęcona irlandzkim przodkom autora, cieszy się niezmiennym uznaniem krytyków i czytelników, stała się też podstawą scenariusza filmu fabularnego. Hennessy wykładał historię literatury amerykańskiej i prowadził warsztaty pisarskie na kilku amerykańskich uczelniach. Wraz z czwórką dzieci mieszka w Minneapolis, w Minnesocie.

Spodziewałam się, że znajdę tu fragmenty wywiadów z Hennessym, ale spotkał mnie zawód. W recenzjach powtarzało się stwierdzenie, że pisarz „woli, aby do czytelników przemawiały jego książki, nie on”. Natknęłam się na kilka odniesień do wywiadu z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego i tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, wszystko wskazywało jednak na to, że ostatnią rozmowę z dziennikarzami Hennessy odbył w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. W przypisach przeczytałam także wzmianki o dłuższych artykułach biograficznych, które udało mi się odszukać w dziale czasopism.

Najdłuższy tekst, zatytułowany *Tęcza w cieniu*, napisany został dla niedzielnego dodatku „New York Timesa” przez byłego reportera magazynu „Pioneer Press”, Patricka Healy'ego, zaraz po ukazaniu się *Tęczy w nocy*. Zaczęłam od tego artykułu, potem sięgnęłam po dwa opublikowane w czasopismach o zasięgu ogólnokrajowym.

Oto jaką historię wyłowiłam z zawartych w nich informacji.

Hugh Hennessy urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku w rodzinie zamieszkałej na przedmieściach Atlanty. Jego ojciec był kardiochirurgiem, który w college[^] grywał w piłkę nożną, a później regularnie polował i łowił ryby. Jeżeli nawet małżeństwo rodziców Hugh było nieszczęśliwe, co sugerował w *Zmierzchu*, nie było to tego rodzaju nieszczęście, które sprowadza do domu policję. Hugh nie

był też trudnym nastolatkiem, w każdym razie nie znalazłam śladów żadnych jego wybryków w kronikach policyjnych i dokumentach uczelnianych. Był doskonałym uczniem, świetnie radził sobie ze wszystkimi przedmiotami. Skromny wzrost i szczupła budowa ciała nie sprzyjały karierze w drużynie piłki nożnej, lecz Hugh okazał się ostrym, agresywnym zapaśnikiem i osiągnął spore sukcesy w swojej kategorii wagowej.

Mimo dobrej sytuacji finansowej rodziców Uniwersytet Emory przyznał mu częściowe stypendium i właśnie w Emory Hugh spotkał dwoje ludzi, którzy mieli zostać jego stałymi towarzyszami. Pierwszym z tej dwójki był J.D. Champion, student literatury z Dakoty Południowej, drugą niezwykle ważną dla Hennessy'ego osobą okazała się piękna studentka wydziału folkloru i antropologii, urodzona w Niemczech Elisabeth Hanndore Baumann.

W ciągu pierwszych dwóch lat studiów cała trójka była wręcz nierozdzielna. Później Champion i Hennessy zrezygnowali z dalszej nauki, ku wielkiemu niezadowoleniu rodziców tego ostatniego. Podobnie jak młodzi pisarze wcześniejszych pokoleń, obydwaj postanowili wyruszyć w podróż po Ameryce.

Dosłownie w przeddzień wyjazdu Hennessy poślubił Elisabeth Baumann. Oboje mieli po dziewiętnaście lat i ich pośpiech wywołał falę plotek o ciąży, lecz te szeptane pogłoski wkrótce umarły śmiercią naturalną. Najwyraźniej przyczyną ślubu była konieczność natury emocjonalnej, nie biologicznej. Elisabeth została na uniwersytecie z prostą srebrną obrączką na palcu i płaskim brzuchem, Hennessy i Champion zaś rozpoczęli podróż, która miała dopomóc im w odkryciu tajemnic osobowości.

Zajmowali się wydobywaniem takonitu w Górach Skalistych. Zbierali twardą czerwoną pszenicę ozimą w Dakocie Południowej. Pracowali w dokach Duluth, w mieście granicznym niegdyś pełnym przestępców. Pojechali na Południe, do Nowego Orleanu, gdzie kiedyś osiedlili się pradiadkowie

Hennessy'ego, podjęli tam pracę na nabrzeżu i zostali aresztowani za bójkę w barze w robotniczej dzielnicy. Łagodnie nastawieni krytycy uważali, że zbierali materiały do przyszłych książek, mniej łagodni czy wręcz cyniczni, że tworzyli własną legendę.

Zdjęcia, które zrobiono im na posterunku policji w Orleanie, stanowiły ilustrację tekstu Healy'ego. Ciemnowłosa i chudy jak szczapa Campion robił wrażenie zrezygnowanego i zgorzkniałego, lecz Hennessy uśmiechał się szeroko.

Uśmiechał się, tak... Przez chwilę nie byłam w stanie zrozumieć, co mogło wywołać jego wesołość w takich okolicznościach, lecz zaraz pomyślałam, że przecież dobrze wychowany, zamożny Hugh Hennessy od dziecka słyszał, iż do aparatu fotograficznego należy się uśmiechać, więc zrobił to i tym razem, z pewnością automatycznie.

Mniej więcej w tym okresie Hennessy zaczął pracować nad *Zmierzchem*, zbeletryzowaną wersją życia swoich rodziców w Atlancie. Był tak głęboko przekonany o wielkiej wartości i potencjale tej powieści, że wrócił do domu, do Atlanty, aby ją skończyć, oszlifować i przedstawić agentom. Elisabeth, która zdażyła już zrobić dyplom, energicznie wspierała męża, który gorączkowo kończył książkę, aby w wieku dwudziestu czterech lat rozesłać ją do kilku agencji literackich. Po pewnym czasie *Zmierzch* został zakupiony, wydany i powitany przez krytykę jako wybitne osiągnięcie literackie.

Ze wspomnień przyjaciół rodziców Hennessy'ego, którzy w czasie publikacji artykułu Healy'ego już nie żyli, wynika jasno, że książka poważnie ochłodziła stosunki w rodzinie. Nie było to szczególnie zaskakujące, natomiast zaskoczeniem była dla młodego pisarza reakcja czytelników i krytyków z Atlanty.

Zmierzch został odczytany, zapewne błędnie, jako zdecydowane potępienie tradycji i zasad Nowego Południa, pisał Healy. W drukowanych w prasie Południa recenzjach brzmiała zdecydowanie chłodna nuta, łatwo więc można sobie wy-

obrazić, jak przyjęli powieść znajomi i sąsiedzi Hennessych z Atlanty. Hugh uznał, że rzeczywiście najtrudniej być prorokiem we własnym kraju, i w odwecie przeprowadził się na Północ, aż do Minnesoty.

Wyjazd do Minneapolis zapoczątkował nowy rozdział w życiu Hennessych. Pieniądze ze sprzedaży *Zmierzchu* zaczęły wpływać na konto, więc Elisabeth rzuciła pracę i podjęła studia podyplomowe. Młodzi małżonkowie kupili dom nad jeziorem Minnetonka, Hugh zaczął pisać drugą książkę, i tym razem sięgając do swego drzewa genealogicznego.

Kanał przedstawiał czytelnikowi bohaterów, których życie było „na zmianę słoneczne i burzliwe, w przeciwieństwie do świata *Zmierzchu*, dusznego i przygnębiającego”. Imigranci Aidan i Maeve Hennessy mieli kilkoro dzieci; Hugh stworzył wątki związane z losami każdego z nich, lecz najbardziej zainteresowały go historie dwóch braci dziadka, którzy aktywnie działali w światku przestępczym ówczesnego Nowego Orleanu. Ich najwspanialszym - lub najgorszym — wyczynem była seria napadów na ciężarówki, za które nigdy nie zostali aresztowani. Jeżeli nawet Hugh nie zgadzał się ze specyficzną etyką ich stylu życia i uważał, że mogli wybrać uczciwą, ciężką pracę, nie poruszył tego problemu w *Kanał*. Pod wpływem słabości do szczegółów ze świata przedstawionego w swojej książce kupił sobie parę takich rewolwerów, jakich niewątpliwie używali jego stryjeczni dziadkowie; widać je na fotografii gabinetu pisarza, ilustrującej jeden z artykułów.

Kanał umocnił reputację Hugh jako świetnego pisarza. Książka okazała się jednym z tych rzadkich dzieł literatury współczesnej, które chwalą i wpływowi krytycy, i przeciętni czytelnicy, oddający się lekturze w metrze i na plaży. *Kanał* dotarł aż na szczyt list bestsellerów i utrzymał się tam przez wiele tygodni.

Jeżeli ktoś chciałby jednym trafnym określeniem opisać świat Hennessych w tamtym okresie, dobrym wyborem byłoby

słowo „płodny”. Rodzina, bogactwo i szacunek, jakimi się cieszyli, rozkwitały na północnej glebie Minnesoty. Hugh i Elisabeth witano wszędzie przyjaźnie, z wielką sympatią, a młody pisarz podkreślał w wywiadach, że Minneapolis stało się ich prawdziwym domem i nigdzie nie zamierzają się stąd ruszać. Powtarzał, że zawsze chciał mieć właśnie to, co tu osiągnął -kawałek ziemi, korzenie i taką rodzinę, w jakiej sam pragnąłby dorastać.

Rodzina niewątpliwie się powiększała. Elisabeth miała wkrótce urodzić czwarte dziecko w ciągu pięciu lat - trzy lata wcześniej na świat przyszły bliźnięta, a półtora roku później Liam. Pieniądze nie stanowiły dla nich problemu. Jeżeli *Zmierzch* przyniósł spore dochody, to *Kanał* zarobił znacznie więcej, a poza tym Hugh dawał wykłady we wszystkich szkołach wyższych w Minneapolis. Hugh i Elisabeth chętnie wydawali przyjęcia; J.D. Campion często gościł w ich domu. Jako poeta odnosił zdecydowanie mniej spektakularne sukcesy niż jego przyjaciel, lecz tom poezji *Wejście w cień* otrzymał wiele nagród. Był to zbiór poruszających, miejscami bardzo erotycznych wierszy, cieszący się dużą popularnością wśród studentów i ambitnych wielbicieli literatury - przez pewien czas panowała nawet swoista moda na demonstracyjne obnoszenie się z *Wejściem w cień*. Dziennikarze rozpisywali się o literackiej przyjaźni pozbawionego korzeni, niespokojnego poety oraz powieściopisarza opiewającego wartości rodzinne, szczęśliwego męża i ojca; podkreślali, że styl życia i twórczość jednego i drugiego uzupełniają się nawzajem.

Niedługo potem, po przyjściu na świat Colma, przyjęcia ustały, podobnie jak wywiady. Rodzina Hennessych dość niespodziewanie zamknęła drzwi przed znajomymi i dziennikarzami.

Opinia publiczna uznała, że pisarz i jego żona postanowili całkowicie poświęcić się rodzinie, ale jeśli rzeczywiście tak było, to oboje wybrali opcję ekstremalną. Okazało się, że także

i Champion został nagle wykluczony z ich życia - poeta przez wiele lat trzymał się z daleka od Minnesoty.

Szeptano o kłótni między Hugh i J.D., o ostrej i długiej rywalizacji o uczucia Elisabeth, która zakończyła się gwałtownym wybuchem wrogości, zabijając przyjaźń. W artykule Healy'ego znalazła się krótka wzmianka o przelotnym związku Campiona z młodszą siostrą Elisabeth, Brigitte; dziennikarz pozwolił czytelnikom samodzielnie dojść do wniosku, że w życiu uczuciowym poety Brigitte odegrała rolę nieudanego substytutu Elisabeth.

Inni sugerowali, że rywalizacja miała podłoże zawodowe, jako że Champion nigdy nie zdobył takiej popularności jak jego przyjaciel. Tak czy inaczej, spekulacje pozostały jedynie spekulacjami - Healy'emu nie udało się uzyskać wywiadu od Campiona, który wciąż dużo podróżował, Hennessy zaś odmówił komentarza.

Jeżeli Hugh pragnął spokoju i prywatności, to dostał to, na czym mu zależało. Lata mijały, pisarz nie wydał nowej książki, świat poszedł dalej. O Hennessym zapomniano nawet środki masowego przekazu w Minneapolis i taki stan trwał do dnia, kiedy w wodach jeziora Minnetonka znaleziono zwłoki Elisabeth. Trzydziestojednoletnia kobieta osierociła pięcioro dzieci, najmłodsze zaledwie jedenastomiesięczne.

Przez parę lat poprzedzających tragiczną śmierć Elisabeth w sposób zauważalny unikała kontaktów towarzyskich. Jej mąż wykładał w miejscowych college'ach, ona natomiast spędzała całe dni w domu, rzadko gdzieś wychodząc i nieczęsto spotykając się z przyjaciółmi. Może była to naturalna konsekwencja konieczności czuwania nad wychowaniem piątki dzieci, z których żadne nie przekroczyło jeszcze dziesiątego roku życia, lecz jeśli za tym stylem bycia kryło się coś mroczniejszego, na przykład depresja poporodowa, to dziennikarze nigdy nie znaleźli wystarczających dowodów, aby wystąpić z taką hipotezą. Wszyscy skupili się przede wszystkim na tra-

gedii, która dotknęła jednego z amerykańskich pisarzy cieszących się największym szacunkiem, autora książek o więziach rodzinnych, miłości i lojalności.

Pięć lat później Hugh Hennessy wydał długo oczekiwaną trzecią powieść. *Tęcza w nocy* opisywała związek dwojga młodych ludzi darzących się namiętnym uczuciem, którzy wbrew podszeptom współczesnego świata zdecydowali się na wczesne małżeństwo i dzieci. Była to kronika smutków, rozterek i radości młodego związku, a w części końcowej - walki narratora i głównego bohatera zarazem o pogodzenie się z niespodziewaną stratą drugiej połówki duszy. Książka zebrała znakomite recenzje i Hugh Hennessy na krótko znowu znalazł się w centrum uwagi opinii publicznej. Później znowu zamilkł i ukrył się w domu.

Nawet najlepszy artykuł biograficzny nie odpowiada na wszystkie pytania. Czy jedna z najszlachetniejszych literackich przyjaźni Ameryki była w rzeczywistości miłosnym trójkątem, który zatruł i zniszczył wszelkie pozytywne cechy tego związku? Czy Hugh Hennessy skłonił żonę do urodzenia zbyt wielu dzieci i zignorował ostrzegawcze symptomy depresji poporodowej? Oto kwestie, których Healy i jego koledzy po fachu nie potrafili wyjaśnić. Nie mieli zresztą komu postawić tych pytań, ponieważ Hennessy nie chciał z nimi rozmawiać, Champion przebywał nie wiadomo gdzie, a Elisabeth nie żyła.

W drodze do domu przypomniałam sobie, że mija właśnie druga doba po przekłuciu bębenka i zgodnie z zaleceniem Cicera powinnam zgłosić się do niego na badanie. Miałam ogromną ochotę uniknąć tej wizyty - ucho już nie bolało, nie widziałam też konieczności jeszcze głębszego angażowania się w życie Cicera Ruiza, którego ostatni raz widziałam, gdy o świcie usiłowałam niepostrzeżenie wymknąć się z jego sypialni.

Nie mogłam jednak zapomnieć, że Cicero pomógł mi

w chwili, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Teraz mogłam przynajmniej uszanować jego radę. Byłam pewna, że podobnie jak ja nie będzie chciał w żaden sposób nawiązywać do wydarzeń, które miały miejsce w czasie mojej ostatniej wizyty. Żadne z nas ani słowem nie wspomni o tym, co się stało, i wszystko będzie w porządku, pomyślałam.

Poprzednio ucho bolało mnie tak potwornie, że w ogóle nie myślałam o jeździe powolną, skrzypiącą windą na najwyższe piętro budynku, lecz tego wieczoru widziałam i słyszałam wszystko bardzo dokładnie - dygoczący, naprężony gruby kabel w suficie kabiny, niepewnie migające światło, zgrzyt metalowych części. Powiedziałam sobie, że nie wolno mi się bać, bo to przecież dowód paranoi w najczystszej formie, winda co prawda porusza się bardzo powoli, ale to wcale nie oznacza...

Na dachu coś przeraźliwie zgrzytnęło i kabina zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem. Na podświetlonym panelu na moment ukazał się numer czternaście. Przez chwilę wmawiałam sobie, że ktoś z tego piętra wezwał windę, ale w głębi serca wiedziałam, że to nieprawda. Zgodnie z moją własną oceną wisiałam między czternastym i piętnastym piętrem, i podejrzewałam, że przez pewien czas ten stan nie ulegnie zmianie.

- Wspaniale... - mruknęłam z rozpaczą.

Kiedy w końcu dotarłam na dwudzieste szóste piętro, już od windy zobaczyłam Cicero. Siedział w otwartych drzwiach swojego mieszkania i rozmawiał z młodą czarnoskórą kobietą, która stała przed zamkniętymi drzwiami po drugiej stronie korytarza. Miała jakieś dwadzieścia dwa lata i wyglądała po prostu olśniewająco, ubrana w dwuczęściowy brązowozłoty komplet złożony z bluzy koszulowej z króciutkimi rękawami i szerokich spodni, spod których wystawały buty na niskim obcasie. W jednej ręce trzymała klucze, a w drugiej torbę z zakupami - najwyraźniej późno wróciła do domu z biura. Gdy

się zbliżyłam, obrzuciła mnie zaciekawionym, wyczekującym spojrzeniem.

Cicero przedstawił nas sobie.

- Saro, to jest Soleil, moja sąsiadka. Soleil, to Sara.

- Cześć - powiedziałam.

- Miło cię poznać - odparła Soleil. - Muszę już iść... - uśmiechnęła się do Cicera i otworzyła swoje drzwi.

Cicero oparł dłonie na kołach fotela i wycofał się do korytarzyka, lecz zrobił to na tyle powoli, że usłyszałam dziwny dźwięk, który dobiegł z mieszkania Soleil. Brzmiało to jak uderzenia pazurów o linoleum. Odwróciłam się i zobaczyłam wielkiego, potężnie zbudowanego ciemnobrązowego psa, który wybiegł na powitanie Soleil. Dziewczyna przykucnęła, a on lizał ją po twarzy z nieokiełznaną radością, jaką odczuwają chyba tylko psy.

- Mój kochany chłooopczyk... - roześmiała się Soleil, przeciągając pierwszą sylabę ostatniego słowa z karaibskim akcentem.

Cicero zamknął drzwi, kończąc spektakl.

- Tam był pies - zauważyłam odkrywczo.

- Tak, pies.

- Nie jakiś tam sobie pies, tylko rottweiler...

- Tak jest, rottweiler o imieniu Fidelio. - Cicero przystanął na środku pokoju.

- W tym budynku wolno trzymać psy? - zapytałam.

- Nie - odrzekł. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie, nie - zapewniłam go pośpiesznie. - Lubię psy, zdziwiło mnie tylko, że uchodzi jej to na sucho. Trudno ukryć psa takiej wielkości, poza tym na pewno musi z nim często wychodzić i tak dalej...

Cicero kiwnął głową.

- I w końcu ktoś ją z nim przyłapie - powiedział. - Ale na pewno nie poskarżę się na nią ani ja, ani nikt z tego piętra. Fidelio jest dobrze ułożony, a my wyznajemy tu zasadę: „Żyj

i pozwól żyć". Wszystko w porządku, musiałem jej tylko powiedzieć, żeby go tu nie wpuszczała.

- Dlaczego?

- Ze względu na higienę. Dla psów nie ma miejsca w gabinecie lekarskim.

- Jasne... - mruknęłam.

Oboje milczeliśmy długą chwilę. Szybko wyjęłam z kieszeni plik banknotów.

- Ile płacę za dzisiejszą wizytę? - spytałam.

- Czterdzieści - odpowiedział. - Zaraz wracam...

Podjechał do kuchennego zlewu. Oddzieliłam dwie dwudziestki od reszty pieniędzy i położyłam na półce. Dziwnie się czułam, stojąc na środku pokoju. Gdyby były tu jakieś zdjęcia czy drobiazgi, mogłabym udawać, że im się przyglądam, ale w tej sytuacji... Byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko zatrzeć wspomnienia tamtych intymnych chwil, które wisiały nade mną jak na chwilę unieruchomiona w powietrzu ściana wody. Cicero zachowywał się bez zarzutu, w żaden sposób nie okazał, że pamięta, iż dwie noce wcześniej spaliśmy razem, lecz ja nie radziłam sobie z tym tak dobrze. To, czego Shiloh nie wiedział, nie mogło go zranić, może i tak... Tak czy inaczej, doskonale wiedziałam, że jest to prosta, łatwa wymówka, która wcale mnie nie uspokaja.

Wzięłam głęboki oddech. Cicero, który w kuchni mył ręce, źle odczytał przyczynę mojego zdenerwowania.

- Nie bój się - podniósł głos, żebym usłyszała go mimo głośnego szumu wody. - Na pewno nie będzie bolało...

- Lekarze zawsze tak mówią...

- Nie, zwykle mówimy pacjentom, że nic nie poczują - sprostował.

Roześmiałam się.

- Przepraszam, że przyszłam tak późno, ale utknęłam w windzie.

Zamierzałam rozbawić go opowiadaniem, jak to telefon

alarmowy okazał się zepsuty i jak w końcu uratowała mnie para nastolatków, którzy łomem rozsunęli drzwi windy i pomogli mi zeskoczyć prosto na korytarz na czternastym piętrze, ale Cicero odwrócił się do mnie tak gwałtownie, że słowa zamarły mi na ustach.

- Utknęłaś w windzie? - powtórzył.

- No i co takiego? - uniosłam brwi. - Przecież to drobny wypadek...

Potrząsnął głową i wrócił do pokoju.

- Ta przeklęta winda jest naprawdę niebezpieczna - rzucił ostro. - Jesteś trzecią osobą, która utknęła w niej w ostatnich kilku miesiącach. - Wyjął z szuflady termometr. - Dobrze, włóż go pod język...

- Nie mam gorączki.

- Saro, nie wyręczaj mnie w pracy - w jego głosie zabrzmiała czysta stal.

Uśluchałam bez słowa sprzeciwu.

Cicero najpierw spokojnie obejrzał moje ucho i dopiero wtedy wyjął mi termometr z ust. Nie podał wyniku, zadał tylko kilka pytań, czy miałam zawroty głowy, bóle, trudności z wychwytywaniem dźwięków. Odpowiedziałam przecząco na wszystkie pytania i potwierdziłam, że przyjmowałam antybiotyki dokładnie tak, jak zalecił.

Powoli odłożył termometr i otoskop.

- Cóż, temperaturę masz normalną, ucho wygląda całkiem nieźle i widzę, że czujesz się już zupełnie dobrze - powiedział. - Szybko dochodzisz do siebie...

Wyjął bloczek i zapisał coś na kartce.

- Co piszesz? - zagadnęłam.

- To tylko luźne notatki. Chociaż podobno nigdy nie chorujesz, niewykluczone, że kiedyś znowu się do mnie zgłosisz, biorąc pod uwagę twoją awersję do tradycyjnych gabinetów lekarskich...

- Mam nadzieję, że nie - westchnęłam. - Bez urazy, ale

zdecydowanie wolałabym już nigdy nie poddawać się żadnym badaniom lekarskim...

- Ale może zgodzisz się jednak, żebym zadał ci jeszcze kilka pytań? Chciałbym znać medyczne tło twoich dolegliwości, na wypadek gdyby kiedyś pojawiły się inne...

Coś w tym pomyśle mocno mnie zaniepokoiło, a Cicero natychmiast to zauważył.

- Robię je wyłącznie na swój prywatny użytek - wyjaśnił. - Nikt poza mną ich nie zobaczy.

Co tam, pomyślałam. Nie mam przecież nic do ukrycia, oczywiście w tej dziedzinie życia, która była wyjątkowo nudna. Poza tym miał rację - istniała możliwość, że kiedyś jeszcze się do niego zwrócę.

- W porządku - powiedziałam. Pierwsze pytania okazały się bardzo proste.

- Nazwisko?

- P-r-i-b-e-k - przeliterowałam.

- Wiek?

- Dwadzieścia dziewięć lat.

- Jesteś na coś uczulona?

- Nie.

- Czy twoi rodzice żyją? Potrząsnęłam głową.

- Co było przyczyną ich śmierci? - zapytał.

- Ojciec zmarł kilka lat temu, na zawał. Moja mama... -z trudem przełknęłam ślinę - ...umarła na raka jajnika.

- Byłaś dzieckiem?

- Kiedyś wszyscy byliśmy dziećmi - wysiliłam się na dowcip.

- Pytam, czy byłaś dzieckiem, kiedy umarła twoja matka... Nie pozwolił mi się wymigać.

- Miałam dziewięć lat.

Gardło mi nagle zeszywniało, nie wiedzieć dlaczego. Opowiadałam przecież już o tym innym ludziom...

- Masz rodzeństwo? - spytał cicho.

- Miałam brata, ale też nie żyje. Zginął w wypadku, nie miało to związku z żadną chorobą.

Buddy zginął w katastrofie wojskowego helikoptera. Nie chciałam odpowiadać na więcej pytań, które mogłyby go dotyczyć.

- Wiem, że twój mąż jest w więzieniu. Od jak dawna?

- Od pięciu miesięcy... - Szybko spuściłam głowę. - Przepraszam, coś wpadło mi do oka... - dodałam, energicznie pocierając wilgotną powiekę.

- Kontaktujesz się z nim?

- Nie.

Siedziałam z głową ukrytą w dłoniach. Oboje wciąż usiłowaliśmy udawać - Cicero udawał, że zbiera dane medyczne, a ja udawałam, że nie płaczę.

- Ale na pewno masz w Minneapolis wielu przyjaciół, z którymi możesz porozmawiać, prawda?

Nie odpowiedziałam.

- Ach, tak...

- Przeprowadzasz interesujący wywiad medyczny - niemal chlipnęłam.

Ludziom na wózkach inwalidzkich naprawdę trudno jest kogoś objąć, więc Cicero wyciągnął rękę przez dzielącą nas przestrzeń, pogłaskał mnie po plecach między łopatkami i po głowie.

- W porządku - rzekł łagodnie. - No już, w porządku...

Wolałabym powiedzieć, że później to on zainicjował pieszczoty, ale nie byłoby to prawdą. Inicjatywa wyszła ode mnie.

Rzadko płaczę i zawsze wydaje mi się, że nie powinno się manifestować smutku wobec obcych, ale z Cicerem było inaczej. Widział mnie już chorą, w ataku fobii, pijaną i cierpiącą, dzieliło nas więc naprawdę niewiele barier. Kiedy zaś smutek minął, po prostu chciałam to z nim zrobić.

- Przepraszam... - powiedziałam na głos, leżąc w jego pojedynczym łóżku, z policzkiem opartym na jego nagiej piersi.

- Za co? - zapytał.

- Za to, że przy każdym naszym spotkaniu musisz się mną zajmować - odparłam. - Dziwię się, że w ogóle czujesz do mnie odrobinę sympatii...

- Skąd wiesz, że czuję do ciebie odrobinę sympatii? - zagadnął lekkim tonem.

- Nie przypuszczam, żebyś spał z kimś, do kogo nie czujesz sympatii - oświadczyłam poważnie. - Czyżbym się myliła?

- Nie - uśmiechnął się nieznacznie. - Nie mylisz się...

- Dlaczego nie masz dziewczyny? Czy to dlatego, że cierpisz na agorafobię?

Cicero uniósł się na łokciu i przyjrzał mi się z zastanowieniem.

- Skąd ten pomysł, że cierpię na agorafobię?

- Ghislaine mi powiedziała...

Od chwili, gdy go poznałam, wszystko potwierdzało słowa Ghislaine.

- Ghislaine... - mruknął. - No tak, oczywiście...

- Rzeczywiście jej nie lubisz - mruknęłam, siadając. - O co chodzi? Możesz mi powiedzieć, Ghislaine nie jest moją przyjaciółką, prawie jej nie znam.

- Ja też prawie jej nie znam. Ghislaine również niewiele o mnie wie. Nie jestem agorafobem. A żeby odpowiedzieć na twoje pytanie - to Ghislaine przyniosła mi bloczek z receptami.

Byłam tylko odrobinę zaskoczona. Kiedy powiedział mi o receptach, dodał: „Nie chciałem nawet wiedzieć, skąd je wzięła”.

- Przyszła do mnie na wizytę - ciągnął. - Przeprowadziła ze sobą swojego ślicznego synka, opowiedziała, jak trudno jej wychowywać go samotnie, bo ojciec małego zniknął, a na rodziców nie może liczyć...

- Znam tę część historii - pokiwałam głową.

- Powiedziała, że nie znosi chodzić do rejonowej przychodni, bo tam traktują ją jak obywatelkę drugiej kategorii, więc przysłała do mnie. Chętnie pomogę, odparłem, co mogę dla ciebie zrobić? Oświadczyła, że wyczuwa jakiś guzek w prawej piersi i chciałaby, żebym ją zbadał. Zdjęła bluzkę, a ja zrobiłem, co do mnie należało. Zbadałem ją bardzo dokładnie, aby niczego nie przegapić. Niczego nie wyczułem i powiedziałem jej to. Wyjaśniłem, że jest młoda, że w tym wieku rak piersi nie jest dużym zagrożeniem, ale poleciłem, by co miesiąc sama przeprowadzała badanie i była czujna.

- Uznałeś, że to wystarczy? Nie wysłałeś jej na inne badania?

- Naprawdę jestem lekarzem - przypomniał mi. - Równie kompetentnym tutaj, jak w normalnie wyposażonym gabinecie. Każdy lekarz powiedziałby jej to samo. Jestem absolutnie przekonany, że w oparciu o jej oświadczenie nikt nie dałby jej skierowania na mammografię, zwłaszcza po szczegółowym badaniu, które sam przeprowadziłem.

- Przepraszam...

- Nie ma za co, zresztą to jeszcze nie wszystko. Wysłuchała mnie, wyraźnie się rozpogodziła i przyznała, że prawdopodobnie trochę przesadziła. Potem włożyła bluzkę i powiedziała, że ma coś dla mnie.

- Przechodzimy do sedna sprawy - zauważyłam.

- Właśnie, recepty... Dała mi je ze słodkim jak miód uśmiechem i oznajmiła, że z pewnością wykorzystam je dla dobra pacjentów, potem zaś poprosiła o receptę na valium...

- Żartujesz? - zapytałam, chociaż doskonale zdawałam sobie sprawę, że to nie żarty.

- Dopiero wtedy wszystko zrozumiałem. Wcale nie wyczuła guzka w piersi, chciała mnie tylko zmiękczyć, pokazując interesujący towar, i pozytywnie do siebie nastawić. Nie wiem, czy chciała to valium dla siebie, czy też, co bardziej prawdo-

podobne, ma chłopaka, który nim handluje. Nie chciałem i nie chcę wiedzieć.

- I powiedziałeś jej to bez ogródek - mruknęłam. Przyczyna nadaśanej miny Ghislaine na samą wzmiankę o „Cisco” stała się teraz dla mnie zupełnie jasna.

- Powiedziałem jej, że nie zamierzam wypisywać recept, nawet dla dobra moich pacjentów, a tym bardziej fałszywych recept. Wtedy poprosiła, żebym oddał jej bloczek. Odmówiłem. Nie chciałem używać recept, ale też nie widziałem powodu, żeby ona je wykorzystywała... - Cicero się zamyślił. - Na koniec zapytała, co by było, gdyby powiedziała o mnie policji. Odparłem, że dokładnie to samo, co gdybym ja powiedział policji, że ukradła bloczek z receptami, więc najlepiej zrobimy, udając, że tej rozmowy w ogóle nie było. Zerwała się z miejsca i oświadczyła, że mogę zatrzymać recepty. Mimo wszystko trochę się niepokoiłem, czy na mnie nie doniesie, więc powiedziałem, żeby wzięła sobie swoje czterdzieści dolarów. Wzięła je bez słowa.

- Jezu Chryste... - wymamrotałam.

- W drzwiach zapytała jeszcze, czy zawsze byłem niepełnosprawny. Odpowiedziałem, że nie, a ona na to, że pewnie właśnie dlatego mogę sobie pozwolić na wyrzucenie czterdziestu dolarów. „Skoro nie masz już sprawnego interesu, nie płacisz też za seks, prawda?”, rzuciła z uśmiechem.

Skrzywiłam się. Kiedy ktoś potrafi tak dokładnie zacytować czyjeś słowa, znaczy to, że zraniły go naprawdę boleśnie i głęboko, niczym odłamki pocisku.

- Hej, nie rób takiej miny - powiedział. - Po prostu nie wiedziała, co mówi, i tyle.

Nie miałam ochoty się przyznać, że sama też tak pomyślałam i poczułam ogromne zdziwienie, gdy Cicero pokierował moją dłoń w dół, gdzie poczułam, jak twardnieje pod moimi palcami. Później wyjaśnił mi, na czym polega odruchowa erekcja.

- Niewiedzę można wybaczyć - odezwałam się. - Ale nie złośliwość...
- Pewnie sama ma mnóstwo kompleksów - rzekł spokojnie. - Tacy ludzie często są złośliwi i chętnie ranią innych.
- Jesteś bardzo wyrozumiały...
- Co w tym złego? - zapytał.
Spojrzałam przez okno na rozciągające się pod nami miasto.
- Nie żyjemy na świecie, który ceni wyrozumiałość - powiedziałam. - Ten świat chyba nigdy nie nagradzał tolerancyjnych i wyrozumiałych...

Rozdział 12

Mój pierwszy dzień w pracy po powrocie na dzienną zmianę okazał się tak bezproduktywny, jak oczekiwałam. Miałam cienie pod oczami i musiałam wspomóc organizm sporą dawką kofeiny. W czasie przerwy na lunch pojechałam do Wydziału Opieki Społecznej i zgłosiłam sprawę Hennessych, zgodnie z własnym sumieniem oraz oficjalnymi wymogami. Nie pozwoliłam sobie myśleć, że zawiodłam Marlinchen - zadaniem systemu opieki było pomaganie nieletnim w trudnej sytuacji, a mój raport miał przyczynić się do spełnienia tego celu.

Najważniejszym wydarzeniem dnia było zgłoszenie napadu rabunkowego. Przyjęłam je i przesłuchałam świadków. Szczegóły wydały mi się dziwnie znajome - dwóch młodych białych facetów w nylonowych pończochach na głowie wtargnęło do sklepu spożywczego. Napad niczym nie różnił się od tego, z poprzedniego tygodnia. Uwielbiamy schematy, pomyślałam, dodając drugi raport do pierwszego. Działajcie tak dalej, młodzi ludzie, i w żadnym razie nie zmieniajcie sposobu działania, a pewnego dnia na pewno się spotkamy.

Gdy zadzwonił telefon, wciąż myślałam o młodych bandytach.

- Pani Pribek? - usłyszałam męski głos i zakłócenia międzystanowego połączenia w tle. - Mówi Pete Benjamin...

- Och, pan Benjamin... - ucieszyłam się. - Dziękuję, że pan oddzwonił.

- Rozmawiałem już z policją z naszego posterunku - rzekł Benjamin. - Ale chętnie powtórzę pani to, co powiedziałem panu Fredericksowi. Aidan nie zaginął, wyjechał stąd z własnej woli, co oczywiście stwarza pewne komplikacje, lecz bynajmniej nie jest niczym niezwykłym. Młodzi ludzie często decydują się wyruszyć w drogę, kiedy zmęczy ich życie na farmie. Trzeba dodać, że Aidana nie trzymały tu więzi rodzinne, które może powstrzymałyby go przed tym krokiem.

- Jak pan sądzi, co skłoniło Aidana do wyjazdu właśnie w tamtym momencie? - zapytałam, kiedy zamilkł.

- Cóż, jak już mówiłem, życie na wsi często nuży młodych ludzi...

- Ale poza tym - nalegałam.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Nie wiem, dlaczego pani uważa, że musiał być jeszcze jakiś powód - powiedział w końcu.

- Ujmijmy to tak: czy rozmawiał pan z Aidanem o tym, co działo się w jego życiu?

- Codziennie z nim rozmawiałem...

Pozwoliłam, aby cisza podkreśliła wymijający charakter jego odpowiedzi.

- Nie jestem ojcem Aidana, ale sądzę, że wiedziałbym, gdyby go coś poważnie niepokoiło - dodał po chwili.

- Dlaczego zgodził się pan przyjąć najstarszego syna Hugh Hennessy'ego? To przecież duże obciążenie, nawet dla przyjaciela rodziny.

- Hugh i ja przyjaźnimy się od bardzo dawna - powiedział Benjamin. - Nasi rodzice byli dobrymi znajomymi, a my ra-

zem dorastaliśmy w Atlancie... - zawiesił głos. - Zawsze interesowałem się literaturą, więc można także powiedzieć, że jestem nie tylko przyjacielem Hugh, ale także jego fanem...

- Więc na pewno często bywał pan w domu Hennessy'ch i znał Aidana niemal od urodzenia?

Znowu chwila milczenia.

- No, niezupełnie... Hugh i ja byliśmy sobie bardzo bliscy w dzieciństwie, ale później on zamieszkał na Północy, a ja odziedziczyłem farmę i postanowiłem zająć się uprawą ziemi. Jako dorośli prawie się nie widywaliśmy... - Benjamin postanowił chyba uprzedzić moje następne pytanie. - Wydaje mi się, że Hugh wpadł na pomysł, by wysłać do mnie Aidana, a ja przystałem na ten plan, ponieważ mam dużą farmę i nikogo do pomocy. Hugh z wysiłkiem wychowywał pięcioro dzieci, ja dzieci nie mam, więc przynajmniej w pewnym stopniu zrównoważyliśmy tę sytuację... - zaśmiał się lekko. - Hugh zawsze przysyłał mi pieniądze na potrzeby Aidana, ubrania do szkoły i tak dalej...

- Czy płacił panu także za wyżywienie i mieszkanie dla syna?

- Nie. Uznałem, że nie musi tego robić, ponieważ Aidan miał pomagać mi w pracach na farmie. - Benjamin odchrząknął. - Powinienem tu chyba zaznaczyć, że nie stawiałem Aida-nowi nadmiernych wymagań, starałem się, aby miał dosyć czasu na odrabianie lekcji i utrzymywanie kontaktów z kolegami ze szkoły, ale on nie był szczególnie towarzyski.

- No, tak... - mruknęłam. - Wie pan może, co skłoniło Hennessy'ego do wysłania syna na pańską farmę?

- Hugh samotnie wychowywał pięcioro dzieci - powiedział. - Myślę, że było mu bardzo ciężko. Zastępca szeryfa Fredericks nie interesował się takimi osobistymi szczegółami, wie pani?

- Widać różnie podchodzimy do swojej pracy - zaczęłam

szkicować coś na kartce. - Aidan uciekł już wcześniej, prawda? Proszę mi o tym opowiedzieć. Benjamin znowu odchrząknął.

- To było niedługo po jego przyjeździe na farmę - rzekł. - Podobno jest to dość typowa reakcja u dzieci, które przeprowadzają się w nowe miejsce. Uciekają, bo wybiegają myślą zaledwie parę kroków naprzód - sądzą, że jeśli wrócą do domu, wszystko się zmieni i będą mogły zostać. Aidan myślał właśnie w taki sposób.

- Ale musiał wrócić na farmę?

- Tak.

- Czy później próbował jeszcze uciekać? - zapytałam. - Przed tym ostatnim razem?

- Nie. Nie, po powrocie z Minnesoty przyzwyczał się do życia na farmie. Nasze stosunki nigdy nie były bliskie, ale niewątpliwie serdeczne. Jeżeli dzwoniła pani z nadzieją, że dowie się pani o jakiejś kłótni czy bójkę, która skłoniła Aidana do ucieczki, to muszę panią rozczarować, bo nic takiego się nie zdarzyło...

Ze zdumieniem odkryłam, że rysunek, który przed chwilą zaczęłam, przedstawia krętą drogę. Po zakończeniu rozmowy z Petem Benjaminem dodałam sylwetkę postaci idącej dokądś poboczem. Co jeszcze mogłam dorysować? Zarys miejskich wieżowców na tle nieba? Ocean i zachód słońca? Więzienie?

Oficjalne dane mówiły jasno, że Aidan Hennessy nigdy nie został aresztowany ani ukarany grzywną za choćby najmniejsze wykroczenie. Gdyby było inaczej, trafiłby w tryby systemu jako uciekinier i najprawdopodobniej zostałby pensjonariuszem jednego z zakładów poprawczych.

Skoro jednak był formalnie czysty, należało szukać innych wytłumaczeń. Po pierwsze, mógł należeć do grupy rzadko spotykanych nieletnich uciekinierów, którzy pracują, zarabiają na siebie i nie łamią prawa. Po drugie, mógł utrzymywać się

z ulicznych przestępstw, co często zdarza się uciekinierom, ale dzięki sprytowi i szczęściu do tej pory uniknął aresztowania. Po trzecie, mógł zostać utrzymankiem starszej od niego, niezależnej kobiety.

Po czwarte, mógł już nie żyć. Ze względu na Marlinchen nie chciałam zastanawiać się nad tą ostatnią możliwością.

Przed wyjściem z pracy zajrzałam do Prewitta. Minęło trochę czasu, zanim w końcu dotarło do mnie, dlaczego Van Noord kazał mi włączyć komórkę albo pager - Prewitt chciał po prostu wiedzieć, gdzie jestem.

Kiedy stanęłam w progu, rozmawiał z przedstawicielem służby ochrony przyrody.

- Proszę wejść, detektyw Pribek - powiedział, żegnając się z poprzednim rozmówcą. - Nie spodziewałem się, że się dzisiaj spotkamy. Co się stało?

- Chciałam przeprosić za wyłączenie telefonu tamtego dnia. Miałam zapalenie ucha, wie pan o tym, prawda?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że dzisiaj czuje się pani lepiej...

- Tak, dziękuję - kiwnęłam głową.

Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć dalej.

- Poruczniku, czy wtedy wysłał pan do mnie Van Noorda z powodu Graya Diaza? - zapytałam wreszcie.

Miałam nadzieję, że obrzuci mnie zdziwionym spojrzeniem i zdecydowanie zaprzeczy.

- Tak - odparł.

To byłoby tyle, jeśli chodzi o nadzieję.

- Nie zaglądałem do pani akt personalnych, ale słynie pani z tego, że nigdy pani nie choruje - powiedział Prewitt. - Potem pojawia się Gray Diaz, przeprowadza z panią rozmowę o śmierci Royce'a Stewarta i nagle pani wychodzi z sali konferencyjnej blada jak ściana, mówi Van Noordowi, że jest

chora, wychodzi, a następnego dnia nie można się z panią skontaktować... - odczekał, żebym miała czas się zastanowić. - Rozumie pani chyba, że nie wyglądało to zbyt dobrze, prawda?

- Naprawdę myślał pan, że wyjechałam z miasta?

- Chciałem po prostu wiedzieć, gdzie pani jest - odrzekł spokojnie. - Niech pani pamięta, Pribek, że nie została pani o nic oskarżona i do chwili postawienia pani ewentualnych zarzutów pani status w pracy nie zmieni się. Nikt nie sugeruje, że powinna pani wziąć urlop czy coś takiego.

- Wiem o tym.

- Skoro więc nikt tutaj nie rozmawia o prowadzonym przez Graya Diaza dochodzeniu, proponuję, aby pani także nie poruszała tego tematu, zwłaszcza jako pierwsza...

- Nawet nie przyszło mi to do głowy.

- Ależ owszem, weszła pani do mojego gabinetu i rozpoczęła rozmowę na ten temat, prawda? To nie ja przyszedłem do pani, ale pani do mnie... - zawiesił głos. - A jeżeli chodzi o wizytę Van Noorda, to po prostu zaniepokoiła mnie pani sytuacja, podjąłem odpowiednie kroki i zaspokoilem ciekawość. Jeśli o mnie chodzi, na tym sprawa się kończy.

- Nie zamierzałam kwestionować pańskich decyzji, ale muszę powiedzieć, że nie planuję ucieczki z miasta w środku nocy. Nie, to nie tak, właściwie chodzi mi o coś innego... -z trudem przełknęłam ślinę. - Ja... Ja nie zabiłam Royce'a Stewarta.

- Trudno mi wyrazić radość, jaką czuję z powodu pani oświadczenia - sucho rzucił Prewitt. - Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko...

Serce biło mi szybko i nierówno. Byłam zaskoczona własną śmiałością.

- W takim razie zobaczymy się jutro. W progu przystanąłam i odwróciłam się.

- Jeszcze jedna sprawa... Pamięta pan tego lekarza bez li-

cencji, którym miałam się zająć? Rozmawiałam z informatorami i wszystko wskazuje na to, że to bezpodstawna plotka -mój głos brzmiał całkowicie spokojnie. - Naprawdę, nie wydaje mi się, żeby coś w tym było.

Rozdział 13

W ubiegłym roku, po wypadku w Blue Earth, mój mąż zniknął z domu i mojego życia na całe siedem dni. Prowadząc poszukiwania, wyczerpałam całą swoją wiedzę o przypadkach osób zaginionych. Udałam się w długą podróż i nawiązałam kontakt z rodziną Shiloha, poza tym jako żona miałam dostęp do jego wyciągów bankowych, innych dokumentów, a przede wszystkim do domu. Okazało się, że wszystko to razem nie ma najmniejszego znaczenia. Shiloh zniknął, jakby go nigdy nie było.

Przypadek Aidana Hennessy'ego wydawał się zupełnie inny i logicznie biorąc, policja nie powinna mieć najmniejszych kłopotów ze znalezieniem chłopaka. Aidan nie był doświadczonym przestępcą, ale nieletnim uciekinierem. Im dłużej przebywał w drodze, tym bardziej było prawdopodobne, że zostanie aresztowany za włóczęgostwo lub jakąś drobną kradzież, tymczasem po trzech dniach poświęconych na przeszukiwanie policyjnych baz danych wciąż nie miałam pojęcia, co się z nim dzieje. Zastępca szeryfa Fredericks przysłał mi pocztą elektroniczną szkolne zdjęcie Aidana z września ubiegłego roku, ale to także niewiele pomogło. Powoli nabierałam przekonania, że nie znajdę go, chyba że przypadkiem wpadnie do kanału w pobliżu miejsca, gdzie akurat będę.

Poczucie bezradności skłoniło mnie do poświęcenia następnego wolnego dnia na wyprawę do szkoły podstawowej,

w której spędziły pierwsze lata nauki wszystkie dzieci Hennessych i do której nadal uczęszczał najmłodszy Donal.

W czasie krótkiej rozmowy, którą tego ranka odbyłam z Marlinchen, dziewczyna wspomniała o swojej nauczycielce z piątej klasy, pani Hansen. Pani Hansen uczyła i Marlinchen, i Aidana, chociaż nie w tym samym roku, ponieważ Aidan powtarzał czwartą klasę. Z moich obliczeń wynikało, że Hansen mogła dość dobrze znać i pamiętać Aidana.

Budynki szkolne nie robiły imponującego wrażenia, jeśli wziąć pod uwagę, że znajdowały się w stosunkowo zamożnej dzielnicy. Na boiskach kręciło się mnóstwo dzieci - przyjechałam tuż przed przerwą na lunch.

W czasie przerwy pani Hansen sprawdzała testy w swojej klasie. Weszłam do sali i natychmiast poczułam się jak olbrzymka, idąc między niziutkimi ławkami w kierunku jedyne większego stołu, za którym siedziała nauczycielka. Była kobietą o obfitym biuście, lecz dość smukłej i drobnej sylwetce; na swetrze w perłowym kolorze zwisały na złocistym sznurku okulary, jasne, modnie ostrzyżone włosy dodawały jej wdzięku i urody. Dopiero z bliska widać było wyraźnie, że zbliża się do pięćdziesiątki.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytała.

- Nazywam się Sara Pribek - przedstawiłam się. - Pracuję w policji i chciałabym porozmawiać z panią o pewnym młodym człowieku, który parę miesięcy temu uciekł z domu... - Położyłam przed nią na biurku stare zdjęcie Aidana, które dostałam od Marlinchen.

Pani Hansen wzięła fotografię do ręki, uniosła brwi i lekko je zmarszczyła.

- Och, tak... - powiedziała. - Aidan Hennessy... Jego młodszy brat Donal mógł w zeszłym roku trafić do mojej klasy, ale wpisano go do dziennika pani Campbell... Aidan miał też siostrę, uczyłam ją, pamiętam... Mieli... - przerwała.

- Oboje mieli przejść do pani klasy - dokończyłam za nią. -

To bliźnięta, ale Aidan został na drugi rok w czwartej klasie. Oczywiście nie musi się pani obawiać, że zdradza mi rodzinne tajemnice. Marlinchen Hennessy mówiła mi już o tym, jak to było z Aidanem.

Nauczycielka skinęła głową.

- Właśnie, Marlinchen... Niezwykłe imię. Aidan i Marlinchen powinni być teraz w szkole średniej, prawda?

- Tak - odparłam. - Marlinchen po wakacjach zaczyna studia, natomiast Aidan uciekł z domu sześć miesięcy temu.

- Coś takiego... Przykro mi to słyszeć...

Miała przesadnie żywą mimikę, jak to często zdarza się dorosłym, którzy na co dzień obcuja z młodymi ludźmi, ale w jej głosie brzmiała nuta szczerości.

- Lubiła go pani?

- Tak. Był bardzo miłym chłopcem, lecz raczej nieśmiałym. Nigdy nie zgłaszał się do odpowiedzi na ochotnika. -Wyprostowała się za biurkiem, jak gdyby szykowała się do przepytania uczennicy. - Nie jestem pewna, czy rzeczywiście będę mogła pani pomóc. Uczyłam Aidana dość dawno, pięć lat temu...

Nie miałam gdzie usiąść. W każdej innej instytucji po drugiej stronie biurka stoi krzesło dla interesanta, ale w szkole panuje odmienna rzeczywistość. Oparłam się o najbliższą ławkę, ale natychmiast zdałam sobie sprawę, że może się przewrócić pod moim ciężarem.

- Przez ostatnie pięć lat Aidan mieszkał poza stanem - powiedziałam. - Jest pani jego ostatnią nauczycielką, gdy jeszcze przebywał w domu. Chciałabym wiedzieć, jak go pani zapamiętała.

Przepraszająco ściągnęła brwi.

- Nie mam zbyt wielu wspomnień związanych z tym chłopcem... Zapamiętałam go głównie z powodu brakującego palca. Zawsze zerkałam na jego rękę, kiedy coś pisał, bo brak palca jednak zwracał uwagę...

- Na pewno zapamiętała pani coś jeszcze - zachęciłam ją. - Mówiła pani, że darzyła go pani sympatią...

Chwilę bawiła się zawieszonymi na łańcuszku okularami.

- Czasami nauczyciel czuje do uczniów sympatię - uśmiechnęła się lekko. - Aidan wydawał się bardzo dojrzały jak na swój wiek, ale to mogło wynikać z faktu, że był starszy od swoich kolegów z klasy, no i wyższy... - Zamyśliła się. - Miałam jednak wrażenie, że czasami jest dziwnie pozbawiony pewności siebie, że nie czuje się swobodnie, zwłaszcza w towarzystwie dorosłych.

- Co mogło być tego przyczyną? - zapytałam.

- Nie był wybitnie zdolnym uczniem. Brak zdolności często podważa i zakłóca samoocenę dzieci, szczególnie w obecności dorosłych, których młodzi ludzie postrzegają jako uprawnionych do oceniania ich osiągnięć szkolnych i nie tylko. Aidan zdecydowanie lepiej czuł się na boisku niż w klasie - podczas gry lub zawodów odzyskiwał pewność siebie...

- Wdawał się w bójkę? Uśmiechnęła się.

- Tak. Zawsze starał się opiekować siostrą i dwoma młodszymi braćmi, przede wszystkim tym, który dużo czytał...

- Liamem.

- Właśnie, Liamem. Ten chłopiec ciągle miał zatargi z różnymi szkolnymi zabijakami... - przerwała. - Aidan stoczył z kilkoma z nich walkę. Może powinnam powiedzieć, że walczył także we własnym imieniu, bo przecież nie był święty, ale nie był też... Nie miał w sobie cienia agresji. Nie znoszę łobuzów, lecz naprawdę lubiłam Aidana.

Kiwnęłam głową.

- Miał jeszcze inne kłopoty poza tymi bójkami? Chwilę się zastanawiała.

- Czasami nie odrabiał pracy domowej.

- Zapominał?

- Nie, chyba po prostu nie potrafił opanować części ma-

terialu. Mówiłam już pani, że nie należał do najlepszych uczniów.

- Ja także nie - uśmiechnęłam się. - Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas.

Po pracy pojechałam do Hennessych. Marlinchen stała przed domem, trzymając rower. Gdy mnie zobaczyła, pomachała mi z daleka.

Nie jestem wielką znawczynią rowerów, ale ten od razu wydał mi się piękny. Rama pomalowana na intensywnie pomarańczowy kolor z metalicznym połyskiem, wąskie opony, ułatwiające osiągnięcie większej prędkości, i kierownica założona odwrotnie, tak że zakręcone uchwyty przypominały baranie rogi. Efekt psuły tylko dwie wypchane torby po obu stronach przedniego koła, przez które rower wyglądał jak szlachetnej krwi koń wyścigowy, siłą wciśnięty w rolę pociągowego kuca.

- Cześć - odezwała się Marlinchen. - Właśnie wróciłam ze sklepu.

Jej policzki płonęły zdrowym rumieńcem, czoło pokrywała warstewka potu.

- Ustawiona w ten sposób kierownica może i wygląda seksownie, ale nie będziesz uszczęśliwiona, jeśli się przewrócisz i koniec uchwytu wbije ci się w nerkę - zauważyłam.

Marlinchen zrobiła zabawną minę.

- Niech pani nie zachowuje się jak policjantka - zaśmiała się. - Wie pani, że teraz wielu kurierów, którzy jeżdżą na rowerach, nie zakłada nawet hamulców?

Wspaniale, pomyślałam w pierwszej chwili, zaraz jednak przywołałam na twarz wyraz surowej dezaprobaty.

- To już ich problem. Na twoim miejscu pojechałabym do tego warsztatu, gdzie zmienili ci ustawienie kierownicy, i kazała założyć ją tak, jak była na początku.

- Nie oddaję roweru do żadnego warsztatu, sama o niego dbam. - Marlinchen przykucnęła i zaczęła wyładowywać rzeczy z jednej z toreb. - Obsługa w warsztacie jest piekielnie droga, a tata nie potrafi mi pomóc, bo kompletnie nie radzi sobie z narzędziami...

Postawiła białą foliową torbę na ziemi i okrążyła rower.

- Więc sama zdjęłaś kierownicę, odłączyłaś i podłączyłaś hamulce i tak dalej?

Przez jej twarz przemknął cień smutku.

- Aidan i ja razem ustawiliśmy kierownicę, tuż przed jego wyjazdem...

- Podniosła torby z ziemi.

- Właśnie z jego powodu przyjechałam - uśmiechnęłam się. - Chcę ci przekazać parę informacji o Aidanie. Nie jest tego dużo - dodałam pośpiesznie - ale może pomówimy o paru sprawach.

Poszłam za nią do kuchni, gdzie położyła zakupy na blacie.

- Ma pani ochotę wyjść na ganek? - zapytała. - Powietrze jest teraz takie przyjemne...

Dzień był ciepły, lecz dość rześki, ponieważ ostatnie deszcze bardzo odświeżyły atmosferę. Gdzieś z daleka dobiegał monotony warkot kosiarki do trawy, a wiatr niósł puchate strzępki kwitnących mleczków i bawełny.

- Mam coś dla ciebie... - wyjęłam z torby zdjęcie Aidana, które wydrukowałam z poczty elektronicznej, i położyłam przed nią na drewnianym stole.

- O mój Boże... - westchnęła. Wzięła kartkę ostrożnie, za same brzegi, jakby bała się, że ją uszkodzi. - Miała pani rację, naprawdę wygląda teraz zupełnie inaczej...

Na zdjęciu twarz Aidana była bardziej owalna niż przed pięcioma laty, po dorostem u szczupła; największą różnicę stanowiły jednak włosy, tutaj ściągnięte do tyłu, co sugerowało, że są dość długie.

- Jak zdobyła pani tę fotografię?

- Nie wymagało to żadnych skomplikowanych detektywistycznych operacji - machnęłam ręką. - To tylko szkolne zdjęcie, nic szczególnego...

Zależało mi, żeby w czasie naszej rozmowy miała przed sobą zdjęcie brata i pamiętała, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie dowiedziałam się zbyt dużo - ciągnęłam. - Rozmawiałam z zastępcą szeryfa Fredericksem oraz Pete'em Benjaminem i zrobiłam, co w mojej mocy, ale utknęłam w martwym punkcie.

- Z powodu odległości i problemów prawnych. - Marlinchen pokiwała głową.

- Częściowo. Wciąż wracam jednak do pewnej sprawy, której źródło znajduje się gdzieś tutaj...

- To znaczy?

- Ciągle zadaję sobie pytanie, dlaczego Aidan został odesłany z domu. Marlinchen odgarnęła włosy za uszy.

- Tata skorzystał z nadarzającej się sposobności. Miał pełne ręce roboty, nie radził sobie...

- Tak mówiłaś - przytaknęłam. - Podobnie jak Colm i Liam. Wszyscy powtarzacie to samo, dokładnie to samo, zupełnie jakbyście się wcześniej umówili...

Spuściła wzrok. Ze skupieniem wpatrywała się w paznokieć ubrudzony olejem z rowerowego łańcucha.

- Może to po prostu znaczy, że taka jest prawda... - powiedziała.

- Czyżby? Wiesz, że autor notki biograficznej na okładce *Tęczy w nocy* napisał, że wasz ojciec ma czworo dzieci?

Doskonale wiedziała, o czym mówię.

- Napisał, że ojciec mieszka w Minnesocie z czworgiem dzieci — sprostowała szybko. - Co jest całkowicie zgodne z prawdą.

Chodziło jej o to, że Aidan został wysłany do Georgii przed wydaniem *Tęczy*.

- Ale mimo wszystko brzmi to tak, jakby miał tylko czworo dzieci - nie ustępowałam.

- Przecież te notki pisze ktoś w wydawnictwie, nie tata...

- Pisz się je na podstawie otrzymanych informacji. Silnik jakiejś motorówki na jeziorze zaniósł się przerywanym warkotem, jakby łódź podskakiwała na falach.

- Ty i twoi bracia powtarzacie zgodnie, że nie widzieliście Aidana od pięciu lat - podjęłam. - Nie dzwonił do was, nie pisał, nie przyjeżdżał ani na święta, ani na wakacje. To już coś więcej niż „nadarzająca się sposobność”, to wygnanie. Aidan został wymazany z biografii waszego ojca i z waszego życia.

Policzki Marlinchen nadal były mocno zarumienione, chociaż teraz nie miało to już nic wspólnego z wysiłkiem fizycznym.

- Nadaje pani temu zbyt duże znaczenie - powiedziała. - Oddawanie dzieci na wychowanie było kiedyś powszechną tradycją i nadal się zdarza. Pani ojciec także to zrobił, sama pani mówiła...

- Mój ojciec był kierowcą ciężarówki i większą część roku spędzał w trasie. Nie da się porównać tych dwóch sytuacji. Czy Aidan coś zrobił? Czy wasz ojciec miał jakiś powód, aby uznać, że Aidan powinien mieszkać z dala od rodziny, najpierw w Illinois, a później w Georgii?

- Nie - odparła cicho. - Nic nie zrobił.

Miałam wrażenie, że ciśnienie atmosferyczne obniżyło się nagle o kilka jednostek.

- Więc może chodziło o waszego ojca... - naciskałam. - Skoro Aidan nie zrobił nic złego, może problem tkwił w twoim ojcu...

- Nie - powiedziała jeszcze ciszej.

- Rozumiem... Wszyscy kochacie się nawzajem, w domu panuje idylla i nagle okazuje się, że Aidan musi wyprowadzić się z domu do obcych ludzi. Tak, to bardzo sensowne wytłumaczenie!

- Do czego właściwie to wszystko ma prowadzić?! - Marlinchen w końcu podniosła głos. - Miała pani szukać Aidana, nie przeprowadzać psychoanalizę mojej rodziny! Znalazła pani jedynie jego szkolne zdjęcie sprzed roku, nic więcej nie udało się pani zrobić, a teraz rzuca pani jakieś dziwaczne podejrzenia na mojego brata i na ojca!

Wyprostowałam się. Od początku naszej znajomości Marlinchen zawsze była uprzejma aż do bólu, lecz oto teraz wyszła ze skorupy i ukazała mi się w zupełnie nowym, nieoczekiwanym wcieleniu - jako wyniosła, rozkazująca księżniczka, wydająca polecenia komuś ze służby.

- Wiesz co? - odezwałam się po chwili milczenia. - Biorąc pod uwagę ograniczenia, jakie na mnie nałożyłaś, zrobiłam wszystko, co mogłam. Najwyraźniej dalej chcesz karmić mnie półprawdami i udawać, że wcale nie utrudnia to poszukiwań Aidana. Niby zależy ci, żeby go znaleźć, ale z drugiej strony myślisz przede wszystkim o tym, aby chronić idealny wizerunek waszego ojca. Jedziesz na dwóch koniach i wmawiasz sobie, że pędzą w tym samym kierunku...

Spodziewałam się, że jej gniew opadnie niczym pęknięty balon, ale nic takiego się nie stało. Niektóre kobiety, zwłaszcza te drobnej postury, potrafią posługiwać się uprzejmością niczym bronią. Nagle Marlinchen opanowała się, z godnością podniosła głowę i obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem. Kiedy przemówiła, w jej głosie usłyszałam trzask tysiąca zamykających się drzwi.

- Zdaję sobie sprawę, że zrobiła pani wszystko, co w pani mocy, detektyw Pribek, i że poświęciła nam pani więcej czasu, niż mogła pani sobie na to pozwolić. Jestem pewna, że mój ojciec osobiście pani podziękuje, gdy tylko wróci do zdrowia.

- Marlinchen, nie mówię przecież, że...

- Przepraszam bardzo... - Marlinchen zerwała się z krzesła. - Naprawdę muszę zająć się teraz rozpakowaniem zakupów...

1 poszła do kuchni, a duże balkonowe drzwi zamknęły się za nią cicho i nieodwołalnie.

Rozdział 14

Marlinchen była ostatnią osobą, z jaką powinnam mieć problemy w trakcie rozmowy, ponieważ właściwie była jeszcze dzieckiem. Problem polegał na tym, że pod względem pochodzenia i obycia stała wyżej ode mnie. Miałam świadomość, że posiadam pewien autorytet jako przedstawicielka prawa, ale zdawałam też sobie sprawę z moich braków w wychowaniu i wykształceniu, zwłaszcza gdy trafiałam do pięknie urządzonych domów ludzi z klasy średniej i wyższej, takich jak Marlinchen, która odziedziczony po ojcu intelekt nosiła niczym rodowe klejnoty. Była księżniczką z nieco zaniedbanego, lecz mimo wszystko imponującego zamku nad jeziorem, natomiast ja, urzędniczka państwowa, byłam prostą kobietą, która z nie do końca zrozumiałych przyczyn czuje się w obowiązku jej pomóc.

Wielu gliniarzy traktuje młodych ludzi w opiekuńczy, troskliwy sposób, a kiedy ktoś zapyta ich, dlaczego tak się dzieje, odpowiadają, że przedstawiciele prawa są przecież także mamusiami i tatusiami. W moim przypadku ta zasada nie miała zastosowania. Jako jedyna w naszym wydziale nie miałam dzieci, można chyba nawet powiedzieć, że sama byłam jeszcze dość blisko okresu dzieciństwa. Kiedy Colm pozwolił sobie na głupią uwagę na temat kobiet i broni palnej, zareagowałam zjadliwą uwagą o pilocie telewizyjnym. Kiedy Marlinchen przypuściła atak na moje zawodowe umiejętności, odpowiedziałam twardo i ostro, nawet nie starając się jej zrozumieć. Zachowałam się nie jak zastępczy rodzic, lecz obrażona siostra.

Mając dwadzieścia dziewięć lat, nadal czasami czułam się

nie do końca dojrzała emocjonalnie, chwiejna i niepewna, chociaż bardzo starałam się to ukryć. Wciąż ze zbytnią łatwością cofałam się do okresu dojrzewania i uczuć, jakie mi wtedy towarzyszyły.

Kiedy miałam trzynaście lat, ciotka mojej matki, Virginia, kelnerka i barmanka z długimi, rozjaśnionymi pasmami siwizny włosami i oczami mojej mamy, odebrała mnie z dworca autobusowego linii Greyhound w Minneapolis. Po trzyipół-godzinnej jeździe samochodem dotarliśmy do położonego na pograniczu gór miasta, w którym mieszkała. Pozostałą część tamtego roku zapamiętałam jako niewyraźne pasmo powtarzających się sytuacji i czynności.

Sypiałam marnie, dręczona złymi snami, których akcja nieodmiennie rozgrywała się w moim rodzinnym Nowym Meksyku; po przebudzeniu pamiętałam jedynie, że działo się w nich coś okropnego. W ogóle miałam wtedy spore kłopoty z pamięcią. Były one na tyle poważne, że po rozmowie z moją nauczycielką ciotka zgodziła się, aby zbadał mnie szkolny psycholog.

Wyniki badania nie były jednoznaczne, ale moja pamięć nie poprawiła się od razu. Wiele razy zostawałam w szkole po lekcjach za nieodrobioną pracę domową, nie dlatego, że świadomie lekceważyłam polecenia nauczycieli, lecz dlatego, że zapominałam wziąć do domu podręcznik lub zapisać numer zadania. W lodówce zostawiałam własnoręcznie zapakowane kanapki. Działo się to w okresie, kiedy rosłam szybko, kiedy w krótkim czasie podskoczyłam do ponad metra siedemdziesięciu, więc głód, jaki mnie męczył z powodu zapominalstwa, był nie tyle nieprzyjemnym, ile wręcz bolesnym doznaniem. Pewnego razu zjadłam na lunch tylko dwie kostki gumy do żucia, po czym zemdlałam na angielskim i wylądowałam w gabinecie lekarskim.

Ojciec na początku dzwonił dwa razy w tygodniu, ale szybko ograniczył się do jednego telefonu. Pamiętam, że w rozmo-

wach z nim nadużywałam słowa „fajnie”. Na początku grudnia zapytał, czy pogoda mi nie przeszkadza.

W górach Nowego Meksyku padał śnieg, ale oczywiście nie byłam przygotowana na to, co działo się w Minnesocie w styczniu. Ciemność zapadała już przed piątą po południu, ulicami wciąż kursowały warkoczące jak czołgi pługi śnieżne, wczesnym rankiem temperatura spadała do minus dwudziestu, a opustoszałe ulice przypominały jakąś lodową krainę. Pewnego dnia, owijając szyję szalikiem przed wyjściem do domu po kolejnej karze za nieodrobione lekcje, powiedziałam do woźnego, że chyba zaraz zacznie padać śnieg.

- Musiałoby się trochę ocieplić - odparł, patrząc w pogodne niebo.

Pierwszy raz usłyszałam wtedy, że może być za zimno na śnieg. Wieczorem, gapiąc się przez okno na księżyc koloru lodu, rozjaśniający bezkres czarnego nieba, zaczęłam się zastanawiać, jak to się stało, że zamieszkałam w miejscu, gdzie mróz jest zbyt duży, aby mógł spaść śnieg.

Ostatecznie wróciłam do równowagi w pierwszej klasie szkoły średniej dzięki koszykówce. Wcześniej ten sport w ogóle mnie nie interesował, no, może kilka razy rzuciłam piłką do oblażącej z farby obręczy na szkolnym boisku w Nowym Meksyku, ale ciotka namówiła mnie, bym spróbowała zagrać, a ja byłam zbyt apatyczna, aby jej odmówić.

Nigdy nie usiłuję wytłumaczyć ludziom, czym była dla mnie koszykówka, bo wszystko i tak brzmiałoby jak banały ze sportowego filmu z morałem. Nie chodzi tylko o to, że po raz pierwszy w życiu stałam się częścią zespołu i przeżyłam coś, co później wykorzystałam w pracy w policji. Sprawa była prosta - po latach emocjonalnego odrętwienia, w czasie których nie odczuwałam żadnych typowych dla nastolatków pragnień, nagle znowu na czymś mi zależało. W połowie sezonu zaczęłam wcześniej przychodzić na treningi, aby skakać przez koziół, żeby wzmocnić mięśnie łydek, wykonywać ćwiczenia

na zwiększenie prędkości i biegać po szkole, aby poprawić formę. Po paru miesiącach bolesne napięcie w klatce piersiowej, które utrzymywało się tak długo, że przestałam je już zauważać, wreszcie ustąpiło.

- W zeszłym roku trochę się o ciebie martwiłam - powiedziała ciotka.

- Wiem - odparłam. - Teraz wszystko jest już w porządku.

Do dziś mam zwyczaj zabierać dręczące mnie niepokoje do sali gimnastycznej, więc tym razem także tam poszłam, zadowolona, że nie wyjęłam z bagażnika starej koszulki i szortów. Kiedy jednak przebrałam się w damskiej szatni i weszłam na piętro, nagle przystanąłam w progu siłowni, zaskoczona widokiem znajomej sylwetki. Na taśmie biegał Gray Diaz, poruszając się w dobrym, równym tempie. Rumieniec natychmiast wypłynął mi na szyję i policzki, ale na szczęście Diaz wpatrywał się w czytnik prędkości i jeszcze mnie nie zauważył.

Odwróciłam się i zbiegłam po schodach. Nic nie szkodzi, pomyślałam sobie. Jutro rano pójdę pobiegać, może to nawet i lepiej, bo będzie trochę chłodniej.

- Wystraszył cię? - usłyszałam niski głos o przyjemnej barwie, zupełnie jak u radiowego spikera. - Nie powinnaś na to pozwolić...

Rozejrzałam się dookoła. Poza mną i Jasonem Stone'em w korytarzu nie było żywej duszy, nie ulegało więc wątpliwości, że mówi do mnie.

Jason Stone miał dwadzieścia sześć lat, był wysoki i przystojny. Natura wyposażyła go też w ten wspaniały głos, który sprawiał, że serca niezameżnych kobiet zaczynały bić szybciej. Ostatnio został oczyszczony z zarzutu stosowania przemocy w czasie wykonywania obowiązków służbowych.

- Słucham? - odezwałam się.

- Mówię o Grayu Diazie - odparł. - Wiem, kto to taki. Nie daj mu się wprowadzić z równowagi.

Nagle zabrakło mi słów. Nie miałam pojęcia, jak mu odpowiedzieć.

- Mam nadzieję, że mogę ci mówić po imieniu... - ciągnął Stone. - Chciałem cię tylko zapewnić, że wielu z nas wspiera cię w tej sprawie...

- W jakiej sprawie? - zapytałam.

- W sprawie tego, co zrobiłaś w Blue Earth.

- Nic nie zrobiłam w Blue Earth - powiedziałam. - Najwyraźniej coś słyszałeś, ale to nieprawda...

- Royce Stewart dostał to, co mu się należało - w głosie Stone'a brzmiał spokój i zdrowy rozsądek. - To, że ktoś taki jak Diaz przyjeżdża tu i próbuje przyspieszyć swoją karierę twoim kosztem... Cóż, Saro, powiem jedno - wielu z nas patrzy na niego z najwyższą pogardą.

- Chyba mnie nie zrozumiałeś... - podniosłam głos. - Nic nie zrobiłam w Blue Earth, powtarzam...

- Wiem - jego uśmiech mówił wyraźnie, że przecież oboje wiemy, jak naprawdę było. - Masz prawo chodzić z wysoko podniesioną głową.

Siedziałam pod prysznicem i w szatni tak długo, jak tylko się dało, a potem szybkim krokiem wróciłam do samochodu. Miałam stanowczo dość spotkań z kolegami z pracy jak na jeden wieczór.

Los zdecydował jednak inaczej.

Pojechałam do sklepu monopolowego Surdyka we wschodniej części Minneapolis i długo krążyłam między półkami, zanim wreszcie zdecydowałam się na australijskie cabernet w promocyjnej cenie. Szłam przez parking, kiedy na mojej ścieżce stanął Chris Kilander.

- Detektyw Pribek... - powiedział, skutecznie maskując zaskoczenie.

Uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam go poza pracą, w każdym razie nie w takim stroju. Zawsze nosił dobrej jakości garnitury i koszule, a na sali do gry w kosza podkoszulki

i szorty, lecz tego wieczoru miał na sobie trochę sprane dżinsy i kremową koszulę.

- Jak leci? - zapytałam ze zmieszaniem.

- Nie najgorzej, dziękuję - odparł. - Co u ciebie?

- W porządku. Widziałam cię w zeszłym tygodniu.

- Naprawdę?

- Z Grayem Diazem.

Nie wiem, dlaczego wpakowałam się w ten temat. Może czułam się trochę urażona, że Kilander tak przyjaźnie zachowuje się wobec faceta, który przyjechał do Minneapolis specjalnie po to, aby przyszpilić mnie za coś, czego nie zrobiłam.

- Znam go - odrzekł ostrożnie.

- To twój kumpel? Kilander podniósł dłoń.

- Chyba powinniśmy przerwać tę rozmowę - zaczął cofać się w kierunku wyjścia ze sklepu.

- Co takiego? - zapytałam tępo. - Chris...

Odwrócił się twarzą do mnie, a raczej profilem, i to niechętnie.

- Nie przypuszczasz chyba, że chciałam wyciągnąć z ciebie jakieś informacje, co?! - wybuchnęłam.

Nie odpowiedział.

- Na miłość boską, przecież to nie ja poprosiłam cię o rozmowę parę miesięcy temu! To ty umówiłeś się ze mną na spotkanie, by mi powiedzieć, że jestem podejrzana o udział w morderstwie!

- Tak. - Oczywiście Kilandera, zwykle pełne ironii i lekkiego rozbawienia, teraz były bardzo poważne. - I spodziewałem się, że zdecydowanie zaprzeczysz, iż jesteś odpowiedzialna za śmierć Stewarta, ale ty tego nie zrobiłaś...

Odwrócił się.

- Nie sądziłam, że muszę zaprzeczać - rzuciłam.

*

W samochodzie długo siedziałam nieruchomo, patrząc na jeszcze różowe po zachodzie słońca niebo. Próbowałam się tylko dowiedzieć, jak dobrze Kilander zna Diaza, nic więcej. Przecież nie zamierzałam prosić go o żadne związane z dochodzeniem informacje.

Nagle zdałam sobie sprawę, że wcale nie jestem tego taka pewna. Gray Diaz budził we mnie większy lęk, niż chciałam przyznać, nawet przed sobą.

Ale jak Kilander mógł pomyśleć, że jestem winna śmierci Royce'a Stewarta? Jason Stone to jedno, lecz słowa Kilandera naprawdę mnie zabolowały.

Jedź do domu, Saro, powiedziałam sobie. Wypij kieliszek wina i idź wcześniej spać.

Zamiast tego sięgnęłam do torby po komórkę i zadzwoniłam do biura numerów.

- Imię i nazwisko abonenta?

- Cicero Ruiz.

Zachowaj odrobinę rozsądku, Saro. To zamknięty w sobie facet, który prowadzi nielegalną działalność. Jego numeru na pewno nie będzie w oficjalnym spisie.

- C. Ruiz?

Mało prawdopodobne, pomyślałam.

- Tak, proszę mi podać numer.

Byłam pewna, że dodzwonię się do jakiegoś obcego człowieka i boleśnie dukając w swoim kulawym hiszpańskim, przeproszę za pomyłkę. *Lo siento*.

Cicero podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

- To ja-powiedziałam.

- Sara... Jak się czujesz?

- Bardzo dobrze. Nie jestem chora. Ucho mnie nie boli.

- To świetnie...

- I chciałam ci powiedzieć, że... - zająknęłam się. - Że nie mogę z tobą spać. Z powodu mojego męża.

- Po to zadzwoniłaś?

- Nie - odparłam.
- Więc po co?
- Czy mimo wszystko mogę przyjechać? - zapytałam. Przez opuszczone okno widziałam, jak Wenus zaczyna mocniej świecić na tle ciemniejącego nieba.
- Oczywiście - odrzekł Cicero.

Rozdział 15

Godzinę później stałam na dachu bloku Cicera i patrzyłam na jasne od miejskich świateł niebo nad Minneapolis. Widać stąd było tylko kilka konstelacji. Prawdziwie astronomiczny widok rozpościerał się dwadzieścia sześć pięter niżej - nakreślona pomarańczowymi ulicznymi latarniami siatka ulic, początek i koniec jedyne go świata, jaki większość z nas znała.

Za mną Cicero leżał na plecach na kocu, który tu przynieśliśmy, z ramionami skrzyżowanymi pod głową, w charakterystycznej pozie obserwatora gwiazd, z pękniętym kieliszkiem wina w zasięgu ręki. Fotel na kółkach został przy drzwiach klatki schodowej i Cicero sprawiał wrażenie całkowicie sprawnego, silnego mężczyzny. Szczerze mówiąc, wyglądał trochę jak doświadczony traper, który postanowił zrobić sobie krótki wypoczynek.

Cicero był wyjątkowo dyskretnym człowiekiem. Po naszej krótkiej rozmowie telefonicznej nie zapytał, dlaczego nie chcę z nim więcej sypiać, i dobrze, że tego nie zrobił, bo nie jestem pewna, czy umiałabym mu wyjaśnić. Przekroczyłam pewną granicę w dziedzinie osobistych zasad moralnych oraz etyki zawodowej i nic nie mogło wymazać tego z mojej pamięci, ale pragnęłam znowu znaleźć się po właściwej stronie, choć może źródłem tej potrzeby był niepokój, jakim napełniała mnie

świadomość, że przekroczyłam tę granicę z tak niezwykłą łatwością. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy nie noszę w sobie jakiejś ukrytej moralnej skazy i czy to może właśnie dlatego wybrałam pracę, w której dobro i zło zawsze są tak jasno rozgraniczone.

Kiedy przyjechałam, Cicero zerknął tylko na australijskie wino, które ze sobą przywiozłam, i zapytał, czy wszystko w porządku. Odpowiedziałam, że tak, on tak samo powiedział o sobie i wtedy na chwilę zabrakło nam słów. Cicero zdecydował się przerwać milczenie i zapytał, czy chciałabym posiedzieć trochę na dachu.

Myślałam, że żartuje, ale zaraz mi wytłumaczył, jak możemy to zrobić. Ustawiliśmy jego fotel u stóp schodów ewakuacyjnych, które prowadzą na dach, i zablokowaliśmy hamulec. Gdy Cicero usiadł na najniższym schodku, chwyciłam go za nogi pod kolanami, a on uniósł górną część ciała, przenosząc ciężar na dłonie. Jego metoda w dużym stopniu przypominała ćwiczenia mięśni trójdzielnych, które czasami wykonywałam na siłowni, powoli opuszczając się z ławeczki na podłogę, tyle że Cicero wspinał się po schodach na rękach. Podtrzymałam jego nogi i szłam za nim, nie było to jednak szczególnie trudne, ponieważ opierał się na mnie najwyżej jedną trzecią ciężaru ciała.

- Nie wygląda to zbyt atrakcyjnie i przebiega powoli, ale działa - powiedział, kiedy byliśmy już na górze.

Nalałam wino do dwóch różnych kieliszków, które przyniosłam na dach wcześniej, razem z kocem.

- Wiesz, co stanowiło dla mnie największy problem? - zapytał Cicero.

- Co?

- Pozwolić, żeby pomogła mi kobieta - powiedział. - Wcześniej wchodziłem tu z pomocą sąsiadów, facetów, ale to zupełnie co innego...

- Naprawdę już tu wchodziłeś?

- Jasne - wyciągnął rękę po kieliszek. - Wiele razy. Od czasu do czasu potrzebuję świeżego powietrza.

Teraz, stojąc na brzegu dachu z kieliszkiem wina w dłoni, zastanawiałam się nad jego słowami. Czy nie byłoby łatwiej, gdyby po prostu zjechał windą na dół i pojechał do parku albo gdzieś indziej?

- Dobrze pamiętam, co powiedziałeś mi parę dni temu, ale czy jednak przypadkiem nie cierpisz na agorafobię? - zapytałam. - Jeżeli nawet tak jest, to przecież nic straszego...

Roześmiał się.

- Nie, naprawdę nie cierpię na agorafobię.

- Więc dlaczego nigdy nie wychodzisz? - Natychmiast pożałowałam tych słów. - To znaczy, oczywiście nie mulisz mi nic mówić, ja tylko...

- Wszystko w porządku, nie mam żadnych sekretów. - Wyprostował jedno ramię i wskazał mi miejsce na kocu obok siebie. - Siadaj, bo to dosyć długa historia.

Usiadłam po turecku na brzegu koca.

- Ma to bezpośredni związek z moją niesprawnością - powiedział. - Miałem wypadek w kopalni.

- Zszedłeś pod ziemię jako członek zespołu ratowniczego? Wydało mi się dziwne, że ktoś wysłał pod ziemię lekarza, a nie pielęgniarzy czy sanitariuszy, ale Cicero pokręcił głową.

- Pracowałem tam.

- Jako górnik? Przytaknął.

- Było to po tym, jak straciłem licencję lekarską. Zawsze kiedy wydawało mi się, że znam już sytuację tego

faceta, dowiadywałam się czegoś nowego. Wiadomość, że Cicero stracił władzę w nogach w wyniku katastrofy w kopalni, była tak nieoczekiwana, że zdumienie zupełnie przytłumiło ciekawość co do okoliczności, w jakich odebrano mu licencję lekarską. Ta druga sprawa mogła poczekać.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosiłam.

- Zajmie nam to trochę czasu. - Uniósł się na łokciu i napił wina. - Wychowałem się w Kolorado, w górniczym regionie. Mój ojciec pracował w kopalni. Wobraź sobie niewysokiego mężczyznę, od stóp do głów pokrytego węglowym pyłem, który w czasie przerwy na lunch czyta *Iliadę* Homera... Można więc powiedzieć, że w pewien sposób wróciłem do korzeni, do tradycji...

- Pracowałeś z ojcem? - przerwałam mu. Pokręcił głową.

- Moi rodzice już wtedy nie żyli. Kiedy wróciłem, zatrudniła mnie niewielka rodzinna firma, oczywiście niezrzeszona w żadnym związku zawodowym, która wydobywała resztki węgla w pobliżu naszego miasta. Przez kilka pierwszych miesięcy nie cieszyłem się wielką sympatią kolegów. - Cicero uśmiechnął się lekko. - Pierwszego dnia sztygar, Silas, zapytał mnie, co robiłem wcześniej. Powiedziałem mu prawdę, że byłem lekarzem. Chyba mi nie uwierzył. Myślał pewnie, że robię sobie głupie żarty, więc powiedział tylko: „Moim zadaniem jest dopilnować, żebyś nie zabił siebie ani nikogo innego do chwili, kiedy znudzi ci się walenie głową w sufit i postanowisz poszukać sobie innego zajęcia”.

- Sympatyczny gość... - mruknęłam.

- Dobry, porządny facet - rzekł poważnie Cicero. - Silas był młodszy od wielu górników w grupie, ale zaczął pracować w kopalni, mając osiemnaście lat, więc dobrze wiedział, o co chodzi w tej robocie. Słuchałem jego poleceń i po jakichś dwóch miesiącach nauczyłem się sobie radzić. Zaczął ze mną rozmawiać, nie tylko wydawać mi rozkazy... - przerwał i pociągnął łyk wina. - Często jedliśmy razem lunch i gadaliśmy o różnych rzeczach. Obu nas niepokoiła kwestia zagrożeń w kopalni. Łagodnie mówiąc, małe, niezwiązkowe kopalnie raczej nie przodują w dziedzinie bezpieczeństwa pracy. Kiedy katastrofa w końcu się zdarzyła, zaskoczyło mnie, że wszystko zaczęło się tak niepostrzeżenie...

- Co się zaczęło? - ponagliłam go.

- To, co w języku przemysłowym nazywają samozapłonem. W kopalni często słyhać, jak sklepienie korytarza obsuwa się z hukiem, więc tamtego dnia nawet nie zwróciłem uwagi na ten dźwięk. Zorientowałem się, że coś jest nie tak, dopiero w chwili, gdy poczułem, jak powietrze porusza się w odwrotnym kierunku.

Przekrzywiłam głowę i rozłożyłam ręce, sygnalizując, że nie rozumiem, o czym mówi.

- Kopalnie muszą oddychać, tak samo jak ludzie - wyjaśnił. - Systemy wentylacyjne odprowadzają metan z miejsc, gdzie pracują górnicy, i dostarczają tam świeże powietrze. W niektórych kopalniach, takich jak nasza, wentylatory wytwarzają wiatr o prędkości dziesięciu, dwunastu kilometrów na godzinę. Jest to dość silny ruch powietrza, aby go poczuć, ale górnicy szybko się do niego przyzwyczajają i zauważają dopiero jego brak. Można wtedy odnieść wrażenie, że powietrze rusza w odwrotną stronę. Nie jest to miłe uczucie. Silas poczuł, co się dzieje, w tej samej chwili co ja. Przerwaliśmy pracę i popatrzyliśmy na siebie. Nagle dobiegły nas krzyki, więc rzuciliśmy wszystko i pobiegliśmy w kierunku, skąd dobiegały głosy. Na miejscu zobaczyłem dwóch rannych. Sklepienie się osunęło, doszło do samozapłonu i niewielkiego wybuchu. Dostrzeżliśmy ogień, ale widzieliśmy też, że nikt nie zginął. Sztygar tamtej grupy spostrzegł Silasa i mnie, gdy wybiegliśmy zza zakrętu korytarza. Potrzebował pomocy i rady Silasa, lecz ja nadal byłem dla niego świeżo upieczonym górnikiem. „Ty nie” - krzyknął. „Zabieraj się stąd”. Wtedy Silas powiedział: „Przyda wam się, to lekarz”.

W dole zawyła syrena. Mimo woli spojrzałam ku krawędzi dachu. To był dźwięk mojej pracy... Byłam uwarunkowana jak jakiś przeklęty pies Pawłowa.

- Aby zrozumieć, co wydarzyło się później, trzeba posiadać pewną wiedzę o wypadkach w kopalniach - ciągnął Cice-

ro, który nie zauważył, że moją uwagę coś na chwilę rozproszyło. - Często pierwszy samozapłon nikogo nie zabija, ale wszczyna pożar, który może uszkodzić system wentylacyjny. Kiedy wentylacja przestaje działać, poziom metanu wzrasta, a to prowadzi do następnych wybuchów, najczęściej fatalnych w skutkach. Jest trochę czasu na ewakuację, lecz problem polega na tym, że niektórzy górnicy podążają w kierunku miejsca eksplozji, żeby pomóc rannym kolegom. Taka jest górnicza etyka. Nie wiem, czy zostałem, bo uważałem się już za górnika, czy dlatego, że nadal byłem lekarzem, w każdym razie w chwili drugiego wybuchu przebywałem na przodku... - Cicero nalał sobie więcej wina. - Rzuciło mnie do tyłu, a kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że inni zaczynają się ewakuować. Wiedzieli, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Chcieli mnie wyciągnąć, ale nie mogłem poruszać nogami, więc powiedzieli, że przyślą ratowników z noszami, a jeśli sanitariusze baliby się zejść na dół, wrócą po mnie sami. Wciąż groziły nam kolejne wybuchy. Słyszałem pracujące na wyższym poziomie grupy ratownicze, których szefowie mówili, że czas się wycofać. Ratownicy nadawali przez krótkofalówki, że mają na dole jeszcze jednego człowieka, lecz otrzymali rozkaz wycofania się. Ich głosy dobiegały z coraz większej odległości, aż w końcu zupełnie ucichły.

Kostki palców Cicera pobieleły, kiedy zacisnął rękę na podstawie kieliszka. Była to jedyna oznaka silnych emocji, jakie opanowały nim z nową mocą.

- Z początku jakoś się trzymałem. Powtarzałem sobie, że Silas zmusi ich, by po mnie wrócili, ale po pewnym czasie zobaczyłem trupa Silasa. Wtedy wreszcie dotarło do mnie, że naprawdę mogę tam umrzeć... - przerwał. - Wszystko było do zniesienia tak długo, jak długo paliła się lampa, czyli mniej więcej trzydzieści godzin...

- Trzydzieści? - powtórzyłam ze zgrozą. - Jak długo byłeś na dole?

- Sześćdziesiąt jeden godzin. - Wypił resztkę wina. - Z tego połowę w całkowitej ciemności. Kiedy lampa zgasła, wyobraźnia zaczęła płatać mi figle. Wpadłem w kompletną paranoję. Byłem pewny, że ratownicy kłamali, gdy mówili, że wrócą po mnie. Taka akcja musiała być zbyt niebezpieczna - wmówiłem sobie, że kierownictwo firmy po prostu zaplombuje tę część kopalni i poinformuje mojego brata, że byłem wśród tych, którzy zginęli od drugiego wybuchu.

Znowu wyciągnął się na kocu.

- Oczywiście nic takiego się nie stało - podjął. - Wrócili po mnie. W szpitalu powtarzałem sobie, że nie czuję nóg, bo jestem jeszcze w szoku. Dopiero po pewnym czasie przyjąłem do wiadomości, że nie będę chodził. Dotarło to do mnie w trakcie rehabilitacji, która stanowi najkosztowniejszą część leczenia. Po wypadku kopalnia ogłosiła bankructwo i wszyscy straciliśmy ubezpieczenie.

- Typowe... - wymamrotałam.

- Oczywiście doszło do sprawy sądowej, wytoczonej zbiorowo przez poszkodowanych, czyli także przeze mnie, ale proces się przeciąga. Tymczasem moje zadłużenie za opiekę medyczną po wypadku nadal jest ogromne, a mój obecny stan zdrowia wyklucza ubezpieczenie.

- Ale przecież jesteś w dobrej formie, prawda?

- W tej chwili tak - odparł Cicero. - Jednak koszty życia osoby niepełnosprawnej, nawet ogólnie zdrowej, nie są niskie. Poza tym dla niepełnosprawnego każda choroba może okazać się groźna. Takim problemom nie da się zapobiec, a fizjoterapia...

- Za fizjoterapię ubezpieczyciel i tak nie zapłaci, ponieważ stanowi ona aspekt twojego obecnego stanu - dokończyłam za niego.

- Właśnie. Teraz mam prawo do podstawowej opieki medycznej dla niepełnosprawnych. Gdybym znalazł pracę, straciłbym prawo do podstawowej opieki, a długi zaczęłyby po-

chłaniać dużą część moich dochodów. Krótko mówiąc, znajduję się w tej nietypowej sytuacji, kiedy zatrudnienie nie dźwiga człowieka na nogi, ale ciągnie w dół.

Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju, ale nie przyszło mi do głowy, że Cicero naprawdę znalazł się w pułapce.

- Poza medycyną, której nie wolno mi praktykować, nie umiem i nie jestem w stanie robić nic, co przyniosłoby środki na przeżycie bez odpowiedniego ubezpieczenia zdrowotnego. A gdyby udało mi się znaleźć dobre zajęcie, to na moje potencjalne dochody czekają dwie kliniki, jeden szpital oraz kilku lekarzy specjalistów. Teraz kieruję moich wierzycieli do prawników obsługujących proces poszkodowanych w wypadku przeciwko właścicielom kopalni...

- Musi istnieć jakiś sposób obejścia zasad prawnych - powiedziałam, w pełni świadoma, że są to tylko słowa. - Ktoś musi zrozumieć, że cała ta sytuacja jest po prostu absurdalna. Takie rzeczy nie mogą się dziać...

Cicero parsknął śmiechem.

- Nie mogą i nie powinny - rzekł. - Tak czy inaczej, jest to wynik skomplikowanego łańcucha zbiegów okoliczności. Gdyby wolno mi było wykonywać zawód, który może mi przynieść odpowiednie środki... Gdybym nie wybrał akurat tej kopalni... I tak dalej, i tak dalej. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to idiotyczna sytuacja, lecz obejście zasad to już co innego. Pracownik opieki społecznej zatrudniony w klinice rehabilitacyjnej w Kolorado uznał, że powinienem przeprowadzić się do Minneapolis, ponieważ tutaj mieszkał mój brat, Ulises. Tutaj przydzielono mi opiekunkę społeczną, która miała dwadzieścia trzy lata i kompletnie nie wiedziała, jak mi pomóc. Wystarała się o czeki dla niepełnosprawnych i to było wszystko. Nie była to jej wina, tylko systemu, który nie jest nastawiony na rozpatrywanie przypadków indywidualnych. Nikt nie jest władny zmienić zasady lub inaczej zinterpretować ich subtelne sformułowania. Wszyscy chcą ci pomóc, ale nikt nie może tego zrobić.

- Przecież to nie koniec tej sprawy, to niemożliwe - powiedziałam, rozkładając ręce.

Cicero przyjrzał mi się uważnie.

- Czasami masz problemy ze zrozumieniem rzeczywistości - uśmiechnął się. - Robisz wrażenie znużonej życiem i cynicznej, lecz pod tą powłoką kryje się naiwna wiara w system... - wzruszył ramionami. - Cóż, opowiedziałem ci już znacznie więcej, niż zamierzałem, a jeszcze nie odpowiedziałem na twoje podstawowe pytanie...

- Jakie podstawowe pytanie? - Naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć, o co mi chodziło.

- Właśnie... Opowiedziałem ci o wypadku w kopalni, ale nie wyjaśniłem ci, że spędziłem sześćdziesiąt jeden godzin w miejscu tylko trochę większym od trumny... - przerwał. - Od tamtego czasu mam problemy z zamkniętą przestrzenią. Nie cierpię na agorafobię, tylko na klaustrofobię i właśnie dlatego rzadko opuszczam mieszkanie.

- Winda! - zrozumiałam w końcu.

- Tak jest, ta przekłeta winda - pokiwał głową. - Nie boję się trwającej równo sześć minut podróży na parter, bo to jakoś bym jeszcze wytrzymał, ale z całą pewnością nie zniósłbym poczucia zamknięcia w klatce, gdyby winda utknęła między piętrami. - Spuścił wzrok, wyraźnie skrepowany swoją słabością. - Bóg jeden wie, że to głupie, ale...

- Lęki są irracjonalne - powiedziałam. - Sama jestem żywym potwierdzeniem tej prawdy.

Cicero nie odpowiedział. Odchylił głowę do tyłu i obserwował światła samolotu. Lotnisko Minneapolis znajdowało się dość blisko stąd i potężne samoloty wzbijały się w niebo nad miastem z regularnością autobusów. W ciągu dwudziestu godzin ich pasażerowie mogli dotrzeć w dowolny zakątek świata, a tutaj, na kocu, leżał Cicero, którego świat skurczył się tak bardzo, że pokonanie jednej kondygnacji schodów było dla niego wielką podróżą.

- Ale jeżeli prawie w ogóle nie wychodzisz z domu, to jak radzisz sobie z zakupami? - zapytałam.

- Jedzenie przynoszą mi pacjenci - wyjaśnił. - Nie prowadzę gabinetu, w którym płacić można wyłącznie gotówką, chętnie przyjmuję także i inne formy płatności. Można powiedzieć, że jest to coś w rodzaju handlu wymiennego.

- Nie brak ci spotkań z ludźmi?

- Ludzie sami do mnie przychodzą - odparł. - Większość krwawi albo kaszle, ale biorę ich takimi, jacy są.

- Miałam na myśli kobiety...

- No, tak, kobiety... - Cicero ironicznie uniósł jedną brew. - Pchają się drzwiami i oknami, bo przecież każda chciałaby się związać z zadłużonym po uszy kaleką...

- Cicero! - rzuciłam ostro. Milczał chwilę.

- Saro, proszę, tylko nie planuj, że zmienisz moje życie - rzekł w końcu.

Jego ton mówił wyraźnie, że nie chce o tym dłużej rozmawiać. Spuściłam wzrok, przyjmując decyzję Cicera do wiadomości.

- Kiedy przyjechałem do Minneapolis, nie było tak źle - podjął. - Ulises mieszkał na parterze, a ja miałem furgonetkę. Nic wielkiego, ale była wyposażona w sterowanie ręczne, no i jeździła... - przerwał. - Nadal ją mam, stoi w garażu na dole, lecz w gruncie rzeczy chyba powinienem ją sprzedać, bo w ogóle z niej nie korzystam. Jeden z chłopaków z mojego piętra musi tylko raz na tydzień włączać silnik, żeby nie skonał z zaniedbania...

Ta część historii skłoniła mnie do zadania pytania, które samo się nasuwało.

- Gdzie jest teraz twój brat? Mówiłeś, że przewieźli cię tutaj, żebyś mógł z nim zamieszkać...

Ciemne oczy Cicera błysnęły, nagle bardziej skupione niż jeszcze przed chwilą.

- Mieszkaliśmy razem - potwierdził. - Ale to już zupełnie inna historia...

- Podobno nie masz żadnych sekretów - przypomniałam.

- Nie mam. Nie jestem tylko przekonany, czy powinienem opowiedzieć ci o Ulisesie po tym wszystkim, czego już wysłuchałaś.

- Ulises nie żyje? - zapytałam.

- Nie żyje.

Potrząsnęłam głową. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w twarz.

- Dobry Jezu... - szepnęłam.

- Nie rób takiej miny.

- O Jezu...

- Nie lituj się nade mną - powiedział.

- Nie lituję się.

Nie jestem pewna, czy skłamałam.

Rozdział 16

W gabinecie sędziego Hendersona było nas troje - sędzia we własnej osobie, siwiejący czarnoskóry mężczyzna, raczej małomówny, Lorraine z opieki społecznej oraz ja.

- To nie jest typowa sytuacja - oświadczyła Lorraine. - Byłam w domu Hennessych i przyznaję, że wszystko jest dokładnie tak, jak opisała to detektyw Pribek. W domu panuje porządek, dzieci chodzą do szkoły. Najmłodszy chłopiec ma jedenaście lat, pozostali czternaście i szesnaście, dziewczyna niedługo skończy osiemnaście. Kiedy tam byłam, starała się ze mną współpracować i otwarcie opowiadała, jak sobie radzą.

- Co z ojcem? - zapytał sędzia Henderson.

Jego głos miał niskie, przyjemne brzmienie, trochę jak pomruk burzy za horyzontem.

Lorraine nachyliła się w jego stronę.

- Powoli wraca do zdrowia. Przewieziono go z oddziału intensywnej opieki do kliniki rehabilitacyjnej i lekarze spodziewają się, że powinien odzyskać siły. Najpoważniejszym problemem są wciąż jeszcze utrzymujące się trudności z komunikacją z otoczeniem. Córka stara się o uzyskanie prawa do reprezentowania go w kwestiach finansowych.

Sędzia skinął głową.

- Przez prawnika, mam nadzieję.

- Oczywiście - potwierdziła Lorraine.

Spojrzałam na rzymskie cyfry na tarczy dużego zegara nad biurkiem sędziego. Trzecia trzydzieści. Nie byłam pewna, po co mnie tu wezwano. Myślałam, że mam opowiedzieć o sytuacji rodzinnej Hennessych, ponieważ to ja napisałam raport dla opieki społecznej, ale jak na razie nikt nie zadał mi ani jednego pytania.

- Cóż, wygląda na to, że jak zwykle zajęła się pani wszystkim bardzo dokładnie. - Sędzia Henderson odchylił się na fotelu do tyłu, tak daleko, że czubek jego łysiejącej głowy prawie zupełnie zniknął wśród liści pnącej rośliny, zwieszającej się z doniczki na półce. - Detektyw Pribek, teraz czas na panią...

Lorraine także odwróciła się w moją stronę.

- Mamy program, z którym wchodzimy w sytuacjach, gdy osoby niepełnoletnie, lecz zbliżające się do wieku dojrzałości, dostają odpowiednich opiekunów, nadzorujących ich postępowanie w okresie próbnym. Oczywiście stosujemy go tylko w tych przypadkach, gdy osoba niepełnoletnia dobrze rokuje i nie ma żadnych dorosłych krewnych, którzy mogliby pełnić funkcję opiekuna.

- Chcecie, żebym została opiekunką prawną małych Hennessych? - odezwałam się.

- Nie tyle opiekunką, ile osobą, która miałaby na nich oko -odparła pośpiesznie Lorraine.

- Nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o opiekę społeczną - przypominałam jej.

- Ale jest pani odpowiedzialną przedstawicielką prawa i wszystko wskazuje na to, że ma pani z nimi większy kontakt niż ktokolwiek inny...

- Lorraine na chwilę zawiesiła głos. -Marlinchen Hennessy niewątpliwie można określić jako dobrze rokującą nieletnią, poza tym do osiągnięcia pełnoletności brakuje jej tylko parę tygodni. Niepokoi nas, że dzieci będą przez ten czas same, ale wysyłanie ich do rodzin zastępczych na tak krótki okres wydaje się po prostu śmieszne...

- Nie jestem pewna, czy Marlinchen zgodzi się na takie rozwiązanie - powiedziałam wymijająco, myśląc o mojej ostatniej z nią rozmowie.

- Kiedy z nimi rozmawiałam, najstarsza córka wyrażała się o pani w samych superlatywach - zauważyła Lorraine.

- Jedyna córka - sprostowałam machinalnie. Marlinchen Hennessy nie miała przecież żadnych sióstr. Lorraine uśmiechnęła się, a ja uświadomiłam sobie, że

wpadłam w pułapkę, potwierdzając ich przypuszczenia, że jestem kimś, kto zainwestował sporo czasu i energii w poznanie tej młodej rodziny. Westchnęłam.

- Nie jestem temu całkowicie przeciwna - zaczęłam. - Ale wydaje mi się, że sytuacja jest dość poważna i skomplikowana. Marlinchen ubiega się o prawo do reprezentowania interesów ojca, a niedługo wystąpi także o prawo do opieki nad młodszym rodzeństwem. Nie odnosicie wrażenia, że to trochę za ciężkie obowiązki dla tak młodej dziewczyny?

Lorraine przygryzła dolną wargę. Milczenie przerwał sędzia.

- Detektyw Pribek, rodzina nigdy nie przestanie być świętą i niezastąpioną podstawową komórką społeczną w Ameryce - rzekł. - Zanim przedstawiciele organów prawa zdecydują się rozdzielić jej członków, muszą mieć po temu bardzo wyraźny powód. Gdyby mali Hennessy mieli krewnych czy choć-

by bliskiego przyjaciela rodziny, kogokolwiek, kto mógłby przyjąć obowiązki opiekuna, nie wahałbym się ani chwili. Nie ma jednak nikogo takiego i w tej sytuacji odnoszę wrażenie, że będzie to najlepsze rozwiązanie.

- Co właściwie miałabym robić? - zapytałam, czując, że mięknę.

- Po prostu mieć na nich oko. - Lorraine powtórzyła sformułowanie, którego użyła wcześniej. - Dopilnować, żeby prali swoje rzeczy i jedli na kolację coś więcej niż płatki z zimnym mlekiem. Nie musi pani z nimi mieszkać, wystarczy wpaść do nich dwa, trzy razy na tydzień... - przerwała. - Powinnam też dodać, że otrzyma pani za to wynagrodzenie...

- Którego nie da się jednak doliczyć do emerytury - sucho uzupełnił sędzia Henderson.

Zaskoczyłam samą siebie, parszając śmiechem razem z nim.

- Więc jak? - zapytała Lorraine. - Decyduje się pani?

To, o co prosili, wykraczało daleko poza moją dotychczasową pracę na rzecz okręgu Hennepin. Nie miałam dzieci ani młodszego rodzeństwa. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że jest już za późno, że i tak zaangażowałam się w życie Hennessych. Mimo niezbyt fortunnej ostatniej rozmowy z Marlinchen naprawdę ją lubiłam, poza tym gdybym spędziła z nią więcej czasu, może jednak zdołałabym zlokalizować Aidana Hennessy'ego i doprowadzić tę sprawę do końca.

- W porządku - powiedziałam. - Zajmę się nimi.

Nikt mnie o tym nie uprzedził, ale kiedy podejmowałam decyzję, Marlinchen Hennessy była w pokoju za ścianą. Gdy zgodziłam się zaopiekować dziećmi, Lorraine wprowadziła ją do gabinetu sędziego i wyjaśniła sytuację. Marlinchen przystała na zaproponowane rozwiązanie, w czym w zasadzie nie było nic dziwnego.

Zjechałyśmy windą na dół. Powiedziałam jej, że po pracy odwiozę ją do domu i razem wytłumaczymy wszystko jej bra-

ciom. Bez słowa skinęła głową. Zostawiłam ją przy małym stoliku w kawiarni na pierwszym piętrze centrum handlowego Pillsbury, popijając colę i zajęta odrabianiem lekcji.

W drodze do pracy doszłam do wniosku, że dziewczyna najwyraźniej nadal uważała mnie za osobę nie tylko godną zaufania, ale także szacunku. Jeżeli w ciągu najbliższych paru tygodni miałam regularnie odwiedzać ją i jej braci, powinnam się postarać, by odrobinę się rozluźniła.

Byłoby najlepiej, gdybyśmy spędziły razem trochę czasu, nie rozmawiając o nieprzyjemnych sprawach rodzinnych, o Hugh, Aidanie, kwestiach finansowych i prawnych, pomyślałam. Powinnyśmy zrobić coś zupełnie innego niż dotąd, coś zabawnego...

Kiedy dotarłam na posterunek, powiedziałam Van Noordowi, że zamierzam wyjść nieco wcześniej niż zwykle.

- Zaaresztują nas - oświadczyła z przekonaniem Marlinchen.

Była szósta wieczorem i światło dnia zaczęło już przybierać łagodny, miękki odcień. Znajdowałyśmy się na szosie pod Minneapolis, niedaleko rzeki St. Croix. Zjechałam na pobocze, żebyśmy mogły zamienić się miejscami.

Marlinchen wydawała się całkiem zadowolona, kiedy godzinę wcześniej na pustym parkingu przed kościołem zaczęłam uczyć ją podstaw kierowania samochodem. Kilka razy objechała parking z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, hamowała i wrzucała wsteczny.

- Nie jest to znowu takie trudne - powiedziała, z każdą chwilą bardziej pewna siebie i pogodna.

Teraz sytuacja wyglądała inaczej.

- Muszę próbować na autostradzie? - zajęczała. - Nie powinnam zacząć na ulicy, gdzie jeździ się najwyżej pięćdziesiąt na godzinę?

- Wszystkie ulice mają skrzyżowania, przecznice i poza

samochodami jeżdżą nimi dzieciaki na rowerach - uświadomiłam jej. - Tutaj masz przed sobą pustą, prostą drogę.

Ciężarówka z przyczepą przemknęła obok nas z rykiem silnika. Marlinchen rzuciła mi pełne żalu spojrzenie.

- Prowadzisz dom, a nie potrafisz nawet dojechać samochodem do sklepu - powiedziałam. Tego samego argumentu użyłam już wcześniej, kiedy zaproponowałam, że dam jej lekcję jazdy. - Musisz się tego nauczyć...

- A jeżeli będę jechała za wolno? - zapytała.

- Wyminą cię - odparłam. - Wiejscy kierowcy uwielbiają wymijać, to dla nich coś w rodzaju rozrywki.

Aby zapobiec dalszym sprzeciwom, wysiadłam z samochodu. Drzwi z drugiej strony otworzyły się powoli i Marlinchen niechętnie poszła za moim przykładem.

- Z wielkim wysiłkiem oderwij jedną dłoń od drugiej i zwolnij hamulec ręczny, tak jak robiłaś to już wcześniej - rzuciłam sucho, gdy zamieniłyśmy się miejscami. - Dobrze... Teraz oprzyj stopę na pedale hamulca i ruszaj. Prawą stopę, tylko jedną, nie obie naraz...

Marlinchen podjechała do pasa i zatrzymała się, uważnie rozglądając się dookoła. Minęło parę sekund, potem jeszcze kilka. Autostrada była zupełnie pusta. Nie miałam pojęcia, na co czekamy.

Czy dopingowałam ją zbyt mocno? Chciałam, żeby trochę się rozluźniła i zajęła czymś innym niż zwykle, ale nie sprawiała wrażenia szczególnie rozbawionej.

- Poza nami w polu widzenia nie ma żadnego samochodu - zauważyłam. - Trudno o lepsze warunki...

Marlinchen zdjęła nogę z hamulca i wyjechała na drogę. Wskazówka szybkościomierza w boleśnie wolnym tempie zbliżyła się do czterdziestu kilometrów na godzinę. Potem do pięćdziesięciu. Wreszcie do sześćdziesięciu.

- Ograniczenie prędkości wynosi siedemdziesiąt - poinformowałam ją uprzejmie.

- Wiem - odparła.

- Co znaczy, że większość samochodów jedzie osiemdziesiąt na godzinę - wyjaśniłam. - Przyspiesz trochę.

Silnik zawył głośniejsze, a wskazówka prędkościomierza zaczęła piąć się w górę. Kiedy dotarła do liczby siedemdziesiąt, Marlinchen odetchnęła z ulgą i spojrzała na mnie kątem oka, zadowolona, że nie musi już przyspieszać.

- Wszystko w porządku? - zapytałam. - Dobrze się czujesz?

- Tak - odparła, chyba z lekkim zdziwieniem. Jej mocno zacisnięte na kierownicy dłonie rozluźniły uchwyt. I- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Nie mamy żadnego określonego celu podróży. To długa droga, więc masz idealne warunki, żeby przyzwycząić się do kierownicy...

W prawym lusterku pojawił się samochód. Z początku był wielkości muchy, ale zbliżał się szybko i wkrótce spostrzegłam, że jest to duży ford pikap.

- Spójrz we wsteczne lusterko - odezwałam się. Marlinchen wykonała moje polecenie i jej ręce natychmiast znowu zacisnęły się na kierownicy.

- To żaden problem - powiedziałam. - Wyprzedzi nas.

- Co mam zrobić? - Nerwowo oblizła wargi.

- Nic. On zrobi wszystko za ciebie, obserwuj go.

Pikap dogonił nas i przez mniej więcej dwadzieścia sekund jechał za nami. Marlinchen wpatrywała się w lusterko, jakby ją ktoś zaczarował.

- Nie patrz na niego bez przerwy - poradziłam. - Patrz przed siebie, bo przecież tam jedziesz...

Ford, który w języku kierowców poprosił nas, żebyśmy przyspieszyły, i nie doczekał się spodziewanej reakcji, teraz uprzejmie został z tyłu. Potem jego szeroki czarny nos wysunął się w kierunku środkowej linii, sprawdzając, czy nikt nie nadjeżdża z przeciwnej strony. Kierowca wyprzedził nas

z prędkością stu dziesięciu na godzinę i po chwili znalazł się przed nami.

- Rany... - wykrztusiła Marlinchen.

- Widzisz? Nic się nie stało. Gdyby z naprzeciwka jechały samochody, musiałybyś trochę zwolnić, żeby spokojnie mógł wrócić na nasz pas, albo zamrużyć światłami, dając mu do zrozumienia, że go wpuszczasz.

- Więc istnieje jakiś kodeks zachowania na drodze? - zainteresowała się. - To super...

Spokojnie jechałyśmy jeszcze dziesięć minut, zanim przed nami pojawił się duży wóz, traktor. Dogoniłyśmy go w ciągu kilkunastu sekund.

- Ciągnie najwyżej trzydzieści pięć na godzinę - powiedziałam. - Wyprzedź go.

- Słucham?

- Wyprzedź go, bo facet strasznie się czołga. Jeżeli go nie wyminiemy, będziemy wlec się za nim do końca świata.

- Nie umiem...

- Umiesz. Ten silnik ma trochę mocy, więc zrobisz to bez trudu. Tylko pamiętaj, żeby nie wycofywać się, kiedy już zaczniesz wyprzedzać. Niezdecydowanie kierowcy jest przyczyną wielu wypadków.

Byłyśmy tuż za traktorem. Wyjrzałam do przodu, sprawdzając, czy nic nie nadjeżdża.

- Droga wolna - kiwnęłam głową. - Ruszaj!

Silnik zamruczał głośniej, kiedy Marlinchen zjechała na przeciwny pas. Wskazówka szybkościomierza skoczyła w górę - osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt, sto, sto dziesięć kilometrów. Zaraz potem przyszła ta pozornie ciągnąca się bez końca chwila, gdy każdemu kierowcy wydaje się, że nigdy nie wyprzedzi, niezależnie od tego, jak wolno jeszcze parę sekund wcześniej jechał wyprzedzany pojazd. Na horyzoncie pojawiła się mała biała plamka - nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód.

Marlinchen zrobiła to, czego trochę się spodziewałam. Pomruk silnika przycichł, wskazówka prędkościomierza opadła. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna ma ochotę się wycofać.

- Nie! - rzuciłam ostro. - Zdecydowałam się i musisz to zrobić, pamiętasz?

Silnik ryknął, przyśpieszyliśmy. Z prędkością stu dziesięciu na godzinę wyprzedziłyśmy traktor. Marlinchen się obejrzała.

- Wszystko gra - powiedziałam. - Wracaj na naszpas. Spełniła polecenie, nie kryjąc ulgi. Po chwili obok nas przemknął biały pikap. Kiedy wyprzedzałyśmy traktor, był jeszcze daleko.

- Niesamowite... - westchnęła Marlinchen. Zerknęła w lusterko i wesoło pomachała traktorzyście, zupełnie jakby zrobił jej wielką uprzejmość. - To było nawet dość przyjemne...

- Niezbyt dobrze znasz to uczucie, prawda? - zapytałam. - Masz ochotę zjechać na pobocze, schować głowę między kolanami i zaczekać, aż minie?

- Och, zamknij się! - nagle zaniósła się wysokim chichotem, zaskoczona własną śmiałością.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Wydaje ci się teraz, że jesteś strasznie niegrzeczną dziewczynką, co? - zagadnęłam. - To bułka z masłem... Kiedy ja byłam w twoim wieku...

- Kto by pomyślał... - zakpiła pogodnie.

- No, no, nie pozwalaj sobie... Kiedy byłam w twoim wieku, razem z moją kumpelką Garnet Pike uczyłam się robić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, zwany „ucieczką przemytnika”...

- Nie mam zielonego pojęcia, co to takiego!

- To stuosiemdziesięciostopniowy zwrot, który wykonujesz, trzymając nogę na pedale hamulca i jednocześnie ostro skręcając kierownicę. Większość produkowanych obecnie samochodów zupełnie nie nadaje się do tego rodzaju sztuczek. Garnet przeczytała gdzieś o „ucieczce przemytnika”, koniecz-

nie chciała spróbować, więc namówiła mnie, żebym pożyczyła samochód mojej ciotki, sedana z dobrym silnikiem, i pojechałyśmy na lotnisko.

- Na lotnisko? - zdziwiła się Marlinchen.

- Myślisz o takim lotnisku jak nasze, w Minneapolis. Tam mieliśmy zwyczajne wiejskie lądowisko z jednym pasem, bez wieży kontrolnej. Wybrałyśmy się tam wieczorem, bo wtedy nie było żadnego ruchu... - Nagle usłyszałam entuzjazm, wyraźnie brzmiący w moim głosie, i natychmiast się zreflektowałam. - Oczywiście nie mówię, że zachowałyśmy się właściwie, nie powinnyśmy przecież wjeżdżać na teren lotniska...

- Krótko mówiąc, zdecydowanie mi to odradzasz - pokiwała głową.

- Tak jest. Wracając do rzeczy: pas startowy był idealnym miejscem do przećwiczenia „ucieczki” - szeroki i długi, w polu widzenia ani śladu czegoś, w co mogłybyśmy uderzyć. Po dwóch falstartach Garnet zmobilizowała się i wykonała zwrot. Wyznam ci, że wtedy uważałam, że muszę zrobić wszystko, co zrobiła Garnet, więc zamieniłyśmy się miejscami i spróbowałam...

Na chwilę przeniosłam się w przeszłość. Usłyszałam własny wesoły, pełen ulgi śmiech i zobaczyłam chwiejącą się malutką sosenkę, którą trąciłam lusterkiem. Do dziś zapach igliwia sprawia, że wracam myślami do tamtego wieczoru.

- Niech zgadnę... - odezwała się Marlinchen. - Chcesz mnie tego nauczyć...

Potrząsnęłam głową.

- Nie, wiem, że na razie nie dałabyś sobie rady, ale jestem gotowa pokazać ci, jak się to robi.

- Serdeczne dzięki! - powiedziała zdecydowanie. - Chyba puściłabym pawia...

- Nic z tych rzeczy! Zanim się zorientujesz, będzie już po wszystkim. Szczerze mówiąc...

- Popatrz, bar Dairy Queen! - przerwała mi, podekscyto-

wana widokiem budyneczku z czerwonym dachem przy drodze. -
Możemy się zatrzymać?

- Przecież to ty prowadzisz.

Niedługo potem usadowiliśmy się w cieniście miejscu nad rzeką St. Croix. Dowiozła nas tu Marlinchen, a ja trzymałam jej duży koktajl z lodami i moje cebulowe krążki. Słońce złoćło jeszcze rzekę, lecz za naszymi plecami po zachodniej stronie nieba gromadziły się ciężkie, stalowe chmury. Kontrast między błękitem i ciemnym grafitem był tak ostry, że niebo wyglądało, jakby wypracował je grafik komputerowy.

- Szykuje się niezła pogoda na wieczór - zauważyłam. -Burza, może nawet z gradem...

Marlinchen nabrała pełną łyżeczkę lodów z bitą śmietaną.

- Kiedy byłam mała, bałam się burzy - powiedziała. - Pamiętam, jak kiedyś w nasz dom uderzył piorun, to jedno z moich pierwszych wspomnień. Nie widziałam tego, zapamiętałam tylko huk i przerażenie mamy... Później przez kilka lat bałam się głośnych dźwięków.

- Było aż tak źle?

- Myślę, że nie przestraszyłabym się aż tak bardzo, gdyby nie reakcja mamy. Weszła do mojego pokoju, powiedziała, że w dom trafił piorun, i zapakowała mnie do łóżka. Zaczęłam płakać, bo ona także płakała i była bardzo zdenerwowana. Myślałam, że zaraz uderzy w nas następny piorun, że to dopiero początek jakiejś katastrofy. Tamtej nocy mama spała ze mną w pokoju.

Elisabeth Hennessy utonęła w dość podejrzanych okolicznościach, wiele osób uważało, że było to samobójstwo. Wspomnienia jej córki sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem matka Marlinchen przez całe swoje krótkie życie nie miała problemów emocjonalnych. Może były one na tyle poważne, że letnia burza z piorunami stawała się dla niej przerażającym przeżyciem.

- Coś się stało? - zagadnęła Marlinchen, wyrywając mnie z zamyślenia.

- Nie.

Nie miałam pojęcia, jak taktownie zapytać, czy Elisabeth Hennessy miewała stany lękowe, postanowiłam więc odłożyć swoje wątpliwości na inną okazję.

- Ile miałaś lat, kiedy umarła twoja mama? - zapytała nagle.

Miałam nadzieję, że zdumienie nie odbiło się na mojej twarzy. Marlinchen najwyraźniej potrafiła czytać w myślach, niezbyt dokładnie, ale jednak...

- Dziewięć, prawie dziesięć - powiedziałam. Plastikowa łyżeczka zawisała w połowie drogi między kubkiem i ustami dziewczyny.

- Mówiłaś chyba, że przyjechałaś do Minnesoty w wieku trzynastu lat... Co działo się z tobą do tego czasu?

Opowiadałam historię mojej przeprowadzki do Minnesoty wielu osobom, lecz nikt nigdy nie zadał mi tego pytania...

- Mówiłam ci, że mój ojciec był kierowcą ciężarówki, prawda? Dużo czasu spędzał w trasie, ale przez te cztery lata w domu poza mną mieszkał mój starszy brat, Buddy. Później Buddy wstąpił do wojska i wyjechał, musiałabym więc często zostawać sama. To był główny powód, lecz nie jedyny... - zawahałam się.

- Stało się coś jeszcze?

- Tamtego lata zaginęła dziewczyna z naszego miasta. Była w moim wieku, a w niewielkich miejscowościach takie zdarzenia wywołują prawdziwą panikę... - Tuż nad powierzchnią wody przemknął spory ptak.

- Od lat w ogóle o tym nie myślałam...

- Dlaczego?

- Bo zdarzyło się to dawno temu, byłam wtedy jeszcze dzieckiem - wzruszyłam ramionami. - Możliwe, że wywarło to wpływ na decyzję ojca. Poza tym powoli stawałam się na-

stolatką i ojciec chyba uważał, że powinnam dorastać pod wpływem kobiety...

- Rozumiem... - Marlinchen pokiwała głową. - Więc to pod kobiecym wpływem twojej ciotki zaczęłaś ćwiczyć samochodowe sztuczki w niedozwolonych miejscach, tak?

- Tak - przyznałam. - Ginny była najłagodniejszą, najbardziej wyrozumiałą ciotką na świecie. Wieczorami i w\weeken-dy pracowała w barze, więc zasadniczo mogłam robić, co mi się podobało. Chcesz? - podsunęłam Marlinchen torebkę z cebulowymi krążkami.

Wzięła jeden i wsunęła do ust.

- Dzięki. Twoja ciocia nadal mieszka w górach?

- Nie, Ginny umarła, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Zabił ją wylew. Nie taki jak u twojego ojca - dodałam pośpiesznie, widząc skurcz na twarzy dziewczyny. - Ginny miała zator w pniu mózgowym, w miejscu, gdzie skupia się większość ośrodków zawiadujących podstawowymi funkcjami organizmu. Jeżeli można mówić o lepszej czy gorszej lokalizacji wylewu, to jej wylew zdarzył się w miejscu najgorszym z możliwych.

Gdy Marlinchen skończyła lody, podniosłam się.

- Chodź - powiedziałam. - Wracajmy do domu.

W milczeniu poszliśmy do samochodu. Tym razem ja usiadłam za kierownicą i na końcu zwirowanej drogi, którą dotarliśmy nad rzekę, zawróciłam na północ, nie na południe.

- Na pewno jedziemy w dobrym kierunku? - zapytała Marlinchen, zerkając na prędkościomierz.

- Tak - odparłam.

Potem nacisnęłam hamulec i z rozmachem zakręciłam kierownicą. Nova wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, tylne koła na moment wyleciały poza pas. Ruszyliśmy na zachód, stopniowo przyśpieszając.

- Widzisz? - odezwałam się. - Nie bolało, prawda?

Rozdział 17

Następnego dnia zgłoszono nam włamanie do sklepu na stacji benzynowej, najprawdopodobniej tego samego autorstwa co dwa wcześniejsze. Witamy z powrotem, chłopcy, pomyślałam.

Spisałam zeznania świadków i po powrocie na komisariat obejrzałam taśmy z kamer z dwóch pierwszych sklepów. Miałam nadzieję, że uda mi się rozpoznać rabusiów z nagrań, bo przecież niewątpliwie wcześniej osobiście sprawdzali miejsce planowanego napadu.

Kiedy wyszłam z pracy, pomyślałam, że mogłabym pojechać na kolację do Hennessych. Marlinchen na pewno była lepszą kucharką ode mnie. Zjechałam windą do garażu.

- Detektyw Pribek!

Odwróciłam się i zobaczyłam zmierzającego w moją stronę Graya Diaza. Nie był sam. Towarzyszył mu mężczyzna koło pięćdziesiątki, wysoki, szczupły, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, bez krawata. Jego szare oczy patrzyły na mnie zza szkieł w grubych oprawkach. Znałam skądś tę twarz, ale za nic w świecie nie mogłam sobie jednak przypomnieć, gdzie spotkałam tego człowieka.

- Cieszę się, że złapaliśmy panią przed wyjściem z pracy - powiedział Diaz, który trzymał w ręku jakąś kartkę. - Zna pani Gila Henninga, prawda?

- Tak... - nagle przypomniałam sobie, że towarzysz Diaza to technik z wydziału przestępstw.

Kilka razy widziałam, jak omiatał proszkiem do ściągania odcisków palców drzwi i krawędzie sprzętów, i jak wykonywał odciski stóp. Zawsze prawie niewidoczny, trudny do zauważenia.

- Mogę wam w czymś pomóc? - zagadnęłam, czując delikatne pulsowanie niepokoju w brzuchu, niepokoju, jaki zawsze budził we mnie Diaz.

- Gil zjechał tu ze mną po pani samochód - wyjaśnił Diaz i uniósł kartkę. Był to nakaz rewizji. - Może pani być obecna przy przeszukaniu...

Wyjęłam nakaz z jego ręki i uważnie go przeczytałam. Zawierał zezwolenie na pobranie próbek włosów, włókien, odcisków i krwi. Badania miało przeprowadzić dzielnicowe laboratorium kryminalne. Okręg Hennepin posiadał własne laboratorium, ale ponieważ ta sprawa nie podlegała jego jurysdykcji, Diaz postanowił skorzystać z usług miejscowego.

- Może chciałaby pani wyjąć coś z samochodu? - zaproponował. - Nakaz dotyczy także przedmiotów znajdujących się w wozie, ale będziemy elastyczni. Oficer Henning obejrzy rzeczy, które pani zabierze, i to wszystko...

- Niczego nie potrzebuję - powiedziałam.

W bagażniku miałam podnośnik, kilka innych narzędzi oraz apteczkę, w schowku na rękawiczki kasety magnetofonowe oraz dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty na wypadek niespodziewanego kryzysu. Nie miałam cienia wątpliwości, że pieniądze nadal będą w schowku, kiedy technicy zwrócą mi samochód.

- W takim razie poproszę kluczyki - odezwał się Henning.

Moje palce okazały się dziwnie niezgrabne. Po mniej więcej sześćdziesięciu sekundach, co w obecności dwóch mężczyzn wydawało się ciągnąć w nieskończoność, wreszcie zdołałam zdjąć kluczyki z podwójnego metalowego kółka.

Henning podszedł do mojego samochodu - nie musiałam mu wskazywać nowej. Nie minęła minuta, a obok zatrzymała się ciężarówka holownicza, do której szybko i sprawnie przymocowano mój wóz.

- Zdaję sobie sprawę, że to dla pani niedogodne - powiedział Gray Diaz. - Mógłbym panią gdzieś podwieźć?

- Nie - odparłam. - Dziękuję.

- Naprawdę, to żaden problem...

Potrząsnęłam głową.

- Moja przyjaciółka za chwilę kończy pracę i chętnie podrzuci mnie do domu.

- Na pewno? - dopytywał się Diaz, kiedy szliśmy w kierunku wind.

- Na pewno.

Na górze natychmiast ukryłam się w damskiej toalecie. Nie wiedziałam, dokąd poszedł Diaz, ale w żadnym razie nie chciałam, żeby zobaczył, jak kręcę się po korytarzu bez przyjaciółki, którą zamierzałam poprosić o podwiezienie do domu.

W toalecie nie było żywej duszy. Oparłam ręce o blat i popatrzyłam w lustro.

Shorty nigdy nie był w moim samochodzie, lecz oczywiście Diaz nie mógł o tym wiedzieć. Diaz wiedział tylko, że Stewart rozmawiał ze mną w barze i niedługo potem zginął w płonącym domu, mógł więc podejrzewać, że między jednym i drugim wydarzeniem jechał ze mną moim wozem, albo jako pasażer, albo martwy, w bagażniku. Mogłam przecież zabić Shorty'ego gdzie indziej, przewieźć zwłoki do domu, a następnie podpalić go, starając się zamaskować swój czyn.

Problem polegał na tym, że chociaż Shorty nigdy nie był w aucie, inaczej rzecz się miała z jego krwią. Byłam przy jego śmierci i nawet uklękłam obok, kiedy się wykrwawiał, usiłując nakłonić go, aby opowiedział mi historię, która mogła umrzeć razem z nim. I tak się stało, ale w tym czasie jego ciepła krew wsiąkała w moje ubranie. Później, kiedy razem z Gen pojechałam na farmę jej siostry, uprałyśmy zakrwawione rzeczy w pralce i kilka razy przeszłyśmy się po ganku i korytarzu na parterze, sprawdzając, czy nie zostawiłyśmy tam żadnego śladu naszej bytności w Blue Earth. Następnego dnia odwiedziłam myjnię samochodową i zafundowałam nowej najdokładniejsze mycie, czyszczenie i odkurzanie, jakiego kiedykolwiek zaznała.

Nie oznaczało to jednak, że Henning i jego koledzy niczego

nie znajdują. Wielu przestępców robi to, co ja wtedy, lecz dobrzy technicy mimo wszystko natrafiają na interesujące dowody, które czasami mogą przetrwać naprawdę długo. Było zupełnie możliwe, że znajdą w moim samochodzie krew i zidentyfikują ją jako krew Shorty'ego.

Nagle usłyszałam jakiś szelest, dobiegający z jednej z kabin. Drzwi otworzyły się i zobaczyłam Roz, sierżant policji metropolitalnej. Stała jak wryta i obrzuciła mnie zaskoczonym wzrokiem. Nie wątpię, że patrzyłam na nią z takim samym wyrazem twarzy. Istnieje niewiele powodów, dla których można spędzić w toalecie całe dziesięć minut, w kompletnej ciszy, a my przyłapałyśmy się nawzajem właśnie na czymś takim.

- Co się dzieje? - zagadnęłam niepewnie.

Od razu zauważyłam, że Roz ma mocno zaczerwienione oczy.

- Ach, sama nie wiem, co tu właściwie robię... - powiedziała. - Musiałam odwieźć dziś Rosco do uśpienia.

- Rosco?

- Mojego pierwszego psiego partnera.

- O cholera... - mruknęłam. - To okropne...

- Właśnie. Dla niego to lepiej, bo w ogóle nie mógł już jeść. Przedwczoraj zrobiłam mu stek z mielonego mięsa, a on tylko popatrzył na miskę, nawet nie tknął jedzenia. Zrozumiałam, że przyszedł jego czas... - z bezradnym westchnieniem machnęła ręką. - Później przyjechałam tutaj, bo pomyślałam sobie, że może coś się zajmę, ale nic z tego. Co z tobą?

- Szukam kogoś, kto podrzuciłby mnie do domu - powiedziałam. - Nie mam samochodu.

Roz nie skomentowała faktu, że szukam okazji, stojąc w pustej toalecie.

- Mogę cię podwieźć - zaproponowała. W milczeniu zjechałyśmy do garażu.

- Masz ochotę na drinka? - zapytała Roz, kiedy już usiadła za kierownicą.

- Dobrze... - usłyszałam swój głos. - Nie, zaczekajcie, zaraz... Tak, zgadza się, zostałam obsikana cztery razy, ale obrzygana tylko raz i jestem z tego bardzo dumna.

- Nasikali na ciebie cztery razy? - z niedowierzaniem zapytała Roz, przekrzykując panujący w barze hałas.

- Tak jest, przy czym jeden raz zasługuje na szczególną uwagę - pokiwałam głową, nie wypuszczając z ręki wysokiej szklanki. - Ten podejrzany leżał na noszach, przypięty pasami, bo doznał obrażeń w czasie bójki w barze dla rowerzystów. Nikt z nas nie zauważył, w jaki sposób udało mu się wyciągnąć kutasa, a tym bardziej wymierzyć go prosto w moją nogę. Trzeba przyznać, że był z niego prawdziwy akrobata...

Początkowo Roz i ja chciałyśmy poszukać schronienia i pociechy w jakimś spokojnym, ciemnym lokaliku, ale ostatecznie wylądowałyśmy w hałaśliwym barze w centrum miasta, głównie dlatego, że nie chciałyśmy natknąć się na kolegów i miałyśmy ochotę na coś dobrego do jedzenia.

Najpierw wypiliśmy za Rosco, a w ciągu następnych godzin uczciłyśmy toastami pozostałe siedem psów Roz. Kiedy zjadłyśmy chipsy, maczając je w podanym przez barmana sied-miowarstwowym sosie, zamówiłyśmy jeszcze koszyczek pieczonych ziemniaków.

Roz zapytała, co dzieje się z Gen. Ja zapytałam, jak radzi sobie szkolony przez nią młody policjant, Lockhart. Roz powiedziała, że nigdy nie dawała wiary durnym plotkom, jakobym była zamieszana w morderstwo w Blue Earth. Ja zrewanżowałam się oświadczeniem, że nigdy nie wierzyłam w pogłoski, jakoby była lesbijką. Roz zwierzyła mi się, że naprawdę jest lesbijką. Postawiłam następne dwie kolejki.

Potem (słowo daję, że nie wiem, ile czasu upłynęło od naszego wejścia do baru) Roz opowiedziała mi historię najwspanialszej godziny w życiu Rosco.

- Łazimy i łazimy po tych krzakach, szukając niebezpiecznego skazańca, który uciekł z pierdła, jest czwarta trzydzieści rano i wciąż zupełnie ciemno. Rosco złapał trop i rzuca się naprzód. W końcu zatrzymuje się pod drzewem, węszy i obiega je dookoła, bardzo podniecony. Pomyśleliśmy, że facet wlaź na drzewo, więc wszyscy mierzymy z broni w koronę drzewa, ale po chwili orientujemy się, że nikogo tam nie ma. Rosco raz po raz obiega pień i szczeka, patrząc na mnie, a ja nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Goście z kryminalnego zaczynają się wkurzać, zachowują się tak, jakby Rosco spieprzył sprawę. Wrzeszczą, żebym odciągnęła psa i kazała mu szukać tropu, więc w końcu mówię im, że tych psów się nie prowadzi, za nimi się idzie. Rosco opiera przednie łapy o pień i szczeka, jakby chciał powiedzieć: „Wykonałem zadanie, teraz wasza kolej, idioci”. - Roz spojrzała na mnie zapuchniętymi od płaczu i alkoholu oczami. - Wiesz, gdzie się ukrył?

- W drzewie?

- Tak jest, dosłownie w drzewie. - Roz ścisnęła moje ramię. - Wdrapał się wysoko, żeby się rozejrzeć, i wtedy zobaczył, że pień jest pusty w środku, kompletnie spróchniały. Nie wiem, czy wpadł do środka przypadkiem, czy schował się tam świadomie, w każdym razie nie mógł się wydostać i w nocy zamarzył prawie na śmierć... - pociągnęła łyk piwa. - Był nieprzytomny. Wyciągnęliśmy go stamtąd, a potem w szpitalu jakoś udało im się go rozmrozić. Facet dostał dożywocie.

- Szczęśliwe zakończenie - zauważyłam.

- Tak... - mruknęła Roz. - Która godzina?

- Trochę po dziewiątej.

- Chyba nie dam rady prowadzić...

- Nic nie szkodzi - zapewniłam ją z wylewną serdecznością.

- Cholera, przecież miałam cię odwiedzić do domu, nie?

- Wszystko w porządku, nie przejmuj się...

Koniec końców, dziewczyna Roz, Amy, przyjechała po nią

taksówką. Amy powiedziała, że chętnie podrzuci mnie do domu. Nie znała adresu, który jej podałam, ale Roz owszem.

- Mieszkasz w komunałkach? - zapytała z niedowierzaniem.

Rozdział 18

Po korytarzu dwudziestego szóstego piętra północnej wieży pałętał się jakiś nastolatek. Zerknął na mnie, lecz zaraz spuścił wzrok i podszedł do drzwi w końcu korytarza. Zapukałam do drzwi Cicera, ale nikt nie odpowiadał. Spróbowałam znowu.

W końcu Cicero otworzył. Miał mokre włosy, w rękę trzymał ręcznik. Jego koszulka była wilgotna, najwyraźniej naciągnął ją w pośpiechu, nie wytarłszy się do końca po kąpieli.

- Niewłaściwa chwila? - zapytałam.

- Nie, nie - zaprzeczył. - Wchodź, proszę... Duży pokój był pełen pachnącej mydłem pary.

- Nic dziś nie przyniosłam, przepraszam - powiedziałam.

- Nie musisz za każdym razem czegoś przynosić - uśmiechnął się lekko. - Ale chyba się nie mylę, że chociaż nie przyniosłaś wina, to sama miałaś już z nim kontakt? Wydawało mi się, że słyszę trochę zamazane „s” w twoich...

Przerwało mu pukanie. Wjechał do korytarza i uchylił drzwi.

- Oparzyłam sobie rękę - usłyszałam kobiecy głos. Cicero cofnął się do środka, wpuszczając pacjentkę, bardzo

szczupłą białą kobietę o rzadkich, prostych brązowych włosach, ubraną w satynową kamizelę w pasy i spodnie od dresu. Do ręki przyciskała wilgotny papierowy ręcznik.

- Jak to się stało, Darlene? - spytał Cicero.

- Gotowałam... - odparła niepewnie, przenosząc spojrzenie na mnie.

Sekunda wystarczyła, bym dostrzegła jej skurczone do ciemnych kropek źrenice i zorientowała się, że przyczyną kuchennego wypadku niewątpliwie były narkotyki.

Cicero odwrócił się do mnie.

- Mogłabyś poczekać w drugim pokoju, Saro?

Kiwnęłam głową i poszłam do jego sypialni. Znałam go już dobrze i wiedziałam, że wizyta potrwa dłużej niż oczyszczenie i opatrzenie rany. Byłam pewna, że Cicero także zwrócił uwagę na zwięzione źrenice kobiety, więc najprawdopodobniej poradzi jej, gdzie szukać pomocy dla uzależnionych.

Żaluzje były jak zwykle podniesione i w dole rozciągało się olbrzymie pole świateł Minneapolis. Podeszłam bliżej, żeby wyjrzeć. Z zamkniętych drzwi dobiegały przyciszone głosy Cicera i Darlene, poza tym dookoła panowała zupełna cisza. Zdumiewające, jak grube były ściany tego budynku. Mieszkało tu mnóstwo ludzi, ale nie było ich słychać - chyba tylko raz, w czasie mojej drugiej wizyty, usłyszałam szczekanie Fidelia. Nagle pomyślałam, że czuję się tu trochę jak na szczycie wysokiej góry. W normalnych okolicznościach ta cisza napełniłaby mnie spokojem, lecz tego wieczoru nie potrafiłam pozbyć się zdenerwowania.

Spotkanie z Roz oraz gwar w barze pozwoliły mi oderwać się od myśli o Grayu Diazie, lecz teraz pytania, które usiłowałam zepchnąć w głąb podświadomości, powróciły jak silna fala. Co będzie, jeżeli technicy z wydziału kryminalnego znajdą ślady krwi Royce'a Stewarta w moim samochodzie?

Przesłuchanie w roli głównej podejrzanej o zamordowanie Stewarta było bolesne, widok nieufności w oczach niektórych kolegów i dezaprobaty w oczach innych wpędzał mnie w przygnębienie, ale zawsze miałam przed sobą wyjście awaryjne, z którego w ostateczności mogłam skorzystać. Wiedziałam, że gdyby mnie aresztowano, Genevieve wróci i powie prawdę. W takim wypadku byłabym zamieszana w sprawę śmierci Shorty'ego, lecz nie zostałabym oskarżona o morderstwo.

Teraz pojawiła się inna, groźna możliwość. Zaczęłam się zastanawiać, czy zeznanie Genevieve byłoby wystarczające. Gdyby wszystkie fizyczne dowody wskazywały na mnie, tak jak zeznania świadków z Blue Earth, to czy ława przysięgłych wzięłaby pod uwagę pozornie mało prawdopodobne przyznanie się do winy przez moją przyjaciółkę? Gdyby postawiono mnie przed sądem, zostałabym pewnie skazana.

Kiedy pierwszy raz odpowiadałam na pytania detektywów z okręgu Faribault, nie miałam cienia wątpliwości, że powinnam skłamać, by osłonić Gen. Wtedy wydawało mi się to absolutnie naturalne i uzasadnione, lecz teraz przyszło mi do głowy, że być może wykopałam pod sobą znacznie głębszy dołek, niż przypuszczałam.

Drzwi sypialni szcęknęły, odwróciłam się szybko od okna.

- Hej, przepraszam za zwłokę... - powiedział Cicero.

- Przecież to twoja praca.

- Jesteś głodna?

Nagle uświadomiłam sobie, że od śniadania prawie nic nie jadłam.

- Skąd wiedziałaś?

- Skończyłem medycynę - uśmiechnął się. - Uczą nas tam, jak wcześniej wykrywać objawy niedożywienia. Co jadłaś na kolację?

- Pół koszyka pieczonych ziemniaków plus cztery whisky i trzy piwa - przyznałam się.

- Trudno sobie wyobrazić lepiej zbilansowaną dietę. Zaraz zrobię ci kawę i zobaczę, co mam w lodówce.

Zmarszczyłam brwi. Cicero z pewnością nie był zamożny, nie wiedziałam nawet, czy stać go na najbardziej podstawowe rzeczy.

- Nie powinienesz mnie karmić, nie warto - powiedziałam.

- Warto, jeżeli będzie ci smakowało.

Zrobił mi kanapkę z pomidorem i awokado, i wróciliśmy do sypialni.

- Dlaczego piliśmy dzisiaj wieczorem, co? - spytał Cicero, kiedy już prawie skończyłam.

- Dlaczego lekarze zawsze mówią „my”, gdy tak naprawdę chcą powiedzieć „ty”?

- Bo taka forma sugeruje wspólnotę przeżyć. Chyba nie świętowałaś jakiegoś wydarzenia, prawda?

- Nie.

- Co się stało?

- W gruncie rzeczy nic szczególnego. - Podniosłam kubek z kawą, jakbym w ten sposób chciała osłonić się przed jego ciekawością.

- Akurat! Co się stało? Westchnęłam.

- To skomplikowana sprawa - powiedziałam. - Ma związek z moim mężem, z jego skazaniem i... Myślałam, że robię to, co powinnam, ale teraz nie jestem już pewna. Może tobie uda się to zrozumieć... Co ja gadam, na pewno to zrozumiesz, w końcu sam straciłeś licencję mniej więcej za to samo, prawda? Pomogłeś śmiertelnie choremu pacjentowi umrzeć, mam rację?

Cicero uniósł brew.

- Skąd to wiesz?

- Nietrudno się domyślić - oświadczyłam. - Współczucie to twój grzech główny, może nie?

- Niemoralne zachowanie - powiedział.

- Słucham?

- Straciłem licencję z powodu niemoralnego zachowania wobec pacjentki.

- Żartujesz sobie!

- Dlaczego miałbym robić sobie żarty z tak poważnej sprawy, moja droga? - zapytał z wyrzutem.

Skarcona, znowu pociągnęłam łyk kawy.

- Ale to było nieporozumienie, tak? - odezwałam się ostrożnie. - Fałszywe oskarżenie?

- Nie. Chodziło o niemoralne zachowanie wobec pacjentki, kropka.

To niemożliwe, chciałam powiedzieć, ale nie byłam w stanie wydobyć głosu.

- Pewnej nocy przywieziono ją na pogotowie, bo próbowała popełnić samobójstwo. Była drobniutka, niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, z jasnymi włosami do pasa. Od razu się zorientowałem, że próba samobójstwa była wołaniem o pomoc - podcięła sobie żyły, ale dość płytko. Przyjąłem ją i w czasie badania opowiedziała mi swoją historię. Była Angielką, przyjechała do Nowego Jorku, mając szesnaście lat, aby uczyć się w szkole baletowej. Jej rodzina właściwie nie istniała - matka nie żyła, a ojciec i siostra kontaktowali się z dziewczyną sporadycznie. Chciała zacząć nowe życie w Stanach, ale wszystko od początku układało się nie najlepiej. Walczyła z wagą, co w jej przypadku oznaczało anoreksję i stosowanie amfetaminy, potem zaś alkohol i środki uspokajające, żeby jakoś rozładować stres. Miała kilku chłopaków, lecz żaden nie traktował jej dobrze. Gdy zrozumiała, że nie zrobi kariery jako tancerka, wyszła za najgorszego z nich, za faceta jeszcze bardziej uzależnionego od narkotyków niż ona. Szybko urodziła dwójkę dzieci i ze względu na nie przestała brać, ale mąż nie zamierzał ani zrezygnować z narkotyków, ani dochować jej wierności. Pewnego dnia obudziła się ze świadomością, że wpadła w pułapkę - żyje w obcym mieście, w pozbawionym miłości związku, z dwojgiem malutkich dzieci, bez żadnych umiejętności. Właśnie wtedy doszła do wniosku, że jej dzieciom będzie lepiej bez niej. Nie ulegało wątpliwości, że ma bardzo poważne problemy, wydawało mi się jednak, że jakaś jej część walczy o przetrwanie, mimo próby samobójczej. Miałem nadzieję, że wyjdzie z tego dołka, następnego dnia wystarałem się dla niej o łóżko na oddziale psychiatrycznym i cała ta sprawa wyleciała mi z głowy. Okazało się, że ona o mnie nie zapomniała. Sześć miesięcy później zostawiła mi trzy wiadomości

na pogotowiu. Zadzwoiłem do niej i dowiedziałem się, że znowu jest w kryzysie. Mąż, który dawał sobie w żyłę, powiedział jej, że ma HIV i nie może dłużej łożyć na nią i dzieci, a następnie zabrał trochę gotówki, samochód i zniknął. Minęły dwa dni, a ona wciąż nie dostała od niego żadnej wiadomości. Nie mogła pojechać do szpitala, bo nie miała samochodu ani opiekunki do dzieci, a bardzo potrzebowała porozmawiać z kimś o swojej sytuacji, osobiście, nie przez telefon. Zapytała, czy mógłbym do niej przyjechać... - Cicero potarł skroń, przywołując wspomnienia. - Dokładnie pamiętam, ile czasu miałem do końca dyżuru - czterdzieści dwie minuty. Spojrzałem na wiszący w kącie zegar i powiedziałem jej, że wkrótce przyjadę.

Wiedziała, że nie powinnam czuć złości na tę kobietę, że mój gniew powinien być wymierzony w Cicera. Wyobrażałam sobie, jakie musiał zrobić na niej wrażenie - wysoki, kompetentny, opiekuńczy, przystojny i związany przysięgą, aby przede wszystkim nie szkodzić... A jednak byłam wściekła na tę nieznajomą, słabą, domagającą się wsparcia kobietę, która miała wciągnąć Cicera w fatalną zasadzkę. To przez nią stracił pracę, licencję lekarską, a w końcu nogi.

- Po drodze zastanawiałem się, co powinienem jej powiedzieć - podjął. — Że musi zrobić sobie badanie krwi na obecność wirusa HIV, skontaktować się z instytucjami, które mogłyby pomóc jej w opiece nad dziećmi... Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że wcale nie chciała rozmawiać o swoich problemach. Spokojna i opanowana, robiła herbatę w kuchni, ubrana w długą, białą nocną koszulę. Nie sprawiała wrażenia osoby niespełna rozumu ani takiej, która ma skłonności samobójcze - gdyby tak było, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej...

Dreszcz przebiegł mi po plecach, kiedy wspomniał o skłonnościach samobójczych, bo nagle zrozumiałam, jakie będzie zakończenie tej historii.

- Opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, o balecie i Anglii. O tym, jaki gorzki żart spletał jej los, bo przecież wyszła za męża, żeby zostać w Ameryce, kiedy skończyła jej się wiza, a teraz z całego serca pragnie wrócić do Londynu i boi się, że jej się to nie uda. I o tym, że czuje się tak, jakby jej życie już się skończyło, chociaż ma dopiero dwadzieścia dwa lata...

Klimatyzacja włączyła się nagle, wypełniając hałaśliwym szumem chwilę milczenia.

- Gdy objąłem ją i przytuliłem, wydawało mi się to bardzo naturalne i dobre - dodał.

Znowu zamilkł, spuszczać zasłonę na koniec pierwszego aktu dwuaktowej historii.

- Mogła być zarażona wirusem HIV - przypomniałam mu, jakby niebezpieczeństwo nie należało już do przeszłości.

- Wiedziałem o tym. Czytałaś *Hamleta!*

- Tak.

- Zwróciłaś uwagę, że scena pogrzebu Ofelii pełna jest obrazów o zabarwieniu seksualnym? Pamiętasz, jak królowa porównuje małżeńskie łóżko do grobu?

- Co chcesz powiedzieć?

- Że czasami namacalna bliskość śmierci potrafi być erotyczna. Ta kobieta była w moich oczach Ofelią. Chciałem położyć się w jej grobie i przywrócić jej życie.

- Więc jednak miałam rację... - pokiwałam głową. - To było współczucie...

- Jeżeli można jednocześnie współczuć i być egoistą - rzekł. - Ona chciała poczuć, że żyje, ale ja także. W tamtym okresie czasami wychodziłem z pracy tak otepiały po nocnym dyżurze, że czułem się jak trup, chociaż poruszałem się o własnych siłach. Było to, zanim pojąłem, jakim szczęściem jest poruszanie się o własnych siłach... - powiedział to ot tak, po prostu, bez użalania się nad sobą. - Miałem trzydzieści cztery lata i wmawiałem sobie to, co wielu innych pracowników pogotowia - że nie mam czasu na trwały związek, że żadna kobieta

nie zniosłaby tak zwariowanych godzin pracy partnera i nie zrozumiałaby stresu, w jakim żyję. Lekarki i pielęgniarki z pogotowia siłą rzeczy rozumiały, w czym rzecz, więc czasami na krótko wiązałem się z którąś z nich, ale nie było w tym gorących uczuć. Zdarzało się też, że spędzałem noc z przygodną kobietą, którą poznałem w barze czy w restauracji. W gruncie rzeczy byłem piekielnie samotny, ale wtedy nie dostrzegałem tego...

Siedziałam na podłodze. Teraz przysunęłam się do Cicera i wzięłam go za rękę.

- Nie lituj się nade mną - powiedział spokojnie. - Zasłużyłem na wszystko, co mnie spotkało. Jej siostra przyjechała z Manchesteru i pomogła jej złożyć pozew przeciwko szpitalowi. W czasie przesłuchań dowiedziałem się o wielu rzeczach, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Po próbie samobójczej ta kobieta zaczęła chodzić do psychiatry, który rozpoznał u niej dość poważne zaburzenia osobowości. Nie układało jej się z mężczyznami, wiele od nich wycierpiała i nie potrafiła im zaufać, a z drugiej strony często wpadała w obsesję na punkcie facetów, których niemal nie znała i wyobrażała ich sobie jako potencjalnych kochanków i wybawicieli. Psychiatra zorientował się, że pacjentka może mu sprawić poważne kłopoty, i skierował ją do swojej koleżanki, aby nie dopuścić do nieprzyjemnej sytuacji.

- Nie wiedziałeś tego - mruknęłam.

Wyraz twarzy Cicera powiedział mi, że nie jest to żadne usprawiedliwienie.

- Nie można się spodziewać, że osoba psychicznie chora rozpozna u siebie chorobę i przyzna się do niej - rzekł.

- Chodzi mi o to, że spotkała cię bardzo surowa kara...

- Wchodząc do czyjegoś domu, lekarz powinien mieć na względzie wyłącznie dobro pacjenta - powiedział Cicero. - Jasno wynika to z przysięgi, jaką składamy.

Utkwiłam wzrok w dnie kubka po kawie.

- Czy to poczucie winy zmusza cię, żeby nadal przyjmować pacjentów, nawet w takich okolicznościach? - krótkim gestem ogarnęłam mały, słabo wyposażony gabinet za drzwiami sypialni.

Milczał przez chwilę.

- Chyba nie - odparł wreszcie. - Kieruje mną raczej coś zbliżonego do egoizmu. Wiesz, że niektóre rasy psów mają wrodzony instynkt opiekuńczy? Nawet kiedy wychowuje się je w warunkach domowych, po przebudzeniu patrzą na człowieka tak, jakby pytały, czy mogą mu w jakiś sposób pomóc. Mają to we krwi, rozumiesz? Zdarzają się też tacy ludzie. Ja po prostu muszę robić to, do czego zostałem przygotowany i wyszkolony. Należę do rasy psów ratowników. - Lekko wzruszył ramionami. - Nie zmienię się już, jestem tym, kim jestem...

Złapałam ostatni autobus do domu tuż po północy. Kiedy wsiadałam, tylnymi drzwiami wysiadała młoda kobieta. Stała już na stopniu, gdy nasze oczy się spotkały. Ghislaine, tym razem bez Shadricka, długą chwilę przyglądała mi się uważnie, zanim w końcu zeszła na chodnik.

Rozdział 19

Detektyw ma prawo korzystać ze służbowego wozu, więc nikogo nie zdziwiło, kiedy wypisałam wniosek. Jeżeli nawet wszyscy wiedzieli już, że technicy z kryminalnego zabrali mój samochód do zbadania, nikt nie wspomniał o tym nawet słowem, w każdym razie nie w mojej obecności. Tak czy inaczej, jeździłam służbowym autem nie tylko w czasie pracy, ale także do Hennessych.

Dzieci przystosowują się do kaprysów i zachcianek dorosłych, tak jak większość z nas przyzwyczaja się do zmian po-

gody. Bracia Marlinchen bez sprzeciwów zaakceptowali moją nową rolę w swoim życiu. Idąc za radą Lorraine, sprawdzałam, czy mają czyste ubranie na zmianę i czy w domu panuje porządek. Nie miałam nic do zarzucenia ani Marlinchen, ani chłopcom. Oczywiście dom Hennessych nie mógł być aseptycznie czysty i nawet nie powinien taki być - na tym polegała część jego uroku. Był to stary dom, na każdym kroku można się było natknąć na dowody, że rodzina mieszka tu od dawna. Odrobine podniszczone, choć eleganckie sosnowe meble były miejscami podrapane, a w korytarzu na piętrze widać było plamy po wybielaczu, świadectwo nieudolnych prób usunięcia jakichś plam. Ich usytuowanie i wielkość wskazywały, że przyczyną ich powstania nie było rozlanie kleju czy atramentu, lecz może krwawienie z nosa czy z rany po nieszczęśliwym wypadku w czasie zabawy.

Dzieci naprawdę starały się sprzątać i szybko zrozumiałam, że od dość dawna same zajmowały się domem. Hugh rzadko, a może nawet nigdy nie nadzorował ich wysiłków - najwyraźniej nie miał zdolności organizacyjnych na skalę domową. Inne dzieciaki może załamałyby się po wylewie ojca, lecz mali Hennessy mocniej chwycili stery domowej egzystencji.

Wciąż męczyły mnie myśli o nieobecnym Aidanie, ale zdążyłam już trochę lepiej poznać obronne odruchy Marlinchen. Jeżeli zamierzałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej, musiałam podejść do całej sprawy znacznie ostrożniej niż poprzednio. Na razie w ogóle nie poruszałam drażliwego tematu.

Pewnego wieczoru, kiedy zostałam dłużej niż zwykle, postanowiłam jednak z nią porozmawiać. Stała na ganku, wpatrzona w przestrzeń, drobna i jakaś taka przygarbiona. W polu jej widzenia nie było absolutnie nic, na czym można by skupić uwagę. Wydała mi się dziwnie niespokojna.

- Coś się stało? - zapytałam, wychodząc na ganek przez drzwi z salonu.

Szybko odwróciła się twarzą do mnie.

- Nie, nie... Trochę się martwię o Śnieżynkę.

- O waszą kotkę?

- Zawsze wraca do domu najpóźniej koło dziewiątej, a teraz jest już po dziesiątej... Można według niej regulować zegarek, więc nie wiem, co się dzieje...

- Nie trzeba zakładać najgorszego - powiedziałam. - Kiedyś koleżanka opowiadała mi o swoim kocie, który uwielbiał włóczyć się po okolicy. Okazało się, że zwierzak prowadził podwójne życie. Jakaś rodzina z sąsiedztwa karmiła go i poila, ci ludzie mieli nawet na telewizorze zdjęcie swojego ukochanego kotka...

Marlinchen uśmiechnęła się, ale milczała.

- Śnieżynka mogła wejść do czyjegoś domu albo garażu i teraz ma problemy z wydostaniem się na zewnątrz - ciągnęłam. - Jutro się znajdzie, nie martw się.

- Na pewno masz rację - westchnęła.

- Dobrze się czujesz? - spytałam. - Chyba jesteś trochę przygnębiona, co?

- Po prostu zmęczona. - Mięsień jej policzka lekko zadrżał, jakby próbowała powstrzymać ziewnięcie.

Kiwnęłam głową.

- Masz jakieś nowe wiadomości o ojcu? Marlinchen wsunęła kosmyk włosów pod spinkę.

- Odbywa różne zabiegi fizykoterapeutyczne - powiedziała. - Zaczął chodzić z laską, taką z czterema nóżkami, dla większej stabilności. Potem dadzą mu normalną laskę, a za jakiś czas będzie chodził bez pomocy, w każdym razie taką mam nadzieję...

- Więc wygląda na to, że robi duże postępy - zauważyłam.

- Tak, pod względem fizycznym...

- Pod względem fizycznym? - powtórzyłam powoli. Może Marlinchen chce powiedzieć, że Hugh cierpi na depresję.

- Nadal nie jest w stanie się wysławić. Lekarze uważają,

że rozumie, co dzieje się wokół niego - to dobrze ze względu na moje starania o prawo do reprezentowania go w sprawach finansowych - ale nie może mówić ani pisać. Wszystko mu się miesza. Mylą mu się zaimki, na przykład zamiast „ja” mówi „ty”, a zamiast „on” - „ona”. - Marlinchen popatrzyła na mnie, jakby spodziewała się jakiejś reakcji. - Afazja to najgorsza rzecz, jaka może przydarzyć się pisarzowi. Nie chodzi o pieniądze... - dodała pośpiesznie. - Jakoś sobie poradzimy, nawet jeżeli tata już nigdy nic nie napisze, ale pisanie to rdzeń jego osobowości. Jeżeli odzyska wszystkie zdolności, a nie będzie mógł pisać... - bezradnie pokręciła głową. - Nie wyobrażam sobie, aby wylew mógł pozbawić go cenniejszej umiejętności...

Nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało jak fałszywa pociecha.

- Wasz ojciec potrzebuje czasu na powrót do zdrowia - powiedziałam w końcu. - Może wszystko będzie dobrze.

Po badaniu w laboratorium kryminalistyki samochód nigdy nie wraca do właściciela w takim stanie, w jakim wyszedł z jego rąk - słyszałam to wiele razy, ale nie rozumiałam aż do chwili, gdy odebrałam swój wóz z policyjnego garażu. Chemiczny odór uparcie utrzymywał się we wnętrzu, a kiedy światło zachodzącego słońca odbiło się w szybach, ujawniając lekką fioletowobiałą powłoczkę, zrozumiałam, że auto pokryto specjalną substancją, aby odkryć ewentualne odciski palców.

Diaz musiał wiedzieć, że szukanie odcisków palców po ponad sześciu miesiącach, w wozie, który przez cały czas był używany, jest równie beznadziejne jak odmawianie modlitw za zdrowie śmiertelnie chorego, ale wykazał się wielką dokładnością. Wiedziałam, że fioletowoperłowy połysk nigdy do końca nie zejdzie z szyb nowej.

Nie jęcz, Saro, skarciłam się ostro. Nie użalaj się nad sobą.

Kiedy spojrzałam na podłogę, zobaczyłam coś, co sprawi-

ło, że niezadowolenie ze stanu szyb samochodu natychmiast wyleciało mi z głowy. Technicy wycięli kawałek gumowanej wykładziny.

Znaleźli krew. Zbadanie wykładziny to jedno, ale wycięcie fragmentu w celu przeprowadzenia dalszych analiz to zupełnie co innego - oznaczało, że znaleźli coś, co naprawdę ich zainteresowało.

W drodze do domu zastanawiałam się, ile czasu upłynie, zanim laboratorium udostępni wyniki Diazowi, ale szybko uznałam, że jest to całkowicie bezsensowne zajęcie. Badania trwały czasami nawet kilka tygodni, chyba że Diaz zdoła skłonić analityków do przyśpieszenia prac. Tak czy inaczej, z całą pewnością nie miałam dużo czasu.

Wolałabym pojechać prosto do domu, ale wstąpiłam jeszcze do Hennessych. Liam kopał pod wierzbą, szybko wyrzucając ziemię łopatą. Ubrany był w białą koszulkę i szare spodnie, które najprawdopodobniej nosił do szkoły, co nie bardzo nadawało się do pracy w ogrodzie. Obok niego leżał zawiązany plastikowy worek na śmieci.

Bez pośpiechu ruszyłam w jego kierunku. Na dworze było dość ciepło, abym odczuła lekki spadek temperatury, kiedy znalazłam się w cieniu drzewa.

- Co tam masz? - zapytałam.

Jasnozielony worek na śmieci wypełniony był czymś pozornie bezkształtnym, trochę przypominającym jeszcze nieupieczony bochen chleba.

Liam przerwał pracę i bezradnie rozłożył ręce, jakby nie bardzo umiał mi odpowiedzieć.

- Kiedyś była to Śnieżynka... - mruknął w końcu.

- O cholera... - pokręciłam głową. - Co się stało?

Teraz, kiedy wiedziałam już, na co patrzę, dostrzegłam, że przez zjadliwą zieleń plastiku przeziera zrudziała czerwień zaschniętej krwi.

- Coś ją dopadło - powiedział Liam. - Nie mamy pojęcia, co to było. Strasznie ją poszarpało...

- Gdzie ją znaleźliście?

Chłopak wskazał ręką koniec podjazdu.

- Tam, trochę z boku - napał na trzonek łopaty i wydobył z wykopanej dziury kolejną porcję czarnej ziemi. - Powiedziałem, że sam ją pochowam, bo nie chciałem, by Marlinchen musiała na nią patrzeć. Rano o mało nie zwymiotowała, kiedy ją zobaczyła.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Przecież to ja zapewniałam Marlinchen, że Śnieżynka rano bezpiecznie wróci do domu.

- Mnie też to niepokoi - ciągnął Liam. - Nie przychodzi mi do głowy żadne zwierzę, które mogłoby coś takiego zrobić. W okolicy nie ma dużych drapieżników...

Spojrzał na mnie, jakby czekał na wyjaśnienie zagadki. Nagle dotarło do mnie, że uważa mnie za eksperta od gwałtownej śmierci, także domowych zwierząt.

- Może w lasach trochę dalej... - zasugerowałam. - Tam na pewno mieszkają kojoty, lisy, może nawet czarne niedźwiedzie...

Skrzywił się sceptycznie.

- Ale tutaj nigdy się nie pojawiają - odparł. - Nie zdarzyło się, żebyśmy widzieli ich ślady.

- Dzikie zwierzęta na ogół trzymają się z daleka od ludzi, ale leśne tereny coraz bardziej się kurczą, nawet niedźwiedzie zapuszczają się do osiedli w poszukiwaniu pożywienia. Ktoś mówił mi kiedyś, że widział niedaleko stąd kojota.

- Może... - mruknął Liam.

Rozdział 20

Moja następna wyprawa do siłowni zakończyła się sukcesem - nie wpadłam ani na Diaza, ani na niechcianego poplecznika, jakim okazał się Jason Stone. Po solidnej porcji ćwiczeń zrobiłam zakupy w sklepie spożywczym i w drodze do domu przystanąłam na światłach, kiedy moją uwagę przyciągnął dość dziwny widok. Samotna postać wspinała się po betonowych schodach, prowadzących na przeznaczoną dla pieszych i rowerzystów kładkę nad jezdnią. Chociaż „wspinała się” to jednak za dużo powiedziane...

Podobno nadmierne picie alkoholu uważa się za coś w rodzaju rytuału obowiązującego wśród ludzi młodych, ale dla mnie widok pijanego jest zawsze bardzo przykry. Ten chłopak, który wyglądał na zupełnego smarkacza w luźnych, ledwo trzymających się na biodrach dżinsach i adidasach, dosłownie czołgał się po schodach na rękach i kolanach. Pokonawszy jedną kondygnację, położył się, żeby odpocząć, albo, co wydało mi się równie prawdopodobne, stracił przytomność.

Kierowca stojącego za mną samochodu nacisnął klakson. Światło zmieniło się na zielone, wstrzymałam ruch, zjechałam więc na pobocze. Zdażyłam jeszcze dostrzec, że młody człowiek, jakby obudzony dźwiękiem klaksonu, znowu zaczyna czołgać się w górę.

Zatrzymałam się przy kładce z przeciwnej strony ulicy. Nie wyszłam dzieciakowi na spotkanie, ponieważ wiedziałam, że bezpiecznie pokona ostatni odcinek. Kładkę po obu stronach otaczał wysoki metalowy płotek i gdyby nawet chłopak jakimś cudem dźwignął się do pozycji pionowej, nie było żadnej możliwości, aby spadł pod koła pędzących jezdnią samochodów.

Po pewnym czasie pojawił się u szczytu schodów. Zataczał się, ale jakoś trzymał się na nogach. Popatrzył na prowadzące w dół schody z taką miną, jakby miał przed sobą szczególnie trudny tor przeszkód, i zdecydował się zejść na czworakach,

tak samo jak wszedł, co świadczyło, że zdołał zachować resztki zdrowego rozsądku. Wsiadłam z samochodu i wbiegłam po schodach.

Jego sylwetka, widziana z góry i z bliska, wydawała się jeszcze szczuplejsza, a włosy podejrzanie platynowe. Kiedy podniósł głowę, moje podejrzania okazały się w pełni uzasadnione - chłopak miał zdecydowanie azjatyckie rysy, mógł być Wietnamczykiem albo Koreańczykiem.

Nie ulegało też wątpliwości, że nie miał jeszcze osiemnastu lat.

- Nic ci nie jest? - zapytałam. - Słyszysz mnie? Ze skupieniem wpatrywał się w moją twarz.

- O nie... - jęknął z przerażeniem i rezygnacją. - O nie, ja nie mogę, glina...

Skąd oni zawsze wiedzą, pomyślałam. Nie miałam przecież na sobie munduru, tylko sięgające do połowy łydki legginsy, T-shirt i kurtkę z kapturem.

- Zdołasz wstać? - spytałam.

- Nie chcę iść do pierdla... - ciągnął tym samym tonem. W jego głosie nie było cienia obcego akcentu, co wyraźnie wskazywało, że urodził się i wychował w Ameryce.

- Nie aresztuję cię - powiedziałam.

- Nienawidzę pierdla...-jęczał.

- Po pierwsze, wątpię, czy kiedykolwiek byłeś w areszcie. - Wsunęłam rękę pod jego ramię i pociągnęłam w górę. -A po drugie, nie jesteś aresztowany. Wstawaj.

- Nie, nie, nie... - zaprotestował, z żalosną determinacją stawiając opór.

Nie był ciężki, ale bez jego współpracy nie mogłam postawić go na nogi.

- Chłopcze, pod twoim rękawem kryje się coś, co pewnego dnia może będzie bicipsem - powiedziałam. - Na pewno masz w tych skromnych na razie mięśniach dość siły, żeby podnieść się do pionu...

- Nie chcę iść do pierdla... - zajęczał monotonicznie.

- Wstawaj! - warknęłam.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, wepchnęłam go na tylne siedzenie. Miał najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu i był chudy jak patyk, ale uznałam, że tak będzie bezpieczniej na wypadek, gdyby w czasie jazdy wystraszył się i dostał małego rozumu. Czasami pijani, których ruchy są tak nieskoordynowane, że nie potrafią samodzielnie zrobić ani jednego kroku, niespodziewanie odzyskują siły i zaczynają zachowywać się bardzo gwałtownie. Zapięłam mu pas i usiadłam za kierownicą.

- Nie chcę iść do pierdla, nie chcę... - odezwał się znowu i bezwładnie osunął na bok.

- Mały, ilu widziałeś policjantów, którzy patrolują ulice w sportowych ciuchach i starym samochodzie, cuchnącym klejem? - zapytałam.

Rozchylił wargi i rzucił mi nieprzytomne, wystraszone spojrzenie. Za dużo informacji naraz, uświadomiłam sobie. Przeciążyłam mu mózg, z całą pewnością.

- Dobra, zadam ci łatwiejsze pytanie... - westchnęłam. - Jak się nazywasz?

- Niezwykły K.

Jasne, Niezwykły K., jakżeby inaczej, pomyślałam.

- Nie chodzi mi o ksywę, tylko o imię, które wpisano ci w dokumentach.

- Kelvin...

- W porządku, Kelvin. Gdzie mieszkasz?

Adres, który wybełkotał, okazał się dziwnie znajomy. Przekreśliłam kluczyk w stacyjce i włączyłam się do ruchu.

- Coś tu dziwnie pachnie... - wymamrotał, kończąc dwoma rozmytymi słowami, które brzmiały trochę jak „pani policjant”.

- Tak, to ten klej, o którym ci wspomniałam.

- Niedobrze mi od tego... - jęknął.

Zabrzmiało to niepokojąco wiarygodnie.

- Myślisz, że wypity alkohol ma coś wspólnego z twoim marnym samopoczuciem?

- Naprawdę strasznie mi niedobrze... Zerknęłam w lusterko.

- Mały, jeżeli zarzygasz mi samochód, to cię aresztuję i poproszę prokuratora, żeby potraktował cię w wyjątkowo surowy sposób - oświadczyłam.

Niezwykły K., przerażony myślą o zarzyganiu samochodu należącego do osoby urzędowej oraz karze za ten czyn, powstrzymał się do chwili, kiedy zatrzymaliśmy się pod blokami.

Pomogłam mu wysiąść z samochodu, ale gdy go puściłam, zachwiał się i osunął na kolana. Podniósł głowę i spod zmrużonych powiek w osłupieniu popatrzył na południowy budynek.

- Do domu? - wybełkotał niepewnie.

- Powiedziałam, że nie zamierzam cię aresztować - przypomniałam mu.

- Och, to dobrze...

Potem jego wzrok stracił chwilową ostrość. Chłopak skupił się w sobie, zupełnie jak dziennikarz, który nagle otrzymuje ważną informację przez słuchawki, zgiął się wpół i zwymiotował na moje buty.

- Zaraz stracę do ciebie cierpliwość - wycedziłam przez zęby.

Na widok Kelvina jego starsza siostra, piękna do bólu w taniej satynowej sukni, z dezaprobatą zacisnęła wargi, co podsunęło mi podejrzenie, że jej brat nie pierwszy raz wraca do domu w takim stanie.

- Dziękuję... - szepnęła. Nagle jej spojrzenie padło na moje buty. - Przepraszam... - dorzuciła jeszcze ciszej.

Kiedy wyszłam na dwór, mimo woli zerknęłam na północny budynek.

Dlaczego nie, pomyślałam. Ostatecznie i tak już tu jestem.

W małej kabinie windy odór rzygowin, które dość dokładnie zeskrobałam z butów, stał się po prostu nie do wytrzymania. Nie mogłam pójść do Cicera, otoczona chmurką smrodu. Na dwudziestym szóstym piętrze cofnęłam się na klatkę schodową, zdjęłam buty i zostawiłam je za drzwiami. Nie miałam obaw, że połazczy się na nie jakiś złodziej. Po chwili namysłu zdjęłam też skarpetki. Zawsze uważałam, że bosa stopy tchną godnością, której skarpety całkowicie je pozbawiają.

- Byłam w okolicy, więc pomyślałam, że wpadnę, ale pójdę sobie, jeżeli ci przeszkadzam - powiedziałam, kiedy Cicero otworzył drzwi.

- Gdzie twoje buty?

- Na schodach.

- Rozumiem... - Pokiwał głową, jakby to wyjaśnienie było rozsądne i zrozumiałe. - Zawsze gdy mam ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o twoim życiu osobistym, dzieje się właśnie coś takiego i wtedy uświadamiam sobie, że znacznie ciekawiej jest nie wiedzieć za dużo...

Cofnął się, wpuszczając mnie do środka. Nie miałam ochoty najedzenie, więc zrobił dla nas obojga herbatę i poszliśmy do sypialni.

- Kto to jest? - spytałam.

- Kto?

Patrzyłam na zdjęcia, stojące na niskiej szafce na książki.

- On. - Wskazałam zdjęcie, które wyglądało na najstarsze, czarno-białe, na mocno podniszczonym papierze.

Przedstawiało młodego człowieka na koniu. Mężczyzna, a właściwie jeszcze nastolatek, miał na głowie kapelusz o szerokim rondzie. Ubrany był w odświętny strój - ciemne spodnie i białą koszulę bez kołnierzyka. Koń był uderzająco piękny - chyba równie młody jak chłopak, o ciemnobrązowej lub czarnej sierści, która lśniła nawet na starej fotografii, i szyi wygiętej w łuk, wyraźnie zniecierpliwiony, że musi stać nieruchomo, chociaż na pewno trwało to tylko chwilę.

- To mój dziadek - rzekł Cicero. - W Gwatemali.

- Ile lat ma na tym zdjęciu?

- Osiemnaście. Nie znałem go, umarł wkrótce po moim urodzeniu. Podobno kochał tego konia nad życie. W tamtych czasach szybki koń miał taką wartość jak dzisiaj dobry samochód. Koń tak naprawdę należał do rodziny, nie do dziadka, ale on uważał go za swego, aż do dnia, kiedy wrócił do domu i dowiedział się, że jego ojciec sprzedał go, żeby kupić córce ślubną suknię...

- Naprawdę tak było? - zapytałam z rozbawieniem.

- Tak. Dziadek wpadł w furję, w każdym razie tak mi opowiadano.

- Ty też tam się urodziłeś?

- W Gwatemali? Nie, urodziłem się tutaj, w Ameryce. Rodzice nie chcieli się zgodzić, żebyśmy uczyli się hiszpańskiego, dopóki nie zaczniemy płynnie władać angielskim.

- Mieliśmy wrócić do historii twojego brata i nigdy tego nie zrobiliśmy, pamiętasz? - zagadnęłam.

Cicero wziął do ręki fotografię, na której stał przy drodze z jakąś dziewczyną, i zaraz znowu ją odstawił.

- Właściwie nie ma co opowiadać...

Zmarszczka na jego czole, która nagle wyraźnie się pogłębiła, i mimowolny gest mówiły jednak coś innego.

- Ulises zamieszkał tu z dziewczyną - podjął po chwili. - Po pewnym czasie odeszła od niego, ale to miejsce od początku mu się podobało, więc został. Mniej więcej cztery lata temu przywieziono mnie tutaj po rehabilitacji, a rok później Ulises zginął.

Wiedziałam, że jest to prolog, nie zakończenie.

- Ulises był piekarzem - ciągnął Cicero. - Pracował w małej piekarni w St. Paul i czasami zaczynał zmianę o drugiej w nocy.

Od razu przypomniałam sobie historię, którą zamierzał mi opowiedzieć.

- Nie była to najciekawsza okolica, kręciło się mnóstwo handlarzy narkotyków. Pewnej nocy, kiedy Ulises właśnie wybierał się do pracy, brygada antynarkotykowa zrobiła obławę. Szukali faceta, który postrzelił kilku gliniarzy. Ulises miał samochód podobny do tego, którym jeździł podejrzany. Dwóch policjantów z brygady zauważyło, że zaparkował za piekarnią. Otoczyli go, kiedy wysiadał.

- I zastrzelili - dokończyłam.

Media trąbiły o tym tragicznym wypadku. Kiwnął głową.

- Później powiedzieli, że nie podniósł rąk na żądanie i sięgnął po broń. Otworzyli ogień. Trafili go siedem razy i zabili.

- Pamiętam... - odezwałam się cicho. - To było okropne...

- Może rzeczywiście byli przekonani, że sięga po broń. Moim zdaniem Ulises chciał wyjąć portfel. Gliniarze byli w cywilnych ciuchach, mierzyli do niego z pistoletów, dzielnica nie cieszyła się dobrą opinią, była druga w nocy... Na pewno pomyślał, że to napad. Jakiś dziennikarz opublikował nawet artykuł, w którym wysuwał taką właśnie teorię, ale policja nie dała temu wiary.

Wręcz przeciwnie, pomyślałam, dobrze wiedzieli, że tak było, ale nie chcieli przyznać się do tego publicznie. Doskonale pamiętałam gorące dyskusje, toczone w szatni, stołówce i na strzelnicy, wszędzie, gdzie gliniarze mają okazję pogadać między sobą.

- Początkowo sugerowali też, że Ulises zignorował ich polecenia, ponieważ nie mówił dobrze po angielsku, ale szybko musieli się z tego wycofać. Angielski był pierwszym językiem Ulisesa, podobnie jak moim, i wszyscy, którzy go znali, mogli to potwierdzić... - Cicero przerwał. - Oczywiście dochodzenie wykazało, że policjantom nie można nic zarzucić. Wrócili do pracy, a mniej więcej tydzień później ja musiałem przeprowadzić się do tego mieszkania.

- Tak mi przykro... - szepnęłam.

- Niepotrzebnie, przecież to nie twoja wina.

- Cicero, chyba powinnam ci o czymś powiedzieć...

Świadome przemilczenie faktu, że jestem policjantką, uwierało mnie coraz dotkliwiej. Spojrzałam na fotografie i zatrzymałam wzrok na tej, z której uśmiechali się do mnie młodszy Cicero i jego brat. Ulises miał mniej poważną twarz -trudna odpowiedzialność lekarza naznaczyła wyraźnie twarz Cicera.

- Jestem tutaj - powiedział Cicero.

No, dalej, Saro, to wcale nie takie trudne. Dwa proste słowa -jestem policjantką...

Nagle ciszę przerwał przytłumiony brzęczyk - moja komórka, która rozdzwoniła się gdzieś na dnie torby. Odwróciłam się, rzuciłam przepaszające spojrzenie i szybko wygrzebałam telefon spod innych rzeczy.

- Sara? - usłyszałam głos Marlinchen. - Przepraszam, że cię niepokoję, ale...

- Co się dzieje? - zapytałam czujnie.

- Wydaje mi się, że ktoś kręci się koło domu. Wcześniej Liam też słyszał szelest, kiedy wyszedł na taras, żeby zrobić sobie przerwę w nauce, a przed chwilą, gdy myłam zęby, coś ruszało się pod oknem i raczej nie było to zwierzę...

Mogłam jej poradzić, żeby zadzwoniła na miejscowy posterunek, ale hałasy pod domem raczej nie należały do zdarzeń, którymi policja zbytnio się przejmuje, zresztą o dziesiątej wieczorem na posterunku w małej miejscowości na pewno nie było wielu gliniarzy. Możliwe, że w ciągu najbliższych dwóch godzin ktoś przyjechałby do Hennessych, ale przecież nie mogłam tego tak zostawić. To ja wzięłam na siebie odpowiedzialność za te dzieci.

- Zaraz przyjadę - powiedziałam.

Chociaż Marlinchen twierdziła, że nie były to odgłosy żadnego zwierzęcia, sądziłam, że najprawdopodobniej usłyszała

stworzenie, które zabiło Śnieżynkę. Jeżeli polowało w pobliżu ich domu wcześniej, nie było żadnego powodu, dlaczego nie miałyby wrócić. Kiedy zatrzymałam się na podjeździe pod domem, na dworze panowała już głęboka ciemność i nie miałam pretensji do Marlinchen, że zadzwoniła.

Czekała na mnie w korytarzu, razem z Colmem i Liamem.

- Dziękuję, że przyjechałaś - powiedziała szybko.

- Nie ma za co. Zaraz rozejrzę się po domu i na dworze.

- Po domu? - zdziwiła się. - Ale te hałasy dobiegały z zewnątrz...

- Jesteś pewna, że wszystkie drzwi są zamknięte?

- Wydaje mi się... Chyba tak... - odpowiedziała niepewnie. Obaj bracia milczeli.

- Sama widzisz, że lepiej sprawdzić - rzuciłam. - Gdzie jest Donal?

- Śpi, wysłałam go do łóżka pół godziny temu. Najpierw zajrzałam do pokoju Donała. Jego pierś podnosiła

się i opadała w spokojnym rytmie - dobrze widziałam go w smudze światła, która padła na łóżko, kiedy uchyliłam drzwi. Na palcach weszłam do środka, zajrzałam do szafy, pod łóżko. Nic.

Sprawdziłam wszystkie pokoje na górze, potem parter. Drzwi w kącie kuchni prowadziły do piwnicy. Było tam trochę starych mebli i dwa materace. W powietrzu wisiał zapach kurzu i betonu. Nie zauważyłam nic, co mogłoby wskazywać na obecność intruza.

Kiedy obeszłam cały dom, zajrzałam do garażu, gdzie stał samochód Hugh. Nikt się pod nim nie ukrywał, a w szafach ściennych były tylko puszki z jedzeniem, sprzęt biwakowy i parę zakurzonych butelek wina.

Wyszłam na taras za domem i uklękłam, żeby przez szczelinę między deskami sprawdzić, czy nikt nie schował się pod spodem, ale zobaczyłam tylko bogate złoża kurzu i kilka sporych kamieni. Potem obeszłam całą działkę, zaglądając między

gałęzie krzewów i pod niewielki drewniany pomost na brzegu jeziora. Nie zauważyłam żadnych połamanych gałęzi ani odcisków stóp. Wszystko było tu jak zwykle, jedyny wyjątek stanowił mały kopczyk świeżo usypanej ziemi pod wierzbą, miejsce spoczynku biednej Śnieżynki.

Na końcu poszłam do wolno stojącego garażu. Drzwi były otwarte. Wymierzyłam promień światła latarki prosto w ciemność i podskoczyłam nerwowo.

- O cholera... - wyszeptałam.

W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że z sufitu zwisa bezwładne ciało, ale na szczęście był to tylko worek treningowy. Po prawej stała ławka do ćwiczeń. Miałam przed sobą siłownię Colma, jak nazywały to miejsce pozostałe dzieci.

Resztę przestrzeni zajmował samochód, bmw z początku lat osiemdziesiątych. Spod grubej warstwy kurzu miejscami przezierał ciemnozielony lakier. Zakurzone okna przypominały oczy trupa, z wszystkich czterech opon spuszczone powietrze. Wóz nie wyglądał na uszkodzony, ale najwyraźniej od lat nikt go nie używał. Poświeciłam latarką w okno - wewnątrz były tylko obite jasną skórą siedzenia, nic więcej. Pająki utkały sieci między zagłówkami i pod sufitem.

- Wszystko wygląda normalnie - powiedziałam, kiedy Marlinchen otworzyła drzwi w odpowiedzi na pukanie. - Myślę, że słyszeliście jakieś zwierzę.

Obrzuciła mnie nieco zawstydzonym spojrzeniem.

- Może denerwuję się bardziej niż zwykle przez to, co stało się ze Śnieżynką...

- I nie ma w tym nic dziwnego. Przyszło mi do głowy, że mogłabym dziś tu z wami przenocować.

- Naprawdę? - zapytała. - Ale nie, nie trzeba... Spodziewałam się takiej reakcji.

- Jest już późno i mam przed sobą dość długą drogę do domu, więc... - zawiesiłam głos.

- Och, tak, oczywiście! - Marlinchen natychmiast przypo-

mniała sobie o dobrych manierach. - Rozumiem. Nie chodziło mi o...

- W porządku - powiedziałam. - Słuchaj, muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę, jeżeli mam zostać tu na noc. Czy mogłabym wyprać buty w pralce?

Pralka i suszarka stały w garażu, gdzie Hugh trzymał pół-terenowy samochód. Wrzuciłam do bębna buty Nike i skarpetki, wsypałam mnóstwo proszku i ustawiłam temperaturę na dziewięćdziesiąt stopni. Kiedy woda zaszumiła, otworzyłam szafę, w której wcześniej zauważyłam kilka butelek wina.

W dużym pokoju światło było już zgaszone, telewizor także. Dzieci poszły do siebie i lampa paliła się tylko w kuchni. Postawiłam butelkę na blacie.

Rozległy się ciche kroki, Marlinchen zeszła na dół.

- Saro? Położę się już, ale chciałam ci jeszcze powiedzieć...

- Chodź tutaj na chwilę - przerwałam jej. - Ja także muszę ci coś powiedzieć, a raczej o coś spytać.

Przechyliła się nad poręczą schodów. Podniosłam butelkę, żeby widziała, co trzymam w ręku.

- Znalazłam to w garażu. Liam mówił mi, że wasz ojciec w ogóle nie pije teraz alkoholu, więc to pewnie pozostałość z dawnych lat... - z napisu na etykiecie wynikało, że wino pochodzi sprzed ośmiu lat. - Nie ma sensu, żeby skwaśniało na ocet. Masz coś przeciwko temu, żebym je otworzyła?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Posłuchaj...

- To dobrze - powiedziałam. - Dotrzymasz mi towarzystwa? Z szuflady przy zlewozmywaku wyjęłam korkociąg.

- Chcesz, żebym się z tobą napiła? - W głosie Marlinchen brzmiało zgorzienie i podniecenie jednocześnie.

Sięgnęłam po dwa kieliszki, stojące na najwyższej półce.

- Jasne. Nie chcę, żeby weszło ci to w nawyk, ale przecież samodzielnie prowadzisz dom, no i jesteś już prawie dorosła, więc myślę, że kieliszek wina na pewno ci nie zaszkodzi.

Za oknem kuchni panowała atramentowa ciemność, rozjaś-

niona tylko światłami statku z restauracją i hotelikiem, kursującego po jeziorze. Zgasiałam lampę pod sufitem, pozostawiając jedynie dwa kinkiety, i wyciągnęłam korek z szyjki butelki. Wiedziałam, że dziewczyna, zaintrygowana moją propozycją, zaraz do mnie dołączy.

Nie mogę powiedzieć, że bym nie miała żadnych wyrzutów sumienia z powodu tego, co zamierzałam zrobić, ale bardzo zależało mi na szczerej rozmowie z Marlinchen, a zdążyłam już poznać ją na tyle dobrze, aby się zorientować, że w normalnych warunkach nigdy nie osiągnę celu.

Kiedy usiadłam, znowu usłyszałam jej kroki. Przycupnęła na taborecie obok mnie. Napełniłam kieliszki prawie po brzeg. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Nie martw się - powiedziałam. - To niedużo, oczywiście jeśli chodzi o wino. Gdyby ktoś kiedykolwiek próbował poczęstować cię taką porcją wódki, możesz śmiało powątpiewać w uczciwość jego zamiarów...

Napiłyśmy się. Marlinchen się skrzywiła.

- Wiem - uśmiechnęłam się. - Ale zaczekaj, za chwilę zaczniesz ci bardziej smakować... - Podniosłam swój kieliszek, przyglądając się, jak światło przenika rubinową czerwień. - Jeden z wielkich purytanów, Cotton albo Increase Mather, nazwał wino „cudownym dziełem Boga”. Ładne określenie, prawda?

- Bardzo ładne - przytaknęła.

Oczywiście wiedziałam o tym od Shiloha, który pozwalał mi czerpać ze swojej dogłębnej znajomości wykładów i kazań chrześcijańskich myślicieli, od Shiloha, którego związek z religią chrześcijańską prześląknięty był dziwną mieszanką miłości, fascynacji i nienawiści.

- Próbowałam ci powiedzieć, że drzwi w sypialni taty lepiej nie zamykać, bo klamka jest zepsuta i kilka osób już się tam zatrzasnęło...

- To chyba łatwe do naprawienia - mruknęłam.

- Wiem, ale tata jest po prostu beznadziejny w takich rzeczach. Nie radzi sobie z narzędziami, a poza tym ma w nosie sprawy domowe. Gdyby to od niego zależało, drzwi byłyby zepsute do końca świata - uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, ludzie są różni. - Dolałam sobie wina. - Jeśli dobrze pamiętam, powinnaś teraz przygotowywać się do końcowych egzaminów, mam rację?

Skinęła głową.

- Nie mówiłaś mi, gdzie złożyłaś podania i czy jakaś uczelnia już cię przyjęła...

- Właściwie postanowiłam odłożyć studia na rok... - zaczęła. - Nie jestem Liamem, nie mam takich świetnych stopni i...

- Na pewno miałabyś o wiele lepsze, gdybyś nie musiała prowadzić domu dla pięciu osób.

Marlinchen podniosła kieliszek do ust.

- Okoliczności są zupełnie wyjątkowe, tata w szpitalu i tak dalej...

- Bzdury! - rzuciłam ostro. - Zajmujesz się domem, sprzątasz, planujesz posiłki, gotujesz, robisz zakupy - to nie są rzeczy, których można nauczyć się w ciągu paru tygodni. Mam dziwne uczucie, że zostałaś panią domu na długo przed wylewem ojca i nawet jeżeli on w pełni wróci do zdrowia, niewiele się zmieni.

Zawahała się.

- Rodzina jest dla mnie bardzo ważna...

- To świetnie. - Dolałam jej wina. - Ale Donal ma teraz jedenaście lat. Zanim skończy osiemnaście i wyjedzie gdzieś na studia, ty będziesz miała dwadzieścia cztery. Zamierzasz odłożyć własne studia do tego czasu?

- Nie wszyscy studiują - odparła. - Założę się, że ty nie studiowałaś...

- Zaliczyłam pierwszy rok.

- No właśnie, widzisz?

- Ten rok wystarczył, bym się zorientowała, że studia nie są tym, na czym mi zależy. Ty też powinnaś mieć taką szansę, i to teraz, zanim zrobisz się zbyt dorosła na to, aby cieszyć się mieszkaniem w akademiku, obrzucaniem innych galaretką w stołówce i wszystkimi aspektami życia, dzięki którym uczelnia jest czymś więcej niż tylko szkołą - powiedziałam.
- Teraz także powinnaś robić różne rzeczy, których nie robisz - chodzić na randki, umawiać się na wyjście do kina z przyjaciółkami...

Napiła się wina, chyba głównie po to, żeby zyskać na czasie i wymyślić jakieś uniki.

- Ty jesteś moją przyjaciółką - oświadczyła po chwili bardzo słodkim głosem. - Chciałabyś pójść ze mną do kina?

- Nie jestem taką przyjaciółką, jaką w tym wieku powinnaś mieć.

Marlinchen uśmiechnęła się z zadowoleniem, a ja ponieważ w tym momencie zrozumiałam, że wpadłam w pułapkę.

- To ciekawe... Jest już noc, a ty siedzisz tu z bandą prawie obcych dzieciaków. Dlaczego nie jesteś na randce, detektyw Pribek?

- Bo jestem...

Przerwałam. Nie miałam ochoty opowiadać jej o Shilohu. Dostrzegła moje zmieszanie i jej świeżo odnaleziona pewność siebie znikła w jednej chwili.

- Nie miałam zamiaru wtrącać się w twoje sprawy - powiedziała łagodnie. - Jeżeli jesteś lesbijką, mnie absolutnie to nie przeszkadza, naprawdę...

Jej słowa brzmiały wzruszająco szczerze, poczułam jednak, że należy jej się wyjaśnienie.

- Homoseksualiści także umawiają się na randki - zauważyłam. - Chodziło mi o coś innego, chciałam powiedzieć, że jestem mężatką.

Marlinchen otworzyła usta ze zdziwienia.

- Ale... Ale w takim razie... Gdzie jest twój mąż?

- W Wisconsin - odparłam.

- Jesteście w separacji?

- Coś w tym rodzaju.

Marlinchen była inteligentną, wrażliwą dziewczyną i bez trudu wyczuła, że nie chcę o tym rozmawiać. Kilka razy obróciła w palcach nóżkę kieliszka.

- Przykro mi... - powiedziała cicho i o mały włos nie upuściła kieliszka na podłogę.

- Ostrożnie - przytrzymałam jej rękę. - Doleję ci wina, co ty na to?

- Miałaś rację - pokiwała głową. - Z każdym kieliszkiem smakuje lepiej...

- Trzymaj się mnie, mała - uśmiechnęłam się. - Ze mną zajdziesz daleko, zobaczysz...

Ciekawe tylko dokąd, pomyślałam. Zauważyłam rumieniec na policzkach Marlinchen i uznałam, że mogę już pokierować rozmową tak, jak od początku zamierzałam. Dziewczyna ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów i nigdy wcześniej nie piła alkoholu, więc dwa kieliszki zupełnie wystarczyły.

- Odkąd zaczęłam was regularnie odwiedzać, ani razu nie wspomniałaś o Aidanie...

- Przepraszam, że wtedy tak się do ciebie odezwałam... - zaczęła szybko.

Potrząsnęłam głową.

- Nie to miałam na myśli - wyjaśniłam. - Nie mam ci za złe tego, co powiedziałaś, ale pytanie, które postawiłam tamtego dnia, jest wciąż aktualne... - przerwałam, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Nie miałam cienia wątpliwości, że pamięta, o czym wtedy rozmawialiśmy, lecz mimo wszystko postanowiłam jej przypomnieć. - Dzieci raczej nie wysyła się z domu bez powodu, w każdym razie ja nie znam takich przypadków. Zawsze jest jakaś przyczyna - dobra czy zła, ale jest...

Nie odpowiedziała, co bynajmniej mnie nie zaskoczyło.

- Mam wrażenie, że jest coś jeszcze, o czym może chcesz mi powiedzieć. Ufasz mi, Marlinchen?

- Tak - odparła bez wahania. - Sęć w tym, że temat Aidana jest dla mnie bardzo bolesny...

- W pracy czasami mówię ludziom, że aby poradzić sobie z cierpieniem, muszą zdecydować się na bolesne cięcie, w przeciwnym razie ból będzie ich dręczył bez końca.

Marlinchen patrzyła przed siebie, w okno, za którym była tylko ciemność. Widziałam, że nie jest jeszcze gotowa na bolesne cięcie. No cóż, spróbowałam.

- Dopij wino - poklepałam ją po plecach. - I chodźmy już spać.

Już chciałam zamknąć za sobą drzwi sypialni Hugh Hennessy'ego, gdy w ostatniej chwili przypomniałam sobie o zepsutej klamce. Zostawiłam drzwi lekko uchylone, chociaż nie czułam się z tym najlepiej. Było tu tak ciemno i cicho, że miałam wrażenie, jakbym znalazła się w samym środku akcji jakiejś gotyckiej powieści, w której roilo się od zasadzek i ciężkich drzwi, które zatrzaśkiwały się na zawsze. Brakowało mi odgłosów miasta, dzięki którym łatwiej byłoby mi zasnąć.

Ponieważ nie zamknęłam drzwi, w pierwszej chwili się nie zorientowałam, że ktoś wszedł do pokoju. Dopiero czując ruch powietrza, odwróciłam się szybko, rozpoznałam sylwetkę Marlinchen i odetchnęłam z ulgą. Była boso, miała na sobie tylko koszulkę bez rękawów i szorty.

- Co się stało? - zapytałam.

- Chcę porozmawiać o Aidanie. Wreszcie...

Podeszła bliżej i usiadła na podłodze obok łóżka. Źrenice miała rozszerzone, zupełnie jak kot.

- Nie protestowałam, kiedy ojciec zdecydował się odesłać Aidana, bo myślałam, że tak będzie lepiej... - wzięła głęboki oddech. - Bałam się, co się stanie, jeżeli Aidan nie wyjedzie...

- Dlaczego się bałaś?
- Bił Aidana - powiedziała. - Pod koniec coraz częściej, ale wszystko zaczęło się dużo wcześniej...
- Opowiedz mi - poprosiłam.

Rozdział 21

Marlinchen Hennessy od początku była ukochaną córeczką tatusia; bystra i wygadana, uczyła się szybko, a ojciec uwielbiał jej czytać, wyjaśniać znaczenie nieznanymi słów i słuchać, gdy opowiadała mu o swoich przygodach w szkole. Nic nie brzmiało w jej uszach równie słodko jak zdrobnienie „Marli”, którym zwracał się do niej wyłącznie tatuś. Dopiero w wieku dziesięciu lat zdała sobie sprawę, że tatuś ma niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu, a nie co najmniej metr dziewięćdziesiąt, jak wydawało jej się wcześniej.

Aidan, małowówny i wyciszony, zawsze chętniej przebywał w towarzystwie wiecznie zamyślonej, zamkniętej w sobie matki. Jak astronom studiował jej milczenia i nastroje. Kiedy wpadała w najgłębszy smutek, brała go na kolana i przytulała mocno, głaskała po złocistych włosach i całowała okaleczoną małą dłoń. Czasami razem siadali pod magnolią i wpatrywali się w wody jeziora. Aidan sądził czasami, że bliskość najmłodszego dziecka poprawi jej nastrój, i przynosił jej - najpierw Colma, pod którego ciężarem jego kręgosłup giął się ku ziemi jak witka, a później, już pod koniec, Donalę.

Wszystkie dzieci zostały porażone gwałtowną śmiercią matki, ale Aidan najbardziej przeżył jej odejście. Po pogrzebie położył się pod magnolią i szlochał bez opamiętania. Tatuś w końcu wyjrzał przez okno, zobaczył leżącego na ziemi Aidana i zacisnął wargi w wążutką kreseczkę. Otworzył drzwi, zbiegł po schodach i stanął obok chłopca. Marli, która przy-

glądała się temu z okna swojej sypialni, nie słyszała słów tatusia, ale widziała, że Aidan zupełnie nie reaguje. Tatuś schylił się i podniósł Aidana, a gdy ujrzał, że chłopiec wciąż płacze, uderzył go w twarz.

Marli doznała szoku, ale po paru dniach udało jej się o tym zapomnieć. Była jeszcze mała.

I bardzo zapracowana. Ciągle uczyła się czegoś nowego. Tatuś dał jej niski taborecik, żeby mogła dosięgnąć stołu, na którym przewijała Donalą. Rano ubierała malucha, potem karmiła go przed kolejnymi drzemkami, a wieczorem układała do snu. Bezpośrednio po śmierci matki młodszymi dziećmi zajmowały się zmieniające się co jakiś czas opiekunki, które wkrótce w ogóle przestały się pojawiać.

- To nasz dom - mawiał tatuś. - Sami się nim zajmiemy i zaopiekujemy sobą nawzajem...

Marlinchen bardzo podobał się ten pomysł. Myślała o słowach tatusia, kiedy rano polewała mlekiem płatki kukurydziane dla braci, przygotowywała dla nich kanapki i zmywała naczynia. Nie miała jeszcze ośmiu lat.

Ciągle martwiła się o tatusia. Któregoś dnia usłyszała, jak rozmawiał z kimś przez telefon o tym, że ma wrzody. Był to bardzo nieprzyjemny dodatek do bólów kręgosłupa, które pojawiały się i znikaly; Marlinchen wiedziała, że przyczyną tych dolegliwości jest stres. Po śmierci mamy tatuś musiał robić zakupy dla całej szóstki, wozić ich do szkoły, kupować ubrania i potrzebne do szkoły rzeczy.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? - mówił często, całując ją w czubek głowy.

Próbował potraw, które zaczęła gotować w wieku ośmiu lat, i chwalił każdą bez wyjątku, nawet te zupełnie nieudane. Czasami stawał w drzwiach, kiedy czytała na dobranoc Col-mowi i Donalowi, a ona udawała, że go nie widzi, zachowując dumę, jaką napawała ją jego aprobata, wyłącznie dla siebie.

Pojawiały się też inne rekompensaty - drobne sumy na do-

datkowe wydatki, biały kociak na urodziny. Marlinchen jako pierwsza dziewczynka w klasie przekłuła sobie uszy, oczywiście za przyzwoleniem tatusia, który powiedział, że skoro ma już dziewięć lat, to jest dość duża, by nosić kolczyki.

Zatopiona w nieświadomym narcyzmie dzieciństwa, długo nie zauważała, że tatuś prawie nigdy nie patrzy Aidano-wi prosto w oczy i że niemal się do niego nie odzywa. Jeżeli Marli była w pobliżu, tatuś rozmawiał tylko z nią. Kiedy to wreszcie dostrzegła, pomyślała, że dzieje się tak dlatego, że Aidan jest wyjątkowo małomówny i samowystarczalny. Bardzo różnił się od Colma i Liama, którzy stale mieli poobijane i podrapane kolana, i domagali się, by ktoś rozsądzał ich kłótnie, czy od Donała, który ciągle kogoś potrzebował. Aidan nigdy nie stawiał nikomu żadnych wymagań.

Ale pewnego zimowego dnia zachorował.

Nie było to nic poważnego, w każdym razie nie powinno być - ot, zwykła grypa, jedna z tych infekcji, jakie zimą panują w szkole. Aidan złapał grypę, lecz chodził z nią do szkoły tak długo, póki nauczycielka nie odesłała go do domu.

Gdy Marli wróciła do domu, zajrzała do pokoju brata, żeby sprawdzić, jak się czuje. Aidan był bardzo senny. Dotknęła jego policzka i przeraziła się, bo gorąco biło od niego jak od rozpalonego pieca. Zmierzyła mu temperaturę małym termometrem, który zawsze leżał w łazience, spojrzała na skalę i natychmiast pobiegła do gabinetu ojca.

Tatuś pracował nad wykładem, który miał wygłosić w college'u. Był całkowicie pochłonięty pisaniem.

- Tatusiu?

- Cześć, słonko! - rzucił, nie przerywając pracy.

- Wydaje mi się, że Aidan jest naprawdę chory...

- To grypa - odparł tatuś. - Powinien wygrzać się w łóżku, to jedyna metoda.

- Ale chyba powinniśmy wezwać lekarza - nie ustępowała. - Ma prawie czterdzieści stopni gorączki.

- Naprawdę? Lepiej daj mu dwie tabletki ibuprofenu, to zbije gorączkę.

Ani na chwilę nie oderwał rąk od klawiatury komputera. Marlinchen głośno przełknęła ślinę.

- Naprawdę myślę, że trzeba zadzwonić po lekarza, tatusiu. Przestał pisać, ale nie odwrócił się twarzą do niej.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - rzucił ostro. - Daj mu dwa ibuprofeny. Jutro mam wykład i nie zamierzam marnować czasu na jakieś pieprzone głupstwa!

Dziewczynka zamarła.

- W porządku... - szepnęła po chwili.

Marlinchen widziała film, w którym ktoś ratował gorączkującego człowieka. Zmusiła Aidana, żeby popił ibuprofen szklanką wody z lodem, potem dała mu jeszcze drugą, napuściła do wanny bardzo zimnej wody i pomogła mu się obmyć. Po godzinie gorączka spadła do trzydziestu dziewięciu stopni i Marlinchen odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że bratu nic już nie grozi.

Trzy godziny później tatuś wyszedł z gabinetu.

- Przepraszam, Marli - powiedział. Spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem.

- Nie powinienem użyć brzydkiego słowa - ciągnął. -Wiem, że źle zrobiłem...

I wsunął jej do ręki dwudziestodolarowy banknot.

- Może zamówimy dziś pizzę na kolację, żebyś nie musiała się męczyć? - zaproponował.

Później Marlinchen doszła do wniosku, że przyczyną zniecierpliwienia tatusia na pewno był ból pleców, który ostatnio bardzo mu dokuczał.

Minął rok, potem drugi. Marlinchen brała na siebie coraz więcej obowiązków. Tatuś nie wykładał, ale wydawał się bardziej zapracowany niż zwykle. Całymi godzinami przesiadywał w gabinecie, pisząc nową książkę. Dzieci oczekiwały teraz od Marlinchen nie tylko posiłków, ale także pomocy przy odrabianiu lekcji. To ona miała je karcić i pilnować dyscypliny.

Wszyscy z wyjątkiem Aidana, który zawsze starał się jej pomagać. Zajmował się Colmem i Donalem (Liam wdał się już w namiętny romans z książkami), kiedy ona musiała się uczyć, grał z nimi w piłkę albo zabierał ich na długie wędrówki brzegiem jeziora. Aidan był jej prawdziwym przyjacielem, czego nie mogła powiedzieć o pozostałych chłopcach. Dzielili się żartami i sekretami, a jeśli tatuś wcześniej kładł się do łóżka, bo bolały go plecy, czasami razem oglądali do późna filmy dla dorosłych w telewizji kablowej.

Spośród wszystkich chłopców tylko Aidan był rzeczywiście wysoki. Kiedy oboje skończyli jedenaście lat, nagle wystrzeżił w górę jak młoda sadzonka. Pewnego dnia, gdy cała rodzina siedziała przy kolacji, Marlinchen spojrzała na Aidana, który stał przy otwartej lodówce, z okaleczoną dłonią opartą na drzwiach, i szukał czegoś w środku. Uderzyło ją, jak bardzo urósł w ostatnich miesiącach, a jego ramiona przybrały inny, już prawie męski kształt. Wyglądał na dużo starszego.

Chwilę później zerknęła na ojca, który także obserwował Aidana. Jego niebieskie oczy były dziwnie zmrużone, nie powiedział jednak ani słowa. Zapamiętała, że przez cały ten wieczór głównie milczał.

Ostatnio tatuś w ogóle mało się odzywał. Marlinchen zaczęła podejrzewać, że praca nad książką nie idzie zbyt dobrze, wiedziała też, że wrzód dwunastnicy nie daje mu spokoju. Łatwo tracił cierpliwość i wpadał w gniew. Mniej więcej w tym czasie doszło do Incydentu ze Zdjęciem. Marlinchen zawsze myślała o nim w ten sposób, zupełnie jakby to było wydarzenie historyczne, uwypuklone w podręczniku wytłuszczonym drukiem.

Tatuś już dawno powierzył Marlinchen opiekę nad rodzinnymi zdjęciami, ponieważ uwielbiała układać je w albumach. Dała Aidanowi dużą fotografię, niemieszczącą się w żadnym albumie, przedstawiającą mamę siedzącą pod magnolią z najstarszym synkiem na kolanach. Aidan nigdy nie podejmował

żadnych wysiłków, aby w jakiś sposób ozdobić swoją połowę pokoju, który dzielił z Liamem, lecz tym razem kupił ramkę i powiesił zdjęcie na ścianie, obok dyplomu za zwycięstwo w biegu na sto metrów.

Minęły dwa dni, nim tatuś, przechodząc obok pokoju chłopców, zauważył fotografię.

- To zdjęcie nie należy do ciebie - powiedział Aidanowi. - I nie podoba mi się, że oparłeś je w tę tandetną ramkę z supermarketu.

- To moje zdjęcie - oświadczył twardo Aidan. - Marlinchen mi je dała.

Tatuś po prostu zdjął zdjęcie ze ściany.

- Jest moje - powtórzył Aidan.

Tatuś wyjął fotografię z welwetowej ramki.

- Możesz zatrzymać ramkę - rzucił. - Wierzę, że rzeczywiście kupiłeś ją za własne pieniądze, ale zdjęcie nie jest twoje.

- Jest moje. - Aidan nie ustępował, lecz tatuś go zignorował.

Następnego dnia przypadała rocznica śmierci mamy. Co roku wszyscy razem składali kwiaty na jej grobie, taka była rodzinna tradycja.

Tego dnia, kiedy Aidan razem ze wszystkimi poszedł do garażu, tata oparł rękę na drzwiach samochodu i potrząsnął głową.

- Zostaniesz w domu - powiedział.

- Słucham? - Aidan z trudem przełknął ślinę i przechylił głowę na bok, jakby nie dosłyszał.

- Dobrze wiesz, że w tym roku znowu marnie idzie ci w szkole. Twoja nauczycielka zasugerowała, żebym zabronił ci uczestniczenia w rodzinnych wycieczkach, dopóki nie poprawisz stopni. Uważam, że ma rację.

Marlinchen nie spuszczała oczu z twarzy brata. Wiedziała, jak bardzo ważna była dla niego pamięć o matce. Aidan czekał chwilę, jak gdyby się spodziewał, że tata jednak złagodzi wy-

rok. Potem, z policzkami oblanymi ciemnym rumieńcem, wrócił do domu.

Tata dopiero po dwóch dniach zorientował się, w jaki sposób Aidan spędził czas, gdy był sam w domu. Tamtego popołudnia wyszedł ze swego gabinetu i stanął w drzwiach pokoju Aidana, który właśnie odrabiał lekcje.

- Gdzie ono jest? - warknął.

- Co? - zapytał Aidan.

Aidan zabrał zdjęcie z gabinetu i schował je tak skutecznie, że ojciec nie mógł go znaleźć. Przeszukał należącą do Aidana połowę pokoju, łazienkę i wszystkie stare skrytki w domu, ale bez powodzenia. Nie zapytał więcej Aidana, gdzie jest zdjęcie, lecz jego ponury nastrój wisiał nad domem jak ciężka chmura. Aidan mówił niewiele, jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz, a Marlinchen była naprawdę przerażona.

- Nie mógłbyś po prostu oddać tego zdjęcia? - spytała.

- Nie - odparł Aidan. - Nie mam go tutaj.

- Prowokujesz go...

- Zabrał coś, co było moją własnością - rzucił Aidan. Głos mu się zmienił i przez moment Marlinchen usłyszała w nim prawdziwie męski ton.

- Gdybyś oddał zdjęcie, wszystko byłoby w porządku - powiedziała.

Marlinchen miała lepsze stopnie niż Aidan i często pomagała mu w odrabianiu lekcji, lecz teraz brat patrzył na nią tak, jakby wiedział o czymś, czego ona nie jest w stanie pojąć.

- Nic nie byłoby w porządku - rzekł powoli. - Jemu wcale nie chodzi o zdjęcie.

Kiedy ojciec zaczął bić Aidana, Marlinchen i młodsi bracia musieli jakoś sobie z tym poradzić. Najczęściej udawali, że nic się nie dzieje. Nie było to znowu takie trudne, bo do konfliktów dochodziło najczęściej nie na ich oczach. Kiedy jakieś dźwięki dobiegały do nich przez ściany, Colm podkręcał dźwięk w telewizorze, Liam nakładał słuchawki walkmana

i sięgał po książkę, a Marlinchen zabierała Donalą na spacer nad jezioro. Sam Aidan nigdy nie poruszał tego tematu i umiejętnie ukrywał siniaki przed rodzeństwem i nauczycielami.

Młodszy chłopcy zaczęli się zmieniać, Marlinchen zdawała sobie z tego sprawę. Odsuwali się od Aidana, jakby się bali, że grom, który regularnie uderzał w niego, w końcu może trafić i w nich. Colm, który wcześniej chodził za Aidanem jak cień, teraz opryskliwie odpowiadał starszemu bratu i demonstracyjnie go lekceważył. Przy kolacji siadał jak najdalej od niego i przytakiwał ojcu. Liam stał się milczący i nerwowy, ciągle uciekał w świat opowiadań, które zaczął pisać.

Pewnego dnia późną wiosną wszyscy byli na dworze, ciesząc się pierwszym prawdziwym ciepłem. Colm bawił się piłką do baseballu z Donalem. Marlinchen siedziała przy stole, kończąc książkę, z której recenzję miała napisać, a Aidan majstrował przy jej rowerze, pięknym, metalicznie pomarańczowym i jeszcze zupełnie nowym. Parę dni wcześniej zdjęli z niego kierownicę i założyli ją odwrotnie, a teraz Aidan sprawdzał, czy linka hamulcowa jest naciągnięta, ponieważ wydawało mu się, że coś jest nie w porządku.

Colm posłał długą piłkę Donalowi, który stał przy schodach na pomost, ze skórzaną rękawicą na ręce. Lecząca piłka zboczyła z kursu i uderzyła w barierkę ganku ponad metr od Aidana, który sekundę za późno podniósł rękę, aby ją chwycić. Piłka odbiła się od drewnianego słupka i trafiła w kuchenne okno. Posypało się szkło.

Na moment wszyscy zamarli, podobni do woskowych figur. Wiedzieli, że tata jest na piętrze i że musiał usłyszeć brzęk.

- Cholera jasna... - powiedział Aidan, podnosząc się z kolan i podchodząc do okna.

Wszyscy skupili się za jego plecami, kiedy tata wszedł do kuchni i ogarnął wzrokiem rozsypane na podłodze szkło oraz piłkę, która znieruchomiała pod drzwiami lodówki.

- Kto to zrobił? - zapytał tata, wychodząc na taras i mierząc całą grupkę uważnym spojrzeniem.

Długą chwilę milczeli.

- Aidan - odezwał się w końcu Colm.

- Co?! - zaprotestowała Marlinchen. - Colm!

- To Aidan - upierał się Colm, na którego twarzy malował się strach.

Aidan i Marlinchen patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc, lecz Colm nie odrywał oczu od ojca.

- Idź na górę - rzucił tata do Aidana.

Nie zapytał, czy Colm powiedział prawdę, i Marlinchen świetnie wiedziała, że później też tego nie zrobi.

- Dlaczego skłamałeś?! - zaatakowała Colma, kiedy Aidan i ojciec weszli do domu. - Przecież to nie była wina Aidana!

- Skąd wiesz? - zapytał Colm z tępym uporem. - Czytałaś i nic nie widziałaś.

Potem wszedł do kuchni po piłkę.

Marlinchen patrzyła za nim przez chwilę i nagle z całą jasnością dotarło do niej, że jej rodzina padła ofiarą powoli działającej trucizny. Colm spróbował zrobić coś takiego po raz pierwszy, udało mu się, więc spróbuje znowu. Bała się, że w jej rodzinie zaczną się dziać jeszcze gorzej, ale to, co nastąpiło, wykraczało poza wszelkie jej wyobrażenia i obawy.

Mniej więcej miesiąc później ojciec wezwał ją i Aidana do gabinetu.

- Rozmawiałem z waszą ciotką Brigitte, siostrą mamy - powiedział. - Zaproponowała, że weźmie Aidana do siebie. To bardzo miło z jej strony.

Marlinchen chciała zapytać dlaczego, ale nie zapytała. W ogóle nie znali ciotki Brigitte. Nigdy nie przyjeżdżała do Minnesoty, a oni nigdy nie odwiedzali jej w Illinois.

- Na jak długo? - wykrztusiła.

Niebawem zaczynały się wakacje, więc była pewna, że oj-

ciec chce, by Aidan wrócił do domu najpóźniej pod koniec sierpnia.

- Zobaczmy - odparł ojciec i postukał palcem w leżący na biurku wąski folder z logo linii lotniczych Northwest. - Wyjedziesz zaraz po zakończeniu roku szkolnego - poinformował Aidana, który głośno przełknął ślinę i wyszedł z pokoju.

- Tato... - zaczęła cicho Marlinchen, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

- Pomóż mu się spakować, dobrze? - rzucił ojciec. - Chłopcy są w tym beznadziejni, dobrze o tym wiem. I jeszcze coś, złotko... - odwrócił się od komputera, który przed sekundą włączył. - Bądź tak dobra i powiedz o tym braciom, dobrze?

Aidan nie chciał, żeby mu pomogła w pakowaniu rzeczy, i wydawał się pogodzony z pomysłem, który ją tak poruszył.

- Nie przejmuj się - mruknął, wyjmując walizkę spod łóżka. - Wszystko będzie w porządku.

- Ale przecież my nawet nigdy nie widzieliśmy ciotki Brigitte...

- Widzieliśmy ją - sprostował Aidan. - Kiedyś byliśmy u niej w Illinois...

Marlinchen spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę? W ogóle tego nie pamiętam. Na dodatek tata raczej za nią nie przepada...

- Więc prawdopodobnie jest bardzo miła - odparł Aidan z goryczą.

- Tak czy inaczej, wyjeżdżasz tylko na wakacje...

- Nie martw się, naprawdę. Mogę mieszkać wszędzie.

- Ale...

- Przestań, dobrze? - rzucił ostro. - I zabierz swojego kota z mojej walizki!

Marlinchen dopiero teraz zobaczyła, że Śnieżynka z wielką satysfakcją wbija pazury w ubrania, które Aidan ułożył w otwartej walizce. Szybko podniosła się z łóżka Liama.

- Śnieżynka nie jest moim kotem, należy do nas wszystkich...

- Nie - odrzekł Aidan. - Śnieżynka jest twoją maskotką, tak jak ty jesteś maskotką tatusia. Zostaw mnie wreszcie w spokoju, kurde!

Nigdy do tej pory nie robił jej wyrzutów z powodu wyjątkowego miejsca, jakie zajmowała w sercu ojca. Oczy Marlinchen wypełniły się łzami.

- Linch... - zaczął Aidan łagodniejszym tonem, lecz ona wybiegła już na korytarz i dalej, do swojego pokoju.

W dzień wyjazdu Aidana Marlinchen wstała o piątej rano, żeby zrobić dla niego naleśniki. Kiedy spojrzała w okno, za którym było jeszcze zupełnie ciemno, zobaczyła mizerną twarz smutnej kobiety, starej, chociaż z jakiegoś powodu wcale nie siwej. Aidan zjadł tylko jedną trzecią przeznaczoną dla niego porcji.

Później położyła się jeszcze i wstała o siódmej, żeby przygotować śniadanie dla chłopców. Tata jeszcze nie wrócił z lotniska. Liam rozplakał się przy stole, Donal poszedł w jego ślady. Tylko Colm miał spokojną, zaciętą twarz.

Marlinchen kilka razy dzwoniła do Aidana, ale pewnego dnia ojciec położył na jej łóżku billing telefoniczny, z podkreślonymi na żółto rozmowami z Illinois. Wiedziała, że nie chodzi mu o pieniądze, i jej serce ścisnęła zimna, twarda ręka strachu. Zaczęła dzwonić z budek telefonicznych, ale rzadko się zdarzało, że miała taką możliwość. Aidan zawsze mówił, że u niego wszystko w porządku i że ciocia Brigitte jest miła. Poza tym miał jej niewiele do powiedzenia.

Zaczęła się szkoła, ale Hugh nie przywiózł Aidana do domu. Marlinchen kilka razy próbowała zacząć rozmowę na ten temat, ale słowa dosłownie zamierały jej w gardle. O tym, że

ciotka Brigitte zginęła w wypadku samochodowym i Aidan został wysłany na Południe, do starego przyjaciela ojca, Marlinchen dowiedziała się dopiero po fakcie. Wtedy dotarło do niej, że Aidan już nigdy nie wróci do domu, bo ojciec nigdy nie zmieni swego stosunku do najstarszego syna.

Muszę coś zrobić, powtarzała sobie. Muszę z nim porozmawiać. Nie mogę pozwolić, aby Aidan mieszkał z zupełnie obcym człowiekiem.

Jednak nic nie mówiła, w każdym razie nie zaraz. Bała się o Aidana, ale w równym stopniu martwiła się o ojca, który od dawna żył w napięciu z powodów finansowych i nie tylko. Coraz częściej bolały go plecy i ciągle był w fatalnym nastroju. Któregoś dnia powiedział, że chciałby z nią o czymś porozmawiać, i zaprowadził ją pod magnolię.

Przez całą drogę serce Marlinchen tłukło się jak schwytyany w sidła ptak. Co zamierzał jej powiedzieć? Ze ma raka, że umiera? Gdy stanęli pod drzewem, chyba zabrakło mu słów. Długo milczał, wpatrzony najpierw w ziemię pod swoimi stopami, a potem w jezioro, i w końcu zaczął mówić o tym, jak bardzo kochał jej matkę, jak strasznie za nią tęskni i jak ważne są dla niego dzieci.

Nadal bardzo przestraszona, pośpiesznie zapewniła ojca, że rozumie i że wszyscy go kochają, chociaż w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi. Czy nadal był przygnębiony po śmierci matki? Czy starał się wyznać, że dręczą go myśli samobójcze? Przez następny miesiąc budziła się w nocy, zlana potem. Co najmniej raz wstawiała i zaglądała do pokoju ojca, sprawdzając, czy nic mu nie jest, czyjego pierś spokojnie podnosi się i opada pod przykryciem.

Niedługo potem wydarzyło się coś, co na dobre odmieniło jej życie.

Pewnego popołudnia, w czasie lekcji angielskiego, zobaczyła przez okno Aidana, który stał po drugiej stronie ogrodzenia. Przyłożył palec do ust, nakazując jej milczenie. Kiedy

wyszła ze szkoły, Aidan wsiadł z nią do autobusu. Kierowca nawet nie zauważył, że ma dodatkowego pasażera.

Marlinchen przez dwa dni ukrywała brata w wolno stojącym garażu. Wykładała dla niego jedzenie i przyniosła mu koc, żeby mógł spać na tylnym siedzeniu starego bmw, którym tata już od dawna nie jeździł.

Drugiego dnia powiedziała o wszystkim Liamowi. Po kolacji przynieśli Aidanowi ciepłe jedzenie, a potem usiedli we troje i zaczęli rozmawiać. Mówił głównie Aidan - opowiedział im o cioci Brigitte, która była bardzo miła, ale może trochę za słodka i zaborcza, i o Benjaminie, któremu nie miał do zarzucenia nic poza tym, że był obcym człowiekiem. Po dwóch tygodniach pobytu na farmie Aidan poczuł się tak samotny i tak bardzo tęsknił za rodzeństwem, że po prostu nie mógł tego wytrzymać. Uciekł w nocy, kupując bilet autobusowy za pieniądze zaoszczędzone z kieszonkowego, które dawała mu ciotka Brigitte. Opowiadał o tym, jak ciemna autostrada rozwija się niczym wstążka, ożywiona reflektorami autokaru, i o tym, jak wędrował cały dzień, by dotrzeć do szkoły Marlinchen. W mrocznym świetle garażu smutki życia Aidana przybierały oblicze barwnych przygód.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Colm.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

Odwróciły się ku niemu trzy twarze, ale on patrzył tylko na najstarszego brata. W jego oczach najpierw błysnęło zdumienie, zaraz jednak zastąpił je wyraz twardej determinacji.

- Idę powiedzieć tacie - rzucił.

- Nie! - Marlinchen zerwała się na równe nogi, ale Colm już biegł w stronę domu.

Kiedy ojciec uchylił drzwi garażu, wydawał się przerażająco spokojny i opanowany. Popatrzył na syna, którego wygnał z domu, i pokiwał głową, jakby jego pojawienie się wcale go nie zaskoczyło.

- Tato... - zaczęła Marlinchen.

Próbowała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle odkryła, że gardło ma zupełnie sztywne.

- W porządku, Marlinchen - rzekł ojciec. - Podejrzywałem, że on się zjawi.

Potem zwrócił się do Aidana.

- Rano wrócisz do Georgii. Teraz chodź do domu, możesz przespać się na kanapie w pokoju na dole.

Marlinchen odetchnęła z ulgą, bo spodziewała się czegoś znacznie gorszego. Przygotowała bratu posłanie na kanapie i zasnęła szybko i mocno. Napięcie ostatnich dni bardzo ją zmęczyło. Teraz było już po wszystkim i wyczerpanie wreszcie dało o sobie znać.

Godzinę później obudziły ją stłumione, znajome odgłosy gniewu, dobiegające z dołu. Na palcach zbiegła po schodach, starając się prawie nie oddychać.

Nigdy dotąd nie było aż tak źle. Aidan siedział na podłodze w kuchni, oparty plecami o lodówkę, z zakrwawioną twarzą. Starał się zatamować krew, płynącą ze złamanego nosa i rozciętego łuku brwiowego. Ojciec przykucnął obok niego. Zaciskał w garści zakrwawione włosy syna, a jego twarz była twarzą obcego człowieka, może nawet nie człowieka, tylko demona złości.

Powiedział coś Aidanowi do ucha, puścił jego włosy i wstał.

Aidan także się podniósł, choć z wyraźnym trudem. Wyprostował się i splunął ojcu w twarz krwią i śliną.

Marlinchen poderwała ręce do ust i zeszywniała z przerażenia, ale ojciec tylko wytarł twarz wierzchem dłoni i wyszedł.

Zatoczyła się w bezpieczną ciemność, kiedy przechodził obok, więc jej nie zauważył. Długą chwilę siedziała, obejmując ramionami kolana i walcząc ze łzami. Ponieważ jej głowa znajdowała się dosyć nisko, nagle zobaczyła coś, czego wcześniej nie widziała. Spojrzała między nogi krzesła pod niewielkim śniadaniowym stolikiem i dostrzegła wbite w nią

błyszczące oczy. Donal. Miał pięć lat. Jego twarz była nieruchoma i biała jak ściana.

Natychmiast się domyśliła, co się stało. Donal zakradł się na dół po coś niedozwolonego o tak późnej porze, może po kawałek cytrynowego ciasta, które Marlinchen upiekła po południu, i ukrył się pod stołem, kiedy usłyszał gniewne głosy. Tkwił tam przez cały czas. Marlinchen nie wiedziała, co spowodowało wybuch wściekłości ojca, ale nie miała cienia wątpliwości, że Donal wszystko widział.

W tym momencie podjęła decyzję.

Pomyślała, że to dobrze, iż Aidan wyjedzie rano i że nadal będzie mieszkał kilka tysięcy kilometrów od domu, w przeciwnym razie młodzi chłopcy patrzyliby na takie rzeczy, nawet gorsze, a Aidan nigdy nie byłby bezpieczny. W Georgii mógł liczyć na spokojne życie, a to lepsze niż... Nie chciała o tym dłużej myśleć. Niezależnie od tego, jaki był Pete Benjamin, na pewno odnosił się do Aidana lepiej niż ojciec.

Wyszła z kryjówki, przeszła obok Aidana, który znowu osunął się na podłogę i próbował zatamować krwotok, i przysiadła na piętach naprzeciwko Donala.

— Wszystko w porządku, mały - wyciągnęła do niego ręce. - Chodź do mnie...

Był już za duży, żeby mogła go swobodnie podnieść, ale jakoś jej się udało. Leżał w jej ramionach spokojnie, prawie bezwładnie. Marlinchen spodziewała się łez, lecz chłopczyk nie płakał.

Dzieci są odporne, powiedziała sobie, otulając go kołdrą. Nie wróciła do kuchni.

W tym samym roku ukazała się *Tęcza w nocy*. Książka zebrała bardzo pochlebne recenzje, a Hugh znowu zaczął dawać wykłady i spotykał się z czytelnikami. Kiedy ruszał w trasę, przysyłał dzieciom pocztówki z każdego miasta, nawet jeżeli spędzał gdzieś tylko jedną noc w hotelowym pokoju. Rok póź-

niej pewne studio filmowe zakupiło prawa do sfilmowania *Kanału*. Z tych pieniędzy Hugh kupił domek w pobliżu jeziora Tait, dokąd później często wyjeżdżał, żeby w spokoju pisać, wcześniej jednak zabrał tam całą rodzinę na wakacje. Wrzód i plecy przestały mu dokuczać. Sprawiał wrażenie mniej spiętego, więcej rozmawiał z dziećmi i czasami nawet śmiał się przy stole. Chłopcy także trochę się rozluźnili i wydawało się, że najgorszy okres mają już za sobą.

Marlinchen nigdy nie wspominała ojcu o Aidanie.

Rozdział 22

- Byłaś jeszcze dzieckiem... - szepnęłam. - To nie twoja wina...

Opowiedziawszy swoją historię, Marlinchen wybuchnęła płaczem.

- Jeżeli coś mu się stało, to przeze mnie - wykrztusiła. - Widziałam, co się dzieje, i nic nie zrobiłam. Nic nie zrobiłam, rozumiesz?

- Bo nic nie mogłaś zrobić - odparłam, poklepując ją po drżących ramionach, ze świadomością, że moje słowa nie są żadną pociechą.

Po pewnym czasie otarła łzy i odzyskała panowanie nad sobą.

- Chciałam ci o tym powiedzieć już wcześniej - podjęła mocniejszym głosem. - Ale patrzenie na przemoc działa jak trucizna. Kiedy dzieje się to pierwszy raz, odwracasz wzrok i modlisz się, żeby więcej się nie powtórzyło. Później... Później podświadomie nie chcesz poruszać tego tematu, bo się boisz, aż w końcu wszyscy wiedzą, że na ich oczach rozgrywa się tragedia, ale nikt nic nie mówi, bo to by było jak...

- Jak wybicie wszystkich okien w domu - powiedziałam.

- Właśnie - przytaknęła. - Jak wybicie wszystkich okien...

- A co z Colmem i Liamem? Ustaliliście wcześniej, co macie mówić, kiedy zapytam, dlaczego Aidan został odesłany?

Marlinchen potrząsnęła głową.

- Nie musiałam im nic mówić. Nigdy o tym nie rozmawiamy, nawet między sobą. - Spojrzała na mnie rozszerzonymi w ciemności źrenicami.

- Jak myślisz, Saro, gdzie on jest? Tak szczerze?

- Nie mam pojęcia - przyznałam. - Ale z pewnością nic nie wyniknie z tego, że przesiedzimy tu całą noc, zastanawiając się nad jego losem. Wracaj do łóżka.

Milczała długą chwilę.

- Kiedy mieliśmy jedenaście lat, któregoś zimowego dnia wyszłam na zamarzniete jezioro - westchnęła ciężko. - Nie pamiętam już, dlaczego to zrobiłam, w każdym razie łódź załamała się przede mną i wpadłam do wody. Utonęłabym, gdyby Aidan nie zobaczył, co się dzieje, i nie pośpieszył mi na pomoc... - jej głos znowu zadrżał. - Nie powiedzieliśmy ojcu, bo baliśmy się, że będzie się na mnie złościł. A później, kiedy Aidan potrzebował mojej pomocy... Boże, jeżeli coś mu się stało...

- Nie myśl o tym więcej - powiedziałam. - Przynajmniej teraz. Powinnyśmy się trochę przespać.

Wątpię, czy Marlinchen zasnęła, bo ja do rana nie zmrużyłam oka.

Nie mogę powiedzieć, żeby historia Aidana specjalnie mnie zaskoczyła, zaczęłam już podejrzewać, że w tym domu wydarzyło się coś złego. Problem polegał na tym, że nadal nie rozumiałam, co było źródłem tej sytuacji, ponieważ Marlinchen też nie wiedziała, dlaczego właśnie na Aidanie i tylko na nim skupił się gniew ojca.

Oczywiście zawsze należało brać pod uwagę rozwiązanie żywcem z serialu telewizyjnego. Aidan i Marlinchen mieli jas-

ne włosy i byli podobni do swojej ślicznej matki. Pozostali trzej chłopcy odziedziczyli urodę Hugh. Bliźnięta były najstarsze. Hugh i Elisabeth stanowili dwa wierzchołki literackiego trójkąta miłosnego. Ten trzeci, Champion, został wygnany z życia przyjaciela parę lat po przyjściu na świat bliźniąt. Wniosek: Champion był ojcem Aidana i Marlinchen. Hugh dowiedział się o tym w jakiś sposób i zerwał przyjaźń, potem zaś wyładował wściekłość i rozczarowanie na Aidanie, nieślubnym synu Campiona.

Niestety, ta teoria nie dawała odpowiedzi na podstawowe pytanie, pozwalając tylko inaczej je sformułować. „Marli” była ulubienicą ojca, zwłaszcza w okresie po śmierci matki. Dlaczego mroczny cień ojcostwa ominął Marlinchen, padając tylko na jej bliźniaczego brata? Marlinchen pokochałem, Aidana znienawidziłem... Gdzie tu logika?

Te myśli nie pozwalały mi zasnąć i dlatego usłyszałam dobiegający spod okna dźwięk. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to wiatr potrząsa pnączami winorośli na drewnianej kracie ganku, zaraz jednak uświadomiłam sobie, że mimo szeroko otwartego okna nie czuję żadnego powiewu, a rysujące się na tle nieba wierzchołki drzew są zupełnie nieruchome.

Na palcach podeszłam do okna. Krata znowu zadygotała, tym razem mocniej.

Nie rozebrałam się do snu, ponieważ nie miałam nic na zmianę, więc teraz zarzuciłam bluzę z kapturem na koszulkę, szybko włożyłam legginsy i wyjęłam broń z torby. Boso, bo moje buty schły po praniu w garażu, zbiegłam na dół.

Szczupła, ciemna sylwetka znajdowała się już w połowie wysokości porośniętej winoroślą kraty, kiedy wypadłam zza węgła.

- Stać! - krzyknęłam. - Zejdź na ziemię, tylko powoli, i stań twarzą do ściany, z rękami na kracie i z rozstawionymi nogami!

W ciemności widziałam tylko, że szczupły mężczyzna, bo

z pewnością był to mężczyzna, spełnił moje polecenie. Kiedy odgarnął do tyłu sięgające ramion włosy, nagle wydało mi się, że skądś go znam. Po chwili ścianę domu zalało światło elektryczne i wszystkie moje wątpliwości się rozwiały.

W drzwiach stała Marlinchen. To ona włączyła halogen. Wpatrywała się w opartego o kratę chłopaka, a zwłaszcza w jego lewą rękę, tę bez małego palca.

- Aidan!

- Nie ruszaj się, Marlinchen - rzuciłam. Przeniosła na mnie kompletnie zaskoczone spojrzenie.

- Nie rozumiesz, Saro? To jest Aidan! Och, gdyby to było takie proste, pomyślałam.

Może powinnam była rozegrać to inaczej, ale uległam instynktowi wyrobionemu w czasie szkolenia i pracy - nigdy nie tracić kontroli nad sytuacją, w każdym razie do chwili, kiedy ma się absolutną pewność, że wszystko jest w porządku. W tym wypadku nie mogło być o tym mowy. Aidan posłuchał mojego polecenia, był jednak wyższy i prawdopodobnie silniejszy ode mnie, a ja nie czułam się z tym dobrze.

Na ganku ukazali się Liam i Colm.

- Aidan? - zapytał z niedowierzaniem Liam.

- Wejdźcie do domu - powiedziałam, trącając Aidana w plecy, żeby nie odsuwał się od ściany. - Już! Ja się tym zajmę...

Posłuchał mnie tylko Colm, Liam i Marlinchen nie ruszyli się z miejsca.

Pośpiesznie zrewidowałam Aidana, szukając podejrzanych przedmiotów. Nawet nie drgnął, przyjmując mój dotyk z taką rezygnacją jak podkuwany koń. Miał na sobie cienką bluzę z długimi rękawami, drugą z kapturem, brudną, i sprane dżinsy. W bocznej kieszeni spodni wyczułam wąski, twardego przedmiot długości palca i wyjęłam go ostrożnie.

- Co ty robisz? - odezwała się Marlinchen, która niepostrzeżenie podeszła do mnie. - Przecież to Aidan...

- Po pierwsze, cofnij się - powiedziałam. - Po drugie, wiem, że to Aidan. Próbował włamać się do domu ze składanym nożem w kieszeni... - Położyłam nóż na otwartej dłoni i pokazałam jej.

Nagle tuż obok mnie pojawił się Colm.

- Będą ci potrzebne? - zapytał, podsuwając mi kajdanki. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, że udało mu się uprzedzić moją prośbę. Odchrząknęłam.

- Nie, raczej nie - odparłam. - Nie zamierzam aresztować twojego brata, chcę tylko zabrać go na komendę na przesłuchanie...

Marlinchen usiłowała protestować, ale Colm położył jej rękę na ramieniu i odciągnął ją do tyłu.

- Chodź, nie przeszkadzaj Sarze - powiedział.

Dziewczyna wyszarpnęła się i rzuciła bratu gniewne spojrzenie. Pewność siebie Colma stopniała jak wiosenny śnieg -nie zatrzymywał już siostry. Liam nie wrócił do domu, jak mu poleciłam, ale przynajmniej cofnął się na próg. Obserwował całą scenę z wyraźnym napięciem na szczupłej twarzy, jakby chciał pomóc Aidanowi, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Wiele razy byłam już w podobnej sytuacji. Aresztowania często odbywają się na oczach przerażonych członków rodziny, którzy stoją dookoła podejrzanego w ostrym świetle lamp na ganku domu albo w zanedbanym pokoju z telewizorem i patrzą na człowieka tak, jakby chcieli powiedzieć: Nie możesz tego zrobić, przecież to mój mąż. Mój tata. Mój syn. Mój brat.

Nigdy nie jest to łatwe.

- Saro... - zaczęła znowu Marlinchen.

- Wszystko w porządku, Linch - odezwał się wreszcie Aidan.

Jego głos był nieco zachrypnięty, jakby zardzewiał, bo chłopak rzadko go używał.

- Saro, czy nie mogłabyś po prostu...

- Nie - odparłam. - Nie mogę. Muszę przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo twoje i twojej rodziny. Chcę porozmawiać z waszym bratem i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, a tu na pewno mi się to nie uda. Przykro mi.

Trudno zaakceptować tę prawdę, ale dobro i zło w niczym nie przypominają gry w karty. W kartach, jeżeli się wie, że jeden z graczy ma w rękę trzy asy, to można mieć pewność, że nikt inny nie ma więcej niż jednego.

Matematyka ludzkiej psychiki nigdy nie jest taka prosta. Fakt, że Hugh okazał się złym człowiekiem, nie czynił jeszcze anioła z Aidana. Miałam tylko jego słowo na to, że nie miał żadnych złych zamiarów, gdy wdrapywał się na kratę, i nie byłam przekonana, czy mogę mu wierzyć. Ofiary przemocy często same stosują ją wobec innych, Aidan zaś, co wyraźnie wynikało ze słów Marlinchen, był fizycznie i emocjonalnie maltretowany przez ojca.

Nawet jeżeli Hugh nic nie groziło w centrum rehabilitacyjnym, jego dzieci narażone były na pewne niebezpieczeństwo. Marlinchen, Liam, Colm i Donal cieszyli się łaskami ojca i po tym, jak Aidan został niesprawiedliwie odesłany z domu, nadal wiedli w miarę spokojne życie. Nie miałam wątpliwości, że Aidan mógł być na nich rozżalony.

Współczułam chłopcu, ale teraz nie mogłam sobie pozwolić na ten luksus. Nikt nie uczy policjantów rozróżniania między potencjalnymi przestępcami, którzy zostali zranieni przez życie, a tymi, którzy są źli sami z siebie - ten obowiązek należy do sędziów i ławy przysięgłych.

- No, dobrze... - powiedziałam, siadając naprzeciwko Aidana w pokoju przesłuchań wydziału do spraw młodocianych przestępców. - Wspinałeś się po kracie ganku do okna pokoju ojca, z nożem w kieszeni, o pierwszej w nocy, kiedy wszyscy już zasnęli. Szczerze mówiąc, nie wygląda to najlepiej... - Od-

chyliłam się do tyłu i spojrzałam na niego zachęcająco. - Nie musisz odpowiadać na moje pytania, ale nie zaszkodziłoby, gdybyś w przekonujący sposób wyjaśnił swoje dzisiejsze poczynania...

Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, nie skomentował nawet odoru kleju w moim samochodzie, w przeciwieństwie do Kelvina. Zwróciłam uwagę, że pachniał trawą i rosą, jakby sypiał na dworze, no i oczywiście zastarzałym potem.

Dopiero teraz miałam okazję przyjrzeć mu się w jasnym świetle. W pierwszej chwili zerknęłam na jego okaleczoną dłoń - Aidan położył ją na stole, jakby chciał rzucić mi wyzwanie. Może mały palec został dość równo oddzielony od stawu psimi zębami, a może to skalpel chirurga wyrównał postrzępioną ranę, nie wiem, w każdym razie niezależnie od tego, jak dawno się zabił, ciemnoróżowa skóra kikuta miała w sobie coś odrażającego.

Aidan już jako mały chłopiec zapowiadał się na wysokiego młodzieńca - teraz miał ponad metr osiemdziesiąt, co oznaczało, że dawno przerósł ojca i że według wszelkiego prawdopodobieństwa Colm ani Liam także nie dorównają mu wzrostem. Jego długie jasne włosy były brudne i pozlepiane, policzki zapadnięte. Pod koszulką nosił jakiś naszyjnik, chyba z rzemyków.

- Chciałem się upewnić, czy Hugh nie ma w domu - powiedział. Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałam z jego ust od chwili, gdy w domu próbował uspokoić Marlinchen. - Cały dzień i większą część wieczoru kręciłem się w pobliżu i nie widziałem go, ale samochód stał w garażu...

- Jak to kręciłeś się w pobliżu?

- Obserwowałem dom - wyjaśnił. - Czekałem, aż Hugh wyjdzie, chciałem zobaczyć się z Linch i chłopcami. Potem pomyślałem, że może wyjechał, ale nie miałem pewności, więc trzymałem się z daleka, a później próbowałem wspiąć się do jego pokoju, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście go nie ma.

- To, że byłeś w okolicy przez kilkanaście godzin, nie łagodzi faktu, że wspinałeś się do okna z nożem w kieszeni - zauważyłam.

Aidan nie odpowiedział.

- Za kogo mnie wzięłeś, kiedy tak obserwowałeś dom? - zagadnęłam.

- Nie widziałem pani.

- Naprawdę? Przyjechałam mniej więcej koło jedenastej, a wszyscy poszliśmy spać jakąś godzinę później.

- Nie było mnie wtedy. Nie wycofywał się łatwo.

- A gdzie byłeś?

- Próbowałem znaleźć coś do jedzenia.

- Gdzie?

- W ogrodzie u sąsiadów. Hodują tam zieloną paprykę i marchew.

Na pewno żołądek skręcał mu się z głodu. Pomyślałam o automatach z chipsami i batonami w stołówce, ale nie chciałam zakłócać rytmu przesłuchania. W pewnych kwestiach Gray Diaz miał absolutną rację.

- Po co ci ten nóż? - zapytałam.

- Żeby się bronić.

- Przed kim?

- Sporo czasu spędziłem w drodze. Takie życie bywa niebezpieczne, nóż to coś w rodzaju dobrej inwestycji.

Jego spojrzenie było zupełnie spokojne, oczy miały dokładnie taki sam odcień jak oczy Marlinchen.

- Inwestycja... - mruknęłam. - Interesujący dobór słów... Dość długo radzisz sobie sam, prawda? Jak zarabiałeś na życie?

- Pyta pani, czy obrabiałem ludzi? Nie.

- Kiedy dotarłeś do miasta?

- Wczoraj po południu. Złapałem okazję w Fergus Falls. Chwilę milczeliśmy.

- Z farmy Benjamina uciekłeś dawno temu - odezwałam się. - Co cię skłoniło do powrotu do domu właśnie teraz?

- Chciałem zobaczyć się z rodziną - odparł. - Z siostrą i braćmi - dorzucił szybko.

Nie musiał mi mówić, co czuje do ojca. Słyszałam to w jego głosie za każdym razem, gdy nazywał go po imieniu.

- I może przyszło ci na myśl, żeby oskubać staruszka z odrobiny forsy - podsunęłam.

- Nie - zdecydowanie potrząsnął głową.

- A kot Marlinchen?

- Śnieżynka? - uniósł brwi. - Dlaczego pyta pani o Śnieżynkę?

Nie odpowiedziałam. Zależało mi, żeby jakimś drobnym gestem zdradził się ze zdenerwowaniem albo przerwał trudną do zniesienia ciszę, ale on milczał. Nie bardzo wiedziałam, o co jeszcze mogłabym go zapytać. Wreszcie wpadłam na pewien pomysł.

- Dowiedziałeś się, że ojca nie ma w domu, ale w ogóle cię nie interesuje, gdzie może być - rzuciłam. - Nie jesteś ciekawy?

Wzruszył ramionami.

- W porządku, więc gdzie jest?

- W szpitalu. Dochodzi do siebie po wylewie.

Spojrzał na mnie szybko. W jego niebieskich oczach wreszcie dostrzegłam zaskoczenie, lecz wciąż ani cienia troski czy niepokoju.

- Jesteś głodny? - zapytałam w końcu.

- Chętnie bym coś zjadł.

Automat to nie sklep, wybór produktów jest niewielki. Za plastikową szybką dostrzegłam biały, słabo wypieczony bajgiel, chipsy ziemniaczane z ostrą papryką i cebulowe krążki o smaku smażonego boczku. Automat z napojami był lepiej zaopatrzony, ale przecież słodzona i gazowana woda to ostat-

nia rzecz, jakiej potrzebuje wygłodniały nastolatek, który aż do rana nie ma szans na konkretny posiłek.

Odwróciłam się, ściskając w ręku kilka ćwierćdolarówek, i zaczęłam przechadzać się w tę i z powrotem w zimnym świetle jarzeniówek.

Nie podobało mi się, że Aidan wspinał się po kracie do okna sypialni ojca, niepokoił mnie też fakt, że miał w kieszeni składany nóż, ale najgorsze podejrzenia budziło we mnie to, że kręcił się koło domu w nocy, bardzo niedługo po paskudnej śmierci Śnieżynki. Marlinchen powiedziała mi, że wiele lat temu Aidan nazwał Śnieżynkę jej maskotką, a ją samą maskotką ojca.

Jeżeli wrócił do domu pełen gniewu, przygotowany na konfrontację z ojcem, to może wyładował część wściekłości na mniejszym celu, kto wie... Musiałam też brać pod uwagę możliwość, że pod nieobecność Hugh wcześniej czy później uzewnętrzniłby swoje uczucia wobec rodzeństwa.

Wyjęłam z kieszeni nóż, który mu zabrałam, i otworzyłam ostrze. Obejrzałam je uważnie, szukając śladów krwi, ale nic nie znalazłam.

Mogło to oznaczać oczywiście, że Aidan starannie umył nóż.

Jednak kiedy bez uprzedzenia i wyjaśnienia zapytałam go o Śnieżynkę, zareagował dokładnie tak, jak powinien. Bardzo trudno jest zagrać niewinne zdumienie. Nie miałam także najmniejszego dowodu, że wspinał się na kratę z innej przyczyny niż ta, którą mi podał. Może rzeczywiście sprawdzał, czy ojca nie ma w domu. I nie mogłam go za to winić - kiedy ostatnim razem zjawił się nieoczekiwanie, sytuacja wymknęła się spod kontroli, łagodnie mówiąc.

Czułabym się znacznie lepiej, gdybym mogła zostawić go na noc w ośrodku dla młodocianych. Wtedy wróciłabym spokojnie do domu, przespała się i rano spróbowała porozmawiać z nim jeszcze raz, miałam jednak pełną świadomość, że przy-

wiozłam go tutaj tylko na przesłuchanie. Aby go zatrzymać, musiałabym go aresztować.

Teoretycznie było to możliwe, ponieważ miał przy sobie broń, ale z uzyskanych przeze mnie informacji wynikało, że nigdy dotąd nie wszedł w konflikt z prawem. Miał czyste konto, więc gdybym oskarżyła go o nielegalne posiadanie broni, narobiłabym mu kłopotów.

Z każdą chwilą coraz mocniej bolała mnie głowa. Kiedy sędzia Henderson obarczył mnie opieką nad młodymi Hennessy, żadne z nas nie wyobrażało sobie, że w rezultacie tej decyzji będę musiała roztrząsać wyjątkowo skomplikowaną sytuację o trzeciej nad ranem. Tak czy inaczej, wzięłam na siebie ten obowiązek i teraz nie mogłam go zlekceważyć. Musiałam zadbać o bezpieczeństwo Marlinchen i jej młodszych braci, ale przecież Aidan także należał do rodziny Hennessych...

Kiedy wróciłam do pokoju przesłuchań, Aidan spojrzał najpierw na moje puste ręce, a potem przeniósł wzrok na twarz. - Odwiozę cię do domu - powiedziałam.

Rozdział 23

Nie zdziwiło mnie, że Marlinchen jeszcze nie spała. Zarzuciła Aidanowi ręce na szyję i stali tak długo, aż w końcu musiałam się odwrócić, zażenowana i wzruszona.

Marlinchen przygotowała mu posiłek w kuchni, dwie kanapki na ciepło z tuńczykiem i topionym cheddarem, a do tego wielką szklanę mleka, i posłała mu na kanapie w dużym pokoju, gdzie szybko zapadł w mocny sen. Dopiero wtedy skupiła uwagę na mnie.

- Dziękuję... - powiedziała. - Dziękuję ci, że przywiozłaś go z powrotem do domu...

- Musimy o tym porozmawiać - westchnęłam. - Chodźmy na górę.

W sypialni Hugh przysiadłam na brzegu łóżka, a Marlinchen usadowiła się na podłodze, z wdziękiem krzyżując nogi. Można by pomyśleć, że wróciłyśmy do sytuacji sprzed kilku godzin.

- Posłuchaj... - zaczęłam. - Wiem, że Aidan jest twoim bratem i że od dawna wyrzucasz sobie, że mu nie pomogłaś, ale czy naprawdę znasz człowieka, który śpi tam na dole? - Ruchem głowy wskazałam korytarz i schody. - To trochę tak jak z tym zdjęciem, które mi pokazałaś. Lata między dwunastym i siedemnastym rokiem życia są bardzo, bardzo ważne i znaczące. Ludzie się zmieniają, a on spędził ten okres w okolicznościach, o których niewiele wiemy...

Uśmiechnęła się do mnie, jakbym była dzieckiem, które nie ma zielonego pojęcia o świecie.

- Nie muszę wiedzieć, co się z nim działo - powiedziała. - Aidan to Aidan, mój brat. Na pewno nie zrobił nic złego.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

W mrocznym pokoju jej źrenice znowu wydawały się ogromne. Sprawilo to, że wyglądała na młodszą i bardziej szczerą niż kiedykolwiek dotąd.

- Nie mogę działać opierając się na wiedzy o czyichś uczuciach - oświadczyłam.

- O co ci chodzi?

- Od dziś zamierzam spędzać tu dużo czasu - wyjaśniłam. Myślałam o tym w czasie drogi powrotnej, którą odbyłam z Aidanem w całkowitym milczeniu.

- Przecież teraz też to robisz - zauważyła niepewnie.

- Więcej niż do tej pory. Będę z wami nocować. Może wyda się to wam dziwne, zresztą ja sama też nie bardzo wiem, jak do tego podejść, ale sądzę uczynił mnie odpowiedzialną za wasze bezpieczeństwo, więc na razie zamierzam was pilno-

wać. Dopiero kiedy się upewnię, że wszystko jest w porządku...

Marlinchen posłała mi naturalny, pogodny uśmiech.

- Dobrze - kiwnęła głową. - Lubię, kiedy tu jesteś, naprawdę, ale...

- Wiem - przerwałam jej. - Uważasz, że niepotrzebnie się martwię.

Mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest, możesz mi wierzyć.

Następnego dnia nie byłam w najlepszej formie. Czasy, kiedy trzy godziny snu w zupełności mi wystarczały, należały już do przeszłości. Całe szczęście, że w pracy nie działo się nic szczególnego. Rabusie w maskach z pończoch na jakiś czas przycichli - może dostali przyzwicie płatną pracę, a może wygrali na loterii.

Pod koniec zmiany na moim biurku zadzwonił telefon.

- Saro, tu Chris Kilander...

- Kilander? - Wyprostowałam się na krześle. Nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtego nieprzyjemnego spotkania na parkingu pod sklepem Surdyka. - Co się stało?

- Moglibyśmy zobaczyć się dzisiaj wieczorem?

- Po co?

- Żeby rozegrać krótki mecz, jeden na jeden - powiedział. - Ostatnio w ogóle nie zaglądasz do sali sądowej...

Kilander był kiedyś obiecującym napastnikiem w drużynie Princeton. Nie należałam do osób, które naprawdę mogłyby stawić mu czoło na boisku do koszykówki, więc nie ulegało wątpliwości, że chodzi mu o coś innego. Krótki mecz jeden na jeden był tylko pretekstem.

- O której? - zapytałam.

Deszczowe chmury gromadziły się na niebie, kiedy zjawiłam się w gmachu sądu. Wewnątrz nie było już żywej duszy.

Przebrałam się, wyszłam na boisko i rozpoczęłam serię ćwiczeń rozciągających przy ogrodzeniu z grubych lin.

- Dobry wieczór - odezwał się Kilander.

Chociaż był mocno umięśniony, jego długie nogi wydawały się zabawnie białe w luźnych szortach. Przypomniało mi to czasy, kiedy w zawodowych zespołach koszykówki dominowali powoli poruszający się biali gracze, wiedziałam jednak, że Kilander jest naprawdę dobry i trudny do pokonania.

- Do ilu gramy? - zapytał. - Do dwudziestu?

- Niech będzie do dwudziestu.

Kilander posłał mi ostry rzut na klatkę piersiową.

- Zaraz zobaczymy, ile masz w sobie ikry... - zaśmiał się. Z całą pewnością nie miałam jej dosyć. Kilander raz po raz przedzierał się pod mój kosz.

- Grałaś w zespole uczelni, tak? - zapytał przy wyniku dziesięć do sześciu na jego korzyść. - Na pozycji obrońcy?

- Tak, najpierw bocznego, potem środkowego - wydyszałam.

- I tak też grasz, bardzo ostrożnie. Jak obrońca z uczelnianej drużyny...

- A ty grasz jak prawnik - odparowałam, dryblując w miejscu i nie spuszczać go z oka. - Gdybym się nie bała, że podasz mnie do sądu, sfaulowałabym cię już ze cztery razy...

- Nie podam cię do sądu - oświadczył. - Gwarantuję ci amnestię, słowo honoru...

Określiłam się wokół własnej osi i spróbowałam przemknąć obok niego do kosza, ale zablokował mnie i przejął piłkę. Chwilę później złapałam go za koszulkę, kiedy przymierzał się do rzutu, a zaraz potem wbiłam mu łokieć między żebra, gdy blokował mnie z boku. Roześmiał się tylko i zademonstrował swoją moralną wyższość, nie faulując mnie w odwecie i proponując, byśmy grali do trzydziestu punktów, chociaż wygrywał dwadzieścia do czternastu. Graliśmy więc dalej i ostatecznie pokonał mnie trzydzieści do dwudziestu dwóch.

- Dziękuję - powiedział dziwnie poważnym tonem.
- Za co? - wykrztusiłam, z trudem chwytnjąc oddech.
- Źe nie poddałaś się w beznadziejnej sytuacji.
- Proszę bardzo - odparłam, odczytując komplement w stwierdzeniu, które wiele osób wzięłoby za zniewagę. -I dziękuję, że nie traktowałeś mnie ulgowo...

Ostry powiew wiatru szarpnął linami wokół boiska, niosąc zapach deszczu. Kilander podniósł swoją butelkę z wodą i usiadł na niskiej ławce. Zajął miejsce obok niego.

- O czym myślisz, Chris? - zapytałam.

- Chcę ci coś wyjaśnić... Niedawno ci wypomniałem, iż nie powiedziałaś jasno, że nie zabiłaś Royce'a Stewarta, pamiętasz? Nie miałem racji. Przemyslałem sobie to wszystko i jestem pewny, że nie popełniłaś morderstwa.

- Dziękuję. - To dziwne, ale po jego słowach naprawdę zrobiło mi się lżej na sercu. - To ma dla mnie duże znaczenie...

Kiwnął głową.

- Słuchaj, niewiele wiem o prowadzonym przez Diaza dochodzeniu, zresztą nie muszę ci mówić, że i tak nie mógłbym ci nic zdradzić, mogę jednak powiedzieć, co to za człowiek... -Zamyślił się na chwilę. - Nie znam go zbyt dobrze, ale mamy wspólnego kolegę, który teraz jest sędzią w Rochester. Zaraz po przyjeździe do Minneapolis Gray zadzwonił do mnie ze zwykłymi w tej sytuacji pytaniami - gdzie można dobrze zjeść i takie tam...

Kilkoro rowerzystów przemknęło obok boiska, opony zasyczały na chodniku.

- To bardzo skupiony facet - podjął Kilander. - Skończył wydział prawa kryminalnego na Uniwersytecie Stanu Teksas. Zaczął siwieć już w szkole średniej, stąd przydomek Gray 1. Pracowałby teraz w biurze prokuratora w Dallas albo Houston, gdyby nie jego teść. Żona Diaza pochodzi z Blue Earth i nie

dawno przeprowadzili się tam, by była blisko ojca, który poważnie choruje na serce.

- Szkoda... - mruknąłam.

- Z wielu względów. Nie sposób przewidzieć, jak długo będą musieli tam zostać. Choroba serca to nie nowotwór złośliwy, więc niewykluczone, że Gray spędzi w Blue Earth sporo czasu, a nie jest to facet, któremu wystarczy prowadzenie spraw kradzieży sprzętu rolniczego... Myślę, że czuje się tam trochę jak skazaniec. - Kilander przerwał, szukając właściwych słów. - Dla niego oskarżenie gliny z dużego miasta byłoby miłym antraktem. Traktuje to jak wyzwanie, chociaż osobiście nic do ciebie nie ma.

- Glina z dużego miasta? - uśmiechnęłam się. - Tak mnie widzi?

Oczywiście Kilander dyskretnie pominął kluczowe w tym wypadku słowo - „skorumpowana”. Skorumpowana policjantka z dużego miasta - właśnie tak widział mnie Diaz. Nigdy nie angażowałam się w personalne i osobiste rozgrywki naszego wydziału, poza tym byłam najmłodsza i najmniej doświadczona, więc nie przychodziło mi do głowy, że inni mogą postrzegać mnie w zupełnie odmienny sposób.

- Niedawno pewien młody policjant o mały włos nie złożył mi gratulacji z powodu zabicia Stewarta - powiedziałam.

Kilander bez słowa skinął głową.

- Ile osób może wiedzieć o dochodzeniu Diaza? - spytałam.

- Nietrudno zgadnąć, skoro wie o nim nawet młody policjant...

O Boże, pomyślałam. Pierwsze drobne krople deszczu spadły na boisko.

- Wszyscy - wymamrotałam. Kilander przysunął się trochę bliżej.

- Młody człowiek, który powiedział ci coś takiego, jest zwykłym kretyńcem - zaczął. - Saro, inni dojdą do tego same-

go wniosku co ja, wierz mi. Instykt i twoje zachowanie podpowiedzą im, że jesteś niewinna, a kiedy dochodzenie Diaza utknie w martwym punkcie, wszystko wróci do normy i twoja kariera potoczy się dalej... Wzięłam głęboki oddech.

- Dziękuję - powiedziałam. - Naprawdę.

Kiedy późnym wieczorem dotarłam do domu Hennessych, nie spał już tylko Liam, który uczył się nad kubkiem bezkofei-nowej kawy. Podziękowałam mu, kiedy zaproponował mi ten sam napój, i chwilę rozmawialiśmy o Szekspirze, ze szczególnym uwzględnieniem *Otella*, o którym właśnie pisał esej.

Przewiesiłam sobie torbę przez ramię i ruszyłam w kierunku schodów. Byłam już w progu pokoju, ale jeszcze odwróciłam się, tknięta pewną myślą.

- Czy coś się dzisiaj działo? - zapytałam. - Coś dziwnego albo nieprzyjemnego?

Liam natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi.

- Pytasz, czy Aidan zrobił coś dziwnego? Nie.

- Bardzo długo nie było go w domu - powiedziałam. - Czy po tym wszystkim, co się stało, dobrze czujecie się w jego towarzystwie?

- Teraz jest zupełnie inaczej - rzekł powoli. - Czy dobrze się czujemy? Tak... - przerwał, jakby chciał się zastanowić nad dalszymi słowami. - To dom Aidana, jego miejsce na ziemi. Aidan jest naszym bratem.

Rozdział 24

Przez kilka następnych dni trzymałam się blisko dzieciaków i nocowałam u nich. Zaskoczyło mnie, że tak łatwo zaakceptowali moją obecność. Zdążyłam już zapomnieć, jak to jest

być nastolatką, jak łatwo każda dorosła osoba może stać się autorytetem dla bardzo młodego człowieka. Rodzice, nauczyciele, trenerzy - dzieci bez trudu powierzają im swoją prywatność. Nie ulegało wątpliwości, że dla Hennessych byłam teraz właśnie kimś takim.

Spokojnie zajmowali się swoimi sprawami i cała sytuacja wydawała im się chyba zupełnie naturalna. Donalowi pozostał jeszcze tydzień nauki, Colm, Liam i Marlinchen mieli jeszcze dodatkowy tydzień egzaminów. W ich ożywionych głosach przed wyjściem do szkoły słyszałam niepokój co do wyników testów i poruszenie perspektywą zbliżającej się wolności.

Najwięcej uwagi poświęcałam Aidanowi. Po tamtych pierwszych godzinach, kiedy zjawił się w domu wyczerpany i brudny, szybko przemienił się w kogoś całkowicie innego. Jego umyte włosy były równie jasne jak włosy Marlinchen i zawsze porządnie ściągnięte gumką na karku. Gdybym teraz zobaczyła Aidana pierwszy raz, przede wszystkim rzuciłyby mi się w oczy czyste, długie linie jego sylwetki, od jasnych włosów po długie nogi. Na szyi nosił gruby rzemyk, a na nim kilka sporych tygrysich oczek.

Najstarszy Hennessy nie robił nic, co mogłoby mnie zaniepokoić, ale w jego postępowaniu nie było też niczego szczególnie uspokajającego. Jak na nastolatka wydawał się zaskakująco milczący i cichy - poruszał się prawie bezszmerowo, rzadko słyszałam, jak wchodził czy wychodził z pokoju. Czasami palił za wolno stojącym garażem, kilka razy widziałam go też z papierosem pod magnolią. Raz czy dwa pochwyciłam jego uważne spojrzenie, nie miałam jednak pojęcia, co o mnie myśli. Gdy zapytałam go, o co chodzi, tylko potrząsnął głową.

W pracy także nie działo się nic specjalnie ciekawego. Bandyci w pończochach na głowach dokonali czwartego napadu, tym razem na sklep monopolowy w St. Paul. Odebrałam telefon od detektywa z St. Paul i przefaksowałam mu swoje notatki dotyczące poprzednich napadów.

W sobotę od rana panował upał. Spałam długo i obudziło mnie dopiero pukanie do drzwi. Marlinchen wsunęła głowę do pokoju.

- Jesteś głodna? - spytała. - Robimy gofry na dole...

- Chętnie coś zjem - powiedziałam. Skinęła głową.

- Chciałam cię o coś poprosić, ale to później... Przewróciłam się na bok.

- Chcesz poprosić mnie później czy ta przysługa jest na później? - zapytałam.

- Tata czuje się coraz lepiej - odparła, ignorując mój żart. -I chciałam zabrać wszystkich na wizytę do szpitala...

- Wszystkich? Nie zmieścicie się do mojego samochodu.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Ale jest jeszcze samochód taty.

No tak, pikap w garażu... Potrząsnęłam głową.

- Nie, nie powinnam jeździć wozem waszego ojca.

- Samochód jest w porządku - zapewniła mnie pośpiesznie. - Ubezpieczenie jest opłacone do końca sierpnia...

- Cóż, skoro jest ubezpieczony... - wymamrotałam. Marlinchen nie usłyszała nuty sarkazmu w moim głosie

i z uśmiechem usiadła w nogach łóżka.

- Prawdopodobnie i tak dobrze by było trochę nim pojeździć, inaczej niebawem nie da się włączyć silnika - dorzuciłam, tym razem zupełnie szczerze.

Pomyślałam o furgonetce Cicera, którą zajmowali się jego młodzi sąsiedzi, i ta myśl poprowadziła mnie ku następnej.

- Co z tym bmw, które stoi w drugim garażu? - zapytałam.

- Och, tamten samochód... Rodzice kupili go bardzo dawno temu. Zepsuł się i wtedy tata wstawił go do garażu. Mówił, że kiedyś go naprawi, ale nigdy się do tego nie zabrał. Wydaje mi się, że ma dla niego wartość sentymentalną, bo za żadne skarby świata nie chce go sprzedać.

- Zamierzał go naprawić? - zdziwiłam się. - Myślałam, że wasz ojciec raczej słabo radzi sobie z tego rodzaju pracami...

Marlinchen zrobiła zabawną minę.

- Jest w tym po prostu beznadziejny - sprostowała. - Ale wiesz, jak to jest z facetami i ich samochodami. To kwestia miłości... - wyciągnęła do mnie rękę. - No, wstawaj, leniuchu, bo ci faceci na dole spalą wszystkie gofry!

Pozwoliłam jej ściągnąć się z łóżka.

- Powiem ci coś... — ziewnęłam. - Pojadę z wami do szpitala, ale ty poprowadzisz samochód. Musisz więcej trenować.

Spojrzała na mnie z typowym dla niej wahaniem.

- Sama nie wiem... Nigdy nie prowadziłam tego pikapu...

- Wcześniej nigdy nie prowadziłaś mojej nowej - zauważyłam. - Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

- Zrobił ogromne postępy, jeśli chodzi o fizykoterapię, lecz z mową jest trochę gorzej.

Freddy, spokojny i pogodny pielęgniarz, którego zapamiętałam z pierwszej wizyty na oddziale dla rekonwalescentów, prowadził nas do pokoju gościnnego.

- Świetnie słyszy, więc nie mówcie zbyt głośno. Najlepiej formułujcie pełne zdania i nie zadawajcie mu pytań. Nie trzeba budzić w nim uczucia, że musi odpowiedzieć, bo to może go zdenerwować...

W pokoju gościnnym było mnóstwo roślin doniczkowych i duże okna. Pod jednym z nich, w wyściełanym fotelu na biegunach siedział Hugh Hennessy. O parapet okna oparta była laska.

Chyba tylko Marlinchen czuła się naprawdę swobodnie w tym otoczeniu. Weszła pierwsza, my za nią. Freddy przysunął krzesło do fotela Hugh, lecz Marlinchen stanęła po drugiej stronie. Colm, Liam i Donal usiedli na kanapie naprzeciwko okna, Aidan i ja stanęliśmy za ich plecami.

Parę chwil wcześniej, na szpitalnym parkingu, bliźnięta odbyły szybką, cichą rozmowę.

- Możesz zostać tutaj - powiedziała Marlinchen do Aidana. Trzymała w ręku malutką tuję w doniczce, przyciętą w kształt serca, którą kupiliśmy w kwiaciarni w drodze do szpitala. - Wszyscy rozumieją, nie martw się...

Mnie też przyszło do głowy, że Aidan będzie chyba wolał zostać w samochodzie. Wydało mi się dziwne, że syn, który zamiast „ojciec” mówi „Hugh”, chce złożyć tę wizytę razem z rodzeństwem.

- Nie, wszystko w porządku - odparł Aidan. - Pójdę z wami.

- Na pewno? - Marlinchen jak zwykle zależało na uniknięciu nieprzyjemnej sytuacji.

- Nie boję się tego spotkania, Linch. - Twarda nuta w jego głosie tłumaczyła jego determinację, aby nie uciekać przed człowiekiem, który wiele lat temu skazał go na wygnanie.

- Nie o to mi chodziło... - szepnęła, spuszczać wzrok. Jej kolczyk zaśnił w słońcu.

Więcej już o tym nie rozmawiali.

- Cześć, tato! - powiedziała teraz pogodnie. - Jesteśmy tu wszyscy, jak widzisz. To nie wizyta, to prawdziwa inwazja...

Siedzący w fotelu Hugh rzeczywiście wyglądał znacznie lepiej niż ostatnim razem. Jego twarz nie była już tak chorobliwie blada, plecy wydawały się niemal proste. Marlinchen postawiła tuję na stoliku obok i nachyliła się ku ojcu.

- Dostanę całusa? - zapytała.

Hugh wychylił się w jej stronę, przytrzymując się poręczy fotela, i dotknął wargami jej policzka. Lekarze mieli rację - faktycznie rozumiał, co się do niego mówi.

Nie mógł się jednak odezwać, może nie miał na to ochoty. Marlinchen prowadziła rozmowę, a Colm i Liam co jakiś czas dorzucali drobne uwagi. Hugh wyraźnie słuchał i czasami z jego ust wydobywał się niski pomruk lub fragmenty zdań, które

pozornie wydawały się bez sensu. Nie ulegało też wątpliwości, że jest w pełni świadomy swojej ułomności, ponieważ w jego jasnoniebieskich oczach pojawiał się całkowicie czytelny wyraz zażenowania.

Po chwili zauważyłam coś jeszcze - cała uwaga Hugh była skupiona na Marlinchen i trzech siedzących na kanapie chłopcach. Freddy również to dostrzegł, bo pochylił się do ucha chorego.

- Pamięta pan, o czym dziś rozmawialiśmy? - odezwał się. - Dobrze by było, gdyby zwracał pan głowę w jedną i drugą stronę, obejmując spojrzeniem cały pokój...

Zachęcał pacjenta, aby walczył ze skłonnością do ignorowania stymulacji płynącej ze strony dotkniętej udarem, co często zdradzają rekonwalescenci. Hugh usłuchał rady. Odwrócił głowę, potoczył wzrokiem po pokoju i znieruchomiał. Dopiero teraz zobaczył Aidana. Pod jego lewym okiem spazmatycznie zadrgał mięsień. Choroba nie upośledziła ani wzroku, ani pamięci.

Uśmiech Marlinchen stał się nieco sztuczny. Zdawała sobie sprawę, co się dzieje, ale ani słowem nie skomentowała obecności Aidana.

- Odkładam dla ciebie wszystkie recenzje z „The New York Review of Books” - powiedziała. - Nie wyrzuciłam ani jednej. Chętnie przeczytam ci te najlepsze.

Uwaga Hugh nie uległa rozproszeniu. Mięśnie jego twarzy pracowały, w kąciку ust ukazał się bąbelek śliny. Dźwięki, które usiłował sformułować, w końcu przybrały kształt.

- Co jest... - zaczął. - Co jest... Co ona... Co ona tu... Marlinchen rzuciła mi nerwowe spojrzenie.

- Och, tato, to jest Sara Pribek, nasza przyjaciółka...

Ale Hugh wcale nie patrzył na mnie. Wpatrywał się w Aidana. Nagle przypomniały mi się słowa Marlinchen, że Hugh myli zaimki. Nie miałam cienia wątpliwości, że nie chciał powiedzieć „ona”, tylko „on”. Jego zmrużone błękitne oczy utkwione były w twarzy najstarszego syna.

Aidan przestąpił z nogi na nogę.

- Chyba trochę się przejdę... - powiedział. Marlinchen, która po prostu musiała zauważyć, że dzieje się coś niezwykłego, skrzywiła się boleśnie.

- No, nie wiem... - szepnęła.

Colm ze starannie manifestowanym skupieniem oglądał mały odcisk na swojej dłoni, niewątpliwie powstały w czasie ćwiczeń z ciężarkami. Liam zerkał to na ojca, to na siostrę, ale milczał.

W końcu postanowiłam uwolnić Marlinchen od konieczności podejmowania decyzji.

- Tak, to dobry pomysł - oświadczyłam.

Nie chciałam, by Hugh dostał kolejnego wylewu na widok wygnanego z domu syna.

Aidan szybko wyszedł na korytarz. Marlinchen podjęła jednostronną rozmowę, Liam i Colm jej pomagali. Z każdą chwilą coraz bardziej czułam się tu intruzem i po paru minutach także wyszłam z pokoju.

Było koło pierwszej, z nieba lał się żar czerwcowego południa, ale miałam wielką ochotę znaleźć się na zewnątrz. Drzwi wyjściowe znajdowały się w korytarzu tuż obok pokoju gościnnego. Czułam, że muszę otrząsnąć się z atmosfery panującej w ośrodku dla rekonwalescentów, aseptycznej i trochę sztucznie pogodnej, ożywionej zielenią roślin, a jednak dziwnie martwej.

Kiedy wyszłam na dwór, zobaczyłam, że Aidan dokonał podobnego wyboru. Znajdował się dość daleko ode mnie, szedł po trawie w kierunku plamy cienia pod wierzbami, rosnącymi nad płytkim stawem. Stado kanadyjskich gęsi, które kąpały się w wodzie, poderwało się w powietrze na widok zbliżającego się człowieka. Odleciały wszystkie poza jedną, która tkwiła tuż przy brzegu i niepewnie poruszała skrzydłami.

Aidan nie zauważył, że wyszłam zaraz za nim. Jego uwaga skoncentrowana była na ptaku. Kiedy gęś wyszła na trawę, do-

strzegłam błysk metalu w jej dziobie i od razu zrozumiałam, co się stało. Próbowwała złapać rybę w jednym z pobliskich jezior i wtedy w jej dziobie uwiązał haczyk od wędki. Przyleciała aż tutaj, do bezpiecznego portu, i prawdopodobnie usiłowała pozbyć się haczyka, co tylko pogorszyło sprawę.

Aidan błyskawicznym ruchem chwycił gęś za szyję, zupełnie zaskakując mnie swoim refleksem. Ptak zagegał chrapliwie, mocno bijąc rozłożonymi skrzydłami. Czubek jednego zadrapał policzek i czoło Aidana, który wolną ręką starał się wydobyć haczyk. Odchylił głowę do tyłu, aby znalazła się poza zasięgiem skrzydeł, i przemawiał cicho do gęsi. Po chwili cofnął dłoń, w której połyskiwał mały kawałek metalu.

Puścił ptaka, który otrzepał się z oburzeniem i wzbił w powietrze. Z początku leciał nisko, tuż nad trawą, jak pilot, który sprawdza, czy wszystkie systemy nawigacyjne działają prawidłowo, potem uniósł się wyżej i szybko zniknął mi z oczu. Aidan podszedł na brzeg stawu, wziął zamach i rzucił haczyk daleko przed siebie. Woda na środku plusnęła i pochłonęła metal.

Otoczona chłodno i analitycznie myślącymi ludźmi, zawsze działałam w oparciu o instynkt. W tym momencie pomyślałam, że wiem wszystko, co powinnam wiedzieć o Aidanie Hennessym.

Zrobił taką drobną, mało istotną rzecz, usuwając haczyk z dzioba gęsi, ale ta drobna rzecz naprawdę wiele o nim mówiła. Byłam pewna, że nie wiedział, iż ktoś go obserwuje. Zachował się zgodnie ze swoją naturą, bez chwili namysłu uwolnił ptaka od cierpienia. Ten obraz zupełnie nie pasował do kogoś, kto rozszarpał kota Marlinchen.

Inni próbowali mnie przekonać, że taki właśnie jest Aidan. W najbardziej zdecydowany sposób broniła go Marlinchen, lecz Liam także powiedział, że Aidan jest ich bratem. Pani Hansen, nauczycielka ze szkoły podstawowej, zapamiętała Aidana jako chłopca, który nie unikał bijatyk, ale nigdy nie prze-

śladował słabszych. A ja? Cóż, po prostu nie dotarła do mnie prawda brzmiąca w ich słowach. Dochodzenie prowadzone przez Graya Diaza, podejrzenia Prewitta, wszystko to sprawiło, że żyłam w ustawicznym napięciu, a wywołana nim paranoja rozszerzyła się na całe moje życie, fałszując sposób postrzegania Aidana i podpowiadając mi, że w jego niespodziewanym powrocie kryje się coś złego.

Kiedy usiadł w cieniu wierzby, podeszłam do niego.

- Mogę... - usiadłam na trawie, opierając ręce na kolanach.

- Jasne - odparł.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęłam. - Wydaje mi się, że początek naszej znajomości nie był najlepszy...

Daj spokój, Saro, stać cię na coś więcej, skarciłam się ostro.

- Zbyt ostro potraktowałam cię tamtej nocy, gdy wróciłeś do domu.

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

- Podejrzliwość to zaleta policjantów - ciągnęłam. - Kiedy nie wiem, co myśleć, zawsze się do niej odwołuję...

- W porządku - powiedział, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów.

Pomyślałam, że podobnie jak większość palaczy podpierał się nałogiem w niewygodnych chwilach, nie z potrzeby nikotyny, lecz raczej z chęci zajęcia czymś dłoni.

- Rozumiem, jak to musiało wyglądać w pani oczach -dodał.

Skinęłam głową.

- Ja także powinienem chyba coś powiedzieć... - przerwał na chwilę i zamyślił się. - Marlinchen mówi, że opiekuje się pani nimi od czasu, gdy Hugh trafił do szpitala...

Wzruszyłam ramionami.

- Taką mam pracę. - Nie byłam pewna, czy wziął moje słowa za dobrą monetę, ale wydawało mi się, że zabrzmiały nieźle.

- Tak czy inaczej, cieszę się, że nie byli sami. - Wyrwał z ziemi małą kępę trawy i wsunął papierosa z powrotem do pudełka.

- Starasz się rzucić? - zapytałam.

- Marlinchen nie daje mi spokoju...

Jakżeby inaczej, pomyślałam. Marlinchen z całą pewnością potrafiła dać mu do zrozumienia, co sądzi o paleniu. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwałam się. - To jeszcze jeden gliniarski nawyk...

- Proszę bardzo.

- Wiem, że jesteś nienotowany. Młodzi ludzie, którzy uciekają z domu, najczęściej popadają w konflikt z prawem, bo trudno im przetrwać, nie popełniając przestępstwa. Nie chcę wtrącać się w twoje sprawy, ale czy rzeczywiście zawsze byłeś taki praworządny, czy też po prostu miałeś szczęście?

- Chyba można powiedzieć, że nie złamałem prawa - westchnął. - Zawsze można znaleźć pracę, jeżeli się wie, gdzie jej szukać. Kiedy nic nie miałem, przeszukiwałem pojemniki na śmieci za dużymi sklepami, wymyślałem historyjki o tym, że skradziono mi bilet na autobus i tak dalej.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby poprosić ojca o pieniądze?

Oczy Aidana na moment spoczęły na budynku, w którym za wielkimi, błyszczącymi oknami znajdował się Hugh.

- Nic od niego nie chcę.

Nie powiedział nic więcej, bo najwyraźniej nie był pewny, ile o nim wiem.

- W porządku... - odparłam ostrożnie, świadoma, że wkraczam na zaminowany teren. - Marlinchen opowiadała mi o Hugh i o tym, co działo się między wami, zanim odesłał cię 7. domu...

- To było dawno temu. - Przeniósł spojrzenie na lśniąca w słońcu powierzchnię stawu. - Staram się o tym nie myśleć.

Znowu umilkliśmy. Postanowiłam nie nakłaniać go do zwierzeń, ale on zaskoczył mnie, wracając do bolesnego tematu.

- Tamtej nocy chciała pani wiedzieć, dlaczego zdecydowałem się wrócić do domu... - Było to trochę stwierdzenie, a trochę pytanie.

- Tak - odparłam, ni to odpowiadając, ni to zachęcając do wyjaśnienia.

- Nie było żadnego ważnego powodu, dlaczego opuściłem farmę. Pete zawsze zachowywał się w porządku, ale nie jest moim krewnym i nigdy nie przywiązaliśmy się do siebie. W końcu doszedłem do wniosku, że farma to jego problem, nie mój, więc wyjechałem...

- Ale nie chciałeś wracać do domu z powodu Hugh.

- Tak. Pomyślałem, że pojedę do Kalifornii i zacznę od początku. I tak zrobiłem. Zdobyłem przyjaciół, ludzi, którzy byli gotowi mi pomóc i którym ja byłem gotowy pomóc. Poznałem kilka dziewczyn, nieźle się bawiłem. Ale nie zostałem tam, wróciłem do domu, bo... - zawahał się. - Trudno to wytłumaczyć...

- Nie musisz mi nic tłumaczyć.

- Pewnego wieczoru coś dziwnego przydarzyło mi się na plaży. - Biały puszek przekwitłego mleczu wylądował na jego ramieniu i Aidan lekkim ruchem posłał go z powrotem w powietrze. - Rzeczywiście nie złamałem prawa, ale nie zawsze stroniłem od narkotyków. - Spojrzał na mnie, upewniając się, czy może spokojnie mówić dalej. - Więc pewnego wieczoru byłem na haju i siedziałem na plaży, paląc papierosa, ponieważ wiedziałem, że i tak nie zasnę. Nie mam pojęcia dlaczego, ale nagle zacząłem myśleć o Minnesocie i uświadomiłem sobie, że już nawet nie pamiętam, jak wygląda Donal... - Wzruszył ramionami. - Poruszyło mnie to, naprawdę. Uświadomiłem sobie, że próbowałem sobie wmówić, iż ludzie, których poznałem w Kalifornii, są moimi nowymi braćmi i siostrami. Co za bzdury. Nie mogli być moim rodzeństwem, mogli być przyjaciółmi, tak, ale nie najbliższą rodziną. Są ludzie, których nic da się zastąpić, bo po prostu są niezastąpieni...

W gruncie rzeczy była to historia niezwyklej, wręcz niespotykanej wielkoduszności, lecz mój wewnętrzny radar, który zwykle wychwytywał fałszywe nuty, tym razem milczał. Czułam, że Aidan jest ze mną całkowicie szczery.

Nagle jego spojrzenie przeniosło się na coś za moimi plecami. Odwróciłam się. Marlinchen i jej bracia szli w naszą stronę. Najwyraźniej wizyta dobiegła końca.

- Tata robi duże postępy. - Marlinchen uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Powiedział moje imię, co prawda w skróconej wersji, ale jednak...

Aidan milczał.

- To doskonale - odezwałam się, o sekundę lub dwie za późno.

Rozdział 25

- Rozmawiałam z Grayem Diazem - powiedziała Genevieve.

Była niedziela. Postanowiłam zrobić sobie wolne i przyjechałam do domu, by wyjąć pocztę ze skrzynki i odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki. W domu panowała martwa cisza, jaką zwykle wyczuwa się po dłuższej nieobecności. Gąbka do zmywania naczyń wyschła na skamielinę w zlewozmywaku, papiery leżały na stole dokładnie tam, gdzie je zostawiłam, niczym w muzeum. Czekająca na mnie także torba pełna pomidorów, prezent, który pozostawiła pod kuchennymi drzwiami sąsiadka, pani Muzio, oraz wiadomość na sekretarce. Wiadomość od Genevieve.

- Cóż, przewidywałyśmy, że będzie chciał z tobą porozmawiać - odparłam, przytrzymując słuchawkę telefonu ramie-

niem. - Jesteś moją byłą partnerką i osobą, do której pojechałam po domniemanym przestępstwie...

- Nie o to chodzi - westchnęła Gen. - Saro, ten facet naprawdę myśli, że to zrobiłaś.

- O tym też wiedziałyśmy już wcześniej, prawda?

- Ale teraz wygląda to inaczej. Byłam policjantką przez prawie dwadzieścia lat i dzień w dzień słuchałam, jak inni gliniarze opowiadają o prowadzonych dochodzeniach, o podejrzanych i przecuciach. Wiem, kiedy po prostu wypróbują swoje teorie, a kiedy są przekonani, że mają rację. Ten gość święcie wierzy, że zabiłaś Stewarta.

Wcześniej nie mówiłam jej nic o badaniu mojego wozu w laboratorium kryminalistyki, więc tym bardziej nie mogłam powiedzieć teraz, bo zamartwiłaby się na śmierć.

- Przecież i tak nie możesz nic na to poradzić - rzuciłam uspokajająco.

- Mogłabym wrócić.

- O nie! - zaprotestowałam. Doskonale wiedziałam, że jeśli wróci, przyzna się do winy, a tego nie chciałam. - Zastanów się nad tym, co mówisz - nie mogłabyś już się wycofać...

W słuchawce panowała kompletna cisza, nie słyszałam nawet oddechu. Nie miałam wątpliwości, że jest świadoma, co jej grozi. Gdyby się przyznała, dostałaby dożywocie. Nie zamierzałam ustępować.

- Mamy już za sobą długą drogę, Gen. Za długą, żeby teraz wpaść w panikę i wszystko zniszczyć...

Chudy syjamski kot sąsiadki zajrzał do środka przez uchylone tylne drzwi, szukając czegoś do jedzenia. Milczałam, pozwalając, aby moje słowa zapuściły korzonki w wyobraźni Genevieve. Byłam pewna, że dostrzeże logikę tego planu. Zawsze postępowała zgodnie z logiką, gdy ja kierowałam się intuicją.

- Przyjedziesz do mnie, kiedy to wszystko się skończy, prawda? - odezwała się w końcu.

- Jasne! - odparłam z ulgą.

Gdy skończyłyśmy rozmowę, podniosłam się z podłogi, poszłam do kuchni i otworzyłam puszkę tuńczyka, wyrzucając zawartość na stary, popękany talerzyk.

Badanie samochodu było prawdopodobnie najgorszą częścią dochodzenia prowadzonego przez Graya Diaza. Co jeszcze mógł zrobić? Przeszukać mój dom? Diaz był byстрыm facetem i na pewno się zorientował, że nie należę do osób, które piszą dziennik, zresztą nawet gdybym miała takie upodobania, raczej nie zapisywałabym na papierze rzeczy w rodzaju: „Drogi Dzienniczku, strasznie się cieszę, że udało mi się bezkarnie zamordować Royce'a Stewarta i jeszcze na dodatek podpalić jego dom!”. Nie, Gray Diaz nie był tak naiwny.

Otworzyłam wychodzące na tył domu drzwi, mocno pchnęłam ekran z metalowej siatki, którego zawiasy z każdym dniem coraz donośniej domagały się naoliwienia, i postawiłam talerzyk z tuńczykiem na najwyższym schodku. Kot przycupnął w trawie i obserwował mnie takim wzrokiem, jakbym próbowała go otruć, ale wiedziałam, że gdy zamknę drzwi, podkradnie się i pośpiesznie zje rybę.

Zeszłam do piwnicy i wyjęłam z pudełka na narzędzia mały rewolwer kalibru 25, który dała mi siostra Genevieve. Nigdy go nie używałam i o ile było mi wiadomo, poprzednia właścicielka także się nim nie posłużyła ani razu, ale nie chciałam dłużej przechowywać go w domu. Pomysł, że Gray Diaz postara się o nakaz rewizji, wydawał mi się zupełnie absurdalny i nieprawdopodobny, lecz już wcześniej zdecydowałam, że czas pozbyć się tej broni. Rzeka uwolni mnie od niej raz na zawsze. Jeden krótki spacer na most i rewolwer spocznie na dnie. Prąd wody będzie przesuwiał go to w tę, to w drugą stronę, aż w końcu utknie pod jakąś naturalną przeszkodą.

Kiedy wróciłam do kuchni, zobaczyłam, jak syjamski kot pochłaniał tuńczyka w typowy dla tych zwierząt sposób -żarłoczny i jednocześnie elegancki. Dopiero wtedy uświado-

miłam sobie, że znam kogoś, komu broń przyda się znacznie bardziej niż falom Missisipi.

Pora była już późna, ale przyjemny zapach jedzenia wciąż jeszcze wisiał w powietrzu na korytarzu piętra Cicera. Drzwi na samym końcu były otwarte - pomachałam do chłopca, który w nich stał, a on w odpowiedzi lekko skinął ogoloną głową.

Poprawiłam trzymaną w ramionach brązową torbę i zapukałam do drzwi Cicera. Cisza. Może poszedł już spać? Nie, na to było jeszcze za wcześnie. Zapukałam jeszcze raz.

- Shorty cię szuka - poinformował kogoś w głębi mieszkania stojący w drzwiach chłopak.

Odwróciłam się, zobaczyłam, jak odsuwa się na bok, i usłyszałam głos Cicera, żegnającego się z ludźmi w środku.

- Nikt jeszcze nigdy nie nazywał mnie Shorty - powiedziałam, gdy Cicero znalazł się obok mnie i pchnął nieza-mknięte na klucz drzwi.

- Shorty, Krótka, czyli dziewczyna - wyjaśnił.

- Wiem, co to znaczy... - mruknęłam.

Cicero nie mógł wiedzieć, dlaczego po plecach przebiegł mi zimny dreszcz, kiedy usłyszałam ksywkę Royce'a Stewarta.

- Przyniosłam ci coś - podjęłam po chwili. - Produkt nieformalnej gospodarki, bo chyba tak byś to nazwał. Lubisz pomidory, prawda?

- Uwielbiam! - odparł, lekko przekrzywiając głowę i zaglądając do torby. - W dodatku te mają jeszcze cudowny zapach liści...

Ja także bardzo lubiłam ostry, niepowtarzalny zapach liści pomidorów, tak inny od słodkiego aromatu owoców.

- Właśnie - powiedziałam.

Cicero wjechał do kuchni, żeby położyć torbę na blacie, a ja w tym czasie wyjęłam rewolwer.

- Tu mam jeszcze coś...

Tandetnie srebrzysta pokrywa załśniła w świetle. Wcześ-

niej wyczyściłam, naoliwiłam i sprawdziłam rewolwer, by mieć pewność, że jest w dobrym stanie.

- Prawdziwy? - Cicero odwrócił się ku mnie.

- Prawdziwy - odparłam. - Dostałam go od... Od kogoś z rodziny męża.

Nie było to wielkie kłamstwo, ostatecznie Genevieve naprawdę była dla mnie kimś bardzo bliskim.

- Czy wszyscy krewni twojego męża należą do świata przestępczego?
- zapytał, tylko półzartem.

Nie odpowiedziałam mu wprost.

- Ten rewolwer nie jest zarejestrowany i jeśli nawet ktoś popełnił za jego pomocą przestępstwo, to było to dawno temu i na pewno nie w tym stanie. Zamierałam się go pozbyć, ale przyszło mi do głowy, że tobie bardzo się przyda...

- Uważasz, że mi się przyda?

Nigdy dotąd nie widziałam wyrazu zdumienia na jego twarzy. Cóż, zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz...

- A niby dlaczego?

- Prowadzisz interes w oparciu o płatności gotówkowe - wyjaśniłam.
-1 to w budynku komunalnym.

- Dziękuję za troskę, ale nie chcę go - pokręcił głową. - Nie lubię broni.

- Nieważne, czy lubisz, w takim miejscu...

- Może nie zauważyłaś, ale wiele osób, które mieszkają w budynkach komunalnych, to ludzie pracujący albo emeryci - przerwał mi. - Większość z nich regularnie chodzi do kościoła i...

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Położyłam rewolwer na stole, w szarej strefie psychologicznej, jaka zrodziła się nagle między nami. - W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, gdzie mieszkasz. Masz w domu gotówkę i ludzie o tym wiedzą. To poważne ryzyko w każdej dzielnicy.

- Nie - zaprotestował Cicero. - Tutaj ludzie troszczą się o siebie nawzajem i szanują to, co robię. Pomogłem wielu

z nich... - zorientował się, że chce coś powiedzieć, i podniósł dłoń. -
Wiem, co masz na myśli, naprawdę, ale nie chcę się zbroić przeciwko
moim pacjentom.

- Otwierasz drzwi obcym i nie zadajesz żadnych pytań...

- Otwieram drzwi potrzebującym, starym i ubogim.

- Czy możesz uczciwie powiedzieć, że nigdy nie udzieliłeś pomocy
człowiekowi, który został ranny w czasie popełniania przestępstwa albo
nie mógł pojechać na pogotowie, bo był poszukiwany przez policję?

- Nie zadaję tego rodzaju pytań, faktycznie... - zmarszczył brwi.

- Właśnie.

- Nie martwi mnie to. Zawsze trafnie oceniam ludzi.

- Naprawdę? Więc od początku wiedziałeś, że jestem policjantką?

Wydawało mi się, że moje słowa na długo zawisły w powietrzu
między nami.

- Mówisz poważnie, prawda? - odezwał się. Kiwnęłam głową.

Uwierzył mi. Widziałam, jak zaczyna układać w całość poszczególne
elementy.

- Zbierałaś materiał do uzasadnienia aresztowania, kiedy przyjechałaś
tu pierwszy raz? - zapytał powoli.

- Tak.

- Przeziębienie było pretekstem...

- Tak.

- Rozumiem. Wyjdź stąd.

- Słucham?!

Wyraz jego twarzy w ogóle się nie zmienił, nawet odrobinę.

- Okłamałaś mnie. Przyszłaś do mnie, prosząc o pomoc, przyjąłem cię
w dobrej wierze, a ty mnie okłamałaś.

Miałam już na czubku języka wymówkę, że przecież nigdy nie zapytał
wprost, w jaki sposób zarabiam na życie, ale natychmiast się
zorientowałam, że brzmi ona wyjątkowo słabo.

- Okłamałam też mojego zwierzchnika - powiedziałam. - Osłoniłam cię w ten sposób przed aresztowaniem i karą.

- Dlaczego? Bo litujesz się nade mną?

- Nie, oczywiście, że nie dlatego - zapewniłam go pośpiesznie. - Po prostu doszłam do wniosku, że nie zasługujesz na więzienie.

- Może pewne subtelne niuanse umknęły twojej uwadze, ale ja od dawna jestem w więzieniu. Cóż, warto pamiętać, że dostrzeganie subtelnych niuansów nie jest twoją mocną stroną...

Ta zmiana tonu jego głosu była dla mnie czymś zupełnie nowym.

- Uważasz, że nie okłamałaś mnie, bo nie powiedziałaś, że nie jesteś policjantką - ciągnął. - I wmawiasz sobie, że nie masz romansu, ponieważ już ze mną nie sypiasz...

Czułam się tak, jakbym nagle przełknęła za duży łyk wody z lodem.

- Cicero... - zaczęłam, chociaż widziałam, że to beznadziejne. - Może przynajmniej zatrzymasz rewolwer?

- Nie.

Wzięłam broń ze stołu. Gorąca fala rozpełzła się po całym moim ciele, po twarzy i karku. Cicero nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Czy to z powodu tego, co się stało z twoim bratem? - zapytałam już w drzwiach.

- Do widzenia, Saro - powiedział chłodno.

Rozdział 26

Kiedy późnym wieczorem przyjechałam do domu Hennes-sych, Marlinchen zaskoczyła mnie, proponując kieliszek wina pod magnolią. Zamierzałam jej powiedzieć, że nie powinna

przyzwyczajając się do picia alkoholu pod koniec dnia, ale chyba się zorientowała, że zaraz usłyszy krótki wykład.

- Ty napijesz się wina, a ja piwa imbirowego albo czegoś w tym rodzaju - wyjaśniła.

Gdy wyszłyśmy na taras, o mały włos nie zderzyłam się z Aidanem, który stał przy barierce, prawie niewidoczny w ciemności.

- Co tu robisz? - zapytała Marlinchen.

- Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem - odparł.

Marlinchen bez słowa przyjęła to wyjaśnienie, lecz ja dostrzegłam wąski zarys zapalniczki za jego paskiem i odgadłam, że miał ochotę zapalić. Odezwałam się szybko, żeby odwrócić uwagę Marlinchen od brata.

- Wiecie, co zdziwiło mnie wczoraj? - Spojrzałam na linię dachu. - Wygląd waszego domu...

- O Boże... - Marlinchen niespokojnie podążyła za moim spojrzeniem.

- Czy wymaga jakiegoś poważnego remontu?

- Nie, nie! Pomyślałam tylko, że ten, kto naprawiał go po uderzeniu pioruna, odwalił kawał dobrej roboty. Widziałam wasz dach z różnych stron i nie potrafię nawet znaleźć miejsca, w którym został uszkodzony. Gdzie to właściwie było?

- Piorun uderzył w dom? - odezwał się Aidan. - Kiedy?

- Musisz to pamiętać! - zdziwiła się Marlinchen. - Dawno temu, kiedy byliśmy całkiem mali. Ja świetnie pamiętam ten piekielny hałas...

Jednak wyraz twarzy Aidana nie zmienił się nawet odrobinę.

- Dawno temu? - powtórzył. - Jesteś pewna, że byłem wtedy w domu?

- Ależ tak! To było jeszcze przed przyjściem na świat Colma, tamtej nocy, kiedy mama tak strasznie się zdenerwowała. Płakała, pamiętasz?

Było jasne, że Aidan nie pamięta, więc pokręciła głową.

- Tak to jest z wami, chłopakami! - westchnęła. - Przespalibyście nawet trzęsienie ziemi!

Z domu dobiegł nagle głos Colma, który najwyraźniej potrzebował pomocy siostry. Marlinchen zrobiła śmieszoną minę, jakby chciała przeprosić za brata.

- O co chodzi? - zapytała głośno, nachylając się w stronę okna i niewidocznego Colma.

- Nie możemy znaleźć formularza Donała!

Nie miałam pojęcia, czy Donal składa wnioski o przyjęcie do klubu sportowego, czy na letni obóz, ale Marlinchen wiedziała, o co chodzi.

- Obowiązek mnie wzywa - wyjaśniła. - Zaraz wracam! Zatrzymałam ją.

- Zaczekaj chwilę... Nie powiedziałaś mi w końcu, w którą część domu uderzył piorun...

Zamyśliła się, znieruchomiła z ręką opartą na klamce.

- Przykro mi, ale było to tak dawno, że nie mogę sobie przypomnieć - odparła w końcu.

Kiedy weszła do domu, odwróciłam się do Aidana.

- Gdyby piorun rzeczywiście uderzył w dom, na pewno byś się obudził...

- Też mi się tak wydaje - mruknął. - Kiedyś w Georgii piorun rozłupał drzewo znajdujące się ponad sto metrów od miejsca, gdzie akurat pracowałem... Huk był tak donośny, że mało nie umarłem ze strachu, a przecież sto metrów to spora odległość...

- Może tamtej nocy jednak nie było cię w domu - zasugerowałam. - Czy to mogło się wydarzyć w czasie twojego pobytu w szpitalu?

- W czasie mojego pobytu w szpitalu? - Aidan uniósł brwi.

- Kiedy straciłeś palec - wyjaśniłam. - Zgodnie z tym, co mówi Marlinchen, było to mniej więcej w tym okresie...

Aidan sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonego.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek był w szpitalu - powiedział. - Przecież straciłem tylko palec, prawda? To okrop-

nie nieprzyjemne, ale lekarze niewiele mogą na to poradzić... Powstrzymać krwawienie, uratować palec, jeśli to możliwe, a jeśli nie, amputować. Człowiek, który stracił palec, nie wymaga leczenia na oddziale intensywnej terapii...

- To fakt - przyznałam.

Co w takim razie mogło być powodem długotrwałej nieobecności Aidana w domu? Marlinchen mówiła mi przecież, że spędził parę tygodni w szpitalu...

Odwróciłam głowę, słysząc szybkie kroki dziewczyny.

- Gotowa? - zwróciła się do mnie z uśmiechem. Usiadłyśmy pod magnolią, twarzą do lśniącego w blasku

księżycy jeziora. Otworzyłam butelkę wina i nalałam odrobinę do plastikowego kubka. Pierwszy łyk pozostawił mocno rozgrzaną ścieżkę w moim gardle.

- Tata wyglądał wczoraj naprawdę dobrze - odezwała się Marlinchen.

- Oczywiście nadal ma problemy z mówieniem, ale jest w coraz lepszej formie. Też jesteś tego zdania?

- Owszem - odparłam, chociaż dysponowałam stosunkowo niewielkim materiałem porównawczym.

Upiłam trochę wina i wyciągnęłam się na trawie, patrząc, jak ciemne sylwetki ostatnich kwiatów magnolii kołyszą się nad moją głową. Chwilę milczałyśmy. Na tle nieba blisko brzegu jeziora przemknął duży, rozłożysty cień - sowa, udająca się na nocne polowanie.

- Wszystko u ciebie w porządku, Saro? - zapytała nagle Marlinchen.

- Dlaczego uważasz, że nie? Wykonała niezdecydowany gest ręką.

- Bo wydawało mi się, że... że gdy dziś przyjechałaś, byłaś trochę zdenerwowana...

Kiedy nie odpowiedziałam, odezwała się znowu, tym razem dość niepewnie.

- Nigdy nie wspominasz o swoim mężu... Zupełnie jakby umarł, a nie odsiadywał wyrok w więzieniu...

Płatek magnolii oderwał się od kwiatu i wylądował między nami, kremowobiały na szerszym końcu, lekko rdzawy na drugim.

- Gdy rozmawialiśmy o Shilohu, powiedziałam ci tylko, że jest w Wisconsin. Nie przypominam sobie, abym mówiła ci, że siedzi w więzieniu...

Nawet w mroku dostrzegłam, jak na twarz Marlinchen wypełza ciemnoróżowy rumieniec.

- Byłam ciekawa, więc... Więc zajrzałam na stronę internetową policji...

- W porządku, to nic złego - odparłam. - Ale mogłaś mnie po prostu zapytać. Powiedziałabym ci to, co chciałabyś wiedzieć.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że kiedy tamtej nocy wspomniałam o Shilohu, świadomie wprowadziłam ją w błąd, i teraz naprawdę się tego wstydziłam. W domu Hennessych trudno było o szczerą prawdę, a ja nie poprawiłam sytuacji, dorzucając własne niedomówienia. Niewykluczone, że gdybym postawiła na całkowitą szczerą opinię Marlinchen o świecie dorosłych uległaby pewnej zmianie.

- Powinam wyjaśnić ci tę sytuację do końca - powiedziałam. - Przepraszam.

- Nie ma za co, wierz mi...

- Chyba dlatego nie rozmawiam z nikim o Shilohu, że nie rozmawiam z nim samym... Od kilku miesięcy w ogóle do mnie nie pisze.

- To okropne! - przeraziła się. - Dlaczego? Podniosłam płatek magnolii i pogłodziłam go kciukiem.

W dotyku przypominał połączenie aksamitu i wosku.

- Kojarzę mu się ze sprawami, o których wolałby zapomnieć. Kiedy go szukałam, dowiedziałam się o nim czegoś, co właśnie przede mną chciał zachować w tajemnicy, i to otworzyło w jego sercu stare rany...

- Czego się o nim dowiedziałas?

- To sprawa Shiloha, nie mam prawa o niej mówić.
- Więc co zrobisz, kiedy wyjdzie z więzienia? - zapytała.
- Nie wiem.

Na twarzy Marlinchen odmalowało się zdziwienie. Udzieliłam niewłaściwej odpowiedzi.

- Wydaje ci się, że dorośli wszystko wiedzą? - uśmiechnęłam się.
- No, nie... Zaskoczyło mnie to tylko, bo... Bo robisz wrażenie osoby pewnej swoich poczynań i...
- Nie - przerwałam jej. - Oczywiście gliniarzy raczej nie zachęca się do tego, aby wątpili w swoje decyzje, aleja ciągle popełniam błędy. - Pomyślałam o wizycie u Cicera i o małym rewolwerze, spoczywającym w skrytce na rękawiczki mojego samochodu. - Niekiedy starasz się komuś pomóc, gdy tymczasem ta osoba wcale sobie tego nie życzy...

Skinęła głową, jakby rozumiała, o czym mówię, chociaż ja miałam co do tego pewne wątpliwości.

- Czy czasami myślisz o tym, żeby zacząć zarabiać na życie w jakiś inny sposób? - zagadnęła.
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo wykonuję jedyny zawód, do którego mam odpowiednie przygotowanie.

Nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- Ale dlaczego? - powtórzyła.
- Dlaczego co?
- Przecież kiedyś nie miałaś do niego przygotowania, prawda? W pewnym momencie życia podjęłaś decyzję, że chcesz przejść szkolenie i robić to, co teraz robisz. To dlatego zrezygnowałaś ze studiów, tak? Żeby rozpocząć pracę w policji?

Potrząsnęłam głową.

- Nie. Kiedy rzuciłam studia, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zostać policjantką.
- Więc co o tym zdecydowało?

Ludzie, którzy wstępują do organów ścigania, zwykle mają przygotowaną listę standardowych odpowiedzi na podobne pytania - chcę pomagać ludziom, podoba mi się, że każdego dnia staję przed nowym wyzwaniem, nie wyobrażam sobie, żebym mógł siedzieć za biurkiem, i tak dalej, i tak dalej. Są to te same odpowiedzi, których udzielają w czasie wstępnej rozmowy o pracę. Nie sięgnęłam po żadną z nich.

- Nie wiem - wzruszyłam ramionami. - To znaczy wiem, ale to długa historia. Długa i nudna.

Musiało to zabrzmieć przekonująco, bo Marlinchen nie nalegała. Po paru chwilach podniosłyśmy się i poszłyśmy do domu, zupełnie jakbyśmy wcześniej uzgodniły między sobą, kiedy mamy to zrobić.

Dużo później, gdy dzieciaki już zasnęły i w domu zapanowała cisza, stanęłam przy dużym oknie w pokoju Hugh Hennessy'ego i długo wpatrywałam się w niebo. Wciąż myślałam o piorunie, który zdaniem Marlinchen uderzył w dom, i o zaskakującej reakcji Aidana.

Jako katoliczka tylko z racji tradycji rodzinnej, nie miałam żadnego „wykształcenia” religijnego, ale w dzieciństwie często dręczyła mnie myśl, czy raczej idea, wpajana w szkółce niedzielnej - że kiedyś świat był doskonały, lecz grzech rozdarł go i zniszczył jednym uderzeniem pioruna. Oczywiście była to metafora, jednak ja przez wiele lat traktowałam ją bardzo dosłownie.

Teraz wydawało mi się, że coś podobnego spotkało rodzinę Hennessych - nagle spadło na nich przekleństwo losu. Żyli w swoim idyllicznym, doskonałym świecie, gdy raptem piorun uderzył w ich dom, Aidan stracił palec, a Elisabeth Hennessy utonęła w wodach jeziora. Czy naprawdę był to tylko pech?

Pomyślałam, że niedługo Marlinchen skończy osiemnaście lat, zostanie prawną opiekunką młodszego rodzeństwa i moje obowiązki dobiegną końca. W tej sytuacji byłoby najlepiej, gdybym zignorowała głos instynktu, który mi podpowiadał, że

w tej rodzinie stało się coś bardzo złego, i to dawno temu, na długo, zanim wkroczyłam w ich życie. Tyle że nie byłam pewna, czy potrafię zignorować ten głos.

Marlinchen zapytała mnie, dlaczego postanowiłam zostać policjantką. Miała rację - było to świadome postanowienie, nie przypadek. Dokonałam wyboru, kierując się tym, co Genevieve nazywała impulsem ratowania ludzi.

Zanim zasnąłam, usłyszałam głośny krzyk sowy, dobiegający znad jeziora. Brzmiał bardzo podobnie do ludzkiego wołania o pomoc.

Rozdział 27

Kiedy w wieku osiemnastu lat wyjechałam z Minnesoty, aby podjąć naukę na Uniwersytecie Las Vegas, który zaoferował mi stypendium, myśl, że w przyszłości mogłabym zostać policjantką, nawet nie powstała mi w głowie. W ogóle nie wybiegałam myślą w przyszłość - chciałam tylko grać w koszykówkę i uczyć się, właśnie w tej kolejności. Byłam pewna tylko jednego - że nie chcę wracać do Minnesoty. Wychowałam się w Nowym Meksyku i uważałam, że moje miejsce jest na zachodzie kraju, dlatego wyjazd do Las Vegas widziałam w kategoriach powrotu do domu.

Okazało się jednak, że jest inaczej. Vegas było ogromne, pulsujące życiem i ekscytujące, ale nie dla osiemnastoletniej dziewczyny, która dysponowała niewielkim kieszonkowym, nie miała samochodu i żadnych znajomych. Szybko się też zorientowałam, że na pierwszym roku studiów raczej nie pogram w kosza. Spodziewałam się tego, bo ostatecznie na stałe miejsce w pierwszym składzie uczelnianej drużyny trzeba zasłużyć, niemniej poczułam się rozczarowana. Chodziłam na zajęcia, bezskutecznie usiłując wzbudzić w sobie zainteresowanie zachodnią cywilizacją, ponieważ właśnie ta szeroka dziedzina

stanowiła program pierwszego roku, i nie czułam się ani studentką, ani sportsmenką. Miałam za to uczucie, że moje życie rozłazi się w szwach.

Właśnie wtedy uświadomiłam sobie coś, czego nawet nie podejrzewałam - że tęsknię za Minnesotą. Za drżącymi na wietrze brzoźami i srebrzystymi świerkami, za zieloną trawą i czerwoną, pylistą glebą, za gliniankami, błękitnozielonymi jak półszlachetne kamienie. Niepostrzeżenie, jakby przypadkiem, pokochałam Minnesotę.

Śmierć ciotki Ginny wytrąciła mnie z równowagi znacznie bardziej, niż przypuszczałam. Jesienią wróciłam na uczelnię, ale wszystko wydawało mi się pozbawione sensu. Po dwóch tygodniach nauki napisałam list do trenera drużyny, wsiadłam do autobusu linii Greyhound i wróciłam do Minnesoty z zarobionymi w czasie lata pieniędzmi, wymienionymi na czeki podróżne. Zupełnie nie wiedziałam, czego właściwie szukam i potrzebuję, lecz nie miałam cienia wątpliwości, że mogę to znaleźć tylko w Minnesocie.

Popijając zimną, słodką pepsi w kawiarni naprzeciwko dworca autobusowego w Duluth, przeglądałam ogłoszenia pod hasłem „Zatrudnię”. Firma zajmująca się wydobywaniem takonitu z siedzibą w jakimś małym miasteczku poszukiwała osoby do pracy w zakładowym warsztacie naprawczym - było to jedno z kilku ogłoszeń zamieszczonych przez tę firmę. Na stronie obok znalazłam ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia.

Dom z trzema sypialniami, do którego ostatecznie się wprowadziłam, wynajmowały dwie dwudziestokilkuletnie kobiety. Erin była pielęgniarką, a Cheryl Anne recepcjonistką w przychodni. Przyjaźniły się od paru lat. Ich poprzednia współlokatorka wyszła za mąż i wkroczyła na nową drogę życia, jak powiedziała Cheryl Anne. Obie dziewczyny od początku traktowały mnie miło i serdecznie, a ja starałam się odwzajemniać tym samym.

I właśnie na tym etapie znajomości utknęłyśmy. Upływ

czasu i fakt, że płaciłam jedną trzecią kwoty za wynajęcie, nie zmniejszyły tkwiącego we mnie uczucia, że wprowadziłam się do ich domu. Czasami, kiedy zasiadały przed stojącym w salonie telewizorem, przyłączałam się do nich, ale rzadko ze sobą rozmawialiśmy. Gdy byłam sama w domu, nigdy nie włączałam telewizora i może dlatego pod koniec września i okresu próbnego w pracy zaczęłam coraz częściej zaglądać do małej, skromnie wyposażonej biblioteki, skąd wypożyczałam kryminały w miękkich okładkach.

Kiedy dziś myślę o tamtych dniach, pamiętam przede wszystkim, jak bardzo proste było moje życie. Kupowałam jedzenie nie w supermarkecie czy sklepie spożywczym, ale w sklepie ogólnym, gdzie w głównej alejce można było znaleźć takie specjały jak bułka francuska, tak napakowana konserwantami, że nie pleśniała nawet po paru tygodniach, dżem truskawkowy, makaron, który zawsze się sklejał, niezależnie od wysiłków gotującego, oraz gotowe sosy. Wieczory spędzałam na ganku, pijąc colę z niebieskim lodem o smaku jagodowym, który tak naprawdę cuchnął płynem do wycieraczek, i obserwując zachodzące słońce.

- Co ty tam właściwie robisz, Sadie? - zapytał mój ojciec w czasie jednej z rozmów telefonicznych. - Ciotka Ginny nie żyje, nie masz tam już nikogo bliskiego...

- Mam przyjaciół - odpowiedziałam. - I pracę.

Pracę rzeczywiście miałam, natomiast przyjaciół raczej nie. W najlepszym razie byli to dobrzy znajomi.

- Zupełnie tego nie rozumiem... Bez żadnego wyraźnego powodu rzuciłaś studia i zamieszkałaś w małym miasteczku... Nie zapisałaś się nawet na studia zaoczne, prawda?

- Nie.

- Dlaczego się upierasz, żeby tam mieszkać?

- Nie przeszkadzało ci to, kiedy... - w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

- Kiedy wysłałem cię tam kilka lat temu - dokończył za mnie. - To chciałaś powiedzieć? Więc tkwisz tam dlatego, że jesteś na mnie wściekła?

- Nie... Nie, to nie tak... - owinęłam kabel wokół kciuka. -Posłuchaj, tato, ja po prostu próbuję normalnie żyć, to wszystko...

W ciszy, która zapadła, prawie słyszałam jego myśli - że wynajęte mieszkanie i praca fizyczna to mało imponujące dokonania, ale chyba nie czuł się na siłach, by mi to powiedzieć. Ostatecznie miałam już dziewiętnaście lat i byłam dorosła.

- Co z Bożym Narodzeniem? - zapytał wreszcie. - Nie miałabyś ochoty przyjechać do domu na święta'?

Nowy Meksyk w okresie Bożego Narodzenia... Świąteczka *farolitos* - do połowy wypełnione piaskiem torby z szarego papieru, ze świeczkami w środku, *sopaipillas* i gęsty sos ze skorupiaków, przygotowywany specjalnie na tradycyjną ucztę *Nocne Buena*, która zawsze odbywa się w wigilijny wieczór...

- Czy Buddy wybiera się do domu na święta?

- Tak. Dostał tydzień urlopu. Uformowałam jeszcze jedną pętelkę z kabla.

- Nie mogę przyjechać - powiedziałam.

- Dlaczego? Przecież w święta chyba nie pracujesz?

- Kopalnia pracuje trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku -oświadczyłam. - Wyłączanie sprzętu i włączanie go po kilku dniach to zbyt kosztowna operacja, a ja jestem najmłodszym pracownikiem w warsztacie. Pracuję tu za krótko, żebym mogła poprosić o urlop...

Bardzo zależało mi, żeby w to uwierzył, ale on nie był głupi.

- Od lat nie spędzałem świąt z tobą i twoim bratem - powiedział. - Dlaczego tak się dzieje, Sadie?

W jego głosie brzmiała nuta zupełnie szczerego zdziwienia i zawodu. Mój kciuk zrobił się czerwonosiny, bo za mocno ścisnęłam go kablem. Dobrze wiesz dlaczego, pomyślałam. Próbowałam ci powiedzieć, ale nie chciałeś słuchać.

- Przykro mi - wymamrotałam. - Po prostu nie mogę przyjechać...

Przyszedł styczeń, a wraz z nim najgorsze mrozy. Dni były takie krótkie, że wracałam do domu w ciemności; zrobiło się bardzo zimno, po kolacji nie chciało mi się wychodzić. Moją główną rozrywką stało się czytanie powieści, które w sobotnie popołudnia wypożyczałam z biblioteki.

Powinłam się była zorientować, że z moim życiem jest coś nie tak, kiedy zabłądziłam między półki z literaturą klasyczną, znalazłam kieszonkowe wydanie *Otella* i natychmiast zapragnęłam je wypożyczyć.

Po szkole średniej wmówiłam sobie, że nigdy więcej nie będę torturować się lekturą książek, zalecanych przez nauczycieli angielskiego, ale tamtej soboty, stojąc wśród ścian oklejonych plakatami edukacyjnymi i wdychając leciutki zapach kurzu, z przyjemnością i nostalgią przypomniałam sobie, że *Otello* był jedyną sztuką Szekspira, jaka naprawdę mi się podobała. W jakiś przedziwny sposób odnalazłam się w świecie Otella, Jagona i Kasja, świecie małżeńskich obowiązków i miejscami ryzykownego, nieco perwersyjnego humoru. Zabrałam *Otella* do domu i jednym tchem przeczytałam sztukę tego samego wieczoru, później zaś wracałam do niej przez wiele następnych, bardzo zimnych dni. Dostałam dwa monity, zanim w końcu odniosłam książkę do biblioteki.

Gdybym była bohaterką filmu, nie zwyczajną dziewczyną, autorzy scenariusza na pewno postaraliby się, aby *Otello* odmienił moje życie - sięgnęłabym po inne sztuki Szekspira, pokochała je równie namiętnie i po pewnym czasie zapisałabym się na studia zaoczne. Moje losy potoczyły się jednak zupełnie inaczej - po *Otellu* wróciłam do powieści, jakie wcześniej czytywałam.

Trochę później, wiosną, odkryłam, że bardzo odpowiada mi jeszcze inne zajęcie.

W warsztacie pracowałam razem z dziewczyną pochodzenia ormiańskiego, tęgą, ciemnowłosą, dość ładną i miłą Sil-vą. Silva żyła od soboty do soboty, ponieważ w sobotę wieczorem chodziła na potańcówki w sali miejscowego domu kultury.

Wielokrotnie namawiała mnie, żebym wybrała się tam razem z nią, ale nie miałam ochoty. Sobotnie potańcówki w domu kultury kojarzyły mi się z grą w bingo i podwieczorkami na plebanii. W końcu, pewnego marcowego wieczoru, doszłam do wniosku, że nic się nie stanie, jeżeli spróbuję.

O dziewiątej wieczorem dom kultury pełen był bardzo ożywionych i wesołych ludzi, którzy wylewali się aż na schody, razem z bijącym z głównej sali światłem i muzyką. Atmosfera ogólnej radości i ekscytacji trochę mnie zaskoczyła, ale szybko zorientowałam się, co było jej źródłem.

Teoretycznie na tych potańcówkach nie podawano alkoholu, ale większość młodych ludzi w sali i na zewnątrz była w stanie przynajmniej lekkiego upojenia - typowa sytuacja w małych miasteczkach, prawda? Butelki podawano sobie z rąk do rąk na słabo oświetlonym parkingu, a jeżeli któryś z gości miał pecha i nie znał nikogo, kto przyniósł alkohol, zawsze mógł liczyć na Brenta, energicznego miejscowego przedsiębiorcę, który parkował swojego buicka w pobliżu budynku i sprzedawał wino i whisky prosto z bagażnika. Ponieważ czułam się trochę obco, skorzystałam z usług Brenta.

Nie sięgałam po alkohol od czasu kilku dziewczęcych spotkań na uczelni, kiedy to odkryłam, że już niewielka szklaneczka whisky zwała mnie z nóg. Teraz pociągnęłam łyk wina i od razu zrobiło mi się przyjemnie, nawet bardzo przyjemnie. Zaraz potem jakiś młody człowiek poprosił mnie do tańca, a ja nie odmówiłam. Zarumieniona Silva przemknęła obok na parkiecie i mrugnęła do mnie. Świat kołysał się pod moimi stopami - bardzo mi się to podobało. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że prowadzę marne, wyjałowione, pustelnicze życie,

teraz wydało mi się ono ciężarem, który chętnie zrzuciłam z ramion.

Poprzedniego tygodnia dostałam pierwszą podwyżkę - minęło pół roku, odkąd zaczęłam pracować w kopalni. Czułam się bogata i w tym stanie miłego uniesienia uświadomiłam sobie coś jeszcze - skoro alkohol sprawia, że widzę świat w innych kolorach, to dlaczego nie miałabym się postarać, by te kolory stały się jeszcze bardziej intensywne... Dużo bardziej intensywne.

- Dzień dobry, Saro! Podwieźć cię?

Piękny, słoneczny ranek na początku maja. Kenny Olson zatrzymał dużego forda pikapa na poboczu, mniej więcej kilometr od kopalni. Wcisnęłam torbę pod pachę i podbiegłam do drzwi po stronie pasażera.

Kenny pracował w ochronie kopalni, co oznaczało, że przepędzał z jej terenu myśliwych oraz dzieciaki, które zakradały się, żeby skakać z hałd żwiru i pływać w gliniankach. Jako człowiek wyjątkowo przyjaźnie nastawiony do świata prawie nigdy nie wzywał policji, ograniczając się do udzielenia ostrzeżenia. Poza ochroną w co drugi weekend pracował społecznie jako strażnik w areszcie, a w wolnym czasie polował i wędkował. Zaprzyjaźniliśmy się, chociaż dzieliła nas różnica trzydziestu kilku lat.

- Dzięki... - powiedziałam, wdrapując się na siedzenie. -Nie powinieneś być już w pracy?

Kenny zwykle pracował na pierwszą zmianę, od siódmej rano do piętnastej. Personel pomocniczy, czyli między innymi ja, zaczynał pracę godzinę później, o ósmej.

- Uprzedziłem, że trochę się spóźnię. Musiałem zawieźć Lornę do lekarza.

- Chyba nie jest chora? - zaniepokoiłam się.

- Nie, nie! Miała umówioną wizytę u otolaryngologa, bo chce zamówić aparat słuchowy... - Kenny zwolnił przed skrzy-

zowaniem. - Teraz będzie słyszała wszystkie głupoty, jakie czasami wygaduję, i na pewno straci do mnie cały szacunek... Parsknęłam śmiechem.

- To niemożliwe! - Położyłam torbę na podłodze. - Zaczęłam składać na samochód, wiesz?

- Wspominałaś mi o tym...

- Naprawdę? - zapytałam ze zdziwieniem. - Kiedy? Podskoczyliśmy prawie pod sufit na garbie przy wjeździe

na parking dla pracowników, bo pikap Kenny'ego miał marne amortyzatory. Kenny nie powiedział ani słowa, dopóki nie zaparkował wozu na ostatnim miejscu w rzędzie. Przyszło mi nawet do głowy, że może jemu także przydałby się aparat słuchowy, chociaż nigdy dotąd nie miał takich problemów. Kenny wyłączył silnik i odwrócił się do mnie.

- Nie pamiętasz, że w sobotę w nocy podwiozłem cię do domu?

Otworzyłam usta i zaraz znowu je zamknęłam. Jakieś mętne wspomnienie przemknęło mi przed oczami. W sobotę wieczorem jak zwykle poszłam na potańcówkę, a potem znajomi podrzucili mnie do domu, w każdym razie tak mi się wydawało...

- Właśnie wtedy powiedziałaś mi, że chcesz kupić samochód. Nie byłem pewny, czy traktować to poważnie, bo mówiłaś dużo rzeczy. Byłaś pijana.

Nerwowo rozejrzałam się po kabinie.

- Chyba nie zarzygałam ci samochodu?

Dziwne, ale nie pomyślałam, że dezaprobata, którą wyczytałam w jasnoblękitnych oczach Kenny'ego, może mieć inną przyczynę.

- Nie - odparł. - Ale zataczałaś się, kiedy wysiadłaś. Co tu dużo gadać, byłaś pijana w trupa.

- Troszeczkę przesadziłam, to prawda - przyznałam. - Wypadek przy pracy, nic więcej...

- Znałem kiedyś dziewczynę, która umarła na ganku włas-

nego domu, z kluczem w ręku. Była zbyt pijana, żeby trafić kluczem do zamka, więc położyła się na deskach, by się zdrzemnąć. Temperatura spadła do dziesięciu stopni poniżej zera i rano było po wszystkim. Musiałem zawiadomić jej rodziców.

- Nie mam takich problemów - oświadczyłam. - Tak czy inaczej, jest już wiosna...

Kenny chwilę obserwował Silvę, idącą przez parking w stronę warsztatu.

- To nie jest praca dla ciebie, wiesz? - powiedział. - Myślisz o przyszłości, przynajmniej czasami?

- Tak! - rzuciłam z dumą. - Doszłam do wniosku, że mogłabym pracować w terenie...

W terenie, czyli tam, gdzie prowadzono roboty odkrywkowe, gdzie górnicy wydobywali koparkami kamień i przewozili wydobyty materiał ciężarówkami tak wielkimi, że ich koła były wyższe ode mnie.

- Chcesz pracować w terenie... - powtórzył Kenny sceptycznym tonem.

- Przecież kobiety mogą być górnikami! Potrząsnął głową.

- Nie to mam na myśli - powiedział spokojnie. - To nie ma nic wspólnego z emancypacją, nie udawaj, że mnie nie rozumiesz...

- Ktoś musi wykonywać tę robotę - oznajmiłam. - A płace są tam o wiele wyższe od mojej obecnej...

Westchnął.

- Nie martw się o mnie, dobra? - Poprawiłam pasek torby na ramieniu. - Muszę już lecieć.

Na początku czerwca przeżyliśmy potężną burzę, w czasie której spadło dziesięć centymetrów śniegu. Był to czwartek, właściwie już początek weekendu. Świeży śnieg zachęcił pracowników mojej zmiany do udziału w zaimprovizowanej bitwie na śnieżki. Trafiłam prosto w twarz młodego umięśnionego-

go mechanika imieniem Wayne, a on złapał mnie i wepchnął mi garść śniegu za kołnierz koszulowej bluzki. Wrzeszczałam jak opętana, wzywając Silwę na pomoc, ale ona pękała ze śmiechu i nie mogła się ruszyć.

W poniedziałek rano Silva przyszła do pracy w znacznie poważniejszym nastroju.

- Co się stało? - zapytałam, kiedy kolejny raz nie zareagowała na moją próbę podjęcia lekkiej rozmowy.

- Nie martwisz się Wayne'em? - Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

Wayne... Przypomniałam sobie, że tańczyłam z nim w sobotę wieczorem, więcej niż jeden taniec, ale co działo się później? Pamiętałam niedzielny ranek i Cheryl Anne, która zapukała do mojego pokoju, wyraźnie rozzłoszczona. Ktoś zrzucił jej suszarkę do włosów z haczyka na ścianie łazienki prosto do muszli klozetowej; Cheryl Anne chciała wiedzieć, jak to się stało i dlaczego ten ktoś zostawił suszarkę w muszli...

- O co ci chodzi? - uniosłam brwi, zdziwiona pytaniem Silvy.

- Nie pamiętasz?

Skrzywiłam się niechętnie. Ostatnio ciągle ktoś pytał, czy czegoś nie pamiętam...

- Złamałaś mu nos - powiedziała Silva. Potrząsnęłam głową, nagle naprawdę przestraszona.

- Niemożliwe - odparłam, ale sama nie byłam już pewna własnych słów.

- Wayne mówi, że zrobił mu to jakiś facet, a jego kumple potwierdzają tę wersję, bo Wayne wstydzi się, że dziewczyna spuściła mu taki łomot. Wszyscy o tym gadają. Podobno wcześniej Wayne ostro podrywał cię przez cały wieczór. Co, tego też nie pamiętasz?

Machinalnie dotknęłam prawego ramienia. Miałam tam spory siniak, sądziłam, że powstał po gwałtownym zderzeniu z jakimś meblem, może ścianą w łazience i suszarką Cheryl

Anne, lecz teraz zdałam sobie sprawę, że jest to odcisk palców. Palców Wayne'a na moim ramieniu... Nagle usłyszałam zjadliwy, syczący szept mężczyzny. Zimna, wyszeptał. Jesteś zimna jak jakiś pieprzony lodowiec... Wydarzenia sobotniego wieczoru wreszcie ułożyły się w logiczną całość w mojej słabo funkcjonującej pamięci.

- Może gdyby posłuchał mnie, kiedy mówiłam, że... - zaczęłam defensywnie.

- Przecież ty nawet nie pamiętasz, jak to się stało - przerwała mi Silva.

- Nie pamiętasz, co powiedzieliście sobie wtedy...

Miała rację. Przejrzała mnie na wylot. Szkoda, że w tej chwili jej głos brzmiał w moich uszach dokładnie tak samo jak głos Cheryl Anne.

Nadęta suka, pomyślałam i schyliłam się, żeby mocniej zasznurować buty.

Wayne nigdy nic mi nie powiedział i ten brak słusznego gniewu potwierdził moje podejrzenia, że przynajmniej w części ponosił winę za wydarzenia tamtego wieczoru. Mimo to postanowiłam ograniczyć picie.

Wytrwałam w tym postanowieniu zaledwie kilka tygodni. Zdecydowanie za krótko.

- Najprawdopodobniej połowa młodych ludzi w miasteczku upija się w piątkowe i sobotnie wieczory, więc dlaczego tylko mnie robisz te swoje wykłady o trzeźwości?

Było lato. Wybrałam się z kilkoma facetami z warsztatu nad jedną z glinianek, żeby poskakać z hałd. Skakanie z hałd prosto do wody było jedną z tradycji, starannie podtrzymywanych przez mieszkających w okolicy młodych ludzi. Zarząd kopalni próbował zniechęcać ich do tego niebezpiecznego hobby, głównie z obawy przed ewentualnymi roszczeniami w razie wypadku, ale robił to mało skutecznie.

Nie umiałam pływać i poszłam z mechanikami właściwie tylko dlatego, że zanosilo się na ulewę, więc myślałam, że zrezygnują ze swoich planów na rzecz nieszkodliwej popijawy w jakimś bezpieczniejszym i bardziej suchym miejscu. Zawiodłam się - powiedzieli mi, że burza już mija, zresztą i tak będą mokrzy, więc o co chodzi...

Sporo wypiliśmy na szczycie hałdy i po jakimś czasie ich argumenty za skokiem do glinianki wydały mi się całkiem rozsądne i słuszne. Pływanie to bułka z masłem, powtarzali. Kiedy już wylądujesz w wodzie, instynktownie zaczniesz poruszać rękami i nogami, i na pewno nie pójdziesz na dno, zresztą w razie czego natychmiast cię wyciągniemy... Poza tym i tak jesteś już mokra, co ci szkodzi, dziewczyno...

Miałam w sobie odwagę, której źródłem była wypita whisky, ale wyczuwałam też, że jeżeli nie zrobię tego co oni, uznają mnie za gorszą z powodu płci, a na to nie mogłam przecież pozwolić. Tak czy inaczej, byłam już bardzo bliska podjęcia brawurowej decyzji, kiedy tuż nad ziemią rozbłysło jasne światło, dużo trwalsze od przecinającej niebo błyskawicy. Światło to pochodziło z reflektorów pikapu Kenny'ego.

Kenny posłał moich kolegów do diabła, a mnie posadził w kabinie swego samochodu, mokrą i dość szybko trzeźwiejącą.

- Tylko mi nie mów, że jako dzieciak nie skakałeś do glinianek - rzuciłam zaczepnie.

- Nie o to chodzi - odparł Kenny. - Martwi mnie, że ciągle pijesz. Psujesz sobie reputację, Saro.

Psuję sobie reputację... To określenie nasuwało pewne skojarzenia, wykraczające daleko poza picie.

- Co mi próbujesz wmówić? - najeżyłam się. - Nie sypiam z żadnym facetem, z żadnym! Jeżeli ktoś twierdzi, że jest inaczej, to kłamie!

- Nie, ludzie mówią co innego... - powiedział. - Uważają, że jesteś pijaczką i że prowokujesz mężczyzn...

- To niesprawiedliwe!

- Pijesz i tańczysz z tymi chłopakami, i chodzisz z nimi na gliniarki, chociaż inne dziewczyny nigdy tego nie robią, więc czego właściwie się spodziewasz?

- Lubię pić, tańczyć i chodzić na gliniarki, to fakt - przyznałam. - Ale jeżeli faceci wyobrażają sobie, że jestem im coś winna za dobrą zabawę, to już ich problem, nie mój!

- Jeżeli w końcu spotka cię coś złego, nie będzie miało znaczenia, po czyjej stronie leżała wina - powiedział poważnie Kenny. - Jesteś wysoką, silną dziewczyną, ale pewnego dnia to nie wystarczy... Któregoś ranka obudzisz się i jako ostatnia osoba w miasteczku dowiesz się, że poprzedniego wieczoru po pijaku dałaś dupy kilku facetom...

Nigdy bym nie uwierzyła, że Kenny zna takie wyrażenia. Poczułam się, jakby uderzył mnie w twarz. Wbrew pozorom Kenny miał na mnie spory wpływ. Z trudem przełknęłam ślinę i spuściłam głowę, żeby nie zobaczył łez w moich oczach.

- Jakoś sobie radzę - oświadczyłam słabo.

- Ciągłe to powtarzasz, ale moim zdaniem jest inaczej.

Pod koniec czerwca wróciłam w piątek do domu pijana, spocona i potwornie spragniona. Zrzuciłam kieliszek z najwyższej półki w kredensie i uznałam, że jestem wzorową współlokatorką, bo wzięłam szufelkę i zmiotkę, i uprzętnęłam kawałki szkła.

Rano Cheryl Anne i Erin znalazły kilka okruchów, które pozostały na podłodze mimo moich wysiłków, zajrzały do kosza na śmieci i znalazły tam szczątki kieliszka. To była pamiątka z wesela siostry Erin. Dziewczyny zasugerowały, że przyszedł czas, żebym poszukała sobie samodzielnego mieszkania.

Wynajęłam kawalerkę w dwupiętrowym budynku. Pikap Kenny'ego bardzo ułatwiłby mi przeprowadzkę, ale Kenny i ja rozmawialiśmy ze sobą coraz rzadziej.

Sierpień przyniósł najbardziej upalne i parne dni tego lata. Ci, którzy nie mieli w domu klimatyzacji, wylegli na ulice. Mój pokój na drugim

piętrze okazał się idealnym pomieszczeniem dla rozgrzanego powietrza, więc zaplanowałam, że całe weekendy będę spędzać poza domem. Bar był klimatyzowany, a późnym wieczorem barmani mieli zbyt dużo do roboty, żeby zwracać uwagę na siedzącą w kącie osobę, której zgodnie z prawem jeszcze nie wolno sprzedawać alkoholu.

Pewnego niedzielnego poranka obudziłam się w celi aresztu, z potwornym bólem głowy. Wkrótce pojawił się strażnik. Był nim Kenny.

- Co zrobiłam? - zapytałam.

- Skoro nie pamiętasz, to niby dlaczego miałbym ci przypominać...

Natychmiast pomyślałam o co najmniej dziesięciu różnych wykroczeniach, z których każde było bardzo poważne. Przypomniałam sobie Wayne'a i jego złamany nos. Przywołałam obraz pięknej, ciemnoszarej nowej, którą dopiero co kupiłam, składając sobie uroczystą obietnicę, że nigdy nie usiądę za kierownicą pijana. Błagam, Boże, żeby się tylko nie okazało, że spowodowałam wypadek i uciekłam, modliłam się teraz żarliwie.

Kenny złagodniał.

- Nie zrobiłaś nic okropnego - powiedział. - Upiłaś się i trochę rozrabiłaś w miejscu publicznym.

- W porządku... - Usiadłam na ławce, bezwładnie zwieszając ręce między kolanami. - Mam prawo do jednego telefonu, tak?

Pomyślałam, że będę musiała zadzwonić do miejscowego adwokata, który pożyczy mi pieniądze na kaucję, oczywiście na procent. Kogo jeszcze mogłabym zawiadomić o swojej wpadce? Silvē? Utykającego staruszka, który mieszkał po drugiej stronie korytarza i z daleka cuchnął papierosowym dymem? Nawet nie znałam jego nazwiska. Moim najbliższym

przyjacielem był Kenny, lecz wszystko wskazywało na to, że na jego pomoc tym razem nie mogę liczyć.

- Masz prawo do jednego telefonu, jeśli jesteś aresztowana - rzekł. - Nie aresztowałem cię wczoraj wieczorem, więc oficjalnie po prostu cię tu nie ma.

- Słucham?

- Przywiozłem cię tutaj, żebyś wytrzeźwiała i zastanowiła się nad sobą.

Powinna była poczuć wdzięczność, ale ogarnęła mnie złość. Podniosłam się z ławki, co spowodowało, że ciśnienie skoczyło mi gwałtownie, a ból głowy nasilił się jeszcze bardziej, chociaż chwilę wcześniej wydawało mi się to niemożliwe.

- Myślisz, że oczekuję czegoś od ciebie? - warknęłam, wyciągając obie ręce w jego stronę, złączone przegubami, jakbym spodziewała się, że zaraz zakuje mnie w kajdanki. -Jeżeli zrobiłam coś złego, to mnie aresztuj, jeśli nie, to wypuść...

Kenny pokręcił głową.

- Poważnie, aresztuj mnie, jeśli na to zasłużyłam. Wtedy będę mogła przynajmniej zadzwonić do kogoś, wpłacić kaucję i wyjść!

Ale Kenny znowu wykonał ten sam gest.

- Dzisiaj nie chcę tego robić z tego samego powodu, z jakiego nie chciałem wczoraj. Nie chcę, żebyś miała zatrzymanie w papierach, bo to zmniejszyłoby twoje szanse.

- Szanse na co?

- Na pracę w policji — wyjaśnił.

Opuściłam ręce. Gdyby powiedział, że oficjalne aresztowanie zmniejszyłoby moje szanse na udział w programie przygotowującym do lotów w kosmos, na pewno nie byłabym bardziej zaskoczona.

- Żartujesz? - odezwałam się słabym głosem.

- Jesteś zbyt inteligentna, żeby pracować w kopalni, i zbyt rogata i niesforna, żeby utrzymać się na studiach. Masz mnóstwo energii, której nie umiesz ukierunkować. Potrzebna ci praca, w której ją wykorzystasz.

- Chyba nie mówisz poważnie... Tak czy inaczej, nie potrzeba tutaj więcej policjantów. Założę się, że nie ma wolnych miejsc pracy, nawet w tym społecznym projekcie służby co drugi weekend, do którego ty się zgłosiłeś...

- Nie mają, to fakt - zgodził się. - Ale w Minneapolis zawsze szukają dobrych, zdolnych ludzi.

- Jednak mówisz poważnie... - wykrztusiłam.

- Jak najbardziej.

Przez chwilę nie czułam nawet tępego, bolesnego pulsowania w skroniach. Kenny uważał, że mogę zostać kimś takim jak on, i to zdumiewające objawienie sprawiło, że zapomniałam o gniewie. Oczywiście Kenny się mylił, ale jednak...

- Posłuchaj... - zaczęłam niepewnie. - Jestem ci bardzo wdzięczna, ale chyba nie nadaję się do takiej pracy...

- Skąd wiesz? - spytał.

- Po prostu wiem, i już. Pomyliłeś się co do mnie, naprawdę... - przerwałam na chwilę. - Przykro mi...

Kiedy Kenny zrozumiał, że mówię zupełnie trzeźwo i przytomnie, sięgnął do kieszeni po klucze.

Nadszedł wrzesień. Kenny nadal w ciągu tygodnia pracował w ochronie kopalni, a w weekendy jako strażnik w areszcie, natomiast ja wróciłam do tego, co wychodziło mi najlepiej, czyli do ostrego picia w piątkowe i sobotnie wieczory.

Po kolejnej typowej sobocie, mniej więcej o trzeciej w nocy, znowu znalazłam się w znajomej pozycji - na klęczkach przy muszli klozetowej. Kiedy człowiek wymiotuje przynajmniej raz na tydzień, obrzydzenie, które początkowo do siebie czuje, po pewnym czasie wygasa. Gdy było już po wszystkim, otarłam usta wierzchem dłoni i zachwiałam się lekko, czując wilgoć niezdrowego potu na karku. Całe szczęście, że wcześ-

niej przytomnie uchyliłam okno, przez które do łazienki wpadało chłodne, orzeźwiające powietrze. Właśnie umyłam zęby i ochlapałam twarz zimną wodą, kiedy z zewnątrz dobiegł mnie ostry kobiecy krzyk.

Zamarłam z kroplami wody powoli ściekającymi po policzkach i dopiero po chwili podeszłam do okna.

- Hej! - zawołałam. - Jest tam kto?

Okno łazienki wychodziło na porośnięty trawą nasyp, po którego grzbiecie biegły tory kolejowe. Wszędzie było kompletnie ciemno, tylko po prawej stronie migają światła sygnalizacyjne.

- Hej! - wrzasnęłam. Cisza.

- Cholera jasna... - wymamrotałam, sięgając po ręcznik.

Wiele bym dała, żeby w ciemności rozległ się pijacki chichot albo bełkotliwe zapewnienie, że wszystko jest w porządku. Chciałam poczuć złość, a przynajmniej zniecierpliwienie. Wszystko byłoby lepsze od niepokoju o kogoś, kto najpierw krzyczał ze strachu, a teraz milczał.

Poszłam do pokoju, przebrałam się w świeży T-shirt i podniosłam kołdrę, powtarzając sobie, że nie ma się czym przejmować. Wmawiałam sobie, że czasami zwierzęta wydają bardzo mylące odgłosy. Na przykład miauczenie dzikich kotów niekiedy do złudzenia przypomina krzyk kobiety lub dziecka. A sowy wrzeszczą tak przeraźliwie, że skóra cierpnie.

To nie był dziki kot ani sowa, skarciłam się ostro.

Przecież gdyby ktoś tam był i znajdował się w niebezpieczeństwie, krzyknąłby jeszcze raz... Odpowiedziałby na moje wołanie...

Skąd ta pewność?

Na miłość boską, niby w jaki sposób mogłabym pomóc? Nadal nie byłam trzeźwa... Ten krzyk niewątpliwie usłyszał też ktoś inny i ten ktoś pośpieszy na ratunek...

Dlaczego tak sądzisz, zapytałam samą siebie. Nie wiado-

mo, czy ktoś inny to słyszał. Tylko ty wiesz, że słyszałaś coś niepokojącego.

- Kurważeż mać... - powiedziałam głośno, bardzo zmęczonym głosem, i zaczęłam szukać.

W tamtym okresie moją jedyną bronią była latarka elektryczna, piękna, duża, na cztery baterie, z korpusem pociągniętym metalizowanym wiśniowym lakierem. Wdrapując się na zbocze za domem, nadal trochę niepewnie, zataczałam promieniem światła szerokie łuki, oświetlając krzaki i cienie.

- Jest tam kto? - powtarzałam co jakiś czas.

Kiedy przeszukałam teren za domem, zawróciłam. Krzyk mógł dobiegać sprzed domu - nie mogłam wykluczyć, że dźwięk nie odbił się od nasypu. Ostrożnie zbiegłam w dół, świecąc latarką tak jak wcześniej, i wyszłam na ulicę. Ruszyłam w kierunku centrum miasteczka, oświetlając trawniki, tarasy i ganki domów, i bardzo starając się nie trafiać promieniem w okna, za którymi spali ludzie. Gdy dotarłam do centrum, obeszałam większość uliczek i alejek, zaglądając przez okna sklepów oraz firm usługowych. Nic. Ulice były tak ciche i martwe, jakby ktoś zbudował je na potrzeby filmu.

Zakończyłam obchód na rynku, zupełnie trzeźwa i samotna. Noc dobiegała końca, za godzinę miało wzejść słońce.

Kenny szykował się do wyjścia do kościoła, ubrany w płaszcz i garnitur, pod krawatem, z włosami porządnie zaczesanymi do tyłu, kiedy o siódmej trzydzieści rano zapukałam do jego drzwi, wciąż trzymając w ręku ukochaną latarkę. Popatrzył na mnie i pytająco uniósł brwi.

- Chyba jednak chcę wstąpić do policji - powiedziałam.

Rozdział 28

- Nie widzę tu materiału na sprawę - oświadczył Kilander. Przed południem, w dzień po tym, jak w towarzystwie

Marlinchen popijałam wino nad jeziorem, zajmowałam się czymś, co robiłam wiele razy od czasu, kiedy powiedziałam Kenny'emu Olsonowi, że jednak chcę zostać policjantką - razem z prokuratorem zastanawiałam się nad możliwością wytoczenia oskarżenia o popełnienie przestępstwa.

Tym razem była to rozmowa nieoficjalna. Kilander i ja postanowiliśmy spędzić przerwę na lunch w jego gabinecie, przy posiłku, który zamówiłam na wynos w jednym z pobliskich barów, a złożonym z sałatki z kurczaka i curry na liściach sałaty, bułeczek i mrożonej herbaty. Parę minut wcześniej powiedziałam mu wszystko, co było mi wiadomo o Hennessych - o zachowaniu Hugh wobec Aidana i jego niemożliwej do wyjaśnienia wrogości do najstarszego syna.

- Paskudna historia, bez dwóch zdań - pokiwał głową. - Ale głównym celem prawa rodzinnego nie jest karanie, tylko interweniowanie. Żaden urząd nie próbowałby postawić w stan oskarżenia rodzica, który wprawdzie w przeszłości stosował przemoc wobec dziecka, ale nie dopuścił się działań, powodujących trwałe uszkodzenia fizyczne lub psychiczne...

- Wiem o tym - przytaknęłam, rozłamując bułeczkę na pół i smarując ją masłem.

Na razie grałam na zwłokę. Tym, co zamierzałam powiedzieć Christianowi Kilanderowi, nie podzieliłam się jeszcze z nikim, nawet z Marlinchen.

- To wszystko stanowi tylko tło - ciągnęłam. - To jeszcze nie koniec tej historii...

- Ach, tak... - westchnął. - W takim razie może powinienem odwołać spotkanie umówione na pierwszą?

Drażnił się ze mną, oczywiście zupełnie nieszkodliwie. Wiedziałam, że tak będzie. Podejrzywałam też, że będzie ostro zbijał przedstawione

przeze mnie argumenty. Wcale mi to nie przeszkadzało, bo między innymi po to do niego przyszedłam - żeby poddać sprawę procesom analitycznym, przebiegającym w jego błyskotliwym, logicznym umyśle.

- No, Saro? - ponaglił mnie.

- Myślę, że Aidan postrzelił się z broni ojca - powiedziałam, odkładając nietkniętą bułeczkę. - I że Hugh zatuszował wypadek...

Kilander uśmiechnął się po raz pierwszy w czasie naszego spotkania.

- Niezła teoria... - mruknął. - Bardzo chciałbym wiedzieć, jak na to wpadłaś...

Opowiedziałam mu o brakującym palcu Aidana i wyjaśnieniu, jakie przedstawiła Marlinchen - o złym psie sąsiadów, który jakoby ugryzł trzyletniego chłopca, o późniejszej długiej nieobecności Aidana w domu i jego powrocie bez małego palca lewej dłoni.

- Dlaczego w to nie wierzysz? - zapytał Kilander.

- Widziałam miejsce, gdzie mieszkają. Mają sąsiadów, ale nie bliskich. Trzylatek musiałby pokonać sporą odległość, żeby natknąć się na psa sąsiadów...

Kilander milczał.

- Właśnie w tym okresie Hugh miał stare pistolety, które przechowywał w gabinecie. Z dumą pokazywał je dziennikarzom, widziałam je na zdjęciach w czasopiśmie. Trochę później Hennessy zaczyna cierpieć na awersję do broni, nie chce trzymać jej w domu nawet ze względów bezpieczeństwa... - Szybko odsunęłam bolesne wspomnienie Cicera. - W tym samym czasie Hugh wymienia wykładzinę w swoim gabinecie. Jest wystarczająco zamożny, by zlecić to specjalistom, sam za grosz nie ma smykałki do prac domowych, a mimo to kładzie ją sam, oczywiście fatalnie, skutki widać do dziś. Dzieci uważają, że było to mniej więcej czternaście lat temu, kiedy bliźnięta miały trzy, no, może cztery lata... Z tego samego okresu

pochodzi dość dziwne wspomnienie Marlinchen Hennessy -dziewczyna mówi, że w dom uderzył piorun, co rozstroiło jej matkę tak bardzo, że długo płakała i nie mogła się uspokoić. Od tego czasu Marlinchen boi się burzy, burzy i głośnych dźwięków... - dodałam, podkreślając ostatnie dwa słowa.

- Uważasz, że piorun nie mógł uderzyć w ich dom?

- Oglądałam dach z zewnątrz, nigdzie nie ma najmniejszych śladów uszkodzenia...

- Z tego wniosek, że został naprawiony. Pokręciłam głową.

- Też tak pomyślałam, ale Marlinchen nie potrafi nawet wskazać uszkodzonego miejsca. Czy to możliwe, że dość dokładnie zapamiętała noc, kiedy zdarzył się ten wypadek, ale zupełnie nie pamięta, że oglądała dach, widziała naprawiających go robotników i tak dalej?

- Rzeczywiście, to trochę dziwne...

- A skoro już mówimy o naprawach... - podjęłam. - Hugh nie tylko wymienił wykładzinę w gabinecie, ale także próbował chyba usunąć wybielaczem jakieś plamy w korytarzu na piętrze, w każdym razie tak to wygląda. Potwierdzałoby to moją teorię, że sam usunął plamy krwi, oczywiście w miarę swoich możliwości...

- Więc sądzisz, że chłopiec postrzelił się z pistoletu ojca w palec, którego nie dało się uratować, tak? - zapytał Kilander z namysłem.

- Był w wieku, kiedy dzieci są zwykle bardzo ciekawe świata i dość nieposłuszne. No i na pewno widział broń palną w telewizji.

- A Hugh wymyślił całą tę historię z uderzeniem pioruna, żeby zatuszować wypadek...

- Mogło to fatalnie wpłynąć na jego opinię i dalszą karierę - powiedziałam. - Wyobraź sobie, co zrobiłyby z tego media: „Beztroski ojciec trzyma naładowany pistolet w otwartej szufladzie biurka, jego synek odstrzeliwuje sobie mały palec", i tak dalej, i tak dalej. W tamtych latach Hugh był sławny, dziennikarze bardzo się nim interesowali. Byłaby to zła prasa dla każdego pisarza, ale szczególnie dla niego. Hugh

napisał dwie popularne książki o rodzinie, rodzinnych wartościach, miłości i wierności. Był ojcem dużej rodziny i to stanowiło jego... Zaraz, jak nazywają to specjaliści od marketingu? Och, tak, jego znak firmowy!

Kilander wyskrobał resztę sałatki z pojemnika na swój talerz. Zjadł już więcej niż połowę, ale przemilczałam to. W jego nieukrywanej żarłoczności było coś naprawdę miłego.

- Więc Hugh starał się zachować wypadek w tajemnicy -ciągnęłam. - Bliźnięta były jeszcze w wieku, kiedy pamięć można przeprogramować. Jeżeli rodzice powtarzają coś wielokrotnie małemu dziecku, to ono w to wierzy. Zorientowałam się jednak, że we wspomnieniach Aidana i Marlinchen jest sporo sprzeczności. Marlinchen pamięta uderzenie pioruna, Aidan nie. Marlinchen twierdzi, że Aidan długo przebywał później w szpitalu, Aidan w ogóle tego nie pamięta. Coś tu nie pasuje, nie sądzisz?

Kilander pociągnął łyk kawy, zamyślił się. Podniosłam się i podeszłam do okna.

- W pewien sposób tłumaczy to też kwestię przemocy -dodałam. - Hugh starannie usunął wszystkie dowody, ale Aidana nie mógł usunąć. Chłopiec był w domu, Hugh codziennie musiał patrzeć na jego okaleczoną rękę i prawdopodobnie wyprowadzało go to z równowagi. Myślę, że sprawy mimo wszystko potoczyłyby się inaczej, gdyby nie śmierć Elisabeth, kłopoty Hugh z kręgosłupem i wrzodami... Żył w wielkim stresie i Aidan stał się kozłem ofiarnym, oczywiście z powodu wyrzutów sumienia, z którymi Hugh nie umiał sobie poradzić...

- Masz jakieś namacalne dowody, że tak właśnie było?

- Nie - odparłam. - Jeszcze nie.

- Co z dokumentacją szpitalną? Jeżeli palec został amputowany, to chłopak musiał być pod opieką lekarską.

Potrząsnęłam głową.

- Dokumentacja sprzed czternastu lat? Na pewno tkwi w jakimś magazynie, ale żeby zdobyć do niej dostęp, musiałabym mieć nakaz, a nie dostanę go, ponieważ nie dysponuję żadnymi dowodami... - przerwałam.

- Z tego samego powodu nie powiedziałam o sprawie bliźniętom. Nie chcę, żeby przechodzili przez to wszystko, dopóki nie zgromadzę dowodów.

- Kiedy to będzie? - zapytał Kilander. Trafiona, zatopiona...

- No, właśnie... - Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. - I postawmy jeszcze jedno, dość zasadnicze pytanie: Po co? Nawet jeśli znajdziesz niepodważalne dowody na poparcie swojej teorii z pistoletem, to jednak nie da się zaprzeczyć, że był to wypadek. Może Hugh okłamał dzieci, ale to nie zbrodnia. I to dopiero początek, moja droga...

- Gdzie dalszy ciąg? - zagadnęłam sucho.

- Mówisz, że facet cierpi na afazję po udarze, tak? Kiwnęłam głową.

- Z prawnego punktu widzenia jest to prawdopodobnie najgorsza forma upośledzenia, jaka mogła mu się przydarzyć. Skoro nie jest w stanie porozumiewać się z otoczeniem, to nie mógłby w pełni uczestniczyć w obronie swojej sprawy. Nawet najbardziej twardogłowy sędzia odrzuci taki przypadek bez chwili wahania.

- Nie myślałam o wytoczeniu mu procesu w tym miesiącu czy nawet w tym roku - powiedziałam. - Hennessy wraca do zdrowia, niewykluczone, że za jakiś czas w pełni odzyska siły.

- Może odzyska, a może nie... - mruknął Kilander.

Wrzucił talerz i serwetkę do foliowej torby, w której przyniosłam lunch. Zbliżała się pierwsza. Sprzątnęłam swój talerz i resztę naczyń, i zawiązałam torbę, żeby w korytarzu wrzucić ją do kosza na śmieci.

- Nieźle kombinujesz, Pribek - uśmiechnął się. - Może poprawię ci trochę humor, jeżeli powiem, że ci wierzę. Przeko-

nałaś mnie, tu rzeczywiście coś nie gra. Ale... Cóż, nawet jeśli masz absolutną rację, mimo wszystko nie widzę możliwości wytoczenia sprawy.

Po południu zadzwonił do mnie mój były partner, John Vang. Prowadził teraz dochodzenie w sprawie gwałtu, ale szesnastoletnia ofiara niechętnie odpowiadała detektywowi mężczyźnie. Vang pomyślał, że dziewczyna lepiej zniesie rozmowę z kobietą, i poprosił mnie o pomoc.

Minęło prawie pół godziny, zanim przełamalam mur milczenia, jakim zgwałcona odgradziła się od świata. Później szczerze żałowałam, że mi się udało. Trzech młodych mężczyzn, których dobrze znała, zaatakowało ją w pralni w piwnicy bloku. Zgwałcili ją pięć razy, trzy razy dopochwowo, dwa razy analnie. Kręciło mi się w głowie, kiedy później wyszłam na zalaną jasnym słońcem ulicę.

Wciąż wracałam myślami do rozmowy z Kilanderem. Wiedziałam, że ma słuszość, ale w takich chwilach system sprawiedliwości budził we mnie zdziwienie połączone z niechęcią. Nie byłam pewna, co należy zrobić, lecz nie mogłam pozbyć się uczucia, że świat zawiódł Aidana. Oczywiście istniało mnóstwo instytucji, których pracownicy nie szczędzili wysiłków, aby chronić dzieci przed złem, ale czasami wydawało mi się, że efekty ich pracy są naprawdę przerażająco mizerne.

Kiedy zadzwoniła komórka, sięgnęłam po nią jedną ręką, drugą trzymając kierownicę.

- Detektyw Pribek? Mówi Lou Vignale z Pierwszego Komisariatu...

- Cześć, Lou - powiedziałam. - Co się stało?

- Mam tu dziewczynę, która twierdzi, że jest twoją informatorką. Nazywa się Ghislaine Morris.

- Ghislaine? - Akurat o niej w ogóle ostatnio nie myślałam. - Tak, znam ją. Za co ją aresztowaliście?

Vignale nie powiedział, że Ghislaine została aresztowana,

ale miałam przecucie. Wszystko, co wydarzyło się tego dnia, było raczej mało przyjemne.

- Za kradzież w sklepie - odparł Vignale. - Poszła do Marshall Field's i upchnęła sporo rzeczy pod kocem w dziecięcym wózku, a teraz mówi, że pomaga ci w jakiejś sprawie i że na pewno chciałabyś, byśmy ją zwolnili.

- Co takiego?! - Wolną ręką odgarnęłam włosy z czoła. Może Shiloh miał rację, może faktycznie nie powinnam była korzystać z jej usług...

- Coś jej się pomyliło - powiedziałam. - Nie pomaga mi w żadnej sprawie, to jakieś nieporozumienie.

- Uprzedziła mnie, że możesz powiedzieć coś takiego, i prosiła, żeby przypomnieć ci o jakimś facecie z bloków, o jakimś doktorze, czy jakoś tak...

Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam. O cholera jasna, pomyślałam. Ghislaine próbowała mną manipulować, ale nie była głupia. Musiałam jakoś to załatwić.

- Ochrona przyłapała ją na kradzieży, tak? - odezwałam się. - To znaczy, że odzyskali wszystko w stanie nienaruszonym, prawda?

- Tak, ale i tak chcą wnieść oskarżenie.

Była to dość popularna procedura - kierownicy sklepów zawsze surowo traktują przyłapanych na kradzieży, oczywiście dla przykładu. Wiedziałam, że niełatwo będzie odwieść szefa Marshall Field's od tego zamiaru, lecz musiałam spróbować.

- Przyjadę po Ghislaine, a po drodze porozmawiam z szefem zmiany w sklepie - powiedziałam. - Przekaż jej, że niedługo wyjdzie, w porządku?

- W porządku... - w głosie Vignale zabrzmiała nuta dezaprobaty. - Powtórzę, jasne...

Czterdzieści pięć minut później czekałam przy bocznym wyjściu z posterunku. Lou Vignale poszedł po moją domniemaną informatorkę.

Ciężkie drzwi otworzyły się i Ghislaine wyszła na schody. Ubrana była bardzo zwyczajnie, w T-shirt, obcięte do kolan dzinsy i kolorowe

plastikowe klapki, ale roztaczała wokół siebie zapach ciężkich, wieczorowych perfum - najwyraźniej spędziła sporo czasu w dziale z kosmetykami.

- Do widzenia! - zawołała pogodnie do Vignale, który nie odpowiedział. Ghislaine odwróciła się do mnie. - Dziękuję, że tak szybko przyjechałaś, Saro...

- Nie ma za co - odparłam miło. - Gdzie Shadrick? Ghislaine miała przy sobie tylko firmową torbę ze sklepu

Sama Goody'ego.

- Och, niedaleko stąd mieszka moja kumpelka, Flora. Zadzwoiłam do niej z komisariatu i poprosiłam, żeby zabrała Shadricka do domu.

- Przyjechałaś tu autobusem?

- Tak.

- Więc może chciałabyś, żebym cię podrzuciła? Zerknęła na mnie spod oka. Czują, że w zaistniałej sytuacji

moja wielkoduszność jest odrobinę nieuzasadniona.

- Mówisz serio? - upewniła się.

- Jadę w tamtym kierunku - skłamałam.

- Świetnie! - ucieszyła się, znowu bardzo zadowolona z życia.

Kiedy szłyśmy w kierunku parkingu, wsunęła torbę od Sama Goody'ego głębiej pod pachę.

- Nie martw się, nie ukradłam tej torby - poinformowała mnie.

- Wiem - powiedziałam. - Złodzieje sklepowi raczej nie kradną toreb.

- Och, co ty powiesz! - zakpiła, otwierając drzwi samochodu. - Te rzeczy, które gwizdnęłam, były warte najwyżej sto dolców. Gdybym ściągnęła coś naprawdę wartościowego, nie udałoby ci się mnie wyciągnąć.

Wyjechałyśmy na ulicę i zaczęłyśmy przedzierać się przez

centrum Minneapolis w stronę dzielnicy Ghislaine - i Cicera -ale postanowiłam dotrzeć tam bocznymi ulicami.

- To nie jest najkrótsza trasa - zauważyła Ghislaine, opuszczając osłonę przeciwsłoneczną i spoglądając w lusterko.

- Wiem - ściszyłam radio. - Pomyślałam, że wykorzystamy ten dodatkowy czas na krótką rozmowę.

Spojrzała na mnie.

- O czym? - zapytała, poprawiając się w fotelu.

- O tym, co powiedziałaś oficerowi Vignale - że jesteś moją informatorką i pomagasz mi w dochodzeniu w sprawie „lekarza” z trzeciej dzielnicy...

- Przecież to prawda!

- W pewnym sensie. Zadałam ci pytanie, a ty podzieliłaś się ze mną swoją wiedzą na interesujący mnie temat, i tyle. W tej chwili nie pomagasz mi w żadnej sprawie.

Ghislaine utkwiała wzrok w przedniej szybie, jakby na ulicy działo się coś fascynującego.

- Więc o ile się nie mylę, kiedy poprosiłaś oficera Vignale, żeby „przypomniał” mi o twojej domniemanej pomocy, w rzeczywistości groziłaś, że wydasz Cisco, jeśli nie przyjadę i nie wyciągnę cię z aresztu - dokończyłam.

Oczy Ghislaine zabłysły. Wyczytałam w nich niepewność, ale i gotowość przystąpienia do kontraktaku.

- Po prostu przyszło mi do głowy, że to dziwne, bo jakoś nie słyszałam o jego aresztowaniu - powiedziała, udając, że naprawdę stara się mi coś wyjaśnić. - Zastanawiałam się, co dzieje się w tej sprawie, bo przecież sporo ci o nim opowiedziałam, prawda? I w końcu pomyślałam, że może powinnam powiedzieć wszystko jeszcze komuś... - uśmiechnęła się niewinnie. - No bo gdzie jak nie w więzieniu może się czuć lepiej ktoś, kto cierpi na agorafobię... Nie musiałyby wychodzić na zewnątrz przez ładnych kilka lat...

- Cicero nie choruje na agorafobię - rzuciłam twardo.

- Cicero? - powtórzyła.

W tym jednym słowie było całe morze spekulacji. O, do diabła, pomyślałam. Prawdziwe imię Cisca wymknęło mi się zupełnie przypadkiem.

- Czyżby ten facet nagle został twoim najlepszym przyjacielem? - zapytała wymownym tonem.

Ghislaine widziała mnie ostatnio w okolicy, nie zapomniałam tamtego spotkania w autobusie. I zapamiętywała wiele rzeczy, które słyszała, co czyniło ją dobrą informatorką... Zastanawiałam się, ile tak naprawdę wiedziała o moich powtarzających się wizytach u Cicera. Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że wiedziała wystarczająco dużo. Odgadła, że jej groźba złożenia donosu na Cicera poskutkuje, a ja nieświadomie potwierdziłam jej przypuszczenia, załatwiając sprawę kradzieży w sklepie.

Zahamowałam przy krawężniku.

- Co robisz? - zapytała, rozglądając się po bocznej ulicy, na której się zatrzymałyśmy, z obu stron zabudowanej kamienicami z rudej cegły.

- Tu wysiadasz - powiedziałam.

- Ale to ponad kilometr od mojego domu! - zaprotestowała.

- Wiem - odparłam. Oparłam się łokciem o kierownicę i odwróciłam twarzą do niej. - Przyda ci się krótki spacer. Powinnaś otrzeźwieć, poukładać sobie różne sprawy w głowie i dobrze się zastanowić, czy aby na pewno mądrze robisz, próbując manipulować mną jak kukiełką...

Jej pociągnięte koralową szminką wargi rozchyliły się ze zdziwienia.

- A teraz posłuchaj mnie uważnie - ciągnęłam. - Nie muszę tłumaczyć się przed tobą z tego, jak pracuję, a ty nie masz prawa mnie o to pytać, rozumiesz? Nie masz też prawa powoływać się na mnie, kiedy wpadniesz na kradzieży, i nie wolno ci wspominać nikomu o Ruizie. Jeżeli któraś z tych zasad wyleci ci z głowy, postaram się, żebyś wylądowała w rajcu dla

cierpiących na agorafobię, jasne? - Położyłam rękę na dźwigni zmiany biegów. - Teraz zabieraj się stąd!

Ghislaine mocno zacisnęła wargi, ale wysiadła, głośno szeleszcząc torbą. Nie zamknęła za sobą drzwi.

- Nie wiedziałam, że masz takie problemy, detektyw Pri-bek - powiedziała zjadliwym tonem.

Zatrzasnęłam drzwi i przesunęłam dźwignię.

- Jeżeli tak podobają ci się kaleki, to w Minneapolis nie brakuje białych niepełnosprawnych! - wrzasnęła za mną. - Najlepiej wybierz się do szpitala dla weteranów i wybierz sobie jednego!

Rozdział 29

Minęło kilka dni. Uspokojona obecnością Aidana w domu Hennessych, zaczęłam wracać na noc do siebie.

Pewnego wieczoru siedziałam przed telewizorem i przeskakiwałam pilotem z kanału na kanał. Co jakiś czas zatrzymywałam się na moment na programach informacyjnych. Na którymś kanale przez chwilę oglądałam program o badaniach prowadzonych w laboratoriach kryminalistycznych, ale szybko znowu zmieniałam kanał.

Ogólnie rzecz biorąc, starałam się nie myśleć o Grayu Diazie, podobnie jak o Cicerze Ruizie. Nieskończony list do Shiloha leżał na stole, zagrzebany pod stosem gazet i rachunków do zapłacenia. W pracy nie działo się nic ciekawego.

Któregoś dnia, wracając z przesłuchania w sprawie, która utknęła na mieliźnie, mijałam przystanek autobusowy. Nagle zwolniłam na widok znajomej sylwetki. Aidan Hennessy... Zatrzymałam się, poznałam mój samochód i podszedł.

- Czemu stanęłaś? - zapytał, osłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca.

W tamtej chwili ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że

bardzo lubię Aidana Hennessy'ego. Może to dziwne, ale w jego obecności czułam się swobodniej niż w towarzystwie jego rodzeństwa, i to mimo tego, jak zaczęła się nasza znajomość. Dużo więcej czasu spędzałam z Marlinchen i naprawdę ją lubiłam, lecz jej częste zmiany nastrojów, bezustanna czujność, ważenie słów czasami bardzo mnie męczyły. Aidan Hennessy był lakoniczny i mało skomplikowany, i chyba dlatego uważałam go za bratnią duszę, czego z pewnością nie mogłam powiedzieć o innych Hennessych.

- Pomyślałam, że może trzeba cię podwieźć. Aidan wsiadł do samochodu.

- Nie jadę do domu - poinformował mnie. - Wybrałem się na zakupy. Obiecałem przygotować dziś kolację i potrzebuję kilku rzeczy...

- W porządku. Mogę podrzucić cię do sklepu i tam zostawić albo też odwieźć cię z zakupami do domu, jeżeli najpierw pojedziesz ze mną do miasta. Muszę na chwilę wstąpić do pracy, mam tam jeszcze coś do załatwienia.

- Jasne - zgodził się Aidan. - Nie śpieszy mi się. Wrzuciłam trzeci bieg, usiłując wjechać na autostradę 394 przed zbliżającą się szybko ciężarówką.

- Znalazłem pracę - odezwał się Aidan, kiedy byliśmy już na przedmieściach.

- Naprawdę? To wspaniale! Gdzie?

- W szkółce. Nie, nie w szkole dla małych dzieci, tylko w szkółce leśnej, tam, gdzie sadi się drzewka. Pieniądze niewielkie, ale w domu przyda się każdy grosz. - Przerzucił związane w kitkę włosy na drugie ramię, żeby trochę ochłodzić skórę.

Przejechaliśmy kilka kilometrów w milczeniu. Promienie zachodzącego słońca zajrzały prosto w boczną szybę, która natychmiast przybrała nowy, lekko fioletowy kolor.

- Masz na oknach jakąś dziwną mgiełkę - zauważył Aidan, pocierając szybę palcem.

- Wiem.
- Nie chce zejść... - zatroskał się.
- Nie przejmuj się. I tak nie zejdziesz.
- Musisz naprawdę bardzo lubić ten samochód... Milczałam.

Aidan pojechał ze mną windą do biura i spokojnie usiadł przy oknie. Nie odzywał się, ale rozglądał dookoła, chyba zdziwiony, że wydział detektywistyczny praktycznie niczym nie różni się od zwyczajnej firmy. Przełączyłam pocztę głosową na mój pager, zamieniłam parę słów z Vangiem i zakończyłam pracę na ten dzień.

W supermarkecie Aidan znalazł wszystko, co było mu potrzebne - taniego kurczaka, ziemniaki i cebulę. Kupił także colę dla siebie i dla mnie, i zapłacił pieniędzmi z domowego funduszu Hennessych. Potem wyszliśmy na parking, prosto w wieczorny upał, i przystanęliśmy.

Nie dostrzegłam nowej. Ze zwykłego lenistwa, ponieważ nie chciało mi się objeżdżać całego parkingu w poszukiwaniu dobrego wolnego miejsca, zaparkowałam na samym końcu, ale teraz samochód zniknął.

- Co jest, do diabła? - mruknęłam.
- Tam! - zawołał Aidan.

Wskazał półciężarówkę z przyczepą do przewożenia koni, stojącą na końcu parkingu. Wydawało mi się, że za nią nie ma już żadnego samochodu, ale teraz za oknem tamtego wozu dostrzegłam fragment dachu nowej.

- Facet źle zaparkował - powiedziałam. - Zajął aż dwa miejsca parkingowe, poza tym to nie miejsce dla pojazdów z przyczepami... Chyba powinnam wypisać mu mandat.

Szliśmy przez parking w kierunku mojego samochodu.

- Masz przy sobie bloczek mandatowy? - zapytał sceptycznie.
- Jestem policjantką - odparłam, obchodząc przyczepę dookoła. - Nawet jeżeli wypiszę mandat na paragonie ze sklepu,

i tak będzie ważny w sądzie, w każdym razie tak mi się wydaje...

- Tak ci się wydaje? - parsknął śmiechem.

- Jasne - kiwnęłam głową. - Gdzie masz swój paragon? Zaraz... O Jezu!

Odkoczyłam do tyłu, brunatny strumień coli wytrysnął z puszkii. Duży pies poderwał się z tylnego siedzenia półcią-żarówkii, ujadając i warcząc, i dopadł do okna, na szczęście zamkniętego, w odległości zaledwie kilku centymetrów od naszych twarzy.

- Cholera jasna! - wykrztusiłam.

Doberman wciąż nas obszczekiwał, przyciskając ostro zakończony, zaśliniony pysk do szyby i szczerząc zęby. Szybko przeniosłam wzrok na Aidana, który upuścił torbę z zakupami na asfalt i zgiął się wpół, opierając dłonie na udach, jakby miał kłopoty z utrzymaniem równowagi.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Tak... - kiwnął głową. Twarz miał białą jak prześcieradło. - Wszystko w porządku... - zaśmiał się niepewnie, z wyraźnym trudem. - Twardziel ze mnie, co? Przestraszyłem się zamkniętego w samochodzie psa...

- Ja też się przestraszyłam...

Wziął głęboki oddech, podniósł torbę i wyprostował się.

- Chodźmy - powiedział. Odezwał się dopiero na autostradzie.

- Boję się psów - wyjaśnił. - Z powodu mojej ręki...

- Jasne... Pamiętasz dzień, kiedy straciłeś palec? Chodzi mi o to, czy naprawdę pamiętasz, jak to się stało...

- Został mi w pamięci taki obraz... - zaczął. - Widzę moją dłoń z oderwanym w połowie palcem i krew... Pies nie odgryzł mi palca do końca, ale... Zaraz, jak to się określa? Uszkodził połączenia nerwowe, więc lekarz musiał amputować, nie miał innego wyjścia... - Spojrzał na mnie, chyba sprawdzając, czy te nieprzyjemne szczegóły mnie nie rażą; zorientował się, że

nie zbladłam, więc się uspokoił. - U nasady palca, pod główną raną, widniał ślad po zębie - pies chwycił tam najpierw, potem puścił i złapał znowu, tym razem mocniej. Pamiętam ten ślad, takie niewielkie zagłębienie, które dopiero zaczęło wypełniać się krwią. Teraz mam tu bliznę - wyciągnął lewą dłoń, żeby pokazać mi różowy ślad pod kikutem.

- Co to był za pies? - spytałam, przenosząc wzrok znowu na szosę.

- Chyba pitbull - odrzekł. - Pamiętam biały pysk ze spiczastymi uszami...

- Pitbulle zupełnie nie pasują do okolicy, w której mieszkacie - mruknęłam.

- Wiem - przytaknął. - To dziwne... Długą chwilę jechaliśmy w milczeniu.

- Co robiłeś, kiedy w Georgii miałeś trochę czasu dla siebie? - zapytałam, świadoma, że nie ma to związku z poprzednim tematem naszej rozmowy.

- W wolnym czasie? Na farmie właściwie nie było co robić...

- Może polowałeś? - podsunęłam. - Albo strzelałeś do celu?

- Nie, nie polowałem, ale raz rzeczywiście strzelałem do celu, do ustawionych na płocie puszek.

- Co czułeś, trzymając broń w ręku?

- To było nudne. - Aidan wzruszył ramionami. - Postrzelałem sobie, w porządku, ale nigdy więcej nie miałem na to ochoty.

- Denerwowałeś się, czułeś się niepewnie? - drażyłam.

- Raczej nie. Czemu pytasz? Prowadzisz nabór do akademii policyjnej?

- Nie... - z rozbawieniem potrząsnęłam głową. - Moja praca naprawdę nie polega na strzelaniu, wiesz? Oczywiście przechodzi się odpowiednie szkolenie, inaczej nie dostanie się broni do ręki, ale większość policjantów dożywa wieku emery-

talnego, do nikogo nie strzelając. Ja nigdy nie musiałam tego robić, na szczęście...

- Już chciałem ci poradzić, żebyś pogadała z Colmem -uśmiechnął się Aidan. - Gdyby Hugh nie miał nic przeciwko temu, Colm zgromadziłby w domu spory arsenał.

- Tak... Colm mówił mi, że wasz ojciec nienawidzi broni palnej.

Obserwując rodzinę Hennessych, można było odnieść wrażenie, że patrzy się przez pryzmat. Różne linie przecinały się, krzyżowały, ale nie tworzyły układów równoległych ani przedłużeń. Hugh uwielbiał stare pistolety i przechowywał kilka w gabinecie - nie, Hugh nienawidził broni palnej i nie wyobrażał sobie, że mógłby mieć w domu choćby jeden pistolet. Marlinchen bała się głośnych dźwięków, ale Aidan nie bał się broni, natomiast psy budziły w nim paniczny lęk. Nie pasowało to do moich teorii o gabinecie Hugh, nie wiedziałam, czy w ogóle będę mogła kiedyś ułożyć z tych kawałków spójną całość.

- A ty? - głos Aidana wyrwał mnie z zamyślenia. - Polowałaś kiedyś?

- Ja?

- Mieszkałaś przecież w górach Nowego Meksyku, prawda? Dużo ludzi jeździ tam polować albo łowić ryby.

Potrząsnęłam głową.

- Kiedy mieszkałam w Nowym Meksyku, przez pewien czas fascynowało mnie strzelanie z kuszy, która należała do mojego starszego brata - powiedziałam. - Któregoś dnia zastrzeliłam z niej młodego jelenia. Nie pamiętam, czy celowałam świadomie, czy był to przypadek, ale wiem, że później już nigdy nie miałam ochoty polować, więcej, nie mogłam znieść myśli o polowaniu... - Wsunęłam opadające pasmo włosów za ucho. - Ale moja awersja do polowania nie jest aż tak głęboka, żebym miała odmawiać sobie jedzenia mięsa na przykład...

- To dobrze - oświadczył Aidan. - Wobec tego możesz zostać na kolacji, jeżeli masz ochotę.

Przygotowany przez Aidana posiłek - pieczony kurczak i puree z ziemniaków plus zielona sałata - był prosty i sycący, chociaż nie tak dobrze przyprawiony jak dania, które wychodziły spod ręki jego siostry. Przy stole dzieciaki rozmawiały o końcowych egzaminach, zbliżających się wakacjach i wyprawie na cmentarz, na grób matki, którą planowali z okazji jej urodzin.

- Donal, może masz ochotę pooglądać telewizję? - zapytała Marlinchen po kolacji. - Bo my musimy tu porozmawiać o różnych nudnych sprawach...

Dużo dzieci, słysząc takie słowa, natychmiast nastawiłoby radary - wiedzą przecież, że hasło „różne nudne sprawy” w rzeczywistości oznacza bardzo interesujące sprawy dorosłych, ale Donal wziął propozycję siostry za dobrą monetę, wstał od stołu i poszedł do dużego pokoju.

- Rozmawiałam dziś o tacie z panią Andersen - zaczęła Marlinchen po wyjściu najmłodszego brata.

Przypomniałam sobie to nazwisko, bo wcześniej widziałam je na tablicy ogłoszeniowej w szpitalu Park Christian. Pani Andersen była pracownikiem opieki społecznej.

- Jak czuje się ojciec? - zapytał Colm.

- Dobrze, jego stan wciąż się poprawia, ale o tym przecież wiecie... Pani Andersen powiedziała mi nawet, że można by przewieźć go do domu.

Wyczułam, że Aidan zeszywniał na krześle obok mnie, jednak się nie odezwał.

- Nadal będzie musiał odbywać fizykoterapię i ćwiczyć mowę, ale wszystko to można robić poza szpitalem - ciągnęła Marlinchen. - Uzgodniłam z nią, że w przyszłym tygodniu zabierzemy go do domu...

- Chwileczkę... - przerwał jej Aidan. - Tak po prostu, już w przyszłym tygodniu? Chyba powinniśmy o tym porozmawiać...

- Omówiłabym to z wami wcześniej, gdybyśmy mieli jakiś wybór - wyjaśniła Marlinchen. - Ale nie mamy wyboru. Ubezpieczenie ojca nie pokrywa pobytu w szpitalu w sytuacji, gdy lekarze zalecają dalsze leczenie w warunkach domowych... - rozprostowała kawałek listka sałaty na swoim talerzu, lecz go nie zjadła. - Zdajecie sobie sprawę, jaka jest nasza sytuacja finansowa... Nie stać nas na opłaty za szpital.

- Czy prowadzenie terapii w domu i zapewnienie mu opieki nie będzie nas także sporo kosztowało? - zapytał Aidan.

Marlinchen wyprostowała się z pewną siebie miną.

- Właśnie o to chodzi - powiedziała. - Ubezpieczenie ojca pokrywa leczenie w domu, terapeuci mogą przyjeżdżać do niego, a jeśli chodzi o opiekę, to cóż... Nie możemy sobie pozwolić na pielęgniarkę czy opiekunkę, ale tata nic wymaga już pełnej, całodobowej opieki... Znaczy to, że trzeba będzie pomagać mu w wykonywaniu niektórych czynności, lecz na pewno nie wszystkich.

Jeżeli komuś z nich przeszkadzała moja obecność w czasie rodzinnej rozmowy, w żaden sposób nie dali mi tego do zrozumienia.

- Ta sytuacja ulegnie poprawie, w miarę jak ojciec będzie dalej brał zabiegi - ciągnęła Marlinchen. - Nie będzie to dla nas wielkim obciążeniem, zwłaszcza że jest nas pięcioro. Podzielimy się obowiązkami i...

- Na mnie nie licz - rzucił Aidan.

Marlinchen spojrzała na niego z uprzejmym zdziwieniem, jakby się przestyszała.

- Dostałem pracę. Pomogę wam finansowo, ale nie będę zanosił mu posiłków ani siedział z nim i udawał... Udawał, że...

Liam wpatrywał się w dywan, wyraźnie zmieszany. Twarz Colma wydawała się zupełnie obojętna.

- Aidan... - odezwała się Marlinchen miękkim, błagalnym tonem.

Przez krótką, cudowną chwilę miała wrażenie, że wszystko w jej świecie układa się tak, jak powinno. Aidan wrócił do domu, mogła liczyć na to, że ojciec w pełni odzyska zdrowie, lecz teraz fasada znowu zaczęła się kruszyć.

- Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Linch? - zapytał Aidan. - Chcesz, bym cię zapewnił, że tamto już nie boli, czy żebym udawał, że to w ogóle się nie wydarzyło?

Marlinchen zależało właśnie na czymś w tym rodzaju. Pragnęła przykryć całą brzydotę rodzinnych spraw psychologiczną sztuczną trawką.

- Wiem, że masz do niego uzasadnione pretensje - zaczęła. - Ale przecież tata miał udar, mógł umrzeć... Takie doświadczenia bardzo zmieniają ludzi. Możliwe, że choroba pomogła mu zrozumieć pewne rzeczy...

Mógł, możliwe... Wszystko to były przypuszczenia, w dodatku oparte na bardzo wątych podstawach, jeżeli w ogóle można było mówić o jakichkolwiek podstawach.

- Jeśli nie przekreślisz możliwości, że się zmienił, to będziemy mieli szansę zacząć od nowa - ciągnęła. - Nie rób tego, proszę...

Aidan pokręcił głową.

- Jestem przekonany, że się nie zmienił, i nie chcę mieszkać w tym samym domu co on.

- Nie rozumiem - powiedziała Marlinchen. - Więc gdzie będziesz mieszkał?

- Tam - wskazał dłonią wolno stojący garaż.

- O nie! - Do rozmowy niespodziewanie wtrącił się Colm. - To moje miejsce! Nie przeniosę swoich rzeczy, żebyś mógł się tam wprowadzić.

- Twoja minisłownia naprawdę nie jest w tej chwili najważniejsza - rzuciła Marlinchen. - Nie o tym rozmawiamy...

- Właśnie o tym. - W głosie Colma zabrzmiała nieoczekiwanie ostra nuta.

- Chyba już pójdę... - mruknąłam, ale nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek mnie usłyszał.

- Skoro on nie chce pomóc w opiece nad tatą, to w ogóle powinien się stąd wynieść - oświadczył Colm. - I jeżeli nie chce mieszkać w tym domu, to...

- Przestań mówić o swoim bracie w taki sposób, jakby go tu nie było!

- Lepiej będzie, jeżeli wynajmie sobie mieszkanie, do cholery! - dokończył Colm. - Zresztą to on zawsze mówi o tacie jak o kimś obcym, nie o ojcu! Mówi o nim: „Hugh”! Jeżeli nie ma ochoty nam pomagać...

- Pomaga nam! - przerwała mu znowu Marlinchen. - Znalazł pracę i...

- Mam gdzieś jego pieprzoną pracę! - wybuchnął Colm. - Nie potrzeba nam tych pieniędzy! Świetnie radzimy sobie sami!

- My? - powtórzyła Marlinchen. - Nam nie potrzeba pieniędzy? Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz! Nie ty sprawdzasz wyciągi z konta ojca, nie ty wycinasz kupony z gazet, żeby taniej kupić jedzenie!

- Linch... - odezwał się cicho Aidan. - Spokojnie, dobrze?

- Nie prosiłem go, żeby wracał do domu, i wisi mi, czy zostanie, czy nie! - Colm zerwał się z krzesła, którego tylne nogi przeraźliwie zgrzytnęły o podłogę, i wypadł z kuchni.

Nagle zrobiło się tak cicho, że usłyszałam tykanie starego szwajcarskiego zegara, dobiegające z dużego pokoju, a potem muzykę, towarzyszącą reklamie telewizyjnej.

- Konstruktywna rozmowa, nie ma co - zauważył sucho Liam.

Aidan także podniósł się zza stołu.

- Jeżeli chcesz, możesz na mnie nakrzyczeć, ale idę zapalić - powiedział do Marlinchen.

Dziewczyna w milczeniu potrząsnęła głową, dając bratu do zrozumienia, że nie zamierza robić mu wykładów na temat szkodliwości palenia. Aidan wyszedł.

- Pozmywam po kolacji - oświadczył Liam.

Kiedy zostaliśmy przy stole tylko we dwie, Marlinchen otarła łzy.

- Nie rozumiem, co się dzieje... - przyznała bezradnie. - Aidan nauczył Colma pływać i dobrze łapać piłkę... Kiedyś Colm chciał być dokładnie taki jak Aidan...

Spojrzałam w okno i zobaczyłam przechadzającego się po tarasie Aidana. Chłopak odchylił głowę do tyłu i wypuścił obłoczek dymu z nosa.

- Pozwól mi porozmawiać z Colmem, dobrze? - zaproponowałam.

Głuche dudnienie, przypominające nieregularne uderzenia serca, wyraźnie dobiegało zza ściany garażu. Usłyszałam je, jeszcze zanim uchyliłam drzwi.

W środku ciężki worek, zawieszony pod sufitem, podskakiwał pod gradem ciosów, którymi obsypywał go Colm. Wciąż miał na sobie te same spodnie od dresu firmy Adidas, w jakich był na kolacji, ale od góry przebrał się w podkoszulek w stylu macho, a na ręce włożył czarne boksyerskie rękawice.

Nie byłam fanką boksu, ale od czasu do czasu widywałam zawodowe walki i teraz od razu się zorientowałam, że Colm jest naprawdę niezły. Nie popełniał typowych dla amatorów błędów, nie cofał się przed workiem, uderzał z bliska, szybko, nie wymachując ramionami.

- Przytrzymać ci worek? - zapytałam.

Jego uderzenia były na tyle mocne, że worek tańczył w kółko.

- Lubię, jak się porusza - odpowiedział. - Symuluje wtedy żywego przeciwnika, który może w każdej chwili wykonać unik...

- Przeciwnika, który nie ma ramion i nie jest w stanie uciekać - zauważyłam.

Colm posłał mi ostre spojrzenie spod zmrużonych powiek, a kopniak, który wymierzył w worek, ledwo musnął pokrowiec. Podeszłam bliżej i przytrzymałam worek, unieruchomiłam go ramionami.

- Kiedy worek jest nieruchomy, łatwiej pracować nad formą - wyjaśniłam.

Zawsze czułam się swobodnie w siłowniach i salach gimnastycznych, także w towarzystwie odwiedzających je mężczyzn. Prawdopodobnie Colm i ja mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Mogliśmy sobie miło porozmawiać, ale chłopak był wściekły. Z całej siły kopnął worek od przodu, mocno odbijając się z pięty. Zależało mu, żebym straciła równowagę, i prawie się udało. Utrzymałam się na nogach wyłącznie dlatego, że czujnie obserwowałam jego stopy, zauważyłam, że szykuje się do potężnego kopnięcia, i całym ciężarem podparłam worek.

Colm zmienił taktykę i kopnął worek wysoko, trafiając mnie w prawą rękę. Zaskoczył mnie, bo byłam pewna, że trzymam dłoń poza jego zasięgiem. Nie było to mocne uderzenie -gdyby chciał, mógłby złamać mi parę kości, bo przecież nie nosiłam rękawic. Próbował tylko pokazać mi, na co go stać, ale osłabił efekt, unikając mojego spojrzenia.

- Jesteś bardzo giętki - powiedziałam. - Myślałeś może o balecie zamiast kickboxingu?

Zirytowany, kopnął znowu, jeszcze wyżej, i znowu trafił mnie w rękę. Jednak tym razem chwyciłam go za piętę i mocno pociągnęłam ku sobie. Stracił równowagę i upadł.

O co właściwie chodzi? - warknął, patrząc na mnie ze złością.

- Czy myślisz czasami o tym, co wasz ojciec zrobił Aidanowi? - zapytałam prosto z mostu. - O tym, jak go traktował?

Colm pozbierał się z podłogi.

- Może Aidan zasłużył sobie na to! - rzucił. - Nie spotkało to nikogo z nas! Nie sądzisz, że to dziwne? Że może zrobił coś, co ściągnęło na niego złość ojca?

- Na przykład co? - przekrzywiłam głowę. - Powiedz mi, co takiego zrobił...

Dolna część policzka Colma zadrgała nerwowo, twarz chłopaka była czerwona ze złości i zmęczenia.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Wyszedł, z rozmachem zatrzaskując drzwi.

Kolejny wielki sukces Sary Pribek, specjalistki w dziedzinie komunikacji międzyludzkiej, pomyślałam. Cóż, ja zaczęłam starcie z Colmem i ja musiałam je zakończyć.

Znalazłam go pod magnolią. Zdjął już rękawice i właśnie zabrał się do ściągania plastrów w kolorze skóry, którymi zabezpieczał knykcie.

- Gdyby rodzina Hennessych miała swój herb, na pewno widniałoby na nim motto: „Nie chcę o tym rozmawiać” - powiedziałam, siadając obok niego.

Kąciki warg Colma uniosły się w lekkim uśmiechu, oczywiście wbrew jego woli. Nagle zdałam sobie sprawę, że kiedy się uśmiecha, jest naprawdę przystojny, i że zwykle widywałam go z ponurym wyrazem twarzy.

- Tam, w garażu, stałeś w niewygodnej pozycji, dlatego przewróciłam cię bez trudu - zauważyłam. - Byłeś też rozstrojony emocjonalnie, więc wyprowadziłam cię z równowagi zaledwie dwoma pytaniami...

Colm powoli oderwał ostatni plaster.

- Byłeś rozstrojony i wściekły - powtórzyłam. - Niewiele rzeczy budzi w nas taki gniew jak dręczące nas poczucie winy...

Półuśmiech zniknął z twarzy Colma. Spojrzał na mnie ostrożnie.

- O czym mówisz?

- Kiedy twoja siostra i brat ukrywali Aidana w garażu, ty doniosłeś ojcu o jego powrocie. Skazałeś go na wygnanie do

Georgii, a wcześniej zrzuciłeś na niego winę za wybitą szybę. A kiedy niedawno Marlinchen i Liam przekonywali mnie, żebym go nie aresztowała, ty przyniosłeś mi kajdanki...

- Rozumiem... - pokiwał głową z goryczą. - To ja jestem największym dupkiem w rodzinie...

- Nie - odparłam. - Ale czasami najtrudniej przychodzi nam wybaczyć innym ludziom zło, które sami im wyrządziliśmy... W odruchu samoobrony wmawiasz sobie, że to z Aida-nem coś jest nie w porządku.

Colm wyrwał kępkę trawy, odsłaniając sypką, czarną ziemię.

- I coś jeszcze... - dodałam. - Moim zdaniem czujesz gniew, bo uważasz, że Aidan cię zawiódł.

Odrzucił na bok kolejną kępkę.

- Święty Aidan? - rzucił kwaśno. - Bohater, który wrócił do domu, żeby wesprzeć nasz budżet swoimi zarobkami i pomóc Marlinchen w trudnej sytuacji? Święty Aidan nie mógłby przecież zrobić nic złego...

- Przestraszył cię - powiedziałam. Popatrzył na mnie pytająco.

- Wiele lat temu był twoim idolem, chciałeś być dokładnie taki jak on. Potem zobaczyłeś, że wobec wybuchów wściekłości ojca jest kompletnie bezradny i bezbronny. To musiało być przerażające. Nie mogłeś winić ojca, bo Hugh był jedynym rodzicem, jaki wam pozostał, więc po prostu przeszedłeś na jego stronę. Zacząłeś we wszystkim przytakiwać ojcu i wmówiłeś sobie, że to z Aidanem musi być coś nie tak, skoro ojciec źle go traktuje. Bo przecież jeżeli Aidan nie był niczemu winny, to było jasne, że to samo może spotkać każde z was, także i ciebie...

Mięśnie szyi Colma zadrgały spazmatycznie. Nie spodziewałam się łez, ale to też wydało mi się obiecujące.

- Później zrobiłeś z siebie karykaturę twardziela - ciągnęłam. - Chciałeś stać się silniejszy od Aidana, za wszelką

cenę, ale oczywiście to było kompletnie bez sensu, ponieważ Aidan nie mógł rozwiązać twoich problemów. Sam wiesz, że tak właśnie było.

Nerwowo wyrwałam kępę trawy, bo raczej źle się czułam w roli psychologa amatora. Jeszcze trochę, a Colm i ja ogołocimy z trawy cały teren pod ukochanym drzewem jego matki, pomyślałam.

- Lubię walczyć - odezwał się Colm. - Lubię zapasy, boks i podnoszenie ciężarów, lubię te sporty, teraz już mi nie zależy, żeby okazać się twardzielem...

- Wierzę ci - powiedziałam. - Ale zapal do uprawiania sportu też ma swoje granice. Jeżeli chcesz pogodzić się z obecnością Aidana w domu, to chyba musisz z nim porozmawiać. Uciekanie do siłowni i walenie w worek treningowy niczego nie załatwi.

- Tak... - rzekł cicho. - Tak, masz rację... Odetchnęłam z ulgą. Zrobiłam to, co miałam zrobić, a teraz

chciałam już tylko pojechać do domu, zanim powiem coś, czego nie powinnam powiedzieć, i wszystko zepsuję.

- No, wstawaj. - Z uśmiechem klepnęłam go w ramię. - Chodźmy do domu.

Rozdział 30

Doktor Leventhal, psycholog pracująca w naszym wydziale, była drobną, szczupłą kobietą z pięknymi, szpakowatymi lokami i bardzo słabym brytyjskim akcentem, skorodowanym po wielu latach życia w Ameryce. Nigdy nie miałam szansy czy raczej potrzeby, aby z nią współpracować, poczułam więc prawdziwe zaskoczenie, kiedy okazało się, że zna moje nazwisko.

- Detektyw Pribek... - powiedziała, kiedy wsunęłam głowę do jej gabinetu. - Może pani wejść, nie jestem zajęta...

Wyglądała wyjątkowo elegancko w blad różowym kostiumie, z małą złotą gwiazdą Dawida na szyi, i chociaż byłam w stroju, który zwykle wkładałam do pracy, w obecności doktor Leventhal poczułam się jak chart, zgoniony i brudny po długim spacerze w deszczowy dzień.

- Chciałam tylko zadać pani krótkie pytanie... - powiedziałam. - Tak naprawdę niczego nie potrzebuję...

- Proszę bardzo - uśmiechnęła się. - Pomogę, jeżeli tylko będzie to w mojej mocy...

- Przedstawię pani hipotetyczną sytuację, dobrze? - zaczęłam. - Gdyby komuś stale od trzeciego czy czwartego roku życia powtarzano, że właśnie w tym wieku został poważnie pogryziony przez psa, to czy ten ktoś mógłby uformować w sobie żywe, wyraźne wspomnienie takiego wypadku, nawet gdyby w ogóle się nie zdarzyło? Wspomnienie prawie wizualne?

Ponieważ była psychologiem, spodziewałam się długiego i nieprowadzącego do żadnych ostatecznych wniosków wyводу, ale się myliłam.

- Tak - odparła doktor Leventhal. - Istotny jest tu wiek. Trzy lub cztery lata to próg banku wspomnień, tak się dziś uważa. Niezależnie od tego nawet dorośli rozwijają w sobie nierzeczywiste wspomnienia, kiedy psychologowie zachęcają ich do tego.

- Dlaczego psycholog miałby zachęcać kogoś do tworzenia fałszywych wspomnień?

- W celach eksperymentalnych - powiedziała. - Czasami prosi się wtedy o pomoc brata lub siostrę tej osoby, aby ponaglali ją do „przypomnienia sobie” epizodu z dzieciństwa, który tak naprawdę w ogóle się nie wydarzył. W takich okolicznościach często bywa tak, że osoba ta przyznaje, iż coś takiego się zdarzyło, a czasami z własnej inicjatywy dodaje pewne szczegóły, które właśnie sobie „przypomniała”... - przerwała na chwilę. - Szanse powodzenia eksperymentu zależą głównie od tego, jak łatwowierna jest osoba, o którą chodzi, i jak żywą

ma wyobraźnię, a także od tego, kto próbuje ją przekonać -słowo starszego brata czy siostry ma zwykle większą wagę niż młodszego rodzeństwa. Kto w tym wypadku wmawiał dziecku wspomnienia?

- Jedno z rodziców.

- To modelowa sytuacja. - Doktor Leventhal pokiwała głową. - Pamięć bywa sługą potrzeb emocjonalnych. Jeżeli dziecko mocno pragnęło uwierzyć w to, co słyszy, z całą pewnością mogło zbudować wymagane wspomnienie, a równocześnie rozwijał się w nim towarzyszący fałszywemu wspomnieniu strach. Czy dziecko, o którym pani mówi, otrzymało pomoc hipnoterapeuty w posortowaniu wspomnień?

Potrząsnęłam głową.

- Czy to źle? - zapytałam po chwili.

- Cóż, nieetyczne praktyki hipnoterapeutyczne często prowadzą do tworzenia fałszywych wspomnień... Najczęściej dotyczy to terapeutów, którzy zajmują się pomocą dla ofiar przemocy seksualnej. Kiedy pacjent chce „zadowolić” terapeutę, często zgadza się na wiele sugerujące pytania, zadawane w czasie seansu hipnotycznego, na przykład: „Czy w pokoju jest z tobą ktoś jeszcze?”.

- To nie taki przypadek - powiedziałam. - Ten chłopiec w ogóle nie otrzymał żadnej pomocy psychologicznej.

- Oczywiście nie chcę całkowicie dezawuować hipnozy, ale trzeba przyznać, że nasza wiedza o niej nadal jest dość ograniczona - ciągnęła doktor Leventhal. - To samo dotyczy pamięci. Wie pani, co to jest „pamięć ekranowa”?

Zaprzeczyłam.

- Psycholodzy mają pewne problemy z jej zdefiniowaniem, ale w gruncie rzeczy chodzi o to, że pamięć ekranowa jest mechanizmem obronnym. Otóż zdarza się, że pacjenci, którzy mają za sobą traumatyczne przeżycia, początkowo nie mogą sobie ich przypomnieć, doskonale pamiętają natomiast prostsze, łatwiejsze do przyjęcia zdarzenia.

- Na przykład? - zagadnęłam, zainteresowana trochę wbrew sobie.

- Na przykład pacjent może przedstawić taki opis: „Wyrząłem przez okno i zobaczyłem dwie wrony na podwórku sąsiada”, kiedy w rzeczywistości widział mężczyznę znęcającego się nad kobietą. Umysł odsuwa obraz, który okazał się nie do zaakceptowania, i w jego miejsce tworzy inny, który służy jako ekran...

Musiąca dostrzec zdumienie na mojej twarzy, bo uśmiechnęła się lekko.

- Umysł potrafi bronić się z ogromną determinacją - dodała.

- To fascynujące... - mruknęłam.

- Widzę, że naprawdę panią zaciekawiłam. Na początku rozmowy stała pani w progu, a teraz podeszła pani do mojego biurka...

Zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście stoję tuż przed nią.

- Ale chyba jest pani trochę wystraszona - podjęła doktor Leventhal. - Zapewniam panią, że nigdy nie przypinam ludzi pasami do fotela i nikogo nie zmuszam do zwierzeń z okresu dzieciństwa...

- Dobrze się składa - oświadczyłam. - Bo moje wspomnienia zanudziłyby panią na śmierć. Miałam bardzo zwyczajne, nudne dzieciństwo.

- Większość ludzi uważa, że psychologów interesuje tylko to, co nienormalne - rzekła doktor Leventhal. - Ale to nieprawda. Zdrowe umysły są często równie fascynujące jak te dotknięte problemami... - lekko przechyliła głowę na ramię. - Zastanawiam się jednak, czy jest pani zupełnie szczerą, kiedy określa pani swoje dzieciństwo jako nudne...

- Na szczęście nie pamiętam żadnych wron - rzuciłam z uśmiechem.

*

Jeden z moich kolegów złapał bardzo paskudne letnie przeziębienie i w rezultacie musiałam przez dwie kolejne noce dyżurować przy telefonie w komisariacie i zrezygnować z wizyt u Hennessych. Trzeciego dnia zerknęłam na kalendarz i przez chwilę zastanawiałam się, dlaczego ta data utkwiała mi w pamięci, w końcu jednak przypomniałam sobie - były to osiemnaste urodziny Marlinchen oraz Aidana.

Do letniego przesilenia został jeszcze prawie tydzień, więc na dworze było zupełnie jasno, kiedy wieczorem zaparkowałam samochód na podjeździe przed domem nad jeziorem i podeszłam do wychodzącego na taras francuskiego okna. Zwykle Marlinchen szykowała o tej porze kolację, ale tego wieczoru kuchnia była pusta. Na blatach stały rondle i inne naczynia, lecz Marlinchen nie było. Obeszłam dom i zapukałam do frontowych drzwi.

Gdy Marlinchen stanęła w progu, ubrana w bluzkę koszulową z jedwabiu w odcieniu cynamonu i wąską czarną spódnicę, wyglądała na dorosłą kobietę. Nie zdążyłam jednak wygłosić żartobliwego komentarza, a ona także nie miała czasu się odezwać, ponieważ nagle zauważyłam coś jeszcze.

Przez cały okres naszej znajomości rodzina Hennessych nigdy nie korzystała z dużej jadalni. Dzieciaki najczęściej jadały w kuchni, lecz teraz wszyscy siedzieli przy długim stole w jadalni, oświetlonym ustawionymi w dwóch miejscach świecami. Odwrócili się w moją stronę, a ja natychmiast spostrzegłam, że nie ma wśród nich wysokiej, szczupłej sylwetki Aidana. U szczytu stołu światło odbijało się od solidnej metalowej laski, opartej o krzesło. Podniosłam wzrok i napotkałam jasnoblękitne oczy Hugh Hennessy'ego.

- Och, to ty, Saro! - zawołała Marlinchen, chyba nieco zaskoczona.

- Cześć... - powiedziałam niepewnie. - Nie przyszło mi do głowy, że tak wcześnie usiądziecie do stołu...

- Jemy kolację trochę wcześniej niż zwykle ze względu na tatę -

powiedziała. - Jest zmęczony po przeprowadzce do domu. Przywieźliśmy go dziś po południu.

Ze swego miejsca u szczytu stołu Hugh wciąż obserwował Marlinchen i mnie. Prawdopodobnie nie słyszał nas, ale mimo to poczułam się nieswojo i cofnęłam się za otwarte drzwi. Marlinchen uprzejmie wyszła za mną.

- Nie spodziewałam się, że wasz ojciec tak szybko wróci do domu.

- Załatwiliśmy dziś wszystkie formalności związane z przyznaniem mi pełnomocnictwa do reprezentowania ojca w sprawach finansowych i zaraz potem wypisałam go ze szpitala... Teraz świętujemy nasze urodziny i powrót taty do domu.

- Jestem pod wrażeniem - uśmiechnęłam się. - Kiedy zamierzasz wystartować w wyborach na gubernatora stanu?

Roześmiała się z zadowoleniem.

- Wszystko to dzięki tobie... - powiedziała. - Chcesz wejść i przyłączyć się do nas? Mamy mnóstwo pysznego jedzenia...

- Nie - odparłam. - Dziękuję, naprawdę...

- Na pewno? - zapytała.

Wszystko wskazywało, że są już w połowie kolacji, ale to tylko w części zdecydowało o mojej odmowie. Coś w tej scenie - zgromadzona przy stole rodzina, sposób, w jaki Hugh przyglądał mi się w milczeniu ze swego miejsca - uświadomiło mi, że sytuacja się zmieniła. Krąg był teraz zamknięty, a ja stałam poza nim.

- Na pewno - odpowiedziałam. - Ale bardzo dziękuję za zaproszenie.

- To ja dziękuję, że wpadłaś - oświadczyła Marlinchen. - Nigdy nie odwdzięczę ci się za to, co dla nas zrobiłaś...

Nie mogłam nie usłyszeć pożegnalnej nuty w jej głosie. Miło mi było z tobą pogadać, lecz obowiązki wzywają, mówił ton Marlinchen.

*

Żwir zachrzącił pod moimi butami, kiedy ruszyłam nie w kierunku samochodu, ale garażu, w którym teraz rezydował Aidan Hennessy.

Nie do końca rozumiałam, skąd wzięło się uczucie dziwnego dyskomfortu i jakby niesmaku, które ogarnęło mnie na widok Hugh. Ostatecznie dość często miałam do czynienia z osobami, które dopuściły się jeszcze gorszych rzeczy niż złe traktowanie dziecka, więc dlaczego jego nieruchome spojrzenie robiło na mnie takie wrażenie... Przyszło mi do głowy, że patrzył na mnie tak, jakby zdawał sobie sprawę, ile o nim wiem, zaraz jednak przegnałam tę myśl. Może czułam się źle w obecności Hugh, bo jego zimne oczy mówiły wyraźnie: „Nie wtykaj nosa w sprawy mojej rodziny, zostaw nas w spokoju. To, co było, należy do przeszłości, i tyle”.

Drzwi do garażu stały otworem. Zapukałam we framugę, zajrzałam do środka i drgnęłam ze zdziwienia. Aidan naprawiał stare bmw - maska samochodu była podniesiona, a silnik oświetlała zwisająca z kabla żarówka. Na odgłos pukania Aidan podniósł wzrok.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Cześć - powiedział. - Wejdz do środka... Weszłam.

- Co tam robisz? - spytałam.

- Postanowiłem zabrać się do tego samochodu - odparł, chyba dość zadowolony z wyzwania, które sam przed sobą postawił. - Nie jeździł od czternastu lat...

- Od czternastu?!

- Tak mówi Linch... - Aidan przesunął dłonią po dachu wozu. - Całkiem możliwe, że nie dam sobie z nim rady... Na początek muszę wymienić przewód paliwowy, ale to dopiero początek, na razie nie potrafię nawet powiedzieć, co jeszcze trzeba będzie zrobić... - wzruszył ramionami. - Marlinchen ucieszyłaby się, gdyby mogła nim jeździć, bo tamtego samochodu ojca po prostu nie znosi...

Zajrzałam do środka przez boczną szybę, tak samo jak w noc powrotu Aidana, kiedy sprawdzałam, czy wokół domu nie dzieje się nic podejrzanego.

- Siedzenia są właściwie czyste, trzeba będzie tylko odkurzyć całą kabinę i wymieść pajęczyny - zauważył Aidan.

Miał rację, skórzane siedzenia nie były podarte ani uszkodzone.

- Skąd tyle wiesz o mechanice? - zapytałam.

- Zawsze interesowałem się samochodami, ale najważniejszych rzeczy nauczyłem się w Georgii. Pete miał sporo rolniczego sprzętu i starą ciężarówkę, którą często naprawiałem.

- Pożyteczna umiejętność - powiedziałam. - Może byłoby jednak lepiej i taniej, gdybyś po prostu kupił używany samochód i nie inwestował nie wiadomo ile w naprawę tego...

- Może - przyznał.

Wyprostował się i podszedł do najbliższej półki, na której wśród narzędzi leżała paczka papierosów i zapalniczka. Zapalił i zaciągnął się.

Skorzystałam z tej przerwy w rozmowie, żeby rozejrzeć się po garażu. W ostatnich dniach dużo się tu zmieniło. Pod tylną ścianą wciąż wisiał treningowy worek Colma, ale ławka do ćwiczeń została przesunięta, żeby zrobić miejsce dla rozkładanego łóżka, przykrytego kocami. Obok łóżka ustawiono ko-módkę z dykty, a na niej oprawioną w ramki fotografię. Całe pomieszczenie oświetlała naga żarówka.

- Przeszkadza ci, że musiałeś się tu przenieść? - odezwałam się.

Aidan się zawahał.

- Hugh dziwnie się zachowuje, kiedy mnie widzi - rzekł w końcu. - Tak jak wtedy w szpitalu, pamiętasz? Gdyby nie to, nie miałbym nic przeciwko temu, że tu mieszkam. Wcale też nie ukrywałem, że nie chcę być razem z nim... - Strzepnął popiół na przykrywkę od słoika, której używał jako popielniczki. - Poza tym nikt nie mówi przecież, że nie mogę

przebywać w domu, muszę tylko pamiętać, żeby nie wchodzić na górę. Hugh niezbyt dobrze radzi sobie ze schodami, więc na razie przez większą część dnia będzie przebywał na piętrze...

- Rozumiem...

Oczywiście nie był to idealny układ, ale ostatnio coraz lepiej rozumiałam słowa, które usłyszałam z ust sędziego Hendersona: nie można dyktować rodzinom, jak mają się zachowywać, nie wolno narzucać im własnych zasad.

Przyjrzałam się stojącej na komodzie fotografii. Przedstawiała Elisabeth Hennessy, siedzącą pod swoją magnolią, z dwu-, może trzyletnim chłopcem na kolanach. Włosy dziecka były jeszcze jaśniejsze niż loki matki, czułam jednak, że nie jest to ani Liam, ani Colm.

- To ty z matką? - zagadnęłam.

- Tak.

- Czy właśnie o to zdjęcie pokłóciłeś się z ojcem?

- Tak, właśnie o to...

- Mogę zapytać, gdzie ukryłeś je tak skutecznie, że Hugh nie zdołał go znaleźć?

Aidan się uśmiechnął.

- U ciotki Brigitte - odrzekł. - Wysłałem je do niej jeszcze tego samego dnia, a ona przechowała je dla mnie...

I później już zawsze miał je przy sobie, nawet gdy po ucieczce z Georgii znalazł się na ulicy. Jego uwielbienie dla matki wydawało się prawie namacalne i nagle uświadomiłam sobie, jaką okrutną przenikliwością wykazał się Hugh tamtego dnia, kiedy wykluczył Aidana z rodzinnej wyprawy na grób Elisabeth.

- Niedługo będą urodziny twojej mamy, prawda? - powiedziałam.

Gdy ostatni raz jadłam kolację z małymi Hennessy, któryś z chłopców wspomniał o tym przy stole. Aidan skinął głową.

- W niedzielę - rzekł. - Pewnie wszyscy pojedziemy na cmentarz...

Wyjęłam z torby portfel, w którym zawsze miałam kilka swoich wizytówek, tak na wszelki wypadek.

- Słuchaj, muszę już lecieć... Marlinchen ma moje zamiary, ale chciałabym, żebyś ty także wiedział, jak się ze mną skontaktować...

- Nie będziesz już do nas przyjeżdżała? - zapytał. Uśmiechnęłam się lekko.

- Wygląda na to, że stałam się tu zbędna...

I naprawdę, kiedy odjeżdżałam, patrząc na odbicie starego domu we wstecznym lusterku mojego samochodu, miałam głębokie wrażenie, że widzę go ostatni raz.

Tej nocy śniło mi się, że władze okręgu Hennepin postawiły Hugh Hennessy'ego w stan oskarżenia pod warunkiem, że zgodzę się wystąpić w roli jego oskarżyciela. Podniosłam się ze swego miejsca na sali sądowej, aby rozpocząć przesłuchanie oskarżonego.

- Panie Hennessy, proszę powiedzieć sądowi, co stało się w pańskim gabinecie w nocy, o której mówimy...

- Zobaczyłem dwie wrony - odparł Hugh. Nie była to odpowiedź, na jaką liczyłam.

- Proszę się zastanowić nad odpowiedzią...

- Piorun uderzył w dom.

Ktoś z obecnych na sali zachichotał.

- Proszę poinstruować klienta, jak powinien się zachowywać - rzekł sędzia do adwokata Hennessy'ego.

Ale Hugh nie zamierzał nikogo słuchać.

- To był pitbull - oświadczył. - Widziałem dwie wrony. Piorun uderzył w dom. Widziałem dwie wrony. Widziałem dwie wrony. Widziałem dwie wrony.

Rozdział 31

Grobu matki małych Hennessych strzegł marmurowy anioł, pogrążony w zamyśleniu, a może smutku. Pod jego stopami znajdowała się kamienna płyta, na niej zaś napis: „Elisabeth Hannelore Hennessy, ukochana żona i matka”.

W to pogodne niedzielne popołudnie siedziałam w najwyżej położonym punkcie cmentarza, pod mauzoleum, do którego prowadziły schody z piaskowca. Dwie rozłożyste sosny osłaniały mnie przed blaskiem wędrującego po zachodniej stronie nieba słońca. Właśnie stąd postanowiłam obserwować grób Elisabeth i tutaj chciałam zaczekać na człowieka, który powinien odwiedzić grób tragicznie zmarłej młodej kobiety w dzień jej urodzin, w każdym razie taką miałam nadzieję.

Przez dwa ostatnie dni starałam się w ogóle nie myśleć o Hennessych. Na samym początku, kiedy Marlinchen przyszła do mnie z prośbą o pomoc, której, jak mi się wtedy wydawało, nie byłam w stanie jej udzielić, moim jedynym pragnieniem było jak najszybsze pozbycie się całej tej sprawy, tymczasem teraz, gdy Marlinchen, od trzech dni oficjalnie głowa rodziny, pozwoliła mi zapomnieć o sobie i swoich braciach, odkryłam, że nie umiem tego zrobić.

Doktor Leventhal potwierdziła moje przypuszczenie, że umysł małego dziecka może być tak podatny na zewnętrzne wpływy i elastyczny, że nietrudno jest zasadzić w nim fałszywe wspomnienie, nawet wizualne, lecz szczegóły obecne w historii Aidana były tak uderzająco realistyczne... Palec trzymał się tylko na strzępie skóry, spływała po nim krew... Ślad po psim zębie powoli wypełniał się krwią... Ten realizm był tak wyrazisty, że aż prawie dokumentalny.

Nie wiem dlaczego, ale byłam przekonana, że Aidan nie potrafiłby z niczego stworzyć tak dokładnego, przerażającego obrazu swojej okaleczonej dłoni. Nie sprawiał wrażenia człowieka o aż tak żywej

wyobraźni. Najbardziej podobało mi się w nim właśnie to, że był nieskomplikowany i bezpośredni. Nie należałam do wielbicieli ukrytych głębin emocjonalnych. Shi-loh posiadał złożoną, wielowarstwową psychikę i ostatecznie właśnie to zniszczyło mu życie.

Poza tym dręczyło mnie coś jeszcze - byłam gotowa przyznać, że można sfabrykować wspomnienie, ale co ze strachem? Aidan naprawdę śmiertelnie bał się psów. Wskazywało to, że moja teoria o gabinecie i naładowanym pistolecie była błędna. Nie czułam się szczególnie zawiedziona, byłam specjalistką w popełnianiu błędów i wiedziałam, że taką sytuację można stosunkowo łatwo naprawić. Głównym problemem była Marlinchen i jej wspomnienie uderzającego w dom pioruna, a raczej huk, którego źródłem, moim zdaniem, był przypadkowo oddany w domu strzał z pistoletu. Wspomnienie, którego Aidan nie podzielał. Sprawa wydawała się prosta, jedno z nich dwojga musiało się mylić, tylko dlaczego obydwójce w tak przekonujący sposób opowiadali swoje historie...

Warto też było zastanowić się nad tym starym bmw, które Hugh trzymał w zamkniętym na klucz garażu przez całe czternaście lat. Początek tego okresu zbiegał się z czasem wymiany wykładziny w gabinecie oraz sprzecznymi wspomnieniami Aidana i Marlinchen. Być może bmw było progiem wspomnień, jak powiedziałyby doktor Leventhal.

Początkowo myślałam, że Hugh przestał używać wozu, ponieważ Aidan zakrwawił siedzenia i podłogę, i jego ojcu nie udało się dokładnie umyć wnętrza, jednak jeżeli chłopiec postrzelił się w rękę, to każdy normalny człowiek instynktownie mocno owinałby ją ręcznikiem; rana na pewno by nadal krwawiła, ale nie aż tak, aby zaplamić całą tapicerkę. Czyżby Hugh sądził, że pewnego dnia ktoś podda kabinę bmw dokładnym oględzinom, szukając dowodów na to, że wypadek wyglądał inaczej, niż przedstawił to ojciec chłopca? Widziałam już rozmaite przypadki paranoi, lecz coś takiego nawet mnie wydawało się mało prawdopodobne.

Mało prawdopodobne, ale nie wykluczone... W gruncie rzeczy bardzo niewiele wiedziałam o charakterze Hugh - nie mogłam przecież z nim porozmawiać, a na podstawie słów jego dzieci mogłam dojść tylko do bardzo chwiejnych wniosków.

I właśnie dlatego koniecznie potrzebne były mi wspomnienia osoby dorosłej, kogoś, kto znał Hennessych w pierwszych latach ich małżeństwa. Człowieka, którego łączyły z nimi bliskie więzy. Człowieka, który został skazany na wygnanie z ich domu, podobnie jak Aidan, lecz w innym okresie, mniej więcej przed czternastu laty.

Pojawił się dwie godziny później. Wysoki, szczupły mężczyzna szedł ścieżką w kierunku grobu Elisabeth Hennessy, trzymając w ręku bukietik narcyzów. Czas prawie zupełnie nie zmienił wyglądu J.D. Campiona - czarne włosy nadal dość długie, aby można związać je na karku, ciemna broda bez choćby jednej siwej nitki. Kwiaty, które włożył do kamiennego wazonu po prawej stronie płyty, owinięte były w przezroczysty celofan.

Campion miał doskonały słuch. Odwrócił się i spojrzał na mnie, chociaż znajdowałam się w sporej odległości od niego, a miękkie podeszwy moich butów nie stukały o beton.

- Panie Campion, nazywam się Sara Pribek - odezwałam się. - Jestem przyjaciółką Marlinchen Hennessy.

- Przyjaciółką Marlinchen? - powtórzył ze zdziwieniem. - W takim razie zna pani także Hugh?

- Raczej nie - odparłam. - Chciałabym z panem porozmawiać.

- Czekala pani tu na mnie? Kiwnęłam głową.

- Inaczej trudno by mi było się z panem skontaktować. Próbowałam znaleźć pana przez pańskiego wydawcę oraz informację telefoniczną, ale nie miałam szczęścia.

Campion chwilę obserwował dwie wiewiórki, walczące o szyszkę na wysokiej gałęzi sosny.

- Zaaranżowanie tego spotkania kosztowało panią sporo wysiłku - odezwał się wreszcie. - Chyba nie chce pani rozmawiać o wedyjskich odniesieniach w mojej poezji, prawda?

- Nie.

- Jak to możliwe, że dobrze zna pani Marlinchen, ale nie jej ojca?

- Poznałam Marlinchen stosunkowo niedawno - wyjaśniłam. - Hugh miał udar ponad dwa miesiące temu...

- Nigdzie o tym nie czytałem - powiedział.

- Bo wiadomość o jego chorobie nie trafiła do prasy ani telewizji.

- W jakim jest stanie? - zapytał.

Szybko doszłam do wniosku, że jeżeli od razu zaspokoję jego ciekawość, najprawdopodobniej stracę szansę na rozmowę.

- Wszystko panu opowiem - zaczęłam. - Miałam jednak nadzieję, że porozmawiamy w jakimś bardziej... - określenie „bardziej prywatnym miejscu” nie wchodziło w grę, ponieważ w pobliżu nie było żywej duszy - ...w bardziej dogodnym miejscu - dokończyłam.

Campion nie poddał się od razu.

- Przepraszam, ale nadal nie bardzo rozumiem, kim pani właściwie jest...

- Jestem policjantką, pracuję w komendzie policji okręgu Hennepin na stanowisku detektywa - powiedziałam. - Jednak w tym wypadku nie chodzi o żadne dochodzenie, po prostu od pewnego czasu pomagam Marlinchen w załatwianiu spraw rodzinnych... - Spojrzałam w dół wzgórza, gdzie zostawiłam na parkingu swój samochód. - Bardzo zależy mi na rozmowie z panem, ale to chyba nie jest najodpowiedniejsze miejsce...

- Chyba nie - zgodził się Campion. - Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali do jakiegoś baru?

Byłam trochę ciekawa, jakiego drinka zamówi w barze prawdziwy poeta, ale odpowiedź okazała się banalna - bud-

weisera. Sama poprosiłam o heinekena, żeby dotrzymać mi towarzystwa, i usiedliśmy przy stoliku pod oknem, obok dwóch nieużywanych w tej chwili stołów bilardowych.

W mojej pracy człowiek dość często może pozwolić sobie na luksus oświadczenia: „To ja zadaję tutaj pytania”, nawet jeżeli czasami ujmujemy je trochę inaczej. Albo przesłuchujemy przebywających w areszcie podejrzanych, albo świadków, którzy są przestraszeni powagą sytuacji, w jaką zostali zamieszani, lecz zawsze odpowiedzi płyną w jedną stronę -do nas.

W przypadku Campiona musiałam udzielić mu pewnych informacji, żeby uzyskać inne. Nie chodziło o to, że zachowywał się nieprzyjaźnie, ale po prostu od prawie piętnastu lat nie kontaktował się z rodziną Hennessych i najprawdopodobniej nawet nie zrozumiałby pytań, jakie chciałam zadać - najpierw musiałam wyjaśnić mu parę ważnych spraw. Zdawałam sobie także sprawę, że Campion niekoniecznie musi mieć ochotę dzielić się ze mną szczegółami z życia swoich dawnych przyjaciół - nie znał mnie i mógł mieć poważne wątpliwości, czy faktycznie jestem przyjaciółką Marlinchen.

Opowiedziałam mu o udarze Hugh, o wysiłkach Marlinchen zmierzających do odnalezienia brata oraz o powrocie Aidana. Nie wspomniałam tylko o brutalnym traktowaniu, jakiego dopuścił się Hugh wobec najstarszego syna.

- To już czternaście lat... - zauważył Campion, kiedy skończyłam. - Nie wiem, czy to, co mogę pani powiedzieć, okaże się pomocne.

- Proszę opowiedzieć mi o tym, co wydarzyło się czternaście lat temu... - przełknęłam łyk zimnego piwa. - O co pokłócił się pan z Hennessym?

- Nie wiem - odparł.

- Niemożliwe - odparłam bez wahania. Campion nie wyglądał na człowieka, którego razi szczerość. - Przyjaźni nie zrywa się bez powodu.

- Będzie pani musiała zadać to pytanie Hugh, kiedy poczuje się lepiej.

Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, ale do dziś nie mam pojęcia, o co mu poszło.

- Niech pan opowie, jak to było... Champion wygodniej usadowił się na krześle.

- W tamtych czasach sporo jeździłem po kraju. Minnesota była dla mnie czymś w rodzaju bazy i domu, bo tam byli Hugh i Elisabeth... - napił się piwa. - Któregoś wieczoru wróciłem późno i przejeżdżałem w pobliżu ich domu. Nie widziałem ich cztery miesiące, więc pomyślałem, że wpadnę na chwilę. Kiedy zapukałem do drzwi, Hugh nie wpuścił mnie do środka... -Champion pokręcił głową, wciąż zdumiony zachowaniem przyjaciela. - Powiedział, że mam zły wpływ na jego dzieci, że zawsze zazdrościłem mu sukcesów i nie życzy sobie, żebym ich więcej odwiedzał. Potem zatrzasnął drzwi i już ich nie otworzył.

- Co było potem?

- Odjechałem. Nie zamierzałem skomleć na wycieracze jak pies, który został ukarany za nieposłuszeństwo. Kilka dni później zadzwoniłem, żeby sprawdzić, czy Hugh się uspokoił albo wytrzeźwiał, ale powiedział, żebym więcej do nich nie telefonował, i odłożył słuchawkę.

- Rozmawiał pan później z Elisabeth? - zapytałam.

- Nie. Próbowałem, ale telefony zawsze przyjmował Hugh.

- Sądzi pan, że mogło chodzić właśnie o Elisabeth? Czy Hugh był zazdrosny?

Campion zeszywniał i przez chwilę sądziłam, że się obrazi, ale zaraz trochę się rozluźnił.

- Cóż, jeżeli facet przynosi kwiaty na grób kobiety dziesięć lat po jej śmierci, to chyba nie powinien być zaskoczony, że ktoś domyśla się jego uczuć - przyznał. - Jednak Elisabeth dokonała wyboru, a ja to uszanowałem. I nigdy, nigdy nie była mu niewierna. Hugh wiedział o tym...

Znowu pokręcił głową, jakby już zrezygnował z rozwik-

łania zagadki, której i tak nie zdołałby rozwikłać. Dopił resztę piwa.

- Jeżeli nie poszło o Elisabeth, to może o jej siostrę? - spytałam, kiedy barman postawił przed nami następne dwa piwa.

- O Brigitte? Dlaczego?

- Miał pan romans z Brigitte, prawda?

- Nie był to trwały związek, ale tak, przez krótki czas byliśmy razem...

- Podobno Hugh bardzo jej nie lubił. Nigdy nie odwiedzała Hennessych ani oni jej.

Campion się zamyślił.

- Musi pani zrozumieć, że Hugh był facetem o surowych zasadach moralnych - zaczął powoli. - Brigitte przyjmowała narkotyki, często zmieniała facetów i Hugh nie mogło się to podobać. Niech pani tylko pomyśli, on i Elisabeth pobrali się, gdy mieli po dziewiętnaście lat... W tamtych czasach taka decyzja trąciła średniowiecznym zacofaniem...

- Wiem - odparłam. - Jednak jeżeli nie akceptował stylu życia Brigitte, to dlaczego wysłał do niej Aidana? Dlaczego oddał jej syna na wychowanie? Ma pan jakiś pomysł?

Zmarszczył brwi.

- Nie mam pojęcia... Każe mi pani zgadywać, a przecież już powiedziałem, że naprawdę nie wiem, jakie są motywy działania Hugh...

- Chwilę obserwował młodą dziewczynę o intensywnie rudych włosach, która prawie wskoczyła na ladę baru, żeby pocałować barmana. - Jeszcze bardziej dziwi mnie to, że Gitte zgodziła się przyjąć chłopca. Nigdy nie miała dużo pieniędzy, a wtedy była już samotną matką...

Znieruchomiałam, ze szklanką w połowie drogi między stołem i moimi ustami.

- Naprawdę? - zdziwiłam się.

Aidan ani słowem nie wspomniał, że mieszkał z ciotką i jej dzieckiem.

Campion kiwnął głową.

- Kiedyś pozwoliła mi zatrzymać się u siebie na kilka dni, było to parę lat po zakończeniu naszego krótkiego romansu. Żyła... Wiem, że to staroświeckie określenie, ale chyba tak należałoby to nazwać... Żyła w konkubinacie.

Rzeczywiście było to niemodne określenie, używane już chyba tylko przez posiwiałych weteranów policyjnej służby, chociaż kiedyś niewątpliwie ogólnie przyjęte i popularne. Mnie kojarzyło się z parami ze slumsów, które wrzeszczały na siebie i nie unikały rękoczynów jako rozwiązań kłótni, ale wszystko wskazywało na to, że Champion miał na myśli inny związek.

- Wie pani, jak to jest, kiedy ludzie naprawdę są ze sobą, nawet jeżeli nie łączy ich małżeństwo? Czasami od razu widać, że to poważna sprawa, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Tak właśnie było z Gitte i Paulem. Nie pamiętam jego nazwiska, ale chyba miało francuskie brzmienie... Wystarczyło jedno spojrzenie, by się zorientować, że jest im ze sobą bardzo dobrze.

- Chyba jednak nie było tak idealnie, skoro parę lat później Brigitte została sama z dzieckiem - zauważyłam.

- Paul jej nie zostawił - zaprzeczył Champion. - On umarł. Byłem przy tym.

Nie zachęcałam go, żeby mówił dalej. Czułam, że nosi w sobie historię, którą musi komuś opowiedzieć.

- Paul nie obawiał się dawnego kochanka żony, więc pomyślałem, że zostanę jakiś tydzień - podjął. - Żyli ze sobą od trzech lat, Gitte była bardzo szczęśliwa. Paul pracował na budowie, ale nie wiem, czym konkretnie się zajmował. Boże, ależ to był olbrzym... Mógł mieć ze dwa metry i na dodatek był umięśniony jak atleta. Dobry człowiek, zakochany w Gitte i dzieciaku. Ich synek, Jacob, miał wtedy dwa lata. Pod koniec tygodnia wybrałem się z Paulem do baru, strasznej speluny. Byłem w niejednym podejrzanym lokalu, ale słowo daję, wte-

dy cieszyłem się, że mam u boku Paula. Wszystko było w porządku, dopóki nie zjawili się sąsiedzi Gitte. Znam większość wulgaryzmów, bo język to tworzywo w moim fachu, i niewiele może mnie zaskoczyć, lecz tamci kolesie mieli naprawdę niewyparzone gęby, zupełnie jakby codziennie pili prosto z szamba...

Uśmiechnęłam się lekko, by nie pomyślał, że mnie zgorszył.

- Hodowali pitbulle - ciągnął Champion. - Gitte potwornie bała się tych psów, nie ze względu na siebie, ale na małego Jacoba. Chciała, żeby sąsiedzi zapłacili połowę kwoty za wzmocnienie ogrodzenia między dwoma podwórkami, lecz oni uważali, że skoro zależy jej na lepszym płocie, to niech wyłoży całość. Tamtego wieczoru Paul starał się ich ignorować, ale w końcu oni zaczęli się z nim drażnić i robić różne uwagi na temat Gitte. Tego Paul nie wytrzymał. Połowa baru wdała się w bijatykę, ja także. Nie jestem entuzjastą barowych bójek, lecz w tamtym momencie Paul był moim kumplem od kufla, a takie są zasady, prawda?

- Prawda - przytaknęłam.

- Szybko wylądowałem pod stołem, ale Paul... Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak walczył. Widzi pani, on wyglądał na szczęśliwego, dosłownie promieniał. - Champion potrząsnął głową, całkowicie pochłonięty wspomnieniami. - Trzeba było czterech gliniarzy, żeby go unieruchomić i zaprowadzić do radiowozu. Wyszedłem za nimi na dwór. Pozwolili Paulowi posiedzieć spokojnie, a sami zabrali się do porządków w barze. Widziałem, że Paul spuścił głowę, oparł ją o szybę i zamknął oczy, jakby nagle uszło z niego powietrze... Jakby ogarnął go wielki spokój... - przerwał. - Policjantom też wydawało się, że to tylko zmęczenie...

Wstrzymałam oddech.

- Ale on umarł... Kiedy przywieźli go na komisariat, nie miał już nawet pulsu. Okazało się, że było to jedna z tych rzad-

kich, niemożliwych do wykrycia wad serca, w wyniku których sportowcy czasami padają martwi po zakończonym biegu... Wielu prawników dzwoniło później do Gitte i namawiało ją, żeby wytoczyła policji sprawę o zaniedbanie, lecz ona wiedziała, że to nie wina gliniarzy... - Campion pociągnął łyk piwa. - Zostałem tam jeszcze miesiąc, z nią i małym Jacobem. Chciałem jakoś pomóc, ale nie byłem Paulem, zresztą już dużo wcześniej odkryliśmy, że zupełnie do siebie nie pasujemy, więc w końcu ruszyłem dalej... Tak czy inaczej, nigdy nie zapomnę tamtego wieczoru. Dokładnie pamiętam, jak wyszedłem z baru za Paulem i policjantami... Słońce właśnie zachodziło. Przystanąłem na ścieżce obok parkingu, a Paul po prostu oparł głowę o szybę radiowozu i umarł... Zawsze chciałem o tym napisać, ale nie umiem tego zrobić.

Rozdział 32

W poniedziałek o ósmej trzydzieści rano czekałam już pod drzwiami gabinetu Christiana Kilandera. Miałam dzień wolny, więc byłam ubrana w stare dzinsy i luźną kremową koszulę, która należała do Shiloha. Kilander uniósł brwi, zaskoczony moją tak wczesną wizytą.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zapytał.

- Jestem ci już winna przysługę, ale poproszę o jeszcze jedną - powiedziałam. - Kończyłeś wydział prawa i wzięłeś pierwszą pracę w biurze w Illinois, prawda?

- Czuję, że umieszczenie mojego CV w Internecie to marny pomysł.

- Kilander przytrzymał jedną ręką teczkę i kubek kawy, a drugą otworzył drzwi.

Weszłam za nim do środka.

- I nadal masz tam rozmaite kontakty, tak?

Kilander był prawdziwym mistrzem w budowaniu różno-

rodnych sieci - byłam przekonana, że nie pozwala zardzewieć dawnym znajomościom.

Rzucił teczkę na blat niewielkiego kredensu, kawę postawił na biurku.

- Z grubsza rozumiem już, do czego zmierzasz - rzekł. -Czego potrzebujesz i kto ma ci to załatwić?

- Dokumentacji z wydziału stanu cywilnego w Rockford -odparłam.

- To rzeczy ogólnie dostępne - zauważył. - Nie trzeba pociągać za sznurki, wystarczy zadzwonić i zapytać.

- Równie dobrze mogłabym dzwonić do całodobowej linii z modlitwą... - mruknęłam.

Dokumenty urzędowe - akty urodzenia, śmierci i ślubu, orzeczenia rozwodowe, świadectwa oraz tytuły własności i świadectwa szkolne - teoretycznie rzeczywiście są ogólnie dostępne. Niestety, bardzo często trafiają do niewłaściwych wydziałów i równie często wydawane są z błędami w druku. Zdarza się też, że w urzędzie akurat nie działa komputer lub nie ma pracownika, który mógłby udzielić informacji, dlatego najlepiej i najskuteczniej jest zdobywać je osobiście, poświęcając temu zajęciu sporo czasu i mnóstwo cierpliwości.

Jeżeli nie można osobiście zgłosić się do urzędu, koniecznie trzeba mieć tam kogoś życzliwego, kogoś, kto rozpozna nasz głos w słuchawce, w przeciwnym razie jest się skazanym na kilka godzin bezowocnych rozmów ze szczerze pragnącymi pomóc, ale niewiele mogącymi zdziałać urzędnikami. „Bardzo mi przykro, proszę pana, bardzo mi przykro, proszę pani, lecz niestety nie mamy tu tej informacji. Nic nie mogę na to poradzić, proszę spróbować pod numerem wewnętrznym...”.

A oto końcowy wniosek: jeżeli chcesz jedynie powiedzieć, że próbowałaś, zadzwoń do anonimowego urzędnika, lecz jeśli naprawdę zależy ci na informacji, poszukaj kogoś znajomego w urzędzie.

- W porządku, mała - skapitulował Kilander. - Czego szukasz?

- Aktu urodzenia, śmierci, świadectwa szkolnego, zaświadczenia o zmianie nazwiska... Sama nie wiem, czego właściwie szukam...

- Krótko mówiąc, zarzucasz sieci, nie wędkujesz - oświadczył. - Dobrze, postaram się wygrzebać parę numerów telefonów. Nie, lepiej sam zadzwonię i uprzedzę, że zatelefonujesz - usiadł przy biurku i zaczął przeglądać notes. - Czy w twoim wydziale jest dziś dzień sportowego stroju? - zapytał, nie podnosząc wzroku.

- Nie - odparłam. - Mam dzień wolny.

Siedziałam w pustej sali konferencyjnej i przez cały dzień telefonowałam do Rockford. Kiedy dwadzieścia pięć po czwartej zadzwoniła moja komórka, spodziewałam się, że będzie to kolejny telefon z Illinois, i pewnie dlatego nie poznałam męskiego głosu w słuchawce.

- Detektyw Pribek?

- Tak.

- Mówi Gray Diaz. Wiem, że ma pani wolny dzień, ale może jednak mógłbym zająć pani parę minut... Chciałbym, żeby przyjechała pani do centrum, jeśli to możliwe...

Laboratorium kryminalistyki przekazało mu wyniki badań, nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- W porządku... - powiedziałam powoli. - Gdzie pan jest? Ja jestem w pracy, bo miałam tu coś do załatwienia...

Diaz bardzo wygodnie urządził się w gabinecie przebywającej na urlopie prokurator Jane O'Malley. Rozłożył swoje papiery na biurku i teraz zdjęcia dwójki dzieci Jane oraz jej siostrzenic i siostrzeńców wydawały się czuwać nad jego pracą.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać - powiedział. - Proszę usiąść...

O'Malley miała głębokie, porządnie obite fotele, które zresztą sama kupiła. Siedziałam w nich nieraz i wiedziałam, że są zbyt wygodne, abym w takiej chwili czuła się w nich naprawdę dobrze, zwłaszcza jeśli Diaz zamierzał stać, górując nade mną przez całą rozmowę. Przysiadłam na ramieniu fotela, ponieważ pomyślałam, że w tej pozycji będę mniej przytłoczona jego obecnością.

Diaz obserwował mnie przez chwilę w milczeniu, potem podszedł do okna i wyjrzał, chociaż mocno wątpię, czy rzeczywiście na coś patrzył.

- Nie mówiłem pani nic o sobie, Saro... - zaczął. - Podjąłem pracę w Blue Earth ze względu na teścia, który jest poważnie chory. Moja żona nie chce zachęcać go do przeprowadzki, bo taki wysiłek, fizyczny i emocjonalny, mógłby mu zaszkodzić. Teść spędził w Blue Earth prawie całe życie i najprawdopodobniej nie przeżyłby stresu związanego z pakowaniem rzeczy i sprzedażą farmy. Rozumie pani, o co chodzi, prawda?

- Rozumiem.

- Oczywiście wolałbym być tutaj, pracować razem z wami w policji okręgu Hennepin... - przerwał. - Gdyby tak było, byłibyśmy kolegami, pani i ja. Niewykluczone, że zajmowalibyśmy się tymi samymi sprawami... - odwrócił się od okna. - Bardzo chciałbym, żeby tak było, i naprawdę szczerze żałuję, że musieliśmy się poznać w takich okolicznościach...

- Ja także...

- I dlatego, ponieważ praktycznie jesteśmy kolegami, chcę dać pani szansę - rzekł Diaz. - Jestem bliski zakończenia zadania, z którym tu przyjechałem...

Milczałam. Diaz podszedł bliżej i stanął między mną a biurkiem Jane.

- Kiedy rozmawiałem z panią pierwszy raz, zapytałem, czy istnieją jakieś powody, dla których ktoś mógłby widzieć panią pod domem Stewarta w noc jego śmierci. Zaprzeczyła pani.

- Pamiętam - powiedziałam.

Przysiadł na brzegu biurka, jak nauczyciel, który umówił się na nieoficjalne spotkanie z uczniami po lekcjach.

- Więc teraz pytam, czy zechce pani zastanowić się jeszcze nad tamtą odpowiedzią...

Nie wolno ci się zawahać, pomyślałam.

- Nie - odparłam.

Diaz odwrócił wzrok ku oknu, potem znowu popatrzył na mnie.

- Znaleźliśmy ślady krwi na wykładzinie w pani samochodzie - oświadczył. - W prawej tylnej oponie odkryliśmy poprzeczne wgłębienie, uszkodzenie spowodowane w chwili, gdy przejechała pani po czymś twardym, tak wyraźne i czytelne jak odcisk palca.

Milczałam, ale mięśnie szyi napięły się i z trudem przełknęłam ślinę.

- Saro, dobrze wiem, co Royce Stewart zrobił córce pani partnerki. Wiem, że w tamtą noc była pani przekonana, że pani mąż nie żyje i że Shorty nie udzielił mu pomocy, chociaż mógł to zrobić. Wszystko to są okoliczności łagodzące, i to w wysokim stopniu... - nachylił się ku mnie, jego złożone dłonie prawie dotknęły moich. - Znam opis pani służby, wiem, że jest pani dobrą policjantką, i chcę pani pomóc, znaleźliśmy się jednak w punkcie, kiedy będzie pani musiała opowiedzieć mi, co zdarzyło się tamtej nocy. Jeśli nie wyjdzie mi pani naprzeciw, nie zdołam pani pomóc...

! W tamtej chwili pragnęłam powiedzieć Diazowi prawdę, i to z najgorszego z możliwych powodów. Nie ze strachu, co się ze mną stanie, jeżeli nadal będę wprowadzała w błąd organy ścigania, i nie dlatego, że Diaz dysponował dowodami, które mogły zaprowadzić mnie do więzienia, niezależnie od tego, czy Genevieve zdecydowałaby się przyznać do winy, czy nie. Chciałam wyznać mu prawdę wyłącznie dlatego, że bardzo chciałam uwierzyć w to, o czym świadczyły słowa, ton głosu

i postawa Graya Diaza - że zależy mu głównie na tym, aby mi pomóc. Odchrząknęłam.

- Przykro mi... - odezwałam się. - Nie mam nic więcej do dodania, powiedziałam już wszystko.

Diaz westchnął.

- Mnie także jest przykro, detektyw Pribek - powiedział, prostując się.
- Będziemy w kontakcie.

Po powrocie do sali konferencyjnej nie mogłam sobie przypomnieć, co robiłam tam wcześniej. Popatrzyłam na swoje notatki, ale nie dostrzegałam w nich żadnego sensu.

- Dobrze się czujesz?

Nie usłyszałam kroków Christiana Kilandera.

- Tak, w porządku - odwróciłam się od okna.

Nie kłamałam. Spokój spłynął na mnie zupełnie niespodziewanie, wiedziałam jednak, dlaczego tak się stało. Gray Diaz nie ukrywał, że była to moja ostatnia szansa wyznania mu prawdy. Może powinnam z niej skorzystać, ale teraz było już za późno. Myślę, że podobnie czują się ludzie, którzy po raz pierwszy skaczą z ubezpieczeniem z dużej wysokości, na przykład z wieżowca. Tuż przed skokiem mogą się wycofać, lecz gdy znajdą się już w powietrzu, nie mają wyjścia. Niezależnie od tego, czy skok zakończy się bezpiecznym lądowaniem, czy krwawą katastrofą, ciężar decyzji już nie spoczywa na ich barkach. Dokonałam wyboru, podobnie jak oni, i teraz nie miałam żadnej kontroli nad sytuacją.

Kilander podał mi faks.

- Przysłali to dla ciebie z Rockford.

Wzięłam kartkę papieru z jego ręki. Akt urodzenia, przeczytałam.

- Nic więcej nie mieli, przykro mi - dodał.

- To mi zupełnie wystarczy... - szybko przebiegłam wzrokiem tekst. - Czasami jedna rzecz rozwiązuje wszystkie problemy.

Patrząc wstecz, myślę, że może zrobiłabym lepiej, gdybym dała sobie trochę czasu na przemyślenie następnego kroku, ale stało się inaczej. O siedemnastej trzydzieści zaparkowałam samochód na podjeździe domu nad jeziorem.

Pogoda była cudowna - słoneczny dzień bez cienia wilgotnej szarej mgiełki, która odbiera urok tak wielu letnim dniom w Minnesocie. Nie zdziwiło mnie, że rodzina Hennessych postanowiła spędzić ten piękny wieczór na dworze.

Czterej chłopcy podzielili się na dwa zespoły i grali w nogę, Aidan i Liam przeciwko Colmowi i Donalowi. Marlinchen rezydowała przy grillu na tarasie, smarując sosem kurczące piersi i skrzydełka. Miała na sobie białą obcisłą koszulkę, dżinsowe szorty, na nosie okulary w miedzianych oprawkach, z zielonkawymi szklami, a na biodrze discmana. Na mój widok zerwała słuchawki z głowy i powiesiła je sobie na szyi.

- Sara! - zawołała z zadowoleniem. - Robimy barbecue, żeby uczcić zakończenie roku szkolnego. Jeżeli możesz zostać trochę dłużej, chętnie się z tobą podzielimy...

Była w znakomitym nastroju, ale to wkrótce miało się zmienić.

- Niestety, przyjechałam w sprawie służbowej - powiedziałam.

- To znaczy w jakiej?

- Wasz ojciec może udzielać odpowiedzi na pytania ogólne, prawda? - zapytałam. - Odpowiada przecząco albo twierdząco, tak? Jeśli dobrze zrozumiałam, właśnie w ten sposób załatwiliście formalności związane z finansami...

Marlinchen szybko zerknęła w okno na piętrze.

- Ojciec odpoczywa... O co chodzi, Saro?

- Muszę zadać mu kilka pytań, ponieważ nikt inny nie

może na nie odpowiedzieć. Dotyczą waszego kuzyna, Jacoba Candeoura.

- Nie mamy kuzyna imieniem Jacob... - powiedziała. -W ogóle nie mamy kuzynów.

Wyjęłam akt urodzenia z torby i podałam go Marlinchen. Patrzyłam, jak odczytuje imiona: Jacob, Paul, Brigitte.

- Zwróciłaś uwagę na datę urodzenia? - zapytałam. - Jacob oraz ty i Aidan urodziliście się w tym samym roku, dzieli was tylko kilka miesięcy.

- Dziwne... - zaskoczenie pozbawiło jej głos nuty uprzejmego zaniepokojenia. - Nigdy go nie poznałam...

- Ojciec nie darzył sympatią waszej ciotki Brigitte i nie dopuszczał do żadnych kontaktów - wyjaśniłam. - Ale swojego kuzyna poznałaś, więcej, dorastałaś razem z nim. Jacob stał się twoim najbliższym przyjacielem.

- Co ty mówisz?!

Jednak Marlinchen chyba już zrozumiała, co miałam na myśli. Jej oczy powędrowały ku wysokiemu, jasnowłosemu chłopcu, który właśnie pozwalał prześcignąć się Donalowi w pogoni za piłką.

- To nie jest twój brat Aidan - powiedziałam. - To twój kuzyn Jacob. Wasz ojciec nie oddał go Brigitte na wychowanie, ale po prostu zwrócił matce. Aidan, czyli Jacob, mówił, że Brigitte traktowała go z ogromną czułością, dla niego niezrozumiała, jakby chciała być jego matką... I była.

Marlinchen zdjęła ciemne okulary, żeby bez przeszkód spojrzeć mi w oczy.

- Czy to jakiś chory żart? - zapytała, wymawiając słowa dobitnie i powoli, jak w rozmowie z dzieckiem. - W twojej teorii jest ogromna dziura, wiesz? Bo jeżeli to jest Jacob, to gdzie jest Aidan?

Teraz miałam przed sobą najtrudniejszy moment.

- Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że leży pogrzebany pod magnolią - wskazałam drzewo. - Sądzę, że czternaście lat temu postrzelił się z pistoletu waszego ojca, który natychmiast zawiózł go do szpitala.

Jednak kiedy chłopiec umarł w drodze, Hugh przywiózł go z powrotem do domu i pochował pod ukochanym drzewem waszej matki. Prawdopodobnie wybrał to miejsce, żeby jakoś ją pocieszyć, chociaż oczywiście było to niemożliwe...

- Nie - powiedziała Marlinchen.

- Zachowałam wspomnienia tamtej nocy - głośny huk, łzy matki, która przyszła wtedy, żeby przytulić się do ciebie i znaleźć ukojenie...

- Zdenerwowała ją burza!

- Nie - odparłam. - Wszyscy zgodnie powtarzacie, że ojciec kompletnie nie interesował się samochodami ani pracami domowymi, a jednak sam położył nową wykładzinę w gabinecie i przez czternaście lat trzymał w garażu samochód pod pretekstem, że może kiedyś go naprawi. Przez czternaście lat...

- I co z tego?

- Kiedy Aidan się postrzelił, wasz ojciec pojechał z nim tym wozem do szpitala. Wykładzinę w gabinecie po prostu zmienił, ponieważ była przesiąknięta krwią, a mniejsze plamy w holu próbował usunąć wybielaczem, ale co miał zrobić z samochodem, w którym Aidan stracił najwięcej krwi? Nie był w stanie go doczyścić, dlatego też bał się go pozbyć. Bał się, że ewentualny kupiec znajdzie ślady krwi pod siedzeniami, na tapicerce i wykładzinie. Na pewno się zastanawiał, czy nie porzucić gdzieś bmw i nie zgłosić kradzieży, ale to tylko pogorszyłyoby sytuację, bo policja poddałaby samochód dokładnym oględzinom, gdyby go znalazła. Nie, najbezpieczniej było oczyścić go jak najlepiej i zamknąć na terenie własnej posiadłości...

Marlinchen pośpiesznie zerknęła na garaż.

- Oczywiście żadna z tych metod tuszowania wypadku nie była szczególnie skuteczna - ciągnęłam. - Ale to bez znaczenia. Dopóki Hugh nie zdecydowałby się sprzedać domu i sa-

mochodu, nikt nie miał szans baczniej przyjrzeć się pozostałym śladom. W miejsce Aidana Hugh podstawił synka swojej szwagierki. Nie mam pojęcia, jak ją do tego namówił - może wykorzystał jej współczucie, a może jej zapłacił. Nie wiem. Brigitte była samotną matką i ledwo wiązała koniec z końcem, więc może doszła do wniosku, że Jacobowi będzie się żyło lepiej w domu jej starszej siostry i Hugh, kto wie... Tak czy inaczej, wyobraź sobie tylko, co by się stało, gdyby w pewnym momencie wycofała się z wcześniej podjętej decyzji - kariera Hugh ległaby w gruzach, wasza matka i ojciec zostaliby prawdopodobnie uznani za niezdolnych do opieki nad dziećmi, a ty i Liam trafilibyście do domu dziecka, i to nie wiadomo, na jak długo...

- Dobrze, dobrze! - Marlinchen podniosła obie ręce, aby mi przerwać.

- Rozumiem, skąd wzięła się twoja teoria, ale to wszystko jest zwyczajnie niemożliwe! Ojciec nie mógł tak po prostu zastąpić Aidana Jacobem, bo wtedy miałam już cztery lata i zorientowałabym się, że to nie mój brat...

- Nie miałaś jeszcze czterech lat, a dzieci w tym wieku są wyjątkowo podatne na sugestie i traktują słowa rodziców jak świętość - powiedziałam. - Hugh przeprowadził na tobie klasyczny zabieg, zwany praniem mózgu, rozumiesz? Wytłumaczył ci, że Aidan musi spędzić jakiś czas w szpitalu, zwlekał parę tygodni i wreszcie przywiózł Jacoba do domu. „To jest Aidan”, powtarzał tak długo, aż ty i Jacob przyjęliście to do wiadomości.

- Ale mama... - zaczęła Marlinchen bardzo cichym głosem.

- Wasza matka nie miała z tym nic wspólnego. To nie był jej pomysł, ona tylko pogodziła się z tą sytuacją...

Mnie też trudno było pojąć, jak to się stało, że śpiąca pod marmurowym aniołem kobieta w pewien sposób wzięła udział w tej ponurej sprawie. Elisabeth także ponosiła winę za los Jacoba, lecz wyrzuty sumienia, które zupełnie zatrwały psychikę Hugh, rozbudziły w niej miłość do syna siostry. Elisabeth mocno pokochała Jacoba, złączona z nim więzią dwóch skrzywdzonych przez los serc.

- Cały ten spisek spaliłby na panewce, gdybyście chodzili już do szkoły - podjęłam. - Ale Aidan nie miał jeszcze nauczycieli ani kolegów, którzy odwiedzaliby go w domu, nie miał też starszego rodzeństwa. Jediną osobą, która widziała i знаła Aidana Hennessy'ego oraz Jacoba Candeleura, był J.D. Champion. Parę miesięcy później wasz ojciec bez wyjaśnienia zabronił mu wstępu do domu, rozwiązując ewentualny problem.

Marlinchen rozchyliła wargi. Myślę, że chyba ten ostatni szczegół, który potwierdzała jej własną wiedza o życiu rodziców, przekonał ją do końca. Nagle wyprostowała się, jakby ogarnęło ją poczucie ulgi.

- Brakujący palec Aidana - rzuciła. - Jak to wytłumaczysz, jeżeli nie zaatakował go pies?

- Pies rzeczywiście go zaatakował - powiedziałam. - Sąsiedzi Brigitte w Illinois hodowali pitbulle, a ponieważ dzielący obie działki płot nie był szczególnie solidny, pies przedostał się na podwórko Jacoba i odgryzł mu palec. Właśnie dlatego do dziś boi się psów.

Pod nami Colm odebrał piłkę Liamowi i ruszył do ataku. Marlinchen stała ze wzrokiem utkwionym w chłopców, ale na pewno ich nie widziała.

- Jest jeszcze coś - dodałam. - Ten akt chrztu to jedyny dokument, jaki kiedykolwiek wystawiono Jacobowi. Nie ma śladu jego rejestracji w wydziale edukacji, nie ma aktu zgonu ani papierów adopcyjnych. Jacob po prostu wymknął się z sieci systemu dokumentacji stanu Illinois. A dlaczego? Ponieważ był w Minnesocie.

- No dobrze, więc masz kawałek papieru, który nie stanowi żadnego dowodu - zaczęła Marlinchen i nagle jej oczy zabłyśły. - Nie przyszło ci do głowy, że może to Jacob umarł

jako dziecko? Może ciotka Brigitte nie opiekowała się nim jak należy i mały utonął albo coś w tym rodzaju... Zawsze była pijana lub naćpana i...

- Nie rób tego - potrząsnęłam głową. - Nie możesz dopuścić, żeby twój ojciec myślał za ciebie przez całe twoje życie. Nie znałaś przecież ciotki Brigitte, ale nigdy nie kwestionowałaś tego, co mówił o niej Hugh, prawda? Jesteś gotowa myśleć źle o niej, osobie, o której nic nie wiesz, ale nie o ojcu, który na twoich oczach znęcał się nad Aidanem fizycznie i emocjonalnie...

Marlinchen przez wiele lat zaprzeczała oczywistej prawdzie, lecz teraz nie mogła już tego zrobić. Milczała.

- Nie twierdzę, że wasz ojciec jest potworem - powiedziałam. - Popełnił błąd, ponieważ wtedy, na parkingu pod szpitalem, znalazł się w naprawdę strasznej sytuacji, i decyzja, którą pochopnie podjął, zrujnowała mu życie. Zanim uświadomił sobie, że rozpacz i poczucie winy niszczą waszą matkę, było już za późno, żeby cokolwiek naprawić. Wyobraź sobie, jak zareagowałby świat, gdyby Hugh kilka miesięcy czy lat po śmierci syna wyznał, że zataił wypadek i pochował syna w pobliżu własnego domu, nie na cmentarzu... I że na dodatek świadomie wymazał osobowość dziecka, które nielegalnie sprowadził do domu. Gdyby od razu powiadomił władze, że Aidan postrzelił się i zmarł z upływu krwi, ludzie prawdopodobnie szczerze by mu współczuli i nie przestali szanować, ale zachowanie Hugh wykraczało poza wszelkie normy moralne i prawne...

Bałam się, czy nie mówię zbyt szczerze, lecz zdawałam też sobie sprawę, że świat Hennessych zawalił się właśnie z powodu braku szczerości.

Chłopcy nadal grali w piłkę. Jeżeli zauważyli moją obecność, na pewno sądzili, że Marlinchen i ja prowadzimy miłą rozmowę.

- Poczucie winy, które dręczyło Hugh z powodu Aidana i waszej matki, dosłownie pożarło go od środka. - Nie musiałam przypominać

Marlinchen o chorobie wrzodowej ojca. -Czy zastanawiałaś się, dlaczego fotografia Elisabeth i Aidana tak bardzo przeszkadzała Hugh? Dlatego, że było to zdjęcie prawdziwego, dwuletniego Aidana. Jacob nie wiedział o tym, ale wasz ojciec tak. Hugh zabrał Jacobowi tę fotografię, bo po prostu nie mógł na nią patrzeć. Przypominała mu, że jego plan zakończył się kompletnym fiaskiem. Elisabeth nigdy nie doszła do siebie po śmierci synka i umarła, zadręczona wyrzutami sumienia z powodu Jacoba, przypadkowo lub... - przerwałam.

Za późno. Na policzki Marlinchen wypełzł krwawy rumieniec oburzenia.

- Przypadkowo lub celowo, tak? Chcesz powiedzieć, że mama popełniła samobójstwo?!

Tak, właśnie to chciałam powiedzieć, ale w tej chwili Marlinchen by tego nie zniosła.

- Nie - zaprzeczyłam pośpiesznie, starając się ją uspokoić. - Nie, w żadnym razie...

Mimo wszystko było już za późno.

- Chyba powinnaś sobie pójść - rzuciła.

- Przypomnij sobie, o co mnie prosiłaś, kiedy się poznałyśmy - zaczęłam z rozpaczą. - Chciałaś, żebym odszukała twojego brata, i staram się to zrobić. W oczach prawa jesteś teraz głową rodziny, więc jeżeli nie chcesz zgodzić się, bym porozmawiała z twoim ojcem, pozwól mi przynajmniej przekopać teren pod magnolią i odnaleźć Aidana, tak jak prosiłaś...

- Wszyscy moi bracia są w domu - wskazała grających w piłkę chłopców. - Wszyscy! Mój ojciec powoli wraca do zdrowia! Jesteśmy znowu razem i wszystko będzie dobrze! Komuś takiemu jak ty na pewno trudno jest na to patrzeć, ale...

- Komuś takiemu jak ja? - powtórzyłam.

- Twój ojciec wyrzucił cię z domu i oddał obcej osobie, więc nie potrafisz zrozumieć, czym jest prawdziwe życie rodzinne!

- Słucham? - powiedziałam, chociaż doskonale ją słyszałam.

Jednak jeżeli Marlinchen zorientowała się, że mnie zraniła, nie zamierzała przyhamować.

- Dlatego nie możesz patrzeć na nasze szczęście! Wolałabyś raczej, by się okazało, że mój brat nie żyje, matka popełniła samobójstwo, a ojciec może w każdej chwili trafić do więzienia!

- To nieprawda! - zaprotestowałam gorąco.

- Idź sobie! - warknęła. - Mam dosyć twojego ponurego sposobu myślenia i chorych teorii!

Nie mogłam nic zrobić, Marlinchen obstawała przy swoim. Odwróciłam się i zesłam po schodach.

- I nie wracaj tutaj! - rzuciła za mną. - Jeżeli znowu się u nas zjawisz, wezwę policję!

Miałam ochotę powiedzieć jej, że wrócę z nakazem rewizji, wiedziałam jednak, że najprawdopodobniej okaże się to niewykonalne. Nie dysponowałam wystarczająco mocnymi dowodami, poza tym czułam, że czasami trzeba zrezygnować z ostatniego słowa. Rozumiałam przyczynę gniewu Marlinchen - był nią strach. Gdyby nie dotarło do niej, że mówię prawdę, nie byłaby taka wściekła. Wsiadłam do samochodu i powoli ruszyłam w dół podjazdu.

Ze szczytu lekkiego wzniesienia na końcu zwirowanej drogi doskonale widziałam łąkę, po której biegali chłopcy. Zwolniłam na chwilę i obejrzałam się.

Aidan, bo jakoś nie potrafiłam myśleć o nim inaczej, stał z boku i rozmawiał z Liamem, który trzymał w rękach piłkę. Jego twarz i naga klatka piersiowa błyszczały od potu. Chłopcy wrócili na pozycje i Liam rzucił piłkę Aidanowi, a ten od razu ruszył z nią do przodu. Jego związane z tyłu jasne włosy połyskiwały w słońcu. Colm próbował go zatrzymać i przejąć piłkę, lecz Aidan wykonał unik i przyśpieszył, zmierzając prosto do nieoznaczonej bramki.

Okno na piętrze było puste i nagle pożałowałam, że Hugh nie patrzy teraz na swoich synów, bo może wreszcie dostrzegłby to, czego tak długo nie potrafił zobaczyć.

Hugh wierzył w rodzinę. W swoich powieściach i życiu prywatnym propagował ideał silnego, lojalnego i kochającego się klanu. Nigdy nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Jacob Candeleur, w którego żyłach nie płynęła ani jedna kropla krwi Hennessych, był ucieleśnieniem tego ideału. Od najmłodszych lat instynktownie chronił tych, których kochał. Wyciągnął Marlinchen z jeziora, kiedy załamał się pod nią lód, stawiał czoło łobuzom, którzy w szkole prześladowali Liama, zrezygnował z nowego życia, które zbudował sobie w Kalifornii, żeby być razem z rodzeństwem...

Uciekając Colmowi, Jacob przyśpieszył jeszcze bardziej i oddał strzał. Colm uznał wyższość brata, klepnął dłonią w otwartą dłoń Jacoba, chwycił piłkę i zawrócił na drugą stronę boiska, gdzie czekał na niego Donal.

Jacob chwilę stał nieruchomo, ciężko dysząc. Potem osunął się na kolana i nagle wyciągnął się na trawie.

Drgnęłam, poruszona skojarzeniem, którego jeszcze nie potrafiłam umiejscowić.

- O Boże... - jęknęłam.

Wrzuciłam wsteczny bieg i ze sporą prędkością podjechałam pod dom. Marlinchen mierzyła mnie wrogim spojrzeniem ze swego miejsca przy grillu.

- Dzwon na pogotowie! - krzyknęłam, wyskakując z samochodu.

Spodziewałam się sprzeciwu, ale ona popatrzyła na nieruchomo leżącego na trawie Jacoba oraz stojących nad nim braci i uwierzyła mi.

- Co mam powiedzieć? - odkrzyknęła.

- Zatrzymanie akcji serca!

Może Brigitte nigdy nie przyszło do głowy, że choroba, która zabiła jej ukochanego Paula, ojca jej dziecka, jest dzie-

dziczna, a może nie znalazła sposobu, aby ostrzec syna, który przecież miał nie wiedzieć, że jest jej synem... Może chciała to zrobić, ale nie zdążyła, bo śmierć za szybko zabrała ją z tego świata.

Kiedy dobiegłam do chłopców, Liam klęczał nad Jacobem.

- On chyba nie oddycha... - powiedział.

W jego głosie brzmiało wahanie, jakby pragnął, żeby ktoś zaprzeczył jego słowom i zapewnił go, że silny i zdrowy osiem-nastolatek nie może tak po prostu przestać oddychać.

- Odsuńcie się! - poleciłam.

Uklękłam i przewróciłam Jacoba na plecy. Przesunęłam rzemyk z tygrysimi oczkami i przyłożyłam palce do szyi chłopca. Tętnice nie pulsowały. Odchyliłam głowę Jacoba do tyłu, sprawdzając, czy drogi oddechowe nie są zablokowane, zatkałam mu palcami nos i rozpoczęłam sztuczne oddychanie. Potem wykonałam masaż serca, z całej siły uciskając klatkę piersiową. Znowu sztuczne oddychanie i znowu masaż serca...

Pielęgniarze, którzy przyjechali karetką, zapytali, kto pojedzie do szpitala z Aidanem, bo tak mówili o nim młodzi Hennessy. Otworzyłam usta i spojrzałam na Marlinchen, ale ona potrząsnęła głową.

- Proszę, pojedź z nim... - szepnęła. - Proszę cię... Rozwścieczona obrończyni honoru rodu Hennessych, która

kilkanaście minut wcześniej wygoniła mnie z domu, zniknęła bez śladu. Marlinchen znowu była przerażoną nastolatką, która szukała pomocy u osoby dorosłej. Wierzyła, że jakoś pomogę jej bratu, bo ona nie może nic zrobić. Bez słowa wsiadłam do karetki.

Nie zostawiłam Jacoba Candeleura nawet w sali reanimacyjnej. Gorączkowo pracujący lekarze i pielęgniarki nie zwrócili uwagi, że stałam pod ścianą, obserwując ich wysiłki, aż do dziewiętnastej jedenastej, kiedy w końcu poddali się i powoli opuścili salę. Ostatni z wychodzących, pielęgniarz, przytrzymał drzwi i spojrzał na mnie.

- Powiadomi pani rodzinę? - zapytał. Skinęłam głową.

- Za chwilę... - powiedziałam.

Hugh Hennessy długo ukrywał się za ścianą choroby i prywatności przed ludźmi, których skrzywdził, a ten krąg powiększał się stopniowo. Aidan, którego śmierć należało przypisać niewadze ojca. Elisabeth, do której samobójstwa poważnie się przyczynił. Brigitte, której zabrał dziecko. Jacob, dla którego utrata tożsamości okazała się fatalna w skutkach. I w pewien sposób także Paul Candeleur, lojalny i kochający, który przekazał swój system wartości synowi, ale nie zdołał uchronić go przed złym losem... Byłam pewna, że Paul widział, co stało się z jego synem, gdziekolwiek był, i że bardzo cierpiał z tego powodu.

Rozdział 33

Marlinchen, która od dawna dźwigała brzemień ciężkich obowiązków, tamtego dnia poznała nowe, takie, które większość ludzi poznaje dopiero w wieku trzydziestu paru, czterdziestu lat. Pomogłam jej wypełnić i podpisać odpowiednie formularze oraz zezwolenie na przewiezienie ciała Jacoba do domu pogrzebowego, a później podjąć konieczne decyzje. Poradziłam jej też, żeby wszyscy chłopcy, nawet Donal, pożegnali się z leżącym w trumnie Jacobem.

- Dzięki temu w pełni uwierzą w jego śmierć - powiedziałam. - To im pomoże pogodzić się z jego odejściem i do końca życia zachować pożegnanie w pamięci...

Wszyscy chłopcy byli otepiali z rozpaczy. Żaden nie płakał. Marlinchen wsiadła do nowej i długo patrzyła w przednią szybę.

- Możesz u nas przenocować? - zapytała cicho.

Trzeba wychować się w Ameryce, żeby zrozumieć, jak Amerykanie z klasy średniej przeżywają dziś żałobę po swoich najbliższych. Kiedy w innym kraju ktoś nagle umiera, ludzie płaczą i otwarcie dają wyraz rozpaczycy — codziennie oglądamy takie sceny w CNN. Sąsiedzi odwiedzają okryte żałobą domy, przynosząc z sobą jedzenie i wyrazy współczucia, czasami także alkohol, a krewni dzwonią i łączą się w smutku z najbliższą rodziną.

W domu Hennessych duży telewizor włączony był przez cały wieczór. Nawet Liam usiadł na kanapie, szukając pocieszenia i zapomnienia w elektronicznej narkozie naszych czasów.

Przygotowałam dla nich prosty posiłek - spaghetti z sosem pomidorowym i zieloną sałatę. Marlinchen zaniósła tacę do pokoju Hugh, a później dała mu pigułkę na sen.

- Nie stać mnie dziś na to, żeby czuwać przez pół nocy, czytać mu i pomagać przejść do łazienki - powiedziała.

- To dobry pomysł - odparłam.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Marlinchen oczekuje ode mnie akceptacji swoich decyzji, nawet w tak drobnych sprawach.

Liam długo stał przy oknie. Nie widział miejsca, gdzie umarł Jacob, ponieważ było już zupełnie ciemno, ale patrzył w tamtym kierunku.

- Nie rozumiem tego... - rzekł. - Cholera, po prostu nie potrafię tego pojąć...

Jego rysy wyostrzył ból, z którym ze wszystkich sił walczył. Wiedziałam, że napięcie ustąpi, kiedy Liam podda się smutkowi.

W milczeniu położyłam rękę na jego ramieniu. Ani Marlinchen, ani ja nie wróciłyśmy do tego, co wcześniej powiedziałam jej o Jacobie Candeleurze i prawdziwym Aidanie. Nie miałam pojęcia, kiedy zdecyduje się podjąć bolesny temat i podzielić się prawdą z braćmi.

Nie mogłam zasnąć i tylko przewracałam się z boku na bok na kanapie w dużym pokoju. W końcu zapadłam w płytką drzemkę, z której wyrwało mnie ciche kliknięcie klamki francuskiego okna.

Marlinchen przeszła przez skąpany w świetle księżyca taras, ubrana w bluzę z długimi rękawami i sprane dżinsy. W ręku trzymała łopatę, którą Liam wykopał grób dla Śnieżynki, i zmierzała w kierunku magnolii.

Nie miałam żadnego dowodu na potwierdzenie tej części mojej teorii, ale też ani przez chwilę nie wątpiłam, że Aidan został pochowany właśnie tam, nie gdzie indziej. Czy jakiegokolwiek inne miejsce w pobliżu domu kojarzyło się z pomnikiem? Nie. No i dlaczego Hugh zaprowadził tam Marlinchen wiele lat temu, gdy chciał powiedzieć jej coś niezwykle ważnego? Dlaczego wszyscy młodzi Hennessy siadali pod tym drzewem, aby porozmawiać, pomyśleć i po prostu posiedzieć w spokoju, zupełnie jakby przywoływał ich szept zmarłych?

Podniosłam się z kanapy i szybko wciągnęłam dżinsy.

Pochłonięta pracą Marlinchen nie usłyszała moich kroków. Była bardzo drobna, więc musiała całym ciężarem napierać na trzonek, żeby ostrze łopaty zagłębiło się w ziemi. Kopała i płakała.

- Marlinchen... - odezwałam się.

Podniosła zalaną łzami twarz, piękną nawet w rozpacz.

- Zostaw to... - powiedziałam. - Zajmiemy się tym później.

- Nie - odparła rozedrganym głosem. - Miałś rację we wszystkim, od samego początku, aleja nie chciałam słuchać... -spojrzała w okno Hugh. - Myślisz, że może nie śpi i patrzy na mnie? Mam nadzieję, że nie śpi, że zobaczy, jak kopię, i tym razem dostanie zawału... Nie pomogę mu, nie ruszę nawet palcem...

- To nie twoja wina!

- Nie, to jego wina! - rzuciła gniewnie. - Osłaniałam go przez te wszystkie lata, nie powiedziałam nikomu, jak traktował Aidana. Przecież gdybym kogoś zawiadomiła...

Zaniosła się płaczem, ale nie przestała kopać. Gdzieś na drugim brzegu jeziora łudzaco ludzkim głosem krzyknęła sowa.

- To nie twoja wina - powtórzyłam. - Cierpisz i chcesz coś zrobić, żeby naprawić i wyprostować tamto zło, ale lepiej by było, żebyś zostawiła to specjalistom, wierz mi... Możesz łatwo złamać łopatą kość i uszkodzić dowód...

- Dowód! - wybuchnęła śmiechem niepokojąco podobnym do krzyku sowy. - Po co komu dowody? On i tak nigdy nie znajdzie się na sali sądowej, bo będzie zbyt chory! I w ten sposób wymiga się od wszystkiego! - zaśmiała się gorzko. - To przez niego umarł Aidan i mama także, ale on nigdy za to nie zapłaci! - Znowu wbiła łopatę w ziemię. - Z każdej sytuacji wychodzi obronną ręką! Pomyśl o nauczycielach Aidana, którzy przecież powinni byli zauważyć ślady bicia... Oni nie daliby temu wiary, nawet gdyby ojciec pobił Aidana tuż przed szkołą! Na wywiadówki przynosili książki ojca i prosili go o autograf! - pociągnęła nosem. - Osłaniałam go i broniłam. Okłamywałam cię, bo nie chciałam, żeby ktokolwiek miał o nim złe zdanie... - Wytarła nos wierzchem dłoni, bardzo dziecinnym gestem. - Tyle lat się nim opiekowałam... Po śmierci mamy gotowałam i zajmowałam się domem i finansami, żeby tylko miał dość czasu na pisanie, na wykłady i rozmyślanie... Czyli robiłam wszystko, żeby mógł nie być prawdziwym ojcem...

Niespodziewanie zerwał się wiatr, niosąc delikatny ślad zapachu po popołudniowym barbecue.

- A kiedy mogłam już uwolnić się przynajmniej od części obowiązków, on dostał udaru! Doskonałe wyjście, prawda? Znowu schwytał mnie w pułapkę! Odzyska siły, ale tylko częściowo, bo już nigdy nie będzie zupełnie zdrowy! Będę tkwiła przy nim aż do czterdziestki, gotując mu obiady i dbając, żeby regularnie przyjmował leki...

- Wcale nie musi tak być... - zaczęłam.

- Ale tak będzie! Nie rozumiesz tego?!

Zapach dymu jakby zgęstniał. Nagle uświadomiłam sobie, że przecież Marlinchen nie zdążyła rozpać ognia pod grillem.

- Czujesz dym? - zapytałam.

- Zniosę kości do jego pokoju i pokażę mu! Zmuszę go, żeby patrzył na to, co zrobił!

Nie słuchała mnie, z rozpaczliwym uporem kopała ziemię. Odwróciłam się i spojrzałam na dom. W ciemnych szybach migotało czerwone światło.

- Kurwa mać! - krzyknęłam.

Kiedy dopadłam domu, Liam i Donal właśnie wyszli na taras.

- Gdzie Colm?! - rzuciłam.

- W środku... - zachrypiął Liam. - Wynosi tatę...

Hugh, pomyślałam z rozpaczą. Przeklęty inwalida na cholernym piętrze tego przeklętego domu...

- Musimy wynieść tatę - powiedział Donal załamującym się głosem.

Słyszając kroki, odwróciłam się gwałtownie i w ostatniej chwili złapałam za rękę Marlinchen.

- Nie ma mowy, żebyś tam weszła! - krzyknęłam. - Nawet o tym nie myśl! Zajmę się wszystkim...

Powietrze w domu było gorące, ale nie nieznośnie gorące - można by pomyśleć, że ktoś po prostu bezmyślnie podkręcił termostat, zapach dymu był jednak na tyle intensywny, że po plecach przebiegł mi dreszcz.

W korytarzu na piętrze zakrzusiłam się, bo tu dym gęsto snuł się pod ścianami. Colm wyrzwał z pokoju ojca.

- Chodź, pomóż mi z tatą! - zawołał.

O mało nie uległam pokusie, ponieważ Colm był bardzo silnym młodym mężczyzną, ale podmuch gorąca szybko mnie otrzeźwił. Wiedziałam, jak łatwo pożar wymyka się spod kontroli, jak łatwo wciąga człowieka w zasadzkę. Nie mogłam ryzykować życia Colma. Chłopak mógł zginąć. Czułam, że jeżeli

wejdę do tego pokoju, najprawdopodobniej żadne z nas już z niego nie wyjdzie.

- Nie! - krzyknęłam, chociaż staliśmy blisko siebie. - To nie czas na bohaterstwo!

Colm potrząsnął głową.

- To przez Donalę! Palił papierosy w piwnicy i zaproszył ogień! Jeżeli ojciec...

- Strażacy wyniosą waszego ojca - powiedziałam. - Mają odpowiedni sprzęt i są przeszkoleni...

Staralam się mówić z przekonaniem, chociaż nie byłam pewna, co będzie z Hugh. Przez głowę przemknęła mi myśl, że kiedy strażacy przyjadą, może być już za późno na wyniesienie z domu ważącego blisko dziewięćdziesiąt kilo inwalidy. Colm dostrzegł prawdę w moich oczach i otworzył usta, żeby zaprotestować, ale przeszkodził mu atak kaszlu.

- Właśnie w takich okolicznościach najczęściej giną ratownicy! - krzyknęłam.

Colm rzucił ostatnie, pełne rozpaczycy spojrzenie w głąb pokoju ojca i skinął głową. Położyłam rękę między jego łopatkami i popchnęłam go w kierunku schodów.

Kiedy znaleźliśmy się na tarasie, skóra piekła mnie tak mocno, jakbym przed chwilą leżała na gigantycznym grillu. Colm na pewno czuł się tak samo. Pociągnęłam go w kierunku kranu na podwórku i opryskałam wodą jego twarz, klatkę piersiową i ramiona. Gdy odsunął się, pochylałam się nad strumieniem wody, i wtedy uderzyła mnie myśl, że coś jest nie tak.

- Gdzie jest Marlinchen? - zapytałam niespokojnie.

Colm wyprostował się, odrzucił do tyłu mokre włosy i rozejrzał się dookoła. Liam, który obejmował ramieniem Donalę, podniósł wzrok.

- Nie! - wrzasnęłam. - Cholera jasna, nie!

Byłam tak wściekła, że Colm drgnął, wyraźnie przestraszony. Marlinchen wróciła po Hugh. Wcześniej mówiła, że nie ruszy palcem, żeby mu pomóc, ale były to tylko puste słowa.

W trudnej sytuacji wróciła do dawnego sposobu myślenia i postanowiła poświęcić się dla ojca.

Przełknęłam ślinę i spojrzałam na trzech chłopców.

- Cofnijcie się! - poleciłam. - Stańcie dalej, na podjeździe, tam nic wam nie grozi! I nie ruszajcie się stamtąd! Nawet gdyby któraś z nas nie wyszła, nie wchodźcie do domu i nie próbujcie nas ratować, rozumiano?!

Przytaknęli.

Padłam na kolana i podstawiłam głowę pod strumień lodowatej wody. Szybko ściągnęłam T-shirt, zmoczyłam go, włożyłam i pobiegłam do domu.

Od razu za progiem zrozumiałam, że nie mam szans dostać się na piętro. Schody płonęły. Gdybym próbowała po nich wbiec, równałoby się to samobójstwu. Jedyna droga na górę była odcięta.

Wybiegłam z domu i stanęłam pod oknem sypialni Hugh. Pędy winorośli na kracie ganku były poskręcane i zszarzałe z gorąca. Krata... Wytrzymała ciężar Jacoba, więc nie załamie się i pode mną.

Deszczułki trzeszczały i ugiwały się, kiedy zaczęłam się po nich wspinać. Liście ocierały się o moją twarz i mimo dymu czułam leciutki, słodki zapach zamkniętych pączków.

Okno Hugh było wysoko podniesione, niewątpliwie rękami Marlinchen, która próbowała wpuścić świeże powietrze do zadymionego pokoju. Hugh leżał na łóżku, a jego pierś unosiła się nieregularnie, jakby kaszał lub ciężko dyszał. Przypomniałam sobie, że Marlinchen dała mu pigułkę nasenną, i pomyślałam, że on pewnie w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje.

W progu oświetlonej łazienki pojawiła się sylwetka Marlinchen. Dziewczyna trzymała w rękach zwinięte prześcieradło. Musiała napełnić wannę wodą i teraz moczyła pościel oraz ręczniki, aby walczyć z wdzierającymi się już do sypialni ojca płomieniami.

- Marlinchen! - krzyknęłam.

W pokoju było prawie ciemno, ale zobaczyłam, że na jej twarzy odmalowała się ulga.

- Pomóż mi, Saro!

Nie chodziło jej o to, żebym pomogła jej wydostać się z domu - chciała, żebym weszła do środka i razem z nią zmagająca się z ogniem.

- Chodź tutaj! - zawołałam rozkazująco. - Podejdź do okna, bo inaczej...

Chciałam powiedzieć, że inaczej zginie, ale powstrzymałam się. Nie byłam pewna, czy Hugh jednak nie jest przytomny. Jeżeli zachował świadomość, nie chciałam nawet myśleć, co się z nim dzieje - unieruchomiony, całkowicie zdany na dobrą wolę innych, mógł tylko czekać na pomoc lub śmierć.

Zmieniłam taktykę.

- Straż pożarna jest już w drodze! - krzyknęłam do Marlinchen. - Wyniosą twojego ojca, ale ty musisz natychmiast stąd wyjść, już!

- Nie mogę! - potrząsnęła głową i rzuciła ociekające wodą prześcieradło na podłogę koło łóżka. - Wejdz i pomóż mi!

Wtedy stało się coś, co zaparło mi dech w piersiach. Marlinchen osunęła się na kolana, ciężko kaszląc. To koniec, pomyślałam. Nie ma dość siły, żeby się podnieść.

- Podejdź do mnie! - krzyknęłam. Kasłała dalej, ale znowu potrząsnęła głową. Spojrzałam na łóżko. Spod przymkniętych powiek Hugh

pływały łzy. Wiedziałam, że to z powodu podrażnienia dymem, ale nagle pamięć podsunęła mi obraz mojego nieżyjącego ojca. Gardło ścisnęło mi się z rozpacz i przerażenia.

Podjęłam decyzję. Postanowiłam, że już nie spojrzę na Hugh. Nie mogłabym powiedzieć prawdy, patrząc na niego, a nie miałam cienia wątpliwości, że jeśli nie powiem prawdy, Marlinchen zginie.

- Posłuchaj! - powiedziałam głośno. - Jeżeli wejść do środka i spróbuję ci pomóc, zginą tu trzy osoby. Mogą też zginąć dwie, bo tak będzie, jeśli cię zostawię. Jest jeszcze jedna możliwość - zginie tylko jedna osoba, a dwie się uratują...

Marlinchen chyba mnie nie widziała, bo oczy miała zapuchnięte od dymu i łez, ale zwróciła twarz w moim kierunku. Potem powoli podniosła się z podłogi i na ślepo zrobiła dwa kroki w stronę okna.

Wsunęłam paznokciec kciuka pod opadającą ramę okna, nie odrywając drugiej ręki od kraty. Popchnęłam okno do góry i w tej chwili metalowa krawędź przejechała po moim czole. Liście winorośli zadygotały, lecz rama na szczęście zatrzymała się w górze.

- Wszystko w porządku, damy sobie radę - zapewniłam Marlinchen, która siedziała już na parapecie. - Zejdę trochę niżej, żeby zrobić ci miejsce, ale przytrzymam cię, więc nie masz się czego bać... - oparłam dłoń na jej łydce.

Miałam nadzieję, że mój głos brzmi spokojnie i pewnie, lecz nogi dygotały mi, zmęczone długotrwałym napięciem.

- Wsuń jedną nogę i poszukaj oparcia na kracie... - powiedziałam. - Powoli zejdziemy na dół...

Plan był niezły, ale okazał się całkowicie bezużyteczny. Kiedy Marlinchen stanęła na kracie, cała konstrukcja zawaliła się w jednej chwili. Zobaczyłam dryfujący po niebie biały księżyc, dym, jezioro i cała planeta runęła mi na plecy, a zaraz potem na tył mojej głowy. Marlinchen miała więcej szczęścia, ponieważ ja zamortyzowałam jej upadek.

Rozdział 34

Otrzeźwił mnie znajomy zapach kleju, w niczym niepodobny do dymu, bo ostry i świeży. Oczy miałam zamknięte, ale czułam, że ktoś dotyka mojego czoła łagodnymi palcami.

- Powinnam chyba wykupić udziały w fabryce produkującej klej - odezwałam się, nie podnosząc powiek.

- Ciiii... - usłyszałam znizony, dobrze mi znany głos. -Nic nie mów, bo trzęsie mi się ręka...

Otworzyłam oczy i bez cienia zdziwienia ujrzałam pochylonego nade mną Cicera. Bez zdziwienia, ponieważ sekundę wcześniej poznałam jego głos. Zupełnie nie rozumiałam tylko, jak to się stało, że znowu trafiłam na stół w jego gabinecie.

Pamiętałam pożar w domu Hennessych i dziwną, niespójną układankę późniejszych wydarzeń. Pamiętałam, jak Colm odprowadzał mnie na bezpieczną odległość od płonącego domu i zachęcał, żebym wsparła się na jego ramieniu, co też zrobiłam, wdzięczna za jego młodą siłę i nieposłuszeństwo, bo przecież przybiegł po mnie wbrew mojemu poleceniu. Pamiętałam, jak przyjechały wozy strażackie i jak starałam się pomóc, kompletnie nieświadoma, że tym razem to ja potrzebuję pomocy, potem zatłoczoną poczekalnię na pogotowiu ratunkowym, a jeszcze później jakieś ciche, spokojne miejsce i czyjś opanowany, znizony głos. Głos Cicera.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie sklejasz... - wymamrotałam.

- To taka lekarska sztuczka, której w żadnym razie nie wolno ci próbować na własną rękę.

- Nie wiedziałam, że jestem ranna.

Pamiętałam ostry metalowy brzeg okiennej ramy, który przejechał mi po czole, ale wydawało mi się, że to tylko niewinne zadrapanie.

- Masz tu paskudne rozcięcie... Natychmiast uniosłam rękę do czoła.

- Nie dotykaj! - skarcił mnie ostro. - Zaraz je obejrzysz... Odjechał gdzieś do tyłu i wrócił z małym lusterkiem, które podsunął mi pod oczy.

- Cholera jasna... - mruknęłam.

Dopiero teraz przypomniałam sobie krew, którą musiałam ocierać,

żeby nie spływała do oczu, i to więcej niż jeden raz. Teraz także na nosie, policzkach, a nawet podbródka miałam krew, tyle że zaschniętą.

- W rzeczywistości jest lepiej, niż to wygląda. - Cicero znowu się cofnął. - Masz też opuchliznę z tyłu głowy, ale to nic poważnego. Zrobiłem ci okład z lodu i nawet sama go trzymałaś, pamiętasz?

- Nie.

- Poza tym nic ci nie jest. Zaraz przyniosę jeszcze trochę lodu. Możesz rzucić mi tamten ręcznik?

Rozejrzałam się i zobaczyłam mokry jasnozielony ręcznik, leżący na stole obok mnie. Wzięłam go i próbowałam wstać, ale Cicero, który był już w progu kuchni, podniósł rękę. Rzuciłam ręcznik, średnio celnie, lecz wychylił się z fotela i złapał go.

Wrócił z lodem i czystą myjką w metalowej miseczce, do połowy wypełnionej wodą z mydłem. Wyjęłam lód z jego ręki i przyłożyłam go na tył głowy. Nie miałam problemów ze zlokalizowaniem kontuzji, bo tępy ból i wilgotne włosy wyraźnie wskazywały stłuczone miejsce. Cicero postawił miskę na stole i wyjął myjkę.

Od razu zrozumiałam, co zamierza zrobić.

- Mogę sama umyć sobie twarz w łazience...

- Wiem, że możesz - odparł. - Ale zależy mi, byś chwilę posiedziała spokojnie i pottrzymała okład, poza tym mam już dość niepotrzebnego użalania się nad tobą dlatego, że wyglądasz, jakbyś stoczyła dziesięciorundową walkę z Lennoksem Lewisem, gdy tak naprawdę nie stało ci się nic złego...

Poddałam się jego zabiegom potulnie jak dziecko, zamykając oczy, kiedy delikatnie zmywał zaschniętą krew z mojej skóry.

- Muszę ci coś powiedzieć... - odezwał się. - Kiedy byłaś tu ostatnim razem, wspomniałaś o śmierci mojego brata.

- Nie musimy o tym rozmawiać - szybko otworzyłam oczy.

- Owszem, musimy... Obawiałaś się, że stawiam cię na

równi z policjantami, którzy zastrzelili Ulisesa. - Jego głos był spokojny i cichy, jak zwykle. - Nic z tych rzeczy. W ogóle nie jesteś do nich podobna.

- Nie widziałeś, jak zachowuję się w pracy...

- Nigdy nie rozmawiałem z tamtymi - ciągnął Cicero. - Nie przyszli do mnie i nie wyjaśnili, co się stało. Ty byś przyszła. A może się mylę?

- Nie - odparłam szczerze. - Przyszłabym.

Cicero skinął głową i dalej obmywał mi twarz. Dotyk miękkiej myjki na skórze miał hipnotyzujące działanie, podobnie jak cichy plusk wody, kiedy Cicero raz, drugi i trzeci wyzymał nasiąkniętą tkaninę.

- Nie potrafiłaś zbyt jasno powiedzieć, co ci się przydarzyło. Zrozumiałem tylko, że wybuchł pożar, a ty wypadłaś z okna, próbując kogoś ratować, zgadza się?

- Mniej więcej. Dlaczego pytasz? Wrzucił myjkę do miski i podał mi ręcznik.

- Często narażasz się na niebezpieczeństwo - rzekł. - Najpierw wyciągałaś dzieci z kanału odpływowego, a teraz to...

- To tylko dwa wypadki - zauważyłam, wycierając twarz.

- Dwa takie wypadki w czasie naszej znajomości - uzupełnił. - A to niewiele ponad miesiąc.

- Taką mam pracę... - mruknęłam.

- Nie! - Cicero pokręcił głową jak nauczyciel, który słyszy marną wymówkę z ust nieprzygotowanego do lekcji ucznia. - Wiem o pracy policji wystarczająco dużo, by się zorientować, że to, co robisz, to nie są czynności typowe...

- Kto chce być typowy? - rzuciłam lekko.

- Czasami ludzie dążą do niebezpiecznych sytuacji z określonego powodu - ciągnął Cicero. - Na przykład podświadomie próbują w ten sposób przekazać innym wiadomość, że dzieje się z nimi coś złego, coś, czego nie mogą powiedzieć czy pokazać wprost...

- Nie rozumiem.

- Czy kiedy jeszcze mieszkałaś razem z mężem... - zaczął ostrożnie Cicero. - Cóż, krótko mówiąc, chodzi mi o to, czy on kiedyś cię uderzył?

- Boże, nie! - zawołałam. - Shiloh także był policjantem!

- To nie wyklucza takiej możliwości. Praca w policji to bardzo „fizyczne” zajęcie i pewnie właśnie dlatego przyciąga ludzi agresywnych, którzy...

- Wiem - przerwałam mu. - Ale Shiloh nigdy mnie nie uderzył.

- Mam dziwne uczucie, że ktoś cię skrzywdził... - Cicero przerwał. - Czy chodziło o seks?

Chciałam już zaprzeczyć, lecz jakoś nie mogłam się na to zdobyć, może dlatego, że było bardzo późno i bolała mnie głowa, sama nie wiem.

- To było dawno temu - usłyszałam swój głos.

- Twój ojciec? - spytał Cicero.

- Brat. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam, nawet z Shilohem.

- Przykro mi - powiedział cicho.

- Nie chcę o tym więcej mówić...

- W porządku.

- Nigdy!

- W porządku - powtórzył łagodnie.

- Litujesz się nade mną?

- Nie.

- To dobrze. Nie chcę o tym więcej rozmawiać.

Zdałam sobie sprawę, że nadal trzymam w ręku mokry ręcznik, ale już bez lodu w środku. Położyłam go sobie na kolanach, rozłożyłam i zobaczyłam spoczywający na tkaninie jeden kawałek lodu wielkości zęba.

- Jeżeli czasami robię bardzo trudne, no, niech będzie, ekstremalnie trudne rzeczy, to tylko dlatego, że chcę... - podjęłam niepewnie i zaraz przerwałam. - Że chcę...

Zrozumiałam, że muszę zacząć od początku.

- Niedawno spotkałam młodego chłopaka, sanitariusza -pamięć natychmiast podsunęła mi obraz Nate'a Shigawy. - Poczułam zazdrość, bo on w pracy może zatrzymać krwawienie, a ja... Moja praca jest inna. Kiedy docieram na miejsce wypadku, zwykle bywa już za późno...

Myślałam o prawdziwym Aidanie Hennessym, o jego przedwczesnej śmierci i o jego matce, którą parę lat później wyłowiono z wód jeziora.

- Czasami da się powstrzymać krwotok, ale nie ma to nic wspólnego ze złagodzeniem bólu - odezwał się Cicero. - Wydaje mi się, że ty starasz się złagodzić ból...

- Kiedy ktoś mi na to pozwoli - powiedziałam. - Bardzo często ludzie proszą o pomoc, lecz w gruncie rzeczy wcale jej nie chcą.

Dzień, który dla mnie rozpoczął się pod gabinetem Kilande-ra, w końcu przytłoczył mnie swoim ciężarem. Poczułam wielkie zmęczenie, i to nie tylko fizyczne. Nie wiedziałam, jak czuje się Marlinchen ani gdzie teraz jest. Przez głowę przemknęła mi myśl, że chyba powinnam się dowiedzieć, co dzieje się z nią i jej braćmi, i czy nie są sami, ale po prostu nie było mnie na to stać. Nie teraz, pomyślałam.

- Która godzina? — zapytałam i odwróciłam się, żeby spojrzeć na zegar.

Była za dwie druga. Środek nocy.

- Boże, strasznie późno... - powiedziałam, podnosząc się ze stołu. - Przepraszam cię, powinieneś być już w łóżku... Jadę do domu.

Cicero otworzył usta, ale nie pozwoliłam mu się odezwać.

- Naprawdę czuję się nieźle - uśmiechnęłam się. - Wystarczająco dobrze, żeby usiąść za kierownicą... - przerwałam nagle. - Zaraz, czy przyjechałam tutaj sama? Chyba nie...

Potrząsnął głową.

- Nie pamiętasz? - zapytał.

Zamknęłam oczy i przywołałam z pamięci serię mglistych

obrazów. Bez skutku. I wtedy dotarło do mnie, że stało się coś niewyobrażalnego.

- Ty mnie przywiozłeś? - wyszeptałam.

- Tak.

- Ale przecież...

- Mówiłem ci, że kiedy nie mam innego wyjścia, wsiadam do windy. Zaskoczyło mnie nie to, że bez problemów zjechałem na dół w tej przeklętej klatce, ale to, że udało mi się uruchomić silnik.

Na mojej twarzy musiało malować się bezbrzeżne zdumienie, bo Cicero obserwował mnie z wyraźnym rozbawieniem.

- Zadzwoiłaś do mnie z automatu na ulicy - wyjaśnił. -Szczegóły wydarzeń trochę ci się wymykały, ale przyznałaś, że właśnie uciekłaś z poczekalni na pogotowiu. Kazałem ci poczekać przy telefonie. Zamierzałem odwiedzić cię do szpitala, gdyby było trzeba, ale na szczęście okazało się, że nie jesteś poważnie ranna, więc uszanowałem twoją wolę i przywiozłem cię tutaj.

Wyszedł z domu, żeby mnie ratować... Chciałam powiedzieć, że jestem z niego dumna, ale natychmiast pomyślałam, że moje słowa tylko umniejsząłyby wartość jego gestu, byłyby jak protekcyjnalne poklepanie po ramieniu.

- Jestem twoją dłużniczką...

- Dokładnie sto dwadzieścia dolarów - rzekł. - Osiemdziesiąt za zabieg i czterdzieści za to, że zmusiłaś mnie do zjechania na dół tą cholerną windą.

Uśmiechnęłam się lekko, z ulgą, że tak zgrabnie sprowadził nas na ziemię.

- Wiesz co? - odezwałam się.

- Nie masz przy sobie takiej sumy - dokończył za mnie.

- Przywiozę forszę jutro - obiecałam.

- Spokojnie, nie ma pośpiechu. I postaraj się trochę bardziej uważać, w co się pakujesz, dobrze? Nawet ja nie wszystko potrafię skleić.

Rozdział 35

Po pięciu godzinach snu obudził mnie sygnał komórki. Okazało się, że muszę przyjechać na komisariat i złożyć wyjaśnienia w sprawie śmierci Hugh Hennessy'ego, co naturalnie zrobiłam, szczegółowo tłumacząc swoją rolę w życiu Hennessych i opisując wydarzenia poprzedniego wieczoru i nocy.

Przy okazji dowiedziałam się, że Colm miał słuszną -Donal rzeczywiście palił papierosy w piwnicy. Łagodnie i umiejętnie przesłuchany przez policjanta o dużym doświadczeniu w sprawach związanych z pożarami, najmłodszy Hennessy powiedział, że nie mógł zasnąć i wymknął się z pokoju, żeby zapalić papierosa, którego parę dni wcześniej podkradł najstarszemu bratu. Widział, jak Aidan palił, zdenerwowany wybuchem Colma przy stole, i doszedł do wniosku, że papierosy pomagają w chwilach stresu. Kiedy siedział w piwnicy, usłyszał kroki na górze i przestraszył się, że ktoś go szuka. W pośpiechu wrzucił niedopałek do kosza na śmieci i uciekł do swojego pokoju. Nie zdawał sobie sprawy, że śmieci mogą się zapalić ani że piwnica jest pełna łatwopalnych materiałów - starych mebli, niepotrzebnych tkanin i tak dalej. Policjant, który przesłuchał Donala, dziwił się, że stary drewniany dom nie stanął w płomieniach jeszcze szybciej.

Po złożeniu zeznań wpadłam na korytarzu na Marlinchen, która uściskała mnie jak dawno zaginioną siostrę. Na komisariacie czekał też Champion, który dowiedział się o pożarze z telewizyjnych wiadomości. Wieczorem tego samego dnia jeden z pracowników straży pożarnej zabrał mnie nad jezioro, gdzie znalazłam swój przykryty grubą warstwą sadzy, lecz nieuszkodzony samochód. Splukałam sadzę wodą z węża i pojechałam prosto do myjni samochodowej.

Dopiero zasypiając, przypomniałam sobie, że zapomniałam oddać Cicerowi pieniądze.

*

Następnego dnia koło południa pojechałam do Cicera. Na dwudziestym szóstym piętrze wysiadłam z windy i ujrzałam scenę, która nie była dla mnie żadną nowością.

W korytarzu pod ścianą stała zapłakana Soleil. Wejścia do mieszkania Cicera pilnował policjant, który bardzo starał się wyglądać na nieporuszonego panującym wokół chaosem. Z głębi mieszkania dobiegały trzaski krótkofalówki. Nogi ugięły się pode mną. Ostatni raz takie uczucie ogarnęło mnie w kostnicy, dokąd zostałam wezwana, by sprawdzić, czy znalezione przez policję zwłoki są ciałem mojego męża.

W tym momencie gorąco żałowałam, że mam zbyt dużą wiedzę o tych sprawach, by łudzić się, iż takie okoliczności mogą oznaczać tylko włamanie lub napad. Wiedziałam, że w tym wypadku na pewno chodzi o zabójstwo. Mogłam zawrócić, zjechać na dół i schronić się gdzieś, gdzie w ciszy przetrawiłabym tę świadomość, ale nie zrobiłam tego.

Moja obecność nikogo nie zdziwiła. Sąsiedzi znali mnie jako dziewczynę Cicera, a obecni na miejscu zbrodni policjanci jako swoją koleżankę z wydziału dochodzeniowego. Policjant pilnujący drzwi podsunął mi listę do podpisania i bez słowa wpuścił do środka.

Wydało mi się niewłaściwe, że w mieszkaniu Cicera, które kojarzyło się ze spokojem, porządkiem i łagodnym, nieco przytłumionym światłem, teraz panuje tak wielkie zamieszanie. Wszędzie paliły się światła i silni, sprawni mężczyźni przechodzili z jednego pomieszczenia do drugiego, dziwnie wysocy, szybcy i jakby nieproporcjonalni.

Mieszkanie było splądrowane. Szafka, w której Cicero przechowywał przybory medyczne i podręczne leki, leżała na boku, notatki o pacjentach były rozsypane po całej podłodze. Fotel na kółkach tkwił na środku dziennego pokoju, dziwacznie przechylony. Na twardej wykładzinie o krótkim włosie widniało parę kropel krwi, jakby ktoś strząsnął farbę z pędzla.

Pierwszy technik, Malik, zaczynał właśnie szkicować roz-

kład mieszkania i pozycję wszystkich istotnych przedmiotów oraz śladów krwi. Krępa rudowłosa kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałam, robiła notatki. Z boku pod oknem stał detektyw. Był to Hadley.

Hadley był ostatnim mężczyzną, z którym spotykałam się przed Shilohem. Współpracował z Shilohem w brygadzie antynarkotykowej i kiedyś brałam nawet udział w ich akcji, której celem było rozbięcie nielegalnego laboratorium w pobliżu Anoka. Jak na ciemnoskórego, Hadley nie był szczególnie wysoki, miał natomiast niezwykle szybki refleks, przez co nieraz dał mi się we znaki w czasie naszych meczów koszykówki. Teraz nosił włosy krótsze, niż zapamiętałam, i ogólnie rzecz biorąc, chyba próbował dopasować swój wygląd do nowej roli detektywa wydziału kryminalnego.

Jego ciemne oczy objęły mnie szybkim spojrzeniem, skinął głową na powitanie. Nie mógł się odezwać, ponieważ właśnie rozmawiał przez komórkę.

- Kiedy technicy skończą? No, nie wiem... - Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i światło odbiło się od kolby rewolweru w kaburze pod pachą.
- W porządku...

Wyłączył telefon.

- Pribek... - powiedział. - Przysłali cię z okręgu?

- Co się tutaj stało? - zapytałam, nie odpowiadając na jego pytanie.

- Ofiara to Cicero Ruiz - rzekł. - Cała sprawa wygląda na napad rabunkowy i zabójstwo. Jego sąsiadka mówi, że facet prowadził jakiś interes w mieszkaniu.

Ostrzegałam cię, pomyślałam. Ostrzegałam cię... Hadley ruchem głowy wskazał drzwi, za którymi na korytarzu stała Soleil.

- To ona zadzwoniła do nas dziś rano. Zauważyła czerwony odcisk buta i zaniepokoiła się.

Nie zauważyłam krwawego śladu pod drzwiami, pozostawionego przez uciekającego zabójcę.

- Najpierw pukała do jego drzwi, a kiedy nie otwierał, przestraszyła się nie na żarty - zakończył Hadley.

- Przesłuchałeś ją już? - zapytałam.

- Jeszcze nie, dlatego czeka w korytarzu - wyjął notes z kieszeni, ale nie otworzył go. - Pozostali sąsiedzi mówią, że nic nie widzieli... - Wskazał ręką na rozsypane na podłodze przybory medyczne. - Wygląda to tak, jakby facet był lekarzem, ale to niemożliwe. Żaden lekarz nie mieszkałby w takim budynku.

- On był lekarzem - powiedziałam. Cicero na pewno wybaczyłby mi złamanie obietnicy. - Prewitt zlecił mi zebranie informacji na jego temat. Ruiz praktykował tutaj, w mieszkaniu.

- Przyjmował tu pacjentów? Kiwnęłam głową.

- Tego się dowiedziałam. Miałam zgromadzić dowody, żeby go aresztować.

- Cóż, teraz trochę na to za późno - rzekł Hadley. Przełknęłam ślinę, starając się rozluźnić napięte mięśnie szyi.

- Saro?

Detektywi z kryminalnego w pewnym sensie muszą wierzyć, że ofiarom zbrodni można pomóc nawet po śmierci, lecz ja nigdy nie byłam o tym do końca przekonana. Tak czy inaczej, jakiś wewnętrzny głos mówił mi, żebym robiła, co do mnie należy, i w tej chwili nie kwestionowałam tego polecenia. Jeszcze raz przełknęłam ślinę i odchrząknęłam.

- Czego zdążyłeś się dowiedzieć? - zapytałam.

- Nie jest tego zbyt wiele. Sprawców najprawdopodobniej było dwóch, technicy wkrótce potwierdzą to na podstawie odcisków butów i palców. Wszystko wskazuje na to, że chcieli go obrabować... - Hadley potarł grzbiet nosa. - Nie wiem, ile zarabiał doktor, ale wygląda, że nie zamierzał oddać im pieniędzy bez walki...

- Został pobity?

- Tak, widziałem ciało, jest mocno posiniaczone. Pokażę ci... - Ruszył korytarzem w kierunku sypialni, ruchem ręki zachęcając mnie, żebym poszła za nim.

W sanktuarium Cicera fotografie stały na swoim miejscu, lecz szuflady wyszarpięto z zawiasów i wybebeszono, podobnie jak szafkę na dokumenty. Na dywanie w nogach łóżka widniała ciemna, nieregularna plama, szeroka na jakieś półtora metra.

- Tutaj umarł - powiedział Hadley. - Myślę, że znał napastników, bo wpuścił ich do mieszkania, na drzwiach nie ma śladów włamania. Zaatakowali go w dużym pokoju, przewrócili fotel, sama widziałas. Stawiał opór, są tam ślady krwi. Potem zawlekli go do sypialni i na serio zabrali się do bicia. - Wskazał rozprysniętą na ścianach krew. - Widzisz? Nie oszczędzali go. Albo mieli coś do niego, albo, co bardziej prawdopodobne, nie dostali tego, po co przyszli...

Coś zgrzytało w teorii Hadleya. Cicero potrzebował pieniędzy, to prawda, ale zbyt mocno stał obiema nogami na ziemi, żeby dla nich umierać. Wiedziała, że gdyby chodziło tylko o pieniądze, bez wahania oddałby je napastnikom. A oni śmiertelnie go pobili... Pokręciłam głową. Hadley sugerował, że motywem mogła też być osobista wrogość, ale Cicero nie miał wrogów. Byłam gotowa założyć się o dowolną sumę, że mam słusność.

- Narzędzie zbrodni jest już zabezpieczone - ciągnął Hadley. - To dziesięciokilogramowy ciężarek, jeden z dwóch hant-li, jakie tu znaleźliśmy. Dobrze się czujesz?

Nie mogłam oderwać wzroku od przyklejonego do lustra zakrwawionego ciemnego włosa.

- Przepraszam, nie pomyślałem, że ty widzisz takie rzeczy trochę rzadziej niż ja - powiedział szybko. - Chcesz wyjść do tamtego pokoju?

- Nie - wreszcie odzyskałam głos. - Nic mi nie jest. Chciałabym pomóc w śledztwie, jeżeli to możliwe...

Hadley kiwnął głową, nie widząc w mojej prośbie nic nadzwyczajnego.

- Chętnie skorzystam z tej propozycji - rzekł.

Za drzwiami rozległ się głos policjantki, która robiła notatki z miejsca zbrodni. Wołała Hadleya.

- Przepraszam na chwilę... - mruknął.

Popatrzyłam na zdjęcia na ołtarzyku Cicera i nagle przypomniałam sobie, co powiedział, kiedy wypisał mi receptę na antybiotyk.

Nie chciał zostać aresztowany za nielegalną praktykę lekarską, ale przecież więzienie nigdy by go nie złamało. Może nigdy nie wybaczyłby mi, gdybym wydała go w ręce policji, lecz przynajmniej by żył... Teraz był martwy, ponieważ zlekceważyłam głos instynktu i postąpiłam tak, jak sobie życzył.

Kiedy opowiedział mi o pacjentce z problemami psychicznymi, która wezwała go do siebie do domu, wyznał, że był wtedy bardzo samotny, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. To samo mogłam teraz powiedzieć o sobie. Potrzebowałam przyjaźni Cicera i bałam się, że będę musiała żyć ze wspomnieniem jego gniewu, więc postanowiłam uchronić go przed aresztowaniem. W gruncie rzeczy osłaniałam go z egoizmu i ostatecznie doprowadziłam do jego śmierci.

Ze zdjęć patrzyli na mnie młodszy, beztroski Cicero i jego brat Ulises. Obaj nie żyli - jeden zabity przez bezkarnych policjantów, drugi przez samolubne uczucia jednej policjantki.

Przez następną godzinę pracowałam bez chwili wytchnienia. Hadley wyszedł, żeby przesłuchać sąsiadów. Musiał oddzielić tych, którzy naprawdę nic nie wiedzieli, od innych, takich jak Soleil, którzy wiedzieli wystarczająco dużo, aby poprosić ich o formalne złożenie zeznań. Zostałam na miejscu i aparatem pożyczonym od techników obfotografowałam całe mieszkanie, każdy sprzęt i przedmiot, każdą plamę i ślad krwi, ze wszystkich sił usiłując zdystansować się od tego, na co patrzyłam.

Kiedy Hadley wrócił, już kończyłam.

- Pribek! - zawołał.

Z tonu jego głosu bez trudu wywnioskowałam, że wpadł na jakiś trop. Nawet Malik upuścił ołówek, którym szkicował. Hadley trzymał w ręku swoją komórkę.

- Na razie wychodzimy! - rzucił. - Dostaliśmy telefon z apteki na University Avenue. Farmaceutka zorientowała się, że dwóch chłopaków wtyka jej sfalszowaną receptę. Powiedziała, że żaden lekarz nie napisałby takich bzdur...

Oczywiście, bloczek z receptami, pomyślałam.

- Na recepcie była pieczętka i podpis lekarza, Cicera Rui-za. - Hadley rzucił mi pozbawiony cienia wesołości uśmiech. - Trzeba przyznać, że doktorek kompletnie ich wykiwał...

Otóż Hadley się pomylił. Za śmiertelnym pobiciem Cicera nie kryła się kradzież ani osobista wrogość - napastnicy chcieli, żeby wypisał im recepty, a kiedy odmówił, skatowali go, aby złamać jego opór.

- Gówniarze wyczuli pismo nosem i rzucili się do ucieczki, kiedy radiowóz podjechał pod aptekę - ciągnął Hadley. - Policjanci gonili ich i jeden z podejrzanych upadł. Zatrzymali go... - potrząsnął głową. - Jego kumpel zostawił go bez wahania. Cóż, nie ma już honorowych przestępców...

Jego głos docierał do mnie z bardzo daleka. Nie dziwiłoby mnie, gdyby ktoś napadł na Cicera dla pieniędzy, bo wszyscy jego pacjenci wiedzieli, że zawsze trzyma w domu gotówkę. Pacjenci, czyli wszyscy ci, którzy wiedzieli, że pewien lekarz nieoficjalnie prowadzi praktykę w budynku komunalnym. Ale ten bloczek z receptami...

- Saro! - w głosie Hadleya zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

- Przepraszam... - powiedziałam.

- Przyłapany w aptece gówniarz siedzi w areszcie, ludzie z wydziału dzwonią teraz do wszystkich aptek i przekazują opis tego drugiego. -

Hadley schował komórkę do kieszeni marynarki. - Niestety, nie znamy jego nazwiska. Tylko jego koleżka może go zidentyfikować, więc chodźmy go trochę przycisnąć.

Z okna samochodu Hadleya patrzyłam na uliczny ruch, pieszych na chodnikach i słońce odbijające się w szybach wysokich budynków. Czułam się tak, jakby od zewnętrznego świata oddzielała mnie przezroczysta błona. W ręku trzymałam zgniecioną kartkę, na której znajdowała się spisana ręką Cicera historia mojej choroby. Widniało tam moje imię i nazwisko - gdyby ktoś znalazł te notatki w mieszkaniu Cicera, nie zdołałabym wytłumaczyć się przed przełożonymi. Niemniej wyjęłam ją z przewróconej szafki z uczuciem obrzydzenia do samej siebie, jakbym dopuściła się zdrady wobec Cicera.

Hadley lekko dotknął mojej ręki wierzchem dłoni.

- Hej, chyba za bardzo to przeżywasz...

Oderwał wzrok od przedniej szyby, żeby zajrzeć mi w oczy, i wyprzedził ciężarówkę ze sklepu meblowego.

- Czy to dlatego, że facet był niepełnosprawny? - zapytał.

- Nie - odparłam. - Po prostu... - zawahałam się. Musiałam mu jakoś odpowiedzieć, ale nie chciałam przebijać niewidzialnej błony i uwalniać miotających mną uczuć. — Po prostu wydaje mi się, że to straszna strata...

Wsunęłam notatki Cicera do torby. Nie chcę o tym teraz rozmawiać, nie chcę o tym rozmawiać, powtarzałam w myśli.

- Rozumiem - rzekł Hadley. - Jego sąsiadka mówi, że...

- Moglibyśmy ustalić strategię przesłuchania? - zagadnęłam pośpiesznie.

Hadley wyminął wolno jadącego oldsmobile'a.

- Dobry pomysł - przyznał.

Jest to taktyka stara jak świat - kiedy dwóch ludzi popełnia przestępstwo, trzeba zmusić jednego z nich, by wydał partnera, wkopał go i obciążył wszystkimi możliwymi zarzutami.

Należy odwołać się do jego instynktu przetrwania i zasugerować, że partner zachowałby się dokładnie tak samo, gdyby tylko miał szansę.

Dochodzenie prowadził Hadley, więc zgodziłam się, aby to on trzymał wodze. Sama wzięłam na siebie rolę łagodniejszej, dobrej policjantki.

Młody mężczyzna, który czekał w pokoju przesłuchań, raczej nie wyglądał na przestępcę. Miał niewiele ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, włosy koloru słomy i skąpą kozią bródkę. Dolne powieki opadały mu lekko, co nadawało twarzy wyraz nieprzemijającego znużenia, ale w oczach na nasz widok pojawił się błysk wrogiej radości, jakby z góry się cieszył, że nam nie pomoże. Miał na sobie zbyt obszerne spodnie z ciemnego, grubego dżinsu oraz czerwoną bluzę z kapturem. Niebieskawy wytatuowany pajak czaił się na skórze między kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni i przy każdym geście wydawał się poruszać odnóżami.

Kiedy weszliśmy, ziewnął szeroko.

- Nie jest ci tutaj zbyt wygodnie, Jerod? - zagadnął Hadley. Zatrzymany wzruszył ramionami.

Jerod Smith, dziewiętnastolatek z południowej części Minneapolis, wcześniej raz zatrzymany za posiadanie marihuany, czyli bez poważnych zarzutów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że to jego wciąż przebywający na wolności partner był sprawcą śmierci Cicera.

- Chcesz opowiedzieć nam o Cicerze Ruizie, prawda? - rzucił Hadley.

- O kim?

- Jeżeli zamierzasz kłamać, to przynajmniej rób to z głową. - Hadley przysiadł na brzegu stołu. - Nazwisko Ruiza było na recepcie, którą dałeś farmaceutce, więc wiemy, że ty wiesz, kto to taki... - Wziął głęboki oddech, wyłącznie na pokaz, bo na razie wcale nie był zdenerwowany. - Ruiz nie żyje, a wy próbowaliście wykupić leki z podpisanych przez niego recept. Sprawa wygląda marnie, bardzo marnie. Wydaje mi się, że powinieneś pójść z nami na współpracę.

- Kiedy wychodziliśmy z jego mieszkania, był całkiem zdrowy - powiedział chłopak i nagle kąciki jego warg zadrgały, jakby przypomniał sobie coś zabawnego. - Może wypadł z tego swojego fotela i uderzył się w głowę albo dostał jakiegoś ataku, nie wiem... Przecież facet był kaleką...

Jerod uniósł rękę, z rozmachem uderzył się pięścią w klatkę piersiową i udał, że ma napad kaszlu. Nachyliłam się ku niemu.

- Słuchaj, ty mały kutasie, wydaje ci się może, że nic ci nie grozi, bo w Minnesocie nie ma kary śmierci? - warknęłam, nie mogąc się powstrzymać. - To żaden powód do radości, wiesz? Tacy gówniarze jak ty nie mają w więzieniu dziewczyn, tylko stają się dziewczynami... Zanim wyjdiesz, a będziesz wtedy staruszkim, ta przerośnięta łechtaczka, którą nosisz między nogami, będzie już do niczego, kapujesz?

Oczy Jeroda najpierw się rozszerzyły, a potem przybrały twarde wyraz.

- Trzeba przyznać, że jest się nad czym zastanowić - gładko skonstatował siedzący z tyłu Hadley. - Może damy ci teraz trochę czasu, żebyś wszystko sobie przemyślał...

Wyszłam za nim z pokoju. Wiedziałam, co mnie czeka. W korytarzu Hadley z namysłem potarł czoło.

- W porządku, silnik wozu hałasował jak cholera, więc może się przesłyszałem, ale wydawało mi się, że ustaliliśmy, że to ja naciskam, a ty jesteś miła i podsuwasz chłopakowi rękaw, żeby się wypłakał - powiedział zupełnie spokojnie.

Hadley zawsze potrafił panować nad emocjami.

- Wiem... - mruknęłam, trochę zawstydzona. - Wkurzył mnie, i tyle.

- Teraz musimy przegrupować siły... - Hadley popatrzył na pracownika archiwum, który pchał korytarzem wózek z aktami. - Dobra, jeszcze raz naświetlę mu sytuację, wtedy ty

stracisz cierpliwość i powiesz mi, że szkoda czasu, a ja się zgodzę, jasne? Zobaczymy, czy to zadziała.

Jerod siedział zbuntowany i nadęty, ale nie ziewał już i nie robił min. Pomyślałam, że może niedługo uda się go złamać.

- W porządku, wyjaśnijmy sobie tę sytuację... - Hadley przysunął krzesło i usiadł na nim okrakiem. - Musimy przymknąć twojego kumpla, to dla nas najważniejsze. Jeżeli nam pomożesz, sędzia weźmie to pod uwagę jako okoliczność łagodzącą.

Oparłam się o ścianę, jakby cała ta scena mocno mnie nudziła.

- W tej chwili nie wiemy, kto wpadł na pomysł, żeby pójść do mieszkania Ruiza, nie wiemy, kto go zabił i czy było to zaplanowane morderstwo, czy nie. - Hadley podniósł dłoń, jakby chciał uciszyć Jeroda, chociaż ten chyba wcale nie zamierzał się odezwać. - Nie namawiam cię do kłamstwa, w żadnym razie, mówię tylko, że nie znamy odpowiedzi na te pytania, a ponieważ pan Ruiz nie żyje...

Doktor Ruiz, sprostowałam w myśli.

- ...tylko dwie osoby mogą ich udzielić - ciągnął Hadley. - Twój kumpel dał nogę, a ty zostałeś aresztowany, czyli okazało się, że nie możesz na nim polegać, mam rację? W końcu go złapiemy i zastanawiam się, czy wtedy zaimponuje nam wszystkim swoim poszanowaniem prawdy... Ciekawe, co nam powie o przebiegu wydarzeń w mieszkaniu pana Ruiza...

Staralam się sprawiać wrażenie całkowicie obojętnej, ale nie mogłam nie zauważyć, że Jerod zaczął się trochę denerwować. Mięśnie jego szczęk poruszały się spazmatycznie.

- Chcemy, żebyś podał nam nazwisko kumpla, numer jego prawa jazdy i wszystkie informacje, które mogą nam ułatwić schwytanie faceta. Jeżeli zaczniesz z nami współpracować, może trochę ci pomożemy, ale jeśli będziesz zwlekał, a on popełni następne przestępstwo i skrzywdzi jeszcze kogoś... - Hadley odchylił się do tyłu, jakby nagle stracił zainteresowa-

nie sprawą Jeroda - ...wtedy sam będziesz sobie winien, chłopie...
Każdy sąd uzna, że mogłeś zapobiec nieszczęściu i nie zrobiłeś tego.
Jerod milczał.

- Więc jak? - ponaglił Hadley.

Chłopak utkwiał wzrok w podłozę. Czas na mój występ, pomyślałam.

- Daj sobie spokój - powiedziałam do Hadleya.

Hadley rzucił mi pełne irytacji spojrzenie, jakbyśmy byli partnerami,
którzy nie mogą się dogadać nawet pod drzwiami pokoju przesłuchań.

- Może dałabyś mi łaskawie jeszcze parę minut, co?

- A niby po co?! - podniosłam głos. - I tak złapiemy tego drugiego
gówniarza! Zrobi coś głupiego, bo ma tyle oleju w głowie, co kot
napłakał, nakryjemy go i będziemy mieli obu!

Hadley bezradnie uniósł obie dłonie i zaraz je opuścił.

- Czasami masz rację - przyznał. - Dobra, dzwoniemy po strażnika,
niech odprowadzi go do celi.

Wstał z krzesła i oboje podeszliśmy do drzwi.

- Zaczekajcie... - odezwał się Jerod. Doskonale, pomyślałam.

- To był Marc - powiedział. - To on wpadł na pomysł, żeby pójść do
tego faceta, a później stłukł go hantlem... Uderzył go ze cztery razy...
Krzychałem, żeby przestał, ale on mnie nie słuchał...

Wiedziałam, że nigdy się nie dowiemy, czy rzeczywiście tak było,
lecz dla Cicera nie miało to już wielkiego znaczenia. Dla mnie także.

Hadley położył notes na stole przed Jerodem.

- Zapisz nazwisko Marca i inne daty - rzucił. - Później spiszesz
szczegółowe zeznanie z przebiegu wydarzeń w mieszkaniu pana Ruiza.

- Doktora Ruiza - powiedziałam głośno.

- Słucham? - Hadley spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Doktora Ruiza - powtórzyłam. - Doktora Cicera Ruiza... Gdy Jerod skończył pisać, Hadley wyrwał z notesu kartkę z informacjami. Mogliśmy już wyjść i przekazać dane Marca dalej. Hadley odwrócił się, ale ja wciąż stałam nieruchomo. Wróciłam do myśli, których tok zakłócił mi wcześniej Hadley.

Tylko trzy osoby wiedziały, że Cicero ma u siebie bloczek z receptami. Jedna z nich nie żyła, drugą byłam ja, a trzecia...

Przysiadłam na piętach obok krzesła Jeroda. Zrobiłam to świadomie, bo ta pozycja zwykle wzbudza ufność rozmówcy.

- Jerod, skąd wiedzieliście, że doktor Ruiz ma recepty? -zapytałam spokojniej niż dotąd.

- Mówiłem już, że to był pomysł Marca...

- Dobrze, ale skąd Marc wiedział o receptach?

- Czasami spotyka się z taką dziewczyną, która pochodzi z tego samego miasta co on, z Michigan - wyjaśnił Jerod. - To ona powiedziała nam, że zna facia, który trzyma w mieszkaniu sporo gotówki i recepty...

Przełknęłam ślinę, usiłując zachować spokój.

- Marc pochodzi z Dearborn, tak? Jerod zamrugał, wyraźnie zaskoczony.

- Tak... Skąd pani wie?

- Wiesz, jak nazywa się ta dziewczyna? - drażyłam, nie zwracając uwagi na jego pytanie.

Zastanawiał się chwilę.

- Jakieś takie francuskie imię, coś jak Charmaine, ale inaczej... Ona myśli, że jest dziewczyną Marca, ale to nieprawda. Marc po prostu pozwala jej polerować swój kołek...

- Dziękuję - powiedziałam bez uśmiechu. - Napisz to wszystko w zeznaniu.

- O co chodziło z tą dziewczyną? - zapytał Hadley, kiedy wyszliśmy na korytarz.

Ręce trzęsły mi się z wściekłości, więc szybko złączyłam je za plecami.

- Dziewczyna Marca to dawna informatorka Shiloha, niejaka Ghislaine Morris - odparłam. - Niewykluczone, że wie, gdzie jest teraz chłopak.

- Świetnie - powiedział Hadley, idąc przodem. - Ale dlaczego kazałaś Jerodowi napisać o tym w zeznaniu?

- To ona wprawiła w ruch te wydarzenia.

- Dobra, trochę rozpuściła jęzor - przyznał Hadley. - To jeszcze nie przestępstwo... Nic na nią nie mamy.

- To prawda - rzuciłam. - Niemniej pożyczę teraz jakiś wóz z parkingu i pojedę z nią pogadać.

Przystaliśmy przed automatem z napojami. Hadley wziął kawę, spojrzał na mnie i pytająco uniósł brwi. Potrząsnęłam głową.

- Dobry pomysł, jedź do niej - powiedział. - Czemu chcesz pożyczyć samochód?

- Bo moja nova stoi na parkingu przed domem Ruiza - wyjaśniłam. - Przyjechałam tu z tobą.

Po wyjściu z mieszkania Cicera byłam jak otępiała i nawet nie pomyślałam o samochodzie. Gdyby wtedy Hadley podprowadził mnie do statku kosmicznego, wsiadłabym bez chwili wahania.

- No tak! - Hadley klepnął się w czoło. - Zaraz, zaraz, w takim razie pojedę z tobą do tej dziewczyny... Zaczekaj parę minut i...

- Im szybciej z nią porozmawiam, tym lepiej - przerwałam mu. - Zresztą ty musisz jeszcze przeczytać zeznanie Jeroda i podpisać parę papierków w areszcie.

Wypożyczyłam granatowego sedana w dobrym stanie i pomyślałam, że czymś takim najprawdopodobniej jeździ Gray Diaz. Wjechałam nim na rampę z trochę większą prędkością, niż należało, ku wyraźnej dezaprobacie dwóch urzędników w garniturach i trenczach, którzy właśnie przechodzili na drugą stronę garażu.

Zdecydowałam już, co zrobię z Ghislaine. Postanowiłam przywieźć ją na komisariat i dowiedzieć się, co wie na temat miejsca pobytu swojego domniemanego chłopaka, Marca, ale najpierw chciałam zafundować jej krótką wycieczkę do biura koronera i do kostnicy.

Parę dni wcześniej ostrzegłam ją, że jeżeli znowu spróbuje zaszantażować mnie wydaniem Cicera w ręce policji, wsadzę ją za kratki, lecz oczywiście była to groźba bez pokrycia. Teraz Ghislaine zrobiła coś znacznie gorszego, a ja nie mogłam jej ukarać, ponieważ, jak powiedział Hadley, nic na nią nie miałam. Mogłam tylko zmusić Ghislaine, żeby popatrzyła na spoczywającego w szufladzie z nierdzewnej stali Cicera i zrozumiała, że to ostateczny efekt jej poczynań.

Rozdział 36

Dziewczyna, która otworzyła drzwi mieszkania Ghislaine, wyglądała jak jej kuzynka ze wsi - była trochę niższa, trochę tęższa, z platynowymi włosami i małymi, niespokojnymi niebieskimi oczkami. Miała na sobie białą koszulkę z dekoltem w serek, bez biustonosza pod spodem, i obcięte do kolan dzinsy, spod których wystawały prawie białe bose nogi. Za jej plecami z włączonego telewizora dobiegały odgłosy typowe dla talk-show.

- Chciałabym się zobaczyć z Ghislaine - powiedziałam.

- Nie ma jej - odparła dziewczyna.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym weszła i sprawdziła? - Błysnęłam jej przed oczami policyjną odznaką.

Spojrzała na mnie z przestraszeniem i cofnęła się do środka.

- Karmię właśnie dziecko...

- Shadricka? - zapytałam. Pokręciła głową.

- Nie, moje dziecko. Shad jest z Ghislaine.

Mniej więcej półroczne dziecko w puszystym, miękkim żółtym komplecikui siedziało w wysokim foteliku na progu między kuchnią i pokojem dziennym.

- Czy Ghislaine zrobiła coś złego? Tak.

- Nie, muszę tylko zadać jej kilka pytań. Ghislaine jest świadkiem w pewnej sprawie.

Przeszłam krótkim korytarzykiem, podobnym do tego w mieszkaniu Cicera, i bez trudu trafiłam do łazienki. Powietrze było jeszcze wilgotne po popołudniowym prysznicu, na brzegu umywalki stały słoiczki z kremami i inne kosmetyki. Za drzwiami kabiny prysznicowej z mrożonego plastiku nie było nikogo.

W pierwszej sypialni łóżko było nieposłane. Poszwę kołdry ozdobiła gigantyczna, żółta głowa Tweety Bird, na ścianie wisiał duży plakat zespołu Packers, a na kilku półkach, niemal pustych, stało tylko parę podręczników do szkoły średniej i kilkanaście małych pluszowych koników oraz leżący na boku puszysty pies. Nie było wątpliwości, że mieszkają tutaj dzieci.

- To mój pokój - odezwała się dziewczyna.

- Mogłabyś powtórzyć, jak się nazywasz, bo jakoś nie usłyszałam...

- Lisette.

Znowu francuskie imię, chociaż sądząc po wyglądzie, w żyłach Lisette nie było ani kropli galijskiej krwi.

- Jesteś kuzynką Ghislaine? - zapytałam.

- Nie, tylko mieszkamy razem. Przeszłam do drugiej sypialni.

Odniosłam wrażenie, że Ghislaine jest rok lub dwa starsza od współlokatorki, i chyba miałam rację. Sypialnia Ghislaine to pokój kobiety, już nie dziecka. Łóżko zostało starannie posłane i przykryte jasnoróżową siatkową narzutą oraz kilkoma poduszkami, obszytymi dość tandetną koronką. Zabawki Ghis-

laine z pewnością były bardziej kosztowne - odtwarzacz płyt kompaktowych z systemem MP3, ładowarka do telefonu komórkowego, sporo kompaktów. Drzwi szafy stały otworem, a w środku wisiało kilka skórzanych kurtek, płaszcz i co najmniej kilkanaście eleganckich sukienek. Na korkowej tablicy, takiej samej jak ta w pokoju Marlinchen Hennessy, Ghislaine przypięła mnóstwo zdjęć, przedstawiających głównie ją samą z różnymi chłopcami lub Shadrickiem, znacznie rzadziej z innymi dziewczynami.

Lisette obserwowała mnie od progu.

- Który z tych chłopaków to Marc? - spytałam.

- Żaden - powiedziała. - Marc ma gdzieś takie rzeczy...

- To znaczy?

- Nigdy nie zrobiłby sobie zdjęcia z Gish - wyjaśniła. - I nigdy nie zachowywał się jak jej chłopak, to poniżej jego godności...

- Naprawdę? Lisette kiwnęła głową.

- Gish pożycza mu kluczyki od swojego samochodu, żeby mógł jeździć na imprezy, oczywiście bez niej. Marc zostawia tu swoje brudne rzeczy, a ona nosi je do pralni i udaje, że nie czuje zapachu perfum innych dziewczyn.

- I Ghislaine znosi to wszystko?

- Tak. Im gorzej Marc ją traktuje, tym bardziej ona stara się mu przypodobać. Narzeka na niego, ale nigdy w jego obecności, a kiedy radzę jej, żeby go rzuciła, natychmiast zaczyna mówić coś innego...

- Czyli?

- Opowiada, że on się zmieni, że w głębi serca naprawdę mu na niej zależy. Wmawia sobie, że to jej chłopak, bo dostaje od niego rzeczy, głównie kradzione. Marc lubi odstawiać twardziela... - Lisette przewróciła oczami. - Tak czy inaczej, Gish za nic nie chce go zostawić i ciągle się zastanawia, czym mogłaby mu zaimponować.

Tak jest, pomyślałam. Tym razem wpadła na znakomity pomysł, za który Cicero zapłacił życiem.

- Czy Marc był tu dzisiaj? - zapytałam. Lisette przecząco pokręciła głową.

- Dzięki... - rzuciłam.

Bardziej bezstronny obserwator stanąłby może w drzwiach sypialni Ghislaine, popatrzył na ładniutkie drobiazgi, którymi się otaczała, i słodkie, pastelowe kolorki, i potraktował te rzeczy jako symbole jej niewinności i nieszkodliwości. Pomyślałby, że ma do czynienia z bardzo młodą dziewczyną, która lubi ładne sprzęty, ubrania i zakupy, i dba o porządek w swoim pokoju. Ten bezstronny obserwator na pewno życzyłby jej wszystkiego najlepszego i uznałby, że to nie jej wina, iż stara się przypodobać nieciekawemu chłopakowi, ale społeczeństwa, które stwarza i akceptuje sytuacje, w których dziewczyny w wieku Ghislaine dają swoim chłopcom pieniądze, seks i wsparcie, nie otrzymując nic w zamian.

Ja również myślałam w taki sposób, kiedy poznałam Ghislaine. Zlekceważyłam opinię Shiloha o tej dziewczynie, uznając, że wynika ona z jego fundamentalistycznych przekonań religijnych i moralnych. Zwiodło mnie pozorne ciepło Ghislaine oraz jej pogodna gadatliwość i nie dostrzegłam, że pod tą wierzchnią warstwą rośnie coś groźnego niczym złośliwy nowotwór.

Namiętność do ładnych rzeczy i ubrań była źródłem zła, drzemącego w sercu Ghislaine. Pragnęła zdobywać i posiadać, a jeżeli w drodze do celu raniła innych, to i tak tego nie zauważała. Ludzie nie byli dla niej realnymi, żywymi istotami - traktowała tak wszystkich z wyjątkiem Shadricka i może Marca. Innych traktowała jak materiał, który należy wykorzystać. Najlepszym przykładem metod działania Ghislaine było wydanie Lydii w ręce brygady antynarkotykowej i wykorzystanie mojego nazwiska, kiedy została aresztowana za kradzież. I los Cicera.

Przy drzwiach wejściowych Lisette nagle tknęło, że popełniła niedyskrecję.

- Chwileczkę... - zaczęła niepewnie. - Nie powtórzy pani Ghislaine tego, co powiedziałam pani o Marcu, prawda?

- Nie, nie powtórzę jej ani słowa. Odetchnęła z ulgą.

- Co mam zrobić, kiedy Ghislaine wróci do domu?

- Nic - odparłam. - Wcześniej czy później na pewno się z nią skontaktuję.

- Tu Hadley.

- To ja - powiedziałam, wsiadając do samochodu pod domem Ghislaine i Lisette. - Nie złapałam dziewczyny, więc wracam. Zastanawiałeś się już, co chcesz teraz zrobić?

- Jest po szóstej. Jadę do domu.

- Myślałam, że będziemy dalej szukać Marca...

- Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić - rzekł Hadley. - Wysłałem ludzi do jego mieszkania, ale nie wrócił tam, tak jak przypuszczaliśmy. Prawdopodobnie ucieka, lecz jego opis trafił już do wszystkich jednostek w mieście, więc wkrótce ktoś go złapie.

W głosie Hadleya nie było ani odrobiny zmęczenia, chociaż na pewno pracował od ósmej rano. Zrozumiałam, że ma rację. W takiej sytuacji detektywi nie krążą po mieście do upadłego z nadzieją, że uda im się przypadkiem wpaść na złoczyńcę.

- Chcesz, żebym zaczekał na ciebie? - zapytał.

- Po co?

- Twój samochód nadal stoi pod domem Ruiza, prawda? Mogę cię tam zawieźć.

- Nie przejmuj się mną - powiedziałam. - Posiedzę jeszcze trochę w pracy, sprawdzę, czy nie wpłynęły jakieś nowe raporty. Samochód zabiorę później.

- Posłuchaj, Saro... - Hadley zawahał się na chwilę. -

Wiem, że już to mówiłem, ale naprawdę sędzę, że za mocno przeżywasz tę sprawę... Znałeś tego faceta? Byłaś tam już wcześniej, tak?

Mam dosyć okłamywania ludzi, pomyślałam z rozpaczą. Chciałabym powiedzieć prawdę komuś, kogo lubię i szanuję, tak dla odmiany...

- Miałam zebrać dowody przeciwko niemu - odparłam wymijająco. - Gdybym działała szybciej, Ruiz siedziałby teraz w więzieniu, cały i zdrowy...

- Nie - przerwał mi Hadley. - To nie twoja wina, wierz mi. Ci gówniarze zdmuchnęli Ruiza jak zużytą zapałkę i mnie też trudno się z tym pogodzić. Najchętniej rozszarpałbym ich gołymi rękami, dlatego staram się nie myśleć, że nie tylko zamordowali człowieka, ale na dodatek wpędzili w najgorsze poczucie winy osobę, którą lubię i cenię. Robi mi się czerwono przed oczami, kiedy sobie wyobrażę, że będziesz teraz przez pół nocy siedziała w pracy i zadreślała się wyrzutami sumienia...

- Dzięki - powiedziałam. - Nie będę siedziała długo, obiecuję.

Spędziłam w pracy jeszcze dwie godziny, pijąc kawę i rozmawiając z ludźmi z nocnej zmiany. Przez radio docierały do nas wiadomości o rozmaitych drobnych wykroczeniach lub czynach, które mogły, ale nie musiały być przestępstwem. W centrum handlowym Nicollet Mail jakiś akwizytor trochę zbyt entuzjastycznie namawiał do kupowania naczyń kuchennych ze zdrowej stali. Na lotnisku wybuchło zamieszanie, ponieważ dziecko, które miało przylecieć jednym z lądujących wieczorem samolotów, nie przyleciało. Na poboczu szosy 35W stał samochód z wyłączonymi światłami, a pijany kierowca spał mocno, oparty o kierownicę. W końcu poddałam się i poprosiłam patrolowego, który właśnie kończył służbę, żeby podrzucił mnie pod dom Cicera. Przed wyjściem wzięłam krótkofalówkę, tak na wszelki wypadek.

W drodze nie rozmawialiśmy zbyt dużo, a już na pewno nie o pracy.

- Zabawne, co? - powiedział policjant. - Jest już po dziewiątej, a słońce dopiero zachodzi... - Na moment oderwał rękę od kierownicy i wskazał szerokie pasmo pomarańczowego światła, rozjaśniające zachodnią stronę nieba.

- Dzisiaj mamy przesilenie letnie - przypomniałam mu.

- Wiem - pokiwał głową. - Ale ciągle nie mogę się do tego przyzwyczaić... Mieszkam tu prawie całe życie, a zawsze ogarnia mnie zachwyty, kiedy patrzę na zachodzące o tej porze słońce.

Gdy dotarliśmy na miejsce, siłą woli powstrzymałam się, żeby nie spojrzeć w ciemne okna na dwudziestym szóstym piętrze.

- Dziękuję! - uśmiechnęłam się, zatrząskując za sobą drzwi samochodu.

Poszłam przez parking w kierunku mojego wozu. Nisko opuszczony przód nowej wydawał się patrzeć na mnie z głębokim wyrzutem - ostatnio często się z nią rozstawałam i teraz poczułam się trochę jak pilot, który ma kłopoty z porozumieniem się ze swoim zastępcą.

Skręcałam już w Northeast, kiedy wydające ciche statyczne trzaski radio po stronie pasażera odezwało się ludzkim głosem. Przyjmujący zgłoszenia w centrali w ostrożnym języku komunikatów radiowych powiadamiał wszystkie dostępne jednostki, że w małym sklepie monopolowym przy Central Avenue doszło do strzelaniny.

Znajdowałam się niedaleko, więc bez wahania nacisnęłam pedał gazu. Głos czuwającego w centrali policjanta uświadomił mi bardzo ważną rzecz i ta świadomość sprawiła, że po plecach przebiegł mi zimno-gorący dreszcz.

Sklep z alkoholem to nie apteka, ale akurat to wcale mnie nie zaskoczyło. Niezależnie od tego, czy Marc zdawał sobie sprawę, że w receptach, które wymusił od Cicera, każdy far-

maceuta natychmiast rozpozna fałszywki, był zbyt sprytny, aby teraz próbować wykupić którąś z nich w Minneapolis. Ale potrzebował pieniędzy, więc szybko wrócił do zajęcia, które dobrze znał. Lisette powiedziała mi przecież, że „chłopak” Ghislaine uwielbia pozować na twardziela.

Przyczał się do późnego wieczora i wtedy postanowił zrobić kolejny skok. Jeden napad, po którym niewątpliwie chciał wyjechać z miasta.

Maska nowej podskoczyła i uniosła się, kiedy wjechałam na parking. Stał tam już radiowóz.

Wysiadłam z nowej, z daleka pokazałam odznakę i szybko podeszłam do samochodu. Dopiero teraz spostrzegłam, że siedząca za kierownicą policjantka jest bardzo młoda. Była to Lockhart, dziewczyna, która zjawiała się na miejscu wypadku po tym, jak udało mi się wyciągnąć z kanału małego Chorwata, i później zawiozła mnie na komisariat, żebym podpisała zeznanie. Wtedy towarzyszyła jej Roz, ale teraz Lockhart była chyba sama. Najwyraźniej jej zwierzchnicy uznali, że zdobyła już pewne doświadczenie, chociaż w tej chwili wyglądała na wystraszoną i zagubioną.

Niemniej bardzo się starała. Odpowiedziała na moje pytanie szybkim ruchem głowy, a potem znowu utkwiała wzrok w wejściu do sklepu.

- Chyba jest tam uzbrojony facet - rzuciła. - Jedyne klient wybiegł zaraz po rozpoczęciu strzelaniny, w każdym razie tak mówi. Opisał bandytę. To młody mężczyzna, biały.

- Gdzie jest świadek? - zapytałam.

- Po drugiej stronie ulicy. Powiedziałam mu, żeby tam zaczekał, a potem kazałam wszystkim opuścić parking i trzymać się z daleka...

Wyglądało na to, że Lockhart ma silniejszy głos, niż można by sądzić po jej drobnej sylwetce, ponieważ nikt ze zgromadzonej naprzeciwko grupki obserwujących nas świadków nawet nie próbował wejść na zakazany obszar.

- Ten klient kątem oka dostrzegł sięgającego po broń faceta i od razu rzucił się do ucieczki - ciągnęła. - Usłyszał strzały, kiedy był już za drzwiami. Potem nie spuszczał oka z wejścia do sklepu, ale nie zauważył, żeby tamten wychodził.

- Co z innymi klientami?

- Świadek jest pewny, że w sklepie nikogo więcej nie było - powiedziała Lockhart. - Nikogo poza właścicielem, który stał za ladą.

- Właściciel nie uciekł?

Lockhart pokręciła głową. Jej brązowe włosy były ściągnięte w sterczący na czubku głowy mały ogonek, który teraz zafalował w tę i z powrotem.

- Na pewno jest tam tylne wyjście - zauważyłam.

Sklep przypominał betonowe pudełko. W oknach były kraty, na szybach od środka naklejono plakaty reklamujące gry organizowane przez totalizator sportowy Minneapolis oraz reklamy papierosów, piwa, likierów i kart telefonicznych. Choćbym stanęła na głowie, to i tak nie udałooby mi się zajrzeć do środka.

Nie można było wykluczyć, że uzbrojony napastnik uciekł tylnym wyjściem, ale właściciel sklepu powinien przynajmniej próbować wyjść...

- Myślę, że właściciel został postrzelony - Lockhart wypowiedziała na głos własną myśl. - Chcę tam wejść...

- Nie - odparłam szybko. - Pogotowie jest już w drodze, prawda? I wsparcie także, bo przecież prosiłaś o pomoc.

- Mogą przyjechać za późno...

- Wiem - powiedziałam. - Ja tam wejdę.

- Wejdziemy obie! - zaprotestowała.

- Nie - pokręciłam głową. Lockhart była młoda i niedoświadczona, nie chciałam mieć jej na sumieniu. - Wchodzę sama - dodałam pośpiesznie, zanim zdążyła znowu zaprotestować. - Zostaniesz tu i będziesz osłaniać wejście, a ja sprawdzę, co się dzieje z tyłu.

Wiedziałam, że nie czekając na wsparcie, daję Lockhart fatalny przykład, ale wyjęłam z kabury swoją czterdziestkę i powoli okrążyłam budynek.

Dochodziła dziesiąta, lecz na bladoniebieskim niebie na północy nie pokazała się jeszcze nawet Wenus, a neon nad sklepem świecił dziwnie słabo, jakby napięcie prądu gwałtownie spadło.

Skręciłam w tylną alejkę i zobaczyłam zaparkowany samochód, starego niebieskiego sedana. Zerknęłam na tablicę rejestracyjną, ale nie znałam tego numeru. Samochód nie należał do Marca.

Ważne było jednak tylko to, że tylne drzwi stały otworem. Przypadłam do muru z prawej strony.

- Policja! - krzyknęłam. - Jeżeli ktoś mnie słyszy, niech poda imię i nazwisko!

Cisza.

- Wchodzę! Jestem uzbrojona i w razie zagrożenia użyję broni! Ostatnia szansa!

Uświadomiłam sobie, że moje słowa brzmią niczym hasła z podręcznika zachowania w niebezpiecznych sytuacjach. Poczułam się jak nastolatka, która tylko udaje policjantkę. Pod oczami i na karku wystąpiły mi pierwsze krople potu.

Nadal cisza. Powoli weszłam do środka.

Bezpośrednio za drzwiami znajdował się magazyn, pełen drewnianych półek zastawionych tekturowymi pudłami. W polu widzenia nie dostrzegłam żadnego ruchu, żadnej sylwetki. Po lewej zobaczyłam otwarte drzwi do łazienki - wewnątrz, obok brudnej miski klozetowej i pojemnika na papierowe ręczniki, piętrzył się kolejny stos tekturowych pudeł. W powietrzu wisiał papierosowy dym. Ani żywej duszy. Wszystkie te obserwacje zajęły mi najwyżej sekundę.

Zanim weszłam do sklepu, poczułam zapach, nie krwi, lecz rozlanego alkoholu, słodki i paskudny.

Najwyraźniej cała akcja rozegrała się tutaj - wszędzie wi-

działałam poprzewracane półki i potłuczone butelki. Wąziutki strumyk alkoholu pełzył ku moim stopom po jasnym linoleum, którym pokryta była podłoga, błyszcząc w świetle jarzeniowych lamp. W przezroczystym płynie migotały rdzawe niteczki krwi.

Ruszyłam za nimi aż do źródła, dotarłam na miejsce, instynktownie odwróciłam głowę i szybko się opanowałam.

Młody mężczyzna, biały. Poza tym niewiele było widać. Na głowie miał nylonową pończochę, która teraz przypominała cienki worek, wypełniony krwawą miazgą i odpryskami mózgu. Wewnątrz nie było już nic, co można by nazwać ludzkimi rysami. Na podłodze obok leżał pistolet kalibru 38.

Pośpiesznie oszacowałam wzrokiem tor pocisku. Wyglądało na to, że strzał padł zza kontuaru. Całkowicie logiczne, bo właściciel najpewniej się bronił. Lada znajdowała się na wysokości ponad metra i wszystko wskazywało na to, że właśnie tam się ukrył.

Ruszyłam w stronę kontuaru, na wszelki wypadek głośno obwieszczając swoje intencje.

- Jestem z policji! - powtórzyłam, obchodząc ladę z boku. - Jeżeli ma pan broń, proszę ją natychmiast odłożyć! Już po wszystkim...

Właściciel sklepu leżał na podłodze, za ścianą z ćwierć -i półlitrowych butelek. Nie ruszał się, oczy miał zamknięte, ubranie przesiąknięte nie krwią, lecz alkoholem. Podłoga dookoła niego zasypana była kawałkami szkła, które lekko go poraniły - stąd ślady krwi. Pierś unosiła się i opadała spokojnie jak u pogrążonego w głębokim śnie, a obok na podłodze spoczywał pistolet.

Miał pokaźną łysinę i skórę w odcieniu karmelu, typową dla ludzi pochodzących znad Morza Śródziemnego. Przypominał trochę Paula, którego aresztowałam kilka tygodni wcześniej, chociaż teraz wydawało mi się, że było to mniej więcej przed stu laty. Zapach krwi i alkoholu mieszał się za ladą z odorem moczu - na tanich spodniach mężczyzny widniała spora plama.

Strzał za strzał... Młody napastnik najprawdopodobniej wyciągnął pistolet z odległości mniej więcej pół metra, zza kasy. Właściciel zwlekał z otwarciem szuflady, wreszcie pod jakimś pretekstem sięgnął pod ladę i wyciągnął broń. W tym momencie przestraszony takim rozwojem wypadków chłopak cofnął się, chcąc uciec, i dopiero po chwili przypomniał sobie, że też ma pistolet, ale wtedy było już za późno. Stał za daleko i był zbyt zdenerwowany, aby trafić właściciela. Pocisk trafił w mur niskich butelek, kawałki szkła posypały się na mężczyznę, ten zaś w obronie własnej pociągnął za spust i oddał śmiertelnie celny strzał. Potem, widząc rezultat swojego czynu - głowa chłopaka musiała dosłownie eksplodować wewnątrz cienkiej pończochy - zemdłał, przy okazji całkowicie tracąc kontrolę nad pęcherzem.

Tak więc właścicielowi sklepu nic się nie stało, natomiast napastnik zginął na miejscu. Pozostało mi tylko ostrożnie wycofać się na zewnątrz, starając się nie zatrzeć śladów całej akcji.

Właśnie wtedy kątem oka zobaczyłam nogę.

Wystawała zza rogu drugiej alejki między półkami. Stopa obuta była w sandał, paznokcie lśniły szkarłatną powłoką, zbyt gładką i regularną jak na zasychającą krew. Nie ulegało wątpliwości, że zostały pomalowane, lecz po podłodze leniwie płynął czerwony strumyk i to już na pewno nie był lakier... Wyglądało na to, że właściciel sklepu jednym strzałem załatwił dwie ofiary.

Podeszłam bliżej. Ghislaine Morris leżała na boku, z zamkniętymi oczami i jedną nogą zgiętą w kolanie. Krew, którą dostrzegłam na podłodze, płynęła z jej klatki piersiowej.

Lisette powiedziała, że Ghislaine pożyczała Marcowi samochód na imprezy - tym razem najwyraźniej postanowił wreszcie zabrać ją ze sobą, tyle że na imprezę zupełnie innego

rodzaju... Dziura o poszarpanych brzegach, ziejąca pośrodku krwawej plamy w piersi Ghislaine, bulgotała głośno, a przesiąknięty krwią materiał unosił się i opadał. Otwarta rana klatki piersiowej, przyczyna szybkiego zgonu... Z oddali nie dobiegało jeszcze wycie syren.

Ghislaine sama wkroczyła na tę ścieżkę. Miała możliwość wyboru, to, czego tak beztrudno pozbawiła Cicera.

Nie, usłyszałam w myślach swoją odpowiedź na pytanie przesłuchującego mnie oficera. Nie zauważyłam jej, byłam zajęta udzielaniem pomocy właścicielowi sklepu. Nie przyszło mi nawet do głowy, że jest tam trzecia ofiara.

Rana w piersi Ghislaine znowu zabulgotała. Jej wargi zaczynały sinieć. Byłam pewna, że nie dożyje do przyjazdu karetki.

Tak jest, znów usłyszałam swój głos. To naprawdę straszna tragedia.

Ale przez cały czas miałam świadomość, że nie jestem w stanie tego zrobić.

- Och, cholera jasna, Cicero! - powiedziałam głośno i pobiegłam za ladę po foliową torebkę, by zatkać ranę.

Zrobiłam, co mogłam, i trzymałam folię dłonią, kiedy poczułam czyjeś dłonie na swoich ramionach. Podniosłam głowę i spojrzałam prosto w spokojną, szlachetną twarz Nate'a Shi-gawy.

- Teraz my się nią zajmiemy, detektyw Pribek - powiedział.

Nagle ogarnęła mnie fala ciepłego zadowolenia, że zapamiętał moje nazwisko. Skinęłam głową, podniosłam się i odsunęłam, robiąc miejsce dla Shigawy. Spokojnie ruszyłam w kierunku tylnego wyjścia. Partner Shigawy, Schiller, zajmował się właścicielem sklepu. Sytuacja była pod kontrolą.

Wyszłam na zewnątrz i przystanąłam obok samochodu Ghislaine. I tym razem zauważyłam coś, czego nie dostrzegłam wcześniej - fotelik dla dziecka na tylnym siedzeniu. Schyliłam się i zajrzałam do środka. Niemożliwe, powtarzałam w myślach.

Ale Shadrick siedział w foteliku, z główką opartą na piersi. Przespał strzelaninę.

Obudził się, kiedy otworzyłam tylne drzwi. Ghislaine nie zamknęła ich, bo pewnie spodziewała się, że zaraz wróci razem z Markiem. Shadrick przyglądał mi się w milczeniu, kiedy odpinałam przytrzymujące fotelik pasy i wyjmowałam go z krzeselka.

Z dzieckiem w ramionach okrążyłam sklep i znowu znalazłam się w samym środku znajomej scenerii. Krótkofalówki krztusiły się i trzeszczały, światła omiatały chodnik i wejście do sklepu. Kilku policjantów przebiegło tuż obok mnie, ale nikt na mnie nie patrzył. Nikt poza jedną osobą. Trochę z boku, szacując mnie spojrzeniem w sposób, jaki zapamiętałam z okresu, kiedy udawałam uliczną prostytutkę, stał Gray Diaz.

Ubrany był w nieco wygniecione spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, pod oczami miał głębokie cienie i wyglądał na zmęczonego, jakby ostatnio za dużo pracował. W rękę nie trzymał nakazu aresztowania, ale to oczywiście nie znaczyło, że nie ma go w kieszeni...

- Detektyw Pribek - odezwał się, wychodząc mi na spotkanie. - Powiedziano mi, że tu panią znajdę. - Zmarszczył lekko brwi, patrząc na mnie uważnie. - Co się stało, skąd ta rana na czole?

- Upadłam - powiedziałam. - Zsunęłam się z dachu płonącego domu. Czułam, że teraz przejdzie do rzeczy.

- Chciałem się z panią pożegnać - rzekł powoli. - Wracam do Blue Earth.

- Tak? - zapytałam, wstrzymując oddech.

- Zakończyłem śledztwo. Sprawa Stewarta pozostanie oficjalnie otwarta, ale odkładamy ją do archiwum.

Popatrzył na innych policjantów, którzy przynajmniej po-

zornie nadal nie zwracali na nas uwagi. Potem znowu odwrócił się do mnie.

- Wiem, że zabiła pani Royce'a Stewarta, ale nie mogę tego udowodnić. Pewnie myślała pani, że jego życie pozbawione jest wszelkiej wartości, a działanie systemu sprawiedliwości potwierdziło pani przekonanie.

Nie czekał na odpowiedź i nie powiedział już ani słowa. To było jego pożegnanie.

Shadrick wybrał właśnie ten moment, żeby położyć dwie miękkie, chłodne łapki na mojej twarzy i odwrócić moją uwagę od oddalającego się Diaza. Chłopiec zajrzał mi w twarz, jakby spodziewał się znaleźć tam jakąś wskazówkę lub radę.

- Nie patrz tak na mnie, mały... - mruknęłam.

Rozdział 37

Kiedy człowiek pogrąża się w głębokim śnie, małe drzwiczki na dnie umysłu uchylają się, wpuszczając do środka dziwaczne sny - najczęściej psychodramy pełne symbolicznych obrazów, których po przebudzeniu zwykle nie pamiętamy lub których treść zachowujemy tylko dla siebie i kogoś najbliższego. Wczoraj miałam strasznie dziwny sen, mówimy wtedy.

I taki był mój sen.

Znowu byłam na sali sądowej, na procesie Hugh Hennessy'ego, tym razem niejako prokurator, lecz obserwator, w każdym razie tak mi się wydawało do chwili, gdy Kilander położył rękę na moim ramieniu.

- Hugh nie może przemawiać we własnym imieniu — powiedział. - Żaden sędzia nie zgodziłby się rozpatrzyć takiej sprawy.

- Już to mówiłeś.

- Znaleźli jednak kogoś, kto przemówi za niego - dodał Kilander. - Chcą, żebyś ty to zrobiła.

- Nie mogę! Żartujesz sobie ze mnie?!

- Nie każ sędziemu czekać - wymamrotał Kilander. Wszyscy detektywi powinni posiadać umiejętność empa-

tycznego myślenia. Niezależnie od tego, jak bardzo nie podoba nam się podejrzany, zawsze warto przyjąć jego punkt widzenia i zrozumieć motyw działania. Zajmując miejsce na mównicy, starałam się o tym nie zapominać.

- Proszę dać nam znać, gdy będzie pani gotowa - odezwał się sędzia.

Poprawiłam mikrofon i przemówiłam w imieniu Hugh.

- Wiem, że wygląda to bardzo źle - zaczęłam.

- Trochę głośniej, jeśli można, pani Pribek - poprosił sędzia.

- Wiem, że wygląda to bardzo źle - powtórzyłam - ale zwykle biurko było zamknięte, a dzieci prawie nigdy nie zaglądały do mojego gabinetu. Nie było tam nic interesującego, żadnych zabawek czy cukierków. Trzymałem tam pistolety, ponieważ w naszej sypialni nie było mebli z zamykanymi szufladami, tylko biurko je miało. Broń była zawsze naładowana, bo w tamtych latach brzegi jeziora nie były tak gęsto zabudowane jak teraz. Nasz dom tkwił w samym środku pustkowia, chciałem więc w razie czego bronić Lis i dzieci przed rabusiami. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie wtedy zapomniałem zamknąć szufladę. Po prostu zapomniałem, i tyle.

Jak to możliwe, że tamtego dnia Aidan wbiegł do gabinetu i znalazł pistolet... I jak to możliwe, że nie strzelił w powietrze ani w podłogę, ale prosto w swoją pierś... Tak, prosto w pierś!

Nie bałem się wezwać karetki i przyznać do oczywistego zaniedbania, i wcale nie dlatego sam zawiozłem Aidana do szpitala. Wiem, że tak to może wyglądać, ale nie dlatego... Bałem się czekać na karetkę. Chwyliłem go w ramiona i pobiegłem do garażu. Gdybym po drodze napotkał jakiś patrol

drogowy, policjanci musieliby ścigać mnie aż do szpitala, bo sam na pewno bym się nie zatrzymał. Byłem gotowy na wszystko, byle tylko go uratować, lecz nikt mnie nie ścigał, nie było żadnych patroli. Dojechałem do szpitala, parking był pusty, nikt nas nie zauważył. Wtedy obejrzałem się i popatrzyłem na Aidana. Nie oddychał. Był siny. Wiedziałem, że już nie żyje.

Siedziałem w samochodzie i płakałem, trwało to długo, ale nikt nie wybiegł ze szpitala, nikt do nas nie podszedł. Kiedy przestałem płakać, pomyślałem, że powinienem pójść po kogoś z pogotowia, żeby zabrali ciało Aidana, lecz jednocześnie nie chciałem, by mi go odebrali i zanieśli do kostnicy, więc przekręciłem kluczyk w stacyjce i po prostu wróciłem do domu. Nie wiem, co wtedy myślałem, chyba w ogóle nie myślałem.

Lis spała, przytulona do Marli. Nie chciałem ich budzić. Zaraz potem wzeszło słońce. Był przepiękny ranek. Postanowiłem pochować Aidana pod magnolią. Mnóstwo starych amerykańskich rodzin grzebało najbliższych na terenie swoich posiadłości, taka była tradycja, więc pochowałem go tam i odmówiłem nad nim modlitwę.

Kiedy Marli się obudziła, powiedziałem jej, że mamusia jest chora, a Aidan wyjechał na jakiś czas.

- Ale on wróci, prawda? - zapytała.

Nie miałem serca zaprzeczyć, więc odparłem tylko, że wszystko będzie w porządku czy coś w tym rodzaju. Później zaprowadziłem Lis na grób. Wy tłumaczyłem jej, że lepiej zostawić go tutaj niż oddać w ręce ludzi z zakładu pogrzebowego, którzy zabalsamują go, zaszyją i umalują, bo w ten sposób zawsze będzie z nami. Rozpłakała się, ale przyznała mi rację, potem popadła w stan bliski katatonii. Nie zadzwoniła do nikogo, ani do siostry, ani do żadnej przyjaciółki.

I wtedy zacząłem się zastanawiać - tyle zbiegów okoliczności, nikt nie widział Aidana w moim samochodzie pod szpitalem, nikt się nie dowiedział, co się stało... Wyglądało to prawie na zrządzenie losu. Może uda się zatuszować okoliczności śmierci Aidana, pomyślałem, może po

prostu zwalić całą winę na myśliwych, którzy o tej porze roku często pojawiali się w okolicznych lasach... Co dobrego miałyby wynikać z tego, że wszystkie gazety będą się rozpisywać o jego wypadku? Ludzie wytykaliby palcami mnie i Elisabeth, tak, ją także obarczyliby winą za śmierć małego. A gdyby ktoś z opieki społecznej uznał nas za nieodpowiedzialnych rodziców? Gdyby pozbawili nas praw rodzicielskich i zabrali nam Marli i Lia-ma? Zniszczyłoby to Lis, która nosiła już wtedy Colma i pod względem psychicznym była krucha jak szkło.

Przypomniałem sobie o Brigitte i jej małym synku Jacobie. Wydawało się to niemożliwe, ale ja uznałem, że będzie to idealne rozwiązanie. Jacob był prawie dokładnie w tym samym wieku co bliźnięta. Marli i Jacob byli jeszcze na tyle mali, że wiele rzeczy mogli zapomnieć, a Jacob z czasem stałby się Aidanem.

Kiedy powiedziałem o swoim pomysle Lis, wpadła w histerię i nazwała mnie psychopata, ale jakoś przetrwałem tę burzę. Uświadomiłem jej, że nic nie zwróci nam Aidana, i wyjaśniłem wszystkie powody takiego kroku. Powołałem się też na jej własne słowa, że od śmierci swego chłopaka Brigitte właściwie nie nadaje się do życia. Nieustannie pije i ćpa, na dodatek dopuściła, by jakiś wściekły pies zaatakował małego i odgryzł mu palec. Nie miałem cienia wątpliwości, że Jacobowi będzie lepiej u nas. Powiedziałem, że postaramy się, by miał naprawdę wspaniałe życie, i że oczywiście nigdy, nigdy nie zapomnimy Aidana, którego grób możemy codziennie odwiedzać.

Brigitte nie stwarzała żadnych problemów. Zdawała sobie sprawę, że jest złą matką i że jej siostra będzie dobra dla Jacoba. Wystarczył wypisany na sporą kwotę czek, żeby podjęła decyzję, a kiedy już zrealizowała czek, nie mogła pójść na policję, bo stała się współwinna.

Dzień, w którym przywieźliśmy Jacoba do domu, okazał się prawdziwą katastrofą. Wcześniej powiedziałem Marli, że jej brat musi wydobrzeć poza domem, ponieważ pogryzł go pies, ale na widok Jacoba natychmiast wybuchnęła płaczem. Doskonale wiedziała, że to nie Aidan, lecz ja wmawiałem jej, że to jej brat, więc wpadła w panikę. „To jest Aidan, chociaż wygląda trochę inaczej - tłumaczyłem jej. - W środku to naprawdę Aidan”. Ale ona wciąż płakała i powtarzała, że chce Aidana. Lis była tak rozdrażniona i słaba, że usiadła w fotelu na biegunach i też się rozpłakała. Marli płakała w kącie, Lis w fotelu, a Jacob stał na środku pokoju i wyglądał tak, jakby za chwilę także miał się zalać łzami. Jesteś potworem, Hugh, pomyślałem. Jak to się stało? Przecież chciałem tylko być dobrym mężem i ojcem, a teraz okazało się, że jestem przeklętym potworem. Nie miałem pojęcia, jak do tego doszło.

Nagle Jacob rozejrzał się i spojrzał na Lis. Była trochę podobna do swojej siostry, Gitte, chociaż oczywiście o wiele piękniejsza, lecz Jacob dostrzegł łączące je podobieństwo. Podeszedł do Lis i zapytał, dlaczego płacze. Potem wgramolił się jej na kolana, a ona pozwoliła mu na to. Marli zobaczyła, że matka nie boi się tego nowego Aidana, więc usadowiła się w fotelu razem z nimi. Siedzieli tam we troje i patrząc na nich, pomyślałem, że wszystko jakoś się ułoży. Bardzo chciałem przytulić się do nich, znaleźć się w kręgu ich ramion, ale na fotelu nie było miejsca, stałem więc z boku i myślałem, że już zawsze tak będzie i że chyba na to zasłużyłem. Tak czy inaczej, byłem gotowy na wszystko, byle tylko Lis była szczęśliwa.

Jednak los poprowadził nas inną ścieżką. Marli i chłopiec szybko się zaprzyjaźnili i po sześciu miesiącach chyba wszyscy zapomnieli o istnieniu kogoś takiego jak Jacob Candeleur. Ale ja nie mogłem zapomnieć. Zacząłem pić, rozchorowałem się na wrzody i wciąż czekałem, kiedy wydarzy się coś złego. Lis pokochała chłopca jak własnego syna, ale bardzo często przesiadywała na grobie Aidana.

Zrozumiałem, że pochowanie naszego syna w tym miejscu było błędem, bo właśnie przez to Lis nie mogła zapomnieć, jak zginął, lecz bałem się cokolwiek zrobić. Mogliśmy sprzedać dom, ale co by było, gdyby nowi właściciele zdarli wykładzinę w gabinecie i odkryli wielką plamę krwi na podłodze... Albo zaczęli kopać pod magnolią i znaleźli kości Aidana... I co z tym przeklętym bmw... Czułem, że na dobre utknęliśmy w domu, którego każdy kąt przypominał nam, co stało się z naszym synem.

Nie mogliśmy otwarcie opłakiwać Aidana i myślę, że właśnie to ostatecznie zabiło Lis. Wróciłem do domu po jej pogrzebie i uświadomiłem sobie, że żona, którą kochałem jak nikogo innego, na zawsze odeszła z mojego życia, zostawiając mi nieślubnego syna swojej siostry. Chłopak płakał pod tą cholerną magnolią na grobie Aidana. Poszedłem tam i wtedy uderzyłem go pierwszy raz. Pierwszy i nieostatni, ale kogo to teraz obchodziło? Już znacznie wcześniej dotarło do mnie, że jestem potworem.

Zacząłem fantazjować, wyobrażać sobie, że mogę wymazać w nim tożsamość Aidana Hennessy'ego z taką samą łatwością jak kiedyś tożsamość Jacoba Candeleura. Dopiero po pewnym czasie wpadło mi do głowy, że to może mi się nie udać, ale mogę przecież zrobić coś w gruncie rzeczy zblizonego - odesłać go z powrotem do Brigitte. Kiedy zadzwoniłem do niej, była zachwycona. Odetchnąłem z ulgą, a po jej śmierci odszukałem dawnego przyjaciela, który zgodził się przyjąć chłopaka - tak bardzo podobało mi się, że Jacoba nie ma już w naszym domu...

Marlinchen nic z tego nie pojmowała, a ja bardzo nie chciałem jej ranić. Któregoś dnia o mało nie opowiedziałem jej całej historii. Zaprowadziłem ją na grób Aidana, ale w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi i powiedziałem tylko, jak tęsknię za jej matką i jak dawno temu oboje przysięgliśmy sobie miłość pod tym drzewem.

Chciałem powiedzieć prawdę. Marlinchen jest bardzo podobna do matki, a ja przez tyle lat pragnąłem zrzucić z siebie ten ciężar i usłyszeć od kogoś, że mnie rozumie. Tylko tyle -że rozumie, dlaczego tak postąpiłem.

Teraz wiem, że nigdy nie będzie mi to dane. Wciąż płacę za swój błąd i naprawdę nie wiem, kiedy to się skończy. Udało mi się wymazać pamięć Marlinchen i pamięć Jacoba, ale własnej wymazać nie potrafię, a przecież w gruncie rzeczy właśnie o to mi chodziło...

Epilog

Pierwsze nagłówki gazet na temat Hugh Hennessy'ego były umiarkowane w tonie i pełne szacunku. „Znany pisarz ginie w pożarze domu”. Przedstawiciele środków masowego przekazu powstrzymali się od pytań i komentarzy do pogrzebu. Msza żałobna odbyła się w katedrze. Czwooro dzieci Hugh, siedzących w pierwszej ławce, obejmowało się ramionami i szlochało. Nawet Colm nie wstydził się łez.

Jednak już parę dni po pogrzebie dziennikarze zaczęli się zastanawiać nad całą sprawą. Pytali, dlaczego opinia publiczna nie została powiadomiona o udarze Hugh i kim właściwie był młody człowiek, który umarł w dniu pożaru i został zidentyfikowany w akcie zgonu jako Aidan Hennessy. Pytania mnożyły się, dziennikarze drążyli coraz głębiej i w końcu wszystko wyszło na jaw. W dniu, kiedy technicy z biura szeryfa okręgu Hennepin przystąpili do rozkopywania grobu pod magnolią, przedstawicielom prasy i telewizji zabroniono wstępu na posesję Hennessych, ale oczywiście duża ich grupa zgromadziła się na końcu długiego podjazdu, skąd po zastosowaniu odpowiedniego obiektywu bez większego trudu udało im się wykonać zdjęcie wydobytego z ziemi drobnego szkieletu dziecka z dziesięcioma palcami i strzaskanym mostkiem.

Młodzi Hennessy odmówili wszelkich komentarzy za pośrednictwem J.D. Campiona, który wziął na siebie rolę rzecznika rodziny. W ciągu tych pełnych napięcia pierwszych tygo-

dni wiele razy dzwoniłam do Marlinchen, która zapewniała mnie, że panuje nad sytuacją. Wierzyłam, bo chociaż w jej głosie brzmiał smutek i czasem zmęczenie, nie było w nim tej ostrej, nieprzyjemnej nuty, jaką zapamiętałam z najgorszego okresu. Przyczyniła się do tego zapewne stała teraz obecność J.D. Campiona, który najwyraźniej nie zamierzał opuszczać Minneapolis. Bardzo mnie to cieszyło. Campion na pewno nie był opiekunem, jakiego dla Hennessych wybrałaby opieka społeczna, niemniej idealnie pasował do tej błyskotliwie inteligentnej i szczególnie wrażliwej małej rodziny.

W sierpniu musiałam wybrać się na kampus Uniwersytetu Minnesoty, aby przeprowadzić krótką rozmowę z jednym z pracowników uczelni. Był upalny dzień, parny, choć dość przyjemny, i mimo że letnia sesja dopiero się zaczynała, na dużym skwerze przed Audytorium Northropa kręciło się sporo młodych ludzi. Szłam właśnie ścieżką wydeptaną w trawniku, kiedy zatrzymał mnie męski głos.

- Detektyw Pribek!

Minęło parę sekund, zanim rozpoznałam studenta, który mnie zawołał. Oczywiście Liam Hennessy nie zmienił się aż tak bardzo w ciągu mniej więcej ośmiu tygodni, ale naprawdę wyglądał inaczej, całkiem jak dorosły student. Dużą rolę w tej odmianie odegrał, jak na ironię, sportowy, nieco nonszalancki styl ubioru - Liam miał na sobie jasnoczerwony T-shirt, szorty z kilkoma kieszeniami i sandały. Jego włosy, zawsze raczej długie, zjaśniały na słońcu, szczególnie na końcach, a na szyi Liam nosił rzemyk z trzema tygrysimi oczkami. Tylko okulary w drucianych oprawkach pozostały te same.

- Hej! - uśmiechnęłam się szeroko. - Ominąłeś ostatni rok liceum?

Podeszłam bliżej, chroniąc się przed słońcem w cieniu rozłożystego drzewa.

- Nie... - potrząsnął głową. - Przychodzę tu tylko na seminarium o dramacie greckim i rzymskim.

- Mała porcja lekkiej lektury - zauważyłam.

- Tak...

Chwilę staliśmy w milczeniu.

- Podoba mi się ten naszyjnik - odezwałam się. - Pasuje do ciebie, tak jak pasował do niego...

Dziwne, ale naprawdę tak było, chociaż Liam Hennessy przynajmniej pozornie był zupełnie niepodobny do kuzyna.

- Dziękuję - rzekł Liam. - Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy pochować jego i Aidana obok ojca, lecz w końcu uznaliśmy, że najważniejsze jest to, aby leżeli obok mamy. Jacob naprawdę ją kochał.

- Wiem - odparłam. - Co z Donalem?

Przez pociągłą twarz Liama przemknął cień smutku.

- Chodzi do psychologa i czuje się już lepiej... Wybuch pożaru to był wypadek i Donal wie o tym, ale chyba minie jeszcze trochę czasu, zanim pogodzi się z tym, co się stało.

- Wiele bym dała, żeby wszystko ułożyło się inaczej.

Nie wiedziałam, jak inaczej to ująć. Wydarzenia sprzed kilku tygodni były przerażające, lecz ból, jaki czuli Jacob i Hugh, szybko minął. To żywi cierpieli długo i dotkliwie, wciąż od nowa zadając sobie pytanie, co by było, gdyby w decydujących chwilach zachowali się inaczej.

- Wie pani, że J.D. nadal jest w Minneapolis, prawda? - Liam zmienił temat. - Pomaga nam sprzedać działkę. Dom nadaje się już tylko do wyburzenia, ale za ziemię powinniśmy dostać sporo pieniędzy. Sprzedajemy też domek nad jeziorem Tait.

- Więc na jaTtiś czas pozbędziecie się wszelkich problemów finansowych...

- Tak. J.D. i ja staramy się namówić Marlinchen, żeby wysłała podania o przyjęcie do kilku uczelni. Co prawda mówi, że jest teraz zbyt zajęta, ale próbujemy ją przekonać, żeby wybrała jakąś miejscową uczelnię, bo wtedy nadal byłibyśmy wszyscy razem. Wydaje mi się, że w końcu się złamie...

- Mam nadzieję - uśmiechnęłam się.

- Hej, Liam...

Dziewczyna, która nam przerwała, była mniej więcej w wieku Marlinchen. Miała długie jasne włosy i długie nogi w króciutkich szortach. Przystanęła bliżej Liama niż mnie, a jej wyraz twarzy wyraźnie wskazywał, że ma nadzieję, iż zaraz skończymy rozmowę. Od razu pojęłam, o co jej chodzi.

- Cieszę się, że cię spotkałam - powiedziałam do Liama.

- Ja też - odparł.

Odwróciłam się, kiedy znowu mnie zawołał.

- Detektyw Pribek?

- Tak?

- Mogę zgłosić się do pani po wskazówki, jeśli kiedyś zechcę napisać powieść kryminalną?

- Jasne. Chętnie ci pomogę.

Ostatecznie Aidan Hennessy i Jacob Candeleur, kuzyni za życia i bracia w chwili śmierci, mieli spocząć pod tym samym kamieniem nagrobnym, na cienistym, eleganckim cmentarzu, gdzie dwa miesiące wcześniej spotkałam Campiona.

W przypadku Cicera Ruiza sprawy wyglądały trochę inaczej. Minneapolis nie ma komunalnego cmentarza dla ubogich, lecz kilka cmentarzy dysponuje zwykle działkami na takie pochówki. Cicero został pogrzebany w miejscu, gdzie na grobach stoją ręcznie wykonane drewniane krzyże, a gdzieś tam nawet napisy na tekturze.

Kilka dni po pogrzebie Soleil i ja zabrałyśmy się do uprzątnienia mieszkania. Ponieważ Cicero nie miał żadnych spadkobierców, rozdzieliliśmy wszystko między organizacje charytatywne, do których chciałyśmy je przewieźć. Zawartość kuchennych szafek miała trafić do lokalnego banku żywności, meble do sklepu dla najuboższych, książki i teksty medyczne do biblioteki. Późnym popołudniem do drzwi zapukała wysoka, siwiejąca kobieta. Powiedziała, że pracuje w komunalnej

spółdzielni mieszkaniowej, i dała nam klucz do należącej do Cicera skrzynki na listy, prosząc, abyśmy ją opróżniły. Obiecałyśmy, że na pewno to zrobimy.

Pracowałyśmy do wieczora, ponieważ żadna z nas nie chciała przeznaczać jeszcze jednego dnia na to ponure zajęcie. Dopiero tuż przed wyjściem zjechałam na dół i otworzyłam skrzynkę.

Była wypakowana do granic możliwości. Większość poczty stanowiły reklamówki, które od razu wrzuciłam do jednej z zielonych toreb na śmieci. Tylko jedna wąska koperta ze starannie wydrukowanym adresem wyraźnie odstawała od pozostałych. Nadawcą była firma adwokacka z Kolorado.

W środku znajdował się krótki list z informacją, że górnicy z kopalni numer 5 wygrali proces przeciwko byłemu pracodawcy w sprawie wybuchu w tunelu. Cicero, jeden z poszkodowanych, miał otrzymać 820 tysięcy dolarów.

Śmiałam się tak długo, aż w końcu zaczęłam płakać. Soleil tylko płakała.

Kilander, jak zwykle świetnie poinformowany, opowiedział mi o Grayu Diazie i wynikach badań nowej, które nadeszły z laboratorium kryminalistyki. Analitycy rzeczywiście znaleźli ślady krwi na wykładzinie, były jednak zbyt zdegradowane przez upływ czasu oraz działanie wysokiej temperatury i światła, aby można poddać je szczegółowym badaniom. Testy potwierdziły, że była to krew ludzka, ale poza tym nie stwierdzono nic konkretnego. Właśnie taka prawda kryła się za ostatnią podjętą przez Diaza próbą, aby skłonić mnie do złożenia zeznań.

Powinnam się zorientować, że Diaz nie dysponuje żadnym materiałem dowodowym, bo przecież sama także przesłuchuję podejrzanych. W czasie ostatniej rozmowy stworzył ciepłą atmosferę i zwracał się do mnie po imieniu. Sugerował, że ma

dowody mojej winy, lecz jednocześnie podkreślał, że wiele nas łączy, ponieważ wykonujemy ten sam zawód, i że bardzo chce mi pomóc. Przez cały czas trzymał w ręku wyjątkowo marne karty, ale robił, co mógł.

Uważałam, że Diaz zasłużył na mój podziw i szacunek. Powiedział mi, że w innych okolicznościach moglibyśmy zostać przyjaciółmi, i chyba miał rację.

Było mi też przykro, że ostatnie słowa, jakie do mnie skierował, były pełne goryczy, ale cóż — Diaz uznał, że przegrał, a ja wygrałam. Jego zapewne nie udałoby mi się przekonać, że oboje przegraliśmy, ale sama nie miałam co do tego cienia wątpliwości. Parę dni później na strzelnicy Jason Stone ruchem głowy wskazał mnie młodemu policjantowi. Doskonale wiedziałam, jaką historię opowie po ćwiczeniach nowemu koledze.

Przypadające na pierwszy dzień września Święto Pracy przyniosło zapowiedź jesieni i lato zakończyło się mniej więcej tak, jak się zaczęło - brałam dodatkowe dyżury, siedziałam w pracy do późna i ogólnie biorąc, starałam się być bardzo zajęta. Pewnego popołudnia na początku września Prewitt przystanął przy moim biurku i poinformował mnie, że młoda matka, którą uratowałam w sklepie z alkoholem, Ghislaine Morris, w pełni wróciła do zdrowia, natomiast on, jako mój szef, zamierza włączyć do moich dokumentów notatkę z pochwałą za odwagę i przytomność umysłu.

- Dziękuję, sir - powiedziałam.

Kiedy odszedł, spuściłam głowę i zabrałam się do pracy.

Parę godzin później, już w domu, kiedy siatkowe drzwi nie chciały się dostatecznie szeroko otworzyć, wyrwałam je z zawiasów. Aż do tamtej chwili byłam pewna, że pogodziłam się ze śmiercią Cicera Ruiza.

Najbardziej zaskoczyło mnie to, że byłam wściekła nie na Ghislaine ani na siebie, chociaż miałam po temu powody, ale

na Cicera. To on postawił mnie przed trudnym wyborem - albo wydać go w ręce policji, albo pozwolić nadal żyć własnym życiem. Zdecydowałam się na to drugie wyjście, pośrednio doprowadzając do gwałtownej, przedwczesnej śmierci Cicera.

Niedawno powiedziałam, że podstawową wadą Cicera było współczucie, lecz pomyliłam się. Wadą, która najbardziej skomplikowała mu życie, była duma. Dostrzegłabym to wcześniej, gdybym bezustannie nie szukała kogoś, w czyją mądrość i bezkompromisowość mogłabym bez reszty uwierzyć. Tak bardzo pragnęłam przekonać samą siebie, że Cicero jest dobrym, uczciwym człowiekiem, zniszczonym przez okoliczności, że nie zauważyłam, iż jego życie od chwili utraty prawa wykonywania zawodu skoncentrowane było na poświęceniu samego siebie, i to w zupełnie dosłownym sensie. Teraz wydawało mi się oczywiste, że nawet po zawodowej klęsce Cicero mógł wybrać coś lepszego niż praca w kopalni, ale nie wybrał. Duma zawsze podszyta jest wstydem i dlatego Cicero ukarał samego siebie o wiele bardziej surowo, niż zrobił to system. Właśnie to, a także potrzeba kontynuowania pracy, która była dla niego sensem życia, stało się przyczyną jego śmierci.

Oczywiście nie doszłoby do tego, gdybym aresztowała Cicera albo gdyby Ghislaine w tak rozpaczliwy sposób nie czepiała się z gruntu złego, brutalnego młodego mężczyzny, którego z niezrozumiałych dla mnie powodów za wszelką cenę chciała do siebie przywiązać... Kto może powiedzieć z całą pewnością, dlaczego jeden człowiek ginie przedwcześnie, a drugi żyje dalej... Gdyby Cicero był u sąsiadów w chwili, gdy Marc stanął pod jego drzwiami, to czy bandyta wróciłby innego dnia, czy też odszedł wściekły, dokonał innego napadu i ostatecznie został zastrzelony przez właściciela sklepu monopolowego, pozostawiając Cicera w kompletnej nieświadomości, jak blisko przeszła śmierć? Poszczególne czynniki były równie przewidywalne jak podwodne prądy i wiry, a moje poczucie winy było jak kilka kropel krwi, które zabarwiły

wodę na różowo. Pojedyncze atomy krwi nigdy nie znikną, ale ulegną rozmyciu, podobnie moje poczucie odpowiedzialności za to, co się stało, zostanie złagodzone przez świadomość tego, jak wiele drobnych okoliczności prowadzi do czyjejś śmierci.

Tak, ta świadomość przyniosła mi dziwny, chłodny spokój. Nie podniosłam wyrwanych z zawiasów drzwi i nie weszłam do środka. Usiadłam na schodach z tyłu domu i długo patrzyłam na pociąg towarowy, który z monotonnym dudnieniem przetoczył się po szynach.

I tak oto dopadła mnie samotność, przed którą uciekałam przez całe lato, wypełniając swoje dni życiem Hennessych, Cicera czy nawet zupełnie obcych ludzi, takich jak Niezwykły K. Wynajdywałam sobie setki problemów, byle tylko nie stawić czoła tym, z którymi żyłam od dnia zniknięcia Shiloha. Nie byłam szczególnie wybredna, chętnie rozwiązywałam kłopoty innych, wszelkie kłopoty, byle nie swoje. Każde zajęcie było dobre, byle tylko utrzymać uczucia na uwięzi i nie przyglądać im się zbyt dokładnie.

Nie dostrzegłam dumy i poczucia winy, które zawładnęły życiem Cicera, chyba dlatego, że miałam już pewną praktykę w przymykaniu oczu na te cechy, które stały się motywacją większości działań mojego męża. To дума kazała Shilohowi wyrównać rachunki za śmierć Kamarei i wykonać wyrok, którego nie wydał i nie wykonał wymiar sprawiedliwości. Co więcej, Shiloh uważał, że może zrobić to, co zaplanował, chroniąc mnie przed współudziałem w swoich czynach, a nawet przed wszelką o nich wiedzą. Kiedy mu się nie udało, nie chciał powołać się na okoliczności łagodzące i prosić o mniejszy wyrok - nie, Shiloh wolał pójść do więzienia. Pomyślałam, że teraz chyba już trochę lepiej rozumiem, dlaczego kompletnie zamilkł - mój mąż nie kontaktował się ze mną ze wstydu. Uznał, że jego postępowanie będzie jak ślad brudnej ręki na życiu, które próbowałam prowadzić w Minneapolis.

Niemniej ja również nie byłam bez winy. Nie wyciągnęłam ręki do Shiloha, bałam się jako pierwsza zburzyć dzielący nas mur milczenia i

być może narazić się na odrzucenie. Nie potrafiłam przyznać się przed sobą, jak głęboki gniew wzbudziła we mnie strata męża, bo przecież tak należało to nazwać. Strata, którą usilnie próbowałam nazywać nie opuszczeniem czy zdradą, lecz zwyczajnym zbiegiem okoliczności.

Wcześniej poszłam do łóżka i koło drugiej w nocy ocknęłam się, trzeźwa, zupełnie przytomna i świadoma, że już nie zasnę. Wstałam, opłukałam twarz, ubrałam się i wrzuciłam kilka rzeczy oraz portfel do zamszowego worka. Tuż przed wyjściem z domu wsunęłam na palec miedzianą obrączkę, którą do tej pory trzymałam w szufladzie nocnego stolika.

Kiedy ruszyłam na wschód, do Wisconsin, powietrze było ciepłe, miłe i pachnące jak w środku lata. Nie czułam się zmęczona i wiedziałam, że przed świtem będę pod murami więzienia. Przedemną, na południowym wschodzie, ogromny i blady Orion rozpościerał nisko swoje skrzydła niczym patron, czuwający nad celem mojej wyprawy.